



Spis treści

SŁOWO WSTĘPNE	17
I.	19
1. Argument	21
2. Słowo „katastrofa”	27
3. Definicje	39
4. Katastrofa romantyczna	47
5. Wiek osiemnasty	51
6. Cuvier i katastrofizm	54
7. Cuvier i potop	56
8. Cuvier i nieciągłość	61
9. Cuvier i powieść	64
10. Końce świata, ostatni ludzie	66
II.	73
1. Przegląd dotkliwości	75
2. Dobroczynicy i herosi	94
3. Sekwencje	99
4. Jak informować o katastrofie	103
5. Pamięć o katastrofie	107
6. Katastrofa przyszłości	109
ANTOLOGIA	111
1. Dzieje się	113
1. Co to będzie	115
A. Lud wróży wojnę	115
B. Koniec, lecz jeszcze nie dzisiaj	116
C. Jutro też jeszcze nie	118
D. Ani pojutrze	119
E. Ale za jakiś czas	122

F. Może nie tak odległy, 2100	123
G. Chyba że lada moment	125
2. Nie jest dobrze	126
A. Zagasnął blask dzienny	126
B. Ostatnia godzina wybiła	128
C. Tyle prawie jak w Egipcie	129
D. Musiała śrubka wypaść	132
E. Okropne szkody, przerwane komunikacje	133
F. W przeciągu 100 godzin	134
G. Jakieżto przygody	135
H. Nic stałego nie ma	136
3. W dawnych czasach też nie lepiej	137
A. Równe katastrofy ucierpiała	137
B. Wśród codziennych zatrudnień swoich	138
C. Zwłoki miasta	139
D. Przez wodę albo inną katastrofę	141
E. Najpewniej zniszczone przez katastrofę	142
F. Potrzeba mocnego zdrowia, żeby wytrzymać	143
G. Okropne wstrząśnienia i zatopy	146
H. Nie zostawiwszy dróg swojego rycia	147
I. Bezdenny rozlał się ocean	148
11. Idzie na dno	151
1. Pomp złowieszcze jęki	153
2. Osiem tysięcy	154
3. Dziesięć milionów pięćset sześćdziesiąt tysięcy	155
4. Okręty ginące na szerokim morzu	156
5. „Meduza”	157
A. Wysuszyć rozkrwawione sztuki członków	157
B. Trzydziestu było w tak ciasnej przestrzeni	164
C. Księżyc zerka po mieszczańsku	168
6. „Arctic”	170
A. Ja także utonąłem	170
B. Uderzenie garnka glinianego o żelazny	172
7. „Austria”	179
A. 16 mil od Nowego Jorku	179
B. Suknie już się paliły	180

C. W sześć miesięcy wisieć musi	184
D. Cały z żelaza	185
E. Z zimną krwią	187
8. Pomimo nieprzyjemnego odoru	188
9. Zapasów mieliśmy nie więcej niż na trzy dni	189
10. Ile razy Europejczycy	191
11. Własną rękę	192
12. Wszystkie piękne i dorodne	193
13. Jeden z przechodniów poznał ciało ludzkie	195
14. Walka różniła się tylko długością	197
15. Morze wyrzuciło	199
16. Policya obliczyła	200
17. Niepodobni do ludzi	201
18. Katastrofa była nieuchronną	202
19. Sir John Franklin nie przebył nigdy kanału	203
20. Tu widać można było moc straszliwą morza	204
21. Polecajcie się Bogu, rozbiliśmy się	209
22. I am distressfully	219
23. Jako balon, który uwiązanie swe opuścił	221
24. Narzędzia ocalające	226
A. Zabezpieczyć ciężkiego mężczyznę	226
B. Zamiast czynienia, zwłoki tylko	228
C. W górę rękaw i do pomp	230
III. Topi i zalewa	231
1. Rzeka wezbrała do niesłychanej wysokości. Warszawa 1813	233
2. Pojedyncze drzewa na brzegach znajdowano. Kraków 1813	237
3. Ławy kościelne też pływały. Kraków 1813	241
4. Wspaniały i przerażający widok	243
5. Bryła przy bryle szła ściśle. Toruń 1853	244
6. W całym pędzie pomijały nas zające	245
7. Wał, ubity z samego ptactwa, z samych wron i kawek	247
8. Kra nas zmiele na zatorze	253

9. Wyłom	255
10. Gdy powódź w ziemi, niech będzie i w duszy	257
11. Co dzień znajdują trupów	260
12. Wieś teraz piękna	261
13. Po ulicy Rybaki pływały czółna	262
14. Pół stopy wysokości	263
15. Pociągi już nie przychodzą	264
iv. Pali się	265
1. Kraków 1850	267
A. Oczyma dziecka	267
B. Oczyma jeszcze mniejszego dziecka	272
C. Oczyma pamiętnikarza profesora	277
D. Oczyma pamiętnikarza – dzierżawcy podkrakowskiego majątku	280
E. Oczyma duchownego, kronikarza i historyka	287
F. Oczyma księdza w Paryżu	293
G. Oczyma księdza w Krakowie	301
H. Oczyma prasy	303
I. Oczyma upamiętniających	313
2. Potęga nieprzystępna siłom ludzkim. Pożar w Hamburgu 1842	314
3. Z przerażenia padają na progach. Dopisek o stolicy chilijskiej	317
4. Pożary w Polsce i Rosji w pamiętnikach, dziennikach i zapiskach historycznych	319
A. Rozpaczy został padołem. Pożary podczas wojen napoleońskich	319
B. Istne potoki ognia. Pożar na zesłaniu (i inne nieszczęścia)	322
C. Naród nasz odstąpił od budy. Pożar w cyrku petersburskim	326
D. Już cedr jak murzyn, jak kruk, jak żałoba wdowia czarny. Pożar kościoła na Litwie	328
E. Zbiory były już w stodołach. Na wsi galicyjskiej	332
F. Dawnym zwyczajem masła na ogień dodał. Na wsi galicyjskiej, z happy endem	335

5. Wzmianki prasowe o pożarach zagranicą (przykłady)	337
A. Beczki spirytusu	337
B. Fabryka oleju z kości	338
C. Spichrze towarami napelnione	339
D. Pałac kryształowy	340
E. Wszystkie główne ulice stanęły w płomieniach	341
F. Ratujmy zwłoki marszałka	342
6. Wzmianki prasowe o pożarach w kraju (przykłady)	346
A. Zabudowania obywatela Librowskiego	346
B. Gdzie są nasze dzieci?	347
C. Wiele wódki łało się rynsztokami	348
D. Wióry w kominie	349
E. Najkosztowniejszy zakład tego rodzaju	350
F. Ogień z kuczki	351
G. Z niedoświadczoną dotąd gwałtownością	352
H. Widziano niby iskry syjące się z nieba	353
7. Ochrona przed pożarem	354
A. Machina zwana Ekwatorem	354
B. Sól i słonina	355
C. Matka zaprowadziła porządek	356
D. Kopać co żywo dookoła	358
E. Tak zwane schody bezpieczeństwa	360
F. Witriol w wodzie rozpuszczony	361
G. Szlachetna, pełna poświęcenia instytucja	364
8. We śnie	374
9. Ponury parasol krwawego dymu. W powieści brukowej	375
v. Trzęsie się i wybucha	377
1. Jadą!	379
2. W jednej chwili wiedział cały Kraków	381
3. Babka nie pamiętała	383
4. Niebo było kryte ognistymi łunami	384
5. Cienka skorupka na płynnym podłożu	385
6. Miasto przeznaczone na klęski i zniszczenia	392
7. Smutne następstwa podziemnych ryków	396
8. Huk podobny do turkotu wozu	399
9. Kobiety wszędzie leżą w mdłościach i konwulsjach	400

10. Pośród gruzów tego nieszczęśliwego miasta	401
11. Wtem nad głową moją usłyszałem	402
12. Część miasta runęła z łoskotem	403
VI. Zaraża się	407
1. Pani Moru	409
2. Ojciec zadżumionych	412
3. Tyfus dobijał, co broń oszczędziła	415
4. Cholera w Europie. Pierwsza fala 1830–1835	416
A. Od roku zbliża się ku nam	416
B. Moskale przynieśli	418
C. Lepiej złemu dać uciec	419
D. Przedtem inne jej dawali nazwiska	421
E. Nagle objawiła się wstrzemięźliwość w życiu	423
F. Lekarze zamknęli się na rygle	427
G. Żadnym sposobem nie mogliśmy uwierzyć	429
H. Jak umierają bankierzy	431
I. Bestia łaknąca ofiary	435
J. Bale publiczne cieszyły się powodzeniem	436
K. Sprzątnąć w dwa miesiące	438
5. Druga i trzecia fala cholery, 1848–1860	439
A. Poeci piszą wiersze	439
B. Każdy siedział w kącie	441
C. Zbliża się	443
D. Podwójną klęską pomoru dotknięci	444
6. O skutecznym rad sposobie	446
A. Linie kordonowe	446
B. Kobierzec smołą wysmarowany	448
C. Rząd przedsięwzięje środki	449
D. Wody wyrzec się na długo	450
E. W silnych postanowieniach hartuje się serce	451
F. Pierścień żelazny	458
VII. Wykoleja się i wywraca	459
1. Pojazdem i końmi	461
A. Trzydzieści razy	461

B. Wielki strach było jechać	462
C. Nade mną, tuż, tuż	464
D. Widziałem spokojnie ostatnią godzinę	465
E. Ujrzałem się nad przepaścią	466
F. Miałem przed oczyma mapę cierpienia	467
G. Jak przez czary	470
H. Żwawo na koniu	471
I. Nieboszczyk wsiadł na dąb	472
2. Pociągami. Katastrofa wersalska 1842	473
A. Kocioł jednej lokomotywy	473
B. Szczegóły nieszczęścia	477
C. Nigdy więcej nie pojedę	482
D. Zegarki, pierścionki, deszczochrony	483
E. Gdyby Rząd te drogi administrował	484
F. Treść nowej komedji	485
3. Inne katastrofy kolejowe	488
A. Powóz uwolniony od hamującej ręki	488
B. Iskra z lokomotywy	489
C. Księżna wysiadła w hotelu	491
D. Wagony w bagnie	493
E. Kilka kontuzyj i zatrzymania na drodze	494
F. Między tenderem i pierwszym powozem	495
4. Gorliwość, staranność i przytomność	496
5. Liczba przypadków nadzwyczajnie małoznaczna	497
6. Pozostaje tylko 111 śmiertelnie rażonych	501
viii. Wali się	503
1. Wieża we Lwowie	505
A. Zgon wieży	505
B. I nas to nie minie	507
C. Czytaj, wieża upadła	508
D. Piszczalka w ręku silnie ujęta	511
E. Oryginalny protokół	513
F. A gdzie jest wieża?	516
G. Och, Ty wieżo!	517
2. Komin w poprzek rzeki	519

3. Pęknięcie jednej liny	522
4. Jakim sposobem w jednej chwili	523
5. Zabita na śmierć	524
6. Mocne pogruchoitanie kości	525
7. Balustrada nie mogła wytrzymać	526
8. Nie chcąc żyć w niepewnym bycie	529
IX. Eksploduje	533
1. Wybuch prochu w Krakowie 1863	535
A. Straszny huk i kłęby dymu	535
B. Policja do obywateli	537
2. Zapalenie się gazu zrzędziło nieszczęście	539
3. Jeden z najokropniejszych wybuchów	540
4. Kupa gruzów	541
5. Płacz ludzi, wycie zwierząt	542
6. Rozerwana szyja armaty	543
X. Rzuca się na pomoc	545
1. Wielkość Rzymian	547
2. Spasanie Czełowiczeństwa	548
3. Sam także utonął	549
4. Pan ognia	550
5. Imię potomności podane	552
6. Ani ognia, ani niebezpieczeństwa	553
7. Ten wspaniały nieznajomy	554
8. Niewzruszenie na miejscu (katastrofa „Arctic”)	555
XI. Wspiera się	557
1. Mieszkańcy Warszawy	559
2. Poeci	560
A. Literatura w dobroczynnym dziele	560
B. Gołąb pożaru	561
3. Monsieur brat Królewski	562
4. Jaśnie Pan Bernard Romberg	563
5. Znakomici artyści	564

6. Wierni i ukochani wszystkich stanów	565
7. Jakub gospodarz	566
8. Arcyksiążę palatyn	567
9. Cesarz	569
10. Król, królowa, Madame Adelaide...	570
11. JJ. CC. ww za zezwoleniem N. Cesarzowej	571
12. Zdziwiający lud San Francisco	572
13. Po pożarze hamburskim	573
A. Księżę i stowarzyszenia	573
B. Deputowani i współobywatele Francji	574
C. Bracia Rothschild, Hering i ludzkość angielska	575
D. Wszystkie narody	577
E. Wszystkie narody II	578
14. Bóg Wielki i ludzka dobroczynność	580
XII. Śmieje się	583
1. Wolno posłać	585
2. Trzy butelki	588
3. Śledzie	589
4. Białe mrówki	590
5. Połyskujące czernidło	591
6. Osobliwy proces	592
7. Ja już trupek	593
8. Głowa niżej niż nóżki	594
9. Rozbicie się okrętu. Tragikomedie w trzech przemianach	595
10. O jedną grotę za daleko	597
XIII. Żyje się	599
1. Suchy pył, czarny kurz	601
2. Były jeszcze inne wypadki	602
SPIS ILUSTRACJI	603
ILUSTRACJE	611



Słowo wstępne



I.



1. Argument

Po raz pierwszy przemknęła mi myśl o tytułowej tematyce, gdy 12 września 2001 roku, w dzień po zamachu na World Trade Center, ujrzałem na Krakowskim Przedmieściu orszak manifestacyjny prowadzony przez prominentnego polityka; uczestnicy nieśli tabliczki z napisem: „Oto kara za świat bez Boga” i śpiewali religijne pieśni. Zastanawiało mnie, do jakiej tradycji przypisać to wydarzenie i słowa na transparentach: do polskiej romantycznej, w której Bóg gotów jest w odwecie za ludzkie zło i brak wiary wysadzić planetę niczym Julian Ordon redutę i w której Chrystus ratuje *in extremis* cywilizację europejską, rażąc spojrzeniem jej destruktorów, takich jak Pankracy i jego wspólnicy, bohaterowie dramatu Krasieńskiego? Czy też bezpośrednio do odwiecznego imaginarijnego karzącego opatrznici, z którego do dziś jeszcze wyrastają jak świat długi i szeroki idee w taki czy inny sposób providencjalistyczne, dopuszczające możliwość interwencji boskiej zsyłającej katastrofę na ludzkość za niepomyślny i przez nią zawiniony obrót spraw ziemskich? Po wielkim pożarze krakowskim w roku 1850, niemal wiek po trzęsieniu ziemi w Lizbonie, ksiądz Jełowicki zaczynał swoje kazanie od słów, które wciąż tłumaczą ów pochod na Krakowskim Przedmieściu: „Od stu lat blisko Pan i Bóg nasz woła nas do płaczu, bez którego zbawić nas nie może. Klęska po klęsce jak grom po gromie na nas uderza; a my jakoby ze skały, ani się pochylim, ani się zapalim ku Panu (...) Ale Bóg miłosierny, chcąc koniecznie wybawienia naszego, wszelkim sposobem do płaczu nas budzi, karaniem swem doczesnem od karania wiecznego chcąc nas ubezpieczyć”¹. Idea Boga jeśli nie zagniewanego, to przynajmniej sprawiedliwego powraca w zapisach klęsk tak w literaturze

¹ Ksiądz Aleksander Jełowicki, *Kazanie z powodu pożaru Krakowa w dniu 18 lipca 1850, miane na nabożeństwie żałobnym i pokutnem w Kościele Matki Boskiej Wniebowziętej dnia 9 sierpnia tegoż roku*, Paryż 1851, s. 4-5.

pamiętnikarskiej, jak i w polskiej prasie przez całe XIX stulecie; myśl o zasłużonej karze w postaci katastrof zdaje się trwała, nawet jeśli nie eksplicytnie wyrażana i skryta za technicznymi szczegółami i racjonalnymi wyjaśnieniami zdarzeń, do których nieszczęśliwie doszło.

Trwałość tego rodzaju przeświadczeń dzisiaj może zadziwiać, tym bardziej że ich gwałtowne przewartościowywanie rozpoczęło się już po lizbońskim trzęsieniu ziemi w roku 1755. Czas ich całkowitemu nie wygasił, gdyż należą do imaginarium mitycznego, które przeobraża się wolniej, niż bieżąca rzeczywistość. A że od lizbońskiej tragedii pojęcie katastrofy jako istotnego przedmiotu refleksji tak filozoficznej, jak historycznej, ale też wprost jako podstawowego faktu rzeczywistości zdaje się narastać i coraz bardziej narzucać, również magiczne myślenie o katastrofie nadal znajduje swoje miejsce w ogromie rozważań katastrofologicznych, co wskazuje, że dyskurs o katastrofach, który tak mocno się rozwija i przeobraża, ma również swoje miejsca stałe, niezmiennie.

„Temat katastrofy dotyka wszystkich obszarów historii: politycznych, społecznych, gospodarczych, kulturowych – pisze historyk katastrof Philippe Joutard. – Przez zachowania ludności przed, w trakcie i po katastrofach, postawę władz, wspomnienia zachowane w przekazie słownym i w źródłach pisanych objawia wyjątkowo dobrze funkcjonowanie społeczeństwa: pozwala odsłonić inną postać wydarzeń, których skutki mogą okazać się znacznie silniejsze niż skutki wydarzeń czysto politycznych”². Od trzech co najmniej dekad obserwujemy wzmożone zainteresowanie dyskursem katastrofologicznym (rozpowszechnił się już termin Disaster Studies), tak kulturową historią katastrof, jak i teorią katastrof we wszelkich naukach, również matematycznych – w których furorę zrobiła na przykład rozszerzona na inne dziedziny teoria katastrof

² Philippe Joutard, *Introduction. Un chantier prometteur*, w: *Histoire et mémoire des risques naturels*, sous la direction de René Favier et Anne-Marie Granet-Abisset, Grenoble 2000, s. 12.

René Thoma³. A także w badaniach geologicznych; w tych ostatnich ożywiona jest ona do tego stopnia, że – jak uważają niektórzy geolodzy – „katastroficzna wizja historii Ziemi wraca na światło dzienne”, wypierając powoli lub próbując przynajmniej podważyć albo zniuansować dominującą dotąd, w różnych przetworzeniach, teorię tzw. aktualizmu, opartą na pojęciu ciągłości⁴.

Wspomniani przed chwilą zamach na World Trade Center w roku 2001, huragan Katrina, tsunami połączone ze zniszczeniem elektrowni jądrowej w Fukushima w roku 2010, w kilka lat po niewyobrażalnie niszczycielskim tsunami w Indonezji (2004), to jedne z najważniejszych wydarzeń – i pod względem ogromu zniszczeń, i w wymiarze społeczno-politycznym – obecnego stulecia, które dodatkowo wzmogły zainteresowanie światową historią katastrof oraz refleksję nad ich miejscem w przyszłości. Niewątpliwie wzrost nastrojów pesymistycznych, niekiedy wręcz kasandrycznych, wynika z poczucia kryzysu, oczywiście kolejnego w dziejach, lecz tym razem – jak można sądzić – wyjątkowo trwałego, wręcz z roku na rok wyraźnie się pogłębiającego. Długo można by wymieniać przyczyny takiego stanu rzeczy; obok przed chwilą wspomnianych – przekonanie o nieodwracalnych, potencjalnie katastrofalnych zmianach klimatycznych grożących powszechną zagładą, trwająca od ponad dekady bessa gospodarcza i finansowa, która jeśli nawet ustępuje na pewien czas, pozostawiła mocne poczucie niepewności; stopniowa dezintegracja idei europejskich, ogromne ruchy migracyjne, wojna na Ukrainie i wojna syryjska, działalność tzw. państwa islamskiego, nowy izolacjonizm Ameryki oraz wciąż przybierająca na sile fala terroru – a to dopiero część wyliczenia, które podczas druku tej książki będzie zapewne uzupełniane przez kolejne, i te spodziewane, i te nieprzewidziane, a prawdopodobnie

³ Por. René Thom, *Kryzys i katastrofa*, przeł. Stanisław Zakrzewski, w: *O kryzysie. Rozmowy w Castel Gandolfo*, przygotowanie, wstęp Krzysztof Michalski, Warszawa 1990.

⁴ Eric Buffetaut, *La fin des dinosaures. Comment les grandes extinctions ont façonné le monde vivant*, Paris 2003, s. 202.

niefortunne zdarzenia i konflikty zbrojne; nie ma żadnych podstaw, by sądzić, że się nie zdarzą⁵.

Stąd, by wrócić na teren historii, wspomniane przed chwilą rosnące zainteresowanie dawnymi czasami oglądanymi z punktu widzenia przekazu o katastrofie. Patrzymy zatem na katastrofę z dzisiejszego, wyjątkowego w dziejach, jak nam się wydaje, punktu widzenia: wzrasta uwrażliwienie na możliwą apokalipsę – doznanie, którego jeszcze trzydzieści lat temu na taką skalę prawdopodobnie się nie odczuwało, choć ogólnie można stwierdzić, że wyobrażenia apokaliptyczne należą do sedna europejskiego imaginarium, a przekonanie o bliskim kresie świata, przynajmniej w jego dotychczasowej postaci, powraca w nim regularnie co jakiś czas (w okresie wczesnego romantyzmu było bardzo silne). Jego detonatorem są nie tylko zagrożenia polityczno-militarne i społeczne, wiążące się z fantazmatami wojennymi i rewolucyjnymi, lecz także, a może przede wszystkim, zagrożenia związane ze środowiskiem naturalnym, niszczone przez technologię, przez hipertrofię – jak pisał o tym w pionierskich pracach Hans Jonas – społeczeństwa technologicznego. „Kryzysy i obwieszczane katastrofy – prognozował Piotr Kowalski w słowie wstępnym do zbiorowej publikacji z roku 2012 o «plagach, powodziach i innych katastrofach» – następowały w historii kultury co pewien czas, od dwustu lat zdarzają się częściej niż kiedyś. Wszystko dzieje się szybciej, więc dlaczego rytm katastrof nie miałyby ulec takiemu przyspieszeniu?»⁶.

5 W paryskiej popularnej gazecie codziennej „Libération” 26 września 2016 roku swój manifest opublikował nieznanymi wcześniej Collectif Catastrophe, grupa piętnastu młodych intelektualistów. Zaczyna się on od słów: „Dorastaliśmy w sytuacji impasu. W otoczeniu pełnym lęku zdań, które niczym narkotyki gromadziły się w naszych formujących się dopiero umysłach. Uczyliśmy się jako dzieci świata i jednocześnie nadchodzącego końca świata: nie było dnia, byśmy nie słyszeli w radio wieści o tym ponurym rodzeństwie, o Długu i o Kryzysie, których cienie zalegały w naszych głowach”. I dalej: „Ponieważ wszystko się skończyło, wszystko jest możliwe”. Zob. http://www.liberation.fr/debats/2016/09/22/puisque-tout-est-fini-alors-tout-est-permis_1506625.

6 Piotr Kowalski, *Nasza niezróżnicowana katastrofa*, w: *Powodzie, plagi, życie i inne katastrofy*, pod red. Katarzyny Konarskiej i Piotra Kowalskiego, Wrocław 2012, s. 7–29.

Do tego wzmożonego zainteresowania problematyką katastrof należy dodać bardzo rozbudowaną w ostatnim półwieczu refleksję historyczno-socjologiczną nad pojęciem ryzyka i „społeczeństwa ryzyka”⁷, jak to się zwykle od niedawna mówi: społeczeństwa, które konstytuuje się wokół idei zarządzania niebezpieczeństwem. Ulrich Beck w głośnej, napisanej po czernobylskiej katastrofie książce, zatytułowanej tym właśnie określeniem, definiował wręcz społeczeństwo ponowoczesne jako takie, które ma świadomość istnienia w cieniu nadchodzącej katastrofy prowokowanej przez jego własną inwencję technologiczną⁸. Dodajmy jeszcze, że mnożą się refleksje nad nowym katastrofizmem, nie tylko w wersji – nazwijmy to – „tradycyjnej”, operującej mniej lub bardziej apokaliptycznymi wizjami i przewidywaniami, lecz także w postaciach optymistyczno-twórczych – można dosłuchać się w nich ech optymizmu późnoromantycznego oraz russowskiej myśli prospołecznej, których zasięg i ambicje najlepiej określa tytuł książki czołowego dziś filozofa katastrof (jeśli można użyć takiego sformułowania), Jean-Pierre’a Dupuy: *Pour un catastrophisme éclairé* („Głos za katastrofizmem oświeconym”). Ten nowy manifest katastrofologiczny – uznający za Beckiem, że naszą terażniejszość określa nadchodząca katastrofa – wskazuje na konieczność odmiennego niż zwyczajowe spojrzenia na katastrofę nie jako na możliwość, która może się zdarzyć, lecz jako na zjawisko nieuchronne i dokonane. „Najgorsze nie ma nadejść, lecz już nadeszło; to, co uważamy za niemożliwe, stało się pewnikiem. Wobec takiej sytuacji teoria ryzyka już nie wystarcza – pisze Dupuy. – Musimy nauczyć się z katastrofą mierzyć i nie wyobrażać jej sobie w niejasnej przyszłości, lecz myśleć o niej teraz”⁹. Bardzo interesującą próbę rozprawy o katastrofie

⁷ Szerzej o tym na przykład w: François Walter, *Catastrophes. Une histoire culturelle XVI-XXI siècle*, Paris 2008.

⁸ Ulrich Beck, *Społeczeństwo ryzyka. W drodze do innej nowoczesności*, Warszawa 2002 (wyd. niem. 1986).

⁹ Jean-Pierre Dupuy, *Pour un catastrophisme éclairé*, Paris 2002, s. 7; por. także: tenże, *Petite métaphysique du tsunami*, Paris 2005.

w kategoriach twórczych przynosi praca doktorska Konrada Wojnowskiego „Przepędzić Tereźjasza – kultura i produktywne katastrofy”. „Do dziś nie powstała jednak łańska książka teoretyczna poświęcona produktywnej roli katastrof w kontekście kultury i niniejsza praca ma na celu zmianę tego stanu rzeczy [...] – deklaruje autor we wprowadzeniu. – Moja rozprawa stanowi próbę udowodnienia, że katastrofa może stać się narzędziem kulturotwórczej zmiany; narzędziem nieco osobliwym, gdyż nie można nad nim sprawować kontroli”¹⁰. Wojnowski rozważa współczesne fenomeny związane z pojęciem katastrofy (w tym na przykład rolę katastrof w grach komputerowych), ale krucha jeszcze myśl o konstruktywnej roli katastrofy zrodziła się już w połowie osiemnastego wieku, po tragedii lizbońskiej.

¹⁰ Konrad Wojnowski, „Przepędzić Tereźjasza. Kultura i produktywne katastrofy”, mps, Kraków 2015. Książka na podstawie doktoratu nosi tytuł *Pożyteczne katastrofy*, Kraków 2016.

2. Słowo „katastrofa”

Zacznijmy wszak od samego słowa. Jak pisze Michael O'Déa, „Historia i semantyka słowa *catastrophe* przywodzą na myśl powieść kryminalną: czytelnik odnosi częstokroć wrażenie, że dysponuje wszystkimi koniecznymi wskazówkami, a jednak odczytując je w kółko, nie może odnaleźć tajemnego porządku, który wszystko by wyjaśnił”¹. Opinia zrozpaczonego cokolwiek badacza znajduje uzasadnienie nie tylko w dziejach francuszczyzny; równie dobrze można tak skomentować polskie losy tego słowa. Owszem, dają się zauważyć pewne prawidłowości, charakterystyczne również dla użycia słowa w języku francuskim, za którego pośrednictwem trafiło ono w nowym rozumieniu do innych języków europejskich, przede wszystkim stopniowe odchodzenie od jego ograniczonego znaczenia, związanego wcześniej wyłącznie z poetyką greckiej tragedii. Uderza, że słowo „katastrofa” potrzebowało bardzo wiele czasu, by zaczęto go używać w jego dzisiejszym, szerokim, a nie w wąskim pojęciu; a nawet, jak za chwilę zobaczymy, w pojęciu jeszcze szerszym niż dzisiejsze.

Grand Dictionnaire Larousse'a, ważny punkt odniesienia dla dziewiętnastowiecznej francuszczyzny, odnotowuje, podobnie jak również fundamentalny słownik Littrégo, owo pozaliterackie, czyli szersze znaczenie dopiero w drugiej połowie XIX wieku, stwierdzając, że odniesienie do greckiej tragedii właściwie przestało funkcjonować, gdyż słowo *catastrophe* powszechnie rozumiane jest już inaczej, jako *malheur décisif* – ‘fatalne wydarzenie o nieszczęsnych skutkach’. Mamy rok 1867, co znaczy, że – biorąc pod uwagę wolną pracę młynów słownikowych – to nowe powszechne użycie ma już za sobą dobrych kilkanaście, a raczej kilkadziesiąt lat;

¹ Michael O'Déa, *Le mot catastrophe*, w: *L'invention de la catastrophe au XVIII^e siècle. Du châtement divin au désastre culturel*, études publiées sous la direction de Anne-Marie-Faivre et Chantal Thomas, postface de Jean-Pierre Dupuy, Genève 2008, s. 35.

aby jakieś pojęcie dostało się do słownika, musiało wówczas być mniej lub bardziej masowo znane przez długi, dłuższy niż w praktyce dzisiejszych słowników, okres. Powolne przerzucanie pojęcia na wydarzenia realne, jak pożary, trzęsienia ziemi czy zatonięcia statków, trwało względnie długo, dłużej niż przyswajanie innych neologizmów osiemnastowiecznych jak *revolution* czy *boulevardement*, powiązanych wcześniej, zanim weszły na trwałe w skład najistotniejszego słownictwa politycznego, z astrologią i geologią.

Wróćmy do samego początku. Grecki źródłosłów *kata*, określający kierunek w dół, naprzeciw, pod, i *strophe* – przynoszący ideę obrotu, wskazuje na ruch sprowadzający nas gdzieś nisko, strącający z poziomu, na którym tkwimy. Pojęcie „katastrofa”, używane już w wieku szesnastym, na przykład przez Rabelais’go, przyjęło się w siedemnastowiecznej poetyce tragedii; oznaczało jej ostatnie, koronujące w sposób logiczny, konieczny, choć niekoniecznie przewidywalny lub domyślny, zdarzenie, w wyniku którego rozstrzygał się – na ogół nieszczęśliwie – los bohatera².

Związek słowa z praktyką literacką pozostaje przez samą częstotliwość „strofa” ewidentny, choć od bardzo dawna nie jest już z terminem literackim kojarzony. We francuszczyźnie możliwość innego niż literackie użycia pojawia się pod koniec XVII wieku; przez metaforę zaczyna się mówić o nieszczęśliwym końcu; „jego życie skończyło się dziwną katastrofą”, odnotowuje wiodący dykjonarz Furetière’a z tamtego okresu, co oznacza: przydarzyły mu się

² Allesandra Lukinovich pisze na temat omawianego słowa: „Czy katastrofa jest konkluzją tragicznego działania, zwykłym zdarzeniem zdolnym rozwiązać niejasną sytuację sceniczną (...) czy odsyła raczej do etycznej i religijnej stawki tragicznego spektaklu, do chwili, w której dokonuje się nieodwracalny przewrót, z którego wynurzą się prawda i siła narzucające się z nieuniknioną oczywistością? W każdym razie najbardziej ogólny sens greckich *katastrephô* i *katastrophê* mówi o zniszczeniu, dojściu do kresu i konkluzji. Czasownik i rzeczownik odsyłają do punktu zerwania, do punktu zwrotnego, choć nie należy koniecznie rozpatrywać tego zerwania i tego zwrotu w związku z tym, co ma powstać i co ma wynikać”, cyt. za: Serge Margel, *Le Grand Déluge*, w: *Scénario catastrophe*, sous la direction de Christian Delécras et Laurie Durussel, Genève 2007, s. 79.

jakieś szczególne wypadki. Furetière dopowiada, że to skojarzenie wiąże się bezpośrednio z dramatem scenicznym, gdyż sztuka dramatyczna (autor żyje w złotym wieku francuskiej tragedii) w takie wypadki obfituje. W bliższym naszymu dzisiejszemu pojęciu ma swą premierę w *Listach perskich* Monteskiusza. Termin teatralny wciąż przeważa, warto jednak zauważyć, że posługują się nim gazety relacjonujące trzęsienie ziemi w Lizbonie w roku 1755, używa go Wolter, także w *Kandydzie*, gdy mowa o nagłym, bulwersującym zdarzeniu politycznym, czyli w tym przypadku morderstwie władcy. Słowo, które powoli zaczyna być wówczas stosowane do rzeczywistości politycznej, nosi wciąż ślady swego pierwotnego uzusu: chodzi o fakt, w wyniku którego coś może się na koniec, często gwałtownie – podobnie jak w tragedii greckiej czy siedemnastowiecznej – zmienić, na ogół (choć nie bezwarunkowo) na gorsze. Wydaje się w każdym razie, że niemal od początku XIX wieku dzisiejsze, rozszerzone użycie tego słowa jest powszechnie we Francji akceptowane już na poziomie tytułów publikacji, skoro znalazłem je choćby w tytule opracowania z roku 1815 o powrocie Napoleona i ucieczce Ludwika XVIII, czy w tytule książki o epidemiach (*catastrophe épidémiologique*) wydanej w Paryżu w roku 1824. Pojawia się też na przykład w książce o podróży do Rosji, gdy mowa o odwilży w 1829 roku i tragicznych roztopach, które po niej nastąpiły; w okresie tym w prasie francuskiej można znaleźć bardzo wiele podobnych zastosowań.

Warto zauważyć przy okazji, że etymologia pojęcia „katastrofa”, jakiego używamy od tamtych czasów, idzie wbrew dominującej prawidłowości leksykalnej: literackie pojęcia biorą się zazwyczaj z praktycznego życia, z doświadczenia codzienności, np. wers oznaczał w pierw skibę ornej ziemi. Natomiast w tym przypadku kierunek się odwrócił, pojęcie „katastrofy” wydoszło się z leksykonu poetyki i rozszerzyło swe znaczenie na rzeczywistość, by tak rzec, powszechnego użytku, zacierając przy tym swe literackie pochodzenie³.

³ Wykorzystuję uwagę, którą podzielił się ze mną Aleksander Nawarecki.

Tak działo się w języku francuskim i tak, a w każdym razie podobnie, jeśli nawet nie intensywniej, słowo szukało swego nowego miejsca w polszczyźnie. Oczywiście i w naszym polskim przypadku zastanawia, że jego użycie w mowie i piśmie potrzebowało aż tyle czasu, by wkroczyć do słowników. Czy raczej to, że oba znaczenia, jedno ściśle związane z poetyką oraz to drugie, luźniejsze, wyzwolone od poetyki i często metaforyczne, przeplatały się, łączyły i rozdzielały dłużej niż we francuszczyźnie, bo aż do początków XX wieku. Zauważmy przy tym, że chociaż słowu „katastrofa” odchodzenie od jego pierwotnego znaczenia zajęło ponad półtora wieku, to jego wędrówka trwa do dzisiaj; referencje słowa wciąż się w wyniku kolejnych niezwykłych zdarzeń – jak wspomniany zamach na World Trade Center – przemieszczają.

W polszczyźnie wędrówka ta nabrała przyspieszenia już około lat 20. XIX wieku. Słowa używano coraz częściej na oznaczenie ni-kłego dość zdarzenia, które poszło nie po czyjeś myśli. Dzisiejsze żartobliwe czy przesadne określanie mianem katastrofy najmniejszego drobiazgu: Katastrofa! – wołamy, gdy spóźnimy się na pociąg czy upuścimy stertę talerzy, ma swoje źródła już w tamtej dawnej polszczyźnie, zwłaszcza tej, jeśli wolno uczynić takie rozróżnienie, krajowej. U Mickiewicza słowo „katastrofa” pojawia się ledwie dwa razy. *Słownik Wileński* Orgelbranda z roku 1861 podaje dość enigmatyczną, a w każdym razie zwięzłą definicję: katastrofa – „wypadek nadzwyczajny (z grec.)”. *Słownik Warszawski* z roku 1902 na pierwszym miejscu wciąż odnotowuje jego pierwsze, retoryczne znaczenie („w dramacie – rozwiązanie węzła intrygi, przełom”), a dopiero w kolejnym podaje definicję bliską dzisiejszej („wypadek nadzwyczajny, straszny, niespodziany lub przewidywany, mający wpływ na losy człowieka, narodu albo ludzkości”). *Słownik francusko-polski* Wojciecha Kazimirskiego wydany w roku 1849 pod hasłem *catastrophe* notuje odważniej: „katastrofa, tragiczny koniec – klęska, nieszczęście”. Jeszcze odważniejsza jest prasa krajowa wraz z drukowaną w niej drugorzędną i trzeciorzędną literaturą, która najszybciej wprowadza nowe znaczenia; wyraźnie potrzebuje ona

udramatyzowania przekazywanych informacji. Zabawnie sparodiował to piętnastoletni Fryderyk Chopin w imitacjach gazet, pisanych dla rodzinnej uciechy, kiedy to poważnym wypadkiem staje się na przykład utopienie się drobiu w stawie.

Z drugiej strony widać, że niektóre ówczesne zastosowania słowa dzisiaj są rzadsze lub wypadły z użycia, mimo że sami mamy nadal skłonność do bez troskiego posługiwania się nim. Na przykład w prasie dziewiętnastowiecznej szafowano pojęciem „katastrofy” w odniesieniu do spraw kryminalnych, gdy dochodziło do jakiegoś aktu przemocy czy wypadku związanego z przestępstwem, otrucia męża⁴ choćby czy wyrzucenia kochanki w afekcie przez balustradę mostu i skoku samobójczego samego mordercy⁵. Katastrofą nazywa się też postradanie przez kogoś zmysłów⁶, próbę samobójczą czy utratę głosu przez aktorkę podczas występu scenicznego⁷ albo fakt, że zapomniała się jej suknie szykowane na spektakl⁸. „Rozmaitości” z roku 1829 informują z kolei o operacji raka piersi po dokonaniu hipnozy na pacjentce, która po obudzeniu „dowiedziawszy się, że już minęła tak okropna dla niej katastrofa, niezmiernie z tego była uradowana”⁹.

Słowo, kiedy już uwolniło się z retorycznego pancerza, zaczyna harcować, doklejać się, gdzie można; z czasem coraz więcej indywidualnych przypadków, drobiazgów z życia jest nazywanych katastrofą. Kiedy Edward Odyniec nie może odnaleźć pojazdu z Mickiewiczem, bo na chwilę wyskoczył rozmiąć pieniądze, a przyjaciel ruszył dalej, też krzyczy – ze śmiechem – o „przykrej katastrofie”¹⁰. O katastrofie jako niezamierzonej gafie towarzyskiej – pojawieniu

4 Gazeta Krakowska, 24 marca 1845 roku.

5 Gazeta Warszawska, 29 października 1837 roku.

6 Gazeta Lwowska, 16 stycznia 1845 roku.

7 Rozmaitości, 23 lipca 1836 roku.

8 Świat Dramatyczny, poszyt 7, 1839.

9 Rozmaitości, 5 lipca 1829 roku.

10 Antoni Edward Odyniec, *Listy z podróży*, opracował Marian Toporowski, wstępem poprzedziła Maria Dernałowicz, Warszawa 1961, t. 1, s. 309.

się w sukni czarnej zamiast jasnej – będzie opowiadała Paulina Wilkońska¹¹. Użycie ludyczne pojawia się wszak dość wcześnie. W roku 1818 Karol Surowiecki posługuje się nim w swej humoresce, grożąc braciom filozofom: „wasza zagorzała logikomania mnie alarmuje, wróżąc jakąś fatalną katastrofę, któraby mogła wasze piękne imiona podać na dyskrecyą krytyków, i zaczerpnąć w Historji (...)”¹²; widać, że słowo wyzwała się już z konkretnego odniesienia i że gra się nim na różne literackie sposoby. Katastrofa może okazać się już „komiczna”, co oznacza, że ze słowa obcego staje się pełnoprawnym słowem polskim, z którym wolno coraz dowolniej sobie poczynać. W dziełku Ludwika Szyrmera *Światło i cienie: powieść nieboszczyka Pantofla* słowo występuje parokrotnie, za każdym razem w znaczeniu „lekkim”, na określenie zdarzenia niezbyt przyjemnego, nie po myśli głównych bohaterów, podobnie jak w powieści autorstwa Sylwestra Wężyka Grozy *Hrabia Ścibor na Ostrowcu*, w której „smutną katastrofą” są rodzinne „walki, które zniszczyły wszelkie dostatki i kredyt tak zamożnego domu”¹³. Bardzo charakterystyczna dla tego sposobu wykorzystania słowa będzie scena z utworu Michała Grabowskiego *Stanica hulajpolska*: „Złowionej na tym uczynku ojcowska ręka wymierzyła natychmiast silny policzek, i stary sknera znajdując przecie na kim spędzić złość i nieukontentowanie, któremi był trawiony, biorąc za plecy córunię, wepchnął ją niełagodnie do izby. Bolesnie zmieszała Stanisława ta katastrofa kochanki. Obejrzał się na około, czy też przynajmniej szyderczego wzroku uszła ta jej przygoda”¹⁴.

Można zatem mówić wręcz o skrajnym rozszerzeniu pola semantycznego. Tak jakby słowo, kiedy już tylko się zasymilowało, zaczęło

¹¹ Paulina Wilkońska, *Moje wspomnienia o życiu towarzyskim w Warszawie*, opracowała Zofia Lewinowa, pod redakcją Juliusza W. Gomulickiego, Warszawa 1959, s. 60.

¹² Karol Surowiecki, *Eklektyk. Zimno-krwisty filozof*, b.m.w. 1818, s. 6.

¹³ Sylwester Wężyk Groza, *Hrabia Ścibor na Ostrowcu: powieść z pierwszych lat XIX wieku*, Warszawa 1848, s. 96.

¹⁴ Michał Grabowski, *Stanica hulajpolska*, Warszawa 1900, t. 3, s. 45.

obsługiwać jak najwięcej okoliczności, by nadać im właśnie bardziej dramatyczny charakter. Widać jednak zarazem, i to jest ciekawe, że w prasie literackiej i wysokiego, i niższego lotu utrzymuje się jeszcze mocno jego teatralne rozumienie. Powyższe przykłady ludycznego zastosowania pozostają wciąż, choć jest ono swobodne, w orbicie pierwotnego znaczenia; dzieje się tak, jakby przez słowo „katastrofa” teatr promieniował na życie, czy raczej jak gdyby życie nabierało dzięki niemu większej – dramatycznej, niekiedy tragicznej – wyrazistości. Wydaje się zatem, że pojęcie katastrofy wciąż w dużej mierze przenika przez osmozę z języka kultury w rzeczywistość pozaliteracką, pozwalając ujmować czyjeś realne doświadczenia w kategoriach bardziej widowiskowych.

W recenzjach teatralnych słowo jest wciąż w użyciu; „publiczność ze ściśnionem sercem oczek[uje] okropnej katastrofy”¹⁵; jedne są lepsze, inne gorsze, na przykład „katastrofy u p. Wiktora Hugo bynajmniej nie są rozmaite”, jak stwierdza wytrawny recenzent¹⁶. W polemicznej recenzji ze sztuki teatralnej jeszcze z roku 1854, zamieszczonej w „Dzienniku Literackim”, inny krytyk używa słowa wielokrotnie, w tradycyjnym teatralnym rozumieniu, nie mogąc wybaczyć autorowi wystawianej sztuki aż trzykrotnego posłużenia się „katastrofą” w swym utworze: „Widać, że autor czuł niedostatek sytuacji dramatycznych w ciągu sztuki, kiedy aż trzy ogromne katastrofy zgromadził na sam koniec, katastrofy którymi trzy możnaby odzielić tragedye i jeszcze w każdej byłoby dosyć. Ależ wszelka katastrofa, kiedy od początku sztuki nie snuje się jak nić czarna w złotej tkance życia, choćby najniespodziewańsza, nie robi wrażenia, jak nie robią w *Liście Żelaznym* aż trzy ogromne katastrofy: apoplexya, widmo, piorun”¹⁷. Podobnych przykładów w prasie literackiej pierwszej połowy stulecia znajdziemy dużo – katastrofa „teatralna” jest tu pojęciem wciąż powszechnie używanym i zrozumiałym.

¹⁵ Gazeta Warszawska, 18 sierpnia 1839 roku.

¹⁶ Świat Dramatyczny 1840, t. 4, poszyt 3.

¹⁷ Dziennik Literacki, 25 lutego 1854 roku.

W 1853 roku Kazimierz Bujnicki ostatni rozdział w książce *Nowa wędrówka po małych drogach. Szkice obyczajowe* tytułuje następująco: „Powrót syna marnotrawnego. Katastrofa”¹⁸. Użycie słowa wydaje się dwuznaczne: Zygmunt wraca, by uzyskać błogosłowieństwo na ślub; wiara go już dawno opuściła, a wybranka nie jest dość wysoko urodzona. W trakcie dworskiej zabawy jego matka skacze do rzeki ratować córkę, która przez zagapienie do niej wpadła. Obie przeżyją, lecz matka jakiś czas później na skutek komplikacji powypadkowych umrze. Konając na rękach syna, słyszy od niego wyznanie wiary; w chwili agonii matki dochodzi do nawrócenia syna. Czy katastrofą jest śmierć matki, czy raczej „literacka” nagłość zdarzeń, które przynoszą nieoczekiwanie i śmierć, i zarazem przemianę dzięki nawróceniu się syna? Sądzić można, że to pierwsze, lecz nie jest to całkiem oczywiste; „katastrofa” jest tu już całkiem prywatna, lecz nadal pozostaje w orbicie poetyki teatralnej.

Przykład ten potwierdza, że bardziej niż o przemianie znaczenia, przejściu od sceny teatralnej na miejską ulicę, mówić trzeba o – jak to nazwałem wyżej – jego promieniowaniu. Dlatego oba zastosowania mogą przez dziesięciolecia ze sobą współistnieć; dlatego w doświadczeniu codziennym katastrofą może się okazać „apopleksja, widmo, piorun”, a nie tylko coś bezwzględnie wielkiego, jak klęska żywiołowa czy katastrofa transportowa. Katastrofą może też być określane po prostu wydarzenie na ogół smutne, fatalne, lecz ostatecznie tylko codzienne. „(...) opowiedziały mi smutną katastrofę i co było jej powodem”¹⁹ – wspomina Julian Horoszkiewicz swój powrót do domu po latach nieobecności, gdy siostry informują go o śmierci ojca. To są bardzo prywatne użycia; pojęcie katastrofy zaczyna odrywać się od podmiotu zbiorowego i funkcjonować w polszczyźnie w takim indywidualnym zastosowaniu

¹⁸ Kazimierz Bujnicki, *Nowe wędrówki po małych drogach. Szkice obyczajowe*, Wilno 1953, t. 2.

¹⁹ Juliusz Horoszkiewicz, *Notatki z życia*, opracował, wstępem i przypisami zaopatrzył Henryk Wereszycki, Wrocław-Kraków 1957, s. 202.

mniej więcej pod koniec lat 20. stulecia. Na początku jeszcze w pojedynczych przypadkach, jaskółkach zwiastujących późniejszy jego rozkwit. Jest ono już rozpowszechnione w latach 30., a później całkiem znormalizowane, na przykład Kazimierz Chłędowski opis pożaru, który zniszczył majątek jego ojca w Równem w roku 1865, zaczyna w swoim pamiętniku od zdania: „Tego dnia przed moimi egzaminami zaszła ciężka katastrofa w Równem, która nas pogrążyła w prawie zupełną materialną ruinę”²⁰. Widzimy tu już bardzo typowe prywatne – i bardzo tym razem poważne – doświadczenie słowa.

Jednak koniecznie trzeba stwierdzić, że w pierwszej połowie wieku pojęcie „katastrofa” w ujęciu pozaretorycznym i metaforycznym odsyła przede wszystkim do zdarzeń zbiorowych czy mających wpływ na życie zbiorowości. W miarę możliwości dokładny przegląd prasy pierwszej połowy stulecia wskazuje na idące w tysiące użycie słowa; w zdecydowanej większości wypadków chodzi o jakieś niefortunne zdarzenie polityczne, militarne (choćby przegrana bitwa czy porażki nadchodzące: „wojsko francuskie doczeka się jeszcze wielkich katastrof, zanim dopadnie Renu”²¹) czy tak lub inaczej związane z polityką; funkcjonuje już zbitka „katastrofa polityczna”. „(...) co chwila spodziewano się wybuchu ważnej katastrofy”²² – informuje na przykład „Gazeta Codzienna” z myślą o możliwym buncie ludności podczas zamieszek w Syrii. Używa się w kontekście militarnym takich określeń jak „rozstrzygnąć katastrofę”, „sprowadzić umyślnie katastrofę”, „spodziewać się ważnej katastrofy”, „oczekiwać ważnej katastrofy”, „wystawić się na katastrofę”, „urządzić katastrofę”.

Po raz pierwszy – na ile udało mi się to sprawdzić – słowa w kontekście militarnym użyto w prasie codziennej w roku 1807. „Gazeta Warszawska”, roztrząsając podejście różnych państw do

20 Kazimierz Chłędowski, *Pamiętniki*, Kraków 1957, t. 1, s. 179.

21 Gazeta Lwowska, 12 grudnia 1813 roku.

22 Gazeta Codzienna, 18 sierpnia 1836 roku.

prawa morskiego, krytykuje postawę Anglii. „I czyliż to wtenczas, gdy Anglia miała potrzebę łagodzić umysły, rozdrażnione przez nadużycie obraźliwe swego prawa morskiego, gdy czuła potrzebę utrzymania wszystkich panujących przy niepodległości, zastraszając należało łąd stały przez krwawą katastrofę i usiłować pociągnąć niektóre Państwa do upadku?”²³. Tydzień później ta sama gazeta stwierdza, że działania rządzących doprowadzą Anglię do „nieuchronnej katastrofy”. Katastrofa może jeszcze oznaczać – to wciąż echo znaczenia teatralnego – istotny obrót rzeczy („odmieniające się katastrofy dzisiejszego czasu”²⁴), ale umacnia się wymowa jednoznacznie negatywna – w użyciu jest już zbitka „krwawa katastrofa” oraz „fatalna katastrofa”; katastrofa oznacza teraz bezpośrednio groźne zdarzenia, nieszczęście, klęskę istotną dla jakiejś zbiorowości. Zwłaszcza w odniesieniu do najnowszych dziejów Polski mówi się *expressis verbis* o katastrofie, jaką były rozbiory. Słowo „katastrofa” dotycząca losów Polski i nieudanego powstania listopadowego pojawia się częściej w pamiętnikach, zwłaszcza tych pisanych po roku 1850. I tak na przykład Jan Nepomucen Janowski w swych *Notatkach autobiograficznych 1803–1853* jeden z rozdziałów opowiadających o przeżyciach po upadku powstania listopadowego tytułuje po prostu: „Po katastrofie”. Ale już w roku 1815 „Gazeta Lwowska” używa sformułowania „katastrofa Polski”²⁵.

Natomiast trwałe powiązanie pojęcia katastrofy z klęską naturalną pojawia się, jak się wydaje, później, dopiero w latach 30.; wymienianie używa się wciąż wcześniejszych określeń typu „plaga”, „smutne nieszczęście”, ewentualnie „klęska”. Pierwsze odnalezione przeze mnie wzmianki w tym rodzaju dotyczą epidemii cholery w Grecji w roku 1829 oraz trzęsienia ziemi w Ameryce Południowej z roku 1834. „W Listopadzie zagrażało znowu półwypowi powietrze w Kalamacie powtórnią katastrofą; ale wojownicy francuscy wezwani

²³ Gazeta Warszawska, 24 listopada 1807 roku.

²⁴ Gazeta Lwowska, 2 kwietnia 1813 roku.

²⁵ Gazeta Lwowska, 7 września 1815 roku.

przez swego sławnego wodza, opuścili kwatery i ponoszą pod dowództwem Jenerała Higonet niewygodny i niebezpieczeństwa, rozciągnęli kordon zdrowia, dostarczyli mnóstwu nieszczęśliwych żywności i odzież, i w przeciągu kilku dni wytępili zaród okropnej zarazy”²⁶. W tym samym mniej więcej czasie katastrofą zaczynają być nazywane pożary i wypadki (częściej mówiono „przypadki”) komunikacyjne; przede wszystkim morskie, a później oczywiście również kolejowe.

Wiele gazet w sierpniu 1842 roku i przez kolejne tygodnie informuje dokładnie o „katastrofie Xcia Orleanu” (którą miał przewidzieć Towiański). Odejściu księcia w wielu artykułach słowo „katastrofa” towarzyszy niezmiennie. Obejmuje ono zarówno możliwe, niewyobrażalne skutki polityczne jego nagłej śmierci, jak i samo tragiczne zdarzenie – księżę zginął w wyniku wypadku powozu. Wiele wypadków, nie tylko transportowych, jest już tak określanych; mogą być to wybuchy gazu, traktowanie się ludzi podczas jakiegoś zgromadzenia, gdy dochodzi do paniki. Ale też katastrof obawiają się giełdy, „zwłaszcza gdyby podwyższenie kursów nastąpiło”²⁷.

Na koniec tego krótkiego przeglądu trzeba cofnąć się jeszcze dalej w czasie, by przypomnieć rzecz bodaj najważniejszą, to mianowicie, że bardzo istotny wkład w popularyzację słowa „katastrofa” wniosły nauki geologiczne. W drugiej połowie XVIII wieku upowszechnia się określenie biblijnego Potopu jako – tak jest u Woltera – *catastrophe universelle*, katastrofy powszechnej, na skalę światową. Po raz pierwszy taka kwalifikacja Potopu pojawia się u angielskiego teologa Thomasa Burneta w roku 1684; słowo „katastrofa” oznacza w obu przypadkach ‘wstrząs, przeogromne zdarzenie’. W różnych badaniach geologicznych biorących pod uwagę biblijny Potop będzie ono nabierało coraz większego i coraz

²⁶ Gazeta Lwowska, 21 września 1829 roku.

²⁷ Gazeta Codzienna, 4 października 1836 roku.

bardziej autonomicznego znaczenia, aż wreszcie, jak u Cuviera, da asumpt do całej teorii katastrof, zwanej – na długo przed tym, zanim po to pojęcie sięgnęło literaturoznawstwo – katastrofizmem i zakładającej, że kolejne epoki w dziejach ziemi powstają niejako *ex nihilo*, gdyż następują po wielkich katastrofach niszczących dotychczasowe życie organiczne.

Należałoby więc dopisać ciąg dalszy powyższej hipotezy o przenikaniu się różnych obszarów znaczeń: prasowe użycie pojęcia i jego spopularyzowanie wyraża także inne przeniesienie, jakie się dokonało w pierwszej połowie XIX wieku. Pojęcie katastrofy krąży w powietrzu; należy na początku wieku najpierw do świata wielkich idei naukowych, związanych z naukami o Ziemi, w którym, wyniesione z teatru, wykorzystywane jest przez geologię, a następnie historiozofię dla rozmowy o prawidłowościach dziejowych. Wkrótce zaczyna przenikać do świata spraw codziennych także dlatego, że tu i teraz język spraw doraźnych asymiluje to modne wyższe rozpoznanie rzeczy.

Do nauk Cuviera za chwilę wrócę, teraz jeszcze dalszych słów kilka o zasięgu pojęcia i ustanowieniu katastrofy jako przedmiotu badań historycznych.

3. Definicje

Jeden z bardziej aktywnych dziś katastrofologów, René Favier, wyodrębnia następujące typy katastrof: „1. Katastrofy wiążące się z mitami, jak Potop czy Atlantyda; 2. katastrofy, które miały zasięg regionalny i pozostawiły ślady w pamięci lokalnej; 3. katastrofy, które miały o wiele większy zasięg i konsekwencje ponadregionalne, jak erupcja wulkanu Tambora w roku 1815, mająca wpływ na klimat przez wiele kolejnych lat; 4. wydarzenie naturalne, często powracające – i tworzące w ten sposób miejsce pamięci (na przykład powódzie); 5. i, przeciwnie, katastrofy «nadzwyczajne», nieoczekiwane (jak trzęsienia ziemi w strefach, w których zapomniano o ich możliwości); 6. katastrofy przeżywane jako przełom, gdyż były one w istocie przełomowe bądź przyspieszyły trwające procesy. Najlepszym przykładem jest lizbońskie trzęsienie ziemi z 1855 roku. Przyspieszyło ono przełom kulturalny i wykrystalizowało dokonującą się zmianę: ruch laicyzacji myśli”¹. Jak widzimy, kryteria nie są ani geologiczne, ani czysto materialne.

W historiografii katastrof sama definicja katastrofy jest bardzo nieostra i zmienna. Widzieliśmy przed chwilą, jak duży jest semantyczny rozrzut w użyciu pojęcia katastrofy w polskim piśmiennictwie dziewiętnastowiecznym; w polu teorii ten rozrzut nie jest mniejszy. Teorie katastrof stosowane w historiografii zależą od aktualnych mód metodologicznych; definicje są plastyczne i dynamiczne i cały czas – od pierwszych istotnych prac historyków francuskich w latach 50., którzy fenomenem katastrof zajęli się wówczas bliżej, ulegają przemianom. Pytanie o to, czym jest katastrofa i kiedy można o niej mówić, wciąż powraca; czterotomowa publikacja *What Is a Disaster*² kilka lat po terrorystycznym

¹ René Favier, *God, Experts and Cataclysms*, <http://www.diplomatie.gouv.fr/en/1MG/pdf/Favier.pdf>, dostęp 20 maja 2017.

² *What Is a Disaster?*, dir. Ronald W. Perry, Enrico L. Quarantelli, Bloomington, 1N 2005.

ataku na World Trade Center powtarza w nowym kontekście pytanie stawiane pół wieku temu przez tzw. szkołę Annales i jej kontynuatorów; nowe katastrofalne zdarzenia wciąż otwierają nowe pola interpretacyjne.

„Lista katastrof jest nieskończona; epidemie, klęski meteorologiczne, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, inwazje insektów, lawiny, osunięcia się ziemi, powódzie, wojny, pożary... Choć porażające, samo takie muzeum potworności nie starczy, by ustanowić katastrofę obiektem historycznym”³ – pisał w roku 1993 Grégory Quenet. Przez wcześniejsze dekady, przypominał, do tematu katastrofy historycy podchodzili na różne sposoby, stosując odmienne metodologie i zabiegi badawcze, lecz nie czyniąc z katastrofy wyodrębnionego przedmiotu badań. Wśród badaczy „nowej historii”, pozostających pod wpływem prac Ferdinanda Braudela, panowała na przykład moda na rozpatrywanie katastrofy w długim trwaniu historii przedstawianej jako walka postępu z naturą; pojęcie katastrofy służyło tu między innymi do określenia stanu cywilizacji w danym momencie czy w danej epoce historycznej. W latach 70. XX wieku, w okresie, w którym dominowało podejście strukturalne do badania społeczeństw i rozwijały się studia nad kryzysami (np. agrarnymi czy demograficznymi), zainteresowanie badaczy skupiało się w większym stopniu na ukazaniu, w jaki sposób katastrofalne zdarzenie naturalne ciąży nad społeczeństwem, przeobraża czynniki ekonomiczne i socjalne, i w ten sposób właśnie „strukturyzuje” społeczeństwo. Ponadto podejście to upatruje też w katastrofie zdarzenie skrajne, graniczne, ujawniające mentalności, a także ukryte struktury jak przedstawienie śmierci (w słynnych pracach Philippe’a Arièsa) czy uczucie strachu (w pracach Jeana Delumeau).

W latach 80 i 90., gdy słabną metody i podejścia związane z wielkimi paradygmatami, uobecnia się silnie podejście interdyscyplinarne; historyk katastrof, nie troszcząc się nadmiernie o precyzję

³ Grégory Quenet, *La catastrophe, un objet historique?*, „Hypothèses” 2001, nr 1, s. 11.

metodologiczną, sięga po inne nauki, jak sejsmologia czy klimatologia; o katastrofach opowiada się przez historię geografii, historię przedstawień natury, historię geologii itd. Nie ma jednej, spajającej różne spojrzenia historii katastrof; tworzy się ona punktowo, w odniesieniu do poszczególnych epok i poszczególnych dyscyplin naukowych, które bierze się pod uwagę; prawdziwą nowością jest jednak to, że katastrofa staje się właśnie samodzielnym przedmiotem badań.

W tekście z roku 2000, stanowiącym bardzo istotny punkt odniesienia dla badań katastrofologicznych, Quenet i Berlioz proponują własną definicję czy raczej, jak mówią, archetyp katastrofy w celu ustanowienia jej autonomicznym „obiektem historycznym” i wyróżniają kilka kryteriów: „katastrofa jest zdarzeniem niepomyślnym bądź zatrważającym; społecznym i kulturowym; łączącym i nadwyciecznym”⁴. Mówiąc o fakcie „niepomyślnym” lub „zatrważającym”, nie mają na myśli ścisłego kryterium ilościowego (liczby ofiar, wielkości zniszczeń); chodzi o kryterium jakościowe, to znaczy o to, czy zdarzenie wymyka się spod kontroli danej zbiorowości. Określenie „społeczne i kulturowe” mówi o radykalnym zagrożeniu dla porządku – właśnie społecznego. Trzęsienie ziemi na odległej od siedzib ludzkich pustyni nie jest katastrofą, mimo możliwych materialnych przeobrażeń, które przynosi. Katastrofa nie musi być dosłownie materialna; w roku 1634 panikę w Europie wywołało na przykład kompletne zaćmienie Słońca. Jak pisze cytowany przez Queneta i Berlioz Krzysztof Pomian, „katastrofa jest negatywną zmianą, która kładzie kres ciągłości lub grozi położeniem jej kresu. Katastrofa rozrywa czas ludzki, otwiera przepaść między przeszłością a przyszłością, grozi pęknięciem więzi między pokoleniami”⁵. Jest czymś, precyzuje za Edmondem White’em Marek Zaleski, „co wywraca naszą definicję rzeczywistości. Nie tyle ustanawia reguły świata na opak, co raczej wytwarza

4 Jacques Berlioz, Grégory Quenet, „Les catastrophes: définitions, documentations”, w: *Histoire et mémoire des risques naturels*, s. 25.

5 Krzysztof Pomian, [hasło:] *Catastrofe*, w: *Enciclopedia Einaudi*, Torino 1977, t. 2, s. 789.

efekt nierzeczywistości, stanowi szok dla naszej wiedzy i trwoży naszą wyobraźnię, podsuwa wizję świata, który «wypadł z kolein». Ale stanowi dla nas także wyzwanie i nie wyczerpuje się jedynie w swoim naznaczeniu negatywnością»⁶.

Tak pojęta katastrofa nie oznaczałaby wprost unicestwienia czy potężnej destrukcji. Tym, co czyni różne zdarzenia katastrofą, nie są faktyczne szkody i zniszczenia, lecz sam stopień zagrożenia, jakie stwarza takie czy inne zdarzenie dla porządku społecznego zbiorowości albo grupy; mówiąc w skrócie: katastrofą nie jest samo zjawisko naturalne, fenomen przyrody, a wydarzenie, które powstaje wokół niego, rozpoznany przez zbiorowość stan „nienormalności”, jaki zastąpił stan „normalności”. Jak precyzuje komentujący ten opis Serge Margel, „pożar staje się katastrofą w chwili, gdy zagrożony jest porządek kultury, czy, mówiąc dokładniej, gdy zagrożony jest w swej równowadze i integralności systematyczny porządek tworzący społeczność (...) A to, czy wydarzenie okazuje się taką groźbą, czy też nie, zależy najpierw i przede wszystkim od, jak ujął to François Walter, «progę wrażliwości» czy podatności społeczeństw»⁷. „To obecność człowieka czyni z wydarzenia naturalnego wydarzenie katastrofalne”, mówi wprost cytowany powyżej René Favier⁸.

Katastrofa w tym rozumieniu jest zatem także granicą, po której przekroczeniu społeczeństwo nie mogłoby już odgrywać spektaklu swej trwałości, beztrąsko siebie symbolizować. I zarazem jest to granica wytyczająca możliwość jej przekroczenia przez rozwinięcie systemu kontroli, naprawy, ochrony, który pozwoli przeżyć, przetrwać katastrofalne zdarzenie, wypracować strategię dalszego trwania, połączyć, sfederować wokół siebie ludzi. Katastrofa może być więc zdarzeniem łączącym, właśnie federacyjnym,

6 Marek Zaleski, *Katastrofa jako metafora, czyli historia afektywna*, w: *Katastrofizm polski w XIX i XX wieku. Idee, obrazy, konsekwencje*, pod redakcją Jerzego Fieckiego, Jensa Heritha i Krzysztofa Trybusia, Poznań 2014, s. 271.

7 Serge Margel, *Le Grand Déluge. Pour une économie providentielle de la catastrophe*, w: *Scénario catastrophe*, s. 82.

8 René Favier, *God, Experts and Cataclysms*.

wokół którego konstytuują się różne tożsamościowe matryce. W wieku XIX, dodam, widać postępującą etatyzację, „upaństwowienie” katastrofy, co wiąże się z formowaniem – wedle modnego dzisiaj, wspomnianego już wyżej określenia – „społeczeństwa ryzyka”, takiego, które organizuje się i integruje wobec zagrożeń i wobec woli ochrony przed nimi. Już w *Szkicu o pochodzeniu języków* Jan Jakub Rousseau dowodził, że ludzie łączą się i tworzą zbiorowości przede wszystkim w wyniku klęsk naturalnych, powodzi, wybuchów wulkanów, pożarów, trzęsień ziemi. Kiedy w jednym z pierwszych wykładów paryskich Mickiewicz, kreśląc idealny obraz pejzażu słowiańskiego, mówi przy okazji: „Nie mamy tam ani skał utrudniających uprawę, ani powodzi, ani zalewów morskich, które zresztą pobudzają przedsiębiorczość człowieka i zachęcają go do walki”⁹, wypowiada za Rousseau – przedsiębiorczość i walka z naturą – credo społeczeństwa ryzyka właśnie, w XIX wieku dość dobrze już zorganizowanego, wykorzystującego katastrofę do wytwarzania więzi społecznych i pobudzania pomysłowości. I wreszcie – ostatnie kryterium u Queneta i Berlioz – katastrofa jest zdarzeniem nadzwyczajnym, przerywającym bieg czasu; katastrofa nie mieści się („raczej”, mówią autorzy) w porządku cyklicznego powtórzenia, ma za każdym razem moc transgresyjną.

Podstawowym założeniem powyższej definicyjnej próby jest to, że katastrofy nie można badać jako samoistnego zdarzenia, jeśli nie zostało ono wprowadzone w język; katastrofa zawsze wpisuje się w opowieść, w pewien ciąg narracji i działań; bardziej należy do porządku przedstawienia niż jest wytworem rzeczywistości. Konstytuuje się w „po”, w tym, co zostaje wypowiedziane po samym zdarzeniu, gdyż w chwili samego zdarzenia nie postrzega się katastrofy jako katastrofy.

Wynika z tego, że katastrofa istnieje dopiero wtedy, gdy zostaje ujęta w dyskurs, w symboliczne przedstawienia charakterystyczne

⁹ Adam Mickiewicz, *Wykład v*, w: tegoż, *Dziela*, Wydanie Narodowe, t. 8, Warszawa 1948, s. 58.

dla danej kultury; bez nich pozostaje niepojęta i niepoddana analizie. To system, czyli stosunki społeczne danej kultury, jej kontekst ekonomiczny, polityczny, wpisany w nią stopień podatności na katastrofę pozwalają nazwać ją i zrozumieć, określić, czy takie, a nie inne zdarzenie można za katastrofę uznać.

Podkreślając opisywaną tu potrzebę – dla dotkniętej przez katastrofę zbiorowości – ponownego określenia się i ponownej afirmacji siebie wobec zniszczenia, jakie przynosi katastrofa, Amalia Signorelli pisze: „Katastrofa doprowadza do całkowitej skrajności przeciwstawienie natura–kultura; jakkolwiek dialektyka, jakkolwiek mediacja między kulturą a naturą zdają się niemożliwe, a jednocześnie ich konieczność nigdy nie jest odczuwana tak dramatycznie jak w takiej chwili. Być może w tej właśnie tragicznej sprzeczności zawiera się sama istota katastrofy”¹⁰. To stopienie obu pojęć, natury i kultury, w jedną instancję jest fundamentalne dla rozważań Queneta i Berlioz; bez wpisania katastrofy w symboliczne instytucje kultury trudno mówić o katastrofie. Przy tym uznają oni, że w ich opisie pojęcie katastrofy naturalnej ulega osłabieniu; w istocie za katastrofę mogą być uznane tak zdarzenia naturalne, jak i wydarzenia polityczne czy społeczne. W pierwszej wersji artykułu przyznają wręcz, że ich archetyp katastrofy mógłby stosować się nawet do Shoah (czyli „katastrofy” po hebrajsku), gdyby zdarzenie to nie było zanadto „złożone i szczególne”. „W najmocniejszym sensie tego pojęcia – piszą – katastrofa zagraża porządkowi świata i może okazać się wydarzeniem politycznym, na przykład średniowieczny tyran zabijający dzieci niszczy porządek pokoleń (modelem takiej figury jest Herod dokonujący rzezi niewiniątek)”¹¹.

Opisywana tu próba definicji czy, mówiąc ostrożniej, okiełznania pojęcia katastrofy tak, by bardziej precyzyjnie określić zakres

¹⁰ Amalia Signorelli, *Catastrophes naturelles et réponses culturelles*, „Terrain” 1992, s. 153; cyt. za: Jacques Berlioz, Grégory Quenet, *Les catastrophes: définitions, documentations*, s. 26–27.

¹¹ Jacques Berlioz, Grégory Quenet, *Les catastrophes: définitions, documentations*, s. 29.

badania katastrofologicznych, osłabia łatwość metaforycznego użycia tego pojęcia, rozrzutnego szafowania nim w odniesieniu do wszystkich niesprzyjających, niepomysłnych okoliczności; w myśl tych rozważań nie da się powiedzieć na przykład, że czyjeś „życie było katastrofą” albo że polityka państwa w kwestii budowy autostrad „okazała się katastrofą”, czy nawet że jest nią wybuch gazu niszczący kamienicę. Punktem wrażliwym owych definicyjnych rozważań jest w mym odczuciu kwestia, by tak się wyrazić, właśnie katastrof „indywidualnych”. Czy można nazwać katastrofą jakieś fatalne zdarzenie w życiu jednostki czy nawet rodziny – nawet jeśli da się je opisać w podobnych terminach (podatność, gwałtowność, granica, strategia)? Wydaje się, że ten sposób podejścia zostaje wykluczony, jeśli nie chcemy pozostać w rejestrze czysto metaforycznym. Z drugiej wszak strony podejście Queneta i Berlioza otwiera inny sposób mówienia o katastrofie, który też można by uznać za metaforyczny: mam na myśli wymiar właśnie polityczny. Uznając ten wymiar w dyskursie o katastrofie, tworzy się ryzyko otwarcia katastroficznej puszką Pandory, z której wylatuje wszystko: wszystkie zdarzenia tego świata mogą się ocierać o granicę katastrofy.

Antologia, którą proponuję, nie będzie dostosowana do takiego rozumienia naszej wiodącej kategorii; stawia na konkret, na materialny fakt. Owszem, niemało opisanych w niej zdarzeń – np. wielkie pożary, hamburski i krakowski, epidemia cholery czy zatonięcie „Meduzy” i akty kanibalizmu, które z niego wynikły, albo katastrofa kolei wersalskiej u samych niemal początków ruchu kolejowego, która wywołała powszechne poruszenie w Europie, czy wybuch wulkanu Tambora – doskonale nadaje się do analizy wedle wyznaczonych wyżej kryteriów i może służyć za materiał do kolejnych badań historycznych prowadzonych w takiej optyce. Jednak gdybym chciał te kryteria stosować *à la lettre*, wypadłoby z mojego pola uwagi mnóstwo mikro zdarzeń, którym chciałem oddać tu głos, nawet jeśli (a może: właśnie dlatego że) świadectwa o nich są nikłym, kruchym śladem małych, często jednostkowych tragedii, z którymi

społeczności doskonale mogły sobie poradzić, lecz które dla tych, co je przeżyli, były nieraz końcem świata. Cóż może powiedzieć historyk katastrof o wybuchu gazu w mieszkaniu krakowskim czy o wywróceniu się pojazdu z kilkoma pasażerami w środku na galicyjskim trakcie, jak bardzo może się tymi faktami zainteresować, jeśli chce się być kimś więcej niż milczącym świadkiem zapisanych świadectw? Co począć – poza oddaniem im stronicy w antologii – z takimi czy innymi wypadkami, które wywołują nikłe reperkusje i które z przedstawianego tu punktu widzenia trudno by określić mianem katastrofy rozumianej jako „śmierć zbiorowa”¹²? Dlatego obok historyka jako autor tej antologii pojawia się przede wszystkim słuchacz drobiazgów, kronikarz drobnych niekiedy nieszczęść, zwykłych wypadków, które wprowadzam – obok katastrofy – do tytułu tej prezentacji.

Przytaczam w tym wstępie różne konteksty dyskursu o katastrofie, by wskazać, jakimi drogami posuwa się dzisiaj dyskurs katastrofologiczny, a także by wskazać na możliwości jego stosowania do czasów określanych jako romantyzm, tym bardziej że polskich dziejów historycznych i politycznych tego okresu Quenet i Berlioz, gdyby chcieli dojść do logicznego końca swej wykładni, nie mogliby określić inaczej niż właśnie mianem „katastrofy”.

¹² Pojęcia tego jako podstawy dla definicji katastrofy używa Gaëlle Clavandier, *La mort collective. Pour une sociologie des catastrophes*, Paris 2004. Zob. też Thomas Labbé, *Les catastrophes naturelles au Moyen Âge*, Paris 2017, s. 34–35.

4. Katastrofa romantyczna

Niezwiązane w sposób konieczny z samymi fenomenami przyrody rozumienie katastrofy rozwinął wybitnie w całym swym dziele, a zwłaszcza w *Szkicu o pochodzeniu języków* i w *Rozprawie o pochodzeniu i podstawach nierówności między ludźmi* Jan Jakub Rousseau. U Rousseau cały proces historyczny ukazuje się w istocie jako naznaczony dążeniem do katastrofy. Jak pisał w swym komentarzu Jean Starobinski, „Ta źle rozpoczęta historia, której Rousseau przeciwstawiał ideał prawdziwej ugody społecznej, to właśnie nasza historia i źle się ona kończy. Stawanie się dziejów to proces powolnej degradacji zamieniający się w katastrofę”¹. Katastrofa jest tu pierwotnym wydarzeniem, wokół którego historia zostaje zorganizowana jako system, niosąc przez swe długie trwanie ślady nieszczęśliwego początku.

Takie historyczne podejście do katastrofy, powiązanie jej z procesem dziejowym, ustanowienie katastrofy i historii jako nierozłącznej pary, albowiem „w naturze nie ma «katastrof» ani tym bardziej «tragedii»”², dla naszej rozmowy o polskim romantyzmie jest kapitalnej wagi. Kiedy mówimy „katastrofy romantyczne” z myślą o Polsce dziewiętnastowiecznej, w sposób oczywisty odnosimy to pojęcie do sytuacji historycznej, a nie do katastrof naturalnych lub transportowych, czy mówiąc szerzej – materialnych. „Pamięć romantyzmu jest pamięcią katastrofy – wiadomo o tym od samego początku kształtowania się prądów preromantycznych i romantycznych w Polsce” – tak zaczyna swoje

1 Jean Starobinski, *Rousseau, Oeuvres*, Paris 1964, t. 3, s. LXVII, por. Stéphane Pujol, *L'histoire comme catastrophe selon Rousseau*, w: *Invention de la catastrophe au XVIII siècle*, s. 91–109.

2 Hayden White, *Zdarzenie historyczne*, w: tegoż, *Proza historyczna*, przeł. Rafał Borysławski, Kraków 2009, s. 260; por. Marek Zaleski, *Katastrofa jako metafora, czyli historia afektywna*, s. 270–271.

studium *Topika i pamięć. O romantycznych katastrofach – wczoraj i dziś*³ Krzysztof Trybuś. W tym szczególnym przypadku, jakim jest naznaczona doświadczeniem zaborów i klęskami powstańczymi polska myśl romantyczna, opowieści o katastrofie łączą się bezpośrednio z najnowszymi dziejami, z historią rozbiorów i dziesięcioleci porozbiorowych i z aktualną wręcz polityką zaborców. Gdyby trzymać się tej fundamentalnej identyfikacji dziejów kraju z doświadczeniem klęski, należałoby powrócić do tematyki obfitującej w tysiące tysięcy komentarzy i interpretacji, i pisać *de facto* kolejną summę romantyczną o meandrach polskiej historii, o geopolityce, o błędach (i niewielkich sukcesach) polityki zagranicznej, o mesjanizmie itd. Katastrofa ukazywałaby się tu najczęściej jako termin czysto polityczny czy polityczno-metafizyczny i choć, jak była mowa wyżej, szalenie trudno jest wyznaczyć granicę między użyciem metaforycznym i niemetaforycznym tego pojęcia, to zamknęlibyśmy się w sferze przede wszystkim symbolicznej, znakomicie już rozpoznanej.

W poniższej antologii cytowane teksty będą mówiły raczej – raczej, gdyż są też wyjątki wiążące się ogólnie z posępnymi nastrojami kresu – o katastrofach naturalnych oraz katastrofach z nieświadomego działania ludzkiego, czyli takich, w których zaznacza się nie tyle wola człowieka, co jego nieświadomiona wina – jak wina, dajmy na to, kapitana okrętu, który wpada na górę lodową w następstwie nieudolnej żeglugi. Oczywiście, gdy mowa o romantycznych katastrofach, trudno nie wspomnieć, choćby w samym *Słowie wstępnym*, o dziełach Malczewskiego, Krasińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, będących, jak określa to Jerzy Fiećko, prekursorami dwudziestowiecznego katastrofizmu – tej polskiej literackiej *spécialité de la maison*.

³ Krzysztof Trybuś, *Topika i pamięć. O romantycznych katastrofach – wczoraj i dziś*, w: *Katastrofizm polski*, s. 289.

Jerzy Fiećko odnosi pojęcie naszego „pierwszego” katastrofizmu przede wszystkim do takich utworów jak *Maria*, *Nie-Boska komedia*, *Reduta Ordon*, *Kordian*; stosuje on do swych rozważań o romantycznym katastrofizmie *avant la lettre* jego opis pióra Małgorzaty Szpakowskiej. „Przez katastrofizm – pisze Szpakowska – rozumiem tutaj pogląd głoszący aktualną lub rychłą zagładę wartości uznawanych za szczególnie cenne. Określenie to jednak wymaga uściślenia. Nie wszelka bowiem zagłada i nie wszelkie wartości mogą wchodzić w grę. Proponowane określenie dotyczy tylko tych wartości, które uważane są za specyficznie ludzkie – a więc przede wszystkim wartości kulturowych (...) O katastrofizmie można mówić tylko w takim przypadku, jeśli zagrożenie odnosi się do wartości, które – wedle założeń danego systemu – są dla kultury konstytutywne”⁴. Jesteśmy tu blisko rozważań o statusie katastrofy Queneta i Berlioza jako faktu podważającego duchowe podstawy istnienia danej zbiorowości. Z tego punktu widzenia refleksja nad polskim przypadkiem dziejowym w kontekście pojęcia katastrofy nie mogłaby ominąć kulturowych konsekwencji rozbiorów, klęsk wojennych i powstańczych.

Korzystając z szerokiego wachlarza użycia słowa „katastrofa” w dziewiętnastowiecznej polszczyźnie, zwłaszcza tej prasowej, biorąc je niejako za praktyczną wskazówkę, rozluźniam ramy teoretyczne i antologię buduję, rzekłbym, poza wielką historią, niejako intuicyjnie. Jako, ujmijmy to tak, drugą część dyptyku, przy założeniu, że ta pierwsza, polityczno-historyczna, została już napisana czy rozpisana na wiele książek. Pod wpływem ówczesnego rozumienia słowa wspominam o zdarzeniach, które z bardziej rygorystycznego punktu widzenia byłyby „tylko” wypadkami, przypadkami, nieszczęściami. Dlatego opieram się w dużej mierze na polskich – bezpośrednich bądź bardzo często będących przedrukami – przekazach prasowych i pamiętnikarskich z lat

⁴ Małgorzata Szpakowska, *Światopogląd Stanisława Ignacego Witkiewicza*, Wrocław 1976, s. 38–39, cyt. za: Jerzy Fiećko, *Katastrofizm romantyków: Malczewski, Mickiewicz, Krasiński, Słowacki. Krótki kurs*, w: *Katastrofizm polski*, s. 59.

1800–1863 (z niewielkimi wyjątkami dla paru utworów fabularnych polskich i zagranicznych użytych jako kontrapunkt). Przede wszystkim warto byłoby wejrzeć w codzienne doświadczenie nieszczęścia, w codzienne obcowanie z zagrożeniami, zobaczyć, jak to doświadczenie było opisywane, dokumentowane, przekazywane. W sposób oczywisty codzienność, zwłaszcza ta „krajowa”, dostarcza tu całkiem innego materiału do badań i odbiera katastrofie jej historiozoficzny wymiar, jaki znajdujemy w wielkich, a w każdym razie istotnych dla nas dziełach romantyzmu.

Z ogromu materiału wybieram ledwie cząstkę, która mogłaby służyć za podstawę dla dalszych badań. Przypadki tego, co wydawało się ludziom godne odnotowania, ich codzienne, niekiedy dramatyczne, niekiedy tragikomiczne przeżycia, sytuacje, przygody, które na chwilę wytrącają ich z przyjętego trybu istnienia.

W tej bardzo wstępnej prezentacji tematyki katastroficznej, zawartej w antologii, najbardziej interesuje mnie, jak wspomniałem, materialny wymiar katastrof, fizyczny konkret, nawet kiedy poddany on zostaje, jak biblijny potop – przez romantyków uznawany za wydarzenie geologiczne – procesom literackiej i ideowej metaforyzacji. Jeśli więc w dalszej części tych uwag wstępnych będzie pokrótce mowa o różnych ideach związanych w taki czy inny sposób z katastrofami i tym, co nazywano wówczas katastrofizmem, to tylko po to, by przypomnieć o więziach łączących idee z obrazem, przywołać zjawiska naturalne, które pisarze, myśliciele, poeci reinterpretują w perspektywie dziejowej, zarysować przestrzeń „między historią naturalną a wyobraźnią historyczną”⁵ i polityczną.

⁵ Por. Elżbieta Dąbrowicz, *Potop. Między historią naturalną a wyobraźnią historyczną (1795–1830)*, w: *Katastrofizm polski*, s. 9–29.

5. Wiek osiemnasty

Powstałym w roku 1816 Byronowskim wizjom ciemności kryjących ziemię, znanym u nas z transkrypcji Mickiewicza i Krasińskiego, przypisuje się również wpływ ówczesnej pogody, zaburzeń klimatycznych, prawdopodobnie na skutek gigantycznego wybuch wulkanu Tambora w Indonezji kilka miesięcy wcześniej. Pod pędzlem Turnera, Constable'a, Friedricha i piórem Byrona katastrofa może okazywać się posępnie piękna, wzniośle dramatyczna, uniwersalnie fundamentalna; to dla nas oczywista wiedza o romantycznych upodobaniach estetycznych, choć często zapomina się o ich meteorologicznych uwarunkowaniach.

Chateaubriand narzekał w *Pamiętnikach* w roku 1832, czytając opisy marsylskiej epidemii dżumy, że świat katastrofy został sprowadzony do raportów medycznych i katastrofa jest dopustem bez wyobraźni; on sam będzie więc ukazywał w prozie poetyckiej możliwości jej literackiej ekspresji¹. Zapewne skutecznie; Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, opisując kilkanaście lat później katastrofę morską statku „Amfitryta” w pobliżu portu Boulogne i wyrzucone na brzeg ciała kobiet, ironizuje: „Dla dzisiejszych malarzy i poetów francuskich to prawdziwe żniwo”². Ale Chateaubriand nie doceniał poprzedników. Kataklizm jako zdarzenie również estetyczne dla Byrona i jego pokolenia jest już czymś dobrze znanym w tym sensie, że wymyślonym, to znaczy ustalonym jako istotny przedmiot refleksji przez niedawną przeszłość, wiek osiemnasty. O pięknie katastrofy pisał wprost Edmond Burke, o estetyce katastrofy w dziejach cały zastęp badaczy i filozofów, Jacques Philippe Le Bas rysował „Les plus belles ruines de Lisbonne”, stąd prosta

¹ Por. Anne-Marie Mercier Faivre, *Ecrire la catastrophe*, w: *L'Invention de la catastrophe au XVIII siècle*, sous dir. Anne-Marie Mercier-Faivre et Chantal Thomas, Genève 2008, s. 7–30.

² *Pamiętniki Klementyny z Tańskich Hoffmanowej*, Berlin 1849, s. 217.

droga wiodła do romantycznych teorii i doznań wzniosłości, do pozatranscendentalnej resakralizacji natury.

Każde stulecie dobrze znało nieszczęście, lecz dopiero wiek osiemnasty stworzył pełny język opowieści o kataklizmach. Solidny, fundamentalny dyskurs o wielkich katastrofach narodził się w Oświeceniu i jest podstawą dzisiejszych rozważań katastrofologów, do tego stopnia, że – parafrazując jeden z tytułów dzieł Jeana Starobinskiego – mówi się właśnie o „wynalazku katastrofy” w XVIII wieku, choć oczywiście zapisy o katastrofach realnych i fikcyjnych pojawiały się w wiekach wcześniejszych i są bardzo dobrze, zwłaszcza przez historyków francuskich i szwajcarskich, udokumentowane. Wiek XIX, a szczególnie jego pierwsza połowa, nie przyciąga aż tak dużej uwagi badaczy jako dziedzic istotniejszego z tego punktu widzenia wieku poprzedniego.

W rozważaniach osiemnastowiecznych, najłatwiejszych do sprawozdania, katastrofa wykształca się jako przedmiot refleksji globalnej, obejmującej prawidła istnienia świata. Każdy z wielkich autorów – Diderot, Wolter, Rousseau, Buffon, Lamarck, w Niemczech Humboldt i Kant – podaje swoją wersję rozumienia fenomenu katastrofy. Jak dobrze wiadomo, głównym, choć niejedynym, rozrusznikiem tej refleksji było wielokrotnie wspomniane trzęsienie ziemi i – wedle dzisiejszego określenia – tsunami, które zniszczyły Lizbonę w roku 1755, i później, w nieco mniejszym stopniu, choć jeszcze bardziej tragiczna w skutkach fala trzęsień ziemi w Kalabrii w latach 1783 i 1784, dobrze udokumentowana ikonograficznie, lecz w mniejszym stopniu „medialna”.

Problem z mówieniem o katastrofie w wieku XIX polega między innymi na tym, że istnieje mocna, lecz niejasna kontaminacja między literaturą piękną romantyzmu a osiemnastowiecznymi teoriami katastroficznymi. Literatura romantyczna wykształca frenetyzm, wzmaga nastroje apokaliptyczne, wykorzystuje katastrofizm pochodzenia geologicznego do dyskursu metafizycznego, religijnego, mesjańskiego, społecznego. Przedstawia świat po katastrofie, która nastąpiła (z historycznego punktu widzenia cezurą

jest najczęściej Waterloo), i świat przed katastrofą, a w każdym razie przed wielką przemianą. Odczuwa już jako bliskie katastrofy przewidywane nawet na najodleglejszą przyszłość, tak jakby skracła czas historyczny, który ją od nich dzieli, i zarazem przeczuwa wielkie, być może katastrofalne przynajmniej w wymiarze zniszczeń – a niekiedy dobroczynne w wymiarze ostatecznych skutków – zdarzenia czające się za progiem, już dzisiaj, już jutro. Wydaje się, że uwarunkowanie od osiemnastowiecznych teorii katastrof, rozwijanych jeszcze na początku XIX wieku, jest większe, niż to zwykło się opisywać; jego możliwość przez chwilę nas tutaj zainteresuje.

6. Cuvier i katastrofizm

Należy zacząć od domniemanej największej katastrofy geologicznej, od biblijnego Potopu, gdyż bez historii Ziemi, ówczesnego hobby intelektualnego, tematu nie tylko uniwersyteckich wykładów, lecz wręcz salonowych dyskusji, ani rusz. „Była to epoka – wspomina Ignacy Domeyko swe czasy paryskie – w której najmłodsza z nauk geologia, osierocona od mistrza swego Cuviera, zawracała głowy turystom i w ogólności dyletantom nauki”¹. W pierwszej połowie XIX wieku słowo „katastrofa” wiąże się trwale ze słownictwem geologicznym, rozpowszechnionym przez pisma zmarłego w roku 1832 Cuviera i wielu innych badaczy pozostających w jego orbicie. Jego teoria, przypominę, zakładała, że przemiany na ziemi są wynikiem gwałtownych geologicznych kataklizmów, dotyczących powierzchni całej globu i pociągających za sobą masową, kompletną destrukcję gatunków; kolejne epoki, czyli czasy dzielące jedną katastrofę od drugiej, pozostają wobec siebie w stosunku równorzędnym; nie ma tu mowy o żadnym postępie czy ewolucji. Cuvier posługuje się naprzemiennie synonimicznymi dla niego pojęciami „katastrofy” oraz – w większym stopniu – „rewolucji”, słowa, które, jak wspominałem, wyszło już wówczas poza astronomiczne odniesienie i zaczęło mieć równocześnie polityczne oraz geologiczne użycie. Pojęcia „katastrofizm” na określenie myśli Cuviera – opracowywanej na przełomie wieków, po raz pierwszy sformułowanej dość zwięźle w roku 1812 i rozpisanej na długie tomy kilkanaście lat później, w roku 1825 – użył w roku 1837 filozof nauki i historyk William Whewell; w Anglii pisma Cuviera cieszyły się nadzwyczajnym powodzeniem. Myśli Cuviera sprzeciwiali się zwolennicy poglądów określanых jako transformizm bądź gradualizm

¹ Ignacy Domeyko, *Moje podróże*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Nieciowa, Wrocław-Warszawa-Kraków 1963, t. 1, s. 194.

(a także aktualizm), stawiających tezę o jednolitym i stopniowym przeobrażaniu się Ziemi. Najpełniej wyraził je w roku 1830 Charles Lyell w swych *Principles of Geology*, ale już wcześniej były on w dość szerokim użyciu; z tej grupy wyobrażeń i rozpoznań droga będzie prowadziła do teorii Darwina, której pierwszy szkic powstał w roku 1843². Po roku 1840 teorie ciągłości w naturalnych dziejach Ziemi zdają się brać górę.

Według Cuviera w dziejach globu zdarzyły się cztery wielkie kataklizmy. Ostatnim był Potop, który Cuvier sytuował na jakieś 5–6 tysięcy lat przed narodzinami Chrystusa; kolejna katastrofa miała być kwestią – być może bardzo długiego – czasu. Spór dotyczący idei o wielkich katastrofach i idei o rozłożonych w czasie przemianach nie był już wówczas nowy; idee te rozważali na różne sposoby Buffon, Holbach czy Boulanger. Oryginalnym wkładem Cuviera było połączenie historii życia z historią Ziemi i przeniesienie uwagi – dzięki pracom o eksterminacji gatunków – z geologii na zoologię i biologię³.

² Szerzej na ten temat w: Claude Baubin, *Autour du catastrophisme. Des mythes et légendes aux sciences de la vie et de la terre*, Paris 2005 oraz Catherine Larrère, *Catastrophes ou Révolution: les catastrophes naturelles ont-elles une histoire?*, w: *Invention de la catastrophe au XVIII siècle*, s. 133–157.

³ Por. Catherine Larrère, *Catastrophes ou Révolution*, s. 148–149.

7. Cuvier i potop

„Już piękny świat berezowski był zebrany jak zwykle i podzielony na dwa obozy. Jeden stanowiła partja grających, drugi niegrających. Pierwsza jak gwiazdy stałe zajmowała miejsca nieruchome przy stolikach oświetlonych dwiema świecami. Karty w ręku, lampeczka nalana płynem czerwonym lub żółtym zamykały sferę względną tych małych świadków: wszystko, co było poza sferą zielonego stolika, nie zajmowało wcale.

Druga partja, na wzór komet błakających się, w swym niepewnym ruchu potraçały się wzajemnie, a potraçając się, odbierając, naciskając jedna drugą, nie oszczędzały gwiazd stałych. Szczęściem, że z tego starcia się nie powstał ani pożar, ani potop”¹. To tylko literacki żarcik Ewy Felińskiej z jej wspomnień; widać, jak mocno starała się być właśnie „literacka”, lecz dla nas najważniejsze jest słowo ostatnie, „potop”, które tak bardzo się upowszechniło czy raczej zrobiło modne w tamtych czasach. Coś się w przyrodzie i kosmosie dzieje, mówi mimochodem żart, coś nowego i w swym działaniu skrajnego może lada chwila wybuchnąć: nadwrażliwość na, by tak rzec, ruchy wszechświata i na możliwość nagłych zdarzeń była wówczas wybitnie wyostrzona, a potop zdawał się takiego zdarzenia najlepszym przykładem.

Faute à Cuvier, wina Cuviera, który nie tyle wprowadził, co podbił niejako „modę na Potop”. Zatrzymam się na chwilę przy tym wątku dyluwistycznym, tym bardziej że interesował on naszych ważnych czytelników teorii geologicznych: Lelewela i młodego Mickiewicza, także Niemcewicza, a wcześniej Kołłątaja. Do dzisiaj trwają spory dotyczące wczesnoromantycznych, religijnych i naukowych zarazem interpretacji Powodzi bibilijnej dla rozwoju

¹ Ewa Felińska, *Wspomnienia z podróży do Syberji, pobytu w Berezowie i Saratowie*, Wilno 1852, t. 1, s. 339.

geologii; niektórzy badacze twierdzą, że – ze względu na autocenzurę ówczesnych geologów – były większym dla geologii hamulcem niż opowieści o Stworzeniu. Nie jest całkiem jasne, czy dla samego Cuviera uznanie boskiej interwencji w dzieje Ziemi było tylko ukłonem w stronę religijnej doksy, czy wyrazem autentycznej wiary. Jego interpretacja Potopu, łącząca geologię z religią, była jedną z kolejnych; dyluwionizm wytworzył jeszcze przed Cuvierem ogromną ilość tekstów, i to nie tylko naukowych. W pracach Cuviera i innych naturalistów szczególnie interesujące, także dla naszych czytelników, było potraktowanie Potopu biblijnego jako katastrofy – bez względu na jej przyczyny – jednak naturalnej, której ślady i skutki w życiu Ziemi można odkrywać i badać. W wieku XVIII i na przełomie wieków obserwuje się mocną eksploatację tematu powodzi w europejskiej literaturze, zwłaszcza w poezji regionalnej, i jest ona również mocno obecna – wspomnieć tu jeszcze należy o pracach Ballanche'a – przez całą pierwszą połowę XIX stulecia. Klisz wokół naukowych wykładni Potopu, uznających opowieść biblijną i zarazem skupionych wedle ówczesnej poprawności politycznej nad naturalną, czyli geologiczną i klimatyczną wykładnią, powstawało w czasach Cuviera i po jego śmierci wciąż tyle, że trzeba było Flauberta, by je ośmieszył w *Dykcjonarzu komunalów* hasłem „skamielina”: „Skamielina: najlepszy dowód na Potop (...)”².

Kołątaj pisał wcześniej o Potopie w *Rozbiorze krytycznym*; jego koncepcja (odwołuję się tu do rozprawy Elżbiety Dąbrowicz³) była mocno zsekularyzowana; miał on mieć przyczynę naturalną, a nie nadprzyrodzoną; po nim Lelewel czy Niemcewicz będą to rozpoznanie uznawali i powtarzali. Dla Kołątaja, czytelnika modnych pism geologów francuskich jak Boulanger, Potop był zdarzeniem założycielskim dla historii; jest wiele śladów jego nadejścia w różnych cywilizacjach, lecz nie ma przekazów z rzeczywistości przedpotopowej. Kołątaj dzieli fizyczne przyczyny potopu na „usposabiające”,

2 Gustave Flaubert, *Dictionnaire des idées reçues*, Paris 2002, s. 37.

3 Elżbieta Dąbrowicz, *Potop. Między historią naturalną a wyobraźnią historyczną*.

to znaczy „wszystkie powolne działania wody samej przez się lub złączonej z powietrzem” i „przyspieszające”, to znaczy „działania wody gwałtowniejsze, jakie się okazują w trzęsieniu ziemi, w utworzeniu nowych wulkanów lub w ich erupcjach tylekrotnie powtarzanych, w zalaniu łądów, które zarządza jakie gór przerwisko albo gwałtowne wiatry – wszystkie zgoła cząstkowe potopy i zalewy łądów”⁴. Potop stał się wydarzeniem granicznym; po nim nic już nie było jak wcześniej; człowiek doświadczony potworną klęską, wrzucony w pustkę, przeniknięty smutkiem straty musiał w tej sytuacji zbudować nowe życie, nie tylko materialne, lecz przede wszystkim duchowe: stworzyć moralność i zwrócić się w stronę wiary. Taka była stawka tego kataklizmu – i taka jest być może stawka każdego kataklizmu: można wyjść z niego podniesionym, ale też, przestrzega, można w obliczu doznanego upadku pograżyć się w nędzy, strachu, lęku przed śmiercią i „wstręcie do społecznego życia”⁵.

Joachim Lelewel żywo interesował się tą problematyką jeszcze jako student, pisząc rozprawkę, a w tym okresie powstało w Europie kilkadziesiąt prac na ten temat, charakterystycznie zatytułowaną *O przyczynie fizycznej potopu*⁶. Podobnie jak Cuvier zakładał intencyjne działanie Stwórcy, lecz również cały przebieg kataklizmu badał wedle praw fizycznych, podając swoje hipotezy, które w dużej mierze dotyczyły sił działających we wnętrzu Ziemi. Podjął polemikę z różnymi, francuskimi przede wszystkim, autorami, niewymienionymi wprawdzie z nazwiska, łatwo jednak – chodzi o dyskusję nad tezą o uderzeniu komety, które miało wywołać Potop, oraz teorie przyspieszenia i spowolnienia biegu Ziemi – ich zidentyfikować.

Geologia interesowała Lelewela naukowca; jeśli Mickiewiczza nie zajmowała w sensie dosłownie naukowym, to interesowała go

⁴ Hugo Kołłątaj, *Rozbiór krytyczny zasad historii początkowej wszystkich ludów*, opracował i wstępem opatrzył Henryk Hinz, Warszawa 1972, s. 252–253.

⁵ Por. Elżbieta Dąbrowicz, *Potop. Między historią naturalną a wyobraźnią historyczną*, s. 22.

⁶ O wątku tym pisze szczegółowo Danuta Zawadzka w znakomitej książce *Lelewel i Mickiewicz. Paralela*, Białystok 2013, zwłaszcza s. 309–349; korzystam tu z jej uwag.

jako odkrywczynie mechaniki głębi, obejmującej swym działaniem całość globu. „Nieraz miasto w podziemną rozpadlinę gruchnie...”. W katastroficznym passusie wiersza *Do Joachima Lelewela*, w którym Mickiewicz jednym tchem wymienia różne klęski żywiołowe, widać, że wiąże je przede wszystkim ze skrytymi ruchami Ziemi; Leleweł umie wyjaśnić,

Jak się z przyczyny wspólnej różne skutki rodzą
 Jak podziemny wypadek morzem zakolała
 I niebieskiego sprawi zaburzenie świata.⁷

Mickiewicz sam chętnie, jak wiemy, używa wyobrażeń potopu, nagłego zatopienia, określenia „przedpotopowy”; widać – co podkreśla Danuta Zawadzka – że poetyckie obrazowanie jest o wiele bliższe naukowym spekulacjom niż frenezji czy baśniowości. Wyraźnie jest potrzebna Mickiewiczowi udokumentowana cezura w czasie, to, że w dziejach doszło do nagłego pęknięcia, dzielącego czas na „przed” i „po”. Potop – w *Ustępie* służący jeszcze do zobrazowania wiecznej, ponadczasowej nędzy rosyjskiej ziemi – też jest cezurą, cezurą historyczną, która nabiera z czasem cech cezury duchowej w rozwoju świata. Już w kursie pierwszym literatury słowiańskiej Mickiewicz kładzie nacisk na fakt, że „starożytnych kości przedpotopowych” najwięcej można znaleźć na ziemiach słowiańskich, co będzie miało wkrótce jakieś znaczenie dla dyskursu towianistycznego; wykład „Mistrz” zaczyna się od rozważań nieszczęścia, jakie spadło na zwierzęta i doprowadziło do ich zamilknięcia.

Mickiewicz pozostaje w konstelacji tematów Cuviera, choć podejmuje z nim krótką, dobrze znaną polemikę, przedkładając nad tezy Cuviera stanowisko Geoffroya Saint-Hilaire’a. Ten ostatni zakłada plastyczność form organizmów żywych, którą można w postaci przemienionej odnajdować w różnych gatunkach; dla Cuviera

⁷ Adam Mickiewicz, *Do Joachima Lelewela*, w: *Dzieła*, Wydanie Narodowe, Warszawa 1948, t. 1, s. 109 (w. 47–50).

wykluczone są transformacje międzygatunkowe; gatunki się różnią, gdyż jedne znikają w wyniku katastrofy, a po nich przychodzą niejako od nowa następne. O ile istnieje pewne continuum w historii ludzkiej, o tyle nie dotyczy ono historii Ziemi – historie te są rozłączne; o ile w historii politycznej, pisze Cuvier, da się wytłumaczyć zdarzenie przeszłe na podstawie dzisiejszej wiedzy o namiętnościach i intrygach, o tyle w historii Ziemi „nic działań” zostaje przerwane, natura musi dokonywać przeskoków. Historia Ziemi nie polepsza się ani nie mądrzeje, by ustąpić miejsca dziejom ludzkim; raczej ogranicza je, w końcu świat obecny liczy ledwie 5–6 tysięcy lat. Najbardziej romantyczny czy najbardziej pesymistyczno-romantyczny (można wpisać go w nurt pierwszej, zachowawczej manieri romantycznej) Cuvier jest wtedy, gdy uznaje, że natura stoi nad człowiekiem, przerasta go i zewsząd uciska⁸.

⁸ Korzystam ponownie z uwag Catherine Larrère, *Catastrophe ou Révolution*, s. 135–157.

8. Cuvier i nieciągłość

Katastrofistów (geologów, biologów i zoologów w jednym) pierwszej połowy XIX wieku dzieli przede wszystkim bardzo złożona kwestia ciągłości i nieciągłości, w której poszczególni badacze zajmują wobec aktu Stworzenia różne stanowiska, mówiące to o jego jednorazowości, to o powtarzalności, to o jego przeobrażalności. Cuvier miesza oba wymiary; tkanka czasu byłaby ciągła, lecz przerywana, gdyż podziurawiona katastrofami, w wyniku których świat biologiczny doznał serii zerwań, rewolucji, co wyjaśnia nieciągłość gatunków zwierzęcych i obecność skamielin. Oświeceniowe widzenie świata chciało za wszelką cenę przenieść to, co nienormatywne, w sferę normatywności i we wszystkich kategoriach wiedzy usilnie szukało modelu pozwalającego sprowadzić do jednego porządku to, co pochodzi z nieporządku, z wypadku, z katastrofy; było to widzenie oparte na bezkolizyjnej ciągłości. Dla Michela Foucaulta, który w *Słowach i rzeczach* uznaje Cuviera za najpotężniejszy umysł naukowy epoki, tenże, stawiając kwestię nieciągłości, analizując na nowy sposób trwanie, ujawniając podobnie jak Sade, tyle że w porządku pozaludzkim, zło natury, inicjuje nowy i najważniejszy sposób myślenia o historyczności „w momencie, gdy rozkwitała ona po raz pierwszy w wiedzy zachodniej”. Dzięki Cuvierowi nieciągłości, puste miejsca, braki, wyrwy przestają stawiać przeszkody; przestają być pozorami, które należało poprawić. Stają się one znakami; wyrw tych nie należało przeto wypełniać, lecz je zrozumieć¹.

Bardzo ciekawe z tego punktu widzenia są zapiski prowadzone przez Darwina podczas jego podróży południowoamerykańskiej, a zwłaszcza te poświęcone trzęsieniu ziemi w Chile w roku 1835. Darwin był przeciwnikiem Cuvierowskiej teorii katastrof jako teorii nieciągłości; jego chilijskie obserwacje – jak opisuje to

¹ Michel Foucault, *Słowa i rzeczy*, przeł. Tadeusz Komendant, Gdańsk 2005, t. 2, s. 66–87.

Ireneusz Gielata² – pomogły sformułować (a najpierw wręcz doświadczyć na własnej skórze) intuicje, z których wyrosną później jego naukowe dysertacje i ostatecznie teoria ewolucji. Podobnie jak Cuvier, Darwin pasjonował się geologią. Widać również na jego przykładzie, że pojęcie katastrofy było wówczas wyjątkowo istotne: zaprzętała wyobraźnię, pobudzała do tworzenia własnych teorii. I sprawiła w przypadku Darwina, że zaczął on lepiej rozumieć naturę czasu i czas natury, określanej po novalisowsku jako mielący formy, „kruszący młyn”, który powoli wszystko niszczy, przemienia góry i skały – Darwin jest uważnym obserwatorem kamieni – w piasek. Jednak dla Darwina trzęsienie ziemi, którego był świadkiem, nie było – jak dla tylu innych – oznaką katastrofy, która ucieleśnia potencjał samozniszczenia drzemiący w ziemi lub daje o nim wyobrażenie; zatem takiej, która przerywa swą destrukcyjną mocą dotychczasowy bieg czasu. Odwrotnie – katastrofa trzęsienia ziemi ujawnia w ekstatycznym skrócie ogólną prawidłowość ziemskiego trwania: nie ma w nim nic stałego, nic trwałego, wszystko w każdej chwili może się przemienić, ulec destrukcyjnemu wobec poprzedniej formy przeobrażeniu; proces transformacji, przeistoczenia trwa bez żadnej przerwy. Katastrofa unaocznia, że stan, „który z przyzwyczajenia przypisujemy działaniu wielu wieków”, może „powstać w jednej chwili”. „Silne trzęsienie ziemi – pisze Darwin po zniszczeniu miasta Concepción – burzy za jednym zamachem nasze najstarsze skojarzenia; ziemia, ten symbol stałości, poruszyła się pod naszymi stopami jak cienka skorupka spoczywająca na płynnym podłożu. Jedno mgnienie oka stwarza w naszym umyśle jakieś dziwne pojęcie niepewności, którego nie zdołałyby wywołać godziny rozmyślań”³. W wyniku tej obserwacji Darwin unaoczniał sobie – jak dopowiada Ireneusz Gielata – że sam czas jest katastrofą rozciągniętą na długie trwanie, czynnym i ciągłym

² Ireneusz Gielata, *Piętno darwinizmu*, „Świat i Słowo” 2010, nr 1(14), s. 49–62; korzystam w tym paragrafie z jego uwag.

³ Karol Darwin, *Podróż na okręcie „Beagle”*, w: tegoż, *Dzieła wybrane*, z angielskiego przełożył Kazimierz Szarski, Warszawa 1959, t. 1, s. 321.

zdarzeniem, które może to przyspieszać, to zwalniać swe działanie, lecz działanie to jest nieprzerwane i nie do powstrzymania. Darwinowski dyskurs o katastrofach wydaje się paradoksalnie bardziej dramatyczny i romantyczny niż katastroficzne teorie Cuviera; zanim przetworzy się on w teorie ewolucyjne, poruszy głęboko wyobraźnię podróżnika, wyrosnie z kilku dojmujących obrazów, z konkretnego, przejmującego doświadczenia.

9. Cuvier i powieść

Autor powiastki *Panna Podkomorzanka* drukowanej w roku 1835 w czasopiśmie „Bałamut” w adresie do czytelnika pyta, czy ten nie nudzi się nadto podczas lektury, jak nudzi się on sam, twórca tej prozy. „W dzisiejszej powieści wszystko powinno się kurzyć, burzyć, wręć i szumieć jak w perkinsonowskim kotle; lecieć jak wóz parowy, wyścigający w biegu zające i bujać po powietrzu jak balon, chociażby z niebezpieczeństwem nadłamania szyi (...) Gdzież są katastrofy i przesilenia, któreby powieść ożywić, wstrząsnąć...”¹. Autor wyobraża sobie nie bez autoironii, że odkrycia technologiczne wraz z wszystkimi ich, nawet niefortunnymi, konsekwencjami, powinny nadawać opowieści odpowiednie tempo i gwałtowność.

Jego żartobliwa estetyczna idea wpływu nagłych zdarzeń, w tym katastrof, na poetykę powieści nie jest odosobniona. Z całą powagą wygłasza ją Balzak, sam inspirowany ideami Cuviera. Tego ostatniego nazywał „Poetą i Stwórcą” czy też „największym poetą naszego wieku”. Cuvier, pisze w *Jaszczurze*, „ożywia nicość (...) Naraz marmury animalizują się, śmierć się ożywia, świat się roz-tacza przed nami! Po dynastiach gigantycznych postaci, po pokoleniach ryb i klanach mięczaków przybywa wreszcie rodzaj ludzki, zwyrodniały produkt wspaniałego typu, zniszczonego może przez Stwórcę”². Dla Balzaka równie ważne jak teorie gatunków są teorie geologiczne Cuviera. Mogły one mieć wpływ na samą poetykę Balzakowskich dzieł; w tym sensie są też one postacią pisma katastrofy. Nie chodzi w tej uwadze o wpływ Cuvierowskich badań nad katastrofami na treść utworów – choć o Cuvierze jest w powieściach Balzaka mowa, lecz przede wszystkim na samą właśnie poetykę, inspirowaną teorią katastrof przy konstrukcji fabuły. Dla

¹ „Bałamut”, 21 lutego 1835 roku.

² Honoré de Balzac, *Jaszczur*, przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Boy Żeleński, Warszawa 1949, s. 31–32.

Balzaka Cuvier jest poetą i kreatorem także dlatego, że jego wykład opiera się na zdarzeniach, które rwą linearny i ułożony czas; więc on też wprowadzi we własną opowieść wydarzenia funkcjonujące niczym katastrofy, które wstrząsają społeczną pozycją bohaterów³.

³ Por. Anne Richardot, *Balzac et le naturalisme des Lumières*, http://balzac.cerilac.univ-paris-diderot.fr/wa_files/Bestiaire-Richardot.pdf.

10. Końce świata, ostatni ludzie

Gorliwą czytelniczką Cuviera – jako pisarza katastrof – była wcześniej Mary Shelley, która rozwinęła na swój sposób i doprowadziła do skrajności wątki apokaliptyczno-katastroficzne tak mocno obecne u Byrona (w *Kainie* Byron odwołuje się do Cuviera *expressis verbis*, jednocześnie zaznaczając, że nauka Cuviera nie jest sprzeczna z nauką Mojżesza: „Czytelnik zauważy, że świat został wielokrotnie zniszczony przed stworzeniem człowieka”¹) i jej męża Percy’ego Shelleya, również czytelnika Cuviera, u którego – w *Prometeuszu skowanym* – nie brakuje katastrofalnych powodzi i zgubnych uderzeń komet. Sama Shelley jest autorką grubej powieści *The Last Man*, „Ostatni człowiek” (wcześniej wiersz pod tym samym tytułem napisał Thomas Campbell, na polski tłumaczył go Niemcewicz), opisującej zagładę świata przewidzianą na rok 2100 w wyniku epidemii dżumy (epidemii cholery w chwili, gdy Shelley pisała swą powieść, jeszcze w Europie nie było) i przemian klimatycznych. Dżuma działa niczym bomba neutronowa, zabija ludzi, zostawiając nienaruszone ich dzieła i miasta, i cała powieść kończy się, jak niemało dwudziestowiecznych powieści katastroficznycy, niezwykle melancholijnym obrazem samotnej włóczędzy ostatniego człowieka Lionela Vernaya po wyludnionej Italii i pustych wodach i brzegach Morza Śródziemnego. Wpływ na powieść Shelley miał także bardzo popularny w tym czasie (napisany w 1798) *Essay on the Principles of Population* Thomasa Malthusa, opisującego katastroficzne konsekwencje, do jakich doprowadzi przeludnienie miast.

Ziemia może zginąć śmiercią nie nadprzyrodzoną, lecz naturalną, pisał jako pierwszy Kartezjusz, śmiercią gwałtowną, przez zderzenie z kometą, albo śmiercią powolną, przez wygaśnięcie

¹ George Byron, *Kain*, przełożył Józef Paszkowski, w: tegoż, *Wybór dzieł*, Warszawa 1986, t. 2, s. 616.

Słońca. W XIX wieku temat nagłego końca świata, do którego dojdzie w wyniku katastrofy, wkracza mocno w imaginarium. Opuszczę tu długie wyliczenie wyobrazonych w literaturze nadchodzących katastrof ostatecznych, z których wiele mogłoby służyć za scenariusz do filmu von Triera *Melancholia*, oraz renesans motywów atlantydzkich i pompejańskich z jedną z najbardziej czytanych powieści dziewiętnastowiecznych na czele: *The Last Days of Pompeii* (1834) Edwarda Bulwera-Lyttona², o której będzie wspominała w swych pamiętnikach jeszcze Deotyma. Wspomnę tylko, że teorie wygaśnięcia Słońca znane są na przykład Zygmuntovi Krasieńskiemu, jak wiele innych teorii astrofizycznych i fizycznych. Jest między innymi czytelnikiem Herschela (jesli chodzi o wizje kosmogoniczne i odkrycie mgławic, rozszerzenie kosmosu), Faradaya, Galwaniego, Volty (jesli chodzi o teorie fizyczne). Ma on szczególną umiejętność przekładania ich na metaforykę, to miłosno-utopijną, to historiozoficzną; w obu chodzi o obrazowanie świata po jego ostatecznym przeobrażeniu, po kresie, który – w zależności od nastroju – okazuje się początkiem nowego istnienia lub ostateczną zagładą. Szczególnie pociągają go panteistyczne wizje wyobrażenia ulatniania, skraplania, rozpraszania, rozdrabniania materii, tego, co by się stało po jej ostatecznym rozproszeniu – w wersji optymistycznej: „gdyby Bóg rozpuścił materię – pisał do Delfiny – gdyby się rozpadło wszystko na proch najdrobniejszy, na proch idealny, porwany siłami ruchu w przestrzenie, wszechświat by się wtedy zamienił w muzykę!”³.

Ale tak dobrze u Krasieńskiego, który najszybciej przejął katastroficzne idee ze swych francuskich lektur, na ogół nie ma. Jak wiemy, Cuviera, przyjaciela jego przyjaciela Ampère’a, czytał bardzo wiernie Ballanche, mający wpływ na twórczość młodego Krasieńskiego. Omawiając wpływ Ballanche’a na Krasieńskiego, zauważa się

² O różnych obrazach końca świata zob. Hélène Tuzet, *Le thème de la fin du monde dans les lettres après 1660*, w: *Literature and Sciences*, Oxford 1954, s. 164–169.

³ Zygmunt Krasieński, *Listy do Delfiny Potockiej*, opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski, Warszawa 1975, t. 1, s. 80, list z 19 XI 1839 roku.

wpływy teorii cykli historycznych Vico, historiozofii de Maistre'a; w rzeczy samej lektury geologiczne Ballanche'a były, w chwili gdy pisał *Palingenezę* i *Widzenie Hebala*, intensywniejsze; bardzo żywo interesował się także Potopem jako zjawiskiem istotnym dla jego wykładni dziejowej. Czytał Cuviera, Buffeta, Boulangera, Humboldta, samego Ampère'a, który w Collège de France wygłosił wykład przedstawiający geologiczną teorię Potopu; ich teorie i rozważania miały na niego duży wpływ i łączył je z poglądami religijnymi, utrzymując równowagę między jednymi a drugimi. Interesowała go idea Cuvierowska – można mówić o synkryzmie religijnym Cuviera i Ballanche'a – wedle której na całym świecie, w różnych tradycjach, można spotkać potwierdzenia historycznego wymiaru Potopu. Żadne nowoczesne odkrycia nie zadały kłamu Genzie, pisał Ballanche, jednocześnie usilnie podkreślając, jak bardzo wszystkie jego przemyślenia poddają się naukowej weryfikacji. Ten rodzaj równowagi wyczytywał też u swoich autorów, między innymi właśnie u Cuviera. W swych pismach nawiązywał – bardzo amatorsko – do dość obszernej problematyki geologicznej i paleontologicznej⁴. Do Krasieńskiego Ballanche dociera już w formie ostatecznej, oczyszczonej niejako, oderwanej od historii naturalnej i przełożonej na palingenetyczną filozofię dziejów; Krasieńskiego, w przeciwieństwie do Mickiewicza, paleontologia nie zajmowała, ale też inny, o wiele bardziej obojętny był jego stosunek do zwierząt.

Pisał Krasieński do Małachowskiego: „Czas tu dziwacznie dziwny: mgły i deszcze, mgły londyńskie w Nicei w końcu maja, czy możesz sobie wystawić? Coś tam naruszonego w organizmie planety, w ciele rodzaju ludzkiego, w mózgu Mickiewicza, w sercu naszym, na ziemi i na niebie, w powietrzu i na morzach wszędzie (...)”⁵. W przypadku Krasieńskiego, ale też wielu innych twórców

4 Por. Michel Dürr, *Ampère et milieux scientifique et littéraire de son temps*, „Sabix” 2007, nr 37, <http://www.sabix.org/bulletin/b37/milieux.html>; John Tresch, *The Romantic Machine: Utopian Science and Technology after Napoleon*, London 2012.

5 Zygmunt Krasieński, *Listy do Stanisława Małachowskiego*, opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski, Warszawa 1979, s. 74.

tamtego czasu można mówić o hiperwrażliwości katastroficznej, którą teorie geologów wzmagały czy wręcz kreowały. Co bardziej drażliwe wyobraźnie poetyckie – Shelley, u nas także Niemcewicz – odczuwały powszechne poruszenie, gwałtowną pracę we wnętrznościach Ziemi, uruchamiały obrazy gorączkowego wrzenia, dotykającego wszelkich sfer życia. Dzieje ludzi i Ziemi – opowiadali – wystawione są na wielkie energie, nie wiedzieć czy niszczące, czy pozytywnie transformacyjne, poddane solidarnie wstrząsom; trzęsienia ziemi, nawałnice, epidemie, powódzie świadczą tu i teraz o gorączce czasów, którą wywołują żywioły. „I ludzie i żywioły szaleją”, informuje w *Dzienniku* Niemcewicz, powtarzając incipit *Irydiona*, „kula ziemską wykręciła koziołka”⁶. Ten rodzaj traumy, umieszczenie katastrofy w centrum wyobrażeń, u Niemcewicza łatwo jest zauważyć. Jego *Dziennik*, swoisty biuletyn meteo, obfituje w spostrzeżenia, które świadczą o „nasłuchiwanii” przezeń zdarzeń, które mogą być zapowiedziami jeszcze większych katastrof. Niemcewicz jest pilnym czytelnikiem Cuviera i on również – choć rozumie, że Cuvier opowiada o długim trwaniu, czy raczej o długiej serii zdarzeń – przekłada na czas teraźniejszy rozpisany przez Cuviera na tysiąclecia proces katastroficznych nawrotów. Odnotowuje regularnie niczym kronikarz klęsk trzęsienia ziemi, anomalie klimatyczne, pożary; do nich dochodzą zdarzenia polityczne, militarne czy wszelkie zdarzenia „ludzkie”, które zwiastują nadchodzące kataklizmy. Można tu mówić o imaginacyjnym przyspieszeniu długiego trwania.

Oczywiście literatura jest najlepszym przewodnikiem nadwrażliwości, w korespondencji czy w samych dziełach Krasińskiego albo Niemcewicza, w utworach Wordswortha, Shelleya i innych widać najwyraźniej, w jaki sposób zmienia się status katastrofy. Wcześniej pojmowano ją jako zdarzenie wyjątkowe, nawet jeśli powtarzalne; teraz staje się rzeczywistością fundamentalną, wpisaną

⁶ Julian Ursyn Niemcewicz, *Dziennik 1837–1838*, redakcja Izabella Rusinowa, Pułtusk 2006, s. 62 i 95. Cyt. za: Elżbieta Dąbrowicz, *Potop. Między historią naturalną a wyobraźnią historyczną*, s.16; wykorzystuję też dalej jej uwagi o *Dzienniku* i innych dziełach Niemcewicza.

w dzieje Ziemi. Opisując w swym poemacie *Mont Blanc* alpejski pejzaż, Shelley pyta, czy uczy on wątpienia, czy wiary.

*Ghastly, and scarred, and riven. – Is this the scene
Where the old Earthquake-demon taught her young
Ruin? Were these their toys? or did a sea
Of fire envelop once this silent snow?
None can reply – all seems eternal now.*

(...) Między tymi lody
Demon Trzęsienia [dosł. Trzęsienia Ziemi – MB] uczył płód
swój młody,
Jak niszczyć trzeba?... Tu się płód ten bawił,
Aż wszystko w gruzach okropnych zostawił?
Czy może ognia fale nieprzeparte
Spłynęły niegdyś na ten śnieg dokoła?
Nic odpowiedzieć na to mi nie zdoła –
Wszystko tu zda się wieczne!...⁷
(w przekładzie Jana Kasprowicza)

Niewątpliwie mówimy we wszystkich tych przypadkach o wyobraźni apokaliptycznej, może nawet panikarskiej. Ale też – jak w przypadku Niemcewicza – możliwość katastrofy staje się pod jego piórem argumentem pedagogiczno-politycznym, wokół którego pisze swoje przypowieści w formie bajek, jak tę o zawałonym domu czy o pójściu okrętu na dno, jeśli tylko braknie wspólnego, solidarnego działania mieszkańców czy pasażerów.

Niemcewicz, stosujący pisma Cuviera do rozważań nad codziennością, zarazem naznaczony losem wygnańca, który w wyniku katastrofy politycznej stracił swoje dotychczasowe życie, dobrze egzemplifikuje żywot nadwrażliwy, histeryczne imaginarium tak typowe dla wczesnego romantyzmu. Na szczęście byli też

⁷ Percy Bysshe Shelley, *Poezje wybrane*, wybrał, opracował i wstępem poprzedził Juliusz Żuławski, Warszawa 1961, s. 22. Na ten temat także: Jacques Khalip and David Collings, *Introduction. The present time of "Live Ashes"*, w: *Romanticism and Disaster*, Romantic Circles 2012, <https://www.rc.umd.edu/praxis/disaster/index.html>.

tacy jak Domeyko, gładko przełykający nauki Cuviera i wykorzystujący emigrację do budowy nowego życia. Domeyko uczęszczał na wykłady Cordiera, ucznia Cuviera. „Z wielką przyjemnością go słuchałem. Pamiętam jednak, że wcale nie byłem rad z jego ostatniej lekcji, na której, streszczając cały swój kurs, wywodził głównie zmiany i przeobrażenia, przez jakie przeszła kula ziemska od stworzenia; – a kiedy po tym przeglądzie całej kolei geologicznych epok przyszedł mimo wszystko do wniosku o nieuniknionym końcu i zniszczeniu, jakie spotka koniecznie naszego planety, nie umiał się z tej fatalnej konsekwencji inaczej wywinąć, jak zapowiadając, że to nie może nastąpić, chyba że za wiele, wiele wieków, i nie warto o tym myśleć”⁸.

„(...) są chwile, w których świat potrzebuje się zajmować swym końcem” – ironizował później dziennikarz krakowski „Czasu”, który dla swej gazety sporządził raport z ostatnich wydarzeń i lektur paryskich. – „I tak, lat temu dziesięć z powodu jakiejś astronomicznej przepowiedni wypadłej nie pomnę już z którego niemieckiego obserwatorium – pisano wiele o kataklizmie, który ma nasz glob pochłonąć. Teraz znowu paryzka akademia nauk zwróciła uwagę na teorię Adhémara, który już nie przepowiada, a *zapowiada* nowy potop. Nie lękaj się atoli. Obrachowany przez francuskiego astronoma potop nastąpi dopiero za sześć tysięcy trzysta lat – mamy tedy czas pomówić o nim spokojnie”⁹.

⁸ Ignacy Domeyko, *Moje podróże*, s. 194–195.

⁹ „Czas”, Dodatek Miesięczny 1859, t. xvi.



11.



1. Przegląd dotkliwości

Powodzie. Potop biblijny to podręczne i poręczne odniesienie, gdy chce się wyrazić ogrom wodnych kataklizmów; jest najczęstszą metaforą w opowieściach o wygładzie i skutkach powodzi. Nieco grubym byłby co prawda bon mot, że potop biblijny tak ma się do powodzi, jak romantyzm emigracyjny do romantyzmu krajowego, lecz w sposób naturalny o tego rodzaju codziennych zagrożeniach i klęskach opowiada się najszybciej i najszczegółowiej na miejscu, w prasie i relacjach spisywanych na żywo; stajemy twarzą w twarz z konkretem doświadczenia rzadko poddawanego uniwersalnym uogólnieniom i poetyckim czy filozoficznym interpretacjom.

Mickiewicz, opowiadając Francuzom o naszych ziemiach jako miejscu wolnym od klęsk powodziowych, oczywiście przesadza, choć chodzi mu raczej o ogólną życzliwość przyrody w Polsce czy szerzej w krainach słowiańskich, no i brak „zalewów morskich”, czyli – zapewne czytał ówczesne relacje z całego świata i znał historię libońskiego trzęsienia ziemi – tsunami. Powodzie pozostają w całej Europie bodaj najlepiej udokumentowaną klęską żywiołową i to od wielu stuleci; w polskim piśmiennictwie wczesne wzmianki o nich znajdziemy u Długosza, który pisze wręcz o powodziach jeszcze z końca x i z x1 wieku. W xix wieku ziemie polskie według różnych dokumentów nawiedziło ponad dwadzieścia wielkich powodzi, takich, które wywołały ogromne spustoszenia; mniejszych powodzi – i notatek o nich – było bez liku, zresztą historycy klimatu uznają wiek xix w całej Europie wręcz za stulecie powodzi. Do największych i najbardziej katastrofalnych na terenach Polski należały powodzie w roku 1813, tak w dorzeczu Wisły, jak Odry. Dotknęły one zresztą wiele regionów Europy Środkowej; uważa się, że na Śląsku powódź roku 1813 bardzo utrudniła działania wojenne wojskom Napoleona i była jedną z przyczyn przyspieszających ich klęskę. Pod wodą znalazło się wówczas wiele dzielnic

Krakowa, a także Warszawy. Tę ostatnią wielką powódź dotknęła w lipcu 1844 roku, gdy rzeka zalała całe Powiśle i podeszła pod Stare Miasto. Inną fatalną datą są lata 1854 i 1855, zwłaszcza w dorzeczu Odry. W wyniku przzerwania wałów przeciwpowodziowych zginęły wówczas 162 osoby. Również w Warszawie powódź zatorowa tamtego roku spowodowała śmierć ponad 100 osób i zalanie stu kilkudziesięciu okolicznych wsi.

Daty można zresztą jeszcze długo mnożyć. Wiele specyfikacji polskich, a zwłaszcza nadwiślańskich powodzi zawdzięczamy inżynierowi Wilhelmowi Kolbergowi¹. Odnotował on czternaście istotnych powodzi warszawskich – głównie zatorowych – w latach 1817–1864. Należy od razu dodać, że powodzie zdają się najlepiej i najbardziej „technicznie” udokumentowanymi klęskami żywiołowymi. Historycy mogą bez większego trudu odtworzyć stany wody z całego stulecia; już wspomniana największa powódź z 1813 została na podstawie ówczesnych doniesień dokładnie „wymierzona”; dzięki zapisom prasowym można było przedstawić precyzyjną historię powodzi w dziewiętnastowiecznej Małopolsce, na Mazowszu czy w Polsce północnej; istotną pomocą historyczną są tu oczywiście znaki powodziowe, jak wówczas mawiano „wodoskazy”, których odczyty powszechnie notowano. We wspomnianej publikacji Wilhelma Kolberga znajdziemy bardzo dokładne tabele z odczytami wiślanych stanów wód z całej pierwszej połowy XIX wieku.

Wielkie powodzie, o których mowa, miały katastrofalne skutki. Setki ofiar w dorzeczu Odry, około czterdziestu ofiar w jednej powodzi toruńskiej w 1853 roku. Zerwane mosty, konie i domy płynące Wisłą, jak to opisywano w roku 1855 – dramatycznych świadectw tego, co z klimatycznego zdarzenia szybko przemieniało się w katakлизm, nie brakuje. Jedną z najlepiej udokumentowanych – aż po nazwiska ofiar – pozostaje wymieniona powódź toruńska, która

¹ Zob. *Wisła, jej bieg, własności i splawność, rozpoznawane przez Wilhelma Kolberga*, Warszawa 1861.

na długo pozostała w pamięci miasta, o czym świadczą żałobne obchody kolejnych jej rocznic (jak w roku 1903, pół wieku po katastrofie). Dokładniej mówiąc, nie tyle sama powódź, która dotknęła okolice Torunia, oszczędzając samo miasto, co podcięcie 9 marca 1853 roku miejskiego mostu przez zator lodowy, który ruszył gwałtownie z miejsca. Zdarzenie namalował toruński malarz Teodor Napoleon Jacobi, a szczegółowo opisał toruński dziennik „Thorner Wochenblatt”, cytowany w antologii. Wielu robotników naprawiających most znalazło się wówczas na dryfujących krach; dzięki informacjom przekazanych przez posłańców do niżej położonych miejscowości udało się uratować kilka osób. Bezpośrednią przyczyną tragedii było tyleż nagłe ruszenie lodów, co brak szybkiej komunikacji. Prace na moście prowadzono, przewidując, że kry jeszcze długo ani drgną. Gdyby wiadomość o ich ruszeniu dotarła wcześniej – w Warszawie wiadano już o tym od kilkudziesięciu godzin – prace zostałyby wstrzymane². *Toutes proportions gardées*, ten „niewielki” epizod kieruje myśli do katastrofalnego tsunami indonezyjskiego sprzed kilku lat: tam również – półtora wieku później – zabrakło komunikacyjnej szybkości, która w przypadku klęsk żywiołowych ma fundamentalne znaczenie.

Najbardziej narażonym na regularne zalanie obszarem na terenie Polski były oczywiście Żuławy; zapiski Wincentego Pola i jego sztuka dramatyczna *Powódź* unaoczniają zagrożenia, lecz zarazem wskazują, że życie z żywiołem toczyło się, by tak rzec, w ramach codzienności oraz że powódź, wpisana w powtarzalny cykl pór roku, traciła wyjątkowy charakter i nie była raczej przeżywana jako katastrofa.

Požary. Pożary to chleb codzienny katastrof, niemal każde miasto ma w swych kronikach zapisy o pójściu z dymem całych dzielnic. 1813 – pożar gdańskiej Wyspy Spichrzów (132 spichlerze), 1819 – wielki pożar Gniezna, 1820 – Łañcut i wielki pożar Buska,

² Szymon Spandowski, „*Belki lamaly się jak zapalki*”, <http://www.nowosci.com.pl/torun/a/belki-lamaly-sie-jak-zapalki-retro-katastrofy,10819878/>.

1822 – wielki pożar Mrągowa, 1842 – wielki pożar Bełchatowa. Podaję tylko przykładowe daty z przykładowych miast, w których doszło do poważnych pożarów. Niewątpliwie polską katastrofą stulecia, najdokładniej opisaną przez wielu bezpośrednich świadków, był wielodniowy pożar Krakowa w 1855 roku. Najbardziej uderza fakt, że przenosił się on z miejsca na miejsce, uspokajał i wybuchał nagle w kolejnej przestrzeni, stając się rodzajem katastrofy kroczącej, rozpisanej w czasie. Bardzo dobrze udokumentowanej; pożar ten zaowocował bodaj najpełniejszym zapism polskiej katastrofy tamtego stulecia, tak od strony pamiętnikarskiej, jak czysto fakto-graficznej i dokumentalnej.

Innym przykładem szczegółowego dokumentalnego zapisu są zachowane w archiwaliach Siedlec dokumenty poświęcone wielkiemu pożarowi w roku 1854 (jeden z trzech w latach 1854–1874, najgroźniejszy), który strawił znaczną część miasta. Spłonęły trzy czwarte – bo 245 – domów, ponadto budynki publiczne, browar, bożnica i inne. Łączne straty wyniosły dokładnie „248 410 rubli srebrnych”. W archiwach podano precyzyjny przebieg pożaru, nazwiska osób, które pierwsze go zauważyły, nazwiska pełniących wartę tamtego dnia, rodzaj użytego sprzętu, a także bardzo pedantycznie przedstawiony rozdział finansowych środków, podzielonych między pogorzalców³.

W Siedlcach, jak w całym kraju, działały – nie dość, jak się okazywało, skutecznie – ogniowe warty (instytucjonalną straż ogniową w Warszawie powołano dopiero w w 1836 roku), o których wzmiankują różne wspomnienia z życia wiejskiego; porządek ogniowy na prowincji organizowany był od setek lat i jego elementy – podobnie jak oznaki wszechobecnego strachu przed pożarem – można znaleźć w pamiętnikarskich zapiskach pojawiających się w antologii.

Do pożaru krakowskiego doszło w osiem lat po najgłośniejszym – nie licząc pożaru moskiewskiego w roku 1812 – europejskim

³ Wszystkie informacje podaję za: Wanda Więch-Tchórzewska, *Pożar w Siedlcach w 1854 roku, najgroźniejsza klęska żywiołowa miasta w XIX w.*, „Szkice Podlaskie” 2002, nr 10, s.164–174.

pożarze stulecia. W roku 1842 z dymem poszło kilka dzielnic Hamburga. Tak ze względu na sam przebieg zdarzeń, jak na strategiczne dla międzynarodowego handlu znaczenie miasta i wielkość strat materialnych, wywołujących łańcuchową reakcję krachu na giełdach europejskich, o pożarze tym informowała szeroko cała prasa europejska. Pierwsze wielkie projekty współpracy i pomocy międzynarodowej mającej łagodzić skutki katastrof powstały wkrótce po tej właśnie katastrofie.

Katastrofy morskie. Pozostańmy jeszcze przez chwilę przy wysokiej wodzie, myśląc o tych, co na morzu. Pod koniec lat 50. XIX wieku „Gazeta Warszawska” donosiła: „Przemysł morskich transportów, który nazwać by można wielką bitwą człowieka z morzem, poniósł w 1858 ogromne straty. Liczą w przybliżeniu, że 30 000 statków kupieckich wszelkiego rozmiaru, rodzaju, objemu i narodowości puszczano się w 1858 na ogromne masy wody oblewającej trzy czwarte części naszego planety. Z tej liczby zginęło ich 3073. Cóż to za okropna danina, bo przechodzi 10 procent od sta”⁴. Po czym następują szczegółowe statystyki katastrof wedle przyczyn i przynależności do narodowych bander. I jeszcze jeden pokrewny cytat, wskazujący na rozmiar i znaczenie katastrof morskich. „Na giełdzie petersburskiej ogłoszono, że około 60 okrętów rozbitych zostało podczas ostatniej burzy na morzach między Rosją i Anglią. Wymieniono 5 statków parowych, a między tymi wielki okręt parowy *Arctic* jadący z Anglii do Petersburga z ładunkiem towarów i pasażerami. Szczęściem mała tylko ilość ludzi utraciła życie”⁵. Katastrofy morskie przyciągały uwagę bardziej niż inne, lądowe katastrofy transportowe; ze względu na ogromnie dynamiczny rozwój żeglugi międzyatlantyckiej ich liczba stale rosła. Typ katastrof zależy oczywiście od postępu technicznego – powiedz mi, jaka zdarzyła się katastrofa, a ja ci powiem, jaka stała za nią technika. Wymyślić techniczną innowację znaczy również wymyślić

⁴ Gazeta Warszawska, 3 lutego 1859 roku.

⁵ Gazeta Lwowska, 9 lutego 1855 roku.

nowy rodzaj katastrofy⁶; w tym przypadku, niezależnie od warunków pogodowych, większa szybkość okrętów, dzięki wynalazkowi maszyn parowych, i większa bezwładność zwiększonej masy potęgowała rozmiary ewentualnych zderzeń i kolizji. Ale też – jak dowodzi tego przykład „Austrii” w roku 1854 – zwiększona liczba pasażerów, głównie emigrantów, powodowała konieczność dodatkowych działań sanitarnych; ogień na „Austrii” został zaproszony w czasie okadzania pokładu i pomieszczeń podpokładowych w celu sterylizacji. Każda nowa okoliczność związana z postępowaniem jest zarazem potencjalnym zarzewiem katastrofy; gwałtowny dziewiętnastowieczny rozwój środków transportu dobrze ilustruje tę prawidłowość.

Każdy typ katastrofy obrasta swoją literaturą dokumentalną i piękną oraz ikonografią; można układać tematyczne antologie każdego z nich. Zapewne katastrofy morskie, osadzone w dziejach od dawna, przyniosłyby największą ilość stron, nie tylko ze względu na ich częstotliwość, lecz także na świadectwa rozbitek, którym udało się przeżyć.

Nasza morskie piśmiennictwo i wczesno-, i późnoromantyczne nie obfituje w nadzwyczajne wypadki, choć nie brak poetyckich opisów burz morskich. Przedsmak dramatycznych zdarzeń, które stały się udziałem innych, mniej fortunnych podróżników, przynoszą zapiski Domeyki opowiadające o groźnym utknięciu statku na mieliźnie u wybrzeży Brazylii czy wspomnienia uczestnika jednej z morskich katastrof Tomasza Teodora Jeża, który swoje przeżycia przedstawił w formie na wpół zbeletryzowanej. Lubię zwłaszcza następujący fragment, gdyż symbolicznie pokazuje różnicę między „wielkimi” katastrofami „zagranicznymi”, jak katastrofa „Meduzy” czy „Austrii”, a naszym skromnym polskim doświadczeniem – i cierpieniem – morskim: „W chwili tej drzwi od kajuty kapitańskiej otworzyły się i odezwał się głos Łuniewskiego (kapitana): – Polecajcie się Bogu, bracia: rozbiliśmy się [...]

⁶ Por. prace Paula Virilio, m.in. *Wypadek pierwotny*, Warszawa 2007.

Wzuwałem buty. Mikułowski się odezwał: – Butów przecie nie wkładaj. – No jakże? – odparłem. – Ciężko ci będzie pływać, gdy się do wody wysypimy⁷.

Katastrofami morskimi interesował się Cyprian Kamil Norwid. Zapewne bez własnych doświadczeń z rejsu do Ameryki i z powrotem, i bez zalewu informacji prasowych o kolejnych zatopionych okrętach nie powstałoby, albo przyjęłoby inną postać jego wielokrotnie komentowane opowiadanie *Cywilizacja*.

W wykładzie o Juliuszu Słowackim Norwid odwołuje się do obrazu odnalezionego w *Legendzie* Krasińskiego, który w swej korespondencji odnotowuje zresztą wszelkie zasłyszane katastrofy morskie, „wielkiego i posępnego okrętu bez płócien i masztów, a wszystkie fale kołami rozbija na pianę – i z pośrodku jego bucha słup dymu, który w nazad leci w nieskończoność”⁸. Norwid wykorzystuje ten symbol złowieszczej nowoczesności we własnym opowiadaniu, w którym przeciwstawiony dawnemu żaglowcowi statek parowy „Cywilizacja” idzie na dno. Należy pamiętać, że Norwid sam miał ciężką morską przeprawę do Ameryki, która co prawda – w przeciwieństwie do podróży przyjaciółki Mickiewiczza Margaret Fuller – skończyła się szczęśliwie, lecz również miała być pełna perypetii (burza roztrzaskała maszty jego żaglowca koło Irlandii, widział wokół szczątki innych statków). Kilka lat po powrocie z Ameryki duże wrażenie sprawiła na nim wiadomość o katastrofie okrętu parowego „Pacific”, którym sam podróżował był do Europy – zginął o nim wszelki ślad. W szczególności przejęła go wieść o odnalezieniu – niczym w niepowstałej jeszcze powieści Jules’a Verne’a – listu w butelce napisanego przez jednego z rozbitków, niejakiego Grahama, który przed utonięciem zdążył wyjaśnić przyczynę katastrofy: było nią zderzenie z górą lodową.

Użycie motywu katastrofy, a zwłaszcza katastrofy morskiej, do celów alegorycznych to nie tak rzadki przypadek; wyobrażnia

⁷ Teodor Tomasz Jeż, *Od kolebki przez życie*, Kraków 1936, t. 2, s. 412.

⁸ Cyprian Norwid, *O Juliuszu Słowackim w sześciu publicznych posiedzeniach*, w: tegoż, *Pisma wszystkie*, Warszawa 1971, t. IX, s. 440.

zbiorowa, nie tylko francuska, długo przechowywała pamięć o katastrofie „Meduzy” z 1816 roku, upamiętnionej przez słynny obraz Géricaulta. Katastrofa „Meduzy” znalazła echa już w Byronowskim *Don Juanie* (1818; Byron znał pierwsze relacje rozbitków; czytał też pilnie trzytomową *Shipwrecks and Disasters at Sea* z roku 1812⁹); później w powieści *Salamandra* Eugène’a Sue i wielu pomniejszych świadectwach po czasie – z których ostatnie opublikowano *nota bene* w 1946 roku. Ale też została rozśławiona przez procesy sądowe, które toczyły się przez kilka kolejnych lat; do złej sławy tej akurat katastrofy przyczyniły się wieści o aktach kanibalizmu, do jakich doszło wśród rozbitków. Jules Michelet pisał w mowie pożegnalnej dla Géricaulta: „Géricault namalował zatonięcie Francji, tratwę bez nadziei, która dryfowała, wysyłając znaki falom, pustkom, nie widząc dla siebie żadnej nadziei. To sama Francja, całe nasze społeczeństwo wsiadło na tę tratwę «Meduzy»”¹⁰. To zapewne najbardziej obecna w literaturze i ikonografii katastrofa morska tamtego stulecia, ale przez długie dziesięciolecia przetrwała też pamięć o innych głośnych wypadkach, wśród nich o katastrofie statku „Essex”, który w roku 1820 poszedł na dno w wyniku zderzenia z ogromnym kaszalotem; bezpośrednie echa tego zdarzenia odnajdziemy w „Moby Dicku” Melville’a. Podobnie jak w przypadku „Meduzy” zachowały się – wcześniej opublikowane – relacje rozbitków, czy raczej jednego z nich, Owena Chase’a. I jego świadectwo, tak jak świadectwa rozbitków „Meduzy”, mówi o aktach kanibalizmu.

O ile katastrofa „Meduzy” ujawniła, jak to się powiada, „najgorsze ludzkie instynkty”, o tyle relacje rozbitków statku „Grafton” w roku 1863 w pobliżu Nowej Zelandii przyniosły obrazy harmonijnej współpracy: rozbitkowie, którzy przeżyli, wzorem Robinsona stworzyli sobie warunki przetrwania na bezludnej wyspie, lecz przede wszystkim wykazali się zdolnością do stworzenia

⁹ O lekturach marynistycznych Byrona w: Philip W. Martin, *Byron. A Poet before his Public*, Cambridge 1982, s. 208–212.

¹⁰ Cyt. za: Philippe Masson, *L’Affaire de la Méduse*, Paris 1982.

braterskiej wspólnoty, o której budujące opowieści trafiły do szkół; jednak ich świadectwa zasiły głównie amerykański rynek pedagogiczny¹¹.

Spośród innych głośnych katastrof morskich tamtych czasów upamiętnionych przez liczne obrazy należy wspomnieć o zatonięciu „Amfitryty”, o którym pisze w swym pamiętniku Hoffmanowa z Tańskich. Statek wypłynął z Anglii i kierował się do Australii; rozbił się u wybrzeży Francji; na jego pokładzie znajdowało się ponad sto więźniarek, niektóre z dziećmi, skazanych na zesłanie na antypody. Jeszcze więcej pisano o wspomnianej katastrofie parowca „Austria”, do której doszło w następstwie pożaru na pokładzie; statek przewoził 530 osób z Hamburga do Nowego Jorku. Dzięki pomocy przepływających w pobliżu statków – francuskiego i norweskiego – zdołano uratować około 100 pasażerów. Do prasy polskiej dotarły również echa ogromnej katastrofy z roku 1858: parowca „Pensylwania” na rzece Missisipi; w wyniku wybuchu kotłów zginęło 250 osób. Więcej ofiar niż w przypadku „Titanica”, bo aż blisko 1600, przyniosła eksplozja na parostatku „Sultana” na Missisipi w roku 1865, również wywołana eksplozją kotłów. To największa amerykańska katastrofa morska, lecz nieco zapomniana m.in. ze względu na to, że nastąpiła wkrótce po zabójstwie prezydenta Lincolna i że tego samego dnia, w którym doszło do tragedii, aresztowano jego zabójcę¹².

Największe echa w Europie, również w polskiej prasie, wywołała jednak katastrofa transatlantyku „Arctic”, okrętu nowoczesnego i bardzo szybkiego, zdolnego dopłynąć do Nowego Jorku w dzień dni, co było ówczesnym rekordem. Zachowało się kilka świadectw rozbitków, którzy przeżyli; zapomniały one przez długie dni szpały wielu gazet. W gęstej mgle, w odległości 45 mil od Nowej Fundlandii, „Arctic” zderzył się z francuskim statkiem rybackim

¹¹ Por. *Les Naufragés. Témoignages vécus xviiie siècle – xxe siècle*, présenté par Dominique Le Brun, Paris 2014, s. 325–521.

¹² Por. Nigel Cawthorne, *Wraki, tragedie i katastrofy morskie*, przeł. Olga Kaczmarek, Warszawa 2008.

„Vesta”; zderzenie początkowo wyglądało nie tak groźnie dla potężnego „Arctica”; wkrótce jednak okręt poszedł na dno. Zginęło 350 osób; uratowało się około 60 członków załogi i tylko 24 pasażerów, w tym ani jedna kobieta i ani jedno dziecko – fakt ten wzbudził ogromne poruszenie.

Jak wspomniałem, polskie doświadczenie żeglugi było zbyt małe, by stworzyć z nas naród morski, przeznaczony odkryciom – i katastrofom. Wśród bardzo nielicznych „polskich” świadectw związanych z morskimi katastrofami w XIX wieku znajduje się relacja zachowana w aktach radziwiłłowskich przechowywanych w Archiwum Głównym Akt Dawnych; przytaczam ją jako uzupełnienie skąpych świadectw marynistycznych z „naszej” strony. „(...) w nocy z 7 na 8 kwietnia 1808 r. wybrzeże morskie w pobliżu pruskiego wówczas miasta Klajpedy (obecnie na Litwie) było świadkiem równie tragicznych zdarzeń, jakie przeżywali pasażerowie «Titanica». Angielski statek pasażerski «Agatha» płynący z Lipawy do Szwecji został zaatakowany przez gwałtowną burzę. Najprawdopodobniej osiadł na mieliźnie, a następnie przechylił się tak mocno, że część pasażerów wypadła za burtę i utonęła. Mieszkańcy Klajpedy, obserwujący to zdarzenie znad brzegu, dostrzegli także na pokładzie pożar. W pobliżu zagrożonej jednostki pływającej była spora pływająca, dlatego nie mógł podpłynąć do niej żaden inny statek, a łódzie ratunkowe ze względu na szalejące fale zbliżyły się doń jedynie na odległość 100 kroków, nie mogąc udzielić pomocy rozbitkom. Łącznie na pokładzie statku znajdowało się 27 osób, głównie pochodzenia angielskiego. Świadkowie widzieli, jak część z nich utonęła po wypadnięciu za burtę. Następnego dnia dopiero udało się kapitanowi portowemu Schroederowi wraz z grupą ratowników podpłynąć do wraku okrętu. Uratowano kilka żywych osób, m.in. portugalskiego dyplomatę i angielską hrabinę. Mężczyzna ten, stojąc całą noc w wodzie, trzymał na rękach ową hrabinę – Elisabeth Primrose Pollen, której mąż, Georg Augustus Pollen wypadłszy za burtę, utonął w morzu. Wśród zmarłych znaleźli się ponadto inni arystokraci angielscy, jak np. lord Royston.

Dramat hrabiny Pollen okazał się o tyle większy, że nie udało się od razu odnaleźć ciała jej męża. Morze wyrzuciło je na brzeg dopiero wiosną 1809 r. w pobliżu ujścia rzeki Święta, 7 mil od Kłajpedy. Sytuację skomplikował dodatkowo fakt, że był to już teren państwa rosyjskiego, co utrudniło sprowadzenie zwłok na Wyspy Brytyjskie¹³.

W Archiwum Warszawskim Radziwiłłów znajduje się korespondencja hrabiny E. P. Pollen z księżną Luizą Radziwiłłową i kopia korespondencji urzędowej dotyczącej ciała lorda Pollena. Niestety nie udało mi się odczytać listu i nie zamieszczam go w antologii¹³.

Wstrząsowi, jaki wywołała katastrofa „Meduzy”, historycy przypisują powstanie powieści marynistycznej. W jej pierwszym okresie rozwoju, do lat 40. XIX wieku dominuje poetyka sensacyjno-frenetyczna; opowieści skupiają się często na dramatycznych wypadkach i katastrofach (pominięte tu pożary na okrętach „Kent” i „Sophie”, zatonięcia wielkich okrętów wojskowych, w tym słynnego „Droits de l’Homme”, obfitująca w mnogie komentarze wspomniana katastrofa okrętu „Arctic” itd.), w tym czasie pojawiają się wielotomowe kompendia katastrof morskich, różnego rodzaju *histoire des naufrages*. W późniejszej literaturze marynistycznej wzmacnia się w nich motyw ludzkiego heroizmu¹⁴.

Wypadki kolejowe. „Różne przypadki i przygody w naszych przejażdżkach i podróżach doświadczyliśmy, i tak do mego zamążpójścia trzydzieści razy przewróciliśmy się z kareta, a zagrzęźnięć w błocie nie naliczę, gdyż zawsze nocą jechałyśmy”¹⁵, wspominała Henrietta z Działyńskich Błędowska czasy sprzed kolei żelaznej – stan dróg w Polsce, jak wynika z różnych świadectw, był bardzo słaby, co zapewne przyczyniało się do wielu wypadków, lecz z drugiej strony hamowało ilość wypadków najgroźniejszych, wynikających z nadmiernej szybkości.

¹³ Informacja i tekst notatki dzięki uprzejmości p. dr Teresy Rączki-Jeziorskiej.

¹⁴ Por. Monique Brosse, *Littérature marginale: les histoire des naufrages*, „Romantisme” 1974, nr 4, s. 112–120.

¹⁵ Henrietta z Działyńskich Błędowska, *Pamiętka przeszłości. Wspomnienia z lat 1794–1832*, Warszawa 1960, s. 64.

Pierwsze linie kolejowe – od razu bardzo oblegane – powstały w Europie w latach 30., w wyniku czego zmienił się charakter wypadków komunikacyjnych. W bardzo rozwiniętym systemie transportu konnego było ich co niemiara. W samym roku 1832 we Francji, gdzie prowadzono już statystyki, zdarzyło się ich ponad cztery tysiące. Jednym z najbardziej zdumiewających tekstów poświęconych transportowi konnemu jest *Angielski dylżans pocztowy* Thomasa de Quinceya, wyrastający i formą literacką, i głębią spostrzeżeń oraz precyzją opisów, a także nadzwyczajnym wyczuciem drobiazgu – sekunda wypadku opisana jest na dwudziestu stronach – ponad wszystko, co o katastrofie transportowej w XIX wieku napisano.

Nastanie kolei żelaznej przemieniło statystyki; były wypadki w okresie pionierskim, największy związany z wybuchem kotła eksperymentalnej lokomotywy Brunton's Mechanical Traveller („The Steam Horse”, 1815, Anglia), lecz przez pierwszych kilka lat ze względu na zbyt małą prędkość praktycznie nie było jeszcze kolejów ani też zderzeń (do pierwszego wielkiego zderzenia dwóch pociągów doszło w Stanach w roku 1837) ze względu na mały jeszcze ruch. Ofiarami – ponad sto osób w samej Francji w pierwszych dwóch latach – byli przede wszystkim piesi; szyny przechodziły nieraz przez środek miast i wiosek, ginęli oczekujący na peronach, śpiący na szynach albo pasażerowie niebacznie wychylający się przez okna i drzwi wagonów – do tego stopnia, że zarządzono zamknięcie tychże na klucz. Dopiero pożar, który wybuchł w roku 1842 w pociągu jadącym do Meudon na linii wersalskiej (była to najgłośniejsza katastrofa kolejowa tamtych czasów), spowodował tyle ofiar, odcinając pasażerom drogę ucieczki, że decyzję odwołano. Oddzielny rozdział w historii katastrof kolejowych tworzą zawalone mosty, które nie wytrzymały ciężaru i napięcia; najwięcej takich przypadków zdarzyło się w krajach anglosaskich.

W prasie i literaturze drugorzędnej równoległe z rozwojem kolei można śledzić perypetie związane z ryzykiem (instrukcje: jak wsiadać i wysiadać z pociągu) i bezpieczeństwem (nie tylko ze względu na wypadki mechaniczne, ale też zagrożenia biologiczne;

np. bardzo obawiano się złego powietrza w tunelach i mikrobów, kiedy już mikroby wykryto). Pojawia się też – w prasie zachodniej – pojęcie „komisji” badającej wypadki, przed katastrofą wersalską nieznaną; katastrofa ta doprowadziła też do jednego z pierwszych, o ile nie pierwszego, procesu, w którym winnych tragedii postawiono w stan oskarżenia.

Do chwili uruchomienia pierwszych linii kolejowych zaczęło powstawać dużo poezji okolicznościowej związanej z jazdą pociągami. Trzeba było jednak dobrych 30–40 lat, aby kolej wkroczyła (wraz ze swoimi wypadkami) pełną parą do literatury wielkiej (Tołstoj, Prus, Zola); w romantycznych pismach do 1850 roku jest ona bardzo nieznacznie obecna¹⁶.

Do lat 60. XIX wieku nie ma – na ile to zdołałem rozpoznać – poważnych katastrof czy nawet wypadków kolejowych w Polsce. Pojawiają się natomiast refleksje na temat ryzyka podróży kolejowej w porównaniu z podróżą powozem; podobnie jak w przypadku współczesnych porównań nad najbezpieczniejszymi środkami transportu, wyższość środka nowocześniejszego z czasem jest wykazywana coraz wyraźniej. W roku 1843 wspomniany wyżej Wilhelm Kolberg opublikował bardzo dokładnie opracowaną – zwłaszcza jeśli zważyć znikome jeszcze polskie doświadczenie kolei – książkę poświęconą rozwojowi transportu kolejowego na świecie¹⁷. I on wskazywał na małą ilość wypadków, choć wspomina już o katastrofie wersalskiej.

Trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów. Polska prasa rzadko podawała wieści o wybuchach wulkanów, natomiast dość pilnie przekazuje informacje o trzęsieniach ziemi, zarówno tych w miarę bliskich (Włochy przede wszystkim), jak i zdarzających się w miejscach najbardziej odległych; przede wszystkim w Ameryce Południowej, która była o wiele lepiej obsługiwana medialnie niż regiony Dalekiego Wschodu. Odnaleźć też można nieliczne zapiski

¹⁶ Por. Anne Carol, *Expérience ferroviaire. Culture somatique et voyage en train au XIX siècle*, w: Christophe Granger, *Histoire par corps*, Paris 2012, s. 76–107.

¹⁷ *Drogi żelazne w Europie*, opisał Wilhelm Kolberg, Warszawa 1844.

pamiętnikarskie dotyczące niewielkich trzęsień ziemi w Polsce; w Karpatach w roku 1853, na Wołyniu pół wieku wcześniej oraz w Krakowie i na Śląsku.

O ile wieści o katastrofalnych erupcjach wulkanów indonezyjskich do nas nie docierają, o tyle aktywność nieodległego Wezuwiusza jest – co naturalne – śledzona uważnie; nie ma potrzeby przypominać, jak mocno obecny jest Wezuwiusz nie tylko w literaturze pamiętnikarsko-podróżniczej (począwszy od Staszica, obserwowanego przez parę dni „wyrzuty kamieni”¹⁸), lecz także, jako dostawca metafor, pięknej¹⁹. Przed nastaniem „mody” na Wezuwiusza dochodziły informacje o przerażającej, prawdopodobnie największej w dziejach nowożytnych, i poprzedzonej długim trzęsieniem ziemi erupcji wulkanu Laki na Islandii (1783), czego echa dostrzec można w *Lilli Wenedzie*.

Cholera. W przeciwieństwie do innych katastrof i klęsk epidemia cholery – choroby, która pojawiła się w chwili, gdy z Europy wycofywała się już dzuma – była procesem rozwijającym się w czasie; stwarzała permanentny stan zagrożenia; drugą – niewidzialną – rzeczywistość, która kryje się za pierwszą, widzialną. Była bliską przyszłością, która mogła dotknąć każdego. Literatura dotycząca największych fal cholery, pierwszej, bardziej morderczej w roku 1830–1835, kolejnych w latach 1848–1860 (w istocie cholera groziła jednak przez cały czas i z roku na rok odnotowywano nowe zachorowania) jest z tego względu ogromna. Składają się na nią tak bezpośrednio świadectwa, jak ówczesne różne traktaty medyczne; epidemii w Europie poświęcono wiele książek; jest to kataklizm najlepiej historycznie przebadany. Liczne były ówczesne doniesienia prasowe o kolejnych ogniskach epidemii, wybuchającej w całej Europie; chorobie na bieżąco poświęcano specjalne publikacje, na

¹⁸ *Dziennik podróży Stanisława Staszica 1789–1805*, z rękopisów wydał Czesław Leśniewski, Kraków 1931, s. 150.

¹⁹ Por. Aleksander Nawarecki, „*Nasz naród jak lawa*”. *Romantycy polscy pod Wezuwiuszem*, w: *Genius loci w kulturze europejskiej: Kampania i Neapol*, pod redakcją Tadeusza Sławka i Aleksandra Wilkonia przy współudziale Zbigniewa Kadłubka, Katowice 2007, s. 9–26.

przykład w Królewcu ukazało się szesnaście numerów „Cholera Zeitung”. Kwarantanny i próby tworzenia kordonów sanitarnych były na porządku dziennym w całej Europie; polscy powstańcy, którzy po klęsce powstania przedostawali się do Prus, musieli przeczekiwać na granicy nieraz po kilka dni. Niekiedy zamykano całe miasta, co prowadziło do zamieszek – w Rosji i Francji wielokrotnych, nieraz bardzo gwałtownych i krwawo, jak w Petersburgu, tłumionych – gdyż ograniczenia ruchu wiązały się między innymi z restrykcjami gospodarczymi; zamierał handel i możliwości zarobku. Innym przykładem zamieszek mogą być zdarzenia z Królewca, otoczonego kordonem i pozbawionego dostaw żywności. Rozsierdzony, ożywiony różnymi plotkami tłum zaatakował posterunek policji i miejscowy szpital; 500 osób aresztowano²⁰.

Pierwsza fala epidemii, a właściwie tym razem już pandemii, trafiła do Polski od wschodu; jako jej bezpośrednią przyczynę podaje się nadejście do walki z armią powstańczą wojsk rosyjskich; to właśnie je oskarżano o przywleczenie choroby; do Rosji cholera miała dostać się z Indii przez Persję i Turcję, z którą Rosja prowadziła wojnę w latach 1828–1829. Źródła historyczne mówią o wysokiej zapadalności na chorobę; w Rosji miała umrzeć jedna osoba na dwadzieścia; w Polsce miała dotknąć jedną osobę na trzydzieści; we Lwowie i w Krakowie miało umrzeć 4% populacji, w Toruniu aż 10%. Do ksiąg metrykalnych zapis o przyczynie śmierci wprowadzono ok. 1770 roku, przeto możliwe jest w miarę dokładne rozpoznanie zasięgu epidemii, aczkolwiek nieraz wpisywano fantazyjne nazwy chorób. Do dzisiaj można spotkać rozsiane po całym kraju cmentarze i cmentarzyki choleryczne i kapliczki oraz krzyże pamiątkowe (zwane karawakami), co należało do tradycji cholerycznej w całej Europie.

Jeden przykład: cmentarzyk w Chełmnie Śląskim, miasteczku, w którym na cholere zmarło w 1831 roku 280 osób; grzebano je

²⁰ Więcej o tym na: http://encyklopedia.warmia.mazury.pl/index.php/Epidemia_cholery_w_XIX_wieku.

w miejscu zwanym Łysą Górą. Na jednej z tablic ocaleni wykuli napis: „Jezu, oddal od nas cholere morową, jakąś Chełm karał w tym roku tą karą/ Łysa Góra przed tym, teraz jest Smutną, bo nam przypominaś tę plagę okrutną”²¹. W archiwach państwowych, a także w parafiach polskich można nadal odnaleźć zbiorowe akty zgonu na cholere; np. archiwum w Płocku dysponuje rejestrem zmarłych na cholere w latach 1837–1864; zajmuje on 34 strony. W niektórych gazetach, jak w „Wiener Zeitung”, podawano na bieżąco dokładne statystyki zmarłych. Cholera mocno zakorzeniła się w ówczesnym imaginariu ludowym, stała się częścią folkloru religijnego: tematem pielgrzymek błagalno-ślubowanych i dziękczynnych, modlitw do patronów, odpustów w intencji świętych²². Pierwszym dziełem literackim w pełni poświęconym tej chorobie jest prawdopodobnie *Den indiske cholera* z roku 1835, dramat największego poety norweskiego Henrika Wergelanda, w którym o rozniesienie choroby na cały świat oskarża się kolonialną Anglię; Wergeland opisuje też nierówności społeczne, które ujawnia epidemia. Łatwo to zrozumieć, kiedy przeczytamy w antologii – jako *pars pro toto* – fragment wspomnień Henrietty z Działyńskich Błędowskiej, ilustrujący, w jaki sposób arystokracja usiłuje zapewnić sobie przeżycie. Społeczne napięcia wiążące się z epidemią najostrzej wyraziły się we Francji, osiągając kulminację podczas rozruchów paryskich w czerwcu 1832 roku. Dwie, by tak rzec, interpretacje choroby ostro przeciwstawiały sobie mieszczaństwo i klasę robotniczą. Według tego pierwszego cholera była przede wszystkim chorobą biedoty i tym samym zagrożeniem społecznym. Interpretacja z drugiej strony mówiła o celowym roznoszeniu choroby wśród biedoty na wskutek spisku burżuazji, kleru i rządu²³.

²¹ Cyt. za: <http://www.mapakultury.pl/art,pl,mapa-kultury,30027.html>.

²² Por. Marek Paweł Czaplinski, *Epidemie cholery w rejencji opolskiej w latach 1831–1894*, Rybnik 2012, s. 235–253. Tam również bardzo kompletna bibliografia dotycząca epidemii cholery w XIX wieku – nie wymieniam innych książek, gdyż jest ich mrowie.

²³ Szerzej na ten temat: *Le choléra, la première épidémie du XIX s., étude collective présentée par Louis Chevalier*, Paris 1958.

Interesujące byłoby zderzenie obu epidemii, dżumy i cholery, jako zdarzeń ujawniających mentalności Zachodu i Orientu. Podczas gdy cholera srożyła się w Europie, podróżujący na Wschód, w tym Juliusz Słowacki, odkrywali tam ciągłe zagrożenie dżumą; dżuma jest wręcz toposem podróży na Wschód²⁴. W tym samym mniej więcej czasie co Słowacki podróżował do Egiptu młody Szkot Kinglake, którego opis podróży, tłumaczony na francuski, był w latach 40. powszechnie czytany. Przedstawia on europejski i wschodni sposób reagowania na wieść o dżumie. Różnica sprowadza się do jak najdalej posuniętej sekwestracji w przypadku ludzi Zachodu, czyli zamknięciu w domostwach i odizolowaniu się od możliwych gniazd zarazy, i do niezmienności zachowań w przypadku ludzi Orientu: Kinglake wspomina o rodzaju „świętego fatalizmu” u tubylców, którego echo słyszymy też u Słowackiego. Ci pierwsi – Europejczycy, których Kinglake spotyka w Egipcie – strzegą się jakiegokolwiek kontaktu z tłumem; ci drudzy niczego w swych zwyczajach codziennych nie zmieniają i nie unikają spotkań. Kinglake nie opuszcza Kairu, gdzie próbuje żyć, w swym odczuciu heroicznie, na modłę rdzennych mieszkańców. Odnotowuje z myślą o zachodnim stylu mierzenia się ze śmiertelną chorobą: „Nie mogłem powstrzymać się, by nie patrzeć mużułmańskim okiem na wszystkie nędzne pomysły mające odwrócić wyrok przeznaczenia”²⁵. W antologii znajdziemy kilka wzmianek o takich „nędznych pomysłach” w przypadku cholery; w większości tekstów na pierwszy plan wybija się jednak sposób organizowania się zbiorowości wobec zagrożenia. Kiedy porówna się relacje z podróży na Wschód spisywane przez wędrowców osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych z wszelkiego rodzaju świadectwami dotyczącymi europejskich epidemii cholery, widać, jak coraz wyraźniej społeczeństwa europejskie, organizując się wobec śmiertelnego zagrożenia, stają się „społeczeństwem ryzyka”, podczas gdy społeczeństwa

²⁴ Por. Carine Fernandez-Alamoudi, *Rencontrer la peste en Orient*, w: *Invention de la catastrophe au XVIII^e siècle*, s. 319–334.

²⁵ Cyt. za: tamże, s. 330.

wschodnie nie wdrażają takiego procesu lub poddają mu się opie- szale i głównie wtedy, gdy uruchamiają go przedstawiciele admi- nistracji zachodniej.

Katastrofy budowlane. Najpoważniejsze katastrofy tego typu to zawalenia się mostów, najczęściej w wyniku powodzi. Najbar- dziej „widowiskową” i najczęściej wzmiankowaną w polskiej prasie i we wspomnieniach jest zaś zawalenie się wieży ratuszowej we Lwowie w roku 1821, w wyniku czego zginęło 8 osób. Katastrofa ta tym większy wywołała odgłos, że doszło do niej w parę godzin po wizycie komisji technicznej, która stwierdziła, że stan wieży nie budzi poważniejszych obaw.

Katastrofy budowlane i przemysłowe, związane z rozwojem techniki, wydają się na terenach Polski względnie nieliczne; podob- nie jak na całym świecie dochodzi do wybuchów w składach pro- chu, a nawet w mieszkaniach prywatnych, gdzie przechowywano materiały wybuchowe. Relacje o katastrofach górniczych dotyczą na ogół zdarzeń w Anglii i Belgii. Największa polska katastrofa górnicza wydarzyła się w roku 1881 w kopalni „Ludmiła”; zginęło w niej 200 osób; po latach opowiadanie *Listopad* poświęci temu zdarzeniu Aleksander Niemojewski²⁶.

Wypadki osobne. Lektura pamiętników oraz prasy unaocznia pewną oczywistość: niezależnie od klęsk żywiołowych, od katastrof morskich, kolejowych czy budowlanych ciało ludzkie zawsze jest narażone. Bez względu na stan cywilizacji, na środki ochronne, na sposoby zabezpieczania się przed różnymi nieszczęściami ciała zawsze coś się przytrafia. Jednym z dojmujących doznań po wspo- mnianej lekturze jest przeto wrażenie, że aczkolwiek można pisać historię katastrof, rozpatrywać kolejne ich typy, odznaczać te, które przechodzą do historii, gdyż przestają się zdarzać, odnotowywać zmiany w sposobie ochrony przed nimi, w trybie organizowania się zbiorowości, to nigdy nie da się zabezpieczyć ciała. W tym sensie – choć mówimy o zdarzeniach „w czasach romantyków” – dotykamy

²⁶ <http://romaquil.blog.onet.pl/2008/03/22/katastrofy-gornicze-cz-2/>.

też bezpośrednio uniwersalnego, pozaczasowego wymiaru katastrofy i wypadku. Zawsze możemy się fatalnie potknąć, wpaść do wody, zlecieć z dachu; jeśli nawet nie zapalą się na nas szaty jak sukienka na młodej Henriecie Działyńskiej, gdyż materiały na ubrania nie są już tak łatwopalne, to wypadek ten będzie zastąpiony innym – dzisiaj np. eksplozją baterii w komórce, a czym jutro – poszukajmy u Lema.

Zdecydowałem się też na oddanie kilku stron antologii *wypadkom śmiesznym*, to znaczy takim, w wyniku których nic poważnego się nie stało, „więcej było strachu” niż szkody, i które ostatecznie wywoływały śmiech i zapadały w pamięci jako zabawne epizody do opowiedzenia dzieciom i wnukom. Uśmiech czy śmiech zbliżają nas do tamtych ludzi; śmiech jest zawsze żywy. W tego rodzaju komicznych scenach, najbanalniejszych, niekiedy głupiutkich, wydają mi się najbliżsi; rewers śmiechu łączy nas z nimi może bardziej niż awers łez.

2. Dobroczyncy i herosi

Historia katastrof pokazuje, w jaki sposób organizują się zbiorowości, jak wytwarzają się wokół nich podwaliny społeczeństwa nowoczesnego. Wobec klęsk żywiołowych, a także wielkich wypadków pojawia się i rośnie w siłę na przykład zjawisko solidarności społecznej. Myśl o państwowym wsparciu dla ofiar katastrof zrodziła się w XVIII wieku. Jeden z pierwszych projektów powszechnych odszkodowań został przedstawiony za Wielkiej Rewolucji Francuskiej; w roku 1797 zgłaszane były pierwsze konkretne rezolucje dotyczące pomocy niesionej „obywatelom, którzy ucierpieli z powodu pożaru, gradu, powodzi”; nie doczekały się one jednak oficjalnej państwowej sankcji¹. Od czasów napoleońskich gazety polskie odnotowywały dary złożone ofiarom kataklizmów przez arystokratów, później przez całe wspólnoty – musiało upłynąć nieco czasu, by dobroczynność z okazjonalnej stała się regularną; „Hrabia Remuraż najwyższy dozorca widowisk przesłał Prefektowi departamentu gdzie leży Leodyium” – informuje jakże dokładnie wiosną 1812 roku „Gazeta Warszawska” – „2000 franków złożonych przez aktorów Teatru Francuskiego płatnych od Cesarza na zaratanie familii, które przez zalew kopalni przy Beaujon ucierpiały”. Do tej ofiary przyłączony był list z podpisami aktorów Teatru Francuskiego”². Uderza, jak bardzo szczegółowe są wzmianki w prasie, często też w pamiętnikach, o dobroczynnych darach dla ofiar katastrof. Podaje się nie tylko dokładne sumy, lecz także nazwiska – zwłaszcza rządzących oraz arystokratów – dobroczyńców. Wzmianek tych jest tak dużo, że zasługują na niewielki, ale odrębny rozdział w antologii. Katastrofy uruchamiają też ideę ubezpieczeń. Ich pierwsze projekty sięgają – w Niemczech na przykład – XVI wieku i dotyczą

¹ Por. René Favier, *God, Experts and Cataclysms*, s. 34–45.

² „Gazeta Warszawska”, 28 kwietnia 1812 roku.

ochrony przed pożarami. Jednak w sposób regularny towarzystwa ubezpieczeniowe zaczęły działać dopiero w XIX wieku; w prasie polskiej można znaleźć ich – jeszcze nie tak liczne – ogłoszenia, zwłaszcza towarzystw wiedeńskich.

Institucja państwa w wieku XIX coraz bardziej zaczyna rozumieć katastrofę jako zdarzenie wymagające politycznej reakcji. Katastrofa postrzegana jako zewnętrzna agresja wobec porządku społecznego zaczyna być wydarzeniem, wobec którego należy podjąć działanie; ma być obrobiona społecznie i kulturowo jako dramat; należy zająć się ofiarami, odtworzyć zniszczone miejsca, aby usunąć śmiertelne ślady, wytworzyć wspomnienie i wprowadzić je w obowiązujący typ zbiorowej pamięci; wobec katastrofy rozbudowuje się polityka państwowa. Z drugiej strony wykształca się nowoczesna socjotechnika władzy; od lat 40. na miejsce klęsk i wypadków udawali się prefekci, burmistrzowie, a później królowie, prezydenci i cesarzowie; przodował w tym Napoleon III, przedstawiany często w prasie w pozie zatroskania nad ofiarami wypadku czy w zadumie na wale przeciwpowodziowym; stał się on – dzięki szybkim połączeniom kolejowym – specjalistą od tzw. *voyages compassionnels*, „podróży współczucia”³. W roku 1856, wyjątkowo naznaczonym powodzią – fala powodziowa na Loarze dochodziła do ośmiu metrów – powstała cała seria anonimowych rycin przedstawiających cesarza na tle skutków katastrofy. Klęska malowana była na ogół bardzo nierealistycznie, jej następstwa przypominały raczej efekty działań wojennych. Wizyty cesarskie nad Loarą i Rodanem przyniosły też kilka renomowanych obrazów (Hippolyte Lazerges, Hippolyte Beauvais), na których cesarz, przybyły w towarzystwie najwyższych rangą przywódców wojskowych i odgrywający rolę zbawiciela, rozdaje pieniądze; obrazy utrzymane są w tonacji religijnej. Rzeczywiście środki przyznane przez rząd na reparację i prewencję były istotne, ale też podkreśla się, że cesarz

3 Por. Frédéric Caille, *Les héros du devoir. Presse populaire et traitement médiatique des catastrophes au XIX siècle*, w: *Récit et représentations des catastrophes depuis l'Antiquité*, sous la direction de René Favier et Anne-Marie Granet-Abisset, Grenoble 2005, s. 307–327.

wizytował – jak w Angers – miejsca, w których restauracja cesarstwa spotkała się z największym społecznym oporem⁴. W podróże współuczucia udawała się też cesarzowa Eugenia; znanych jest kilka obrazów (Auguste Feragu, Paul-Felix Guerie) przedstawiających jej wizytę w szpitalach zakaźnych podczas kolejnej ostrej fali epidemii cholery w roku 1866. Polska prasa w zaborze rosyjskim naturalnie przedrukowywała wszelkie informacje o odezwach i uczynkach miłosierdzia na dworze carskim; wydaje się, że było ich więcej niż w prasie zaboru austriackiego.

Stwierdziłem wyżej, że katastrofa morska, a także powódź zajmowały uprzywilejowane miejsce w społecznym imaginariu pierwszej połowy XIX wieku. Ten typ nieszczęścia najlepiej uwiadacznia również społeczną obróbkę katastrofy, charakterystyczną dla stulecia. Jednym z jej wymiarów było lansowanie postawy obywatelskiej, opowieść o katastrofie jako zdarzeniu, w którym ujawnia się hart ducha i umiejętność poświęcenia się. Pojawił się modny, tak w prasie, jak w literaturze felietonowej czy popularnej, a zwłaszcza w pismach ulotnych – dotyczy to nie tylko katastrof morskich, lecz także wszelkich innych – motyw ratowników, bohaterów, którzy z narażeniem życia rzucają się na ratunek innym. Typowa obróbka katastrofy przez druki ulotne w latach 30. (na podstawie analizy prasowego rynku francuskiego) przewidywała następujące etapy opisu: opis katastrofy (naturalnej bądź spowodowanej przez działania ludzkie), przypadek mienia, straty osobowe, powszechna panika i trwoga, heroiczna postawa paru jednostek; gorliwa pomoc ze strony władzy⁵. Bardzo podobny scenariusz notatki czy relacji odnajdujemy w prasie polskiej; często występują: postać bohaterskiego ratownika, akty odwagi zwykłych obywateli; naturalnie miejsce katastrofy morskiej zajęły „rodzime” katastrofy, zwłaszcza pożary. Katastrofy stawały się niekiedy inspiracją okolicznościowych tomików sprzedawanych na pomoc dla ofiar oraz

⁴ Por. <http://www.archives49.fr/histoire-de-lanjou/il-etait-une-fois-lanjou/xixe-siecle/>, <http://www.histoire-image.org/site/oeuvre/analyse.php?i=395>.

⁵ Szerzej na ten temat: Frédéric Caille, *Les héros du devoir*, s. 307–319.

okolicznościowych dzieł literackich, jak na przykład – opisane w antologii – bohaterskie czyny anonimowych obywateli podczas katastrofy wersalskiej czy pożarów w Krakowie i Warszawie. Odrębny rozdział w antologii ilustruje znaczenie postaw heroicznych; ich przykłady będą zresztą rozsiane po wszystkich wypisach.

Ten konsolacyjno-romantyczny wątek, u nas mimo wszystko anegdotyczny, jest na tyle ważny w takiej kulturze jak szwajcarska, że staje się on nie tylko przykładem pedagogicznym, ale wręcz mitem założycielskim dla narodowego stylu zachowań i stylu myślenia. Za jeden z fundamentów tego mitu uznaje się *Wilhelma Tella* Schillera z 1804 roku. W utworze tym mowa jest o dwóch rodzajach zagrożenia: obcych najeźdźcach i tyranach, oraz klęskach żywiołowych. Wilhelm Tell daje sobie radę z jednymi i drugimi, staje się ratownikiem, zbawcą, kimś, kto tworzy szwajcarską „wspólnotę dobrej woli” zmagającą się z groźną przyrodą. Dodam, że szwajcarskie opracowania historii katastrof i kataklizmów w XIX wieku są udokumentowane najdokładniej. Istnieje, jak pokazuje Christian Pfister, bardzo mocna więź między konstrukcją tożsamości narodowej i konstrukcją samego państwa szwajcarskiego a sposobami radzenia sobie z katastrofami i wytwarzania w tej konfrontacji mocy spajającej zbiorowość⁶.

Lizbońskie trzęsienie ziemi zintensyfikowało, jak wiadomo, czysto naukową refleksję nad katastrofami. Inżynierowie i, mówiąc dzisiejszym językiem, eksperci coraz aktywniej brali udział w zarządzaniu siedliskami i posługiwali się coraz bardziej naukowym językiem. Oczywiście podejście „praktyczne” do katastrofy, sposoby ograniczenia jej skutków i próby – zwłaszcza w przypadku powodzi – im zapobieżenia liczą setki lat. Na terenie Polski dziewiętnastowiecznej poza różnymi działaniami przeciwpowodziowymi największą uwagę skupiają działania przeciwpożarowe. Całkowite przebudowanie Gniezna po wielkim pożarze w roku 1819

⁶ Zob. Christian Pfister, *Surmonter les catastrophes naturelles. Les stratégies de 1500 à nos jours*, Berne-Stuttgart-Vienne 2002.

jest jednym z wielu przykładów; dyskusja na temat budownictwa ograniczającego ryzyko pożaru – głos zabierze jeszcze Bolesław Prus – będzie się toczyła przez dziesięciolecia.

Wobec różnych okoliczności zagrażających katastrofą obok projektów inżynierskich wymyślano sposoby czy porady (dział porad prasowych bardzo się w tym czasie rozwijał) „rzemieślnicze” czy „chałupnicze”. W kilku częściach antologii swoje echa znajdują jedne i drugie.

3. Sekwencje

W jaki sposób opowiadać o katastrofach i wypadkach? Zebrana w antologii materia może być tylko punktem wyjścia do różnego rodzaju opracowań; jest rodzajem biernej mapy tematycznej. Wyobrażam sobie, że poza drobiazgowymi badaniami historycznymi, dotyczącymi poszczególnych zjawisk (jak choćby epidemia cholery czy z drugiej strony sposób organizacji pomocy społecznej) rysować można pewne konfiguracje czy sekwencje, łączące zdarzenia i nadające im pewien porządek narracyjny, który sytuowałby się na pograniczu historii literatury, historii i eseju.

Jedną z takich sekwencji, jaką widzę, otwiera ogromna, największa w XIX i XX wieku katastrofa naturalna – zapewne najpotężniejsza do chwili tsunami z roku 2004 – czyli wspomniany już parokrotnie wybuch wulkanu Tambora na jednej z wysp indonezyjskich. Do erupcji doszło 10 kwietnia 1815 roku; w jej wyniku zginęło bezpośrednio kilkadziesiąt, a wedle niektórych obliczeń sto tysięcy ludzi; dialekt, którym mówili, zniknie. W wyniku eksplozji wulkan liczący półtora kilometra wysokości zawałił się i pozostawił lej o średnicy kilku kilometrów, do dziś odwiedzany przez turystów. W Europie o samym wybuchu przez dziesiątki lat nie wiadano, po dłuższym czasie pojawiły się nieliczne raporty angielskie. Według badaczy, ostatnio Wooda¹, który poświęcił tej kwestii obszerną książkę, wybuch Tambory miał wywołać serię katastrofalnych skutków, odczuwanych przez dziesięciolecia.

Wood przypomina najpierw rzeczy, o których wiemy od dawna. O roku 1816 w Europie już wówczas mawiano, że był to „rok bez lata”; podobnie jak o roku następnym. Lało bez przerwy, zbiory były fatalne, o trzy czwarte mniejsze niż przeciętnie, burze niespotykane gwałtowne i częste, chłód dojmujący, półmrok dominujący,

¹ Gillen D'Arcy Wood, *Tambora. The Eruption that Changed the World*, Princeton 2014.

a barwy nieba i układy chmur nieraz wręcz feeryczne. Jak pisałem wyżej, pod wpływem prac historyków klimatu powszechnie uważa się również, że niemało płócien Turnera, a także Constable'a i Friedricha powstało w odpowiedzi na zadziwiające chromatycznie fenomeny pogody, podobnie jak „klimatyczne” wiersze i poematy i powiastki przebywających wówczas w Szwajcarii Byrona i Shelleyów; Byronowskie „Ciemności” miały zejść na ziemię nie tyle z rozbuchanej i tanatycznej wyobraźni poety, co wprost z nieba obserwowanego nad Lemanem.

Klimat wrócił do znanej wcześniej normy dopiero po kilku dobrych latach; według Wooda i klimatologów nieprawdopodobnie wielka ilość pyłu i gazu wypuszczona w przestworza w wyniku różnych chemicznych procesów zdołała rozsypać planetarny porządek atmosferyczny. Na skutek gwałtownych w nim przemian niczym w efekcie domina doszło do kolejnych katastrof bądź zakłóceń na skalę światową. W Bengalu zaburzenie cyklu monsunowego miało spowodować, wywołując serię zdarzeń mikrobiologicznych, wspomnianą wyżej katastrofalną epidemię cholery. W dotkniętej największą klęską głodu chińskiej prowincji Yunnan chłopcy ze względu na zmianę temperatury przerzucili się na lukratywną uprawę maku, co po kilkudziesięciu latach uczyniło z prowincji największego producenta opium – pomijam dalsze skutki tego faktu. W wyniku klęski głodu europejska emigracja do Ameryki nabrała ogromnego tempa; gdy jednak w Europie minęły czasy nieurodzaju, prosperujące dzięki eksportowi rolnictwo amerykańskie wpadło w tarapaty i fala bankructw wywołała pierwszy wielki kryzys gospodarczy w Stanach.

I tak dalej. Wood zszywa w jedną sekwencję zdarzenia społeczne, polityczne, artystyczne, naukowe, by pokazać, jak proces klimatyczny, uruchomiony w tym przypadku przez katastrofę, wywołuje reakcję łańcuchową, nad którą nie można zapanować.

Jedną z konsekwencji erupcji Tambory miało być nagłe ocieplenie klimatu w rejonach polarnych i cofnięcie się granicy wiecznego lodu; mówiły o tym świadectwa wielorybników, którzy w latach 1818–1820 zapędzali się na najdalszą północ. Ten fakt sprzyjał

ekspansyjnym planom Admiralicji angielskiej; w szczególności stwarzał szansę na odkrycie tak zwanego Przejścia (u nas mawiano jeszcze Przepływu) Północno-Zachodniego, Northwest Passage, łączącego Atlantyk z Pacyfikiem. W ciągu dwóch ostatnich lat, pisali uczeni, stwierdzono wycofanie się, w wyniku zmian klimatycznych, lodów z północnych mórz. Pojawiły się „nowe źródła ciepła”, dając nadzieję, że arktyczne morza, wcześniej nieosiągalne, „staną przed nami otworem”. Wydaje się przeto, iż nadeszła chwila, by dokończyć odkryć „istotnych nie tylko dla postępu nauki, lecz również dla nowych połączeń i relacji handlowych między oddalonymi od siebie narodami”². Parę lat wcześniej młody Shelley w wizyjnej utopii *Królowa Mab* wieszczyl coś podobnego, wielkie rozstąpienie się polarnej kry i harmonijne zespolenie się człowieka z błękitną przejrzystością. Mary Shelley o wyprawach polarnych kazała marzyć swemu Frankensteinowi. Należy przypuszczać, że duży wpływ na angielskie „parcie na Północ” w wyniku odstąpienia lodów miało powszechne poczucie – jako efekt zwulgaryzowanej wersji teorii geologicznych – że dzieje Ziemi niejako ruszyły z kopyta, że żyje ona z dnia na dzień i przemiany klimatologiczne i geologiczne dokonują się w obrębie krótkiego trwania.

Największy sukces w poszukiwaniach Northwest Passage osiągnął kapitan Parry. Podczas drugiej, decydującej wyprawy w roku 1819 dopłynął, korzystając z chwilowych dobrodziejstw klimatu, całkiem daleko; kolejne jego wyprawy, dobrze przez niego opisane, były mniej udane, acz szczęśliwie zakończone. O tej drugiej i najlepszej „Gazeta Krakowska” w listopadzie 1823 roku pisała: „Wielki cel oznaczenia północnej granicy amerykańskiego lądu nie zdaje się zatem być dopełniony; kapitan Parry postąpił o dwa stopnie dalej na zachód i miał wielką nadzieję dopięcia celu swojego; ale gdy doszedł do najwęższej części kanału, znalazł ślady odwiecznego lodu, który w żadnej porze roku nie topnieje, i wyprawa przezimować musiała pod 69 stopniem i 20 minut szerokości, a 81 stopni i 50 m długości.

² Podaję za: Gillen D'Arcy Wood, *Tambora. The Eruption that Changed the World*, s. 145–175.

Gdy tego lata kapitan Parry nie znalazł żadnej zmiany w lodach i nie widział podobieństwa do przeprawy, odstąpił od dalszego przedsięwzięcia i postanowił do Anglii powrócić. Z ludu jeden tylko przewodnik grenlandzki i 3 majtków umarło, a jeden przypadkowo zginął. – kapitan Parry, wyszedłszy z admiralicji, pośpieszył do młodej damy, z którą przyrzekł się żenić, lecz z wielką boleścią dowiedział się, że utraciwszy zapewne nadzieję jego powrotu, posłała za kogo innego, co tak go obeszło, iż zachorował”. O wyprawach Williama Parry’ego z lat 1818–1827 było głośno w Europie, tylko w polskiej prasie z tamtych lat pojawiło się kilkadziesiąt o nim wzmianek. Porucznik był dobrym materiałem na ikonę podróżnika, bohatera nowych czasów. Wokół wyprawy Parry’ego osnuł swoją znaną improwizację, w której łączył motyw brawury brytyjskiej z (jeszcze większą) brawurą polską, Adam Mickiewicz podczas jednego z polskich wieczorów literackich w grudniu 1827 w Petersburgu.

Kolejne wyprawy w poszukiwaniu Przejścia nie dawały rezultatu; najbardziej znana, blisko trzyletnia wyprawa Benjamina Franklina, rozpoczęta w roku 1845, zakończyła się katastrofą – ekipy obu okrętów biorących w niej udział zginęły. Ich poszukiwania nie dawały rezultatu (pierwszy wrak odnaleziono dopiero w 2015, drugi w 2016 roku); na temat tej wyprawy powstają do dzisiaj – przedłużając niejako sekwencję – wciąż nowe opowieści i książki naukowe.

Zapewne podobnych szerokich sekwencji można znaleźć więcej. Możliwe są też sekwencje wąskie, skupione wokół jednego wydarzenia. Dobrym przykładem mógłby być pożar krakowski w 1850 roku. Na jego podstawie ujawnia się i poddaje analizie wiele zjawisk i faktów. Sposób zarządzania miastem w chwili kryzysu; polityka zaborców wobec granic (przebiegały pod Krakowem i przekraczano je nielegalnie, aby nieść pomoc miastu), postawy społeczności krakowskiej i podkrakowskiej; zachowania – to wyniosłe, to wspomagające – rządu austriackiego, sposoby i techniczne możliwości walki z żywiołem, tworzenie się obiegu informacyjnego (plotki o podpaleniu i ich dementowanie; interpretacje duchownych, relacja na żywo i relacje *post factum*), projekty prewencyjne na przyszłość.

4. Jak informować o katastrofie

Weźmy dla przykładu kilkadziesiąt roczników „Gazety Warszawskiej” na przestrzeni półwiecza. To niemało czasu; między operującymi sensacyjnym na pierwszy rzut oka szczegółem informacjami o trzęsieniu ziemi i wybuchu wulkanu w roku 1812 a dokładną, drukowaną w odcinkach naukową teorią wulkanologiczną z roku 1859 zdążył się zmienić świat i zasób wiedzy. We wczesnych rocznikach uderza spora ilość wiadomości o kataklizmach, nawet wydawałoby się tak „banalnych” jak burza, w bardzo skąpej sekcji niepolitycznych wiadomości ze świata. „Dnia 21 lipca była okropna burza w Luksemburgu”¹, informuje „Gazeta” w roku 1812. Dość często używa się słowa „nieszczęście” i „okropny”. „Dnia 24 pm niedaleko Budy na przewozie do wyspy Csepoly zdarzył się okropny przypadek. Z przepływających rzekę promem przeszło 100 ludzi i około 20 koni [...] zatonąła. Resztę wyratowali przecie pospieszający na pomoc rybacy. Przyczyna tego nieszczęścia nie jest jeszcze wiadoma”². Dalej pojawia się fraza: „znaleźć grób w bałwanach”. Relacja z trzęsienia ziemi w Rzymie w 1812 roku oparta jest na epizodach i szczegółach, a mniej na ogólnych informacjach; to typowy sposób sprawozdania w tamtych czasach, ale mimo komiczno-makabrycznych nieraz detali nie odnosi się wrażenia, by redaktorzy nadto wzmagali sensacyjność zdarzenia; chcą oni po prostu przekazać wszystko, co wiadomo. „Wczoraj o 3 po północy dało się odczuć trzęsienie ziemi tak mocne, jak już dawno w tym kraju nie było. Ogólnie mówiąc wszystkie fabryki mniej więcej ucierpiały. Kilka kłoców kamiennych z gzemśów Koliseum wypadło (...) Niedaleko zamku św. Anioła umarła kobieta ze strachu. Za bramą św. Pawła rozwalił się dom wiejski, którego gruzy przywaliły ojca

¹ Gazeta Warszawska, 30 sierpnia 1812 roku, nr 69.

² Gazeta Warszawska, 20 czerwca 1812 roku, nr 49.

z dwoma dziećmi”³. Kilka dni później „Gazeta Warszawska” podaje dalsze fakty. „Kobietę u rzeźbiarza mieszkającą spotkał szczególniejszy przypadek. Ze strachu schowała głowę między dwie poduszki. W chwilę potem upadł na łóżko posąg Herkulesa przy łóżku stojący i gdyby nie poduszki, pewnoby kobietę o śmierć był przyprowadził. Donoszą od brzegów, że w czasie trzęsienia ziemi morze strasznie było wzburzone. Zwierzęta żałosne wydawały ryki. Naza jutrz jeszcze nawet koty wpadały w konwulsje i odurzone padały”⁴.

„Gazeta Warszawska” to poważna instytucja; jej sposób przekazywania wiadomości nie wydaje się nastawiony na sensację, zwłaszcza w pierwszych dekadach istnienia – to raczej ograniczony dostęp do informacji sprawia, że miesza się wiadomości ogólne z „malowniczymi” szczegółami, aczkolwiek trudno nie odczuć pewnej lubości w ich przekazywaniu. W kreowaniu prawdziwego nastroju sensacji wokół katastrof dużą rolę odgrywają jednak almanachy i przede wszystkim tzw. *canard*, czyli druki ulotne, które powstały w drugiej połowie XVIII wieku i rozwijały się przez kolejnych kilkadziesiąt lat. Wytworzyły one, zwłaszcza na terenie Francji – nie raz dzieląc wieści na odcinki, niczym powieść – brukową narrację o katastrofach, będących ich głównym tematem, a często wręcz racją bytu. Warto zauważyć rosnącą rolę ikonografii, obowiązkowej od końca lat trzydziestych. Na przykład podczas wielkich powodzi, które nawiedziły Lyon w roku 1840, ilustracje przedstawiały Rodan, którym spływały wymieszane trupy ludzi i koni, a w tle rysowanym niczym dekoracja w teatrze ulicznym widać było trzy postacie wykonujące patetyczne gesty rozpacz.

W przytoczonych fragmentach uderzają – podobnie jak w przypadku innych gazetowych przekazów o katastrofach – szczegółowe obrazy (czy nawet obrazki) doznanych cierpień; ta „indywidualność” czy „pojedynczość” przypadków uwzględniona wewnątrz wzmianki o całej katastrofie czy wypadku z czasem zaczyna zanikać na rzecz

³ Gazeta Warszawska 25 kwietnia 1812 roku, nr 33.

⁴ Gazeta Warszawska 16 maja 1812 roku, nr 39.

bardziej ogólnych stwierdzeń (kiedy, gdzie, liczba ofiar, skrótowy przebieg zdarzeń), lecz pozostaje charakterystyczna dla opisywanego okresu. Słownictwo niekiedy wydaje się brutalne, szczególnie szokujące, słowo „trup” odmieniane jest przez wszystkie przypadki. Należy jednak wziąć pod uwagę, że słowo to funkcjonuje wówczas nieco inaczej niż dzisiaj; ze względu na jego powszechne użycie w literaturze także wysokiej, jest ono kulturowo – podobnie jak obrazowanie frenetyczne czy makabryczne – szeroko akceptowane.

Prasa polska w dużej mierze opierała swe relacje o katastrofach i wypadkach na prasie zagranicznej; przeglądając ją, odnosi się wrażenie, że gdzie indziej dzieje się więcej i gorzej. Relacje niemal zawsze były anonimowe; nie zawsze podawano źródła przedruków czy zamieszczonych streszczeń. Niekiedy redaktorzy dorzucali od siebie elegijne westchnienie nad dolą ludzką, lecz na ogół ograniczali się do opisu; charakterystyczna była stosunkowo częsta informacja o wysokości strat finansowych, zadziwiająco precyzyjna. Odnosi się wrażenie, przeglądając tę prasę, że ziemie polskie – jak życzył sobie tego Mickiewicz – były w tamtym czasie względnie bezpieczne, czy też że ilość katastrof czy wypadków „niekonwencjonalnych”, czyli niezwiązanych z pożarami czy powodzią jako klęskami podstawowymi, była względnie niewielka.

W literaturze pamiątkarskiej uwagę zwracają swada i malarstwo wspomnień związanych z różnego rodzaju nieszczęśliwymi wypadkami: w niektórych przypadkach wydaje się, że dramatyczne okoliczności wzmagają pisarską inspirację także u tych, którzy piarstwem na co dzień się nie parają. Parokrotnie można się w tych fragmentach natknąć na słowo „piękno”: oczarowanie katastrofą (na przykład spektakularnym pożarem) mogłoby się zdać echem romantycznej estetyki, jej umiłowania dla „posępnego piękna”, lecz raczej należałoby się w nich dosłuchać intuicyjnej reakcji wyobraźni. Dojmujące wrażenie, jakie pozostaje po lekturze, ma jednak charakter elegijny, co narzuca zresztą forma wspomnień: życie się toczy, zdarzają się nieszczęśliwe wypadki, większe i mniejsze

katastrofy, lecz czas płynie i trzeba dalej jakoś to swoje istnienie prowadzić.

Ostatecznie – gdy porównać ówczesne i dzisiejsze wzmianki o katastrofach – niewiele się zmieniło; lektura dziewiętnastowiecznych świadectw pogłębia wrażenie „odwiecznej kondycji”, zmienności losu ludzkiego. Pożary, powodzie, wybuchy, wypadki zdarzały się i zdarzać będą; powstają wciąż nowe okoliczności dla nowych katastrof i powtarzają się też stare okoliczności dla katastrof zwyczajowych; katastrofy idą z nami przez czas – przypominają ówczesne lektury – i tak będzie zawsze.

5. Pamięć o katastrofie

O zapadnięciu się góry nad Lemanem, o którym wspomina Słowacki, pamięta się dobrze do dzisiaj; pokazywano mi niedawno w Villeneuve, gdzie mieszkał Słowacki, z którego miejsca przyszedł przed wiekami kataklizm, gdzie zawałiła się góra. W jaki sposób pamięć o katastrofie tworzy lokalne czy środowiskowe mitologie? Jak długo ta pamięć trwa w samym języku, na przykład pamięć o klęskach militarnych, jak Waterloo czy Berezyna? Oba wyrażenia do dzisiaj używane są na oznaczenia klęski, to pierwsze w wielu językach, to drugie we francuszczyźnie.

Wspominałem przed chwilą o katastrofie „Meduzy”, wydarzeniu szokującym opinię nie tylko francuską, które przez lata żywiło różne polemiki, trafiało na sale sądowe, na łamy dzieł literackich i do atelier artystów. Teraz inny przykład długo trwającej pamięci o katastrofie, tym razem przykład alpejski. 20 sierpnia 1820 roku podczas jedenastej próby wejścia na Mont Blanc lawina zmiotła trzech przewodników. To zdarzenie przejdzie do historii jako „wypadek karawany doktora Hamela”, w skrócie „wypadek Hamela”, szefa wyprawy, doradcy rządu rosyjskiego, mieszkającego w Petersburgu. Wypadek wywołał drobiazgowe śledztwo i wiele reperkusji w prasie. Dyskusja dotyczyła głównie odpowiedzialności za jego spowodowanie, którą obarczano a to ślepy los, a to przewodników, przede wszystkim zaś samego doktora Hamela. Bardzo szeroko o wypadku informowała zwłaszcza brytyjska prasa; powstawały całe publikacje na jej temat, które z pewnością w młodych głowach mogły wzniesić żądzę przygody; w tym czasie w Londynie założono Alpine Club. Również uczestnicy wypraw alpejskich przez kolejne lata dużo pisali o wypadku; niektórzy dotarli do bezpośrednich świadków wydarzenia, pozostałych przy życiu przewodników. Duży tekst o karawanie Hamela napisał Aleksander Dumas, a w roku 1835, po pobycie w Chamonix, młody John Ruskin. Wspomniał

o nim Jules Michelet, a pięćdziesiąt lat po wypadku parę stron poświęcił mu także Mark Twain. Pierwsze przewodniki i podręczniki alpejskie powstałe po roku 1850 również wspominały o wypadku. Po śmierci Hamela w 1862 roku w prasie angielskiej ukazywały się nekrologi przypominające o zdarzeniu; wypadek ciągnął się za nim jak tren żałobny przez całe życie i nie opuszczał go po śmierci. Rok wcześniej u podnóża lodowca Mer de Glace odkryto szczątki ciał uczestników wyprawy Hamela, co dodatkowo utrwaliło pamięć o katastrofie. Kolejne fragmenty zwłok lodowiec oddawał przez następne lata; fakt ten wywołał wiele ech i dał wydarzeniu niejako drugą młodość. Legenda wypadku przyczyniła się w dużej mierze do powstania mitu o śmiercionośnej mocy Alp i zarazem wzbudziła pragnienie zmierzenia się z niebezpieczeństwem. Miała też inne, obok mitograficznych, konsekwencje. W trzy lata po wypadku władze zakazały drogi (zwanej *ancien passage*) na Mont Blanc, którą szła wyprawa doktora Hamela (dwa lata wcześniej szedł nią Antoni Malczewski). W tym samym roku powstało Towarzystwo Przewodników z Chamonix, które odnosząc się eksplicitnie w swej konstytucji do wypadku, określało dobitnie swe obowiązki i prawa¹.

Każda lokalna społeczność przechowuje pamięć o katastrofach, które ją dotknęły. Niewiele katastrof przechodzi do wieczności i staje się wiecznym „teraz” – jak katastrofa Atlantydy czy wspomniana katastrofa „Meduzy”. Pamięć o tragediach trwa przez pewien czas; wreszcie wygasa. O pożarze krakowskim „pamiętało się” przez około pół wieku, podobnie o pożarze toruńskim; przez tyle mniej więcej czasu żywa była warszawska pamięć o powodziach z pierwszej połowy XIX wieku. Trzeba wielu czynników, by dane zdarzenie wdarło się na trwale do powszechnej pamięci. Niewątpliwie najważniejsze w XIX wieku jest jeszcze świadectwo sztuki i literatury; z czasem coraz większy wpływ będzie miała sama mediatyzacja zdarzenia.

¹ Por. Michel Tailland, 1820, *première tragédie alpestre: l'avalanche de la caravane du Docteur Hamel*, w: *Récit et représentations des catastrophes*, s. 51–66.

6. Katastrofa przyszłości

Norwid jako jeden z pierwszych w dziewiętnastowiecznej literaturze posłużył się alegorią katastrofy do krytyki naocznej i przyszłej cywilizacji. Od katastrofy geologicznej w ciągu niecałego półwiecza przechodzimy do katastrofy technologicznej. Sześć lat przed Norwidowskim opowiadaniem, czyli w roku śmierci Mickiewicza, ukazała się w Paryżu niewielka książka adwokata Eugène'a Huzara zatytułowana *La fin du monde par la science*. Została w niej wyłożona prawdopodobnie pierwsza w ogóle teoria katastrofizmu technologicznego¹. Książka odniosła duży sukces, dwa lata później autor rozwinął swe tezy w kolejnym dziele *L'Arbre de la vie*. Huzar przeprowadza mocną krytykę idei postępu, lecz nie czyni tego z pozycji konserwatywnych – takich czy innych. Dostrzega natomiast rozżew między możliwościami technicznymi a umiejętnością przewidywania; ta nierównowaga – prorokuje – wywoła w przyszłości katastrofalne skutki. Niektóre z nich usiłuje sam przewidzieć; wiele brzmi dziś komicznie (kto wie, czy nie zostanie wymyślona substancja zdolna podpalić wodę; gdyby wylała się przypadkowo do jakiegoś strumienia, mogłaby spowodować pożar oceanów). Ale niekiedy Huzar mierzy celnie: za sto-dwieście lat lasy zostaną przetrzebione i wobec miliardów metrów sześciennych paliwa, które będzie na Ziemi używane, harmonia świata zostanie zaburzona. Ważniejsze jest wszak co innego: to nie on ma dowodzić możliwości katastrof, to uczeni i inżynierowie mają wykazać nieszkodliwość swych wynalazków. Trzeba myśleć – sugeruje Huzar – o katastrofie jako o pewniku, po to, aby walczyć o jej uniknięcie.

Huzar konstruuje małą utopię: zbiór środków mających zapobiec przyszłej katastrofie, na przykład proponuje utworzyć

¹ W tym podrozdziale wykorzystuję informacje zawarte w artykule Jean-Baptiste'a Fressoza, *Eugène Huzar et l'invention du catastrophisme technologique*, „Romantisme”, nr 150, 4 trimestre 2010.

światowy rząd naukowców mających studiować projekty wielkich prac, które mogłyby naruszyć harmonię świata. Jednak jest bezwzględny katastrofista; do swych tekstów wykorzystuje ideę wiecznego powrotu, powtarzających się cyklów; przyszła katastrofa jest pewna, gdyż już się zdarzała.

Kariera książek Huzara była błyskawiczna i zadziwiająca; niewiele się o tym dotąd mówiło. Miały one spory wpływ na literaturę piękną; zaczęły się pojawiać takie teksty jak *Les Ruines de Paris* Josepha Mery'ego, odnawiające romantyczny topos kontemplacji ruin; u Mery'ego są to ruiny Paryża w roku 3509. Gustave Doré rysował w tym czasie ruiny Londynu przyszłości oglądane przez podróżnika z Nowej Zelandii; wszystko to składało się na rodzaj „archeologii przyszłości”. Flaubert odwołał się do książki Huzara miał zakończyć *Bouvarda i Pécucheta*. Huzarowi zawdzięczać można to, że w różnych sporach dotyczących rozwoju cywilizacyjnego dostrzegał nieodmiennie proces wytwarzania niepewności. Katastrofa odchodzi od geologii, odchodzi nawet od natury, by stać się katastrofą z nadania ludzkiego. Pokazuje, że pozytywistyczna nowoczesność, spadkobierczyni kartezjańskiego projektu technicznego panowania nad przyrodą, myśląca o zdobyczach techniki bez rozważania daleko idących następstw, była wadliwa już w chwili powstawania rewolucji przemysłowej.

Huzar postulował – by powrócić do tytułu jednej z najgłośniejszych książek o katastrofie autorstwa Jeana-Pierre'a Dupuy – światły katastrofizm. Huzar był romantykiem; nie jest romantykiem ten, kto nie widzi katastrofy na horyzoncie. Ale mimo to wierzył w zaradczość, w możliwości jej uprzedzenia, w – jak mówił Mickiewicz – przedsiębiorczość, był więc romantykiem kompletnym. Perspektywa katastrofy na horyzoncie, wręcz poczucie, że już tu jest, i próby jej opanowania – to jest romantyczne i w tym sensie wszyscy dziś powinniśmy być romantykami.

ANTOLOGIA



1. Dzieje się



1. Co to będzie

A. Lud wróży wojnę

Kazimierz Girtler (1804–1887)

W tym roku (1811) pamiętam zjawisko niebieskie, kometę. Nie była to żadna z tych, co to astronomowie widzą je przez szkła i zapowiadają ogromny ich efekt, a tymczasem nie ma co widzieć, jak to miało miejsce na komecie Halley'ia [!], którejsmy z wielką czekali ciekawością, a ledwie przez kilka dni widzieliśmy na niebie mdłe i małe światełko. Owa kometa z r. 1811 to nie gwiazda na niebie. Tarcza jej czy tam jądro większe było od tej, którąśmy widzieli ostatnich dni września i pierwszych października 1858. Ogon zaś równie był wielki, a nawet, zdaje mi się, był ogromniejszy, może dlatego, że ja wtedy byłem małym. Wieczorami cała ludność Krakowa wylegała na Rynek i wały przyglądać się rzadkiemu zjawisku, które, ile pamiętam, nader było wspaniałym, po kilkakroć opatrzyłem się z nim, bo pogody trwały piękne, więc brali mię rodzice na wieczorne przechadzki.

Skoro lud prosty obaczył kometę, wróży zaraz wojnę. Jak jej nie było wróżyć w 1811 r., kiedy widocznie zanosilo się na nią, choćby dlatego samego, że Napoleon Bonaparte już długo odpoczywał; to też tysięczne były przepowiednie, lecz prócz krwawej wojny żadna się nie ziściła w przyszłości.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Girtler, *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1832–1857*, przedmowa i wybór tekstu Zbigniew Jabłoński, opracowanie tekstu i przypisy Zbigniew Jabłoński i Jan Staszal, Kraków 1971, t. 1, s. 88.

B. Koniec, lecz jeszcze nie dzisiaj

Kurier Warszawski, 1828

Nektóre dzienniki Niemieckie, mówiąc o komecie, mającym się ukazać w r.1832, wróżą nam koniec świata, albo przynajmniej gwałtowne uderzenie ziemi. Nie będzie tu zapewne od rzeczy powiedzieć cokolwiek o tej śmiesznej astrologji. Można sobie przypomnieć trwozę pospólstwa w r.1773, do której jedno lub dwa wyrażenia źle wytłumaczone, z rozprawy sławnego astronoma *Lalanda*, powód dały. I wówczas też niektóre osoby wierzyły albo udawały że wierzą blizkiemu zniszczeniu ziemi; drżeli z obawy ludzie trwożliwi, a wiele nawet kobiet, iak powiadaia, poroniło; gdy tymczasem obrótniejsi umieli korzystać z próżnego przestachu słabych umysłów. Nie można przypuścić, aby podobne niedorzeczności mogły się teraz wznowić. Szczegóły zaś następne posłużą do okazania, że ieżeli niema innej przyczyny zniszczenia ziemi, tedy możemy się spodziewać kilka lat ieszcze przeżyć, po ukazaniu się złowrogiej gwiazdy, która za lat 4 zbliży się do ziemi. Kometą, mający się ukazać w r.1832, iest kometą lat 6 3/4, którego droga wyrachowana została we Francji, przez jednego z najznakomitszych astronomów, członka Akademji Nauk. Wszystko, co tylko pisano w Niemczech o tym komecie, gruntuie się na wypadkach otrzymanych w Paryżu. Wypadki zaś te tak są zabezpieczające, iż najmniejszego nie czynią podobieństwa iakiejkolwiek katastrofy. Kometą r.1832, w najbliższej swej od ziemi odległości, będzie oddalony przeszło na 16 milionów mil. Mógłby się więc jeszcze tyśiąckroć bardziej do niej przybliżyć, a nie dać słusznego do obawy powodu. W r.1770, kometą ieden zbliżył się był o 750,006 mil (nie-mal 9 razy bliżej iak księżyc). *Laland* naznacza odległości 15,000 mil, w której kometą mógłby sprawić na ziemi jakikolwiek wyraźny nieporządek. Na czemże się więc gruntuie postrach, rozsiewany przez dziennikarzy niemieckich? Zapewne na tem iedynie, że ów kometą przejdzie bardzo blisko drogi ziemskiej (o 4 i pół średnie, 13 do 14

tysięcy mil), tak, iż gdyby w istocie ziemia znajdowała się w punkcie swojej drogi, który będzie przez chwile bliskim tego komety, mogłyby stąd wyniknąć iakieś fenomena zatrważaiące. Lecz ten przypadek ieszcze teraz iest dalekim od podobieństwa na rok 1832.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, z 19 września 1828 roku.

C. Jutro też jeszcze nie
Ignacy Domeyko (1802–1889)

Z wielką przyjemnością go słuchałem. Pamiętam jednak, że wcale nie byłem rad z jego ostatniej lekcji, na której, streszczając cały swój kurs, wywodził głównie zmiany i przeobrażenia, przez jakie przeszła kula ziemska od stworzenia; – a kiedy po tym przegłędzie całej kolei geologicznych epok przyszedł mimo wszystko do wniosku o nieuniknionym końcu i zniszczeniu, jakie spotka koniecznie naszego planety, nie umiał się z tej fatalnej konsekwencji inaczej wywinąć, jak zapowiadając, że to nie może nastąpić, chyba że za wiele, wiele wieków, i nie warto o tym myśleć.

PRZEDRUK ZA: Ignacy Domeyko, *Moje podróże. Pamiętniki wygnańca*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Niechowa, Wrocław–Warszawa–Kraków 1963, t. 1, s. 194–195.

D. Ani pojutrze

Czas, 1859

Ale wróćmy do kroniki. Mimo politycznych zajęć mówiono tu wiele ostatnimi czasy o potopie. Do nadania powabu tej kwesty niemało się przyczyniła zapewne kwestya włoska; ten i ów bowiem w zapowiedzianym kataklizmie z przyjemnością widział ostateczne załatwienie nużących i na pozór niepokonanych trudności, które jak drugie Alpy za Alpami się piętrzą.

Prócz tego są chwile, w których świat czuje potrzebę zajmowania się swoim końcem. I tak, lat temu dziesięć z powodu astronomicznej przepowiedni wypadłej niepomnę już z którego niemieckiego obserwatoryum – pisano wiele o kataklizmie mającym wkrótce nasz glob pochłonąć. Teraz znowu paryzka akademia nauk zwróciła uwagę na teorię Adhemara, który już nie przepowiada ale zapowiada nowy potop. Nie lękaj się atoli. Obrachowany przez francuzkiego astronoma potop nastąpi dopiero za sześć tysięcy trzysta lat – mamy tedy czas pomówić o nim spokojnie.

Nie tu miejsce rozbierania tej naukowej tezy, zasługuje ona na osobne i obszerne obrobienie – to tylko więc powiem tutaj, że teoria Adhemara uderza swą genialną prostotą, głowy się czepia i uwagi każdego wykształconego człowieka jest godną.

Memoryał, w którym autor tak smutną przyszłość wróży światu, wyszedł jeszcze w roku 1841 w Paryżu, ale ponieważ autor jest paryżaninem, a nikt prorokiem w własnym kraju, rzecz choć nader zajmująca, przeszła niepostrzeżona we Francyi. W Niemczech dzienniki szeroko o tej książce rozprawiły w swoim czasie.

Teraz z powodu dzieł innych, a mianowicie zapisków pana Elie de Beaumont, w których szanowny członek instytutu broni owej teoryi podnoszenia się ziem – inni akademicy chcąc zbić to twierdzenie, powołali się na powagę Adhemara, i jakby wynagradzając mu dawny indyferentyzm, przez dwa miesiące z rzędu teorią jego się zajmowali.

Było tych dyskusyj aż do znudzenia. Długo rozprawiano se-ryo – ale że w Paryżu wszystko musi się skończyć na żarcie – jedno z pism tutejszych zapieczętowało kwestyę potopu wybornym artykułem humorystycznym.

Autor artykułu opisuje najprzód katastrofę zalania Paryża. Pomiędzy pierwszym a drugim rozdziałem upływa kilka tysięcy wieków. Zapowiedziany przez Adhemara potop odbył się od niepamiętnych czasów; na osuszonych łądach powstały znów nowe miasta, nowa cywilizacja i nowe akademie. W jednej z nich jakiś sławny uczony czyta sprawozdanie ze swych poszukiwań odbytych na gruncie, gdzie niegdyś jak podanie niesie, stała Sodomia XIX wieku, Paryż.

Na to posiedzenie wprowadza autor czytelnika. Skoro ciekawa publiczność zasiadła ławy, uczony geolog tak mówić zaczął:

„Panowie! Nauka, ta niezmordowana szperaczka, która co dzień uposaża ludzkość nowymi dobrodziejstwami, dziś niepospolity łup wam przynosi. Trzy tysiące lat upływa, jak ziemia nasza zalana potopem utraciła całą swoją poprzednią kreację. Właśnie o tym potopie mówić zamierzam. Czy glob nasz był, czy nie był przed tą katastrofą zamieszkały przez ludzi – jest to kwestya, która najprzód nastęrcza się uczonemu. Jeden z moich kolegów twierdzi że tak, drugi że nie, ja nie mówię ani tak, ani nie... (głośne oklaski), ale z poszukiwań moich wyciągnąłem pewność, że ziemia przed potopem była zamieszkała przez olbrzymią kreację i dowiodę tego... Szperając w ziemi przez lat dwadzieścia, na miejscu gdzie stać musiało jakieś wielkie miasto, odkryłem szczątki kopalne ogromnego znaczenia. Ale trudniej niżeli znaleźć, było odgadnąć ich naturę, ukraść, że tak powiem, zniszczeniu tajemnicę przeszłości (oklaski). Pierwszy szczątek (pokazuje stalowe obręcze od krynoliny) jest to szkielet wybornie zakonserwowany – forma jego jak widzicie kolistą; żebra coraz zwężające się idą jak pierścienie. Zwierz ten znikły z powierzchni globu, musiał się czołgać i żyć pastwą znalezioną w błocie (de Oand), jest to czaszka, w której szczupłość komórki mózgowej dowodzi, iż należała do ptaka z rodzaju naszych

kanarków domowych. – Trzeci przedmiot, którego tu dla wielkich jego rozmiarów przynieść nie mogłem (Obelisk Luxorski) nadzwyczaj ciekawy, jest, mam na to dowody, grzbietem olbrzymiej ryby, która z potopem w te strony przywędrowała. Sądząc z tej ości, obok niej nasze wieloryby wydawać się musiały jak płotki.

„Co do czwartego wykopu, ten, chociaż znaleźliśmy go bardzo wiele na pewnej przestrzeni (pokazuje bifstek z restauracji paryskiej po 32 sous), jest dla nas zagadką. Zawsze ma on też samą formę i też twardość. Ta twardość niesłychana sprawia, iż się obronił wszelkiemu parciu zniszczenia ... nie można go nawet młotem rozkruszyć.

Ciekawe to ciało wymaga studiów i osobnego raportu, który później szanownemu zgromadzeniu złożę. Na teraz trzy rzeczy są pewne: istnienie płazu, ptaka i ryby przedpotopowej.

„Dumny z mego odkrycia, śmiem prosić akademię w kumy: niech ochrzci i nada imię każdej z tych ras odmiennych, które dzięki mojej cierpliwości zmartwychwstały”.

Grzmot oklasków zakończy mowę uczonego, Akademya wotuje jednogodnie dożywotnią pensję dla uczonego kolegi, a zgromadzenie okrzykuje go chlubą narodu.

PRZEDRUK ZA: Czas, Dodatek miesięczny. Tom XVI. Październik. Listopad. Grudzień 1859.

E. Ale za jakiś czas

Dziennik Warszawski, 1826

Już tedy niezawodna że kometa, co się okazał w latach 1786, 1795, 1801, 1805, 1818 i 1825 jest ieden i tenże sam. Ten kometa w swoim biegu nie przechodzi nigdy drogi Jowisza. Naykrótszy periyod iego rewolucyi jest około $3 \frac{3}{4}$ lat, a odległość średnia od słońca, nie większa nad dwie odległości ziemi. – Szczególniey zdaie się bydź przywiązanym do systematu, w którym nasza ziemia się mieści; a przechodzi drogę ziemi w przeciągu wieku prawie 60 razy, Pan Olbers sławny astronom Bremeński, zajmując się szczególniey iego obserwacją, zastanawiał się w ostatnich latach nad wyrachowaniem podobieństwa wpływającego na losy naszej ziemi. Wypadki tego rachunku są: że we 4,000,000 lat będzie odległy od ziemi na 7,700 mil ieograficznych, i że wtedy, ieżeli siła iego przyciągania wyrównywa sile przyciągania ziemi (i to jest właśnie część hypotetyczna twierdzenia, a to hipoteza powiedzieć można, nie ma nic podobnego do prawdy) wody oceanu podniosą się na 13,000 stóp; to iest pokryją wierzchołki naywyższych gór w Europie, wyjąwszy górę Mont-Blanc. Naówczas mieszkańcy tylko Andów i gór Himalaya sami unikną tego potopu; ale z tego szczęścia korzystać tylko będą przez lat 216 milionów, gdyż potem ziemia, znajdując się całkiem na drodze tego komety, musi koniecznie uderzyć oń w biegu, co niezawodnie pociągnie za sobą iey ruinę. Owoż taka iest katastrofa, co wedle rachunku P. Olbers grozi rodzaiowi ludzkiemu we 216,000,000 lat.

PRZEDRUK ZA: Dziennik Warszawski, wrzesień 1826 roku.

F. Może nie tak odległy, 2100

Mary Shelley (1797–1851)

Później odwiedziłem wszystkie ulice, wszystkie aleje, wszystkie zaułki Forli. Miasta włoskie wydawały się jeszcze bardziej opustoszałe niż angielskie czy francuskie. Dżuma pojawiła się w nich wcześniej, przeto wcześniej dokończyła tu swego dzieła. Już ostatniego lata nie było prawdopodobnie żywej duszy od brzegów Katalabrii po szczyty Alp. Moje poszukiwania okazały się całkowicie próżne, jednakże nie wpadałem w rozpacz. Rozum, myślałem sobie, jest po mojej stronie; i nie odczuwałem jako pozbawionego sensu przypuszczenia, że gdzieś we Włoszech istnieje ktoś, kto ocalał jak ja – uciekinier ze zniszczonej i wyludnionej krainy. Błądząc po pustym mieście, wymyśliłem plan dalszego postępowania. Skieruję kroki w stronę Rzymu. Upewniwszy się po dokładnym sprawdzeniu, że w żadnym z miast, przez które przemknę, nie przebywa żadna żywa istota, w każdym z nich pozostawię na widocznym miejscu malowaną białą farbą wiadomość w trzech językach: „Verney, ostatni przedstawiciel narodu angielskiego, wybrał siedzibę w Rzymie”.

(...) Nie mam żadnych złudzeń co do przyszłości; ale monotonia dni terażniejszych jest trudna do zniesienia. Nie są moimi przewodnikami ani nadzieja, ani radość – prowadzi mnie dojmująca rozpacz i pragnienie zmiany. Spieszno mi zmierzyć się z niebezpieczeństwem, poznać strach, stanąć przed najmniejszym czy przed najambitniejszym zadaniem, aby tylko mieć czym wypełnić dzień. Będę świadkiem kapryśnych żywiołów – odczytywał będę wróżby z tęczy i groźby ze chmur. Z każdej rzeczy wyniosę naukę lub czułe wspomnienie. I tak wzdłuż brzegów pustej ziemi, słońce zawieszono wysoko w eterze, duchy zmarłych

i wciąż otwarte oko Najwyższej Istoty czuwać będą nad kruchym stateczkiem sterowanym przez Verneya – OSTATNIEGO CZŁOWIEKA.

PRZEDRUK ZA: Mary Shelley, *The Last Man*, s. 597, 615, <http://www.freeclassicebooks.com/Shelley%20Mary/The%20Last%20Man.pdf>.

Przekład własny – MB.

G. Chyba że lada moment

Gazeta Lwowska, 1842

Gazeta Times donosi o spodziewanym w dniu 10 marca b.r. w Londynie trzęsieniu ziemi: „Już dawno nie widziano podobnych scen, jakie się działy wczoraj przez cały dzień po niektórych parafijach Londynu. Wielu Irlandczyków tamże przebywających schroniło się na wyspę Smaragd zwaną, wszelako nierównie większa liczba tych, których nieba dobrami ziemskimi nie obdarzały, ujrzała się zmuszoną pozostać i oczekiwać okropnego wypadku, który ją w głębiznach ziemi miał pochłonać. Pod wieczór wielu Irlandczyków postanowiło wynieść się na noc z Londynu i wkrótce ujrzano, jak z niektórymi ruchomościami uchodzili w miejsca, które im bezpieczniejszymi się zdawały. W niektórych okolicach między łatwowiernymi a wątpicielami doszło nawet do bójki. Wszelako nie byli to sami Irlandczycy, którzy tej łatwowierności dowody dali. Niejedni, po których się większego zastanowienia spodziewano, wynieśli się podobnie z Londynu dla uniknięcia grożącej katastrofy. Dla statków parowych w Gravesend, równie jak dla różnych kolei żelaznych, stało się to zapowiadane trzęsienie ziemi źródłem zarobku. Na długi czas przed odjazdem przepelnione były wszystkie drogi do tychże wiodące porządnie ubranymi ludźmi, a niektóre familije miały ze sobą nawet żywność i napoje, jak gdyby się w podróż na sześć tygodni wybierały. Kto nie miał na czym ująć na statkach parowych lub kolejach żelaznych, starał się pieszo uniknąć niebezpieczeństwa. Wszystkie pobliskie okolice zapełnione były widzami, którzy mającemu nastąpić zapadnięciu olbrzymiego miasta przypatrywać się chcieli; pochmurne niebo pozazdrościło im tego widowiska.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 9 kwietnia 1842 roku.

2. Nie jest dobrze

A. Zagasnął blask dzienny

Adam Mickiewicz (1798–1855)

Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny
Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny,
A gwiazdy, w nieskończoność biorąc lot niezwykły,
Zbłąkawszy się, olsnąwszy, uciekły i znikły
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata.
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było –
I wszystkie namiętności zatłumiła trwoga.
Serce rodu ludzkiego jedną rządzą biło,
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga:
O światło. – Wszystko płonie: i wspaniałe gmachy
Panów koronowanych, i wieśniacze dachy.
Domy świata całego jako lampy płoną,
Miasta na kształt ogromnych stosów zapalono
I tłum ludzi dookoła pożarów się tłoczy;
Chcą jeszcze raz ostatni zajrzeć sobie w oczy.
O, jak zazdrości godni ci, co się przywlekli
Przed oblicze ognistej Etny albo Hekli!
Jak błogosławią wieczne wulkanów pożogi,
Wszyscy z jednym uczuciem nadziei i trwogi!
Rzucono ogień w puszcze; i doczesnym blaskiem
Puszcze gorą, ciemniejszą i wałą się z trzaskiem;
Zaryły się w popiele drzew strawione czoła
I zagasły na wieki – znowu noc dokoła.
I twarz ludzi z rozpaczą nie po ludzku błyska
Odbijając ostatnie promyki ogniska.
Jedni padli i oczy schowawszy łzy leją,

Drudzy na chudych łokciach podparłszy się śmieją.
Ten biega tu i ówdzie, suche żagwie zbiera,
Karmi niknącą iskrę i w niebo poziera –
Nieporuszone widzi czarnych chmur zasłony,
Jak kir nad nieboszczykiem światem rozciągniony –
Znowu pada i bluźni, i w piasku się ryje,
Targa włos, zgrzyta zębem, ręce gryzie, wyje.
Dzikie ptastwo strwożone, skrzydły obwisłemi
Mocując się daremnie, czołga się po ziemi
Drapieżny zwierz, co w lasach i pustyniach żyje,
Jak swojski ciągnie w miasto. Gadziny i żmije
Pełzną ludziom pod nogi i żądlami syczą,
Nie kaleczą – i głodnym stają się zdobyczą.
Wojna, nieco ustała, wybuchnęła znowu:
Głodni żelazem sobie szukali obłowu
I z zakrwawionym kaskiem na stronie usiedli,
I w milczeniu rozpaczy samotni go jedli.
Nie została miłości iskra w ludzkim łonie,
Jedna była na całej ziemi myśl – o zgonie
Niechybnym i niesławnym – żąb głodu pożerał
Wszystkich – i narodami świat cały wymierał.
Nikt nie myślał o kości i o ciał pogrzebie,
Chudy karmił się jedząc chudsze od siebie.
Psy darły swoich panów. Jeden pies zachował
Wierność panu swojemu; żywego pilnował,
Teraz się umarłego wyżywieniem truzi:
Znosi zdechłe lub słabe bydło, ptastwo, ludzi,
Sam nie dotknął pokarmu; z żalonymi jęki
Lizał twarz pana swego, głaskał się u ręki,
Co go już nie głaskała – i zdechł. – I nareszcie
Wszyscy ludzie wymarli. – (...)

B. Ostatnia godzina wybiła
Zygmunt Krasiński (1812–1857)

Góry i miasta rozleciały się z trzaskiem. Wszystko się zmieszało, światło z ciemnością, z gwiazdami słońce. Ostatnia godzina dla materyi wybiła i zdało mi się jakbym był świadkiem sądu ostatecznego z tem strasznym przeświadczeniem, że i ja jemu podlegam. (...)

PRZEDRUK ZA: Zygmunt Krasiński, *Marzenie*, w: *Pisma Zygmunta Krasińskiego*, wydał, objaśnił i wstępem poprzedził Józef Kallenbach, Warszawa–Kraków–Lwów–Poznań 1922, s. 32.

C. Tyle prawie jak w Egipcie Ambroży Grabowski (1782–1868)

Rok 1831.

*Kłęski, które nieszczęśliwą Polskę w r. 1831
gnębiły, a było ich u nas tyle prawie, jak w Egipcie:*

Nieurodzaj. Za pierwsze ogniwo łańcucha klęsk, których nieszczęśliwa Polska w r. 1831 doznała, zaznaczyć trzeba chybiony urodzaj wszelkich płodów rolnych w r. 1830. Chociaż to słynna z żyzności ziemia nasza, przecież w roku tym tak skąpe dała zbiory, iż się ledwo zasiewy wróciły. Nie można z pewnością wskazać przyczyny tego nieurodzaju, gdyż w r. 1830 nie było ani zbytniej posuchy, ani długotrwałych deszczów, i najpodobniej, że uporczywa zima r. 1829–30 szkodziła jesiennym zasiewom. Chybiły wszelkie zboża, mały był zbiór siana, nie udały się jarzyny, nie zrodziły się ziemniaki (owa roślina, której uprawa tak się rozszerzyła i z powodu której chłopek nasz, tym surogatem chleba żyjący, właściwie *soła-no-phagiem*, nazwanym być może) tak, że ledwo w czwartej części zwykłego doszły plonu.

Drożyzna. Skutkiem powyższej przyczyny, mieliśmy nader wielką drożyznę: w r. 1831 funt mięsa od gr. 5 doszedł do gr. 12 – cena chleba prawie potroiła się; kaszki drobnej tatarczanej kwarta podniosła się od gr. 12 do zł. pol. 1; śmietany kwarta także doszła od gr. 12 do zł. pol. 1; masła garniec od zł. 4 do zł. 10; kurczęta od gr. 5 do zł. pol. 1 i gr. 12. Stąd też przez cały ten rok nie jadłem drobiu, który też jak i wszelki nabiał podrożał z tego powodu, że z Warszawy najechało się do Krakowa mnóstwo osób, a szczególnie kobiet, które, odsuwając się od teatru wojny, całe lato tu przemieszkiwały.

Ziemniaki do sadzenia płacone były na wiosnę r. 1831 korzec po zł. pol. 1:2.

Stagnacja. Gdy wielka sprawa narodu, chcącego byt swój wywalczyć i rozszarpaną ojczyznę w jedno złączyć ciało, wszystkich

zajęła uwagę, przeto nastąpiła wielka stagnacja w zarobkowaniu, która się najdotkliwiej uczuć dała trudniącym się handlem i wyrobem rzeczy, niewchodzących do liczby koniecznych potrzeb życia.

W gronie tych znalazłem się i ja z moją księgarnią. Nikt prawie przez cały ten rok nie zapytał się o książkę; wyludniły się szkoły, bo prawie wszystka młodzież doroślejsza poszła do wojska – i cały ten czas tylko czytano gazety. Jedynie rzemiosła niektóre, jak np. szewcy, krawcy, siodlarze, rymarze it. p., którzy robili ubiory i potrzeby wojenne dla wojska narodowego, na brak zarobku uskarżać się nie mogli. Również i spekulanci dobre mieli żniwo, bo dostarczali broni (tajemnie sprowadzanej z Austrii). skór, płótna, sukna, koni itd.

Brak gotowizny. Jak zwykle w czasie wojny wszelkie papiery kursowe upadają w kredycie (niewątpliwie wszyscy jeszcze pamiętają ogromne straty poniesione na bankocetlach austriackich*), tak i teraz upadły w kredycie papiery bankowe Królestwa Polskiego. Brzęczące pieniądze srebrne tak znikły, że nie dopatrywał się nikt dukata, talara ani dwuzłotówki, i tylko krążył po ręku lichey bilon i bilety bankowe, które chcąc przemienić na gotowiznę, stracić było trzeba 20–25 od sta. Z tego powodu zdrożało wszystko, a lud wiejski wcale tych papierów nawet przyjmować nie chciał.

Cholera morbus. Straszna ta choroba wyszła z Azji; najprzód zjawiała się w Rosyi, a w czasie tej wojny po starciu korpusu rosyjskiego gen. Pahlena pokazała się i w wojsku naszym. Przeciągła ona przez całą Europę, doszła i do Ameryki i miliony ludzi sprzątnęła. Szczególniej lud ubogi, nędznie żyjący, ludzie oddani nalogowi pijaństwa i nieporządnie żyjący ofiarą jej padali. Pierwszym jej objawem były womity i laksowanie gwałtowne – a chory dotknięty nią w kilka godzin życie kończył. Na zamku krakowskim (w pałacu królów!) urządzony był szpital choleryczny, dokąd co chwila znoszono chorych, w łózkach umyślnie na to przeznaczonych, zieloną ceratą krytych – a w wieczór zwykle wywożono

* Bankocetli tych ogromne kwoty zostały w r. 1809 po panowaniu austriackim w Krakowie. Później po wejściu Polaków tak upadły, że reński jeden znaczył tylko na monetę groszy polskich dziesięć, a zatem zeszyły do 1/12 części wartości.

pełne wozy nieboszczyków. Wszędzie po wsiach urządzone były osobne cmentarze dla zmarłych na cholere, które jako pomniki tej strasznej klęski długo o niej świadczyć będą.

Gwałtowność tej choroby wykaże najlepiej definicya jej przez jednego doktora angielskiego: „Jest to choroba, która się od tego zaczyna, na czym się inne kończą, t. j. od śmierci”.

Zamknięcie granic. Pod pozorem cholery otoczone były granice austriackie od Królestwa Polskiego i Rzpltej Krakowskiej ścisłymi kordonami wojskowymi. W odległości kilkudziesięciu kroków jeden od drugiego stał żołdak na straży i nielitościwie strzelał do chcących przejść przez granicę, a nawet pod zamkiem krakowskim wśród Wisły młody człowiek został zabity, a kobieta postrzeloną. A tymczasem cholera grasowała nadzwyczaj srogo (i daleko gwałtowniej niż u nas) poza kordonami. Takież było zamknienie i od strony Prus, i tak byliśmy tu w Krakowie ściśnieni, jak gdyby w jakiej twierdzy oblężonej. Znikąd nie mieliśmy dowozu żywności, związki między jednym a drugim brzegiem Wisły były przecięte, a to wszystko z przyczyny, aby nieszczęśliwym Polakom znikąd pomocy nie dawano.

Resztę klęsk już tylko ogółem wspomnę, a te były: wojna z okropnymi skutkami, rabunek wszelkiej własności, zabieranie i wywożenie ludzi, prześladowanie za patryotyzm, więzienie najgodniejszych osób – zgoła wszelkie złe, jakie tylko rodzaj ludzki uciśnąć może, i nie pozostawało tylko oczy wznieść ku niebu i mówić:

Któżby o Boże, wytrwał na tej ziemi,
Któżby nieszczęściom potrafił wydołać?
Gdyby się z klęski, łzy i rany swemi
Nie mógł do ciebie odwołać!

(XXVIII).

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego*, wydał Stanisław Estreicher, Kraków 1909, t. 1, s. 109–112.

D. Musiała śrubka wypaść

Julian Ursyn Niemcewicz (1791–1841)

26 kwietnia 1835

Musiała w maszynie świata lubo sprężynka jaka się zepsuć lub śrubka wypaść, wszystko bowiem idzie nie po swojemu. Dziś 26 kwietnia zimno większe jak w Gromniczną, pochmurno, grad i deszcze na przemiany. Są co to przypisują wyziewów Wezuwiusza, jakoby masa płonie z wnętrzości ziemi wyrzucając, gorącą skorupy jej zmniejszyła, jak gdyby kula ziemską więcej odbierała ciepła z wnętrza swego niżeli od słońca.

Julian Ursyn Niemcewicz, *Dzienniki 1835–1836*, do druku przygotowała i przypisami opatrzyła Izabella Rusinowa, Warszawa 2005, s. 98.

E. Okropne szkody, przerwane komunikacje

Julian Ursyn Niemcewicz (1791–1841)

Zimno trwa, śniegi leżą zawsze, we Francji i w Anglii okropne szkody, przerwane komunikacje, zawałone drogi, ulice, w miastach mieszkańcy w domach zamknięci, brzegi morskie okryte rozbitymi okrętami, trupami, towarami.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Dziennik 1837–1838*, redakcja Izabella Rusinowa, Pułtusk 2006, s.12.

F. W przeciągu 100 godzin

Gazeta Codzienna, 1842

Uczyniono takie spostrzeżenie, że pożar Hamburga zdarzył się 5go maja; spustoszenie części wyspy St. Domingo przez trzęsienie ziemi dnia 7 maja, a okropny przypadek na wersalsko-paryzkiej kolei dnia 8 maja. Tym sposobem w przeciągu 100 godzin czasu zdarzyły się na różnych punktach kuli ziemskiej trzy katastrofy, które w historii ludzkości zwykle nie przedstawiają się jak w długich przeciągach czasu.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 28 czerwca 1842 roku.

G. Jakieżto przygody

Gazeta Lwowska, 1842

Z Paryża pod dniem 28 września donoszą: Jakieżto przygody nie wydarzyły się w upłynionych dziewięciu miesiącach roku 1842! Zniszczenie wojska angielskiego w Afganistanie, pożar Hamburga, śmierć księcia Orleańskiego, pożar w Liverpoolu i mnóstwo innych strat poniesionych przez pożary, które się w Niemczech, Węgrzech, Polsce, a teraz i we Francji wydarzyły. Mianowicie w departamencie Sekwany i Marny powstają pożary w sposób bardzo niepokojący, prawie tak często jak w roku 1820 w Normandii. – Codziennie słychać o nowych pożarach, a przynajmniej o podpalaniu; trwożliwość i niedowierzanie opanowały wszystkie umysły; z tego powodu w wielu okolicach połączyli się mieszkańcy dla odbywania ścisłej straży i dla zapobieżenia nieszczęściu, nad którym złoczyńcy potajemnie pracują. Dodajmy do tego, że się codzień wzmaga drożyzna, szczególnie co do mięsiwa, nabiątu i jarzyny, przytem zupełny brak paszy dla bydła; dla tego z obawą oczekujemy nadchodzącej zimy.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 13 października 1842 roku.

H. Nic stałego nie ma

Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887)

Drezno 17 x 1881

Wszystko to kiedyś pójdzie z dymem, rozproszy się i zginie. Tak bywało, jest i będzie na świecie. Stosunki się zmieniają. Nic stałego nie ma, *après le tiers état* teraz proletariat, po proletariacie przyjdą wibrony, robaki, meszki itp.

Klimat też w całej Europie bardzo się zmienia, zdrowie z nim. Życie, para i elektryczność popędza w galop. Trudno wydołać (...)

PRZEDRUK ZA: Józef Ignacy Kraszewski do brata Kajetana Kraszewskiego, w: *Listy do rodziny*, opracował Wincenty Danek i Stanisław Burkot, Kraków 1982, t. 2, s. 282.

3. W dawnych czasach też nie lepiej

A. Równe katastrofy ucierpiała

Gazeta Lwowska, 1833

W Nowej-Hollandyi odkryto nareszcie pierwsze ślady dawniejszych mieszkańców tego kraju. Dr. Henderson wynalazł tam szczątki świątyni, która, jak mniema, od Hindów zbudowana była. Więc i w najdawniejszych czasach była to część świata innym podobna, i równie katastrofy ucierpiała. Najnowsze odkrycia dowodzą, że w górach wapiennych Nowej-Południowej Walii znajduje się wiele kości skamieniałych. Clifft, Cuvier, i Pentland utrzymują, że należą one do daspurów, hysyprymnów, fafkolomów, kangurów, balmtarów, słoniów i do niektórych rodzajów olbrzymich małp, po części teraz już nieznanych. Szkielety znanych dotąd zwierząt zdają się być tej samej wielkości, jak i terażniejsze Nowej-Hollandyi, niektóre większe jednak. Wszystko to zbija twierdzenie tych, którzy utrzymywali, że Australia pierwotnie do naszego planety nie należała, lecz że to była masa później dopiero z nim połączona, bądź inny xiężyc, który starłszy się z ziemią, miał sprawić potop świata.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 22 października 1833 roku.

B. Wśród codziennych zatrudnień swoich

Gazeta Warszawska, 1838

Kapitan Benjamin Ray, który niedawno z podróży do Peru powrócił do Nantucket, przywiózł ze sobą rozmaite osobliwości, które wykopał z gruzów podziemnego miasta. To miasto położone jest w okolicy Guarmeyn w prowincji Troxllillo; mieszkańcy okoliczni ani z podania, ani ze wspomnienia nic o niem nie wiedzieli. Kapitan Ray zwiedził te podziemne zwaliska, i przeglądał ulice i domy, które wyprzątnięto. W domach, których mury były jeszcze nie naruszone, znaleziono ciała ludzkie oraz narzędzia gospodarskie i inne przedmioty. Trupy były jak najlepiej zachowane; włosy, paznokcie i skóra nie doznały zmiany. System nerwowy był bardzo skurczony, chociaż zupełnie wysuszony. Odkrywca przypisuje to saletranemu składowi gruntu. Położenie, w jakim znaleziono te mumje, każe się domyślać, że cała ludność, którą, sądząc z objętości murów miasta, możnaby do 30,000 dusz cenić, niespodzianie, wśród codziennych zatrudnień swoich, została przez ziemię pochłonią. Wykopano między innymi człowieka, który stał prosto, w kieszeniach miał peruwiańskie złote i srebrne monety, które zwierchność wysłała do Limy. Znanwcy, wnosząc z tych monet, oświadczyli, że od tej okropnej katastrofy przynajmniej 2500 lat upłynąć musiało. Pan Ray widział w jednym domku ciało kobiety, owiniętej obszerną suknią, i siedzącej przed warsztatem tkackim; w chwili swej śmierci była pracą zajęta. Na warsztacie rozciągnięty był kawał materji, po części już utkany; w ręku kobieta trzymała kończate czółenko, 8 do 10 cali długie, wokoło którego owinięty był duży kłębek cienkich brunatnych nici; odpadki bawełny i wełny różnych kolorów leżały na ziemi. Kapitan Ray zebrał nieskończony kawał materji, czółenko i kilka próbek nici wełnianych.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 13 sierpnia 1838 roku.

C. Zwłoki miasta

Gazeta Codzienna, 1838

Pompeja. (Ustęp 7. opisu lorda Kriffon.) Jakkolwiek opis dano by o Pompei, chociaż by najpoetyczniej chciano skreślać jej obraz, nie masz mowy tak zamożnej, tak bogatej, aby potrafiła malować dostatecznie to smutne spustoszenie zwalisk i lawy, te zwłoki miasta zmartwiałego, które dziś ciekawość ludzka, po tylu wiekach snu upłynionego, z ziemi na jaw wydobywa. Pierwszą rzeczą, która z widokiem Pompei zwróci uwagę przychodnia, jest małość domów w porównaniu do dzisiejszych naszych zamieszkań. Zważywszy jednakże, że dawni szukając piękności w ozdobie i harmonii, żyli w największej części pod otwartym niebem, wspaniałość zaś i wzniosłe stosunkowanie dla publicznych zachowywali pomników, przestaniemy się dziwić nad małością domów, noszących na sobie piętno ducha greckiego i cechę ludu wielkогреckiego powagi, którą jaśniały. (...)

Ale na cóż się przyda skreślać obraz oblicza i postaci Pompei! bo tem, czego ani pióro, ani rylc oddać nie zdołają, jest owa głęboka, uroczysta cisza grobowa pośród mieszkań, gdzie wszystko żyć się zdaje, jest ten ponury i dym zięjący Wezuwiusz, wznoszący się z urąganiem ponad horyzont nieszczęśliwego grodu, i zdający się mu grozić powtórny raz jeszcze z lawy grobowcem, a przecież to szczególnie tworzy główny charakter Pompei. Pomiędzy budynkami w ostatnich czasach odkopanemi znaleziono zwaliska świątyni Izdy, gdzie odbywała się szczególniejsza służba tajemnicza, której pod karą śmierci wyjawiać nie było wolno. Teraz przebiega się bez niebezpieczeństwa najmniejsze kryjówki przybytku tej groźnej bogini. Znaleziono tam narzędzia, za pomocą których kapłani obeznani nieco z umiejętnościami umieli przewodzić ciemnym i zabobonnym owych czasów massom. Obok statutów Izdy i Anubisa, znaleziono także Bachusowe, Wenery i Priapa, których tajemnice z tajemnicami Izdy, zdaje się, iż były w styczości, co

wyjaśnia niejako zasłonę, pod jaką zwykle tę boginię przedstawiają. Wielka mnogość kościotrupów w tej świątyni znalezionych zdaje się wskazywać, że deszcz popiołowy zasypał sługów bogini podczas obrzędu wielkiej jakiejś uroczystości; przy jednym z kościotrupów znaleziono szkatułkę ze złotem, którą właściciel chciał zapewne unieść z miejsca nieszczęściem zagrożonego. W tem mieście śmierci nosi wszystko szczególniejszą barwę; za każdym krokiem napotyka się na kupieckie kramy, które właściciel zaledwie przed godziną zdaje się opuścił. Tam handlujący olejami wystawili swoje powabne amfory, tam dalej są sklepy winiarzy, rzeźników itp., co z pozostałych dotąd jeszcze znaków namalowanych na zwierzchnich ocapach (odedrzwiach) rozpoznać można. W jednym z tych ostatnich mieszkań stały nienadwerżone naczynia szklane z śliwkami, figami i winogronami. Przed apteką znaleziono za znak węża gryzącego w jabłko; nieco dalej odkryła się winiarnia i mnóstwo thermopolów, które zastępowały bez wątplenia dzisiejsze u nas kawiarnie, a w których sprzedawano różnego rodzaju chłodniki. Liczne z tych mieszkań były pełne kościotrupów, co dowodzi, że takie miejsca były uczęszczane.

Zdaje się, iż katastrofę, która zagrzebała Pompeję, poprzedziły okropne znamiona, na które atoli zniewieściale, o nic nietroszczące się miasto, zatopione w roskoszach, odurzone ich urokiem i otumanione przepychem własnej swej wielkości, bynajmniej nie zważało. Na szesnaście lat przed wybuchem, za rządu Nerona nastąpionym, zniszczyły silne wstrząśnienia niemało świątyń i pochłonęły kilka wiosek; ale Pompeja nie miała czasu myśleć o wulkanie, przysłuchiwała się, jak Neapol, harmonijnym tonom fletu nerońskiego, aż nareszcie ozionął wulkan jego lekkomyślnych wielbicieli, dwa miasta i siół mnogą liczbę.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 5 listopada 1838 roku.

D. Przez wodę albo inną katastrofę

Gazeta Codzienna, 1841

W *Courrier des Etats Unis* czytamy o tej osobliwości pod d. 19 paźdz. 1840 r. z Pensakoli co następuje:

„Mogę ci teraz udzielić dokładniejszych objaśnień co do szczególniejszego odkrycia naturalnego szosse w odnodze Pensakoli (...) p. Cosmao Dumanoir, dowódca fregaty francuzkiej *La Sabine*, zwiłdził ją także 3 paźdz. Gdy wówczas wody były małe, łatwo można było rozpoznać ten pomnik natury; jakoż następujące uczynił nad nimi spostrzeżenia:

To szosse, około sto stóp szerokie, zdaje się rozciągać przez całą szerokość odnogi, to jest na półtory mili (*lieue*) poniżej ujścia Eskambii, gdyż na przeciwnym punkcie zdaje się znowu widzieć, i według wszelkiego prawdopodobieństwa przedłuża się pod wzgórkami okry i gliny pokrytymi piaskiem, które otaczają ze wszystkich stron odnogę. Domyśleć się wypada, że ta skamieniałość (*petrification*) była w swych początkach ogromną kupą drzew (nagromadzonych przez wodę lub inną jaką katastrofę), które skupione, zatarasowały tę odnogę w całej jej obszerności. Środek tego szosse przedstawia jedną tylko masę zupełnie stałą. Wszystkie pnie i gałęzie połączone między sobą masą żelazo zawierającą, przedstawiają masę jakby w piecu hutniczym utworzoną. Dwie strony przedstawiają odłamki odosobnione, z tych niektóre są zupełnie okrągłe, podobnie jak ten, który ci posyłam; inne (z których posiadasz także jeden egzemplarz) utworzone są z różnych gałęzi, zawsze połączone tą samą masą. Kilka odłamków rozesłano także do muzeów francuskich, angielskich i amerykańskich, gdzie stanowiąc będą osobliwość zasługującą na uwagę”.

PRZEDRUK ZA: *Gazeta Codzienna*, 19 stycznia 1841 roku.

E. Najpewniej zniszczone przez katastrofę

Gustaw Belke (1810–1873)

Cervina. Jelenie

Wielka ilość gatunków składających się na ten rodzaj utrudnia ich rozpoznanie, tem bardziej, że szczątki, na mocy których ustanowione zostały, nie zawsze porównane być mogą. Jedne znamy tylko z ułamków szczęk, inne z rogów często w rozmaitym wieku, inne na koniec z kości. Stąd wnosić można, że w liczbie 50–60 katalogami objętych gatunków wiele dwuwykładnych się znajduje, które po bliższym rozpatrzeniu połączyć z sobą wypadnie. Niewątpliwą jednak jest rzeczą, że jelenie od połowy trzecio-rzędowego okresu obficie znajdowały się w Europie. Gatunki, których szczątki w pokładach trzecio-rzędowych wyższych spoczywają, najpewniej zniszczone zostały przez katastrofę, która zakończyła ten okres.

PRZEDRUK ZA: Gustaw Belke, *Mastologia czyli Historia naturalna zwierząt ssących, obejmująca opisy ich rodzajów, gatunków i odmian; z dodatkiem nauki wyrazów zoograficznych i wiadomości o szczątkach zwierząt kopalnych, z dzieł pp. Cuvier, Geoffroy Saint-Hilaire, Pallas, Illigera, oraz innych znakomitych tegoczesnych Naturalistów zebrana i podług najnowszej metody ułożona*, Wilno 1850, t. 3, s. 459–460.

F. Potrzeba mocnego zdrowia, żeby wytrzymać

Joachim Lelewel (1786–1861)

Gdziekolwiek na północy okiem rzucimy, gdziekolwiek w głąb ziemi nieco się zapuścimy, wszędzie z podziwieniem postrzegamy: południowych zwierząt w skrzepłej ustroni ostatki, zbiory i składy ogromne tu i owdzie porozrzucane, już na niskich równinach, już na wyniosłych górach zabytki morszczyzn, często tym stronom w których dziś spoczywają niezwykłych. Wszędzie postrzegamy ślady potopu, wszędzie ślady pędu wody od południa. Mijam tu postrzeżenia, że woda nie mogła z pod równika przynieść na północ całkowitego lub skruszonego zwierza, bo jeśli komu zdawać się może, że wyniosłość środka Azyi była do tego przeszkodą, niech pamięta, że woda w swym pędzie, łamiąc wszelkie zapory, niszcząc i obalając wszelkie swemu biegowi tamy, częstokroć znaczne bryły kamienia unosi, i w obce przez: różne wyniosłości, w całku, bez naruszenia przesyła ustronia. Mijam, mówię, te mniej ważne sprzeczność, ale chcę jeszcze postać lądu obejrzeć.

Gdziekolwiek zechcę na ziemię spoglądać, gdziekolwiek uwagę na nią zwrócę, wszędzie widzę, jak południowsze części krajów najczęściej są w klin zakończone i zdają się jeszcze swe ostre szczyty stawiać do walki z nowym pędem wody. Takie kliny ukazuje nam Grenlandya, Floryda, Indye z jednej i drugiej strony Gangesu, Kamczatka, co większa nawet z drugiej strony równika Afryka i Ameryka z nową Wallis południowe, takąż postać pokazują i tym więcej w swym ogromie znaczą, im bliżej do bieguna południowego przybliżone. Na takim ukształconym lądzie powszechnie od zachodu pasma gór liczne półwyspy swemi sterczącymi szczytami uwieńczają, a kiedy pod równikiem ląd najwynioślej swe grzbiety podnosi, ku biegunowi północnemu przedstawia błotnistą i pełną jezior, a niedawno jakby obsychające morza łożysko, z wielkich wód osierociałe płaszczyny. Zdaje się, że woda musiała swym pędem taki kształt nadać, a zrazu z jednego wyparta miejsca, w większej

okwitości pędząc, znakomitsze kliny znaczyła; później kiedy do największego obwodu ziemi przyszła, kiedy doszła na równik, zaczęła znowu nagle ku drugiemu spadać biegunowi, oznaczając Indyę, Florydę, a pędząc przez niezmierne dziś Afryki piaski, czy może od strony Azyi, wpadła na miejsce, w którym morze dziś Śródziemne wyryła, dalej Czarnemu łożu wyległa. Tym sposobem, można wszystkim zwierzchni skład ładu oznaczyć, ile że woda mogła tu jeszcze mieć inny bieg ku wschodowi, jeśli ziemia w swym kołowrotnym biegu wstrzymaną była, lub ku zachodowi biegowi ziemi wstecznemu, jeśli jej bieg przyspieszonym został. Do matematyków należałoby oznaczenie tego. Geolog chcący się nad wynalazkiem tylko przyczyn tak wielkiego skutku zatrudnić, same domysły do tego podaje. Widzieliśmy, że woda zalała ziemię. Ta woda znikąd inąd zapewne nie była jak z tejże ziemi, idzie więc nam o to tylko, abyśmy mogli znaleźć najprostszy sposób wydobycia jej ze swych łożysk i podniesienia nad wierzchołki gór niebotycznych. Sposób najprostszy mówię: bo przyrodzenie, które nam w sobie zagłębiać się dozwoliło, będąc z siebie najprostsze i najdoskonalsze, musiało zapewne dać najprostszą tak ogromnemu zdarzeniu przyczynę; ale tworząc ją, musiało wzruszyć jedno z praw początkowych, już dawniej od siebie postanowionych. Miało moc do tego, bo go samo jedno stanowiło i zarządzało dziełem własnym. Musiało zaś zachwiać jego, bo to wydarzenie, jako nadzwyczajne i więcej już powtórzonem być niemające, nadzwyczajnych sposobów wymagało. Tu już zdajemy się zbijać wszystkie podług zwyczajnego porządku podane przyczyny, jednak zastanówmy się nad żądaniem tych, którzy zwyczajnym biegiem kometę do uskutecznienia tego sprowadzają. Sprowadzili go zwyczajnym biegiem, dość szczęśliwi możeby mieli przyczynę obawiać się drugiego podobnego zalania. Ten kometa, niosąc z sobą wiele ciepła (choć nie wiemy czy komety mają w sobie jakie ciepło, koło ziemi tylko panowanie swoje rozpościerające), a może mając go sobie udzielonem od słońca (nie wiemy także, czy słońce ma ciepło) przytarł do ziemi zapewne koło bieguna południowego, bo inaczej mógłby gorącem mieszkańców

ziemi stałej obrazić, wielką część ciepła swojego opuścił. Musiała być między nim a ziemią walka w tym razie, a przybycie ciepła, co zwycięstwo ziemi oznacza, musiało zaiste nagłą zmianę w powietrzu uczynić, na coby potrzeba dosyć mocnego zdrowia, żeby wytrzymać. Cokolwiek bądź, to ciepło szybko topiło lody biegunowe że tak powiem aż do środka ziemi. A przez to gorąco woda w wapory podniesiona, przyniosła 40-dniowe deszcze.

PRZEDRUK ZA: Joachim Lelewel, o *przyczynie fizycznej potopu*, w: *tegoż, Polska, dzieje i rzeczy jej*, t. XIX Rozmaitości, Poznań 1865, s. 4–5.

G. Okropne wstrząśnienia i zatopy

Julian Ursyn Niemcewicz (1791–1841)

Dowodzi on [Cuvier – мв], jak pokłady różnych gatunków ziemi, a bardziej znajdujące się w nich kości (fossiles) nieznanych dziś zwierząt, dowodzą okropne wstrząśnienia, zatopy, którym kula ziemską w ciągu milionów lat podlegała, zburzenia te musiały się gwałtownie i prędko zdarzać, gdy w Syberii zwierz jak słoń, zachwycony by razem przez wody i zmarzł i prawie jak świeżo był znaleziony. Nie ma podobieństwa, by tak gwałtownym zburzeniom ziemia nasza tak prędko podlegać miała; odmieniają ją jednak spady śniegów z gór wysokich, morze, tu rwące brzegi, tam je powiększające, wezbranie rzek, wulkany formujące wyspy etc.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Dziennik 1837–1838*, redakcja Izabella Rusinowa, Pułtusk 2006, s. 12.

H. Nie zostawiwszy dróg swojego rycia

Adam Mickiewicz (1798–1855)

Oko nie spotka ni miasta, ni góry,
Żadnych pomników ludzi ni natury;
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
Jak gdyby wczora wieczorem stworzona.
A przecież nieraz mamut z tych ziem wstaje,
Żeglarz przybyły z falami potopu,
I mową obcą moskiewskiemu chłopu
Głosi, że dawno stworzone te kraje
I w czasach wielkiej Noego żeglugi
Łąd ten handlował z azyjskimi smugi;
A przecież nieraz książka ukradziona
Lub gwałtem wzięta, przybywszy z zachodu,
Mówi, że ziemia ta niezaludniona
Już niejednego jest matką narodu.
Lecz nurt potopu szedł przez te płaszczyny,
Nie zostawiwszy dróg swojego rycia,
I hordy ludów wyszły z tej ojczyzny,
Nie zostawiwszy śladów swego życia;
I gdzieś daleko na alpejskiej skale
Ślad zostawiły stąd przybyłe fale,
I jeszcze dalej, na Rzymu pomnikach,
O stąd przybyłych mówią rozbojnikach.

PRZEDRUK ZA: Adam Mickiewicz, *Droga do Rosji. Dziadów Części III Ustęp*, w: *Dzieła*, Wydanie Sejmowe, Warszawa 1848, t. 3, s. 265–266, w. 9–30.

I. Bezdenny rozlał się ocean

Julian Ursyn Niemcewicz (1791–1841)

Przyzwyczajony do skwarne nieba Iberyi, do wyniosłych i ponurych skał, do spiekłych gajów, błoi i niw – gdy zielone smugi, żyzne rodzajne pola, niezmierzone okiem Podola i Ukrainy stepy nowe i zachwycające wystawiały mu piękności – raz wznosił oczy w czyste błękitny niebios, gdzieniegdzie tylko białym, lekkim przeciągnięciem obłokiem, znów je spuszczał na ziemię i karmił się nie mniej zachwycającym widokiem. Tu pochyłe wzgórki wiekiustymi były pokryte dębami; przez otwarcia rozłożystych ich konarów widać było smugi zimnej i przezroczystej wody; nigdzie atoli gmachów, nigdzie wiejskich nawet mieszkań; głos tylko gubiącego się w obłokach orła lub lotny pęd ścigających się sumaków głucho niekiedy przerywał milczenie. Zresztą uroczysta cichość, jak w dzień stworzenia, gdzie istniały już wszystkie natury piękności i płody, nim Bóg człowiekowi żyć nakazał. Jakoż tu i owdzie pełne małych muszli morskich pagórki świadczyły, iż kraj ten przed niewielką może wiekami przestrzenią oceanu był zakryty; było to może w wiekach, gdzie wąskie dziś morze Bałtyckie łączyło się z wodami morza Czarnego i Kaspjskiego: wykopywane tu koście słońiów i jednorozców i w odmianie stref niebieskich równie gwałtowne dowodzą wstrząśnienia. Kto wie, mówił sam sobie Hiszpan, w tych pustych, milczących stepach, gdzie się nie odbija żaden głos ludzki, może w tych stepach wznosiły się grody zamożne, pełne rojów żyjącego mnóstwa; z spiżowych bram ich wychodziły zbrojne szeregi, słonie niosące na grzbietach swoich wieże, mężów przepasanych łukami. Stały na placach publicznych posągi mocarzów, i dumnych poruczników ich. Szaleni! mniemali oni, iż wiecznie żyć będą, i gdzież ich nieśmiertelność? trącił Bóg palcem swoim tę znikomą kulę ziemską, obróciły się wspak jej równiki i bieguny; tam gdzie były morza, wynurzyły się lądy, gdzie lądy, bezdenny rozlał się ocean, zaginęły dawne pokolenia z nauką, sztukami, pracą,

doświadczeniem i płodami tylu wieków, i nowe plemię ludzkie znów od dzieciństwa po dawnym zawodzie chorować musiało. I cóż jest na tym świecie trwałego?

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Jan z Tęczyna, powieść historyczna*, Sanok 1855, s. 107–108.



11. Idzie na dno



1. Pomp złowieszcze jęki

Adam Mickiewicz (1798–1855)

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, z nim reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył, a na mokre góry
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu
Wstąpił genijusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnąć.

Jeden podróżny śledził w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

PRZEDRUK ZA: Adam Mickiewicz, *Burza*, w: tegoż, *Dzieła*, Warszawa 1948, Wydanie Narodowe, t. 1, s. 185.

2. Osiem tysięcy

W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy zginęło blisko 8000 ludzi przy rozbiciu okrętów. Na okrętach żaglowych: „Mercedes” zginęło 731, „Abadich” 701, „Powhatlan” 330, „Taglor” 370, „New Era” 277, „Anne Jane” 375, „Straffordshire” 180, „Favorite” 201, „Mary Jane” 144 ludzi; na parostatkach „Birkenhead” 700, „City of Glasgow” 500, „Arctic” 300 i „San Francisco” 200 ludzi.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 9 lutego 1855 roku.

3. Dziesięć milionów pięćset sześćdziesiąt tysięcy

Kurier Warszawski, 1858

W ciągu 12 lub 13 lat zatonięło 11 wielkich trans-atlantycznych parostatków, to jest: „Prezydent”, angielski okręt z 300 ludźmi i w wartości 1,200,000 dolarów; „Arctic”, amerykański okręt z 240 ludźmi i w wartości 2 miliony dol; „San Francisco”, amerykański okręt z 160 ludźmi i z wartością 400,000 dol; „Central America”, amerykański okręt z 140 ludźmi i w wartości 100,000 dol; „Yankee Blade”, amerykański okręt z 420 ludźmi i w wartości 850,000 dolarów; „Tempest”, angielski okręt z 150 ludźmi i z wartością 280,000 dol; „Austria”, niemiecki okręt z 500 ludźmi i z wartością 850,000 dolarów. Ogólną dotąd stratę obliczają na 2,662 ludzi i 10,560,000 dolarów.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 30 listopada 1858 roku.

4. Okręty ginące na szerokim morzu

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Nocy jednej ledwo o ostatnią nie byliśmy przywiezieni zgubę. W pośród ciemnoty okręt płynący z Ameryki otarł się prawie o nasze żagle; gdyby się były wzajemnie o siebie uderzyły, obydwu w mgnieniu oka byłyby pochłonięte w bezdennem morzu. Najwięcej atoli robić jest na brzegach, kiedy okręt w czasie gwałtownej burzy niemogąc się rudłem kierować, pędzony wichrem uderza o skały i o nie się gruchocze.

Okręty ginące na szerokim morzu albo powyższym giną przypadkiem, to jest w nocy wpadając jeden na drugi; albo też gdy nagle przeciwny wiatr powstanie, i nie masz czasu zebrać żagle, wtenczas okręt przewraca się do góry nogami; lub na koniec przez rozstąpienie się dylców i utworzenie szpary napęlnia się wodą i tonie (co nas niezawodnie czekało na zbutwiałym okręcie Steven-sona), a wtenczas ludzie małą ratują się łodzią, szczęśliwi jeśli jaki napotkają okręt, który ich ułowi – inaczej giną z głodu i pragnienia lub giną, znajdując śmierć w morskich bałwanach.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki 1804–1807. Dziennik drugiej podróży do Ameryki*, Lwów 1873, s. 112–113.

5. „Meduza”

A. Wyszuszyć rozkrwawione sztuki członków

Gazeta Lwowska, 1816

O rozbiciu się Francuzkiej fregaty Meduzy.

Ta fregata miała zawieźć do Senegalu mianowanego od króla Gubernatora, a rozbiła się w dniu 2go Lipca niedaleko brzegów Afrykańskich w odnodze Arguińskiej, w Obliczu Białego Przylądka. Dziennik rozpraw (Journal des Debats) umieścił o tem okropny opis iednego naocznego świadka* (Chirurga okrętowego Saviniego), który z czternastoma (niżej wymienionymi) towarzyszami nie-szczęścia swojego, cudem prawie uszedł oczywistej śmierci. Opis ten zaczyna się od chwili, w której Meduza rozbiła się, a osada na znajdujące się przy fregacie statki, czyli szalupy**, które przy takich okrętach zawsze bydź zwykły, i na prom z masztów i innego okrętowego drzewa na prędcę złożony, podzielona bydź musiała.

„Dnia 15. Lipca (tak opiewa rzeczony opis) nastąpiło wysadzenie ludzi z fregaty w naywiększym nieładzie i zamieszaniu; sześćdziesiąt maytków miało przyysdź na prom, a przyszło ich tylko 10ciu. Sto czterdzieści i siedm osob wsadzono na tę ułomną

* Monitor Paryzki zawiera obwieszczenie ze strony Ministerstwa Marynarki, w którym Dziennikowi rospraw mocno nagania umieszczenie tego opisu, wyrażając między innymi: „Autor tego artykułu powinien był pomyśleć o tem, że nade wszystko należałoby mu było zdać sprawę Sądowi woiennemu, który wydać ma wyrok z powodu tego nie-szczęśliwego wypadku. Jakże będzie mógł stanąć za świadka, kiedy iuż publicznie iako oskarżyciel wystąpił? Jest to za daleko uwodzić się zapamiętałością obowiązku”.

Chirurg Savigny oświadczył z tego powodu, iż wielce się zdumiał, czytając ten opis w dzienniku rospraw; nie zbiia atoli prawdy zawartych w nim czynów.

** Z listów prywatnych dowiedziano się, że szalupy Meduzy szczęśliwie zapłynęły do wyspy Goree, gdzie według możności doznały wszelkiej pomocy od Gubernatora Angielskiego, który od Rządu swojego oczekiwał rozkazów do oddania osady teyże wyspy Reprezentantowi Króla Francuzkiego.

machinę. W pośpiechu, z jakim ją złożono, nie dano iey żadnych poręczy, podobnoś dla tego, że ci, którzy ją robić kazali, nie mieli chęci wsiąść na nią. Prom ten miał około 60 stop długości; przy mocney budowli mógłby był pewnie 200 ludzi unieść; ale wkrótce doznaliśmy dowodów iego słabości. Był on bez żagli i bez masztów; naładowano nań bardzo wiele skrzyń mąki, pięć beczek wina i dwie beczki wody, lecz wcale zapomniano dać nam sucharów.

Ledwie 50 ludzi stanęło na promie, a iuz na dwie stop głęboko zanurzył się w wodzie.

Dla pomieszczenia reszty żołnierzy musiano wszystkie skrzynie z mąką w morze wrzucić; tylko wodę i wino zestawiono, i daley wsadzano ludzi, aż nas nareszcie było 147. Prom zanurzony był przynajmniej 3 stopy w wodzie, a natłok na nim tak wielki, że nie można było ruszyć się ani krokiem; na przodowej zaś i tylney stronie nikt stać nie mógł, gdyż woda aż po pas dochodziła. Gdyśmy iuz od fregaty odbić mieli, rzucono nam z niey około 25 funtów sucharów w worku, który wpadł w morze. Z mozołem wydobyto go; a lubo suchary całkiem iuz były przemokłe, przecież skarb ten przyjęliśmy z największą wdzięcznością.”

„Wszystkie szalupy fregaty miały nas na linach ciągnąć, a Officerowie, którzy na nich dowodzili, przysięgli byli: że nas nie opuszczą. Daleki iestem od tego, abym miał obwiniać tych Panów o nadwężenie prawa honoru; atoli zbieg okoliczności przymusił ich może, iż od wspaniałomyślnego planu ratować nas lub zginąć wraz z nami, odstąpili. Ta okoliczność warta iest ścisłego roztrząśnienia.”

„Bat, na którym znajdował się Gubernator, rzucił nam nypierwszą linę zacięzną. Okrzyk: Vive le Roi! tysiąckrotnie powtórzyli ludzie na promie będący, i zatknęli małą banderę białego koloru na końcu rury od strzelby. Dowodcą promu mianowano iednego Kadeta morskiego pierwszej klasy, nazwiskiem Coudin.”

„Gdyby wszystkie szalupy z połączonem natężeniem ciągle nas były ratowały, bylibyśmy, przy pomyslnym wietrze rychley niż w trzech dniach dostali się do lądu, gdyż fregata rozbiła się

nie daley iak o 13 mil (Francuzkich) żeglugi od brzegów; tak rachowali Officerowie, i nie mylili się, kiedy szalupy w tenże sam dzień, w którym odplynęły, ieszcze przed zachodem słońca ląd uyrzały. Lecz tylko ieden bat ciągnąc nas zaczął, a znajdujący się na nim Porucznik fregaty widząc, że iego usiłowania były nadaremne, rozkazał także odciąć linę od kotwicy, która nas z szalupą zwiżywała. Powiadano, że po tey czynności słyszano krzyk barbarzyński: Zostawuiemy ich losowi. Luboć to od kilkunastu osob słyszałem, przecież wołę wierzyć, że ludzkość i honor innego ducha wpaiały w owych, którzy przysięgą zobowiązali się byli doprowadzić nas do lądu.”

„Nie prędzey przekonaliśmy się, że nas iuż wcale opuszczono, aż gdy nam szalupy prawie zupełnie z oczu zniknęły. Powstała straszna trwoga; wszystko, co głód i pragnienie mogą mieć w sobie okropnego, wystawiało się w wyobrazeniu naszym, a do tego mieliśmy ieszcze do walczenia ze zdrażliwym żywołem, który iuż do połowy ciała nasze oblewał. Wszyscy maytkowie i żołnierze oddali się rozpaczy, i tylko z wielkim mozołem potrafilśmy ich uspokoić.”

„Wsiedliśmy na prom, nie pożywiwszy się pierwey; głód zaczął nam gwałtownie dokuczać; kawałek suchara umaczanego w winie był naszym obiadem naysierwszym i naylepszym, iaki iedliśmy podczas pobytu naszego na tym promie. Wprowadzono kolej podług liczb do rozdzielania mizerney żywności naszej; suchary pożyto iuż w dniu pierwszym, który przeszedł dosyć spokojnie.”

„Wieczorem zwrociły się serca i życzenia nasze, z uczucia tak przyrodzonego Nieszczęśliwym, ku Nieba; błagaliśmy naygoręcey o iego pomoc, a z tey modlitwy naszej tę mieliśmy korzyść, żeśmy się spodziewali ratunku.”

„Myśleliśmy wciąż ieszcze, że szalupy wrócą się nam na pomoc, ale noc zaszła bez ziszczenia się naszej nadziei; wiatr był ostry, morze znacznie sie podniosło; co za noc straszliwa!”

„W ciągu tey nocy poobalało się bardzo wielu z naszych podróżnych, którzy nie przywykli byli do morza; nareszcie po dziesięciu

godzinach najokrutniejszej męki nakazał się dzień. Jakież widok stawił się oku naszemu! Dziesięć do dwunastu Nieszczęśliwych, pozastrzęgawszy nogami pomiędzy otwory sztuk drzewa, z których się prom składał, nie mogło się wydobyć, i utraciło życie. Kilku innych gwałtowność morza porwała z promu; tak więc w poranek już nas o dwudziestu mniej było.”

„Ubolewaliśmy nad stratą nieszczęśliwych towarzyszków naszych, ale w tej chwili nie przeczuwaliśmy scen terrorizmu, które nas w nocy następującej czekały. Nadzieja zobaczenia szalup w ciągu dnia utrzymywała odwagę naszą; lecz gdy zawiedziona została, nastąpiło zwątpienie powszechne, a duch buntu obwieścił się wściekłym wrzaskiem.”

„Przyszła noc; niebo okryło się grubymi chmurami, morze straszniejszym było, aniżeli zeszłej nocy, a ludzie, którzy nie mogli się utrzymać ani na tyle, ani na przodzie, cisnęli wszyscy do środka, jako najbezpieczniejszej części promu; ci, którzy nie zdolali utrzymać się na środku, wszyscy prawie zginęli, a w środku taki był ścisk ludzi, że niektórzy pod ciężarem swoich towarzyszków, co chwila na nich upadających, podusili się.”

„Żołnierze i maytki sądząc się już zgubionymi, pili strasznie, a zalawszy trunkiem rozum, posunęli w tym stanie tak daleko szaleństwo swoje, że oświadczyli zamiar zamordowania swoich Dowódców i zburzenia promu, chcąc porozcinać liny, któremi był spoiony. Jeden z nich przypadł z toporem, ażeby ten plan uskutecznić, i począł rąbać liny, co było hasłem rewolucji. Przyspieszyli Officerowie dla wstrzymania tych szaleńców, a ów, co podniósł topór i tymże odgrażał się im ważył, został rozsiekanym. Wielu sierżantów i podróżnych dopomagało nam do ocalenia promu. Buntownicy dobyli swoich pałaszów, a ci, którzy ich nie mieli, uzbroili się w noże. Stanęliśmy do obrony, zaczęła się bitwa. Jeden z buntowników, który podniósł był pałasz na Officerą, poległ na miejscu kilkoma razami przeбитym. Ta odwaga powściągnęła na chwilę buntowników, którzy jednak potem, skupiwszy się mocniej, udali się w tył promu dla dokonania swojego zamiaru. Jeden z nich

udając spoczywającego, już nożem odrzynał liny; jeden służący dał o tem znać; napadamy na niego; jeden z żołnierzy chce go bronić, grozi Officerowi swoim nożem, i ugadza go, lecz szczęściem tylko w suknię; odwraca się Officer, kładzie swojego przeciwnika trupem, i wtrąca go w morze wraz z towarzyszem jego.”

„W krótkce stała się bitwa powszechną; Kapitan Dupont ugodzony sztuką drzewa, która o mało że mu nie roztrzaskała kości w udzie, upadł bez zmysłów. Żołnierze porwali go i wrzucili w morze. My spostrzegłszy to, uratowaliśmy go i położyli na beczie; lecz buntownicy znowu go wydarli, i chcieli mu oczy szczorykiem wykłuć. Rozjątzeni tak wielu okrucieństw, nie mieliśmy już więcej żadnego względu; uderzyliśmy na nich z wściekłością, uganiał się z pałaszem w rękę pomiędzy szeregami żołnierzy; a kilkunastu z nich chwilę obłąkania życiem przypłacić musieło. Podróżni pomagali nam. Za uderzeniem powtornem ostygła raptem wściekłość buntowników i zamieniła się w największe tchurzostwo; kilkunastu rzuciło się nam do nóg, prosząc o pardon, który im natychmiast dano.”

„Rozumieliśmy, że teraz porządek znowu był przywróconym, powróciliśmy na stanowisko nasze w środek promu. Była już blisko północ; broń naszą mieliśmy przy sobie. Po iedney godzinie pozornej spokojności, żołnierze znowu się zerwali; zmysły opuściły ich były wcale, lecz że jeszcze fizyczne siły swoje posiadali i uzbroieni byli, musieliśmy na nowo stawić się do odporu. Uderzyli na nas, my nawzajem rzuciliśmy się na nich; wkrótce trupy i ich prom okryły. Owi z przeciwników naszych, którzy nie mieli broni, chcieli nas rozszarpać zębami, i wielu z nas strasznie pokąsali; mnie samego ukąszono w nogi i w ramiona. Nie było nas więcej jak 12stu do 15stu opierających się tym wściekłym, atoli jedność nasza czyniła nas mocnymi.”

„Wreszcie zajaśniał dzień i oświecił tę scenę okropną; wielka liczba tych szalonych powskakiwała w morze. Rano obaczyliśmy, że 50 do 65ciu ludzi w nocy zginęło; czwarta część potopiła się z rozpaczy. Z naszych ustraciliśmy dwóch tylko, a żaden Officer nie zginął.”

„Z nadejściem dnia spostrzegliśmy nowe nieszczęście. Buntownicy wrzucili w morze podczas napadu dwie beczki wina i dwie beczki wody, które się na promie znajdowały. Nie pozostało nic więcej, iak tylko szczególnie iedna beczka wina; było nas ieszcze sześćdziesiąt i siedm ludzi; musieliśmy więc przestać na połowie porcyi. Zaczęto przeto znowu szemrać w chwili rozdawania, i do tego przyszło, że musieliśmy chwycić się ostatecznego środka, ażeby nasz byt nieszczęśliwy przedłużyć. Wzdrygam się, gdy to pisać muszę; pióro wypada mi z ręki... śmiertelna dreszcz przechodzi wszystkie moje członki, włosy powstają mi do góry. Wielki Boże! możemyż się ieszcze odważyć, nasze krwią braci zmazane ręce podnieść do Ciebie! Nieskończone iest miłosierdzie Twoje, a Twoje oycowskie serce żalowi naszemu pewnie iuż odpuściło zbrodnię, do której nas nie woła nasza, lecz tylko naygwałtowniejsza potrzeba zmusić mogła.”

„Ci, co uszli śmierci w owej nieszczęsney nocy, którą opisałem, rzucili się żarłocznie na trupów, którem i prom był zasłany, porozrzinali się w sztuki, a niektórzy pożerali nawet zaraz ciało, krew ieszcze roniące. Wielu z nas wzbraniało się przeciw tknąć takie mięso, ale na koniec ulegliśmy potrzebie ieszcze gwałtowniejszey od głosu ludzkości, i w tym pokarmie okropnym upatrywaliśmy tylko opłakany środek utrzymania się; ia zaś wyznaję że doradzałem, aby wysuszyć te rozkrwawione sztuki członków, dla uczynienia ich cokolwiek znośniejszemi w smaku. Niektórzy mieli iednak ieszcze dosyć odwagi, że się od tego pokarmu wstrzymywali, za co im większe porcy wina dawano.”

„Następujący dzień upłynął znowu, a nikt nam na pomoc nie przybywał. Zaszła noc; używaliśmy przez kilka chwil snu, który nayokropniejsze marzenia przerywały. Ze wschodem słońca uyrzeliśmy znowu dziesięciu do dwunastu towarzyszków naszych bez duszy na promie leżących; powrzucaliśmy trupów w morze, szczególnie tylko iednego z nich na pożywienie sobie zostawiwszy.”

„Po południu, około godziny czwartey, przyniosło sam jedno szczęśliwe zdarzenie nieiaką pociechę. Rój ryb skrzydlatych zbliżał

się ku naszemu promowi, a że ten miał wiele szpar pomiędzy dyłami, z których był złożony, przeto w nich bardzo wiele owych ryb pozastrzęgało, nie mogąc się wydobyć. Przypadliśmy do nich, i zrobiliśmy połów znakomity; schwytaliśmy około 300 ryb takich. Naypierwszem naszym czynem było, podziękować Niebu za to nadspodziane dobrodzieystwo. Łut prochu do strzelania, któryśmy wysuszyli, kilka kawałków hubki, krzesidło i skałki od strzelby, suche płótno i drzewo z jedney beczki sprawiły nam ogień; założyliśmy nasze ognisko na kilku deskach, mokremi sukniami okrytych; ryby pieczono i łakomie je pożywano; atoli iedliśmy także ieszcze i mięso z naszych towarzyszków, które upieczone było smaczniejsze, i którego Officerowie i ia pierwszy raz skosztowaliśmy. Noc była piękna i zdawałaby się nam była szczęśliwą, gdyby się nowa rzeź nie była wszczęła. Hiszpanie, Włochy i Murzyni, którzy podczas pierwszego buntu częścią neutralnymi byli, częścią do naszej strony przychyłali się, ułożyli teraz plan, aby nas wszystkich w morze powrzucać. Trzeba było porwać się do oręża. Naytrudniey było poznać winowayców; wierni maytkowie wydali nam onychże. Pierwsze hasło do boiu dał ieden Hiszpan, który wezwawszy imienia Boga, przeżegnał się, i wysoko w powietrze szablą wywinął. Maytki porwali go i wrzucili w morze. Przypadli buntownicy, aby się pomścić, za towarzysza swojego, ale zostali odpartymi, i wszystko powróciło się do porządku.”

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 21 grudnia 1816 roku.

B. Trzydziestu było w tak ciasnej przestrzeni

George Byron (1788–1824)

xxiv

Okręt nazwany pięknie: „Trinidadą”,
Gnał do Liworna po gościńcu szklistym.
W tym mieście stara rodzina Moncado,
Która się rozstać musiała z ojczystym
Krajem – osiadła. Familijną radą
Był tam wysłany, opatrzony listem;
Prócz tego inni znajomi w Sewilli
Listy do swoich znajomych wręczyli.

(...)

xxvii

O pół do drugiej wiatr nagłym zawrotem
Wpakował okręt między dwa bałwany
Co dno wybiły, kując w nie jak młotem,
Spłukały pomost, uszkodziły ściany;
I nim żeglarze, strwożeni łoskotem,
Zbiegli się dźwigać okręt skołatany;
Ster pękł, do pomp biegł i stary, i młody,
W statku było już – cztery stopy wody.

(...)

xxx

Dzień drugi dawał pozory pogody;
Więc byli radzi i krzepili siły,
Choć wewnątrz było na trzy stopy wody,
Którą trzy pompy nieustannie piły.

Znowu wiatr zawiął, nowe zrządził szkody,
Wpadli w wir, działa z łożysk się stoczyły,
Ogromny bałwan na okręt się rzucił,
Uderzył, podbił i na bok przewrócił.

(...)

XLII

Znów wicher zawył i znów okręt kruchy
Zaczął się głębiej zanurzać w topieli;
Choć wyzierała śmierć z tej zawieruchy,
Wszyscy cierpliwi byli, nawet śmieli,
Aż gdy się zdarły skóry i łańcuchy
U pomp, zwątpienie przyszło i ujrzeli,
Jak go pochwycił wiatr, wściekłością zbrojny...
– Tak chwyta ludzi wir domowej wojny.

XLIII

Zbliżył się cieśla. Łzy miał pod zgrubiałą
Powieką i rzekł cicho: „Kapitanie,
Nie ma ratunku!...” Ten człek żył niemało
Po niejednym się błąkał oceanie
I widno strasznie mu się w duszy działo,
Bo nie było to kobiece płakanie...
Lecz tam zostały w chacie dzieci, żona...
Tą myślą człowiek zwariuje, nim skona.

XLIV

Ocean teraz prawie pokład zmywał;
Okręt się przegiął, strach różnicę znosił.
Ktoś swoim świętym funt świec obiecywał
(Ba! gdzie ich dostać?), drugi ręce wznosił
W górę, ów dziko w morze się wpatrywał,

Kilku spuszczało łódź, a jeden prosił
Pedrilla, aby dał mu rozgrzeszenie;
Ten go „do diabła” słał – przez roztargnienie.

(...)

L

Zaczęto tratwę z gorącym pośpiechem
Zbijać, lecz tratwa na morzu – cóż znaczy?...
Na to mógłby ktoś poglądać z uśmiechem,
Gdyby był bardzo wesół i junaczy,
Prędzej zawtórowałby pijackim echem,
Podochoceniem szalonym rozpaczy,
Epileptycznym pół, pół histerycznym;
Śmierć się bankietem radowała ślicznym.

(...)

LXIII

Trzydziestu było w tak ciasnej przestrzeni,
Że nikt swobodnie nie mógł użyć ręki,
Jedni zziębnięci, przemokli, skurczeni
Siedzieli – inni, by złagodzić męki,
Na kształt dantejskich pokładli się cieni
Czuwając; febrą dzwoniły im szczęki.
Tak wlokła się łódź, w szkielety ciężarna,
Wspólnym ich płaszczem była chmura czarna.

(...)

LXXII

Przyszedł dzień siódmy bez wiatru; żar z nieba
Tryskał; jak ścierwo łódź na wodzie legła,
W łodzi szkielety... Im było potrzeba

Wiatru, a wiatr spał. Do białek im zbiegła
Krew i spojrzeli na się... chcieli chleba,
Jeść chcieli; głodem w oczach się zażęgła
Kanibalowa chuć... Patrzą i milczą,
A szczęki im się wydłużają wilczo.

LXXIII

Wreszcie jeden coś szepnął do sąsiada,
Ten szepnął drugim, a ten innym jeszcze
I trwała jakaś najemna narada,
Jakieś szemrania syczące, złowieszcze.
I pojął każdy, że myśl jedna włada
Wszystkimi, chutne wywołując dreszcze;
A była to myśl, że losować trzeba
I ludzkim ciałem zastąpić brak chleba

(...)

PRZEKŁAD ZA: George Byron, *Don Juan*, Pieśń druga, fragmenty, w:
tegoż, *Wybór dzieł*, t. 3, wybór, przedmowa, redakcja i przypisy Juliusz
Żuławski, przełożył Edward Porębowicz, Warszawa 1986, s. 73–93.

C. Księżyc zerka po mieszczańsku

Kurier Codzienny, 1876

Salon malarstwa nie może wcale się uzalać na brak nowości, nawet zagraniczni artyści, choć rzadko, przesyłają nam swoje płótna. Obecnie np. p. A. Pleysier z dwoma widokami morskimi produkuje się przed publiką Warszawską.

Pierwszy z nich przedstawia *rozbicie okrętu Meduzy*... Więc na głównym planie widać złamany maszt ponad wodą sterczący, a na dalszym okręt, ku któremu łódź rybacka dąży. Od okrętu płynie szalupa pełna ludu... Ogólne tło obrazu, efekt oświetlenia chmur wiszących ponad zielono-oliwkowym morzem, użyty umiejętnie i pokazuje wprawę, z jaką p. Pleysier w robieniu podobnych rzeczy posiada.

Dla tego właśnie jednak, że mamy do czynienia z artystą doświadczonym, zapytamy się, czemu ten okręt ma być Meduzą, czy rozbicie na pełnym morzu, czy na brzegach miało miejsce? W każdym razie, fale wód za mało są wzburzone... Wprawdzie zatonięcia skołatanych burzą okrętów zdarzają się i na uspokojonym morzu, ale w sztuce nie tyle chodzi o materyalną prawdę, ile o moralne prawdopodobieństwo.

Do katastrofy rozbicia, fantazja przywiązuje obraz walki rozhukanych żywiołów, fale pokryte białą pianą rzucają się z wściekłością na miotany burzą okręt. Potrzaskane burzą maszty, reje, żagle zdarte na strzępy, a nad wszystkim ponure niebo, pokryte kirem chmur i rozświetlone miejscami złowrogim błyskawic ogniem.

W innym miejscu okręt po cichem morzu płynąc, uderza o podwodną skałę, „głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki” napełniają powietrze, a błękitne niebo patrzy na błękit wód i na niedolę ludzi uśmiechnięte i nieczułe... Tak mówi fantazja.

W rzeczywistości czasem może być inaczej, aleć trudno rozbicie statku fotografować. Artysta aby w zgodzie był ze sztuką i prawdą, wybierać musi koniecznie jeden lub drugi moment i do

działa swego jako motyw wprowadzić rozpaczłą walkę z wściekłym żywiołem, albo straszliwe fatum i cichą antytezę pomiędzy jękiem zwątpienia ludzi i uśmiechem natury.

Tymczasem u p. Pleysier morze ani spokojne, ani rozhukane. Fale rozkołysane w miarę, niebo także w miarę zachmurzone, a księżyc po mieszczańsku zerka na wodę i łodzie.

PRZEDRUK ZA: Kurier Codzienny, 22 marca 1876 roku.

6. „Arctic”

A. Ja także utonąłem

Gwiazdka Cieszyńska, 1854

Niedawno zatonął na morzu statek angielski „Arctic” przez uderzenie o parostatek francuski. Kapitan statku tego Luce w sprawozdaniu swem o tem nieszczęściu podaje, że na statku znajdowało się 233 podróżnych i 150 załogi; a dalej tak i o swem ocaleniu: „Czołna były precz; usiłowałem zrobić korab dla uratowania pozostałych, ale nie miałem ani majtków ani cieśli. Z pomocą podróżnych zajęliśmy się tą robotą, lecz tu spostrzegliśmy, że okręt nasz już tonie. Spuściliśmy ostatnie czołno do wody, którego kierowanie powierzyłem oficerowi Doranowi; ale nie można było niem kierować, bo nie było na niem wiosła, i oddaliło się o jedną ósmą mili. Robiliśmy pilnie około korabiu, ale okręt nagle utonął. Ja także utonąłem z drugimi; wkrótce jednak trzymając moje dziecko w ramionach poczułem się nad wodą. Straszny przedstawił się widok oczom moim. Około mnie z 200 tonących ludzi między różnymi szczątkami, których się w rozpacz chwyтали. Krzyki i narzekania przeraźliwe towarzyszyły tej walce śmiertelnej. Sam starałem się tylko dziecko ratować, lecz wtem wypłynął z morza kawał koła, uderzył mnie w głowę i całą siłą padł na dziecko, które w kilka minut w rękach mi skonało. Jednak udało mi się siebie, martwe dziecko i 11 innych osób na pływającym kole uchronić. Inni potonęli wszyscy. Byliśmy aż po kolana w wodzie, nad nami srożyły się bałwany, zimno było okrutne i ogromne musieliśmy znosić męki. Tak spędziliśmy pierwszą noc. Do rana zostało nas tylko 7 przy życiu, a znikąd nie pokazała się pomoc. Przez dzień następny i noc zginęło jeszcze czterech i zostało nas tylko 3, p. Allen, niemiec jakiś i ja.

Trzeciego dnia (29) zobaczyliśmy w dali różne statki, ale długo trwało, nim jeden ku nam nadpłynął. Był to statek „Cambria”, który

wydobył jednego Francuza na belce ratującego się, a ten doniósł kapitanowi, że jeszcze wielu naokoło pływa, ratując się. Tak zostaliśmy ocaleni.

Wkrótce zaś sześć innych wydobyto.

PRZEDRUK ZA: Gwiazdka Cieszyńska, pismo dla zabawy, nauki i przemysłu, 25 listopada 1854 roku.

B. Uderzenie garnka glinianego o żelazny

Gazeta Warszawska, 1854

Wszystkie dzienniki podały wiadomość o rozbiciu parostatku *Arctic*. W innych okolicznościach, gdyby uwaga publiczna nie była wyłącznie zajęta niemal wyłącznie innymi wypadkami, katastrofa, która odebrała życie przeszło trzystu stworzeniom ludzkim, pozostawiła po sobie dłuższy ślad przerażenia i litości. Dzieje rozbić okrętów nie obejmują może wypadków dramatyczniejszych, bardziej przerażających, jak opisane przez nielicznych ocalałych z tego nieszczęścia. Niewiele pozostało świadków scen, w których imaginacja mogłaby utworzyć; każdy z nich podał opis swych cierpień. Te to rozmaite opisy, ogłoszone przez dzienniki amerykańskie, staraliśmy się zebrać, uporządkować i streścić.

Arctic był jednym z parostatków linii amerykańskiej krążących między Liverpooliem a New-Yorkiem. Wypłynął on z Liverpoolu w d. 20 września z 250 podróżnymi i 150 ludźmi osady. Po tygodniu żeglugi, w dniu 27 go rano, płynąc wśród gęstej mgły, spotkał się z innym parostatkim. Mgła była tak gęsta, a szybkość z obu stron tak wielka, że uderzenia niepodobna było uniknąć. Krzyk przestraszenia z obu okrętów towarzyszył straszliwemu wstrząśnięciu statków. Ów okręt drugi był parostatkim francuzkim *Vesta*; płynął on z St. Pierre Miquelon z 120 podróżnymi i 20 ludźmi osady. Mniejszy i słabszy jak *Arctic*, powinien być zostać rozbitym od razu; było to prawdziwe uderzenie garnka glinianego o żelazny. Dla tego w pierwszej chwili zamieszania podróżni małego parostatku myśleli tylko o schronieniu się na wielki. Spuszczono na morze dwa czółna okrętu *Vesta*; jedno zatoneło zaraz, drugie, w które wsiadło siedm czy ośm osób, pomimo zakazów kapitana, odpłynęło ku *Arctic*, ale kołem parostatku wywróconem zostało. Osada *Vesty* mogła słyszeć krzyk rozpaczony wydany przez ludzi, którzy je opuścili. Jeden tylko stary majtek francuzki miał czas schwycić rzuconą mu linę i dostać się na pokład okrętu, który stać się miał

wkrótce grobem, a nie schronieniem. Dziwną łaską losu człowiek ten jest dziś jednym z nielicznych ocalonych po zatonięciu statku *Arctic*; ujrzymy dalej, jakim cudem przeżył cało najbardziej zadziwiające niebezpieczeństwa.

Vesta ocaloną została spokojem i energią swego komendanta, kapitana Duchesne. Gdy pierwszy przestrasz przeminął, zyskało przekonanie, że nie wdarł się żaden prąd wody; przód okrętu oparł się uderzeniu. Kapitan kazał wrzucić w morze wszystko, co obciążało przód; kotwice, kufry, łańcuchy, ładunek, sztokfisz, wszystko poszło w wodę; ścięto także maszt przodowy. Statek niżony w ten sposób podniósł głowę; wówczas zaczęto zatykać otwory i użyto ku temu stu pięćdziesięciu materaców i sienników, te poobijano żaglami, następnie zaś deskami i linami. W tym to stanie *Vesta* po dwóch dniach zawinęła do St.-Jean-de-Terre-Neuve.

Osada i podróżni okrętu *Arctic* uważali *Vestę* za zgubioną. Kapitan Luce, zaraz po uderzeniu, sądząc że mały statek został śmiertelnie porażony, wysłał mu na pomoc swego pod-kapitana z sześciu ludzi osady na pomoc. Wszyscy byli przekonani, że *Vesta* zatonie w przeciągu kilku minut; jeden z podróżnych statku *Arctic* pozostały przy życiu opowiada, iż słyszano krzyk dwustu ofiar tonących w otchłani.

„Widzieliśmy przez chwilę, mówi on, drugi okręt; był to widok serce rozdzierający. Jego przód był całkiem strzaskany, woda waliła weń szerokim strumieniem; jakim sposobem mógł się utrzymać na wodzie przez kilka minut, tajemnicą to było dla nas. Przepłynęliśmy tylko, a on zniknął we mgle; zaledwie minęliśmy go jednak, rozległ się za nami długi jeden okrzyk rozpacz, który nam doniósł, że wszystko skończone”.

Ów koniec straszliwy, którego świadkami być mniemali podróżni z *Arctic*, miał się stać ich losem; wkrótce postrzegli, że myśleć im należy tylko o swoim ocaleniu. *Vesta*, zbudowana z żelaza, wbiła się jak ostrze miecza w bok okrętu, otwarła w tym boku trzy szerokie rany, przez które woda wdzierwała się wewnątrz z przerażającą gwałtownością. Kapitan wszystkich ludzi powołał do pomp; okręt

kierował ku lądowi, odległemu wówczas o 50 mil. Starał się zresztą wstrzymać pęd wdzierającej się wody, rzucając żagle u przodu, ale widząc, że pomimo wszystkich wysileń, pomimo potęgi pomp, woda podnosiła się coraz wyżej w okręcie, zajął się przygotowaniem czółen i szalup. Była to chwila zamieszania, bezładu, rozpacz, trwała ona aż do zatonięcia okrętu. Jeden z pozostałych przy życiu podróżnych tak opisuje scenę, którą ujrzał, wyszedłszy na pomost.

„Zdawało mi się zrazu, mówi on, że nie ponieśliśmy ważnej szkody; ale wkrótce z przerażeniem postrzegłem, że okręt nachyla się bardzo ku stronie, z której uderzenie odebrał. Ujrzałem kapitana stojącego na bębnie koła i wydającego rozkazy; oficerów biegających tu i ówdzie na pomoście, widocznie przerażonych i niewiedzących, gdzie skupić działania.

Spojrzałem w morze i ujrzałem kilka szerokich prądów wody; w dziesięć lub piętnaście minut przekonałem się, że koła daleko więcej zagłębiały się jak zwykle. Kapitan i osada widocznie pojmowali wielkość niebezpieczeństwa; jak sam, widząc zatrważającą masę wodę wyrzucaną pompami, mogłem pojąć, że woda zalewa nas z nieprzepartą szybkością. Powoli na wszystkich twarzach legł wyraz ponurej i milczącej rozpacz; nie było wrzasków, ale kobiety i dzieci zaczęły się zbierać na pomoście, spoglądając naokoło wzrokiem niespokojnym, przerażonym, nie spotykając znikąd ni pociechy, ni nadziei. Żony i mężowie, matki i dzieci, siostry i bracia, ściskając się serdecznie, klękali razem do modlitwy. Mężczyźni z przerażeniem biegali po moście, pytając się, co robić należy; już z zaciętością pracowali przy pompach, już to w próżnych wysileniach mordowali się nad rzucaniem ładunku w morze dla ulżenia statkowi. Ani na chwilę działanie skupionem, systematycznie kierowanym nie było. W godzinę może po uderzeniu dolne kotły zostały zalane, para przechodzić przestała; od tej chwili chodziło tylko o to, ile godzin albo ile minut będziemy się mogli na wodzie utrzymać.”

W istocie, jak opowiedział później jeden z palaczy, w kwadrans później woda zalała maszyny. By utrzymać ogień jak można najdłużej, rzucono masy węgla, ale woda, ciągle się podnosząc, zalała

zupełnie ogień, a palacze, spędzeni z swego miejsca, wyjść musieli na pokład. Gdy się przekonano, że napływ wody silniejszym był jak pompy, wszyscy stracili głowę, pokładem zawładnęła najstraszliwsza anarchija. Mówią, że przy porządku i komendzie można było jeszcze wówczas ocalić nie już okręt, ale przynajmniej podróźnych. Morze nie było zbyt wzburzone, a z materyałów znajdujących się na okręcie zdołano by wybudować tratwę dość wielką, by wszystkich pomieścić. Ale w pierwszej zaraz chwili postrachu osada podle opuściła kapitana i okręt.

Zaraz po uderzeniu jedno z czółen z podkapitanem i sześciu ludźmi wysłane zostało na pomoc okrętowi *Vesta*. To czółno nie miało czasu wrócić do *Arctic* i więcej o niem nie słyszano. Drugie czółno siłą zajęli palacze, którzy nie zapomnieli umieścić w niem zapasów wody i wina; czółno wcale pełnem nie było, ale ludzie je zajmujący nie chcieli przyjąć podróźnych, grożąc im śmiercią. Zresztą i ci także zginęli bez wieści. Trzecie czółno spuścił jeden z podkapitanów i zaraz ze dwudziestu majtków skoczyło weń z taką gwałtownością, iż musiano odciąć bloki, by uniknąć przewrócenia. W czwartem czółnie kapitan umieścił kobiety i dzieci, ile ich tylko mogło się pomieścić, ale jeden z bloków pękł, czółno się przechyliło, wysypując w morze wszystkich znajdujących się w niem nieszczęśliwych.

W podobnej chwili, mówi jeden z naocznych świadków, nieszczęście to było bez ratunku. Uzupełniono spuszczenie na wodę przewróconego czółna, ale niepodobna było zachować porządku. Wszystko uciekało. Podróżni i majtkowie bez różnicy wskakiwali w czółno, które w jednej chwili zostało napełnionem.

Kapitan był także świadkiem tej sceny i opowiadał, że widział ludzi rzucających się w czółno z wysokości 20 stóp, padających jak bryły martwe wśród tłoku, raniąc i gniotąc innych już w czółnie będących. Kapitan miał z sobą swego syna; chciano zabrać to dziecko do czółna, ale ojciec odmówił ofiary, oświadczając, że syn los jego podzieli. Ludzie, którzy mogli dostać się do owych dwóch czółen, nie byli świadkami zatonięcia okrętu.

„Gdyśmy ostatni raz na okręt spojrzeli, mówi jeden z ocalonych, już był w wodzie po burtę; powierzchnia morza pokrytą była ludźmi, którzy skoczyli z pokładu, a których niepodobna było nam ocalić. Ponieważ mgła była gęsta, rychło straciliśmy ich z oczu.”

Te to czółna dały pierwszą wiadomość o rozbiciu okrętu *Arctic*; zawięły one do lądu koło St. Jean-de-Terre Neuve, po czterdziestu sześciu godzinach pełnej niebezpieczeństw żeglugi. Na czterdziestu pięciu ludzi ocalonych temi czółnami liczone trzydziestu jeden ludzi osady. Powiedziano wyżej, że dwudziestu lub trzydziestu opuściło okręt w chwili niebezpieczeństwa. Kapitan, opuszczony w ten sposób, miał pod rozkazami swemi tylko podróżnych i kilku majtków. Pozostali mężnie się zachowali, zajmując się budową tratwy, albowiem trzeba było porzucić pompy. Kobiety, jak zawsze w krytycznych chwilach, objawiały zadziwiającą energię i rezygnację. Pozostawało tylko jedno czółno; kapitan w niem umieścił kobiety i dzieci; pomiędzy temi znajdowała się pani Collins z córką, żona właściciela rozbitego okrętu. Ale potrzebowano czółna do budowy tratwy i wszystkie te nieszczęśliwe kobiety opuściły czółno bez wahania, bez skargi. Jedna z nich pracowała ciągle przy pompach, a gdy kapitan jej radził, by spoczęła, że chyba wypompowawszy ocean wodę z okrętu wypompuje, odpowiedziała, że chce pracować do końca. Kobietom, o ile można, rozdano pasy bezpieczeństwa. Mężczyźni się wzięli do roboty tratwy. Rzucono na morze masztowe sztuki drzewa, spuszczone także ostatnie czółno z kilku ludźmi, by dokończyli tratwy już spuszczonej. Kapitan wyjął z czółna wiosła, by ludzie na niem będący nie mogli się oddalić. Temi ostatecznymi wysileniami kierowali: jedyny z podkapitanów okrętu *Arctic*, który nie uciekł, i jakiś kapitan amerykański, znajdujący się między podróżnymi. Gdy tak pracowano koło tratwy, kapitan starał się utrzymać nieco porządku na pomoście. Nagle, w przystępie szalonego postrachu, masa ludzi, z rozpaczą odepchnąwszy kapitana, rzuciła się z okrętu w morze, by się dostać do czółna. W jednej chwili czółno zostało napełnione, a lina przytrzymująca go odcięta. Kolosalny parostatek prawie cały zanurzony już

był w wodzie; skon jego zbliżał się widocznie. Ludzie w czółnie nie mieli wiosła, chwycili więc kilka desek, by robić nimi i oddalić się od tratwy także już napełnionej. Nieszczęśliwy kapitan mógł się ocalić, gdyby był chciał; ale postanowił nie opuszczać okrętu. Kilku podróżnych rzuciło się do pomp z wściekłością, chcąc katastrofę chociaż o kilka minut opóźnić.

„Był to, mówi jeden z majtków ocalonych czółnem, widok straszny; skoczyłem dopiero w ostatniej chwili. Gdy kapitan dostrzegł, że mam opuszczyć okręt, schwycił mnie za barki i rozdarł na mnie koszulę, wołając: «Zostawić czółno podróżnym!». Chwytał następnie za siekierę, chcąc wstrzymać swych ludzi; ale każdy pamiętał tylko o sobie: nie było tam kapitana. Życie tak drogie dla nas jak dla innych. Kapitan mógł łatwo się ocalić, gdyby był chciał; widziałem go jeszcze, gdy okręt już tonął.”

(...) W kilka minut po oddaleniu się czółna ludzie odpływający niem mogli widzieć, jak *Arctic* zanurzył najsamprzód swój tył w morzu, usłyszeli krzyk przerażający, straszliwy, ujrzeni dym i parę wychodzące jeszcze z bałwanów i kilku nieszczęśliwych wyrzuconych w powietrze lub zdruzgotanych między kominem i bębniami kół. Ludzie, którzy słyszeli ten ostatni niewysłowny krzyk rozpaczy, drżeli z przerażenia, opowiadając tylko o nim; jakby dla dopełnienia okropności, woda, dostawszy się w komin dymiący, wydała ryk ponury jakby wychodzący z wnętrza Oceanu. Po zatonięciu okrętu, ludzie na czółnie zostający widzieli jeszcze mnóstwo ofiar walczących z bałwanami lub czepiających się szczątków statku; czółno jednak zbyt i tak było obładowane, by mogli ponieść nieszczęśliwym pomoc. Nie mieli oni wiosła ani żadnych zapasów: z pomiędzy pływających szczątków okrętu wydostali główkę kapusty i dynię, jedyny posiłek dla 32 znużonych ludzi. Czółno z trudnością torowało sobie drogę pomiędzy kawałami drzewa i trupami; ledwo w trzydzieści godzin rozbitki postrzegli okręt, zatknęli na tyce chustkę od nosa, dając znać o sobie. Szczęściem spostrzeżono ich i przyjęto na pokład barki *Huron*. Płynąc ku barce, ujrzeni wielką tratwę, na tej znajdował się jeszcze jeden

człowiek, który zdawał się przy życiu. Gdy dostali się na pokład, wyprawiono czółno z kilku ludźmi na ratunek nieszczęśliwemu, który od trzydziestu godzin leżał, uczepiwszy się desek. Z siedmdziesięciu blisko podróżnych, którzy zdołali dostać się na tratwę, on jeden tylko przy życiu pozostał; świadek scen straszliwych (...).

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 15/27 listopada 1854 roku.

7. „Austria”

A. 16 mil od Nowego Jorku

Czas, 1858

Niewytłumaczone dotychczas wypadki i nieszczęścia prześladują Towarzystwo Główne pocztowej i przewozowej żeglugi parowej hamburskiej. Niedawno temu, na pysznym parowcu „Harmonia”, przy wyjściu Elby na morze, kilkanaście funtów prochu zapaliło się w składzie i uszkodziło kajuty i kilku podróżnych, z których jeden tu umarł.

Dnia 1 września drugi parowiec tego samego towarzystwa „Austria” kapitan Heydtmann, udał się stąd przez Southampton do Nowego Jorku. Oprócz znacznej ilości towarów i listów z pakami, zabrał stąd 420 podróżnych, to jest: w pierwszej kajucie 49 dorosłych, 16 dzieci, 3 niemowląt; w drugiej kajucie 103 dorosłych, 5 dzieci, 3 niemowląt; między pokładami 211 dorosłych, 27 dzieci, 3 niemowląt. Dziś odbieramy wiadomość z Ameryki, że parowiec „Austria” 13 września spalił się na morzu niedaleko Nowego Jorku. 50 podróżnych wzięło na pokład okręt, który wrócił do Anglii, a 18 innych okręt „Lotus” żeglujący do Ameryki. Reszta podróżnych wraz ze służbą i kapitanem zginęła. Druga depesza z Londynu potwierdza tę nieszczęsną nowinę, dodaje wszakże, że na „Austrii” znajdowało się w ogóle ze służbą 600 ludzi, i że rzeczywiście okręt zgorzał zupełnie wśród Oceanu na 16 mil od brzegu amerykańskiego. Między podróżującymi większa część była emigrantów i za interesami handlowymi do Ameryki udających się Niemców i Amerykanów, z Prus, Szkocji, Danii i Hamburga.

PRZEDRUK ZA: Czas, 6 października 1858 roku.

B. Suknie już się paliły

Gazeta Warszawska, 1858

Kuryer Stanów Zjednoczonych podaje następujący opis pożaru parowca *Austria* przez pasażera Karola Brews skreślony:

W Southampton dnia 4go b.m. wsiałem na parostatek *Austrii*, pod kapitanem Haydtman, który 2go wypłynął z Hamburga. Wyruszyliśmy na morze o godzinie 5ej po południu, lecz że się mgła gęsta podniosła, zarzuciliśmy kotwicę między wyspą Wight i stałym lądem. O 4ej z rana popłynęliśmy dalej.

Przy wyciąganiu kotwicy zdarzył się przypadek, który jeden człowiek opłacił śmiercią. Lina kotwiczna wyprężyła się u kołowrota i zakreśliła masą żelaztwa na wszystkie strony. Dwóch ludzi zostało ciężko rannych, a jeden rzucony w morze, musiał być zabitym, bo nie wypłynął na powierzchnię.

Od wypłynięcia mieliśmy ciągle silny wiatr zachodni. 12go czas był przyjaźniejszy, a 13go doszliśmy szybkości trzynastu węzłów na godzinę, płynęliśmy więc, spodziewając się stanąć 18go w New-Yorku. Po 2ej z południa stałem na tylnym ganku okrętowym i postrzegłem gęsty dym, dobywający się w pobliżu mieszkania majtków. Kilka kobiet rzuciło się ku tyłowi okrętu, wołając: – „Okręt pali się – co się z nami stanie!” – Natychmiast zmniejszono szybkość o połowę i tak płynięto aż do chwili wybuchnięcia składu prochu; sądzę, że wtedy mechanicy zaduszeni zostali. Zszedłem z ganku na środek okrętu i widziałem, że płomień dobywają się przez boczne otwory. Wiatr wtedy wiał wprost z przodu okrętu, w skutek czego ogień szerzył się gwałtownie. Poskoczyłem więc do trzymającego rudel i żeby skreślił statek bokiem do wiatru. Wahał się, zapewne nie zrozumiał mnie, bo rodem był z Hamburga. Obróciłem się więc do jakiegoś Niemca, żeby mu to powiedział. Postrzegłem w tej chwili kilka osób wyrzucających łódź na wodę otworem pod tylnym gankiem.

Nie wiem, co się z tą łodzią stało, ale zapewne strzaskała się na szrubie okrętowej. Chciałem więc dostać się na którąś łódź z prawej

strony statku, lecz zaledwie chwyciliśmy za liny, tyle razem osób skoczyło w nią, żeśmy bloków odwinąć nie mogli. Zatrzymać się musiano, dopóki wszyscy z łodzi nie powyłazili, i dopiero zdołaliśmy wyrzucić je na wodę za baryerę. Też same osoby skoczyły w nią tak tłumnie, że się natychmiast zatopiła i fale pochłonęły wszystkich, prócz trzech, co się u boków czółna czepiali.

Rzuciliśmy linkę i przyciągnęli człowieka, który, jak się okazało, był restauratorem na statku. Drugiego lina zadławiła, owińawszy mu się na szyi.

Ogień tak się szerzył, że nie było czasu myśleć o ratowaniu innych osób z zatopionej łodzi. Wszyscy passażerowie pierwszej klasy zbiegli się na tylny pokład, prócz kilku panów, którzy uduśli się w sali do palenia cygar. Dużo passażerów drugiej klasy wtoczyło się także na tylny pokład, lecz niemało ich pozostać musiało w kajutach, bo im płomienie tamowały wyjście. Wyciągnięto ich kilkunastu linami przez wentylator, ale wielu jeszcze zostało.

Ostatnia wyciągnięta ztamtąd kobieta powiedziała, że sześć osób było już zaduszonych. Postrzegliśmy, że okręt wrócił do poprzedniej pozycji, tak że płomienie aż na tył jego dosięgały.

Nie mogłem się precyzyjnie do rudla, żeby dojść przyczyny tej zmiany kierunku, ale się dowiedział, że sterujący zszedł ze stanowiska swego i dlatego okręt znów się pod wiatr obrócił.

W tej chwili okropna i niepodobna do opisanego scena działa się na pokładzie tylnym. Passażerowie, oszaleli z przestrawu, tłoczyli się i biegali na wszystkie strony: mężowie szukali żon, matki płakały za dziećmi, wielu krzychało, wołało pomocy i ratunku; mało kto zachował przytomność i krew zimną, która jedynie ocalać mogła.

Płomienie jednak tak doskwierały passażerom, że wielu wskoczyło w morze: krewni, rodzeństwo, objąwszy się w ramiona, razem skakali i ginęli w falach; dwie panienki, siostry zapewne, objęły się, wyskoczyły i zginęły razem w uścisku. Misjonarz jakiś rzucił się w morze z żoną, za nim skoczyła służąca i drugi oberżysta.

Węgier jakiś, ojciec siedmiorga dzieci, z tych 4ch córek, każał żonie skoczyć w morze, potem pobłogosławiwszy sześcioro

starszych, kazał im rzucić się po kolei, nareszcie wzięwszy ostatnie dziecko na rękę, poszedł za rodziną w otchłanie.

Przez cały ten czas trzymałem się pod parapetem okrętowym zewnątrz statku, schylając się, dla ochrony się ile możliwości przed płomieniami. Postrzegłem pod sobą łódkę, zatopioną w części, ale kołyszącą się jeszcze na linie przymocowanej do okrętu; wiosła były jeszcze przyłączone do niej; pomyślałem więc, że dostawszy się do niej, ocaleć zdołam i jeszcze komu pomódz do ocalenia. I udało mi się.

Znajdowałem się o jakie ćwierć mili od płonącego statku. Widziałem mężczyzn i kobiety, rzucające się z ganku okrętowego w wodę: na kilku kobietach suknie już się paliły. Wielu z tych nieszczęśliwych wahało się zrobić ten skok śmiertelny na stóp 20 i w morze: ale rychło przymusiły ich do tego piekące płomienie. W półtorej godziny nikogo już nie było widać na pokładzie. Powiosłowałem tedy ku statkowi i wyratowałem jakiegoś Niemca, pływającego jeszcze sił ostatkiem.

O wpół do 8ej, po pięciu godzinach męczarni, w czasie których nie dostrzegliśmy ani jednego żagla, zabrała nas nareszcie francuzka barka *Maurice*. Ocaliła już 40 osób. O koło godziny 8ej zabrano jeszcze 23 osób, znajdujących się na metalowej łodzi.

Przez cały czas tej klęski nie widziałem żadnego oficera i żaden nie był na tylnym pokładzie. Kapitan, posłyszawszy krzyk, że gore, wyskoczył na pokład bez czapki, wołając: „Zginęliśmy wszyscy!” – Próbował rzucić łódź na morze, ale ta zatoneła i kapitan wpadł do wody. Cztery porucznik odciął linę od czołna, ale szruba zaraz je strzaskała, a ludzie na niej będący potonęli; trzech czy czterech uratowało się na odłamie i tych zabrał *Maurice*.

W tej chwili spuszczo łódź żelazną; napełniła się ona wodą, lecz zdołano ją wypróżnić i wlało w nią 33 osób; dwóch oficerów ze statku i dość kobiet. Wyrzucając z niej wodę, tak mocno nią kilka razy chybnęto, że jeszcze dziesięć osób z niej utonęło.

Wyczerpano nareszcie wodę aparatami ratunkowymi, przeciętymi na dwoje, i powiosłowano ku barce *Maurice*; w drodze

zabrano jeszcze z wody parę osób. Nad ranem norwęgaska barka zbliżyła się do parostatku i uważaliśmy, że wysłała czołno ku pływającemu okrętowi. Może ocalała parę osób, w każdym razie bardzo mało. *Maurice* nie komunikował się z tą barką norwęgską.

Około godziny 7ej *Maurice* ruszyła ku Fayal, dla wysadzenia tam rozbitków. O drugiej po południu spotkaliśmy barkę *Lotus*, płynącą do Halifax. Pragnąłem gorąco dostać się na angielską ziemię, co widząc, kapitan Trefy przyjął mnie na swój pokład i ofiarował to samo wszystkim obywatelom amerykańskim, ale tak się tłoczono na łodzie, że tylko 11 osób zabrać było można.

Ogień na *Austria* był skutkiem karogodnej nierozwagi. Kapitan z lekarzem, uznawszy potrzebę zrobić wykadzenie międzypokładów parą dziegciową, zlecili tę operację przywódcy majtków, pod dozorem czwartego porucznika. Przywódzca majtków do zyskania pary dziegciowej chciał użyć rozpalonego do czerwoności żelaznego łańcucha; kiedy więc jeden jego koniec trzymał w ręku, drugi tak się rozpałił, iż musiał go puścić, rozżarzone żelazo padło na podłogę, która natychmiast się zapaliła, a rozlany dziegieć buchnął płomieniem.

Wzięto się do gaszenia pożaru, lecz daremnie, bo nie było pod ręką tego, coby potrzeba. Passażerowie unieśli to tylko, co na sobie mieli, a i to w części popalone. Na statku znajdować się miało około 600 ludzi, a w tem znaczna liczba kobiet i dzieci. Między uratowanymi znajdują się: pierwszy, drugi i trzeci porucznik, oraz dowódzca majtków statku *Austria*, palacz, mechanik i oberżysta, a z passażerów między innymi Betty Ergan ze Lwowa.

C. W sześć miesięcy wisieć musi

Kurier Warszawski, 1858

Na spalonym parowcu *Austria* zginąć miał ostatni Prezydent Zgromadzenia Narodowego Niemieckiego *P. Löwe* z Calbe. Oficerowie i majtkowie okrętu *Austria*, którzy uszli z życiem, ogłosili w jednym z dzienników angielskich obronę Kapitana tego okrętu i swoją, przeciw zarzutom czynionym im po pismach publicznych przez wyratowanych podróżnych. Utrzymują oni, że Kapitan natychmiast po wybuchu pożaru rozkazał wstrzymać maszynę parową do pół siły i przeznaczył oddział ludzi do pomp, lecz takowe w skutku zapewne stopienia się rur ołowianych nie dały wody. Z tego samego powodu pompa parowa działać nie mogła. Inna część ludzi przystąpiła do spuszczenia łodzi, gdy w 15 minut po wybuchu ognia, wszystkie trzy pokłady gorzały. Okręt posiadał 8 łodzi, trzy żelazne po 60 osób mieścić mogące, dwie drewniane, a jedną żelazną na 50 osób, i dwie mniejsze na 30 do 40 osób. Służba była dobrze zorganizowaną i każdy majtek wiedział, co ma w danym razie robić, lecz do innych łodzi nie można się było dostać z powodu ognia i dymu smołowego; cztery łodzie spuszczone, a z tych trzy się rozbiły pod natłokiem podróżnych, zanim na wodę zeszyły, i tylko jedna łódź mogła być należycie spuszczoną. Kapitan musiał się przedzierać przez płomienie chcąc utrzymać porządek między podróżnymi, i był bardzo poparzony. Nie wiadomo czy skoczył w łódź dla utrzymania porządku, czy też został w nią zepchnięty, dość że wpadłszy w morze, nie miał siły utrzymać się na wodzie. Dwóch oficerów jest również poparzonych. – Angielskie przysłowie mówi: kto chce w ciągu jednego roku zrobić majątek, to w sześciu miesiącach wisieć musi.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 4 listopada 1858 roku.

D. Cały z żelaza

Czas, 1858

Kor. Austr. donosi z nowego Jorku z dnia 9go października: Ostatni tydzień obfitym tu był w przerażające zdarzenia. Po okropnych doniesieniach o losie okrętu „Austria”, nastął pożar tutejszego pałacu kryształowego. Cudem tylko nikt z ludzi nie zginął. Dziesięć tysięcy osób było zgromadzonych w tym olbrzymim budynku w chwili, gdy powstał okrzyk: „gore!”. Towarzystwo „American Institute” urządziło właśnie w tym pałacu wystawę przemysłową. Wszystko, co tam było, stało się pastwą płomieni. Budynek zabezpieczonym był jedynie na 50,000 dol. Są powody, dla których pożar ten przypisują podpaleniu. Odpowiada on niedawnemu zburzeniu zakładu kwarantanny. Tak więc zasada „pomagaj sam sobie” wyradza się częstokroć w dziką samowolę i lekceważenie wszelkich praw. Okręt „Austria” był cały z żelaza, pałac kryształowy tylko z żelaza i szkła; dziwne to zjawisko fizyczne, że oba tak szybko niszczały. Miałoby żelazo przyczyniać się do spalenia innych części? Wtedy pewność od ognia, na jaką liczone, byłaby złudną. Niektóre dzienniki zajmują się ważnym tem dla nowoczesnej nautyki i architektury pytaniem. Katastrofa „Austrii” liczne tu sprowadziła zebrania, na których gorąco rozbiegano los wychodźców europejskich. Wyświecenie niebezpieczeństw materialnych przy przewozie wychodźców zaprowadziło do wykazania niecznych sprawek tej spekulacji. Osobliwie ubogie dziewczęta niemieckie, które nędza z własnego kraju wygania, wystawione bywają na tych okrętach na najhaniańskie traktowanie. Pod tym względem mnóstwo przypadków wyliczano, a wreszcie postanowiono założyć komitet dla opieki wychodźców niemieckich, który ma się o to starać, aby uczciwie obchodzono się na okrętach z wychodźcami i ścigano sądownie każdy przypadek, jaki dojdzie do wiadomości komitetu. Pominąwszy nawet względy obyczajności, już samo nagromadzenie razem osób różnej płci i wieku wraz z pakami towarów nie może być cierpiane pod

względem sanitarnym. „Austria” właśnie w skutku tego zgorzał. Z powodu kilkudniowej niepogody wszyscy podróżni ostatniej klasy siedzieli w podmoście, w obawie więc, aby się nie wyrodziła jaka choroba z zaduchu, wykadzano podmoście.

PRZEDRUK ZA: Czas, 3 listopada 1858 roku.

E. Z zimną krwią

Czas, 1859

Z Nowego-Jorku donoszą pod d. 5 lutego, że przed kilku dniami powstał pożar na parowcu „North Carolina”, płynącym z Baltimore do Charlestown wśród nocy podczas mgły bardzo gęstej. Podobnie jak na statku hamburskim „Austria” płomienie ogarnęły tak nagle pokład, że podróżni zaledwie z kajut swoich wydostać się mogli, a przecież z 70 osób płynących tym statkiem jeden tylko człowiek zginął, który się nie pośpieszył z wyjściem z kajuty. Kiedy jednak na okręcie „Austria” kapitan i załoga pierwszy dali przykład popłochu, kapitan wzmiankowanego parowca amerykańskiego z zimną krwią rozporządzenia wydawał i wszystkich podróżnych sprowadził na łodzie, lubo płomienie dokoła buchały i nie miano tyle nawet czasu do ratunku co na okręcie „Austria”.

PRZEDRUK ZA: Czas, 4 marca 1859 roku.

8. Pomimo nieprzyjemnego odoru

Gazeta Codzienna, 1847

Przypadek, podobny do nieszczęśliwego rozbicia się okrętu *Meduza*, zaszedł przy brzegach Afryki. Bryg *Maricood*, płynący z ładunkiem oleju Ricinus zwanym do *Liverpoolu*, dnia 22 grudnia r.z. tak dalece został już z zapasów żywności ogołocony, że cała załoga dostawała na dzienną rację tylko kwartę mąki lub ryżu. Osłabiona głodem nie mogąc kierować okrętem, oddała go na los wiatrom i falom morskim. Dla zaspokojenia głodu spożywano skóry, olej Ricinowy, guziki i sakwy itp. Dla ugaszenia pragnienia pito wodę morską. Dnia 22 stycznia r.b. umarł jeden majtek, d.24 drugi. Obydwóch, pomimo nieprzyjemnego odoru, towarzysze z chciwością pożarli. Nareszcie zlitowały się nad nimi Nieba. Okręt będąc już bliskim utonięcia, dostał się szczęśliwie do duńskiej wyspy Bederve, gdzie reszta osady ocaloną została.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 12 kwietnia 1847 roku.

9. Zapasów mieliśmy nie więcej niż na trzy dni

Owen Chase (1797–1869)

Opowieść o najbardziej ekstraordinaryjnym i zasmucającym utonięciu statku wielorybniczego Essex z Nantucket

Co za noc. Pograżeni w nerwowej gorączce, nie mogliśmy zmrużyć oka. Nie spuszczałem wzroku z wraku i [nie] byłem w stanie wyrzucić z pamięci obrazu naszego wczorajszego dramatu, który nawiedzał mnie do świtu. (...) Miałem czas, by spróbować z pewnym dystansem przemyśleć nieszczęśliwe okoliczności naszej katastrofy. Przed oczyma przemykały niedawne sceny i po kilku godzinach rozważań zaczęło mi się wydawać, że wyśniłem senny koszmar. Niestety, był to jeden z tych koszmarów, z których człowiek się nie budzi! Rzeczywistość była taka, że jeszcze w przeddzień należeliśmy do świata żywych i że w jednej krótkiej chwili znaleźliśmy się odcięci od wszelkiej nadziei i od poczynań ludzi żywych! Brakuje mi słów, by opisać grozę naszego położenia. Łzy były zbędne i świadczyły o braku męskości, lecz nie mogłem ich powstrzymać i smakowałem pocieszenie, jakie przyniosły. Przez parę godzin tkwiłem w stanie próżnego smutku, aż wreszcie udało mi się skupić nad okolicznościami wypadku i spróbować pojąć, jaki to niepojęty los naraził nas nagle na ów zgubny atak. Nigdy nie widziano, by kaszalot, znany ze swego spokojnego i nieagresywnego charakteru, dopuścił się umyślnej przemocy. Jednak wszystkie fakty dowodziły, że nasze nieszczęścia nie wyniknęły z niepomysłnego splotu zdarzeń: zwierzę dwukrotnie przypuściło atak na nasz statek, z krótką jedynie przerwą między jednym a drugim; i do każdego ataku dobrało taką pozycję, by wyrządzić jak największe szkody, uderzając z przodu i korzystając w ten sposób z nagromadzonej szybkości obu obiektów wchodzących w kolizję. Jedynie zamiar ugodzenia w statek tłumaczyć może jego manewry wokół niego. Z jego przerażającej postury biła wściekłość i obraza. Opuścił stado,

gdy uderzyliśmy w trójkę jego współbratymców, jakby poruszony pragnieniem zemsty za ich cierpienia. Porzucił tryb zwyczajowej walki, polegającej na uderzaniu ogonem i rozwieraniu szczęk. Za marynarskiej pamięci nigdy nie słyszano o czymś takim, nigdy nie widziano, by kaszalot w ten sposób się zachowywał.

(...) Isaac Cole, członek naszej załogi, dzień wcześniej rzucił się na dno naszej łodzi w przypiływie rozpacz i postanowił czekać spokojnie na śmierć. Był pewien, że nie ma już żadnej szansy ratunku, że jego umysł pogrzeża się w ciemności (...) Postradał zmysły jeszcze tego samego dnia (...) o 10 rano pojęliśmy, że stracił głos. Położyliśmy go na jednej z ławek, przykryliśmy starymi szatami i pozostawiliśmy losowi. Widać było, że cierpi katusze, do czwartej żałośnie jęczał, aż wreszcie wyzionął ducha w najgorszych konwulsjach.

Czuwaliśmy nad zwłokami przez całą noc i nad ranem moi obaj towarzysze zaczęli przygotować je do pogrzebania w oceanie. Ja jednak po całonocnych rozważaniach zaproponowałem im, by zachować ciało na strawę. Zapasów mieliśmy nie więcej niż na trzy dni, w trakcie których nie było zgoła żadnej nadziei na ratunek; z pewnością musielibyśmy losować między nami. Doszliśmy szybko do zgody i nie tracąc chwili, przystąpiliśmy do przyszykowania zwłok, nim zaczęły się psuć. Członki zostały oddzielone od korpusu i odgarnięte z kości; następnie otworzyliśmy ciało, by wyjąć z niego serce. Po czym zamknęliśmy je na powrót i najstaranniej zeszyliśmy, i powierzyliśmy je falom.

PRZEDRUK ZA: Owen Chase, *Narrative of the Most Extraordinary and Distressing Shipwreck of the Whale-ship Essex of Nantucket*, New York 1821. Za: Owen Chase, *The Disaster of the Whaleship Essex*, Paris 2015, s. 96–97. Przekład własny – MB.

10. Ile razy Europejczycy

Wszechświat, 1889

Przykłady ludożerstwa z konieczności zdarzały się w naszych czasach w Europie także dość często. Nigdy zapewne nie dowiemy się, ile razy Europejczycy w czasie rozbicia okrętów oddawali się antropofagii pod naciskiem strasznego uczucia głodu. W roku 1820 rozbitki okrętu Essex, po zjedzeniu dwu umarłych towarzyszy, zabili i zjedli chłopca okrętowego. Bardzo niedawno, bo w roku 1884, fakt podobny wywołał rozgłośny proces w Anglii. Majtkowie i kapitan ich, zabłąkawszy się w łódce na morzu, zabili chłopca okrętowego i jedli jego ciało surowe i krwią ociekłe. Gdy po wyratowaniu ich zbrodnia ta się wydała, zostali uwięzieni, lecz zaraz następnie uniewinniono ich. A ileż to wypadków takich nie wyszło na jaw!

PRZEDRUK ZA: Wszechświat, 4 sierpnia 1889 roku.

11. Własną rękę
Kurier Warszawski, 1850

W końcu z.m. rozbił się okręt angielski *Thornion*. Po tej katastrofie spotkano na morzu kapitana rzeczonoego okrętu P. Dawidsohn, który schroniwszy się na tratwę, przez 7 dni i tyleż nocy, zaczął jął odgryzać własną rękę, aby zachować się przy życiu.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 17 lipca 1850 roku.

12. Wszystkie piękne i dorodne

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845)

7 września. Rozbicie Amfitryty w porcie Boulogne. – Ten wypadek okropny i zajmujący dla mnie jeszcze więcej interesu przedstawiał, że znam Boulogne. Amfitryta było to okręt wysłany do Botaniiby z 108 kobietami na zaludnienie, 12 dziećmi i 3 mężczyzn: kobiety skazane były na to wywiezienie za złe życie. 26 sierpnia brzegi angielskie opuścił, 29 zaczęła się burza; kapitan Hauter, będąc stróżem urzędowym skazanych, nie pozwolił im się ratować, więc mimo podawanej pomocy i długiej sposobności wszyscy i on sami zginęli, trzech tylko ludzi przywrócono do życia. Okręt rozbiwszy się osiadł wprost zakładu kąpieli w Boulogne, ale daleko. Wiele bardzo okazało się cnoty i miłosierdzia w tym zdarzeniu. Franciszek Henin, pan rybackiego statku, w najokropniejsze morze rzucił się ze sznurem w rękę, żeby dopłynąć do okrętu i wyratować kogo; dopłynął, rzucał sznur, ale nie złapał nikogo; i on zmęczony ledwie miał tyle siły, że sam dopłynął do brzegu. *Société humaine* wiele pracowało nad wyłowieniem trupów. Po 30 razem widać można było – nad każdym robiono próby zwykłe – kilku przychodziło na moment do życia, ale na to, żeby skonać. Pani Curtis Angielka i Pani Austin najwięcej się odznaczały. Ta ostatnia miała tę pociechę, że w jej rękach dwóch wyratowanych wróciło do życia. Rybak Bourgain także wyratował jednego maytka; i tak z tej całej liczby trzech przeszło do zupełnego życia, *Jan Owen* właściciel okrętu, *Jan Rice* i *James Towrey* maytkowie, wszyscy trzej młodzi ludzie. Czuła była scena między Rice i Bourgain, kiedy go poznał jako wybawcę swego; ścisnął za rękę, powiedział dziękuję, a potem cicho dodał, chciałbym ci co dać, ale nic nie mam, i zapłakali obydwa. Składki wielki na nich wszystkich robią. Pogrzeb się odprawił uroczyście, od razu 65 trumien ułożono, jedna koło drugiej, w dwóch równoległych dołach i zasypano w obliczu licznego ludu – przybyło potem więcej jeszcze trupów. Tyle przynajmniej dobrego sprowadzi to

nieszczęście, że ta *Société humaine* nabędzie *life boat* – *bateau sauveur* – którego brak w tem zdarzeniu dał się bardzo odczuć... W liczbie wyratowanych, a raczej wyrzuconych trupów była kobieta trzymająca dziecę dwuletnie. *Owen* i *Rice* skoro przyszli do siebie, lubo osłabieni, chcieli widzieć trupy towarzyszków i rozpoznawali niektórych z niezmiernem przejęciem, płaczą ciągle, zamykają się chętnie. *Owen* prosił o Biblią. Mogą się modlić i uznawać opatrzność nad sobą tak wielkiego doznawszy cudu. Widzę zupełnie w tey chwili port Bouloński i iak morze wyrzuca maszty, belki, szczątki, a nade wszystko ludzi – iedney nocy 43 trupy kobiet wyrzuciły bałwany – wszystkie były dorodne i piękne.

Dla dzisiejszych malarzy i poetów francuzkich to prawdziwe żniwo.

PRZEDRUK ZA: *Pamiętniki Klementyny z Tańskich Hoffmanowej*, Berlin 1849, s. 215–217.

13. Jeden z przechodniów poznał ciało ludzkie

Seweryn Goszczyński (1801–1876)

Przyływ morski wyrzucił dziś około południa ciało chłopaka, którego statek rozbił się z 18 na 19 sierpnia. Wyrzucił go prawie naprzeciw mojego domu. Byłem jeden z pierwszych, którzy je postrzegli. Siedziałem na brzegu wyższym i o kilkadziesiąt kroków widziałem coś pod wodą czerwieniejącego się; myślałem, że ścierwo jakiegoś zwierzęcia. Tym bardziej nie zwracałem uwagi, że wielu przechodziło się bliżej i nie zatrzymywali się, aż jeden z przechodzących bardzo blisko poznał ciało ludzkie, skinął na celnika, który był blisko, wezwano rybaków, poznano, że to było ciało młodego, który zginął na statku rozbitym. Zbiegłem natychmiast na brzeg niższy i byłem przy tym, kiedy wyjmowano ciało z wody. Dziecię dwunastoletnie lub trzynastoletnie, głowa obwinęta w różowy półkoszulek, na szyi chusteczka w błękitne i białe pasy, na ciele kamizelka wełniana, jak noszą majtki. Na ciele żadnego prawie uszkodzenia; twarz cokolwiek nabrzmiała, ale z wyrazem smutnym, wyszana przez wodę. Złożono go natychmiast pod brzegiem, ale natychmiast przytomni dostarczyli chustek, którymi okryto twarz i ciało dolne. W kilka minut przybiegł jakiś jegomość dekorowany, zdaje się, rządowa figura i kazał na swój koszt dostarczyć wszystkiego. Przyniesiono prześcieradło i obwiniono w nie ciało, wzięto miarę na trumnę. Dwie kobiety w wieku podjęły się pilnować ciała. Poślano do mera Luc. Ciało temczasem leżało złożone na piasku pod brzegiem. W godzin dwie przyniesiono trumnę. Ubrano trupa w szlafmycę, w koszulę, obwinęto w prześcieradło i złożono w trumnę, którą okryto prześcieradłem, postawiono na dwóch krzesłach, położono na trumnie krzyż, obok na krzesło kropielnicę z wodą święconą i gałązką mirtu.

Mieszkańcy, szczególnie kobiety, pokazali w tym zdarzeniu wiele czucia. Widziałem kobiety płaczące, każdy przechodzący kropił trumnę i modlił się klęcząc. Wkrótce cała trumna ustrojona była w kwiaty: laur różany, róże białe, wirginie itp.

Około 6 wzięto trumnę na wóz i zawieziono nie wiem dokąd; podobno do Bernières, gdzie morze wyrzuciło ojca i gdzie ojca pochowano.

Matka utonionego przyjechała dzisiaj, widziałam ją przy trumnie syna; jego siostra pozawczoraj.

PRZEDRUK ZA: Seweryn Goszczyński, *Dziennik Sprawy Bożej*, opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski, Warszawa 1984, t. 1, s. 556–557.

14. Walka różniła się tylko długością

Gazeta Warszawska, 1840

Ameryka, New York 18 stycznia

Wspaniały paropływ *Lexington* w dniu 13 b. m. przy Long Island przez zapalenie się wańtuchów bawełny spłonął i z 150 podróżnych trzech tylko ocalało. Mówią, że okręt ten dawno już uznany był za niezdolny do podróży, ale towarzystwo, do którego należał, opierało się, żeby jeszcze odbywał przeprawy. Także paropływ *Belle of Missouri* uległ temu samemu losowi, tylko podróżni byli tyle szczęśliwi, że uszli zguby, chociaż i tu wiele zginęło pod zwałiskami statku. Względem nieszczęśliwej katastrofy pierwszej z tych statków donoszą następujące szczegóły. *Lexington* miał ciężki ładunek bawełny, i 60,000 dolarów na pokładzie. Ogień wybuchnął niewiadomo jakim sposobem w składzie bawełny, który tak był umieszczony, że nikt z jednego końca paropływu na drugi dostać się nie mógł. Zamieszanie było okropne; czołno do ratowania, kiedy je spuszczone na wodę, rozbiło się około statku. Machina sama w końcu zatrzymała się, tak że nawet znikł ostatni środek ocaleniu, to jest osiągnięcie brzegu. W ciągu pół godziny cały statek spalił się aż powierzchnię wody, i wyjąwszy jednego inżynjera, opalacza przy machinie, jednego podróżnego i kapitana Hilliard, który przez 15 godzin na wańtuchu bawełny błądził po morzu i na koniec złowiony został, wszyscy inni ludzie którzy się znajdowali na paropływie, okropną śmierć ponieśli. Część zatonięła z przeładowaniem czołnem, reszta zaś, aby się nie spalić, skoczyła z pokładu w wodę. Między temi nieszczęśliwemi było wiele kobiet i dzieci. Kadłub okrętu przez długi czas jeszcze unosił się na wodzie i dopiero z rana dnia 15 zatoniął zupełnie. Kilka dzienników w New York wychodzących utrzymuje, że jeden okręt z Brookhawen przez cały czas pożaru widział stan nieszczęśliwy paropływu i nie pospieszył z pomocą. Przestrach, pomieszanie i oburzenie w New York nie ma granic. Ponieważ jak powiedzieliśmy statek ten dawno już

przez biegłych uznany był za niezdolny do podróżowania, przeto towarzystwo, do którego on należał, będzie pociągnięte do sądowej odpowiedzialności. Liczba nieszczęśliwych, którzy w tej katastrofie zginęli, nie daje się dokładnie oznaczyć, jedni podają 93, inni 173. Między niemi jak donoszą znajdowali się Dr. Karol Follen profesor literatury niemieckiej przy uniwersytecie w Harvard (w stanie Messacusets) który znajdował się w odwiedzinach w New York i paropływem tym chciał wrócić do Bostonu. Także sławny artysta dramatyczny niemiecki nazwiskiem Eberle przytoczony jest w liczbie zatopionych. W innym raporcie czytamy: „Kiedy wszelkie usiłowania ku ugaszeniu pożaru okazały się daremnymi, kapitan kazał sterować okręt ku brzegowi, ale taki przestрах opanował podróżnych, że trzy członka spuścili na wodę, i to tak nieszczęśliwie wykonali, że wszystkie trzy na miejscu przewróciły się, a ci co się w nich znajdowali, potonęli. Nic może nie było okropniejszego jak śmierć tych, którzy z tak zwanymi pływnikami, które się pod ramionami utwierdzają, walczyli z falami, ich śmiertelna walka od zgonu innych różniła się tylko długością. Dopóki jeszcze machina była w ruchu, pozostawała niejaka nadzieja dla tych, którzy zostali na pokładzie, ale zwolna podkopywana przez ogień, pochyliła się, a wkrótce potem zupełnie się zatrzymała, i wszelka nadzieja osiągnięcia brzegu znikła. Płomienie wybuchające z środka statku zmusiły nieszczęśliwych cofać się coraz dalej ku brzegowi okrętu, aż na koniec, nie mogąc znieść gorącu, musieli powierzyć drugiemu zdraednemu żywiołowi. Niewielu udało się skoczyć na wańtuch bawełny, albo jaki szczątek okrętu, a i ci jeszcze ten ostatni środek ratunku musieli porzucać, bo wańtuchy były jak ogień gorące, i oni biedni tonęli z oparzonemi członkami. Razem z kapitanem Hilliard, szukał ratunku na wańtuchu bawełny, jeden z opalaczy maszyny, ale kiedy *sloop Merbent* w dniu 14 złapał ich na wodzie, ten ostatni już nie żył. Wszelkie usiłowania mieszkańców Southport i okolicy niweczone były przez lód, który ich port zamknął.

15. Morze wyrzuciło
Gazeta Warszawska, 1824

Z Londynu 30 Listopada

„Podczas burzy w nocy z d. 22 na 23 b.m. w samym porcie Devenport wpadło na piasek 25 okrętów, z których 5 było z Zachodnio-Indyjskich, a 2 Wschodnio-Indyjskie z kosztownymi towarami. Stratę rachują na 200 000 funtów szterlingów (8 milionów zł. pol.). Nazajutrz zebrano 24 trupów ludzkich pływających po morzu. Między Berington i Smyre, niedaleko Abhorsburg, morze wyrzuciło na ląd przeszło 100 utonionych ludzi, a szkoda zrzadzona w publicznych budowach jest niewyrachowana.

Gazeta tutejsza Gonicz donosi, iż Pan Paget, naczelny dowódca wojska naszego w Indiach, prosił o odwołanie.”

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 17 grudnia 1824 roku.

16. Policya obliczyła

Gazeta Codzienna, 1844

Z Rio Janeiro donoszą o następującej strasznej katastrofie, jaka się tam zdarzyła dnia 23 maja:

O godzinie 3 w wieczór jeden z parostatków, który od lat 10 odbywał kursy między Rio Janeiro i Nitheroy (blisko milę drogi) odbił od brzegu, mając na pokładzie 200 pasażerów. Przez nierostropność i nieznajomość maszynisty pękł kocioł i wysadził w powietrze część pokładu i kilkadziesiąt osób wyrzucił w morze. Z lądu pośpieszono na ratunek i wyciągnięto wiele osób na pół spalonych. 60 osób odniesiono do szpitala, inne do domów. Nazajutrz liczba trupów na pokładzie wynosiła 30, ale co dzień odkrywano coraz większą liczbę ofiar, a przy odjeździe kapitana okrętu Achillo, od którego mamy te szczegóły, policya obliczyła 156 trupów.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 22 października 1844 roku.

17. Niepodobni do ludzi

Gazeta Codzienna, 1851

W La Patrie czytamy: „Straszne nieszczęście spotkało okręt liniowy *Valmy*, płynący z Torbay do Brest. Była godzina 5 rano dni 8 b.m., gdy nagle okropny huk dał się słyszeć. Poczem słyszano tylko krzyki rozpacz: zginęliśmy wszyscy, ogień w składzie prochu! W tejże chwili uderzono alarm w 3ciej bateryi, ozwały się działa wzywające ratunku; statki spuszczone spiesznie z okrętu na morze. Ta katastrofa była skutkiem nieroztropności starszego kanoniera, który miał trzy skrzynie ogniów sztucznych, z których jedna nie wiadomo jakim sposobem zapaliła się i wyleciała w powietrze. Ogień został przytłumiony. Ten nieszczęśliwy był pierwszą ofiarą tego zdarzenia. Prócz niego 20 marynarzy znaleziono niepodobnych do ludzi, nieżywych lub w pół godziny później zmarłych. Okręt *Valmy* znacznie wewnątrz uszkodzony wpłynął do portu Brest, gdzie i cała eskadra przybyła.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 20 października 1859 roku.

18. Katastrofa była nieuchronną

Gazeta Codzienna, 1849

Północno-amerykański parostatek *Europa*, który wczoraj z New Jorku do Liverpoolu przybył, w podróży do Anglii podczas grubej mgły uderzył przypadkiem o pływający okręt *Bartlett*, przyczem ostatni rozbił się i zatonął, niestety! ze stratą 135 ludzi, bo z 176 jego podróżnych, powiększej części wywędrowanych osób, tylko 41 zdołało się uratować. Według gazet angielskich, ani jeden, ani drugi Kapitan okrętowy nie był winien, straszna katastrofa była nieuchronną.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 10 lipca 1849 roku.

19. Sir John Franklin nie przebył nigdy kanału

Gazeta Codzienna, 1851

Dziennik *Sun* pisze: „Kapitan okrętowy Ross przybył tu dziś rano z portu Stranraers, do którego wczoraj w wieczór wpłynął. Mówią, że wiadomości przez niego przywiezione potwierdzają opowiadanie Eskimosów w jesieni r. z, że okręty kapitana Franklina rozbiły się na wysokości odnogi Baffińskiej, w jesień 1846 roku, i że część ich ludzi wymordowaną została przez nieprzyjacielskie pokolenie mieszkające w tych okolicach. Kapitan Ross przekonany jest, że sir John Franklin nie przebył nigdy kanału Wellingtona, i że powracał do Anglii, gdy zaszła katastrofa. Tłumacz Eskimosów złożył przysięgę przed Magistratem w Grodhaven, gdy powtarzał pierwsze opowiadania. Sir John Ross przywiózł dokumenta Eskimosów, napisane przez owego tłumacza. Sir John Ross nie byłby jeszcze powrócił do Anglii, chciał bowiem ponowić poszukiwania na odnodze Baffińskiej, gdyby był posiadał zapasy na drugą zimę.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 5 października 1851 roku.

20. Tu widać można było moc straszliwą morza

Józef Kopec (1762–1833)

Gdy już okręt wychodził z portu pod żaglami, ściąganiem wody ubywającej do morza omijając port, niewiele przytarł się o kamień i w tym momencie mało się nie wywrócił. Ponieważ żagle były rozpuszczone, wszyscy się powywracali na okręcie, bałwan wody przeleciał przez środek, i gdy się nie trzymali za liny, pewnie kilkunastu ludzi mogło zginąć. Każdy przytomność stracił i nie wiedział, co się z nim dzieje, a osobliwie ci, którzy pierwszy raz doświadczali. Szliśmy dzień i noc całą, wiatru nie było pomyślnego, co ujdziemy przez dzień i noc, oglądaliśmy że nas nazad do portu przypędza. W takim tedy zdarzeniu zostawaliśmy dni ośm, dopóki port nie zniknął nam z oczu; bo za powstaniem burzy mogłoby morze wyrzucić okręt i rozbić. Nieprzyzwyczajony do morza nigdy sypiać nie mogłem, aż mi mój majtek nie zrobił kołyski uplecionej z powrózków, która była przybitą w głębi okrętu do ściany i zawsze mnie kołysała.

Umarło nam dwóch Kamczadalów, prawie jednego dnia, którzy przed kilku latami na psach dostali się do portu, a powracali do ojczyzny swojej na okręcie. Pogrzebani byli morskim zwyczajem. Mieliśmy ze sobą Popa ruskiego, który wyświęciwszy się w Irkutsku, powracał na Kamczacką ziemię Bolszerecka. Gdzie miał ojca. Wy-niesieni byli nieboszczykowie na wierzch okrętu po odprawionem nabożeństwie, zapakowano jich w wory skorzane z kamieniami razem, spuszczano po jednemu do morza. Dzień był bardzo jasny, wiatru najmniejszego, że prawie okręt stał na miejscu. Przypatrywaliśmy się w morze, gdzie kilka łokci nie dopuściły tych trupów zwierzęta i ryby morskie.

Staliśmy z godzin trzy na miejscu, że morze tak było spokojne, iż okręt był bez żadnego poruszenia, decydowali ci wszyscy Fanatycy, że Bóg w tym czasie sędzi zmarłych i rozkazał morzu być spokojnym. Zbliżało się ku wieczorowi, rozkazano majtkom i żeglującym jeść kolacją i pośpieszać.

Gdy słońce zaszło za chmurę, okręt chwiać się zaczął, co kilka godzin bez poruszenia stał na miejscu. Zaczęło się też pokazywać wielkie mnóstwo stworzeń morskich, co pospolicie się dzieje przed burzą nastąpić mającą.

Piliśmy właśnie herbatę, gdy nadszedł taki szturm i uderzył w okręt, że wiele upadło ludzi, a każdy z pijących oblał się herbatą. W tym momencie postrzegają na wierzchołku masztu ziemnego ptaka, który widać że był porwany od wiatrów i uniesiony aż na okręt. Zatrwożyło to wszystkich, bo wnosili sobie, że bardzo daleko są od ziemi. Jeden z majtków zrobił wędkę ze szpilki i na rybę ptaka złowił, a gdy go niósł z wierzchołka, złamał mu skrzydło. Przerażliwym głosem ów ptak nieustannie wrzeszczał: natychmiast drudzy majtkowie złożyli sąd na kilkanaście batogów za złamanie skrzydła, ponieważ bogowie morscy będą się mścili.

Coraz bardziej zbliżało się ku wieczorowi i coraz większy szturm wzrastał. W jednym momencie ledwie nie wywróciło okrętu, bo natychmiast żagle spuścili. Kiedy kapitan chciał trzymać się dyrekcji kompasu do punktu przeznaczonego, żadnym sposobem skierować rzecz była niepodobna; gdyż bałwany zalaćby mogły okręt lub wywrócić. Był to naówczas szturm tak wielki, jakiego nie doświadczyli ci żeglarze. Kamienie nawet z piaskiem na okręt wyrzucało i przez dwie pory byliśmy nieustannie zalewani od przechodzących przez okręt bałwanów. Samiśmy nie wiedzieli, dokąd od burzy byliśmy pędzeni. Na wierzchu ludzie trzymali się ustawicznie lin, bo inaczej byliby od wody schwytni: ognia rozłożyć nie można było, a każdy zmokły, zziębły i sił pozbawiony.

Kapitan zaczął opowiadać, że podług jego kalkulacji powinniśmy dziś przechodzić wyspy Kurylskie. Do tego przejścia upatrują zawsze czasu pogodnego, aby trafić na wyspy, którędy zwykle okręty przechodzą.

Gdy już druga pora minęła, równo ze dniem postrzegliśmy góry i kamienie wkoło, ptastwo nadbrzeżne i piany morskie od wzburzenia morza, które już zaczęło ustawać. Ale po takiej burzy bałwany strasznie ogromne i cała natarczywość morza o brzeg się

objała. Nie wiedzieliśmy, gdzie zostajemy; powłaziwszy na maszty, obserwowali miejsce, lecz nie mógł nikt zgadnąć, do jakich krajów zbliżyliśmy się.

Byliśmy w największej bojaźni, aby nie wpaść na jedną wyspę Japońską, gdzie mieszkają narody zowiące się Kosmate, na której to wyspie wiele już poginęło okrętów. Kapitan rozkazuje rzucać do morza miarę głębin, która jest z ołowiu na sznurku, a u spodu воск lub łój przylepiają dla poznania, jaki grunt ziemi. Zawołał ten, który mierzył, iż osmdziesiąt sążni, w kwadrans zawołał, że czterdzieści. Już widać, że okręt unosi woda do rozbicia na brzeg. Szczęściem że brzegi były piaszczyste, iż okręt tylko wywraca i wyrzuca, a nie rozbija zupełnie.

Kapitan rozkazał kotwicę zarzucać, ale to wszystko już było za późno. Pędziło na brzeg okręt i z kotwicami, gdy kilka sążni był tylko głębin, skołatany okręt burzą uderza wagą swoją o ziemię. Tu widać można było moc straszliwą morza. Przeleciał bałwan przez okręt, wszystkie liny i maszty zaczęły pękać. Było do kilkadziesiąt beczek na wierzchu okrętu, z wodą i z soloną rybą, przymocowane do gwoździ wielkich żelaznych i pouwiązane, wszystko to pozrywało i ludziom nogi łamało. Niektórzy już zaczęli skakać z okrętu, chociaż brzeg był daleki, ale wody nie było nad półtora łokcia. Najprzód zaczęły wskakiwać majtków żony z dziećmi, te pod okręt wpadły, poginęły. Okręt po kilka razy odnosiło i przynosiło na brzeg, wody było bardzo wiele w okręcie, ponieważ wielka dziura zrobiła się u spodu. Mój poczciwy majtek wyrwał dwa gwoździe, którymi były beczki przybite: miały one dłużyny do trzech łokci i podobne do naszych kochanych roznów.

Dał mi z tych jeden, drugi wziął sobie, powiadając, że to nam zachowa życie. Porywa mnie za barki i ciągnie do jednego bardzo małego magazynku, w którym znajdowały się liny i smoły. Ostrzegł mnie przytem, że choć maszty będą się łamać, to nas ocali od zguby.

Wysmarował mnie całego i siebie smołą. Wyszliśmy z tego miejsca i gdy widział, że najbliższemu brzegu bałwany morskie rzuciły

okręt, wlaźł na maszt, który w przodzie okrętu leży wzdłuż, siadł jak na konia i mnie kazał za sobą do końca jej posuwać się, zalecając, abym nie upuścił gwoździa. Smoła pomogła nam bardzo, bez której na śliskim maszcie utrzymałby się nie można było. Skoczył majtek najprzód do wody, ja za nim podobnie. Wody nie było nad półtora łokcia, lecz tyle i mułu, skąd nóg wydobyć nie mogłem. Zbliżył się do mnie majtek, wydobył i poprowadził ku brzegowi.

Mieliśmy jeszcze do ziemi zielonej tysiąc przeszło kroków. Zatrzymaliśmy się, bośmy z sił opadli, uciekając ku brzegowi. Wtem oglądaliśmy się, aż nadchodzą nowe bałwany, które okręt jeszcze raz uniosły ze swego miejsca i nasby pochłonęły, ale majtek doświadczony i śmiały, zatknąwszy mój gwóźdź w ziemię i swój razem, kazał przykłęknąć na jedno kolano i trzymać się najmocniej gwoździa. Gdy już nas bałwan zakrywał, trzeba było oddech zatamować na kilka minut: przeleciał on kilka łokci wyżej nas, uderzył się o brzeg i nazad powrócił. W tym momencie straciłem przytomność i małom już nie zgubił gwoździa. Winszuje mi majtek, że już odbyliśmy największe niebezpieczeństwo, powiada że jeszcze raz bałwany nas zmoczą, ale już nie tak silne i ucieczmy już na brzeg. Jeszcze powtórnie obala nas woda, atoli po pierwszym doświadczeniu śmielszym się bydz pokazałem.

Padłem na brzeg murawy zmordowany zupełnie, leżąc obmaciałem jagody, które z trawą razem wysysałem dla pragnienia. Nie wierzyłem sam sobie, że jestem na lądzie, zdawało mi się że ziemia koło mnie się obraca. Wypocząwszy cokolwiek, podniosłem głowę, widzę że morze jest daleko od brzegu okręt leży na piasku; ludzie jedni potonęli, drudzy rzeczy swoich szukają powyrzucanych od morza. Kapitan na okręcie utrzymał się z częścią ludzi, chociaż okręt znacznie był nadwyrężony. Zaczęli wszyscy zgromadzać się na brzeg, a lubo w niedoli, każdy się weselił, że od dalszego nie-szczęścia był oddalonym. Po jakimś czasie postrześliśmy w odległości kupiących się ludzi. Zatrwożeni na nowo wszyscy, bośmy nie wiedzieli gdzie się znajdujemy i wnosiliśmy że na wyspie Ja-pońskiej gdzie każdy okręt ginie. Rozkazał Kapitan broń jaka była

opatrywać i w przypadku mieć się do obrony; ale gdyśmy posłali kilku ludzi zbrojnych ku nim, poznano że to byli mieszkańcy wysp Kurylskich, gdzieśmy się rozbili, a do których Rosyjanie lądują czasami. Posłańce wróciwszy oznajmili nam, że to byli Kurylczycy.

PRZEDRUK ZA: Józef Kopeć, *Dziennik podróży przez całą wzdłuż Azyg, lotem od portu Ochotska oceanem przez Wyspy Kurylskie do Niższej Kamczatki, a ztamtąd [!] na powrót do tegoż portu na psach i jeleniach*, Wrocław 1837, s. 63–71.

21. Polecajcie się Bogu, rozbiliśmy się

Tomasz Teodor Jeż (właśc. Zygmunt Miłkowski, 1824–1915)

Nadszedł wieczór, pociemniało; zawieszono lampę i zasunięto otwór zwierzchu zatułą. Jovanni zapowiedział nam, ażebyśmy dla nieprzeszkadzania majtkom w manewrach na pokład w nocy nie wychodzili. Wyciągnąłem się, wzywając snu na pomoc. Wezwaniu memu zadość się stało. Mimo huk wichru, łoskot uderzających o statek bałwanów i trzeszczenie spotęgowane zasnąłem mocno. Nagle obudziło mnie wstrząśnięcie silne. Poprawiłem się na pościeli, myśląc, że wstrząśnięcie to jest następstwem silniejszego szarpnięcia masztu przez wiatr. Zamknąłem powieki; lecz je wnet otworzyłem, o słuch mój bowiem uderzył odgłos niezwykły: brzęk tłukącego się szkła. – Coby to być mogło?... – pomyślałem. W chwili tej drzwi od kajuty kapitańskiej otworzyły się i odezwał się głos Łuniewskiego (kapitana): – Polecajcie się Bogu, bracia: rozbiliśmy się... Zrobił się wśród nas ruch. Słyszeć się dawały pytania i odpowiedzi. Ktoś zatułę odsunął i jeden po drugim po schodkach na pokład wybiegał. Jeden – jeden tylko z wybiegających, ułan jakiś, płakał i narzekał głośno. Jam na posłaniu usiadł i ubierać się począł, mówiąc o rozbiciu z zawieszonym nade mną w hamaku Mikułowski, który wiadomość tę przyjmował z krwią zimną i nie ruszał się wcale. Wzuwałem buty. Mikułowski się odezwał: – Butów przecie nie wkładaj. – No jakże? – odparłem. – Ciężko ci będzie pływać, gdy się do wody wysypimy.

Słuszna ta uwaga do przekonania mi trafiła. Ubierania się zaniechałem i uspokoiłem się, w chwili tej bowiem ci, co na pokład wybiegli byli, wracać poczęli, a na schodkach pojawił się Jovanni i zawołał głosem donośnym: – Spokój! na pokład nie wychodzić! manewrom przeszkadzacie! Rzekłszy to, zatułę zasunął. Nie pomnę, kto z kapitańskiej kajuty wyszedł i toż samo powtórzył. Z pokładu dochodziły odgłosy krzątania się pośpiesznego, tupania, oznaczającego bieganie, brzęku łańcuchów, stuków jakby od uderzenia

młotami, rąbania wreszcie. – Co to rąbią? – rzucono wśród nas zapytanie. Powszechnem było mniemanie, że zrzucają maszt, skrzypienie którego mocniejsem się anizeli poprzednio wydawało. Rąbanie zawzięte trwało czas jakiś, poczem nastąpiło przesuwanie, połączone z okrzykami, za pomocą których majtkowie przy robocie ciężkiej takt znaczą i ochoty sobie dodają. Nie wiedzieliśmy, co to się robi, czuliśmy jeno podrzucanie okrętu, które się powtarzało regularnie w pewnych czasu odstępach. Okręt podnosił się, nagle upadał i uderzał o coś twardego. Po każdym uderzeniu takim następował trzask, sprawiający wrażenie łamiących się desek czy belek. Hałasy na pokładzie ustały. Ktoś zatule wierzchnią odsunął. Towarzysze moi jeden po drugim poczeli z magazynu wychodzić. Poszedłem za innymi i ja, i oczom moim przedstawił się widok taki: na środku pokładu miejsce, które zajmowała łódź ratunkowa (*canot de sauvetage*), opróżniło się, a przy jednym z bortów, przy lewym, stała skupiona gromadka towarzyszy moich. W ciemności nic innego widzieć nie mogłem. Zbliżyłem się do gromadki w momencie właśnie, kiedy Dzwonkowski tłumaczył, że kapitan spuścił na morze łódź celem wysłania takowej po ratunek. Sytuacja nasza nie jest rozpaczliwa. Osiedliśmy na skale, przypuszczając atoli należy, że okręt do rana dotrzyma. Kapitan nie wie, w jakim mianowicie znajdujemy się punkcie; domyśla się, że być musimy na brzegach afrykańskich: wysłanie przeto łodzi koniecznem jest, ażeby nie stracić chwili czasu i, jak skoro dzień zaświta, pomocy zawezwać. Dodał Dzwonkowski, że kapitan zaleca nam spokój i dla natchnienia nas takowym wyprawia majtków i Jovanniego, sam zaś z nami zostaje.

– To – zakończył – powinność jego: ze statku rozbitego zejść ostatnim. Przynależem się do bortu. Był on w części zrąbany, a u spodu, na wodzie trzymała się majtkami zapełniona łódź, na której błyszczała latarka. Kapitan domagał się, ażeby z załogą ktoś z nas pojechał, a to dla dopilnowania i ponagłania pomocy, gdy się takowa odszuka da. Kto jechać miał? Dzwonkowski. Dzwonkowski tedy, wezwawszy ze sobą nie pomnę kogo, do łodzi się spuścił, a za

nim, z okrzykiem: „Żonę mam i dzieci”, skoczył niejaki Kamiński, znany mi z widzenia i z tego, że po węgiersku umiał. Mało brakło, żeby Kamiński ów do wody był nie wpadł, w chwili bowiem jak skoczył, łódź ruszała już. Odplynęła i, jak skoro odplynęła, wnet nam z oczów znikła, unosząc na wzburzonych falach załogę całą – z wyjątkiem kapitana. W łodziśmy go nie widzieli, byliśmy przeto najpewniejsi, że pozostał z nami i że w tłumie pociemku dojrzeć go nie możemy. Przekonanie to uspokajało nas, wiadomem nam bowiem było, że okręty, w takim jak nasz znajdujące się położeniu, wznoszące się na falach i opadające na kamień, pękają, otwierają się, wodą się napełniają i że wodę pompować potrzeba. O pompowaniu mieliśmy wyobrażenie słabe. Spuszczaliśmy się we względnie tym na kapitana, w pogotowiu przeto robienia wszystkiego, co on nam wskaże, pozostawialiśmy na pokładzie, w oczekiwaniu na skazówki jego. Skazówek atoli nie dawał nikt. Snadź potrzeby nie ma – było pomiędzy nami mniemanie powszechne. W przeświadczeniu tem zeszedłem na dół. Pod pokładem latarnia wisząca rzucała światło na pustkę. Nie było nikogo. Posłania porozrzucane świadczyły o pośpiechu, z jakim wynosili się ci, co zajmowali takowe. Tu i ówdzie leżało zawiniątko rzucone – snadź ten i ów myślał o rupieciach swoich. Zwróciłem się ku posłaniu memu i – jakimże było zdziwienie moje, gdym spostrzegł obecność Mikułowskiego w hamaku. – Durycz! – zawołałem (taki Mikułowski pseudonim przybrał). Na wołanie odpowiedziało mi milczenie. Zajrzałem do środka. Mikułowski spał. Spał!

Zdziwiło mnie to ogromnie. Bądź co bądź, ażeby spać w momencie takim, posiadać było potrzeba dużo krwi zimnej. Zbudziłem go. – Cóż tam słycać? – zapytał. Opowiedziałem jak rzeczy stały. – Wszystko więc polega na tem – odrzekł – ażeby okręt do dnia dotrzymał. Wtem statek o kamień się uderzył. – O! – odezwał się – tak jeszcze razy parę, a będziemy się kąpali... Trzeba to będzie postronek jaki wyszukać i sporą deskę sobie upatrzeć. To mówiąc, powoli się ubierał, z hamaku wylazł; razem wyszliśmy na pokład, na którym spotkała nas wiadomość o nieobecności kapitana. – Gdzie

on? co się z nim stało? czy się utopił? – Uciekł, huncwot! Do łodzi się tak, że go nikt nie spostrzegł, spuścił i odpłynął... Pozostał wszakże z majtków jeden, który spał w chwili, kiedy okręt na skale osiadł; spał zaś długo i mocno dlatego, że się był spił, jak bela. Niewielka atoli była z niego pociecha, był to bowiem kucharz, nieznający się na manewrach ratunkowych zgoła. Zamiast przeto udzielenia skazówek takich, jakieby się szczególnie przydały, udzielił innych. Pokazał skład napojów gorących. Dzięki jemu w rękach towarzyszy moich pojawiły się butelki rumu i brandy; sami pili i drugich częstowali; paru znajdowało się już takich, którym się język plątał; w ogóle jednak na pokładzie panowała trzeźwość, i trzeźwość ta zapanowała wszechwładnie, gdy ktoś dał znać, że do środka okrętu dostaje się już woda. – Pompa... Do pompy! – słyszeć się wnet dały okrzyki. Rzuciliśmy się do pomp. Szło nam z niemi zrazu niełatwo, doszliśmy atoli sposobu i, pozakładawszy drągi, pompowaliśmy wodę na potęgę. Nastąpiło to w chwili, kiedy dzień świtać począł. Rozbiliśmy się d. 19 kwietnia o godzinie drugiej w nocy – tego samego dnia, miesiąca i o teź samej godzinie, o której rok temu, przed bitwą pod Nagy-Szarlo wlażem był z sekcją moją do obozu austriackiego. Zapytałem więc siebie, czy nie jest to dla mnie dzień feralny? Nie było wszelako czasu na rozwiązywanie zagadki tej. Moja i nas wszystkich uwaga zwróconą była na pompy, które w ciągłym utrzymywaliśmy ruchu i z których woda obficie się lała, co świadczyło o przybywaniu onej do środka okrętu w ilości znacznej. Gdzieś u spodu albo z boku deski się rozeszły i szczelina otworzyła. Okręt się na bok przechylił, trzymała go naprężona mocno lina od kotwicy. Fale go wciąż podnosiły i o skały nim tłukły, a bałwany o boki uderzały. Na dobitek złego rozwinął się z żagli jeden i dmący wiatr powiększał naprężenie się liny, tak że się ta w końcu zerwać mogła. Zrozumieliśmy niebezpieczeństwo. Ażeby zapobiec onemu należało żagiel zwinąć; ale – jak? Nikt z nas czynności tej dokonać nie umiał. Zwróciliśmy się z przedstawieniami mimicznymi do kucharza, ten wszelako głową jeno kręcił i kiwał. Nie pozostawało co innego, jak samym próbować. Próbował ten i ów;

próba jednak powiodła się ułanowi, nazwiskiem Bogumił Jakubson; ten na maszt się wdrapał, do żagla dostał – żagiel ujął i związać potrafił. Bodaj to ułani. Dzień świtał; coraz się to jaśniej i jaśniej robiło, i rozpoznaliśmy w końcu, że znajdujemy się nieopodal od wybrzeża jakiegoś. Odległość, od oka sądząc, wynosiła nie więcej, jak dwa do trzech kilometrów. Łąd przedstawiał się pod postacią wybrzeża płaskiego, piaszczystego, ciągnącego się w głąb kraju ku płaszczyźnie zielonej; na horyzoncie zarysowywały się góry. Otucha w nas wystąpiła. Umiałem pływać trochę, powiedziałem więc sobie: „może dopłynę”. Nadzieja, która nie opuszczała wówczas nawet, kiedy nas ciemność otaczała, wiatr szalał, morze huczało i ucieczka kapitana zaznaczyła ogrom niebezpieczeństwa – spotęgowała się na widok łądu. Oddzielało nas od takowego morze wzburzone. Bałwany spienione jeden za drugim biegly i na brzeg się wtaczały. Wyobrażałem sobie, jak jeden z bałwanów tych mnie na piasek zanieśie. Spodziewaliśmy się przy tem powrotu łodzi naszej i przybycia łodzi innych, liczyliśmy bowiem na to, że Dzwonkowski o nas nie zapomni. Lecz dzień świtał, wreszcie zrobiło się już całkiem jasno, na horyzoncie nic się widzieć nie dawało. Pokazali się na brzegu ludzie. Jeden po drugim przybywali, w kuczki siadali i siedzieli. Rozpoznaliśmy w nich Arabów. Obecność ich była znakiem, że gdzieś w pobliżu osady ludzkie się znajdują. Przypuszczaliśmy, że w osadach tych mieszkance rybołówstwem się trudnią, że wiedzą o nas i niebawem na ratunek nam przybędą. Czas atoli upływał i nie przybywał nikt, a tu położenie nasze coraz to się pogarszało: woda już wewnątrz statku załała, okręt się bowiem położył – trzymała go jedynie kotwica na kamieniu – lina w najwyższym stopniu naprężona lada moment urwać się mogła. Wołaliśmy do siedzących na brzegu ludzi, dawaliśmy im znaki; ale wołanie nasze pokrywał huk morza, a znaków oni rozumieć się nie zdawali. Ktoś wynalazł tubę morską i przez nią przemówił do Arabów – po polsku. Nie zdało się to na nic. Pomędzy nami znajdował się jeden – nazwisko jego z pamięci mi wypadło – człowieczek zabawny, cichy i tajemniczością się otaczający. Podawał się on za emisariusza

generała Kniaziewiczza (n. b. już podówczas nieżyjącego) i powiedział, że był przezeń do Persji wysyłany, że pozostawał w porozumieniu z szachem perskim i miał od tegoż polecenie werbowania Polaków i formowania z nich stowarzyszenia wojskowego w rodzaju zakonów wojennych; pokazywał pod sekretem dokumenty jakieś i rozdawał ordery. Chował to wszystko w walizce, której strzegł jako oka w głowie. Żartowano z niego; on jednak na żarty milczeniem i uśmiechem odpowiadał, przy swoim obstawał, twierdził przy tem, że posiada wszystkie języki wschodnie, a zatem perski i arabski. Z powodu twierdzenia tego do niegośmy się o przemówienie do Arabów zwrócili. Nie odmówił. Podano mu tubę. Z walizki, na której siedział, wstał, tubę do ust przyłożył i zawołał: – Czok su! giel burda! Znaczyło to po turecku: Dużo wody, chodź tu. – Ależ mów do nich po arabsku – powiadano mu. – To po arabsku – odpowiedział. – Język arabski od tureckiego różni się przecie... – A różni się. – Ty jednak przemawiasz po turecku. – Po arabsku – odrzekł z uśmiechem dobrotliwym i na walizce swojej usiadł. Przemawianie nie sprowadziło następstwa żadnego. Gdyby się do ludzi tych dostać można. Komuś na myśl przyszła łódka, zawieszona styłu okrętu i służąca do komunikacji portowej.

Łódka ta zabrać nie mogła ludzi więcej, jak pięciu. Spuszczono ją. Wsiadło do niej trzech i odpłynęli. Kierowali się do brzegu; wiatr unosił ich w bok. Śledziliśmy za nimi oczami – niebawem z oczów nam znikli: mieliśmy ich za zgubionych – nie wiem, jak się na brzeg wydostali. Wreszcie ktoś na falach zoczył punkt czarny. – Łódź!... – słyszeć się wnet dało wołanie radosne. Wytężyły się wzroki nasze. W rzeczy samej była to łódź – zdawało się nam zrazu, że nasza. Posuwała się szybko. Gdy się zbliżała, poznaliśmy, żeśmy się omylili. Była ona od naszej o połowę mniejsza; prowadziło ją majtków czterech, którzy wiosłowali; piąty zaś, gruby, słuszny, do czerwoności rudy, brodaty, pośrodku stał, w boki się wziął i ku nam spoglądał. Nie rozumieliśmy, co to znaczy, skąd się łódź ta wziąć mogła. Przybiła jednak; z wiosłarzy jeden hakiem okrętu naszego się chwycił, a majtek rudy na pokład wskoczył. Wskoczył, obejrzał się i coś do

nas po angielsku przemówił. Ktoś mu coś po polsku odpowiedział. Majtek palcami liczbę ośm, a gestem łódź swoją wskazał. Zrozumiliśmy, że wskazanie to jest inwitacją, nie kwapiliśmy się atoli z przyjęciem takowej, dlatego bodaj, że było nas stu kilkudziesięciu i nikt z nas pierwszeństwa w ratowaniu się brać nie chciał. Majtek chwilkę, z góry na nas spoglądając, czekał; nagle pierwszego, co się mu pod ręką znajdował, za kark pochwyił, podniósł, poniósł i do łodzi wrzucił. Niezwłocznie zrobił to z drugim, z trzecim; czwarty się nieść nie dał, innych popychał; ośmiu zabrał, sam do łodzi wskoczył i odpłynął. Widzieliśmy, jak pierwszą partję tę na brzeg wysadził i wnet z powrotem ruszył. Nim łódź powtórnie przybiła, zaszło śród nas zdarzenie, które na zanotowanie zasługuje. Towarzystwo nasze składało się z oficerów, podoficerów i szeregowców. Zaszła kwestja, tycząca się porządku, w jakim należało na ląd wysiadać – kwestja drażliwa, nie było bowiem pewności najmniejszej, że się nie potopią ci, co na powrót łodzi czekać będą. Czekać trzeba było najmniej pół godziny, a statek dlatego jeno na dno nie szedł, że się o kamień opierał, i dlatego tylko się nie rozpadał, że trzymały się jeszcze wiązania główne. Rozpadnięcie się lada chwila nastąpić mogło. Kwestja porządku zatem była kwestją życia w tym razie. Dotknął jej ktoś. Nie wiem, z jakiego wyszła ona punktu; w dalszym rozwoju swoim przedstawiła się tak, że szeregowcy za pośrednictwem jednego spomiędzy siebie oświadczyli, że oni pierwsi na łódź iść nie chcą, a to dlatego, że z nich, ludzi prostych i „nienauczonych”, ojczyzna wielkiego spodziewać się nie może pożytku. – Zginiemy, to zginiemy... szkoda niewielka... Rozrzewniło mnie to. Do sporu się wmixszałem, perswadowując, że z „nauczonych” bywa pożytek, bywa i szkoda większa, aniżeli z ludzi prostych. Spór skończył się na tem, ażeby wyróżnienia nie czynić, ale iść na łódź, jak się zdarzy: kto się z brzegu znajdzie, ten niech będzie pierwszy. Tak się też stało. Gdy łódź powróciła, wsiadło drugich ośmiu; gdy zaś odpłynęła, ukazała się łódź nasza, ale sama. Powrócił Dzwonkowski z uwiadomieniem, że się przez noc całą na pełnem trzymali morzu: o świcie dopiero dostali się do miasteczka

jakiegoś i znaleźli w takowem ambarkacyj kilka, które udzielenia pomocy odmówiły. W miasteczku został kapitan z Kamińskim niby to w celu wykołatania łodzi bodaj jednej. Z przybyciem łodzi naszej, zabierającej po szesnastu ludzi, ratunek poszedł śpiesznie. Liczba nasza na pokładzie coraz to się umniejszała. Jam się znalazł w partji ostatniej. Gdyśmy do lądu dobijali, okręt nasz rozłamał się, i na tem miejscu, gdzie sterczał, pozostały jeno deski i beczki pływające. Ratunek o pół godziny późniejszy byłby już za późny – wyławiać by nas w wodzie trzeba było. Nigdy nie zapomnę chwili, w której z łodzi na brzeg skoczyłem. Czułem, jakbym się wielkiego jakiegoś ciężaru pozbył; zrobiło mi się lżej, swobodniej. Nieopodal towarzysze gromadą stali. Pośpieszyłem do gromady tej, która formowała koło. Środek koła zajmował majtek rudy, który się czegoś jakby oglądał i, nas zoczywszy, ramię podniósł. Z ust jego wyszło kilka tonem rozkazującym rzuconych wyrazów. Wyrazów niezrozumieliśmy; zrozumieliśmy wszakże dla nas były gest i przykład. Ręką skinął, na kolana padł, czapkę zdjął i głośno modlitwę odmawiać począł. Cała gromada nasza ukłękła. On się modlił głośno. My po cichu dziękowaliśmy Bogu za ratunek. Trwało to niedługo. Rudy Anglik wstał, czapkę do góry podniósł i, wywijając w powietrzu takową, krzyknął:

– Hep hep hep... hura!... Zawtórowaliśmy mu. Okrzyk ten trzy razy powtórzył, poczem do łodzi swojej się zwrócił. Dziękować mu chcieliśmy; do niegośmy się cisnęli, on jednak nasze okazy wdzięczności przyjmował w sposób, któryby w żadnem, mającem o przyzwoitości jakie takie wyobrażenie, towarzystwie cierpianym być nie mógł. Garnęliśmy się do niego; on się od nas kułakami i nogami bronił, roztrzącał nas i potraçał; na łódź wskoczył, z łodzi nam pożegnanie skinieniem dłoni przesłał i – tyleśmy go widzieli. Później dowiedzieliśmy się, że przybył on z koczowiska załogi statku handlowego angielskiego, który na dzień przed nami rozbił się na temże samem wybrzeżu o mil parę na zachód. Kapitan, zoczywszy w parażach tych maszty, domyślił się, co zaszło, i wnet łódź swoją wyprawił. Łódź nasza na miejscu rozbicia czyniła poszukiwania

za prowizjami głównie. Niewiele co jednak złović się dało. Nikomu z nas zresztą jeść się nie chciało. Pozostawaliśmy pod wrażeniem uczucia do opisanego trudnego. Co do mnie, gdy się na ziemi znalazł, doznałem potrzeby uciekania od wody, ruszyłem więc natychmiast w głąb lądu, przebiegłem w poprzek wybrzeże piaszczyste, doszedłem do płaszczyny zielonej i zatrzymałem się. Płaszczynę porastały trawą podszyte krzewy laurowe. Wpatrzyłem się w trawę. W oczy rzucił mi się kwiatek jakiś błękitny. Widok kwiatka tego do łez mnie poruszył. Rozpłakałem się – czego? Wydał mi się on zapewne rękojmią, podobną do tej, jaką dla Noego była tęcza. Płakałem i uśmiechałem się do niego, wdzięczącego się z trawy do mnie. Jak to trwało długo i jak się skończyło, nie pamiętam. Zajęliśmy się instalacją. Ze statku rozbitego zwieziono żagle, które się udało od pływających masztów odczepić. Poczęliśmy, wybrawszy na płaszczynie zielonej miejsce odpowiednie, budować sobie szatry. Ci szatry stawiali, owi miejscowość rozpoznawali. Czynność tę odbywaliśmy pod okiem Arabów, którzy w liczbie osób kilkunastu przypatrywali się nam z ciekawością i na nasze zaczepki mimiczne odpowiadali na migi, nie tak atoli, ażeby pomiędzy nami do porozumienia jakowegoś dojść mogło. Zdaje się, żeśmy z zapasów okrętowych dostali posiłek jakiś – nie pomnę tego. Co innego w pamięć mi się wbiło, a mianowicie nadejście nad wieczorem człowieczka jakiegoś, wzrostu małego, który przybył w charakterze protektora naszego. Przychodził z miasteczka pobliskiego, noszącego nazwę Kalibja, w którym pełnił funkcję reprezentanta konsularnego wszystkich mocarstw europejskich, to jest był konsulem angielskim, francuskim, hiszpańskim, neapolitańskim, austrjackim, rosyjskim etc., etc. był przytem krawcem, szewcem, stolarzem, ślusarzem etc., etc., a także adwokatem i lekarzem, i do tego wszystkiego spółziomkiem naszym. Polak! Kalibja, luboć nad morzem w bejostwie tunetańskim leży, portu jednak nie posiada. Przystęp do miasteczka tego uniemożliwia ciągnąca się równolegle do brzegów ława kamieni podwodnych, tak że przystań nawet nie przynosi korzyści handlowych. Przystać zresztą jest licha, na

wszystkie wiatry otwarta. Okręty z daleka omijały wybrzeże to niebezpieczne, nie wchodząc z onem w styczność, chyba w takim, jaki nas spotkały wypadku. Od czasu do czasu rozbijały się tam statki, i dla ewentualności tej potrzebnym był w Kalibji reprezentant mocarstw. Reprezentanci tego rodzaju, zwani agentami konsularnymi, pensyj nie pobierają: żyją z handlu, przemysłu i z wizowania papierów. Że zaś w takim jak Kalibja miasteczku dochody ze źródeł tych przedstawiały się bardzo chudo, złakomić się przeto na nie mógł jeno człowiek wykwalifikowany tak wszechstronnie, jak spółziomek nasz.

PRZEDRUK ZA: Tomasz Teodor Jez, *Od kolebki przez życie*, Kraków 1936, t. 2, s. 403-412.

22. I am distressfully

Ignacy Domeyko (1802–1889)

(...) zбочono nieco ku brzegu i zestawiono okręt w miejscu, gdzie czasu wezbrania (fluxus) 20 stóp głębi, a czasu opadnienia 9 tylko stóp do 10. Okręt nasz brał 12 stóp wody. Czas najniższego morza przypadał o 10½ godzinie.

Nie było już czasu myśleć o podjęciu kotwicy i skierowaniu okrętu na głębinę. Na nieszczęście wiatr był silny i woda na zatoce bardzo poburzona, tak że od razu poczęły fale silnie uderzać o ściany okrętowe, podrzucać okręt i ciskać nim o ziemię. Zarzucione wokoło okrętu sondy okazały, że okręt był na samym brzegu mielizny i tuż poczynała się głębinia. Umyślono więc tak obrócić okręt, iżby przynajmniej tylna jego połowa nie dotykała dna, a tym sposobem rudel był zabezpieczony. Zaciągnięto liny i część żagli rozpięto. Kapitan przybył wśród trwogi. Z wielką pracą i męką ruszono z miejsca okręt i obrócono tył jego ku głębinie. O godzinie dziewiątej sondowano i nie znaleziono więcej nad 10 stóp wody pod przednią częścią okrętu; przez półtóry godziny jeszcze woda miała spadać. Tymczasem wiatr coraz się powiększał, niebo się zachmurzyło i w kwadrans nadeszła burza z nawałnicą. Fale zaczęły przerzucać przez pokład, a okręt tak silnie uderzał o dno, że ściany trzaskały, maszt i liny drżały jakby od trzęsienia ziemi. O dziesiątej niebezpieczeństwo było widoczne; przelężniony kapitan powtarzał tylko „bad, very bad” (źle, bardzo źle), a cały poczet okrętowy poczynał tracić nadzieję. O pół do jedynastej było już tylko 9 wody u przedniej połowy okrętu. Co chwilę biegali oficerowie do zegara, liczyli minuty, sekundy; burza nie ustawała, a trzeba było jeszcze czekać najmniej do pierwszej, żeby się woda podniosła do tej wysokości, o jakiej okręt poczynał być dotykać ziemi. O pół do dwunastej jedno straszne uderzenie zatrzęsło całym budynkiem, tak że wszystkie ściany zaskrzyły i jęknął rudel. „I am distressfully!” (zginęliśmy!) – zawołał kapitan, ale zimny master nie tracił serca

i spokojnie odpowiedział: „I am not afraid so” (ja się tak bardzo nie lękam). Ktoś z boku poradził wezwać na ratunek najbliższą fregatę; Anglik aż zadrżał na tę radę, bo fregata była francuska. O północy burza jeszcze nie ustawała, ciemno było, że człowiek człowieka nie widział, deszcz lał jak z wiadra, a majtkowie zaczęli spod pokładu paki i liny, i łańcuchy wyciągać. Długa jeszcze była godzina przed nami. Kapitan posłał dwóch najśmielszych majtków do dalszej angielskiej fregaty, prosząc o dwie liny (horses), o ludzi i o wielkie czółno. I znowu się wzięto do pracy, by okręt czym prędzej ruszyć z miejsca za nadejściem wody. W tej trwodze wśród burzy okręt był jak pasujący się ze śmiercią człowiek, z tą różnicą, że w sile tego człowieka była siła trzydziestu ludzi silnych, wyężdżających siły swoje, a w jego śmierci była śmierć czterdziestu. Przyłynęli ludzie od fregaty, kiedy niespodzianie wiatr zwolnił i o godzinie trzy kwadranse na pierwszą lekkie tylko uderzenia przywracać zaczęły ludziom otuchę. O pierwszej wiatr jeszcze zawył i po trzykroć stuknął okrętem; zatrzęsły się maszty i ucichło, a tylko drżały liny okrętowe i głos majtków nie ustawał. W kwadrans niebo się odśłoniło i nasz chory zaczął drzemać na słabiejącej fali. Odplynęli ludzie obcy, majtkowie do spoczynku poszli, a kapitan ze swoim mastrem zapili to nieszczęście grogiem.

PRZEDRUK ZA: Ignacy Domeyko, *Moje podróże*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Nieciowa, Wrocław–Warszawa–Kraków 1963, t. 3, s. 59–60.

23. Jako balon, który uwiązanie swe opuścił

Cyprian Kamil Norwid (1821–1883)

(...) A słowa te wyrzekłszy, uderzyłem nogą w ruchomy pokład statku, jakoby powiadając sobie samemu: „Oto jest ta rzecz jedna i nic więcej”. -----

-----Szczególniejszej natury powiew i poświst zerwał płaski kapelusz jednemu z chłopców okrętowych, porzucając go precz, daleko na fale Oceanu – a na kapeluszu tym wokoło była wstęga czarna i był złożony na niej napis Cywilizacja.

V

Kilka osób poskoczyło wraz ku wrębowi okrętu, w stronę gdzie wiatr pomiótł kapeluszem, nie ażeby myślą ich było coś w tym pomóc, ale że to w naturze nagłych wydarzeń leży, iż za sobą nerwy pociągają. Szczególniejszy był to wiatru poświst, niemający nic w sobie podobnego do otaczającego nas powietrza – zimny – nagły, ale nie dorywczy i przechodni – owszem, utwierdzający się co chwila, jakby całą atmosferę miał odmienić i odmienić miał siłę.

Ci, co w murze patrzyli, kędy już na pianie fal dalekich dojrzeć nie można było kapelusza, spostrzegli nagle krągłą bryłę, jakoby kryształ jaśniejącą, którą koła okrętu odepchnęły, aż usłyszany mógł być odepchnięcia owego cios i poszturg –

Majtków dwóch pobiegło na maszt główny – rozruch jakiś i poszept wywołał samego Kapitana, który, krokiem mierzonym przeszedłszy wschody, stanął w odrzwiach na pół widny, zakryty wnętrzem schodów. Kapitan ręce miał w kieszeniach, czapkę na tyle głowy zarzuconą ukosem i poobiednie piórko w zębach.

Ktoś z podróżnych usłyszał w kuchni okrętowej, że zbliżają się lody niespodzianie od północnego bieguna oderwane i płynące obszarem Oceanu – ale tenże sam w chwil niewiele głośno zaprzeczał, jakoby coś podobnego miał usłyszeć!

Tymczasem wszelako dookoła już było zimno i grudniowo, a mało kto zostawał na pokładzie – i zmrok upadł wcześniejszy niż za dni przeszłych.

I stało się coś pomiędzy podróżnymi w salonach okrętu, ale wiedzieć nie można było, o co idzie. Ktoś powiedział, że wiele dni podróży naszej straciliśmy – ktoś pomyślił, że sam Kapitan pomylił się w rachunkach swoich.

Przy herbacie wieczornej usługa poczęła być mniej ściśle dopełnianą, a Kapitan bynajmniej się na dole okrętu nie pokazywał. Uważałem, że energiczny oficer kawalerii wziął w protekcję swoją piękną osobę wykradzioną, a młodzieniec czuły zbierał klucze od podróżnych torb i tłumoków.

Zaś około północy, kiedy jeszcze nikt nie spał oprócz dzieci, a za-konnice podróżne w kabinach swoich kryjome modlitwy odmawiały, usłyszano wołanie niezwykajne na pokładzie, który był ciemnością bezksiężycowej nocy osłonięty, tak że na mdłej niebios jasności czarną ledwo plamą się wydawał przechadzający tam i owdzie po strażniczej desce Kapitan, który z niej już od wielu godzin nie zstępował. I uważałem go, o ile dostrzec można było, że był spokojny.

Ale wołania niezwykajne i po całym rozlegające się okręcie, spowodowawszy za sobą kilkunastu ludzi służby żeglarskiej pędem wielkim biegnących z zapalonymi w rękach kagańcami, czyniły, że bynajmniej już wątpić nie można było o nadpływającym szlaku wielkim polarnych lodów, które każdy mógł widzieć: bryłami ich

ciskały ogromne fale, co dawało nadzieję, iż wielkim pędem statek mimo przymrozków, i szło jedynie o to, aby na widnokręgu krańcach dojrzeć, azali gdzie mnogimi lodów pokładami zaostrome powietrze, na rozłomy te oddziaływając, w jednolite prawie całości ich nie jednoczy?! –

Poświsty wiatru, jakby brzemiennego szronem, raz po raz przez wszelaki otwór budowy okrętowej przechodziły.

Cofnąłem się w jeden z korytarzy, lecz zbłądziłem w kuchni okolice. Majtków kilku spostrzegłem pochylonych nad beczką wódki, którzy poza ramiona swoje pół-ostrożnym, a pół-pogardliwym cisnęli ku mnie spojrzaniem. Zdawało mi się, że Kapitan otarł się o ramię moje w korytarzu i zdawało mi się, że ten, który mię właśnie ubiegł, miał pistolety w rękach – usłyszałem dwa strzały i dwóch ludzi pijanych, odepchniętych od beczki konwulsją śmierci, zobaczyłem – poznałem Kapitana z dymiącymi w rękach pistoletami: dawał rozkazy reszcie żywych, którzy zdawali mi się trzeźwieć.

A cofając się od jęku konających w boczny statku korytarz, usłyszałem śmiechy, przekleństwa i gadania ochryplym gardłem niestateczne – i coś podobnego do naglonych pośpiechem modlitw – więcej przeklinaniu podobnych.

Zobaczyłem, że Emigrant wychylał butelki, a Archeolog zbierał próżne i nadziewał je rękopismami swymi, na niebezpieczną się chwilę przygotowując. W salonce Redaktor zapowiadał, iż trzeba, ażeby się wszyscy zgromadzili dla wystosowania komitetu, złożonego z mężów zaufania, który by nadwężonego strzegł porządku, ale koło lewe, właśnie wtedy o ogromną bryłę lodu uderzając, wyszczerbiło się z łoskotem strasznym, i cały się okręt wstrząsł gwałtownie. Kapitan po raz pierwszy usta swoje otworzył dla zapowiedzenia publiczności, iż oczekuje świtu, aby niebezpieczeństwa ważność mógł ocenić. I widziałem, że z krzyżem w ręku

wszedł Kapucyn nogą bosą na okrętowy pokład, ale mu Kapitan kazał precz iść, ażeby się panik nie roznosił pomiędzy publicznością i majtkami – parę głosów powstało przeciw temu, owszem, żądając księdza. I zawołał Kapucyn: „Na morzach tych czasu onego Krzysztof Kolumb w takimże jak ja dzisiaj stroju -”, ale Kapitan ręką skinął i odsunięto mnicha, a Redaktor ozwał się do publiczności, że stateczniej niżli kiedykolwiek władzę prawą szanować trzeba, i mówił jeszcze coś więcej o przesądach ultramontańskich, czego wszakże zrozumieć nie można było, bo był pijany.

Kapitan zaś, przeszedłszy mimo mówcy, skinął ręką, ażeby się dzieci i kobiety w okolicy głównego masztu trzymały – potem wytyżonym okiem szukał długo pierwszych brzasku jasności – i chciał jeszcze raz wniść na strażniczą deskę, ale w połowie schodów się zatrzymał i zawołał głosem wielkim ku maszynieście na dół: „Ognia!” –

A oto nagle cały okręt zdawał się porywać jako balon, który właśnie że uwiązania swe opuścił, i wszystko, co było na okręcie, jakoby się zaniosło na pęd wielki, gdy wraz góry lodowe z dwóch stron statku na koła dwa się wtarły, aż odpryski wielkości przeraźliwej, ponad głowami tłumu lecąc, uderzyły w komin okrętu z dziwnym łoskotem.

Chciałem gdzieś iść – gdzie? nie wiem. Chciałem szukać kogoś – nie wiem, kogo? – wydawało mi się, że odebrałem w czoło uderzenie wielkim lodu odłamem, lecz rozeznac nie mogłem, czy mi się w oczach zaświeciło, czyli zajaśniały blaski ranne?

Zgadywałem, że uwięziony za dwa swoje koła parostatek targał się tam i owdzie na podobieństwo uwikłanego w pęta słońca, a cokolwiek poruszyć się chcąc naprzód – lubo gdzie?! nie wiem – uczułem się nagle porwanym jak ciężar martwy – i uczułem się zatoczonym po pokładzie, i rzuconym głową na przedmiot miękkiej, który dawał mi się poznać, że był ramieniem.

VI

A kiedy, już nie wiem, które od onej pamiętnej nocy, słońce weszło?! Rozpoznawać zacząłem, iż oparty jestem o ramię siostry szarej, jakoby podobnej do jednej z owych, które na rozbijającym się statku byłem widział. Ale umysł mój był osłabły, i zdawało się, że niewiele już prawa do rzeczywistości posiadającym będąc duchem, począłem spojrzenia moje ograniczać na widnokręgu niezbyt od dłoni mojej szerszym.

Więc patrzyłem na fałdy grube szaty wełnianej, którą zakonnica była osłonięta, i podniosłem palec, ażeby z sukni jej odtrącić płamę zastygłego wosku, którą okapana będąc, wydawało się, jakby jej różaniec bursztynowy po fałdach spływał.

Ale ona rzekła mi głosem dziwnym, bo podobnym do wszystkich głosów wszystkich przyjaciół moich:

– Wosk ten zostaw, albowiem jest z gromnicy, którą na pogrzebie twoim trzymałam w ręku.

PRZEDRUK ZA: Cyprian Kamil Norwid, *Cywilizacja. Legenda 1861*, w: tegoż, *Pisma wszystkie*, zebrał tekst, ustalił wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz w. Gomulicki, t. 9, Warszawa 1971, s. 45–61.

24. Narzędzia ocalające

A. Zabezpieczyć ciężkiego mężczyznę

Monitor Warszawski, 1824

W pierwszych dniach października Pan Scheffer wynalazca wielu osobliwszych choć nie dość cenionych rzeczy, stanął w Londynie przed Lordem Majorem oświadczając iż wynalazł narzędzie ocalające, za pomocą którego w czasie rozbicia okrętu lub innego podobnego zdarzenia można się od utonięcia zabezpieczyć. Jest to, jak sam powiada, dziwne narzędzie, które na całym świecie używanem być musi. Złożył rysunek, wyobrażający mnóstwo osób na wzburzonym morzu życie swoje za pomocą jego narzędzia ratujących. Jest to pas z materii elastycznej, niezszywany, nadymać się dowolnie mogący. Lord Major wspomniał chlubny wynalazek pewnego Daniela, lecz go P. Scheffer porównał z dwoma połączonymi oxfetami; jego zaś narzędzie łatwe do noszenia, dla kobiet nawet służyć może, jest bowiem delikatnej roboty. Życzyłby sobie dokładności narzędzia publicznie doświadczyć na Tamizie, zabezpieczając od utonięcia jakowego ciężkiego mężczyznę, któryby w czasie najgwałtowniejszego pędu rzeki pod mostem Londyńskim pływać chciał. Lord-Major nie bardzo chciał pozwolić na takowe doświadczenie, gdyż przy zbiegu ludu nad rzekę i na statki, niejeden mógłby utonąć; ale P. Scheffer zdumiony takowym zarzutem, z zapewnieniem odpowiedział, iż nikt takowemu niebezpieczeństwu nie podpadnie skoro on przytomnym będzie ze swoim Preserwatorem (*Life-preserver*); P. Daniel swoje machinę pokazywał, a żaden nie zdarzył się przypadek, nadto on sam wynalazek swój okazał wypiarzom Sandwichskim przed ich odjazdem; ludzie ci, ludzie bardzo roztropni, oświadczyli, iż od przyjazdu swego do Anglii, nic jeszcze nad ten wynalazek ważniejszego nie widzieli. Mimo tego Lord Major nie zmienił swego zdania: dodał tylko, iż P. Scheffer,

jeżeli zechce publicznie wynalazek swój pokazywać, za wszelki wydarzyć się mogący przypadek odpowiedzialność sam na siebie przyjąć musi; on ze swej strony upoważnienia wydać nie może. Wynalazca, wszelkie wyrażenia na dobrą stronę dla siebie tłumacząc, podziękował Lordowi za jego opiekę i oddalił się. W rzeczy samej dnia 14 października w przytomności wielkiego tłumu pospólstwa pokazywał swoje narzędzie. Skoczył w Tamizę przy Templegarden, zapiął narzędzie swoje pod pachy i płynął bez przeszkody bardzo szybko pod most Blackfriars. Po kilka razy odpinał Preserwatora, wyciskał powietrze, nowem napełniał, i znowu zapinał; wypróżnienie i napełnienie powietrza było dziełem jednej chwili. Mnóstwo statków towarzyszyło P. Scheffer; 5 lub 6 chłopców popłynęło do niego utrzymując się bez trudności na jego preserwatorze. Chciał z mostu wielkiego skoczyć w Tamizę, gdzie pęd wody naybystrzejszy, lecz go odwrócono od takowego przedsięwzięcia, wystawując, iż mu narzędzie jego nie pozwoli zanurzyć się, przez uderzenie gwałtowne o wodę, może być sił pozbawionym. Popłynął więc pod średnie mostu przeszło, i z największą siłą przepłynął. Gdy dostał się do bałwanów, zwracających się, uczył mocny w dwóch przeciwnych sobie zarazem kierunkach pęd wody, i jak mniemał bez preserwatora byłby zapewne uległ. Miał w rękę butelkę likworu i kieliszek, i blisko 2 godziny bawił na wodzie. Odgłosy radosne tłumów ludu na statkach i nad brzegiem rzeki zebranego, towarzyszyły mu wszędzie.

PRZEDRUK ZA: Monitor Warszawski, 14 grudnia 1824 roku.

B. Zamiast czynienia, zwłoki tylko

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Okręt miotany wiatrami
Szedł jako tako wpośród nawałności,
I podróżni z żeglarzami,
Gdyby się byli trzymali w jedności,
Oparliby się tej burzy;
Lecz próżno: im bardziej niebo się chmurzy,
Tym bardziej, zamiast czynienia,
Zwłoki tylko i mówienia.
Do żagłów... już skała bliska –
Wołali tam i ówdzie rozsądni majtkowie –
Źle się kierujem, fala nami ciska,
Przebóg! Mniej obfici w mowie,
Bądźmy czynniejsi! Tu na głos tak zdrowy
Mówca jeden dowodził, lecz nie czterma słowy,
Że chcąc zachować życie i majątek
Trzeba roztrząsnąć wprzód wiatrów początek.
Przydaj – rzekł drugi – skąd wód wzrost i spadek.
Nie to – trzeci zawołał sądząc, że przypadek
Najrozumniej rozwiąże i pogodzi spory –
Patrzcie, pioruny jak huczą z łoskotem,
Postawić trzeba wprzódy konduktory
I zasłonić się przed grzmotem.
Na koniec wszystkie zdania zważane bez zgody,
Bardzo może przyzwoite
Na lądzie lub w czas pogody,
Opóźniając ratunek, mówce znamienite,
Sternika i okręt cały
Pędem rozbiły o północne skały.
A tak, mimo ratunku sposoby gotowe,
Wszystko zginęło przez zbytnią wymowę.

Czemuż przykładu tego nie użyjem?
Potrzeba nagli, moi przyjaciele;
Wierście, rozumu mamy nadto wiele,
Czas próżno tracim, o brzeg się rozbijem.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Okręt*, w: tegoż, *Bajki oryginalne*, Kraków 1885, s. 133.

C. W górę rękaw i do pomp
Cyprian Kamil Norwid (1821–1883)

Co dzień woda w okręt ciecie,
Nogą z łoża ani stąp;
Co wieczora – o! człowiecze,
W górę rękaw! – i do pomp.
Pożegnałem, co kochałem,
Upominek złączy nas;
Ręką jedną – przestrzeń dałem,
Drugą ręką dałem czas.
Co dzień woda w okręt ciecie,
Nogą z łoża ani stąp;
Co wieczora – o! człowiecze,
Rękaw w górę – i do pomp!

PRZEDRUK ZA: Cyprian Kamil Norwid, *Cywilizacja. Legenda 1861*, w: *Pisma wszystkie*, zebrał tekst, ustalił wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz w. Gomulicki, t. 9, Warszawa 1971, s. 45–46.

111. Topi i zalewa



1. Rzeka wezbrała do niesłuchanej wysokości. Warszawa 1813

Kazimierz Władysław Wójcicki (1807–1879)

Zamek stoi na wyniosłym wzgórzu od Wisły; przedtem, zanim wmurowano długie arkady i na nich założono ogród, tzw. taras był szczupły i wąski. Dla ułatwienia komunikacji z wybrzeżem Wisły wiodły od Zamku kryte schody aż na sam dół, na parę piętér niżej. Schodziłem nimi z wielką zawsze obawą, bo okna je mało oświecały i wieczna w tym przejściu pomroka panowała, lubo codziennie setki mieszkańców nadwiślańskich nimi przechodziło.

Z tego tarasu wyniosłem żywe wspomnienie strasznego wylewu Wisły w 1813 r. Młoda, świeża pamięć zachowała obraz ten straszny we wszystkich najdrobniejszych szczegółach, na który z trwogą i przerażeniem spoglądałem. Ścisk był wielki na tarasie zamkowym, rzeka wezbrała do niesłuchanej wysokości. Cała Praga zalana, dachy i kominy tylko z domów widać było, na których mieszkańcy wołali rozpaczliwym głosem o ratunek. Cała okolica zawiślańska, jak okiem zajrzeć, zniknęła, tylko woda z białą pianą po niej szumiała. Na dwie przeszło mile wokoło wylew się ten srożył; do wsi Kobyłki łodziami dopływano.

W Warszawie całe wybrzeże nad Wisłą było pod wodą; wszystkie ulice, jak Furmańska, Bednarska, Rybaki, Solec i inne – zalane; mieszkańcy ratowali się, jak mogli. Od czasu do czasu, wpośród krzyku rozpacz i rzewnego płaczu, rozlegał się huk jakby strzału armatniego albo grzmotu bliskiego. To w szychtach drzewa pękały wiązadła, a kloce sosnowe, dębowe, brzoźowe i olszowe spadały w otchłań wodną i, porwane bystrym prądem rzeki, z jej biegiem płynęły do Gdańska. Za każdym takim hukiem po chwili ukazywały się kłody drzewa, które odważniejsi flisy, oryle i rybacy łowili jako dobrą dla siebie zdobycz.

Biała woda na Wiśle, skąd ją dawniej słusznie Białą Wodą zwano, zanim terazniejszą przybrała nazwę, pokrywała się coraz więcej jeszcze bielszą pianą, co wróżyło jeszcze nowy, większy

przybor. Na tym rozlewie nieprzejrzany okiem od czasu do czasu ukazywały się różne przedmioty, zwracające uwagę tłumu patrzącego z zamkowego tarasu. Widziałem płynące zabudowania, drewniane domy, obory, stajnie, chlewy, a obok nich konie przywiązane do żłobu, od którego oderwać się nie mogły, bydło i owce i mnóstwo sprzętów rozmaitych.

Nagle krzyk na tarasie zagrzmiął: „Dziecko! dziecko! Ratujcie dziecko!”. Był to głos zebranych kobiet, a serce obecnych matek wydało ten krzyk przeraźliwy. Jakoż rzeczywiście płynęła kołyska z dziecieniem, ale jakby Bóg je miał na oku, spłynęła z najbystrzejszego prądu rzeki i zwróciła się na zakręt spokojnej wody, gdzie już pienne fale nie biły. Na ten okrzyk jakiś młody, dorodny człowiek przedziera się przez tłumy zbiega na doł, gdzie łodzie stały; wsiada w jedną wraz z przewoźnikiem, dopływa do kołyski, wydobywa z niej niemowlę w poduszce, w górę ponad głowę podnosi, ukazując piękną zdobycz. Cały taras zamkowy zadrzał od okrzyku radosnego i grzmotu oklasków. Kobiety ze łzami wykrzykiwały wiwaty. Mężczyźni klaskali. Wkrótce nadbiegł z dzieciną młody wybawca. Matki otoczyły go gęstym wiencem, całowano, ściskano, przytulano do piersi drobne niemowlętko; wreszcie, gdy się nie mogły pogodzić, komu je na wychowanie oddać, na wniosek jednej ciągniono supełki i wśród największej ciszy oczekiwano stanowczego losu. Najmłodsza pani majstrowa, szewcowa z Dunaju, wyciągnęła supełek; z jaką radością porwała tę dziecinę i uniosła z tarasu wśród tłumu, który się jej z uszanowaniem ustąpił i otworzył drogę.

Nagle liczne głosy: „Patrzcie! patrzcie! co za nieszczęście!”, zwróciły moją uwagę. Po wzburzonych falach rzeki płynął wiatrak, co chwila przechylając się na wszystkie strony. Na małym ganeczku stała młoda młynarka z dziecieniem u piersi, z okrzykiem przestrachu wołająca ratunku i miłosierdzia ludzkiego. Wszystkich oczy przyrosły do tej postaci i wiatraka; nieszczęśliwa matka stała tylko w koszuli, jak ze snu się zerwała; włos jej bujny spadał na ramiona. Po chwili ukazały się dwie łodzie dążące na ratunek; w większej stała jakaś niewiasta wyniosłego wzrostu, smagła, obwinęta

szalem; 6 rybaków posłusznych jej skinieniu kierowało tą łodzią. Na drugiej, mniejszej, siedział z dwoma rybakami wybawca niemowlęcia w kołysce. Obiedwie zdawały się prześcigać. Tymczasem wiatrak, zatrzymany nieznaną zaporą, nagle się pochylił; łódka mniejsza pierwsza przy nim stanęła, ale tak ją fale rzeki podrzuciły, że dopiero przy pomocy większej stanęła silniej, dotarłszy do wiatraka. Młynarka, zmęczona przestracaniem i wysileniem trzymania się na ganeczku ciągle chwiejnym, bliską była omdlenia, kiedy pomoc tak pożądana i potrzebna nadpłynęła. Teraz obiedwie łodzie już stanowiły pokład bezpieczny i młody wybawca niemowlęcia pomógł młynarce do zejścia. Pani stojąca na większej łodzi pochwyciła podaną dziecinę, przytuliła do piersi i okryła tureckim szalem; młynarka, gdy się na pokład dostała, omdlała i w takim ją stanie przywieziono pod taras zamkowy, gdzie otrzeźwiona, wsiała z ową odważną panią, co niosła swe życie na jej uratowanie, do stojącego na podwórzu zamkowym pojazdu i znikła sprzed oczu. Jedni ją nazywali księżną, drudzy hrabiną, ale kto była właściwie, nikt rzeczywiście nie wiedział. Przewoźnicy tylko z uszanowaniem oddali jej pokłon, bo każdy z nich otrzymał w darze po 5 dukatów w złocie.

Niedługo nowy widok zwrócił uwagę wszystkich stojących na tarasie. Płynęła gruba i długa kłoda drzewa, na której siedziało dwóch ludzi. Fale z biegiem wody szybko ją gnały naprzód, a nadto obracały na wszystkie strony. Jeden, zręczniejszy, potrafił równowagę utrzymać, ale drugi, czy więcej zestraszony, czy mniej zwinny, gdy się kłoda obróciła, zsunął się w nurty rzeki, a szukając ratunku, uchwycił się jej obiema rękami. Wtedy siedzący na niej, czując, że ten ciężar coraz więcej kłodę wykręca, ze zwinnością kota posuwał się na niej i pięścią uderza w ręce splecione nieszczęśliwego towarzysza swego. Ten podły, samolubny postępek wyciska okrzyk zgrozy w całym tłumie na tarasie; biedak pod uderzeniem silnej pięści rozszczępił ręce i zanurzył się w toniach, a jego zabójca popłynął dalej. Wkrótce jednakże Bóg, jakby w oczach wszystkich chciał doraźnie zbrodnię ukarać, ocalił z głębi wód topielca, bo warszawscy rybacy, gdy bałwany go wyrzuciły, zdołali pochwycić i uratować,

gdy na kłodzie płynący, dopędzony nową szychtą drzewa, zwalony do rzeki, już nie miał ocalenia i w pobliżu tarasu zniknął na zawsze w spienionych falach.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Władysław Wójcicki, *Pamiętniki dziecka Warszawy i inne wspomnienia warszawskie*, wybrał Juliusz w. Gomulicki, opracowanie Zofia Lewinówna, wstęp Marii Grabowskiej, Warszawa 1974, t. 1, s. 270–273.

2. Pojedyńcze drzewa na brzegach znajdowano. Kraków 1813

Ambroży Grabowski (1782–1868)

Most na Wiśle.

W czasie rozbioru ojczyzny most na Wiśle między Krakowem i Podgórzem był taki, jak teraz widzimy, t.j. pływający, z pali drzewa czyli z belek zbudowany. Ten most zastąpili Austriacy innym, drewnianym także, ale postawionym na dwóch rzędach palów dębowych, bitych w korycie Wisły. Prawie, że ukończono budowę jego r. 1802.

Był on z samego drzewa dębowego z ogromnych dębów, jakich już teraz nigdzie w okolicach nie widać, bo to już może były ostatnie z dawnego pokolenia tych olbrzymów, których lud już Nielitościwa securis wytepiła, i ani jednego takiego patryarchy około Krakowa nie widać. Nazwano ten most Karls-Brücke na cześć arcyksięcia Karola, brata cesarskiego, który pierwszy po ukończeniu budowy przez ten most przejechał i tym sposobem go ochrzcił.

Szczególniejsze też mostu tego było przeznaczenie. Był on już wskazany na to, aby się stał pastwą płomieni, a zginął przez inny żywioł, t.j. przez wodę, gdyż go zerwała nadzwyczajna powódź r. 1813.

Gdy w zimie r. 1812–13 po kampanii moskiewskiej zbierał się korpus wojska polskiego w Krakowie i zgromadziły się rozbitki wojsk francuskich, i gdy na wiosnę r. 1813 zbliżało się wojsko moskiewskie pod Kraków, Polacy i Francuzi, mający się udać przez Austryę do Saksonii na wypadek, gdyby ich Moskale w Krakowie z siłą przewyższającą atakować chcieli, zamierzali przejść do rejonu podgórskiego i most mieli zapalić, a przejścia przez Wisłę bronić. Jakoż cały most już był nasmarowany smołą i inne palne materiały były przysposobione, ale do tego nie przyszło, a w kilka miesięcy Wisła – jak niżej opisuję – do tego stopnia wezbrała, iż cały most popłynął i tylko pojedyncze z niego drzewa na brzegach pozostawały, ani też do odbudowania go nie przyszło. Tylko potem pływaka urządzono.

Nadzwyczajne wezbranie Wisły r. 1813.

Okropna ta, lecz szczęściem nie tak często przypadająca katastrofa, przypadła za mojej pamięci d. 23 sierpnia r. 1813, i trwała przez 3 dni, po których woda opadać zaczęła.

Już i w dawniejszych czasach bywały równie nadzwyczajne wylewy Wisły, jakich dwa wymieniają tablice marmurowe na murze klasztoru zwierzynieckiego z oznaczeniem wysokości, do jakiej woda dochodziła.

Kto takiego wypadku własnoocznym nie był świadkiem, ten sobie nie potrafi wyobrazić, jaki to był widok przerażający.

W pomienionym r. 1813 miesiąc sierpień – a podobnie i całe lato – był dżdżysty, a kilka dni przed wezbraniem padał ciągle i nieprzestannie drobny deszcz, który ani na chwilę nie ustawał. W górach deszcze były ulewne, a na koniec i przerwanie chmur, skąd na ziemię spadała taka masa wód, że jej najobszerniejsze koryta objąć nie mogły. Gdy trudno dać wyobrażenie o szerokości wylewu, tedy wspomnę tylko, że cała ta rozległa przestrzeń od gór Krzemionek, cała szerokość pastwisk, nazwanych Błonie, aż do wzgórzów jak leżą Bronowice, własność kościoła Panny Maryi, zalane były. Wisła zaś z nadzwyczajnym pędem, czyli całą nawałnością wody płynęła tem położeniem, jak jest wieś Ludwinów, Zakrzówek i Kapelanka, a obszar ten, o którym mówię, zdawał się, że to jest morze, którego końca nie można było dostrzedz.

Widok ten okropny w całym ogromie okazywał się z góry Wawel, przeto też cała ludność Krakowa okrywała to wzniesienie. Domy przedmieścia Zwierzyniec wszystkie aż powyżej okien zalane były, i okna były pod wodą, a tylko same szczyty dachów z wody widać było. W domu dość wysokim, murowanym na prawym czyli galicyjskim brzegu Wisły, który stoi naprzeciw Zwierzynca, woda dochodziła do okien pierwszego piętra. Tam schronili się żołnierze austriaccy, piechota węgierska, i ciągle z okien dawali znaki, wzywające o ratunek, jako to strzelając z karabinów, podnosząc chustki na bagnietach na kształt chorągiewek itp., aż nareszcie

Maciej Krotz, rodem Węgrzyn, tu w Krakowie osiadły, właściciel oberży w ulicy Św. Jana, zachęcił kilku ludzi nadwiślańców przyrzeczeniem nagrody. Ci, puściwszy się łodzią, brali po dwóch pajtaszów (tak lud nasz zwał piechotę węgierską), i przewozili na tę stronę do Krakowa, bo indziej pęd wody nie dozwalał, a zresztą całe Podgórze do Krzemionek było zalane, a ludzie wynieśli się na góry. Ludzie ci przybijali z łodziami aż pod samym pałacem biskupów krak., i prawie z łodzi do ulicy Franciszkańskiej wysiadali. Potem tych żołnierzy (a było ich 18 lub 20) zabrał Krotz do siebie i podejmował ich aż do opadnięcia wód. Za co go też najjaśniejszy cesarz Franciszek hojnie wynagrodził, obdarzając medalem złotym zasługi, który najmniej 10 dukatów miał wartości, i który poczciwy Krotz w czasie uroczystości nosił. Okropna to rzecz widzieć było, jak pęd wody, do nadzwyczajnej wysokości wzniesiony, niósł drzewa, pomniejsze budynki np. chlewy, całe chaty, tysiące snopów zboża, kopy, stogi siana itp., co wszystko zabrała woda z pól i wiosek, niekiedy dosyć daleko od brzegów Wisły leżących. Ludzie śmielsi z rybaków i innych puszczali się w lekkich łodziach i chwyтали na Wiśle całe parkany z desek, drzwi i wrota, drzewa itp. sprowadzali do lądu.

W tej to pamiętnej powodzi Wisła płynąca przez Stradom (czyli odnoga jej zwana niewłaściwie Starą Wisłą, bo, jak twierdzą dziejopisowie, koryto takowe dopiero król Kazimierz Wielki przekopać kazał, a zatem właściwiej jest nazywać je Nową Wisłą) – woda, mówię, ta zniosła czyli zerwała całą kamienicę, oznaczoną nr. 1-ym, przytykiem prawie do samego mostu Stradomskiego, z miasta idąc, po prawej ręce stojącą; dziś w tem miejscu jest plac pusty.

Największą atoli szkodą był piękny most drewniany na palach, na wielkiem korycie Wisły między Krakowem i Podgórzem stojący i dosyć wysoko podniesiony, – jak to jeszcze i dziś widzieć można (r. 1842) na obu jej brzegach z kamienia ciosowego murowane głowy mostowe, który w tym czasie w nocy zerwała woda, dochodząca prawie wysokością do samego mostu. Do tego nagromadziło się

wiele drzewa, domów i budowli, które się na tymże moście opierały – toteż most, nie mogąc wytrzymać takiego parcia, tembardziej że go woda w górę wznosiła – poszedł z wodą na dół, i tylko pojedyncze drzewa na brzegach znajdowano.

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego*, wydał Stanisław Estreicher, Kraków 1909, t. 1, s. 197–201.

3. Ławy kościelne też pływały. Kraków 1813

Kazimierz Girtler (1804–1887)

Pamiętny na długie lata będzie wylew Wisły w dniu 26 sierpnia, jakiego nikt nie zapamiętał z żyjących, choć Wisła co kilka lat znacznie wylewa. Nie widziałem owego potopu, ale ojciec z Szymańskim, którzy umyślnie z Michałowic pojechali do Krakowa, opłakane opowiadali sceny. Dom, gdzie była poczta na Stradomiu, całkiem woda zalała, piwnice pełnusięńkie były wody, kancelarie zalane, także stajnie, a po Stradomiu łódkami pływano, w kościele Bernardynów ławy kościelne też pływały. Silne są te stare budowy, że przy takim namoczeniu fundamentów, sklepień po piwnicach i grobach, nie było wypadku zawalenia się. Wisła nagle wzbierała. Most na Podgórze wiodący, przez rząd austriacki zbudowany, byłby się może ostał, ale coś kiedy Wisła niosła z impetem różne zabudowania; gdy więc jakiś dwór nadpłynął i wśród mostu uderzył, tylko zawirował most, dom, ludzie poczepiani i wszystko rozpadło się i znikło na zawsze. Płynęli biedacy na kopach siana, na dachach, tratwach, ale dla tak strasznej powodzi nie było nic, na czym by się można zratować, ani siła, ani zręczność nie pomogły. Opatrzność Boska jedynie, kogo ku płaskiemu brzegowi zbliżyła, ten ocalał. Wiele bardzo lu[dzi] zginęło, majątku, dobytku ludzkiego bez miary. Pomniki tego wylewu na wielu nadwiślańskich domach i murach znajdują się. Tak wielkiej powodzi, jak w tym 1813 r., od czas[ów] Zygmunta 111 nie było blisko dwa wieki. Galary z węglami i drzewem pod Biskup[i] Pałac się schroniły, a galarem do kapucynów najwyżsieniej mógł płynąć. Ja[ka] wtedy dotknęła ta klęska nadwiślańską oko[licę] łatwo powziąć wiadomość z ówczesnych [ga]zet, które mieszczą opis całego niesz[częścia]. Była to plaga podobna do pogorzeli 1850 r. Skoro most się rozleciał, już go też [nie odbu]dowano; ani czasy, ani dostatki na to nie pozwalały.

Tuż za tą klęską padła d[ru]ga na kraj nasz. Bitwa krwawa pod [Lip]skiem nią była, a była to bitwa, kt[óra] nieprzyjaciółom

Napoleona otwarła dr[ogę] do Francji, w której poległ wódz Pol-
s[ki], książę Józef Poniatowski, i wiele młodzieży zginęło. Takim to
nowym kirem okrył Polskę rok ten nieszczęśliwy. (...)

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Girtler, *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1832–1857*, przedmowa i wybór tekstu Zbigniew Jabłoński, opracowanie tekstu i przypisy Zbigniew Jabłoński i Jan Staszal, Kraków 1971, t. 1, s. 113–114.

4. Wspaniały i przerażający widok

Henrietta z Działyńskich Błędowska (1794–1869)

Na wiosnę powódź wielka zajęła mnie. Pierwszy raz taką widziałam. Po wielkim deszczu z góry zaczęły potoki płynąć. W mgnieniu oka uliczka poboczna, do której okna sali dawały, napełniła się tak, że czółnem można było przejeżdżać. Przez szeroką ulicę przepływała i właśnie gdym patrzała, krowę przechodzącą porwało i w przepaść zanieśło. Wspaniały był to i przerażający widok. Lecz wkrótce minął, wody spadły i wszystko wróciło do starego porządku.

PRZEDRUK ZA: Henrietta z Działyńskich Błędowska, *Pamiętka przeszłości. Wspomnienia z lat 1794–1832*, Warszawa 1960, s. 383.

5. Bryła przy bryle szła ściśle. Toruń 1853

Thorner Wochenblatt, 1853

Na nadal stojącej części mostu znajdowało się w zasięgu wzroku nadal około 50 robotników ze swoim majstrem pośrodku. Lód przechodził dalej i niszczył przęsło po przęsle i z każdym z nich zrzucał robotników na kry lodu. Niemożliwe było udzielić pomocy nieszczęśliwym, ponieważ prąd był zbyt silny, a bryła przy bryle szła tak ściśle, że najmniejsze nawet czółno nie mogło pomiędzy nimi przepłynąć. Próba taka mogłaby tylko kosztować nowe życie ludzkie. Widok był straszny.

PRZEDRUK ZA: Thorner Wochenblatt, 1853, <http://express.bydgoski.pl/350850, Belki-lamaly-sie-jak-zapalki-RETRO-KATASTROFY.html>.

6. W całym pędzie pomijały nas zające

Wincenty Pol (1807–1872)

Już dolina Poprucia jest niejako zapowiedzią tej górskiej, dzikiej natury i tego wszystkiego, z czym spotkać się przyjdzie, przeprawiwszy się przez nią na obszarze Czarnego-Lasu i Czarnej-Góry.

Kiedyśmy się po raz pierwszy spuszczały do Poprucia, przejeżdżając w poprzek uroczyska stepowej Bukowiny, powitały nas naprzód górskie wody... Mówiłem, że szeroka dolina ma tu dwa lądy, które w podwójnych terasach spadają na koryto rzeki. Gdyśmy pierwszego spuścili z terasu, gdzie już całą dolinę na milę można było przejrzeć w dół i w górę – uderzyło nas to, że co chwila, w całym pędzie pomijały nas zające, które pominawszy nas, nie zwalniały biegu, lecz wpadały na gościniec bity i dały dalej gościńcem... Równocześnie ujrzelśmy, w różnym oddaleniu, z wielkim pośpiechem gnane stada wołów i koni ku najbliższemu powyższemu lądom... Nie pojmując, co by to wszystko znaczyć miało, jechaliśmy dalej – wtem przypadł do nas od stada hajdaj na koniu i krzyknął: „Nawracajcie i uciekajcie! bo nie ujdiesz z duszą!”. Krzyknawszy ku nam te słowa, przesadził rów od gościńca i kopnął się w górę drogą, co koń mógł wyrwać!... Lubo nie pojmowałem, co by nam grozić miało, kazałem nawrócić i pojeżdżać za drogą hajdajem, który już w tej chwili o kilka staj od nas na wysokim lądzie konia zatrzymał. Straszny jakiś huk i szum uderzył nas w tej chwili nagle!... Spojrzeliśmy w górę doliny: wielki bałwan wody posuwał się, z wielką gwałtownością, ścianą prawie ku nam – i zajmował całą szerokość doliny...

Wałem, do 12tu stóp wysokim, waliła się ta powódź... a w niej bałwaniły się całe drzewa z korzeniami wyrwane, które podtrzymywały wał ten!.. Teraz dopiero widzieliśmy, że nie żarty, ale do spostrzeżeń nie stało już czasu – konie niosły tak nasz powóz, że lubo po najlepszej drodze, można było się spodziewać lada chwila wywrotu, bośmy to czuli, że się chwilami nie dotykały koła ziemi!...

Już pierwsza fala musnęła gościniec i zakryła go do razu... Gdy nas druga fala sięgła, brnęły już konie po brzuch prawie w wodzie i poczęły się wykręcać od wody, czując, że nagle przybywa... Hajdaj, na wysokim brzegu stojący, zebrał arkan i podniósł go w górę – krzyczał coś ku nam – rzucał się gwałtownie na koniu – ale czego chciał, nie mogliśmy pojąć, i nie było czasu myśleć o tem, bo woda zajmowała już siedzenia!... Szczęściem, dobiliśmy się do wysokiego łądu, zanim nas sięgnął wysoki bałwan: – konie stanęły same na suchym łądzie – a tuż poza nami huczały straszne wody!... Tak samo wyrwały się na brzeg, w różnym oddaleniu, stada koni i wołów, bujając następnie dziko po wysokim brzegu i oglądając się co chwila na powódź, hukiem tych wód potrwożone!

Gdyby nas był hajdaj nie ostrzegł, albo ostrzegł tylko chwilę później – bylibyśmy popłynęli z wodą do Dunaju!

Hajdaj, który nas ostrzegł, był to Ormianin. Widząc, że tabun jego rwie się już na brzeg wysoki, wraz z kilką tabuńczykami – zwrócił konia ku nam, nałożył znacznie drogi, i nie lękał się niebezpieczeństwa, które również jemu groziło, ale ostrzegł nas o niebezpieczeństwie, któregośmy nie znali. Przemokli aż do pasa, wysiedliśmy z powozu. Pocziwy ten człowiek nie chciał przyjąć nagrody za uratowanie nasze. Wróciliśmy tedy do najbliższej wsi, ku której także stado wołów i koni przepędzono – i tu przebyliśmy z naszym zbawcą dwa dni w karczmie razem, bo przed dwoma dniami nie można było myśleć o przeprawie rzeki.

Tu jeden wypadek może dać najdokładniejsze wyobrażenie o ulewach górskich i wezbraniu wód nagłych, a tem samem o spadzistości gór, wśród których się powódź tak nagle wzbiera, że od razu, jednym groźnym bałwanem, wychodzi w równiny na dolinę Prutu.

PRZEDRUK ZA: Wincenty Pol, *Obrazy z życia i natury*, seria 2: *Północny Wschód Europy*, Kraków 1870, s. 161–163.

7. Wał, ubity z samego ptactwa, z samych wron i kawek

Wincenty Pol (1807–1872)

Gdyśmy uważnie przypatrywali się owej chmurze, na kresie widnokregu, począł szybować rój jaskółek tak wielki w powietrzu dokoła nas, iż się zdało, że jakaś zamieć je niesie.

Cisza była w powietrzu zupełna – żaden listek się nie ruszył i tylko świergot niesłychany tych jaskółek zagłuszał tę ciszę...

Czarna chmurka posuwała się tymczasem bardzo nagle – i rozwinęła się dorazu w szarych, różowych i czarnych bałwanach, okrywając pół nieba w mgnieniu oka, jak gdyby kto dorazu zwinięty całun rozwinął. – Z tej chmury, która już Wilczą Debrę okryła, padały pojedyncze krople z rzadka na ziemię, ale te krople były tak wielkie, iż kiedy mi jedna na czoło padła, podnosiła się w tej chwili parą rozpalonej ziemi.

Weszliśmy do oszyjka piwnicy, aby co zarzucić na siebie, wtem usłyszeliśmy tak straszne uderzenie o murowaniec, że kilku z nas bez chęci przypadło na łożo – straszny tuman kurzu i liści zerwał tu się nagle i zaćmił się świat...

Trzask i łomot posłyszeliśmy nad głową tak wielki, iż nam się wydało, że się murowaniec wali. Tu wpadł gospodarz do oszyjka piwnicy i krzyknął: „Nie wychodźcie, bo zginiemy! – dach zerwało z murowańca! – a i tu nie bardzo bezpiecznie, lepiej wejźmy do piwnicy”.

Uderzenia te powtarzały się i straszliwe pioruny poczęły bić z nieba. Grzmot nie ustawał ani na chwilę i naprzód poczęło bić gradem, a potem puściła się ulewa... Na chwilę ustawało wszystko – i cichło – a uderzenia nowe piorunów powtarzały się... a po grzmotach uderzały nowe fale gradu i ulewy... fale mówię, bo kilka takich fal gradu leżało wałem przed nami; a deszcz nie padał, ale woda urywała się strugami z nieba, jak gdyby z łotoków na koła młyńskie.

Z oszyjka piwnicy było widać całe pasmo gór lasami okrytych. Straszna chmura wron i kawek skręciła się nad lasami i znikła tak nagle, jak gdyby się w chmury rozplynęła.

Jasne, rażące, seledynowe i różowe pasy i plamy wybijały nagle i na przemian na ciemnym tle burzliwego nieba – chmura pękała widocznie i rozsuwała się coraz szerzej – czasami niosło całe tumany liścia i nasion, gałęzi i snopów powietrzem...

Po półgodzinnej może burzy, nastąpiła chwilowa cisza. Ziemia drżała i szum wód gwałtownych uderzył nas... Wychyliliśmy się z oszyjka piwnicy, by ujrzeć coś więcej... O trzysta kilometrów od murowańca, około wjazdnej bramy – leżał w nieładzie strzaskany dach murowańca. Tak go zniosło, jak gdyby ktoś zdjął czapkę z głowy i nią rzucił – a cała dolina zamieniła się w jedno wielkie jezioro, z którego tylko dachy i kilka chat leżących powyżej sterczały...

Zrazu zaćmiły były tumany świat – ale gdy prochy wzbite wielkimi bałwanami pod ulewą z powietrza opadły, widać znowu było pasmo górzyste nad którym się burza srożyła... Zrazu zdawało się, że nas wzrok ludzi, bo drzewa starych lasów poginały się tak bardzo ku ziemi, że płynęły niby fale, tak jak kłosa łąnu falami płyną za wiatrem...

Zrazu zdawało nam się tedy, że to złudzenie – ale tuż koło bramy stała piramidalna topola, a gdy ją burza tak przyginała, iż ziemi prawie dotykać się zdawała, wówczas dopiero pojęliśmy, że się coś podobnego i w lesie dzieje.

Jezioro powiększało się z każdą chwilą – i dach murowańca, który już na pagórku koło bramy leżał, spłynął...

Cała fizygnomia okolicy zmieniła się: bo środkiem wioski leżało błonie gęsto wierzbnikami zasadzone; dalej ponad tem pastwiskiem ogrody i sady, chaty i budynki gospodarskie. W tej chwili było to wszystko już pod wodą – a od połowy dziedzińca, który cały na pochyłości wzgórza leżał, aż do lesistych wyżyn, które o ćwierć mili odległości od murowańca leżały, stało jedno wielkie jezioro...

Gospodarz nasz zbladł jak chusta, a jeden Tytus Lewitowski nie tracił fantazyi i cytował pojedyncze okresy z książki, którąśmy dniem przedtem czytali *Bóg w Burzy*.

Po krótkim przestanku ponowiła się burza z całą wściekłością! Szary słup albo raczej ostrokąg, który węże piorunów otaczały,

ukazał się teraz na paśmie lesistem i wirował na własnej osi!... Wolno niby posuwał się ten słup, ale zważając na to, że oddalenie było znaczne, że przestrzeń, którąśmy obejmowali okiem zajmowała do dwóch mil: można sobie pęd tej trąby wyobrazić, która tę całą przestrzeń w kilkunastu przewierciła minutach!...

Przed trąbą poginał się las na pował... i zmieniła się fizyognomia całej okolicy, bo nagle przejrzały wzgórza, a pojedyncze tylko drzewa, stały tu i owdzie na olbrzymim zrębie, podobnie, jak się nad zapustami nasienniki wznoszą.

W tej tedy chwili była burza w najwyższej potędze swojej, gdyśmy tę trąbę ujrzeli: – potem osypał się deszcz piorunów... ogniste węże były nie tylko pionowo, ale przerzywały czarną chmurę częstokroć w kierunkach poziomych, sycząc ku sobie od przeciwnych stron... poczem wylał się siarkowy deszcz, który nie kroplami, ale grubemi sznurami spadał na ziemię...

Pół trzeciej godziny trwała cała burza. Przeszła ona była od wschodu z krain stepowych na pasmo Goło-Gór, a miała charakter prawie przyzwrotnikowej burzy.

Cisza nastała po niej – a dziwne jakies osłupienie ogarnęło nas wszystkich. – *Bóg w Burzy!* powtarzał Tytus, ale już tylko sam dla siebie.

Chłód dotkliwy był pierwszym uczuciem, które nas z przerażenia ocuciło – a teraz dopiero rozpatrzyliśmy się w skutkach tej burzy.

Tak na pięterku w murowańcu, jak w oszyjku i w piwnicy, było pełno wody; z wolna wylazili dworscy ludzie z różnych dziur, bo każdy stał lub padł tam, gdzie go zaskoczyła burza.

Wody tymczasem huczały zawsze jeszcze strasznie... a chwilami nawet zdawało się, że gdzieś z lasów i pół przybywa jeszcze tych wód i że się zwierciadło ich podnosi...

Co się stać mogło z ludźmi i z bydłem w przysiołku, który pokrywało jezioro? Z każdą chwilą było nasze przerażenie większe. Gospodarz zwoławszy ludzi, kazał z murowańca wszystko przenosić do drewnianego śpichrza, który stał znacznie niżej od

murowańca i ocalał. Wszystko było przemokłe i zniszczone w murowańcu, i w pokoikach, i w spiżarni.

Na strychu były różne schowki, więc wszystko to zabrało razem z dachem i po dziedzińcu leżały różne rupiecie rozrzucone...

Stanęliśmy tedy główną kwaterą w śpichrzu, przed którym założono ognisko i kuchnię, a co chwila przychodziły jakieś smutne wieści.

Pastuch widząc, że się woda podnosi, popędził w górę bydło, na łąn pomiędzy półkopy; dwie sztuki bydła ubił piorun „pali-kopa”; on sam przeleżał pod snopem, ale o dwóch pastuszkach, co mu zawracali bydło, nie było wieści, i sam ledwo był żywy i ledwo że mógł mówić od przestachu. Od tej samej strony przybył owczarz z psem, pędząc przed sobą, z trzystu owiec, zaledwie sto kilkanaście. – Gdzież reszta? – pyta gospodarz. – „Reszta leży na polu, grad pobił owce, bo spadał większy od gęsih jaj, ale nie tyle jeszcze grad, co same się podusiły, bo kiedy burza poczęła się srożyć, zbiły się tak w kupę, że co słabsze wysadzały w górę. Chciałem je rozbić, ale widząc, że i mnie zadusza, bo się wkoło mnie kupić zaczęły, uciekłem do starej cegielni, a pies za mną i tam przesiedzieliśmy w piecu całą burzę”.

Woda opadała tymczasem w jeziorze. Czem niżej opadała, tem większy powstawał war, klekot, szum. Tak noc zapadła – a ludzie dworscy obsiedli przed śpichlerzem ognisko, a dokoła tego taboru stało bydło i leżały owce, bo tylko jednej końskiej stajni nie zabrała woda, i na szczęście koni nie było w tej chwili ani w polu, ani na paszy, więc ocalały.

Gdy się dzień zrobił, wyszedł przysiołek spod wód – ale okropnym był ten widok spławionego świata! Wcale chat i budynków nie można się było doliczyć; zniosło wierzbniki i sady, płoty i parkany! Namuły okrywały całą dolinę, a w miejscu, gdzie leżało wsiowe błonie równo, porosłe pięknymi wierzbnikami, wydarły wody przepaścisty jar – i opadały teraz jeszcze z jeziorka w jeziorko; kołbanie tych jezierek były tak głębokie, że żadną tyką nie można się było dna domacać.

To, co równem błoniem było, zamieniło się teraz w wysoki łąd, a o dziesięć lub piętnaście sążni poniżej leżało dno nowego jaru.

Jeżeli już jedna burza może tak odmienić całą fizyognomię kraju i formację dolin, jakże to inaczej musiał ten kraj wyglądać przed wiekami!

Mnóstwo małych rybek rzucało się w rzadkim mule. – Skąd? – czy je burza z sobą przyniosła? – czy gdzieś powyżej wyrwało stawy? – Ale stawów nie było na tej wodzie... Więc wszystko było zagadką, na co wzrok padał.

Po trzech dniach ledwo można się było dostać do przysiółka i to tylko na koniu, bo dawnych dróg, ścieżek nie stało śladu, wszystko się zmieniło, wszystko zmyła lub zamuliła woda!

Gdy się powódź podnosiła, uciekli ludzie z przysiółka na wzgórkę, ale pięciorga ludzi i siedmiorga dzieci nie można się było doliczyć. Piątego dnia dopiero dostaliśmy się przez namuły, przez nowe wodomyje, wyrwy i debry na drugą stronę doliny: ludzie chodzili po lesie i żywili się grzybami. Las leżał wyłomany na pował, a na łomy i zwaliska trzeba się było wdzierać jak na okopy. Ludzie z trochę bydła trzymali się na końcu tego zrębu, który był podobny do olbrzymiego pobojojowiska starodrzewnych lasów. Nie wiedzieć skąd zwlekały się wilki i lisy z całej okolicy i żerowały nawet we dnie na tem pobojojowisku, nie lękając się nawet ludzi. Jakoż żeru było dosyć, bo co żywe, czy to ptactwo, czy zwierzyna poległo wśród burzy i tylko kilka wiewiórek skakało po zwalonych kłodach lub wybiegało na pojedyncze drzewa, które na zrębie nie-
złamane pozostały.

Dziwna rzecz, że tylko młode drzewa przetrwały tę burzę, kiedy gałęzie i pnie starych drzew albo zalegały zdruzgotane ziemię, albo cało z korzeniami wywalone sterczały na pował.

W miejscu, gdzie dawniej stare drzewa stały, były małe sadzawki napełnione wodą, a korzenie drzew, razem z ziemią wydarte, tworzyły wyraźne ściany. Na przestrzeni dwóch mil wyłamała trąba lasy – i malowniczym był ten nieład zniszczenia, ale umysł ratował się tem tylko z przerażenia, że burza już przeszła...

Wśród wyłamanych lasów natrafiliśmy na małą polankę: krańcem tej okrągłej polanki czernił się jakiś wał w kształcie półksiężyca. Jakież było zadziwienie nasze, gdyśmy ujrzeli ten wał, ubity z samego ptactwa, z samych wron i kawek, które burza znać jednym uderzeniem urwała z powietrza i wałem wyłożyła pod ścianą lasu! Co chwila leżał to puchacz zabity, to sowa i drobne tylko ptactwo odzywało się po lesie...

Niektóre drzewa, stojące na pniu, miały jak gdyby nożem ścięte całe korony – inne znowu, szczególniej brzozy, były огоłocone ze wszystkich liści, a powiewne ich gałęzie były jak różgi zplecione w warkocz. Miejscami leżały pojedyncze kłody. Niemiły odór padła i namułów rozszerzył się w całej okolicy – i szczęście było, że ochłodziło na świecie; pomimo to, ludzie i bydło poczęli chorować.

To, co nas najbardziej dziwiło, było wielkie mnóstwo ode-rwanych nasion, które tak jak je fala niosła, były wałami złożone po polu i wyłamany lesie. Pytaliśmy ludzi: – Coby to były za nasiona? – Nie wiadomo – rzekł nam stary człowiek – skąd to tyle siemienia naniósł, bo to Bóg sieje lasy... Odpowiedź ta dała mi do myślenia – i może jeszcze kiedyś powrócimy do niej.

PRZEDRUK ZA: Wincenty Pol, *Obrazy z życia i natury*, seria 1: *Północny Wschód Europy*, Kraków 1869, s. 287–295.

8. Kra nas zmiele na zatorze

Wincenty Pol (1807–1872)

„Wielkie tam były zatory – ale niczem w porównaniu zatoru, który się utworzył pod naszą wioską rybacką na Leniwcie – i na którym się cała powódź sparła. Niebezpieczeństwo było wielkie dla tych pocztowych łódek – i ostatnich dni płacono już każdą wiadomość po trzy dukaty złotem: bo ledwo 4ch ludzi mogło kierować łódką – a nadto trzeba się było przerabiać pomiędzy pojedynczymi krami, które ciągle jeszcze woda niosła, zabierając je teraz już z powyższych brzegów, na których uprzednio były siadły... Noc zapadła. – Żona zaklinała mnie na Boga, abym pozostał w domu! Dzieci płakały... Ale mnie coś gnało na wodę!... Zostałem tedy żonie kilkodzienny zarobek w złocie – a że rybacka chata nasza leżała wysoko bardzo na brzegu oparta o piaszczysty pagórek zaspy – wiedziałem tedy, że żadna woda jej tu nie dosięgnie, chyba by Bóg nowy potop zesłał na świat; więc kazałem żonie palić przez noc całą ognisko przed naszą chatą, a sam, po wieczery, wziąwszy manierkę holenderskiej jałowcówki, którą sobie przywiozłem z Gdańska, kapszuk dobrego tytoniu i ogień pewny z sobą – wyruszyłem jeszcze z trzema towarzyszami na wody... Nie wiem, co mnie parło – ale znać już szczęśliwa gwiazda moja mnie wiodła, bo kierowałem łódkę ku zatorowi kry, która całą szerokość rzeki zaległa jedną lodowatą skałą!... Noc była straszna i ciemna! Zdala już szumiały wody na zatorze... i kry nowe się tarły i gwizdały przykro, które świeżo na zator zniosła woda”...

„Była chwila jakiegoś odurzenia i zgłupienia!... Przestaliśmy robić wiosłami – ale łódź naszą, która była łodzią morską rybacką z dętemi bokami, niosła woda na zator, choć nikt wiosłami nie robił!”...

– Kra nas zmiele na zatorze! – krzyknął jeden z towarzyszy moich. – Zawracaj na sterze! – krzyknął drugi. – Ale już było za późno – bo w tejże chwili poczęła kra pękać i strzelać jak gdyby z dział bito!... A równocześnie rozległ się straszny huk i szum w powietrzu, jak

gdyby się cała ziemia trzęsła!... Po kilku takich uderzeniach poczęła straszliwie bujać nasza łódka – a to tak bardzo, że i na otwartym morzu w czasie najpiękniejszej burzy nie powstają większe fale i nie rzucają bardziej łódką!...

„Aż dotąd płynęliśmy, silnie niesieni powodzią, ale po spokojnym zwierciadle... Teraz rozwarła się morska topiel szumna – fale były wysoko i rzucały łódką gwałtownie!... Chcieliśmy obrócić i płynąć pod wodę – ale do tego nie było już siły... Więc puściliśmy się z prądem wody i fali... oczekując tego, że się lada chwilę o zator rozbijem!... Ale kra przerwała Mierzeję w najwęższym jej pasie... Po kilkunastu minutach wyniosła nas gwałtowność powodzi na otwarte morze... I tu – od razu uspokoiły się fale – gdyśmy nowy wyłom Mierzei pominęli... Gwałtowny prąd daleko odniósł nas na stronę – a okrążywszy morzem na kilkadziesiąt węzłów marynarskich, przybiliśmy na mieliźnie do lądu Mierzei od strony morza: tu wyciągnąwszy łódkę na piasek, przeprawiliśmy się przez piaszczyste pagórki Mierzei do naszej wioski na powrót pieszo – bo strach było w gardło tej nowej odnogi, która z gwałtownością krę i powódź niosła, płynąc na powrót pod wodę! Po ognisku kierowaliśmy się do chaty... Tu przybywszy, przesiedliśmy się w łódź nową – i ja to byłem, mój Panie, który Gdańskowi i Żuławom przyniosłem pierwszy wieść o przerwaniu Wisły i o tem że niebezpieczeństwo minęło! Nie darmo tedy parło mię tej nocy na wody – bo zarobiłem sobie na dobry kawałek chleba – i dziś nie łapię śledzi, ale piję xeres!...

„Gdy wody opadać poczęły na Wiśle – dopiero wówczas poczęła powódź wód wewnętrznych przerywać i uszkadzać groble: ale obojętnie na to patrzyli Żuławianie, znając się bezpiecznymi. Zapleśniałemi talarami, które z piwnic teraz wydobyć musieli, nietrudno było im zatkać dziury w groblach! Dziś jest wszystko znowu naprawione, zadarnione i obsadzone na nowo – i niktby się nie domyślał, co to kosztowało i jakie spustoszenia porobiła owa powódź”...

PRZEDRUK ZA: Wincenty Pol, *Obrazy z życia i natury*, seria 2: *Północny wschód Europy*, Kraków 1870, s. 284–290.

9. Wyłom

Tadeusz Chamski (1805–1882)

Nazwiska Nogat (odnoga), Żuławy, Koźliczki, podchodzące, najwyraźniej z języka polskiego, przypomniały mu smutnie, iż ów kraj należał kiedyś do Polski, i upokorzały go prawie w obliczu Prusaków do tego stopnia, iż przez parę tygodni unikał ich jak zarazy i gdy który z nich do niego przemówił, zwykle uszczypliwie lub szyderczo, odprawiał go z hardą grzecznością bez odpowiedzi, pod pozorem, że nie rozumie, lubo nieźle mówił po niemiecku. Chodził zaś, a raczej tuktł się jak Marek po piekle, ciągle samotny, ponad Nogatem lub po ścieżkach odludnych łąk i łąnów żuławskich, pomimo tęsknoty i czarnej rozpaczy nie będąc w stanie wydziwić się różnicy, jaka zachodzi między osadami wieśniaczymi, co widział w Polsce, a folwarkami wieśniaków, na które patrzył na Żuławach. Ta różnica zmusza go opisać tu niektóre szczegóły miejscowe. (...)

Zdarza się czasem, że Wisła lub Nogat te groble prze-rywa, a wówczas całe Żuławy są zalane wodą i mieszkańce niezmiernie ponoszą straty. Z tej przyczyny każdy kolonista ma tam zawsze w stodole lub pod innym osobnym dachem gotowe na wypadek łodzie, a skoro tylko Wisła rozpuszczać zaczyna wody na wiosnę, kry toczyć w jesieni lub niespodzianie przybierać w jakiej innej porze roku, zaraz mieszkańce wzdłuż tych grobli rozstawiają liczne konne czaty, które w razie nieszczęścia uwiadamiają w pędzie konia wszystkie wsie tam rozłożone.

To przerwanie grobli, nazwane przez mieszkańców miejscowych Einbruch (wyłom), zdarzyło się na lat parę przed rewolucją listopadową, w roku 1826 czy też 1827, w czasie żniwa, zatopiło wiele trzód na pastwiskach i zniszczyło im zupełnie ich płon

całoroczny. Bolejąc nad tą plagą, król pruski jako ojciec poddanych odłożył im zapłacenie czynszu i podatków na następne lata, ale jako skarbnik swoich dochodów nie darował ani feniga.

PRZEDRUK ZA: Tadeusz Józef Chamski, *Opis krótki lat upłynionych*, opracował i wstępem poprzedził Robert Bielecki, Warszawa 1989, s. 253–254.

10. Gdy powódź w ziemi, niech będzie i w duszy

Wincenty Pol (1807–1872)

Scena 12

(Kilka cyganów pokazuje się za sztachetami; po tej stronie gdzie stoją, przywiązane do sztachet łodzie, oglądają łodzie, naradzają się; widać zdradne i bardzo szybkie ruchy – poczem nagle nikną za sceną po tej stronie co przyszli. W ciągu tej pantomimy robi krótką przegrywkę, na lirze lirnik; – Starościna wychodzi.)

Stary sługa i kilka kobiet dworskich.

STAROŚCINA (do starego sługi)

Czemu tu nie ma orylców przy łodzi?

Czy nie widzicie, że woda na karku?

SŁUGA

Ludzim pożywić kazał na folwarku,

Bo dobry obiad orylcom się godzi,

Kiedy ich czeka taka ciężka praca.

STAROŚCINA

Co się to znaczy? Zosia nie powraca!

(do starego sługi)

Idź mi do świrna i znieś tu żywności!

Aby Orylcy mieli do sytości;

A wynieść także na dubas me skrzynie –

Bo jeśli woda dziedziniec opłynie,

To sama także na dubas usiędę

I czekać wody już na statku będę.

(Sługi spełniają jej rozkaz; wnoszą skrzynie, tłumoki i żywność na statki.)

(do przechodzących)

A tylko równo statki im ładować,
By wagę miały, jak odbiją z brzegu.
Rzeczy co droższe po dubasach chować,
I namiot zabrać – bo jeśli noclegu
Czekać gdzieś przyjdzie na kempie lub wodzie,
Tobym nie chciała drzeć w tym nocnym chłodzie;
A zabrać także na kuchnię paliwa,
Kagańce smolne i pęki łuczywa.
(Odchodzi do dworu – ludzie to noszą wszystko
do statków – stary sługa wraca do dziadka.)

SŁUGA

Zawsze to taka sprawa z tym rozkazem!
Słowa nie powie – więc na łeb, na szyję
Jak przyjdzie robić, to już wszystko razem.
I niby ryba, człek się w matni bije!
(chwyta się za głowę)
Ot na strapienie gdy Bóg dał swojaka
A gdyby zalać i żółć i robaka?
Mój miły Ojczy, ta ja nie wyrodek
Wypijcie do mnie!
(Dziadek wypija – nalewa, potem podaje i mówi.)

DZIADEK

Ależ dobry miodek!

SŁUGA

A omne trinum! pan Kasztelan gada,
To jeszcze jeden wypić nam wypada –
Więc lej mój Ojczy i wypijmy śmieie. –

DZIADEK

Lecz czy nie będzie tego już za wiele?

SŁUGA

Gdy powódź w ziemi, niech będzie i w duszy.

Myż tylko mamy zostawać na suszy?

PRZEDRUK ZA: Wincenty Pol, *Powódź. Dramata w trzech aktach*, Poznań 1868, Akt 1, sc. 12, s. 27–28.

11. Co dzień znajdują trupów

Gazeta Krakowska, 1846

Paryż 31 Października. – Straszna katastrofa powoli zbliża się do końca. Wszędzie opadają wody, a zarazem odsłaniają wielkie zniszczenia; wszędzie zwalone lub uniesione domy, popsute drogi, zapiaszczone lub zamulone pola. W pojedynczych doniesieniach o smutnych scenach, znajdują się także szlachetne rysy. I tak w Orleanie śmiały robotnik znalazł śmierć, wyratowawszy 80 osób; przewróciła się bowiem barka, a on nie umiał pływać. Do wielu miejsc można tylko barkami się dostać, a do innych punktów jeszcze wcale nie, gdyż konie Igną głęboko w pozostawionym przez wody mule. Co dzień znajdują trupów. Mnóstwo bydła potonęło, a z ich gnijących ciał unosi się w powietrzu nieznośny odor. Okolice Orleanu najwięcej ucierpiały. Grobla kolei żelaznej, przeszkadzając odpływowi wody w tej okolicy, przyczyniła się do wielkości nieszczęścia. Tysiące owiec w tych miejscach zatonęły. A co najgorsza, że deszcze ciągle jeszcze padają. Szczęście, że wezbranie wód Rodanu nie zrządziło prawie żadnych szkód. W Bajonnie skutkiem ciągle padających deszczów, rzeka Adour i inne strumienie wezbrały. Między Tours i Blois fundamenta kolei żelaznej zniszczone zostały, i podróże odbywają się na starych drogach. I w Piemontie wielka powódź panuje, most pod Var, jedyny związek między Francją i Sardynią, zerwany został. Składka w biurze dz. J. des Deb. wynosi dziś 81,920 fr.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Krakowska, 17 listopada 1846 roku.

12. Wieś teraz piękna

Fryderyk Chopin (1810–1849)

Nohant, 8 juillet 1845 (...) – A wieś teraz piękna, nie tak, jak temu kilka tygodni. Wielkie tu były burze i ulewy. Rzeki, nawet małe strumienie, nadzwyczaj powylewały. – Najstarsi podobnej powodzi nie pamiętają. Młyny poniszczyła – mosty pozrywała. Viardot, który tutaj temu parę tygodni po żonę przyjechał, dla niebezpieczeństwa sam wrócił do Paryża – i dopiero mu żonę przed kilkoma dniami Zuzanna stąd odwiozła.

PRZEDRUK ZA: *Korespondencja Fryderyka Chopina*, zebrał i opracował Bronisław Edward Sydow, redakcja i przypisy Janusz Miketta, Warszawa 1955, t. 2, s. 134.

13. Po ulicy Rybaki pływały czółna

Kurier Warszawski, 1844

Mnóstwo mieszkańców Powiśla musiało opuszczać domy, albo chronić się na piętro (!) lub pod dach, woda bowiem drzwiami i oknami dostawała się do mieszkań, zalewając je na stóp kilka. Tymczasem Wisła ciągle niosła z sobą drzewa, siano, rozmaite przedmioty lub części budowli. (...) po ulicy Rybaki pływały czółna, woda dochodziła do wejścia Łazienek Kozłowskiego przy ulicy Mostowej. (...) Na ulicy Bugaj płyną czółna (...). Kląby (!) dolne ogrodu u stóp tarasu Zamkowego są zupełnie otoczone wodą. Woda dosięgła nowego zjazdu do Wisły budowanego, wzdłuż zabudowań Zamkowych w kierunku zniesionego Kościoła Bernardynek.

PRZEDRUK ZA: http://www.wilanow-palac.pl/powodz_w_warszawie_w_roku_1844.html.

14. Pół stopy wysokości

Gazeta Krakowska, 1845

Woda doszła już do progów domów rybackich, po godz. 9 wieczór jeszcze ciągle przybywało wody. Dotąd na Zwierzyńcu przeprawiają się na łodziach, dolne mieszkania w wielu domach zalane. Rybacy utrzymują, że obecna powódź jest większa o pół stopy wysokości jak była w roku 1839.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Krakowska, 21 lipca 1845 roku.

15. Pociągi już nie przychodzą

Czas, 1867

Największą oraz smutną wiadomością są wielkie wylewy w kraju naszym. Donieśliśmy już wczoraj o wylewach Raby, Białki i Dunajca. Od parę dni znaczna część strumieni i rzek wezbrała w Bocheńskim, Tarnowskim i Rzeszowskim, a podróżni, którzy wczoraj wybierali się stąd koleją żelazną, musieli zaniechać podróży, gdyż komunikacja zerwana skutkiem zniesienia mostu drewnianego między Dębicą a Tarnowem. Uświca również przeniosła brzegi i zalała Brzesko. Rzeźnia stojąca dość wysoko u brzegu rzeki i wiele innych domów drewnianych, jak opowiadają podróżni, uszkodzonych jest od wody, a nawet dom murowany, gdzie mieści się urząd powiatowy, zagrożony podmuleniem. Na całej linii kolei żelaznej galicyjskiej od parę dni sroży się burza i pociągi się bardzo spóźniały, a dziś już nie przychodzą. Również zerwane są bliższe komunikacje, jak z Bochnią i Sączem skutkiem zniesienia mostów.

PRZEDRUK ZA: Czas, 13 lipca 1867 roku.

IV. PALI SIĘ



1. Kraków 1850

A. Oczyma dziecka

Helena Modrzejewska (1840–1909)

Było to w niedzielę w lipcu r. 1850 w samo południe. Upał był nieznośny. Przyszedłszy z kościoła, ciotka Teresa rozebrała mnie i moją siostrę zupełnie, zawdziawszy tylko długie, sięgające do kostek bluzy z ciemnego perkalu i nałożywszy perkalowe pantofelki na gołe nogi. Kąpiel była dla nas już przygotowana, gdy wtem ktoś wpadł, wołając: „Górne młyny się palą”. Moi bracia wszyscy czterej wybiegli, zaraz odezwał się dzwon alarmowy, a w pół godziny później ujrzelśmy płomień na dachu biskupiego pałacu, a jednocześnie prawie na przeciwległej stronie ulicy Grodzkiej. Zdawało się, jakby całe miasto w kilku rogach naraz było podpalone. Popłoch był niesłychany. Matka, zostawszy prawie sama z ciotką Teresą i jedną służącą, wszyscy bowiem porozbiegali się po mieście, nie wiedziała, od czego zacząć, ale najpierw chciała nas widzieć w bezpiecznym miejscu, wysłała nas zatem z ciotką na łąkę św. Sebastiana i tam kazała czekać, dopokąd sama nie przyjdzie. Ja, wzięwszy pod pachę żywot św. Genowefy, jako najcenniejszy skarb, a czytać już umiałam, nauczywszy się tej sztuki już w szóstym roku życia, chwyciwszy moją siostrę za rękę, pociągnęłam ją z sobą i pobiegłyśmy naprzód na łąkę.

Przestrach taki nas ogarnął, żeśmy biegły, nie patrząc pod nogi, i gdyśmy już były na środku łąki, nie spostrzegłyśmy zapełnionego wodą i porośłego zielskiem rowu, który przez całą prawie długość przecinał łąkę. W jednej chwili moja siostra znikła mi z przed oczu, a ja znalazłam się blisko po szyję w wodzie. Szczęściem w tej chwili uczułam palce mojej siostrzyczki, czepiające się mego ramienia, chwyciłam ją za rękę i, cofnąwszy się do brzegu, wyciągnęłam ją na ląd. Jak się to stało, nie wiem, ale żywot św. Genowefy nic na tem nie ucierpiał, okładka tylko była zmoczona.

Kąpiel ta ochłodziła nas; ochłonąwszy z pierwszego przestrachu i otrząsnąwszy się trochę z wody, zaczęliśmy się oglądać wkoło. Niebo było przesłonięte dymem od strony miasta. Słońce paliło, susząc nam szaty. Mnóstwo ludzi wyległo na łąkę, ratując, co kto mógł, i naraz ujrzałyśmy naszą biedną ciotkę zziąjaną, przełękłą. Jedną ręką wlokła za sobą pierzynę, a drugą przyciągała do piersi czule moją dużą lalkę. To wszystko, co w pomieszeniu ocalała z pożaru.

Skoro nas zobaczyła, upuściła pierzynę i usiadła na niej, przywołując nas gestem do siebie. Tu się połały słowa, jak ulewa tatrzańska. Łając nas za to, żeśmy się oddaliły, zżymając się, patrzyła na nas swemi czarnemi oczyma gniewnie, aż się zimno zrobiło, ale gdy spostrzegła nasze zmoczone bluzy i gdyśmy jej opowiedziały o naszym wypadku, natychmiast rozczuliła się.

Zerwawszy się prędko z ziemi, zaczęła wykręcać nasze bluzy i wylewać wodę z trzewików, i głaskać nas kolejno po twarzy, nazywając „biednymi sierotami”; nareszcie oznajmiła nam, że musimy iść na Krzemionki szukać noclegu u pani K., dalekiej znajomej, bo domy w mieście wszystkie się palą.

Po drodze zaczęliśmy uczuwać głód. Od śniadania bowiem nic w ustach nie miałyśmy. Ciotka nie mogła nic nam kupić, bo pieniędzy przy sobie nie miała, szczęściem spotkałyśmy w drodze poczciwą żydówkę, Mośkową, która matce mojej towarów dostarczała. Ta, litując się nad nami, kupiła nam parę kuciek, a na dodatek westchnąwszy, z kilkakrotnem „o wej”, obdarowała mnie i siostrę parą „makagig” i tak poszłyśmy o zebranych chlebie na tę Kalwarję, jak moja ciotka solennie wyrzekła.

Pani K. nie przyjęła nas bardzo gościnnie. Nie uśmiechnęła się do nas, co jej zresztą chwałę, ale zaczęła narzekać na szczupłość swego mieszkania i brak służby. Zdecydowała się jednak wziąć mnie do swego łóżka, ciotka zaś miała spać na sofie, siostra moja na krzesłach.

Skoro tylko inslokacja została zapewnioną i nikt na mnie nie uważał, wymknęłam się do ogródka i zaczęłam czytać moją

Genowefę, a skoro się ściemniło, zamknęłam książkę i wybiegłam na pagórek.

Tu uderzył mnie widok nadzwyczajny. Całe miasto było w płomieniach. Iskry leciały w górę, dym w rozmaitych odcieniach kłębił się, krwawa luna rozjaśniała horyzont.

Nie wiem, czy to była reakcja, czy też prawdziwy zachwyty, ale wpadłam w szaloną radość na ten widok, zaczęłam klaskać w ręce i wołać: „Ah! jakie to śliczne”.

Mój zachwyty został niemile przerwany dość silnym uderzeniem w plecy. Obejrzałam się i ujrzałam ciotkę Teresę z marsem na czole i ręką podniesioną, gotową do drugiego uderzenia.

„A ty, bezbożna dziewczyno, cały majątek twej matki idzie w popiół, a ty się cieszysz? idź zaraz do pokoju, módl się i proś Matki Boskiej, by ci ten grzech odpuściła”.

Było to pierwsze uderzenie, jakie odebrałam w życiu, to też taki szalony gniew mnie ogarnął, że, zacisnąwszy pięści, chciałam się rzucić na nią, ale tylko krzyknęłam i uciekłam do altany, gdzie po chwili oddałam się strasznej, bezdennej rozpacz. Od spazmatycznego łkania dostałam skurczu pod sercem.

Biedne ciotczysko zaczęło mnie przeproszać, całować, wodę na serce przykładać, aż nareszcie po jakimś czasie udało jej się uspokoić mnie i zaprowadzić do pokoju.

Tam ubrawszy mnie w nocną koszulę p. K. (kolosalnej i bardzo otyłej osoby), pozawijawszy zbyt długie rękawy, spiąwszy szpilką zbyt obszerny kołnierzyk, ułożyła w łóżku, odmawiając głośno ze mną modlitwę.

Tak się zakończył ów dzień pamiętny. Matka moja przysłała na drugi dzień rano, zmęczona, z śladami łez na twarzy. Jedyną rzeczą, jaką wyniosła z pożaru, była szkatułka, w której zamykała swe stare koronki, biżuterię i pieniądze, ale gdy wyszła z nią na ulicę, jakiś człowiek potrącił ją tak gwałtownie, że aż upadła na bruk, on zaś, wyrwawszy jej z rąk szkatułkę, uciekł. Wołania jej na nic się nie przydały, bo każdy był sobą zajęty, a policja w takich razach, jak zwykle, była nieobecna.

Przez kilka dni przenosiliśmy się z jednego domu do drugiego, szukając gościnności. Były to dni swobody dla mnie. Mogłam od nikogo niewidziana usiąść w kącie lub skryć się za tobołami pościeli i bielizny, uratowanej od pożaru, i tam czytać swobodnie żywot świętej, którą uwielbiałam i kochałam. Prawie się cieszyłam, że nie miałam domu, bo może przyjdzie nam, jak Genowefie, schronić się do lasu i żyć korzonkami i mlekiem grzecznej łani. Do tego nie przyszło, ale przyszły dni ciężkie, dni wielkich dla mojej matki kłopotów, a częstych postów dla nas. Noce bezsenne, noce łez i westchnień, żal za lepszą przeszłością i dni strasznych trosk o jutro. Patrząc na tę codzienną walkę z życiem mej biednej matki, na jej łzy, na tysiączne przykrości, na jakie była wystawiona, dojrzywałam przedwcześnie i robiłam się nad wiek wrażliwą i odczuwającą.

Matka nasza straciła w tym pożarze cały prawie majątek. Dochód bowiem stanowił czynsz z tych dwóch kamienic, z sobą złączonych i chociaż domy te były asekurowane, jednak przez zapomnienie rata asekuracyjna nie została na czas wpłacona i całe mienie poszło z dymem...

Wprawdzie ze składek publicznych zaczęły mury spalonego domu znów się restaurować, ale widocznie losy nie chciały, abyśmy, jak dawniej, opływali w dostatku, gdyż zaledwie mury zostały wzniesione, gdy sąsiedni dom, odbudowany z na wpół spalonych cegieł, runął i swym upadkiem powalił świeży jeszcze mur naszego domu. Matka opuściła ręce, ponieważ fundusze, jakie miała, wyczerpały się, a nawet dług został zaciągnięty na dalszą budowę. Po miesiącu walk wewnętrznych i bezsenne spędzonych nocy to, co zostało z domów, trzeba było puścić na licytację, aby przynajmniej długi zapłacić. Był to dzień smutny, gdy wróciwszy do domu, mama, nie zdejmując z głowy kapelusza, usiadła na łóżku i zaczęła szlochać, następnie przywołała braci i odezwała się do nich złamanym głosem: „Nie mamy już domu, a musimy się tułać po kątach, czuć się dobrze; lecz wkrótce będziecie musieli pracować na życie”. Następnie wstała, obmyła oczy zimną wodą, zmieniła ubranie i wróciła do swych zajęć.

Ta krótka scena zrobiła na moim dzieciennym umyśle wielkie wrażenie, poszłam do kuchni, gdzie ciocia Teresa gotowała kolację i opowiedziałam jej, co słyszałam. Biedna ciotka, która właśnie mieszała prażuchy, tak się tą wiadomością rozjątrzyła, że, wbiwszy ze złością drewnianą łyżkę w pulchne i prychające ciasto, zawołała: „A co – mówiłam, że tak będzie. To ten psiajucha, sąsiad, tego narobił” – potem nagle rozczuliwszy się, chwyciła mnie i zaczęła całować, płacząc i mówiąc: „Biedne sierotki, co się też z wami stanie?”

„Będziemy pracować” – rzekłam – „a mama mówi, że chłopcy muszą zarabiać na życie; jeżeli oni mogą, to ja i Józia możemy także, jak dorośniemy”. „Ty będziesz pracować? a cóżbyś ty mogła robić temi rączkami? A to skaranie Boże!” i znów zapłakała, lecz za chwilę spojrzęła na piec i zawołała: „Gwałtu! moje prażuchy się przypala! Idź już, idź, nie przeszkadzaj mi, bo muszę kolację szykować”.

Na drugi dzień rano prosiłam ciotkę, żeby mnie nauczyła szyć. Pierwszem moim dziełem na tem polu było obrabienie sześciu ścierek, przeplatane robieniem pończochy. Mniej już czytałam niż dawniej, po części dlatego, że Jansen wyjechał do Warszawy, nie było więc nikogo, coby mi dostarczał książek, a naszą zaś biblioteczkę po ojcu pożar pochłonął, a po części znów dlatego, że wzięłam siebie na serio i naprawdę chciałam pracować w tej myśli, że kiedyś zostanę krawcową lub założę magazyn mód. Mnóstwo zabawnych planów roilo mi się po dziecięcej głowie, a jeden miał być praktyczniejszy od drugiego (...).

PRZEDRUK ZA: Helena Modrzejewska, *Wspomnienia i wrażenia*, Kraków 1929, s. 39–46.

B. Oczyma jeszcze mniejszego dziecka

Maria z Mohrów Kietlińska (1843–1927)

(...) Tylko nadludzkiemu wysiłkowi młodzieży akademickiej zawdzięczać należy, że gmachy te ocalały. Wiadomość, że pałac Biskupi i kościół Franciszkanów gore, wytrąciła naszą domową drużynę z jakiej takiej równowagi. Powstał płacz i lament, żal wzbierał serca...

W tym powszechnym zamieszaniu nie spostrzeżono, że brakuje p. Stolzman (...) może wyszła na miasto zbadać sytuację. Późnym wieczorem ojciec zszedł ze swego stanowiska – dachy były tak zlane, że już w mieszkaniach pokazywały się plamy na sufitach. Zmęczony mój ojciec, chcąc choć trochę dać wypocząć znużonym członkom, wszedł do sypialnego pokoju, odrzucił kapę z łóżka swojego i cóż ujrzał? Oto chude nogi obute w eleganckie trzewiczki p. Stolzman, leżące na brzuchu z głową pod poduszką, spod której dał się słyszeć płaczliwy głos: „Czyli pali się jeszcze?”.

„Wstydz się pani chować głowę jak struś w piasek” – zawołał ojciec. „Pali się miasto, wszyscy pracujemy, niepokoiśmy się o panią. Wyłaźże pani i pokaż się p. Rudolfowej, a potem weź się do jakiej pracy, której wszyscy mamy pełne ręce”. Komiczny ten epizod wśród groźnej sytuacji na chwilę tylko oderwał myśl naszą. – Mnie kazano pójść do łóżka, a po wrażeniach dnia, usnęłam.

Wczesnym rankiem obudził mnie ogromny ruch na plantach, płacz kobiet i dzieci, lament i krzyki... Pobiegłam do okna i z trwożą ujrzałam istne mrowisko ludzi, zalegających ścieżki i trawniki. Nieszczęśliwi pogorzelnicy, obciążeni tobołkami, unosząc w kufrach, koszach i tłumokach swój dobytek, rozbili obozowisko na plantach. Między ruchliwym tłumem uwijały się wiejskie mleczarki z dzbanami mleka, przekupki z gorącym barszczem, bułkami itp. artykułami żywności.

Mieszkańcy wolnych od ognia dzielnic znosili w koszach co mogli na razie, aby pokrzepić siły biedaków niewyspanych,

zrozpaczonych. Poczciwy jeszcze w owym czasie lud krakowski okazał dobroć serca i prawdziwe miłosierdzie dla nędzy ludzkiej, bezgraniczną bezinteresowność. Bez zrzeseń i komitetów znosił każdy, choć niezamożny, co w domu posiadał lub nabyć mógł, aby tylko ulżyć doli pogorzalców.

Widziałam wiele dzieci splakanych, trzymających na ręku swoje psy i koty, uratowane z pożogi. Dowiedziałam się, że nikt w domu naszym oka nie zmrużył. W okropnym upale, mimo wczesnego ranka, wzięto się do polewania prędko schnących dachów gontowych i do wynoszenia cenniejszych rzeczy do piwnicy. Gorzał już kościół Dominikanów, ul. Stolarska i południowa połać Małego Rynku. Nagle usłyszałam podniesiony głos mojego kochanego i łagodnego zawsze ojca: „A łotry! A łajdaki! Niech ich Bóg skarże za to!”. Złorzeczeniom tym wtórowały i inne głosy. Powodem rozgoryczenia była wiadomość, że pociąg z kilkoma oddziałami sławnej straży pożarnej, który wysłała Warszawa, został zatrzymany przez Austriaków w granicy Szczakowa i zawrócić musiał z powrotem!!... Niecny i podły ten postępek władzy oburzył całą ludność do najwyższego stopnia. Na plantach zakotłowało się, powiększył się lament, ludziska padali na kolana wzywając na Austriaków pomsty Bożej... Gdy wyszłam na podwórze, żar i odór spalenizny mnie dusił. Wysoko w powietrzu zaczęło fruwać jakby jakieś ptactwo czarne różnej wielkości, to się wznosiło, to wirowało, wreszcie opadało powoli na nasze podwórze. Rzuciliśmy się z zaciekawieniem co to być może, do podnoszenia tajemniczych kawałków: był to spalony, brunatny papier, który się za dotknięciem rozsypywał. Niektóre większe arkusze trzymały się jeszcze dobrze, wydrukowane lub zapisane pięknym pismem gotyckim z bardzo ozdobnymi winiętami... Powstał domysł, że biblioteka Dominikańska się już pali! Któryś z mężczyzn zawołał: „To białe kruki”, co mnie zadziwiło, gdyż kruka białego nigdy nie widziałam nawet na obrazku, a to cośmy z ziemi zbierali było czarne lub brunatne. Długie lata przechowywałam te szacowne szczątki lepiej zachowane, lecz przy licznych przeprowadzkach moich zaginęły.

Biblioteka Dominikańska liczyła się do bardzo cennych i bogatych. Zarzucano zakonnikom, że ratując gorliwie swoje spiżarnie, z których wynoszono ogromne połacie słoniny i inne zapasy, zostawili na pastwę płomieni bezcenne skarby sławnej księżnicy klasztornej. Nie wiem, czy to prawdą było, lecz zarzut ten przyłgnał na zawsze do braci św. Dominika... Mam cześć dla cudownego obrazu m[atki] B[ożej] Różańcowej, podziwiam przepiękną architekturę kościoła, lecz Dominikanów, opasłych mnichów, nie lubię... Być może, że animozja moja do tego zakonu pochodzi od legendy o połaciach słoniny, zasłyszanej w wieku dziecięcym.

Pożar, strawiwszy południową stronę Małego Rynku, wraz z kościołem i klasztorem oo. Dominikanów, odwrócił od naszej dzielnicy niebezpieczeństwo.

Ul. Grodzka z obydwóch stron stała się morzem ognia aż po kościół św. Piotra. Mimo tych coraz okropniejszych wieści, nie można się było oddawać żalowi, lecz trzeba było brać się do ulżenia strasznej niedoli rozbitków z tego niszczonego żywiołu, ponieważ wiatr, silny przedtem, wziął inny kierunek. Poschodzili z dachu panowie i służba i zabrano się do akcji wyżywienia choć cząstki pogorzalców. Rozbiegli się ludzie po zakup mięsa i innych artykułów żywności. Drobny lud z okolic Krakowa dostarczał skwapliwie wszelkich potrzeb i dużą odznaczył się ofiarnością. W kuchniach naszego domu całe dni gotowano, co można było. Panie i służki zarówno były zajęte. Zapasawszy fartuchy, skrobały kartofle, marchew itp., krajały mięso i dzieliły na porcje, po które zgłaszały się z plant matki i zgłodniałe dzieci, a wobec lamentu i płaczu tylu nieszczęśliwych, pozbawionych dachu i mienia, w głowach się mieszało i ręce drżały z żalu i pośpiechu.

W pięknym mieszkaniu wuja Steinkellera umieszczono chorych, którymi zajęła się p. S[teinkellerowa] z towarzyszką p. Stolzmann, wstydzając się swojego tchórzostwa z dnia pierwszego, która podwoiła gorliwość swoją w niesieniu pomocy cierpiącym. W tym okropnym czasie byliśmy wszyscy wykolejeni ze zwykłego trybu życia; szkło, porcelana, wszelkie garnki i dzbanki, wszystko było

w ruchu od rana do nocy. Ja sama przez sztachety ogrodu wysuwałam garnuszki z mlekiem lub rosółem, po które przybiegały dzieci, a że dostać się do sztachet nie mogły, więc jedne podsadzały drugie do góry; sposób ten nie zawsze okazywał się praktycznym.

W nieszczęsnym tym roku było dużo młodzieży z Kongresówki w zakładach naukowych w Krakowie, więc gdy rozeszła się wieść o strasznym pożarze, wiele osób, zaniepokojonych losem swych dzieci lub krewnych, zjechało się na granicznych komorach, w nadziei, że wobec żywiołowej katastrofy Moskale nie będą robili trudności w przebyciu granicy bez paszportów. Jakże się biedni pomylili! Na Michałowicach siedział satrapa bez serca, głuchy na prośby i błagania płaczących matek, które patrzeć musiały na pożogę z góry Michałowickiej. Między tymi była także siostra ojca mego, Józefa Kucieńska, z Miechowskiego, mająca syna i staruszkę – matkę męża w Krakowie. Zrozpaczone kobiety na klęczkach błagały o pozwolenie przejazdu, lecz nadaremnie. Wtedy ciotka Kucieńska powzięła szczęśliwy zamiar. Za wsią Michałowice posiadała mały folwark zwany Sołtystwem; tam niby dla odpoczynku zaprosiła wszystkie panie, a doczekawszy się nocy, zorganizowała pieszą wyprawę w kilku mniejszych grupach, pod przewodnictwem przemytników, ludzi pewnych, o których wówczas nie było trudno. Przed północą wyruszono ku Krakowowi bocznymi ścieżkami, kryjąc się chwilami po zaroślach i wąwozach, i udało się wszystkim, mimo czujności moskiewskich obieszczyków, dostać do Węgrzec, punktu zbornego na terenie austriackim. Tu w jasności strasznej łuny szły szosą, mimo znużenia przyspieszając kroku, pędzone wewnętrznym niepokojem i żalem. Pamiętam, jak wczesnym rankiem przysła do nas ciotka Kucieńska, w podartych trzewikach i wystrzępionej sukni, rozczochrana i brudna od częstego kładzenia się na ziemi i przysiadania pod krzakami przy pojawieniu się straży granicznej. Matka jej męża, sędziwa pani Dinot de Vignenil mieszkająca przy Małym Rynku, vis-à-vis pałacej się połąci tegoż, wraz z wnukiem, gdzieś się zapodziała, więc znowu lament i płacz. Szczęście, że odnaleziono zgubę u kogoś znajomego,

w bezpiecznym schronieniu, a p. Dinot, oprócz popękanych z żaru szyb, znalazła za powrotem mieszkanie w porządku, co zawdzięczała opiece właściciela domu prof. Kantego Kowalikowskiego.

Przeszło dwa tygodnie dymiły zgliszcza miasta i wspaniałych świątyń. Ogień przenosił się czasami na oddalone dzielnice, jak pn. Kleparz i inne, co dało powód do przypuszczenia, że jakaś zbrodnicza ręka tu działała... Lecz pożary gaszono prędko, ludzie już ochłonęli trochę i nabrali wprawy w zapobieganiu szerzenia się ognia. Do chwili obecnej (mam lat 75) pamiętam wrażenie, którego doznałam, wyszedłszy z matką po 2 tygodniach z domu. Stanęłyśmy u wylotu ul. Floriańskiej w Rynku. Okropny widok przedstawił się oczom naszym. Ul. Grodzka zawałona gruzem, jeszcze miejscami dymiącym. Poszłyśmy ul. Mikołajską, przez planty, w stronę kościoła Dominikanów, gdzie w całej grozie przedstawiły się nam sterczące, nagie mury przepięknego kościoła, klasztoru i biblioteki. Ludzie klękali, zawodząc z żalu, inni, milcząc, jakimś tępym wzrokiem ogarniali może resztki swojego mienia.

Zwróciliśmy się tą samą drogą na planty od strony ul. Zwierzynieckiej. I tu żalony widok! Wypalony w środku kościół Franciszkanów i zgliszcza pałacu Biskupiego! Nagie pnie kasztanowych drzew sterczały jeszcze miejscami... Z sercem ściśniętym powróciliśmy do domu, gdzie jeszcze po ostatnich tygodniach zamieszania był nieład wprawdzie, lecz bez większej szkody. Ja, że byłam trochę beksa z natury, płakałam rzewnie, a ojciec wymawiał matce, że mnie na tę smutną wyprawę ze sobą wzięła. Ale jak już na początku moich wspomnień dziecinnych zapisałam, matka moja trzymała się zasady: aby dzieci nie uchylać od widoku nędzy ludzkiej. „Niech się wypłaczę – rzekła – i pożałuje nieszczęśliwych”.

PRZEDRUK ZA: Maria z Mohrów Kietlińska, *Wspomnienia*, opracowała Irena Homola Skąpska, Kraków 1986, s. 68–71.

C. Oczyma pamiętnikarza profesora

Fryderyk Hechel (1795–1851)

26 lipca

Nie opisuję tutaj po szczegółe okropnych pożarów, które trzecią prawie część miasta pochłonęły: pierwszy większy w dniu 18 b.m., drugi w tydzień po nim; nie opisuję dlatego, iż te nieszczęścia, które w tych dniach miasto nasze dotknęły, nie tylko we wszystkich dziennikach polskich, ale nawet i zagranicznych szczegółowo opisane zostały, dla potomności zatem wiadomość o nich zagańać nie może. To tylko dodać muszę, iż pomimo upowszechnionego w mieście mniemania, jakoby ogień w kilku miejscach podłożony został, a to w celu wzniecenia jakiegoś zaburzenia lub okradzenia palących się mieszkańców, zbrodnia tak szkaradna miejsca nie miała. Lud prosty głupi i kobiety tak wielkim niespodziewanym ogniem przestraszone fałszywe domniemania bezzasadnie utrzymywały, a nawet kilka osób o podpalanie podejrzanych schwytano i uwięziono, bliższe atoli onych śledztwa fałsz oskarżenia oczywiście okazały.

Jeżeli kto o spalenie miasta ma być obwiniony i do odpowiedzialności pociągniony, to sam rząd, a osobliwie policja nad bezpieczeństwem miasta czuwać obowiązana i ospała, i niedbałość samychże właścicieli domów, ale rząd nie tylko terażniejszy, lecz i byłej kochanej Rzeczypospolitej. Czy godziło się, aby rząd zezwalał na krycie gontami domów miasta, będącego niejako stolicą kraju? Ale nie tylko same gonty przyczyniły się do tak nagłego rozszerzenia się ognia; do powiększenia onego i do wypalenia się do szcztu domów przyczyniły się najwięcej latarnie w domach dla oświetlenia schodów stawiane, jako też ganki i schody wszędzie drewniane. Skoro taka latarnia ogniem się zajęła, zapadała się i zapalała schody drewniane, a te znowu – ganki, stąd ogień z góry i z dołu powstawszy, wszystko, co tylko było drewniane, w popiół obrócił; stąd większa część domów zupełnie jak piece wapienne

wypaliły się, a mieszkańcy z przyczyny zajęcia się ogniem ganków i schodów, sprzętów nawet swoich i kosztowności po większej części uratować nie mogli.

Nadto tak ze strony rządu, jako i właścicieli tak lekkomyślne było zaufanie, iż miasto nasze palić nigdy nie będzie, iż sikawki i inne narzędzia do gaszenia potrzebne były w zupełnym nieładzie, zapomniane i popsute, i już część znaczna miasta była ogniem zajęta, a sikawek jeszcze nie było, a gdy nadeszły, zaledwie jedna lub dwie mogły być użyte, inne zaś były zepsute, a wszystkie okazały się za małe i za słabe do tak wielkiego ognia, żadna bowiem dachów nie sięgała. Sprowadzono więc sikawkę rządową z Podgórza, a nawet z Miechowa na drugi dzień sikawki przysłano, ale już było za późno, gdyż co zgorzeć miało, zgorzało, i posłużyły one tylko do gaszenia palących się do szczytu domów dniem pierwiej ogniem już zajętych.

Do tak nagłego zajęcia się ogniem wielu domów obok siebie stojących przyczyniła się bardzo wielka susza, która tego lata bez przerwy przez dwa miesiące trwała. Trzaski więc, którymi domy pokryte były, tak wyschły, iż najmniejsza iskra do zapalenia onych wystarczała, co tym prędzej nastąpiło, gdy się do ognia wiatr od palących się młynów na miasto wiejący przyłączył. W czasie jasnego dnia postrzec nawet nie można było, jak iskry i palące się główne, wiatrem uniesione, przez kilka domów przelatowały i opodal leżące domy zapalały. Stąd w pospólstwie powstało to błędne mniemanie, iż złoczyńcy domy podpalali, co jak wyżej powiedziałem, zupełnie mylnym było: naprzód, iż ogień rozchodził się zupełnie w kierunku ówczesnego wiatru z zachodu na wschód wiejącego, po wtóre, iż dom obywatela Lierhamera przy ul. Wiślniej dlatego ocalał, iż blachą był pokryty, a na nim niezmierne mnóstwo niedopalonych gontów z innych domów wiatrem naniesionych znalaziono, i gdyby inne domy podobnie były pokryte, równie by ocalały. Wprawdzie kościoły i biblioteka księży dominikanów były i dachówką pokryte, ale będąc niedostatecznie bronione jako wysokie i ogromne gmachy i znajdując się wśród wielkich płomieni, do

tego stopnia się rozpałiły, iż i dachówka ich ocalić nie mogła. Kościół dominikański z powodu popękanych od bliskiego ognia okien i z wpadnienia iskier i gontów palących się wiatrem porwanych, wewnątrz naprzód palić się zaczął, od wieków bowiem wyschłe ołtarze i ławki drewniane ogniem się zajęły. Toż samo zapewne stało się i z kościołem księży franciszkanów. A tak nie podpalacze, lecz opieszałość rządu i niebaczość właścicieli za główny powód tak wielkiego pożaru uważać się powinni. Gdyby w czasie palenia się wiatr na inną stronę miasta skierował się, całe miasto poszłoby w perzynę; a co jeszcze łatwo nastąpić może, jeśli dachy, jak dotychczas, pozostaną drewniane, a wiatr kiedy z palącego się jakiegoś domu na nie zawieje.

Co do drugiego ognia na Kleparzu, ten także z niedbałości mieszkańców powstał, a gdy obok stojące domy były także drewniane, nie dziw więc, że się spaliły i że dopiero ogień szerzyć się przestał, gdy poblizsze domy rozrzucono i prawie z ziemią zrównano. Wreszcie mieszkańcy, już czujniejsi, żwawiej do obrony rzucili się, łatwiej też było domy niskie i zupełnie drewniane rozrzucić i tym sposobem szerzenie się ognia wstrzymać, zawsze jednak kilka domów zgorzało. W pierwszym pożarze spaliło się 180 domów i 4 kościoły. Wiele też właścicieli tym nieszczęściem do zupełnego ubóstwa przyszło, ale i to nie zupełnie bez ich winy, wielu bowiem domów swoich w towarzystwie ogniowym nie zapewnili, wielu fałszywą pewnością, iż Kraków palić się nie będzie, zwiedzeni, opłacać zaprzestali. Spodziewać się należy, iż tak wielkim nieszczęściem nauczeni, domy swoje na przyszłość inaczej stawiać i w towarzystwie ogniowym zabezpieczać będą.

PRZEDRUK ZA: Fryderyk Hechel, *Kraków i ziemia krakowska w okresie Wiosny Ludów. Pamiątniki*, wstępem i przypisami opatrzył Henryk Barycz, Wrocław 1950, s. 392–393.

D. Oczyma pamiętnikarza – dzierżawcy podkrakowskiego majątku

Kazimierz Girtler (1804–1887)

Czytałem sobie – pomykając się od czasu do czasu za żniwiarzami – jakoweś Kraszewskiego dzieło, gdy spostrzegłem Ignacego Odrywolskiego jadącego od Miechowa ku Kalinie i nie wyszło pół godziny, obaczyłem idącego ku mnie i w pole. Ruszyłem się na przeciw, ale na jego twarzy był wyraz trwogi.

– Co ci jest, kochany Ignasiu? Co ci jest? Mów!

A on, zadyszany, idąc ku mnie w górę, przystanął i rzekł silnym głosem:

– Kraków się pali.

Patrzę mu w oczy, czy drwi, czy w gorączce plecie, on znowu: – Kraków cały gorie! [...].

Wkrótce rozeszły się rozmaite bajki: że do szczętu Kraków się spalił, tylko Zamek ocalał; że ludność, pozbawiona dachu i przytułku, porzuciwszy straszne zgłiszczca, rozeszła się na wsie okoliczne; że Kraków podpalono; że połapano jakichś galicyjskich urwisów, sprawców tej zbrodni. Byliśmy całą dobę w najstraszliwszej niepewności, drżąc o narodowe skarby i życie drogich nam osób, aż nareszcie czysta prawda wykryła się.

Nie wątpię, iż tak wielkiej wagi zdarzenie zajmie w rocznikach Krakowa niejedną smutną kartę; nie wątpię, że znalazło już niezawodnie niejednego kronikarza lub opisywacza dorywczego, który własnym okiem zmierzył całą okropność wypadku i rozumem osądził fatalne jego następstwa. Ja, oddalony, nie mogę się wdać w opowiadanie fragmentaryczne, jednakże moje stosunki z niektórymi ludźmi godnymi wiary a pełnymi zdrowego sądu, którzy byli czynnymi świadkami w tych dniach pamiętnych ognistej powodzi, zjednały mi ich opowiadania, a te godzi mi się powtórzyć.

Od kilku dni piękna panowała pogoda. Z czystego nieba dopiekało skwarne lipcowe słońce, a przy tym ciągle wiejący zachodni silny wiatr na ten raz przeciw swej naturze suszy tylko dodawał, tak

iz zdało się, że drzewa poschną, a w głębi ziemi nawet kropla nie zostanie wilgoci. Południową godzinę – jakby we Włoszech – spędzano w zacienionych mieszkaniach i jak w srogi mróz, tak w ten afrykański upał ci tylko chodzili po mieście, których konieczność do tego zagnęła. Niby to ten wiatr chłodził, ale zarazem co nie dopieкло słońce, on dosuszał; gonty po dachach strzelały jak od mrozu.

Gdy z południa dano sygnał z Mariackiej wieży, iż na przedmieściu gore, pytano: „Gdzie?”; odpowiedź: „Dolne Młyny się palą”*. Więc miejscami spokojnie – bez przewidywania dalszego złego – kończono dojadać obiad, gdy wtem rozległ się okrzyk, iż pali się dom pani Bartynowskiej za ulicą Gołębią przy Plantacjach stojący. Jednocześnie zapalił się dom na Wiślniej ulicy Pod Zającem 4 i kościół unicki na końcu tejże ulicy, a wkrótce Biskupi pałac, cała też połać północna Rynku z wyjątkiem domu narożnego na Bracką ulicę wychodzącego z Rynku (będącego własnością księcia Jabłonowskiego) i domu tuż obok zwanego Pod Obrazem (na którym jest obraz Matki Boskiej) – dalej i dalej szerzył się już ogień jako fale wezbranej powodzi, aż strawił na popiół blisko trzecią część miasta.

Przepadły sale Biskupiego pałacu, pomniki liczne w kościołach Franciszkańskim i Dominikanów, spłonął też kościół i klasztor Św. Józefa, Wielopolskich pałac. I gdyby tą smugą na prądzie wiatru dość silnie zaciągającego stało miasto na milowej i dłuższej przestrzeni, byłoby do szczytu zgorzało. Pozostałość ochroniła się jedynie tym samym prądem wiatru, który w swoim kierunku roznosił i naprzód posuwał ogień, zaś obok właśnie szerzył mu się nie pozwalając.

Cztery dni tliły się niedopałki i w kilku miejscach wznawiał się ogień, lubo ciągle nad ugaszeniem pracowano i lubo w jednej dobie ogień, strawiwszy szczyty tylu gmachów, zapadł się do wnętrza, można było podolać go na tak rozległej przestrzeni stłumić, gdy dym i nawet płomień z okien domów buchające nie zostawiały

* Pożar młynów, zwanych Dolnymi, 18 v 11 1850 roku, przy ul. Krupniczej nad płynącą tu wówczas Rudawą, stał się przyczyną zniszczenia znacznej części miasta.

w ulicach przesmyku dla najodważniejszych ludzi. Póki nie było przystępu, wszelkie wysilenia szły wniwecz.

Tymczasem w tych dniach pojawił się znowu pożar na Kleparzu, który zniszczył parę domów, a ludność takiej nabawił trwogi, iż ciągle wyężona baczność na ostrożność z ogniem i na rozsiewane pogłoski o podpalaczach nie dozwalały jej chwili wytchnienia.

Pozostała część miasta stała się otwartym przytułkiem pogrzelców, przyjmowano ich w domy z uczuciem braterskiej miłości, zapomagano, czym się dało, opatrywano w żywność, pocieszano, bo i czymże naraz powrócić dawny byt tym, którzy cały majątek i sposób zarobkowania stracili. Zbierano składki, których i w Królestwie Polskim dozwolono. Miechowskie nasze, które tak rozliczne z Krakowem ma stosunki, sporą też do ogólnej dołożyło sumkę, co się jednak z tymi ofiarami stało, nie wiadomo. Wszystko okrywa jakaś tajemniczość, jeśli gdziekolwiek w podobnych razach, to już tu najbardziej nie na swoim miejscu. Była też w Krakowie miechowska sikawka na służbie i zdałoby się ich tam wiele, gdyż miejscowe strzegły Zamku, aby się – jak mówiono – nie zajęły prochy. A tymczasem z Wawelu był widok na morze płomieni godny Kalliguli. Gorzało bez ratunku nieszczęśliwe miasto bez tej pomocy, jaka mu się z prawa opieki należała.

Ile w tym okropnym pożarze stopiło się milionów straconych, tego nie powiem. To rzecz ściśle statystycznego opisu. Ile na to potrzeba czasu i sił ludzkich, aby odzyskać, co przepadło, i tego nie odgadnę. Czuję tylko cały ogrom niedoli wielu nieszczęśliwych i płacę wraz z drugimi nad stratami, których ani czas, ani krwawa nie wróci praca, nad zagładą licznych zabytków starożytności, mnogich pomników, jakie dla nas na zawsze zatraczone zostały. Przepadły nieoszacowane zabytki i zbiory. (...) Spaliło się też kilkoro ludzi, których znałem z widzenia, rany odniosło wielu, a kłęska ta na długą pamiętną zostanie.

Tak w krótkości opowiedziawszy to zdarzenie, nie potrafię pominąć panującego co do niego sądu mieszkańców Krakowa, a nawet i postronnych. Wielu uporczywie dotąd utrzymuje, że pożar

sam z siebie nie powstał, ale przez najętych ludzi był podłożony i podsycany. I tak mówią, że w rządzie austriackim niechęć znana do Polaków, która na każdym kroku i w każdym czynie zbyt jawnie się manifestuje, posuniętą była do srożej zawziętości na krakowian: raz za wyparowanie z Krakowa generała Collina z wojskiem w lutym 1846 r., gdy na wezwanie Senatu miał się stać obrońcą praw i swobód słabej Rzeczypospolitej przeciwko Związkowi Demokratycznemu, który tu pod Tyssowskim podniósł głowę, jak również za niepowodzenie bombardowania d[nia] 26 kwietnia 1848 r. (...)

Otóż mówią, że te wypadki tak leżały na sercu Austriakom, iż gdy miał cierpieć Lwów, dlaczegoż by hardy Kraków miał gwizdać? Trzeba go utrapić, zniszczyć – to będzie znał pana nad sobą. Trzeba go spalić – dopiero się upokorzy, skoro w biedę wpadnie, a przy tym nie mało naciśnie się pieniężnych Niemców, którzy od Polaków kupią spalone domy i prędzej Kraków zniemczeje. Obecni wtedy w Krakowie mówili, że właśnie i w tym dniu na Błoniu kompania rakietników odbywała musztrę z ogniem, puszczając rakiety; że właśnie w godzinie, gdy najmniej ludzi chodziło, padła raca na Młyny, zwane Dolne, i te zapaliła. Jestże to możebnym, aby rakietka tak cicho padła, iżby jej uderzenia nikt nie słyszał, choćby nawet nikt nie widział? Mógłże dach na młynie zająć się bez uderzenia racy?

Gdy tymczasem młynarczyk zapuścił ogień w wióry, a ten – przez podmuch wiatru – wnet się rozniecił, wybiegł pod dach i choć woda – jako we młynie – tuż była, nie mogli go ugasić, a dach na takiej posusze zajął się jako jeden snopek słomy. Utrzymują, że ciąg wiatru zachodniego powinien był zanieść ogień w ulicę Św. Anny, a zajęło się za Gołębią ulicą od Plantacji. I to nie racja, bo niewidzialne – w rozrzedzonym w samo południe skwarne powietrzu – iskry mogły się dostać na lewo i na prawo jako zbyt leciuchne, i padłszy pod naciskiem wiatru nie tylko na dach, ale szczelinami pod dach, i natrafiwszy na jakowy palny lub łatwo zajmujący się materiał, wzniecić nowy pożar.

Głos powszechny wołał – skoro się ogień już po Wiślnej szerzył ulicy – że miasto podpalacze podpalają. Kilku z uniwersyteckiej

młodzieży przypadło do budowniczego Tomasza Majewskiego, zawiadującego gmachami akademickimi, mieszkającego na dole w Kolegium Jagiellońskim, wołając o śpieszny ratunek, bo zdaje im się, że w zachodnim narożniku gmachu tego, dachówką pokrytego, tli się ogień, gdyż dym spostrzegli. Majewski, który mi to sam opowiadał, w tej chwili zwoławszy stróża i domowych, wspólnie z owymi akademikami skoczył pod strych, od którego przy nim były klucze. I rzeczywiście, zastali już zapalające się śmiecie, które szczęśliwie ugaszono, inaczej cały gmach z biblioteką byłby poszedł z dymem. Tam wszakże już nikt ognia podłożyć nie mógł, a jednak pokazał się w zamkniętym miejscu.

To znowu mówiono mi, że sędzia Dudrewicz, na głos alarmu wybiegłszy z sądów, pyta jakąś obcą figurę: „A gdzie się pali?”, „Pod Zającem”. Biegnie, a tam wcale nie ma ognia i dopiero po niejkiej chwili trysnął spod dachu, skądże więc tamten o tym wiedział, że się Pod Zającem palić będzie? Ale i to nie racja, bo mógł to słyszeć od innych, a lada kto widząc ogień w tamtej stronie, mógł na domysł powiedzieć: „To się pali Pod Zającem”.

Gdy co żyło wołało o ratunek, wtedy właśnie władza wojskowa zabrawszy co do jednej miejskiej sikawki, ściągnąć je kazała pod Zamek pod pozorem, aby zaś Zamek się nie zapalił, bo tam są prochy. Zamek jednakże stoi za daleko, iżby przy silnym prądzie wiatru ogień tam dostać się mógł. Za tą zbyt dużą przezorność sikawek do ratunku miasta nie było. Nowy powód oburzenia. Udaje się ktoś o nie do generała i ledwie zaledwie wyrobił jakieś ustępstwo, zwłaszcza gdy się dowiedziano, że z Polski, z Miechowa sikawkę posłano i że ratunek z zagranicy przybywa, kiedy tu do niego czynią przeszkody. Wszyscy krzyczą: „Podpalają, podpalają! To z wiedzą rządu się dzieje!”.

Policja, której jakowaś szczególna była wstrętność, ruszyła się przeciw, aby dla opinii coś zrobić i czynną się pokazać. Więc kilku komisarzom nakazano ogłaszać, iż kto tylko będzie chwycony z materiałem palnym w obcym domu, ma być ujęty i do sądu oddany; wszyscy podejrzani, nieznani, mają być chwytni. Wiem

od takiego, który takową czynność miał poruczoną, że znajdowano w piwnicach, stajniach, składach – zwłaszcza tam, gdzie mniej uczęszczano – porzucone różne materiały palne, szmaty, wiechcie smołą otaplane, łojem konopie namazane itp., a nawet węgle zawinięte w wióry; chwymano łajdactwo, przy którym znajdowano zapałki. Ujęto paru chłopaków pod strycharzami domów lub przyczajonych pod schodami, a przy nich materiały palne i zapałki znaleziono. Wiadomo, że zaraz pierwszego dnia w aresztach policji przymknięto kilkanaście takich podejrzanych indywiduów, co już wiem z niezbitą niczym pewnością, ale co z nimi zrobiono, tego nikt nie wie.

Takowa tajemniczość w postępowaniu jeszcze silniej zadrażniała opinią powszechną. Domysły uważano za pewność, podejrzenie za zbrodnię, a że żal uwagi nie ma, przeklinano rząd austriacki, który chwyta się tak podłych sposobów pogięcia. I do dziś dnia krwawa plama leży na białej sukni i jak pojedynczy człek złośliwie czy sprawiedliwie skierowanej przeciw sobie opinii nie zdoła odwrócić, jedynie całymi latami – ciężkiej próby, tak rząd austriacki mimo danej pożyczki nie zdołał z piersi publicznej wydrzeć i zagładzić wstrętu, zgrozy i żalu. Do dziś krakowianie z oburzeniem wspominają to zdarzenie. Co do mnie, podzielałam, współczuję boleści krakowian, nie mogę jednak przypuścić – mimo wszelkie argumentowania – iżby rząd cesarza, cesarza apostołskiego, mógł posunąć się do czynu tak podłego, nieludzkiego, pogańskiego. Ja w mym przekonaniu wróciłbym tu sławę rządowi austriackiemu, całe nieszczęście składając na suszę niezwykłą – od dni kilkunastu panującą, na ciąg wiatru, który jak z miecha podymał; nareszcie, leżało to zapisane w księdze nieszczęść Krakowa, było to za wyrokiem Opatrzności, co zarówno darzy dobrym, jak i nieszczęściami zsyła.

W całej sprawie dopuścić można jedynie, iż za zebraniem natłoczony galicyjski motłoch mógł szukać w pożarze obłowu, mógł nawet mieć chętkę podpalania i – sam podpalając – pochwycenia czego bądź sposobem złodziejskim. Że tego wiele było w Krakowie,

a policja słabo koło tego chodziła, jest rzeczą pewną. Wiem z ust urzędnika, że dziś wydani włóczęgi na Podgórze, pojutrze schwytani byli na Zwierzyńcu. Mrowie próżniactwa włóczyło się i błąkało jak gad nieczysty, na który rząd i policja nie byli dość gęstym grzebieniem. Wyraźnie jakby chcieli patrzeć przez szpary na cisnące się z bliższych cyrkułów do Krakowa takowe plugastwo.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Girtler, *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1832–1857*, przedmowa i wybór tekstu Zbigniew Jabłoński, opracowanie tekstu i przypisy Zbigniew Jabłoński i Jan Staszal, Kraków 1971, t. 2, s. 302–308.

E. Oczyma duchownego, kronikarza i historyka

Walerian Kalinka (1826–1886)

(...) Okropna klęska z d. 18 lipca zniweczyła te nadzieje, zakwestynowała nie już dobry byt mieszkańców, ale samą nawet exystencją miasta. Główna część Krakowa, siedlisko małego, jaki się pozostał handlu i przemysłu, najpiękniejsze domy i pałace, najczynniejsze warsztaty i sklepy stały się pastwą w ciągu kilku godzin wszystko niszczącego żywiołu. Na widok tych gruzów i straszliwych ruin rozpacz ogarnęła serca, z tych drzwi i okien niedopalonych widziano tylko śmierć i zniszczenie; z tych ulic zasypanych rumowiskiem tworzone sobie w myśli stos rozwalonych kamieni. Sądząc po takim upadku, zdawałoby się, że jesteśmy dziećmi, których pieczyoty popsuły, że nas nie wykarmiła szkoła nieszczęścia, że z piersi naszych matek razem z mlekiem nie ssaliśmy łez boleści. Cięższe już burze przeszły nad naszymi głowami; już po dwakroć nie kilka ulic, ale całe miasto było bliskiem ostatniej zguby; po dwakroć czas zabójczy na stolicy naszej miał wypisać to słowo: *ruina*, a przecież jeszcze przed kilkoma laty niewiele innym mieliśmy do zazdroszczenia. Nie same pożary – mór, głód i wojna sprzysięgały się na naszą zgubę: a choć się spaliły kościoły, zostawało zawsze dosyć pańskich świątyń, gdzie się udawali nasi przodkowie, czerpiąc osłodę w nieszczęściu, wytrwałość i zachętę do dalszej pracy.

Dziesięć dni pożaru

Dnia 18 lipca dzwon wieżowy Maryacki, wybiwszy godzinę 1 z południa, uderzył na znak pożaru (...) Sukiennice gmach ogromny cały gontami pokryty z niezmiernymi składy towarów, spirytusów, olejów, araku i.t.d. zająć się mogły od iskier lejących z południowych części Rynku i jeszcze sterczących dachów.

Wśród ogólnego zamieszania, bez środków obrony, bo trzy siłkawy nie mogły wydolać tam, gdzie się 150 gmachów naraz paliło

(a do każdego gmachu trzeba by przynajmniej ze dwóch sikawek i osobnego oddziału ludzi) bez wiader i konewek, bo strwożeni właściciele musieli swoich dachów pilnować; bez korpusu na to wyłącznie poświęconego, i tylko z ochotnikami, którzy z dobrej woli biegli w ogień, nie było podobna przeprowadzić porządnego systematu obrony. Zresztą powiedzieliśmy wyżej: nieszczęście było za wielkie, aby mu sprostać było można. Obrona szła luźnie, właściciele domów zbierali swoją czeladź i sadowili się z nią na dachach niezaiętych pożarem, inni pomagali w wynoszeniu mebli i ruchomości z gorejących domów, mało kto około gaszenia się krzątał (...)

Tymczasem najstraszniejsze wieści poczęły się rozchodzić; z ust do ust biegały pogłoski, iż widziano podpalaczy, że ogień we wielu naraz gmachach w jednej chwili wybuchnął, co miało być oczywistym dowodem, że był podłożony. Co większa: mówiono, że ujęto kilku na gorącym uczynku, że sam generał komenderujący własną ręką takiego zbrodniarza przytrzymał. Każde wielkie nieszczęście, którego przyczyny od razu wysledzić ludzie nie mogą, przypisują złości drugich. Wszakże jeszcze starożytni kładli pioruny w ręce Jowisza. Sławianie w ręce Peruna, Germani w dłonie Odyna. Wszystkie wylewy rzek, o których wspomina historia pogańska, były dziełem rozgniewanych duchów. Lecz pominąwszy te odległe przykłady, nie było podobno żadnego większego pożaru, któryby w opinii publiczności, a przynajmniej w pierwszej chwili nie był skutkiem podpalenia. Liczne aresztowania dokonane na gorącym uczynku kradzieży uwiodły przytomnych; być też może, że wiele niewinnych osób aresztowano, na których jakieś pomięszanie na twarzy lub w kieszeni zapałki fosforyczne jedynymi były poszlakami zbrodni. Cokolwiek bądź, taka była opinia miasta; obywatele domagali się od władzy ogłoszenia sądu doraźnego. Władze wojskowe i cywilne chwyciły się środków energicznych, nakazano domów pilnować, gęste wysłano patrole i oprócz tego na każdej ulicy rozstawiono straż wojskową. W oknach zapalono świece, blask illuminacyi zniknął wobec straszliwych płomieni pożaru!

Taki był stan rzeczy aż do nocy. Dachy w większej części pospadały, wiatr wolniał stopniowo; płomienie jeszcze buchały z głębi domów, ale przynajmniej nie roznosiły iskier ani palącego się zarzewia. Na plantacyach obok uratowanych po trochu sprzętów rozłożyły się nieszczęśliwe rodziny pogorzalców, które przed kilkoma jeszcze godzinami pod spokojnym dachem żyły w pracy i bojaźni Bożej.

Większa część ludności zmęczona całodziennym wysileniem (bo już sam widok nieszczęścia mógł odjąć siły) usunęła się z miejsca dramatu. Broniono tylko po krawędziach części zajętej poza-rem; w głąb ulic w środek ulicy Brackiej, Gołębiej, Franciszkańskiej, Szerokiej, Stolarskiej i pierwszej połowy Grodzkiej dostać się nie było nikomu łatwo. Z zapadłych dachów sypał się popiół i węgiel, a od czasu do czasu odrywała się niedopalona belka. Co się działo na ulicy Szerokiej – nikt nie przejrzał przez ciężkie chmury dymu i straszliwe kłęby ogniste, które z okien wystawały na ulicę, a to z obu stron, to jest od plantacyj i od Franciszkanów. Krzyki pomieszane rozchodziły się od pożaru po wszystkich ulicach, bo w reszcie miasta spokojność panowała najgłębsza i gdyby nie światło w oknach, nie widok czerwonej łuny na niebie, nie popiół zasypujący bezustannie oczy i nie dym, który tamował oddech, rzekłbyś, że żadne nieszczęście nie nawidziło naszego grodu, albowiem niewiasty tylko, modląc się, w domu czuwały.

Nowy alarm o godzinie 2 z północy; dzwon uderza na wieży na znak nowego pożaru w samym mieście, i odzywają się bębny. Okropna trwoga. Pożar – gdzie? Nie wie nikt z pewnością, jeden drugiego odsyła w inne miejsce. Zdaje się, iż uderzono na alarm w celu, aby mieszkańców, którzy się w większej części schronili do domów, wyprowadzić na ulicę. Dom Wielanda i Wąsowiczowej palił się okropnie, płomienie szeroko się rozchodziły, iskry dolały daleko, a czarne mury Sukiennic stały w myśli jako groźba, jako źródło nowych nieszczęść i jako droga pożaru na całe miasto; współcześnie też Szkoła Techniczna na nowo wybuchła ogniem i w domu Bartynowskiej pożar również się odżywił. Niebezpieczeństwo wróciło więc tam, gdzie nieszczęście wzięło początek.

Zwróciliśmy już pierwszej uwadze, że ratunek z tej strony był bardzo ważny, bo od niego zawisły gmachy Uniwersyteckie, a za niemi znaczna część miasta. Ale też nie zbywało na obrońcach, młodzież akademicka na wezwanie Rektora zebrała się w salach Uniwersytetu, wysyłając kolejno z grona swego po kilkudziesięciu do pożaru. Oni to tworzyli zazwyczaj szpalery i przyczyniali się głównie do porządnej obrony. Lecz skoro doszła ich wieść, że ulica Gołębia w płomieniach, zerwali się wszyscy i pobiegli na miejsce. Wzmocniono straż na strychach, sprowadzono przed szkołę Techniczną dwie sikawki, utworzono kilka szpalerów i po dwóch godzinach upartej walki potrafiiono nareszcie stłumić niebezpieczny pożar. Przez całą noc pracowano na ulicy Grodzkiej, usiłując wstrzymać pożar na stronie zachodniej. Prawie do rana działała sikawka i połączonym usiłowaniam udało się w końcu obronić kilka kamienic od ulicy Poselskiej. Nie było ratunku na ulicy Szerokiej, mianowicie tam, gdzie kościół Dominikański zwęza ulicę ku plantacyom. Przez całą noc i nad ranem buchały płomienie z gmachów Dominikańskich na przeciw kościoła leżących. Mieszkańcy zaledwo z życiem mogli się schronić. Księgarz Friedlein stracił tam bibliotekę, bogaty zbiór rysunków i znaczny zapas dzieł własnego wydania. Pożar w głównym rynku, gdzie się znajdował jego sklep, dokonał jego ruiny.

Nad spalonymi domy wzeszło na nowo słońce, które wczoraj pozostawiło oświecone płomieniem pożaru. Rozpoczął się wtóry dzień trwogi. Noc usunęła zasłonę z pola straszliwego dramatu; z 153 gmachów, czterech kościołów, dwóch klasztorów i kilku pałaców wznosiły się ciężkie dymy. Po ulicach biegali pogorzelnicy, szukając w gruzach niedopalonego sprzętu, z popiołów wygrzebując stopione kosztowności. Była chwila strasznego spoczynku, rozpamiętywania.

Naówczas w biurze Szela komisji Gubernialnej zebrało się kilku Radców Miejskich i znaczniejszych obywateli w celu naradzenia się nad środkami ugaszenia pożaru i przyjscia w pomoc nieszczęśliwym pogorzelncom. Postanowiono ogólny kierunek obrony oddać jednemu, obsadzić silnie gmachy przyległe pałacym

się, i przystąpić do gaszenia w kierunku wiatru. Lecz pokazało się, że nie było środków obrony; pomęczeni ludzie poszli odpocząć, trudno było znaleźć kilka konewek lub drabiny. (...)

Wracamy znowu do kroniki pożaru (...). Dość długo dopalała się kamienica pod Zajęcem, ogień w domu p. Mączyńskiej był źródłem ciągłego niepokoju, za nim przy ulicy Wiślniej w dwóch domach p. Bartyńskiego i przyległym biskupiemu pałacowi między 10 a 11ą wszczął się dosyć silny pożar. Przez całe rano i popołudniu pracowano około oczyszczania zgorzałych domów; wyrzucano palące się lub niedopalone belki i deski, zrywano pułapy i podłogi. W kilku domach przy głównym Rynku odżywiały się ognie wewnętrzne, lecz te, czy to skutkiem obrony, czy też wypalonego już materiału, nie zdawały się grozić niebezpieczeństwem tem bardziej, że sąsiednie wszystkie pogorzały. Lecz gdziekolwiek ukazały się te pojedyncze pożary, śpieszono natychmiast z sikawkami (było już ich bowiem podostatkiem, gdy oprócz trzech miejscowych, jednej fortyfikacyjnej wojskowej, jeszcze w ciągu nocy przybyły trzy z Królestwa Polskiego i zaraz nad ranem wielkie oddawać poczęły przysługi). Około 7ej wieczorem, prawie współcześnie pokazały się ognie w kilku miejscach: u Wielanda gdzie całe popołudnie gaszono, przy ulicy Brackiej i Gołębiej; ale najmocniej w domu Starostwa Grodzkiego. Zajaśniał także pożar w kościele Franciszkańskim, trwał bardzo długo w domu Schmidta, ale najdłużej, bo do późnej nocy, w kamienicy Działyńskiego w głównym Rynku.

Mniej już było ludzi pod noc: zmęczeni trzeczdniową pracą szukali spoczynku; zostało się tylko trochę obrońców przy kamienicy Wielanda, Działyńskiego, którymi kierowali radcy miejscy, a młodzież z osobną sikawką przed Uniwersytetem stojącą, trzecią już noc czekała w pogotowiu na salach Akademii. Wszakże i tej nawet nocy poświęcenie ich nie było zbyt cennym. Ogień w kamienicy Loujego przy ulicy Grodzkiej mocno około północy wybuchnął, sprowadzono więc tam sikawkę i ludzi z Rynku, młodzież zaś udała się na ulicę Wiślną, gdzie początkowo z domu Malickiego, później z pałacu Biskupiego wydobywały się płomienie. Dotąd

bowiem w pałacu tym zgorzał tylko dach, teraz zaczynały się palić sufity. Mimo małej liczby wiaderek, sikawka działała prawie nieustannie, od 1ej do 4ej lano wodę i rozrywano sufity osękami. Nad ranem kilku z młodzieży wpadło na pałacowe podwórze, ujrawszy tam małą sikawkę, po schodach wprowadzili ją na pierwsze piętro, pomagając głównemu prądowi wody, który szedł od ulicy Wiślniej. Wkrotce też ogień zaczął przygasać, cofnięto z góry sikawkę i w kilka minut zawaliły się sufity. Okropny strach padł na przytomnych; nie wiedziano, czyli którego z szlachetnych obrońców nie przywaliły gruzy, na szczęście wszyscy uszli już pierwiej z góry.

Wprawdzie we wszystkich tych cząstkowych pożarach płomień był już słabszy, ale mieszkańcy przyległych ulic i ocalonych części Rynku nie mogli zasypiać spokojnie, mając tak niebezpiecznego w pobliżu sąsiada. Mimo to w ciągu następnego dnia (21) już coraz mniej do gaszenia ognia było ochotników; odżywał się po kilkakroć przy ulicy Franciszkańskiej, Grodzkiej, Gołębiej. Już teraz nie na sikawkach, ale na ludziach zbywało. Około 10tej wieczorem mocny ogień wydobyl się na wierzch w kamienicy Dzwonkowskich w Rynku; zebrało się nieco więcej ludzi, utworzono szpaler podawano wodę do okien i do sikawki; gaszono do późna w nocy. Z ulicy Grodzkiej pokazywały się także płomienie, na innych punktach, a mianowicie przy ulicy Gołębiej ogień zdawał się być zupełnie ugaszony; młodzież zeszedłszy się na czwartą noc do sal Uniwersytetu, obchodziła wszystkie gmachy Akademii i dom koło domu ze spalonych przetrząsała, szukając tlącego się zarzewia.

PRZEDRUK ZA: Walerian Kalinka, *Historia pożaru miasta Krakowa*, Kraków 1850, s. 17–18, 34–36, 62–65.

F. Oczyma księdza w Paryżu
Ks.Aleksander Jełowicki (1804–1877)

W Imię Ojca + i Syna + i Ducha Świętego + Amen.

I zawoła Pan Bóg zastępów w on dzień ku płaczu (Iz: xxii. 12.).

Najmilsi Bracia!

I zawoła Pan Bóg zastępów w on dzień ku płaczu!... Tak groził ludowi Bożemu Izaiasz Prorok, przepowiadając zniszczenie Jeruzalem. Tak też grozili Święci nasi ludowi naszemu przez długie lata; aż oto przyszedł za dni naszych on dzień straszliwy – i zawołał nas Pan Bóg zastępów do płaczu.

Od stu lat blisko Pan i Bóg nasz woła nas do płaczu, bez którego zbawić nas nie może. Klęska po klęsce jak grom po gromie na nas uderza; a my jakoby ze skały, ani się pochylim, ani się zapalim ku Panu, ani zapłacem jak Bóg chce byśmy zapłakali; a owszem, po każdym gromie coraz więcej czerniejem i kamieniem – i wyzywamy go złością naszą, aby nas do reszty pokruszył, i niepoprawnych stał na proch, i rozwiął. Ale Bóg miłosierny, chcąc koniecznie wybawienia naszego, wszelkim sposobem do płaczu nas budzi, karaniem swem doczesnem od karania wiecznego chcąc nas ubezpieczyć.

Nie wspomnę już o brzemieniu nieszczęść, które od lat dwudziestu na świadectwo grzechów naszych a sprawiedliwości Bożej dźwigamy po świecie; ale oto w dwóch ostatnich latach zda się że się nad Polską spełnia już przepowiednia Objawienia Pańskiego, że Aniołowie gniewu Bożego, już czterej, zatrąbili nad ziemią naszą; bo spadły na Polskę cztery straszne plagi, głód, mór, woda i krew; a krew bratnia, która o nową pomstę do nieba znów woła! I któż nie słyszał w powietrzu szumu *orła lecącego przez pośród nieba, mówiącego głosem wielkim: Biada, biada, biada mieszkającym, na ziemi, od innych trzech Aniołów którzy zatrąbić mieli* (Ob: viii. 13.).

Biada ziemi polskiej! piąty Anioł zatrąbił – i Kraków w płomieniach! I po trzech dniach ta matka Polski, ta chwala, ta ozdoba Polski, w popiele! – Zgorzał ten gród nasz stary, przesławny, ten królów naszych tron i grobowiec, ten pamiątek naszych skarbiec, ta Świętych naszych kolebka i szkoła, to miasto święte na świętej górze i nad świętą rzeką, co tyle razy łzami i krwią naszą wezbrała, ten świątyni naszych przybytek, to Jeruzalem nasze, ten Sion nasz, ku któremu wszystkich oczy i serca były obrócone!

Zgorzał Kraków! Zaprawdę, tym gromem ugodził nas Bóg w samo serce, byśmy zapłakali!

Mamy płakać tych nieszczęsnych ofiar, które tam zgorzały. Oby ten ogień był dla nich już czyścowym ogniem! Oby z tego ognia, *Baranek który jest w pośrodku Stolicy poprowadził je do źródeł wód żywota... gdzie otrze Bóg wszelką łzę z oczów ich; a śmierci dalej nie będzie, ani smętku, ani krzyku, ani boleści więcej nie będzie!* (Ob: vii. 17. i xxi. 4.).

Mamy płakać tych nieszczęśliwszych może ofiar, co na tem wielkiem pogorzelisku przy życiu zostały.

Mamy płakać tej naszej stolicy, ukochanej przez tych nawet, co jej nie widzieli; a cóż dopiero przez tych, co na nią, jako i ja, przez łzy swych oczów patrzyli, co w niej nauki brali, co z niej zachwycili woni i wiary starej Polski naszej; co, jak niektórzy z was w pozawczorajszym roku, choć na chwilę zakosztowali gościnności jej mieszkańców tak szczerzej, prostej i serdecznej, w tych tak trudnych czasach.

Mamy płakać świątyni Pańskich, mamy płakać Polski całej, mamy płakać nas samych!

Zaprawdę, *zawołał nas Pan Bóg zastępów w on dzień ku płaczu!* – Płaczmyż więc, Ach! płaczmy nad zgłiszczami Krakowa; ale tak płaczmy, aby jęk nasz był usłyszany w Krakowie i w Niebie, i abyśmy za przyczyną Matki Bożej co nad nami płacze, w płaczu naszym poznali: kto spalił Kraków – jak go odbudować.

ZDROWAŚ MARYO.

I

Ziemia, która deszcz często na się padający pije, i rodzi ziele użyteczne tym, przez które bywa sprawowana, bierze błogosławieństwo od Boga.

Lecz która rodzi ciernie i osty, odrzucona jest, i bliska przekłębta, której koniec na spalenie.

Ale tuszymy sobie o was coś lepszego najmilejsi, i zbawienia bliższego, chociaż tak mówimy.

(Ś. PAWEŁ, w liście do Żydów. VI. 7, S, 9).

Ziemia, która deszcz często na się padający pije, i rodzi ziele użyteczne tym, przez które bywa sprawowana, bierze błogosławieństwo od Boga. Prawdy tych słów Apostoła Świętego doświadczała Polska od chwili, gdy ją Bóg przez wiarę świętą na swą zamienił winnicę. Piła Polska deszcz łaski Bożej i krwi Bożej na nią często spadający, i rodziła ziele użyteczne tym, przez które była sprawowana; rodziła Świętych Kościołowi Bożemu, i brała błogosławieństwo od Boga, i wzięła to drogocenne błogosławieństwo Jakóbowe, pierworodstwo nad współplemionami.

I było tak przez wieki. W miarę jak rodziła wierne sługi Kościołowi, brała Polska błogosławieństwo od Boga; w miarę jak rodziła święte biskupy, kapłany, zakonniki, króle i rycerze, brała błogosławieństwo od Boga. Bóg tylko policzyć może Świętych Polskich, co za wiarę krew wylali; Świętych Polskich, co po tej dobrej ziemi ziarno wiary rozsiewali, potem ją swoim i krwią polewając; Świętych Polskich, co w zaciszach klasztornych przechowywali ogień święty, ogień miłości i mądrości Bożej, aby nim całą tę ziemię ogrzać i oświecić; Świętych Polskich pustelników i pokutników, co całą Polskę, gdy zgrzeszyła, zastawiali piersiami swemi od pocisków gniewu Bożego, za cały lud dobrowolnie się przed Panem biczując; Święte dziewice Polskie, co kwiatem czystości Bogu poświęconej woń Chrystusową po Polsce rozlały; Święte młodziany Polskie panieńskim wstydem rumiane; Święte starce Polskie, powagi i cnót wszystkich pełne; Święte matrony Polskie dziatki swe przykładem swoim do Boga wiodące; i cały święty lud Polski, wierzący,

pracowity, bitny i serdeczny, jako i dziś jeszcze Krakowski kochany! Bóg tylko wszystkich tych Świętych policzyć może, bo każdego sam uświęcił, i sam do swej chwały przyjął. Bóg też tylko policzyć może te błogosławieństwa, które ci Święci Polsce wysłużyli; a przez które to dziecko najmłodsze Kościoła Świętego po niewielu dniach urosło w olbrzyma, który rozszerzoną duchem Bożym piersią, przez tyle wieków osłaniał i bronił swą Matkę, cały Kościół Boży, od całego Wschodu. Bóg tylko policzyć może te błogosławieństwa, którymi Polskę naszą sam ubogacił, ozdobił, i oto tym Krakowem, nad którym dziś płaczem, tak ukoronował.

Zaprawdę, Kraków to korona Polski, niegdyś w sto drogich kamieni, w sto kościołów strojna. Ze stu świątyń Pańskich wznosiły się tam ciągle modły do Pana Zastępów, a Pan zastępom naszym dawał moc niezłomną. Z góry Wawelu Królowie Polscy urządzali sprawy Rzeczy-Pospolitej. A Boga-Rodzica-Dziewica, Matka Świętych Polskich, i całej Polski Królowa, osłaniała, broniła, umacniała i błogosławiła wszystkie dzieci swoje – i tak było błogo przez ośm długich wieków, z tem zawsze znamieniem, że każda zbrodnia, każdy grzech publiczny zachwiewał Polską; i że za każdą pokutę i poprawę szczerą Bóg ją przez Matkę Boską zachowywał i krzepił: a tak w dziejach naszych odbiły się dzieje wybranego ludu – wielka w tem dla nas chwała i nadzieja!

Aż oto, od lat stu przeszło, na groźby Boże niebaczni, na głos ostrzegający Kapłanów Bożych głusi, pochyliliśmy się, i upadliśmy na koniec pod ciężarem grzechów naszych. Ach, bracia moi! nie innym jest kamień nasz grobowy, jak to brzemię grzechów ojców naszych, na którym, zamiast go dźwigać pokutą i poprawą, myśmy usiedli grzechami naszymi; i takeśmy obciążyli ten grobowy kamień, że go i sam Bóg nie dźwignie; bo jako rzekł Augustyn Ś., który cię stworzył bez ciebie, nie zbawi ciebie bez ciebie.

Zapytajcie tych z pośród was, co żyją najdłużej; co rzekną? oto powiedzą, że coraz nam gorzej; i każdy z was sam to już powiedzieć może. Czegóż to dowodzi? Ach! bracia mili, dowodzi to, żeśmy coraz gorsi! Wielka to prawda, wielka prawda, od której

uznania, wyznania i zrozumienia zależy przyszłość nasza doczesna i wieczna.

Nie będę tu rozwijał szeregu grzechów ojców naszych, bo wolałbym cnoty ich wyliczać; muszę wszakże wspomnieć o trzech grzechach głównych, co zabiły Polskę; a wspomnę dla tego, że to prawda więcej jak historyczna, bo mająca świadectwo Ducha Świętego; z ust Papieża sam ją po trzykroć słyszałem. «Upadliście rzekł PIUS IX» dla «trzech głównych grzechów, dla ucisku Unii, dla ucisku chłopów, i dla rozwodów». Z tych trzech strasznych grzechów, o bracia najmiłsi! jak robactwo niepoliczone wyszły grzechy bezbożności, bezbraterstwa, i rozpusty – i roztoczyły Polskę, tak że się rozpadła w trzy części.

Te trzy grzechy narodowe, w nas grzesznych synach grzesznych ojców naszych, rozrosły się bardzo; a zapuściwszy głębsze korzenie, więcej też ostów i cierni zrodziły. A jako rana niezagojona przechodzi w gangrenę, tak grzech niezgładzony przechodzi w zepsucie, na które nie masz innego lekarstwa jak ogień – i sprawdza się też nad nami, czem przez Pawła Świętego Bóg pogroził, mówiąc: Lecz która rodzi ciernie i osty odrzucona jest, i bliska prze – klektwa, której koniec na spalenie. (Żyd: vi. 8.).

Ach, Bracia moi! obaczmy się, jakośmy przekłętwa bliscy.

Ucisk Unii, którym grzeszyli ojcowie nasi, u nas się rozszerzył na ucisk Kościoła całego. Ojcowie nasi przez ucisk Unii wypowiadali posłuszeństwo Kościołowi w tej tylko rzeczy, my go już w niczem słuchać nie chcemy; a nie tylko słuchać nie chcemy, ale nadto tego od Boga ustanowionego rządcę i sędziego naszego sądzić chcemy! Dzieci swawolne i krnąbrne, zamiast oddawania czci i miłości Kościołowi Świętemu, tej Matce naszej, wyśmiewamy już wszystko co święte, w poniewierkę puściwszy wszystkie przykazania jego, które wszakże tak nas obowiązują jak i przykazania Boże, pod grzechem śmiertelnym. Mało który pamięta nawet o Wielkonocnej spowiedzi, a każdy chce jednak, aby Polska zmartwychwstała; mało który, nawet w tym oto głodzie, który Bóg zesłał na nas za dawne obżarstwo i opilstwo nasze, mało który zachowuje

posty; wielu, co najświętszego w Kościele nazywa czczą formą, nawet Sakramenty; i miota się na to, co w Kościele Bożym najważniejsze i najpoważniejsze, miota się na Ojca Kościoła całego, na Papieża, sądząc sprawy jego, jakoby, nie mówię już równego sobie, ale podwładnego, i chcąc go uczynić ze służi Bożego służą zmienną i płochą, jeżeli nie zbrodniczej opinii publicznej. Ach bracia moi! zdaje się że zuchwałość ludzka dalej pójść nie może! Nie czcimy tej Matki nad wszystkie matki, nie czcimy tego Ojca nad wszystkie ojce, nie czcimy Kościoła Świętego i Ojca Świętego, a chcemy, by nam Bóg błogosławił. Ach, wróćmy co prędzej do wiary, nie ojców naszych, lecz naddziadów naszych, co służąc Kościołowi i słuchając Papieżów, wzrosli w potęgę i sławę; które to błogosławieństwo Bóg miłosierny jedynie przez Kościół Święty na Polskę wylewał. Nie naśladowmy tych małodusznych, co i za dni naszych, tchórze na polu bitwy, a tylko przeciw Kościołowi odważni. I wierzajcie, że tylko uległość Kościołowi rodzi wszystkie cnoty, i tę cnotę męstwa prawdziwego, którego resztki przechowały się w sercach waszych, z resztkami czci waszej ku Kościołowi Świętemu, z resztkami wiary naddziadów waszych.

Mówię, z resztkami wiary; bo niestety, już jej tak mało pomiędzy nami Bezbożność zalała domy nasze, a kościoły nasze pustkami się stały – i rozlatują się w gruzy – bo ich nie podpieramy wiarą, bo ich nie opasujemy miłością, bo ich nie odnawiamy nadzieją. Ze stu świątyń krakowskich za dni naszych liczyliśmy już tylko czterdzieści. W tym smutnym stosunku po całej Polsce i po całym świecie, jak dawniej ze wzrostem wiary rosły kościoły, tak dziś z jej upadkiem upadają.

Na co tyle kościołów, wołają bezbożni! Na co? na świadectwo wiary i miłości naszej, na mieszkanie w pośród nas Boga utajonego w Przenajświętszym Sakramencie, i na nasze też przy nim mieszkanie. Kościołów trzeba przynajmniej tyle, aby starczyły na pomieszczenie w jednej i tej samej chwili ludności całej w dni święte; boć mieszkaniem ludu w dni święte winny być kościoły. W czasach gorącej wiary kościoły w takiej obfitości wznosiły swe złote krzyże

po nad całym Chrześcijańskim ludem. Widzicie tu, w tym Paryżu, który wszystkie już klęski niewiary raz przeżył; widzicie tyle ruin kościołów; zostało tam zaledwie czterdzieści, gdzie i czterystu byłoby za mało; a i te pustkami stały, gdyśmy temu lat dwadzieścia szukali w nich pociechy po stracie ojczyzny. Aż oto w oczach naszych z powrotem choć zbyt wolnym wiary, pustki te rok po roku coraz się więcej napełniały nawróconym ludem; i w oczach naszych ten sam Paryż, co swe kościoły poburzył, dziś je znowu stawia, bo w tych, co pozostały, zmieścić się nie może. Kto więc kościoły buduje? oto ci co sami są kościołami Bożemi przez ducha wiary, który w nich przebywa. Kto kościoły burzy? oto ci co podług wyrażenia pisma świętego są grobami pobielanemi, mieszkaniem zgnilizny i śmierci.

I na nas tułaczach, których Bóg dla pokuty i poprawy z ojczyzny wygnał, cięży ten grzech ciężki: Bóg miłosierny dla pociechy, nauki i uświęcenia waszego, na ziemi wygnania, Polski wam kościół otworzył: wy go zamykacie. Trudno was doń zwołać, nie zgromadzacie się w nim, chyba, jak oto dziś, dla jakiej narodowej pamiątki, raczej z miłości ojczyzny jak z miłości Boga. I w tem właśnie grzech nasz najcięższy, że więcej miłujem ojczyznę, aniżeli Boga, grzech bałwochwalstwa, przez który miłość ojczyzny, tę tak piękną cnotę, zmieniamy w przestępstwo; boć przestępstwem jest nie kochać Boga nad wszystko.

Iluz to między nami brnąć w tej bezbożności, bluźni Boga, że się źle ojczyźnie dzieje; a właśnie dlatego się jej źle dzieje, że bluźnimy Boga. Iluz to w tej bezbożności odwraca porządek przez Boga ustanowiony, i zamiast służyć Bogu przez ojczyznę, która jest sługą Bożą, chcą aby Bóg stał się jej sługą, który jest jej Panem, jak Panem wszystkiego. Jedni narzucają Bogu warunki, pod jakimi służyć mu gotowi; a jako niegdyś Żydzi, co krzyżując Jezusa, wołali śmiejąc się: zstąp z krzyża, a uwierzę w ciebie! tak dziś wielu z pośród nas grzechami swemi Polskę krzyżując, woła do Boga: zdejm Polskę z krzyża, a uwierzę w ciebie! Ale jakże mają zdjąć, gdy takim grzechem, więcej niż wszystkimi razem, my ją do krzyża

mocniej przybijamy? Drudzy posuwają tę bezbożność aż do świętokradztwa, używając rzeczy najświętszych do swych szalonych zamiarów, gdy przed pobożnymi udają pobożnych, aby ich użyć za narzędzia swoje. Widziano tę bezbożność jeszcze niedawnymi czasy, gdy przewodzcy nieszczęsnych ruchów, co Polskę głębiej jeszcze w grób wpędziły sami niewierzący, ludowi wiernemu stawiali ołtarze w obozach, i gdy lud poczciwy, serdeczny, wierzący, przed Panem Zastępów padłszy na oblicze, łzami zlewał tę ziemię, którą za chwilę miał krwią swoją zrosić; oni urągali w sercach swoich i wierze tego ludu i ofierze świętej; a ten śmiech szyderczy odbił się aż w piekle, i nad ich głowami własne ich połamiał miecze (...).

PRZEDRUK ZA: ks. Aleksander Jełowicki, *Kazanie z powodu pożaru Krakowa w dniu 18 lipca 1850 r. miane na nabożeństwie żałobnem i pokutnem w Paryżu w Kościele Matki Boskiej Wniebowziętej dnia 9 sierpnia tegoż roku*, Paryż 1851, s. 4–9.

G. Oczyma księdza w Krakowie
Biskup Ludwik Łętowski (1786–1868)

Quam incomprehensibilia sunt judicia ejus, et investigabiles viae ejus. (Rom. x1 v. 33.) *Niedocieczony Pan jest w sądach swoich, i niedościgłe są drogi Jego.* Bo oto uderzył prawicą swoją w miasto nasze, a my się zbiegli do ołtarzów Jego. Cóż to jest: czy strach? czy żal? czy modła? Mamyże się korzyć, i przed Panem rachować? Czy dzięki Jemu nieść za kres położony? Wszystkiego tego po trosze i nie wiedząc, azali to koniec czy początek? Chciałże Pan moc swoją nam pokazać? A kto kiedy wątpił o niej! Gdy do nas rzucano pociski ogniste, a zdawało się, iż musi miasto spalić się koniecznie, to i deszcz spuścił, i wiatry uspokoił, i one palne pociski niedołącznemi poczynił; ale gdy On wypuścił strzałę gniewu swego na nas, to i rozogniły się nieba, i rozhukały wiatry, i trzecia część miasta stanęła w płomieniu; i byłoby całe w perzynę poszło, gdyby nie miłosierdzie Jego. Może też chciał zobaczyć, czy była jeszcze miłość między nami?

Tak jest, powiedzmy sobie: sami wszyscy jeden w drugiego słudzy nieużyteczni, *servi inutiles sumus.* (Luc. xvii v. 10.) Było zapewne wiele zacnych spraw, wiele poświęcenia. Urząd i władza szły nam w pomoc, dużo matron i mężów, ludzi godnych, czynili to, co powinni byli (Luc. ut supra); ale ty Panie sądzisz nie jak człowiek z patrzenia, tylko serca nasze pytać będziesz: co kto i dla czego czynił? – Nie tajno, klęska jest wielka! Wygorzała trzecia część miasta, spaliły się cztery domy Boże, z których dwie świątynie starożytne, gmach Franciszkański i Dominikański, fundacyi Władysława Pudyka i Iwona biskupa. Gorzał nieraz Kraków, to w części, to cały. Gorzała była ta Bazylika, w której mówię; ale wtedy nie spadła nam była jeszcze korona z głowy naszej. Siedział na zamku Ojciec: a co ogień strawił, to swoi postawili znowu. Mieliśmy bogatych panów i biskupów, zamożny lud. Ale dziś w kubrak ubóstwa przyodziani, poza granicę przyjdzie nam rękę wyciągać, abyśmy to miasto nasze odbudowali. Lecz nie tu tego koniec. Jest w onej

klęsce coś straszniejszego nad samą tę klęskę. Przetrwaliśmy wojnę, przetrwali powietrze, przetrwamy i ogień, bo to z Panem sprawa, który dopóki nawiedza, dopóty za dziatki swoje ma. Ale kiedy odwieczne Bazyliki nasze płoną, to jakby usuwał się od nas, i nie była mu już miłą chwałą Jego pomiędzy nami. Gdy Syonu ostatnia godzina wybiła, a Pan skarać chciał niewierne miasto Jeruzalem, tedy spalił w nim kościół swój. Damyż więc upaść tym domom Bożym? Wyciągają one do nas ramiona, niby kości przodków naszych z grobów swych. W nich leżą pięciowiekowe zabytki pobożności i zamożności ojców naszych. Chwała Pańska starożytna jedyne dziś miano nasze, i to nabożeństwo do Matki-Boskiej, którąśmy sobie za Królowę przybrali. Obym fałszywym prorokiem był, a zabrzmiała raz jeszcze chwała Pańska po tych świątyniach Jego.

Lecz obok tak wielkiego nieszczęścia, nie opuścił nas Pan zupełnie bez jakiejś pociechy. Gdy ogień ogarnęły miasto, a ratunek stał się niepodobny, iż cała nadzieja zostawała w miłosierdziu Pańskim; rozniosło się z ust do ust po mieście, iż to ludzkie dzieło było, i że złość sprzysięgła się na zbrodnię, i paliła miasto nasze. Na to opadły ręce wszystkim: ból ścisnął serca, lecz już nic od samego strachu o płonące miasto. Powyłękały się niewiasty, a i najmężniejszy truchlał na zgrozę występku, i upadł na duchu! Dzięki Bogu! pokazało się, że miasto nasze nie wydało z łona swego takiego potworu; i znośniejszą nam jest ta plaga, jako wprost z ręki Pańskiej pochodząca chłosta. Niechże więc będzie chwała Panu i niech upodoba ją sobie u nas, na wieki wieków.

PRZEDRUK ZA: Walerian Kalinka, *Historia pożaru miasta Krakowa*, Kraków 1850, s. 69–71.

H. Oczyma prasy

Czas, 1850

Kraków, dnia 18 lipca

Godzina 10 wieczór. Przeżyliśmy dzień straszliwy, a nie przewidujemy końca naszych cierpień. Wokoło nas bucha straszliwy ogień, okropna łuna świeci nad całym miastem, ciężkie dymy wałą się. Morze ognia zalało ulice i rynek. Spadają dachy, łamią się belki, załamują sklepienia. Godzina ostateczna wybiła dla miasta. Ogień szerzy się coraz bardziej, zajmuje ulice po ulicy, życie, majątki, egzystencja samego nawet miasta zawisała od wiatru. Dotąd wiał północno-zachodni, cała część miasta położona w tej stronie spłonęła lub jeszcze się dopala; jeżeli zwróci się, pójdzie reszta domów w perzynę.

Nieszczęśliwy grodzie! ostatnia klęska cię dobiła, na ulicach i placach twoich zostaną tylko zgłiszczka, wokoło których zasiędną całe rodziny, i kijem żebraczym szukać będą jakiegoś niedopalonego łachmanu, niezniszczonego sprzętu. Ani czasu, ani głowy nie mamy w tej chwili, aby ocenić wszystkie nieszczęścia; ze strachem czekamy dni następnych, drżymy o chwilę obecną, o resztę ulic. Co zrobić z tysiącem ofiar, gdzie ich przytulić? czem nakarmić? Nie mamy poddasza dla naszych sióstr, braci i matek; goły bruk zasłany niedopalonem drzewem i niebo czerwone od pożaru, oto nasze jedyne schronienie.

Z rozdartem sercem wpośród niedopalonych zgłiszczów i palących się domów, niepewni czyli dla uratowania życia, tego miejsca, na którym piszemy, opuścić nie będzie trzeba, bierzemy pióro w rękę a nie możemy skupić myśli. Musim zawezwać całej mocy nad sobą, aby niektóre szczegóły tego straszliwego gromu opisać.

O godzinie tej z południa uderzenia z wieży i alarm na rynku dały znać o pożarze, chociaż trwał on już podobno od niejakiego czasu. Wnet ujrzelśmy straszny ogień w dolnych młynach przy ulicy Krupniczej. Wiatr dął mocny, natychmiast zapaliły się

sąsiednie domki... cztery domostwa spłonęły, zanim sikawka nadbiegła! nie było ratunku! Wszystko co leżało w kierunku wiatru zgorzało; już pożar nie miał się gdzie dalej rozszerzać... już ludzie poczuli wracać, kiedy o 1¼ dano znać, że dom p. Bartynowskiej przy ulicy Gołębiej i plantacyach zaczął się palić. Ogień wyszedł ze strychu, wnet objął cały dach. Lecz nowy krzyk: ulica Wiślna się pali! biegnijmy i widzimy ogień na dachu w kamienicy pod Zajęcem. Ani sikawek! ani drabiny!

Gmachy akademyczne, biblioteka, bursa, gabinety w okropnym były niebezpieczeństwie. Zerwała się młodzież akademicka, pobiegła na dachy, utworzyła łańcuch ze 150 ludzi złożony i nadludzkim usiłowaniem udało się na koniec wstrzymać pożar, który już się zaczął pokazywać w gmachu bibliotecznym.

Nowy krzyk: pałac Wielopolskich się pali. Pędzimy w tamtą stronę i od Grodzkiej ulicy widzimy z dachu dobywający się ogień. Pożar naraz w czterech miejscach... ani jednej sikawki! ani ratunku! ani nawet drabin! Nic, zgoła nic, wszystko oddane na łaskę niszczącego żywiołu. Mieszkańcy poczynają się wynosić z domów, każdy ratuje, co może... tymczasem cała połać od kamienicy pod Zajęcem zapala się i przerzuca ogień w przecznicę Gołębią, w ulicę Bracką, w pałac biskupi.

Pożar od plantacyj postępuje, zajmuje się technika, drukarnia uniwersytecka, kościół Unicki. Ani sposobu powstrzymać straszliwych kłębow ognistych... nikt też ich nie powstrzymuje! Ogień okropny w tej stronie.

Pałac Wielopolskich cały w płomieniu, cała Bracka ulica w ogniu, dom Starostwa zajmuje się. Pożar przenosi się na Franciszkany. Ulice zawalone ogniem, zaduszone ciężkimi falami dymu, ani do mieszkań przystąpić, ani przez ulicę przejść niepodobna.

Nowy okrzyk przeraźliwy: kamienica Rappa na ulicy Stolarskiej się pali, przerzuca ogień na Dominikany. Morze ogniste wylało się na dachy i szaleje razem z wiatrem.

Pożar dostaje się na rynek; zajmuje się cała południowa strona; wiatr pcha go w ulicę Grodzką! W tej chwili ogień się połączył, od

plantacyj przy ulicy Gołębiej, Wiślnej, Franciszkańskiej; do plantacji przy małym rynku, ulicy Szerokiej, Ś. Józefa... wszystko się pali!

Naraz palą się cztery kościoły... a w obecnej chwili sterczą tylko nagie, czarne mury, wśród płomieni, które się jeszcze gdzieś niedzie wydobywają, rysują się gzymsy i sklepienia gotyckie. Naraz w kościele Dominikańskim dach spada na sklepienie, które przecie się utrzymuje. Niedopalone belki świecą się jeszcze na murach, a stąd i z owąd kapie stopiona blacha. Obok kościoła palą się wszystkie gmachy, biblioteka, klasztor, zajmują się jatki rzeźnicze. W tej chwili domy rzeźników za plantacjami stają w płomieniu, wiatr dmie go coraz bardziej z całego placu między planlacjami Dominikańskimi, aż niemal pod starą Wisłę związał się jeden słup ognisty.

Kościół Franciszkański się pali; suche drzewa ołtarzowe, ławki, krzesełka zajmują się, syczą, trzaskają! Sklepienie się zawala, ogień wpada na klasztor, z klasztoru na domy okoliczne; na dziedzińcu stoi kilkadziesiąt rodzin, kilku biednych mnichów, a wokół nich wieńcem roztoczyła się rzeka ognista; brama niedostępna, jedyna ucieczka przez mur od ogrodu.

W ulicy Grodzkiej rozszalały żywioł wylewa się z dachu na dach aż do ulicy Śgo Józefa. Ale z drugiej strony mieszkańcy zerwali już dachy, i powstrzymali na chwilę straszliwy postęp zniszczenia.

Była godzina piąta, wszyscy opuścili ręce, bo nie było więcej ratunku. Rachowano tylko, że niektóre gmachy pokryte dachówką staną za granicę!... w ulicy Grodzkiej ogień oparł się o ustęp przed gmachem sądownym, część między Grodzką i Poselską z jednej strony spłonęła. Dom na rogu Wiślnej i Gołębiej i ginach Akademii pokryty dachówką bronił ulicę Śtej Anny i wschodnią część Rynku.

Ogień zajęty w kamienicy Rappa zajął wnet całą Stolarską ulicę i południową część małego Rynku. Wszystko do tej chwili stoi w płomieniu! chyba, że się już zwaliły rusztowania, a czerwone języki ognia syczą oknami.

Około godziny 7ej kilku obywateli stanęło przy hotelu Drezdeńskim, myśiąc nad środkami zaradzenia. Opowiadano, że sam

jenerał komenderujący, który od pierwszej chwili był na koniu, złapał człowieka mającego w rękę siarniczki, świecę woskową i paczkę prochu obwinietą w bawełnę. Pan mecenas Boguński w domu swoim złapał chłopca 10-letniego ubranego w łachmanach, który biegł na strych. Na zapytanie, gdzie idziesz? Idę ratować, odpowiedział. Tu się nie pali, odparł właściciel domu, a zdziwiony odpowiedzią chłopca, ujął go i znalazł przy nim materiały do podpalenia potrzebne. Zaprowadził go w ten moment do koszar w kamienicy Waltera i oddał w ręce władzy wojskowej z *corpus delicti*. Ujęto także czterech innych ciężko podejrzanych o zamiar podpalenia i odprowadzono na odwach główny.

To opowiadanie wzbudziło przestrasz i poznaliśmy, że pod nogami naszymi kryje się jakiś piekielny, straszliwy spisek, który zaprzysiągł zgnębienie miastu. Nie mogliśmy pojąć, nie chcieliśmy wierzyć, a przecież fakta zwyż powiedziane jasno świadczyły. Naówczas pan Meciszewski, którego całe mieszkanie do szczytu naprzód się spaliło, podał wniosek, ażeby udać się do J. E. Szefa Komisji Gub. i J. E. Komendanta i prosić ich, aby ogłoszono sąd doraźny, iżby każdy schwytany na gorącym uczynku podpalania natychmiast był rozstrzelany. Uślucho tego zdania i wnet obywatele: Boguński, Lipiński, Skarżyński, Kremer Karol, Kalinka i inni udali się do J. E. Szefa Kom. Guber., oświadczając mu swoje, życzenie. J. Excellencya odpowiedział, że sądu doraźnego ogłosić nie może, ale ponieważ są obwinieni, przeto wezwie Prezesa Trybunału, aby wyznaczył lukwidenta do prowadzenia inkwizycji, sam zaś udaje się natychmiast do jenerała komenderującego, aby się z nim porozumieć.

Rozpoczęto inkwizycję z ujętym przez mecenasa Boguńskiego obwinionym... a zaś po godzinie 9ej przy odgłosie bębnow, ogłoszono od c. k. Komendy wojskowej rozporządzenie, na mocy którego nakazano świece w oknach palić, wezwano obywateli do strzeżenia swoich domów, rozesłano patrole i przykazano, że któkolwiek ośmielił się opierać lub złapany będzie na czynie podejrzanym, ulegnie natychmiast sądowi wojennemu.

Północ. Obeszliśmy na nowo wszystkie punkty pożaru, wiatr jest silniejszy, dym duszący rozlega się po całym rynku. Pożar w domu p. Wąsowiczowej i Skotnickiej zapada w głąb. Sikawka przez czas jakiś działała w domu teje, potem ustała.

Gdzie są inne sikawki?

Część ulicy Wiślniej pali się w głębi. Biskupi pałac spłonął zupełnie. Sterczą nagie ściany kościoła Franciszkańskiego! gmachy przy nim leżące od plantacyj jak się zdaje ocalały, przynajmniej nie widzieliśmy w tej chwili na nich ognia. Od Brackiej ulicy a raczej od przecznicy Gołębiej aż do ulicy św. Józefa jedno morze ogniste; tu znowu nie widzieliśmy ani jednej sikawki. Ale już z tej strony ogień wstrzymany; palą się tylko wnętrza domów. Stolarska ulica dopala się; podobnie południowa część małego rynku; ratunek słaby! brak ludzi do pomocy, brak wody. – Za plantacjami domki rzeźnicze połyskują jeszcze niedopalonem węglem.

Dom Wentzla w rynku po dwakroć był w straszliwym niebezpieczeństwie i po dwakroć niemal cudem ocalał. Z jednej, drugiej i trzeciej strony gorzało; widzieliśmy tylko na dachach kilku kominiarzy, którzy usilnie zalewali wodą i odrywali gonty.

Księgarnia Czecha spłonęła; widzieliśmy, jak wyrzucano książki, ale już było za późno. Akta dwóch notaryuszów Ekielskiego i Korytowskiego spaliły się do szcztetu!

Wszystko jeszcze w tej chwili zależy od wiatru – nie możemy z pewnością oznaczyć jego kierunku, ale zdaje się, że dmie w tę samą stronę, tylko nieco mocniejszy. To tylko szczęście, że już dachy nigdzie nie płoną, pożar straszliwy żarzy się w głębi domów. Zdaje się, że wszystkie mury popękają.

Silne patrole obchodzą po ulicach; całe wojsko stoi pod bronią; po ulicach warty. Na plantacjach poskładane meble nieszczęśliwych ofiar, które spoczywają przy tych resztkach swej własności. Na rynku od Baranów aż do ulicy Grodzkiej, kanapy, krzesła, obrazy i inne ruchomości pozwalane razem. Warta wszędzie strzeże.

Dochodzą nas wieści o kilku nieszczęśliwych, którzy się spalili. Między innymi czcigodny starzec Filipowski, nie mogąc się

podnieść z łóżka, spalił się jak mowią na węgiel. Kilkoro dzieci znalazło śmierć. Biedne ofiary, zginęłyście w straszliwych mękach! ale nie przeżyłyście swego nieszczęścia!

Godzina 4ta z rana. Dzięki Bogu, zdaje nam się, że niebezpieczeństwo minęło. Ogień gaśnie. Wracamy właśnie spod techniki i domu Bartynowskiej. Wracamy przejęci uwielbieniem dla tej szlachetnej młodzieży uniwersyteckiej, bośmy byli świadkami jej poświęcenia, uwielbieniem dla p. Majera rektora, który był duszą całego ratunku, dla p. Krupińskiego profesora stolarszczyzny w technice, który pokazał tyle energii, tyle praktyczności i tyle poświęcenia, że czujemy iż pióro nasze za słabe, abyśmy mogli godnie oddać mu pochwały. Lecz wiążemy ciąg opowiadania.

O 1½ wyszliśmy znowu na przegład miasta. Północna część rynku pali się wewnątrz, w technice pożar się odnawia, Franciszkany a raczej gmachy okoliczne spokojnie, za to w ulicy Grodzkiej między Szeroką i Ś. Józefa ogień gwałtowny wali się z okien. Sikawka przystawiona do jednego z domów działała słabo, niebezpieczeństwo groziło, sąsiednie domy, które dotąd cudem ocalały, mogły na chwilę uleść powszedniemu nieszczęściu. Ratunek słaby.

Na ulicy Ś. Józefa, wpośród mebli i porozrzucanych graci, widzimy sikawkę próżno stojącą, nie można jej wyciągnąć w ulicę Grodzką, zresztą nie ma nikogo do jej wprowadzenia. Na ulicy Szerokiej gmachy dominikańskie wyrzucają straszliwy ogień, nie widzieliśmy żywej duszy. Noc i kłęby dymu, spośród których księżyc czasami czerwono migotał, nie dozwalały przejrzeć, co się dzieje w głębi.

Za plantacyami połyskiwały światła pożaru z domów rzeźniczych; znowu nikogo! Wracamy ulicą Sienną, bije godzina druga, a za nią allarm, biją w bębny, z wieży Maryackiej donosi o nowym pożarze w mieście. Pytamy, gdzie sikawki, biegną pod Sukiennice. Tam spokojnie; wołają pożar na ulicy Ś. Anny i tam cicho: krzyk, pali się na ulicy Szpitalnej, alarm pokazał się fałszywy. Wracamy pod dom p. Wąsowiczowej. Młodzież utworzyła szpaler i donosi wodę do sikawki, która gasi ogień. Nie widzieliśmy tu żadnego

niebezpieczeństwa, ale tem większe przy technice. Pożar w tem miejscu na nowo wybuchnął, grozi akademii. Niebezpieczeństwo było straszliwe. Rzuca się w tę stronę młodzież uniwersytecka, pp. Majer, Kuczyński i Pol kierują obroną. Sprowadzono dwie sikawki, utworzono szpaler podwójny. Gaszono po trochu, belki zwały się wewnątrz. Naówczas z nadzwyczajnem wysileniem sprowadzono drabinę, wszedł na nią prof. Krupiński i zrzucił na ziemię ogromną belkę, która by się może długo jeszcze paliła. Widząc że przy technice niebezpieczeństwo się zmniejsza, zwłaszcza że p. Majer dach uniwersytetu obsadził ludźmi, biegną na koniec przecznicy Gołębiej, z Rudawy sprowadzają wodę, przyciągają sikawkę i zalewają pożar w domu p. Bartynowskiej, który odżył na nowo.

Dzień zaczyna świtać, rozchodzą się ludzie z rynku, spokojność powraca w umyśle.

Godzina 6ta z rana. Jeszcze raz obeszlśmy okropny teatr nieszczęścia. Z kilku domów wznosi się ciężki dym, tu i owdzie pali się belka, balkon, albo futryna od okna. Mury i kominy sterczą nagie, czarne, popoalane jako krzyże nad mogiłami dawnej exystencji. Na ulicę wychodzą właściciele domów spalonych, chcąc się przekonać, dużo jeszcze cegieł, dawnych majątków im się pozostało, rozpatrują się w sprzętach porozrzucanych na ulicy, a w myśli nawet niechcąc porachować się ze stratą, nie śmia spojrzeć w czarną przyszłość, która im się pokazuje z tlejących zgliszczów. Dzień usunął zasłonę, którą przykryła ciemna noc, nieszczęście jawi się w nagiej, przerażającej postaci. Z jednej części miasta, na której stał sklep około sklepu, magazyn około magazynu, zostały się tylko szkielety domów i ulic. Straszny to widok.

Ulica Stolarska dopala się; z gmachu Dominikańskiego na przeciw kościoła wałą się jeszcze z okien kłęby ogniste. Sikawka w zakończeniu swojej misji chce ocalić kilka niedopalonych deszczek i sufitów. Ciężki dym żalobnym kirem powleka całe miasto.

Z północnej części rynku zostały się tylko dwa domy; z ulicy Wiślniej połącz od Śtej Anny i Rynku, z ulicy Gołębiej gmachy akademickie (wyjąwszy Technikę) i dom narożny, z ulicy Brackiej część

domu ks. Jabłonowskiego, z ulicy Grodzkiej aż do Śgo Józefa trzy czy cztery domy od Poselskiej ulicy: z ulicy Stolarskiej nic. Taki jest najogólniejszy obraz spustoszenia. kto obrachować może nieprzeliczone straty, kto stosownie ocenić ten cios, zpod którego Kraków już może nigdy się nie podniesie?

Kończąc ten smutny opis, musimy podać jeszcze kilka ważniejszych epizodów z dramatu zaledwo ukończonego. Ale nie możemy pominąć ślachetnego poświęcenia Vice-Prezesa Paprockiego, który będąc przy głównym ogniu, dowiedział się, iż jego mieszkanie w płomieniach. Wysłał kilku ludzi na ratunek, a sam pozostał. Później spotkaliśmy go, kiedy nam pokazał jedną nogę od krzesła jako ostatni szczątek swoich ruchomości. Niechaj słowa nasze winnego uznania przyniosą choć słabą pociechę zacnemu mężowi.

Dom i handel radzcy Szukiewicza spalił się zupełnie; księgarnia Fiedleina jak słyszymy ocalała, chociaż znajduje się w domu (służącym za koszary), w którym bardzo wcześnie ogień wybuchnął. Ogień nigdzie nie był tak zacięty jak na ulicy Stolarskiej. Tam spłonęła między innymi kamienica p. Morsztyna, a z nią kosztowna biblioteka i rzadki zbiór numizmatów.

O godzinie zej z południa, w chwili, gdy najtęższy pożar zajmował połac północną rynku, gdy płomień ogarniał już domy rynku z strony zachodniej i w połączeniu z ulicą Stolarską zagrażał najbliższym domom przy kościele Panny Maryi stojącym, ksiądz Żłowodzki wyszedł z kościoła z Sanctissimum w rękę i otoczony natychmiast masą ludu, stanął na rogu Siennej ulicy i padłszy na kolana, zaczął śpiew: *Pod Twoją obronę uciekamy się o Panie!* Widok to był nie do opisania! Tam mieszkańcy wyrwywający z pośród płomieni, co jeszcze ratować się dało; dalej wojsko całe pod bronią; tu lud korzący się przed Bogiem Zastępców i o miłosierdzie nad resztą biednego miasta błagający!

– Mieszkańcom miasta towarzyszy rezygnacja trudna do wytłumaczenia, chyba tym niezmiernym ogromem nieszczęścia. Ratunek wyznać trzeba jest nie mówimy już uorganizowany, ale i niedołączny, a raczej żaden. Brak sikawek (o ile nam wiadomo, było

ich tylko cztery), brak wozów, beczek, konewek, owo zgoła brak wszystkiego, co tylko do straży ogniowej należy!

Nie wchodzimy w przyczyny, opisujemy fakta. Jednym słowem, los miasta naszego zawisł od kierunku chorągiewki ratusznej. Ciachość i konsternacja nie do opisania.

W jutrzejszym numerze postaramy się uzupełnić ten niedokładny obraz pisany pod wrażeniem i w chwili odbywającego się dramatu. Na teraz kilka tylko uwag, które nam się koniecznie pod pióro cisną.

Słyszeliśmy, że władze miejscowe obmyślają już środki dla ulżenia o ile możliwości losu nieszczęśliwym ofiarom. W tym celu zawezwano na obrady wielu obywateli. Rząd w sprawie tej będzie miał ku pomocy każdego uczciwego człowieka, każdego mieszkańca, który z tej strasznej powodzi wyszedł szczęśliwie.

W tem miejscu chcemy podać jedną radę. Kiedy po pożarze Hamburgskim znaczna część mieszkańców znalazła się bez poddasza, wybudowano natychmiast drewniane szałas, gdzie się mogli pomieścić ci, którzy gdzie indziej nie znaleźli schronienia. Zdaje nam się żebyśmy powinni korzystać z przykładu i wystawić także namioty, w miejscu, jakie za najstosowniejsze uznają.

Ublizalibyśmy sercom poczciwych Krakowianów, gdybyśmy mniemali, że potrzebujemy nakłaniać ich do przynoszenia pomocy nieszczęśliwym. Wszakże, gdy pojedyncze zasiłki albo nie dojdą do właściwych rąk, albo zaudadno małą przyniosą ulgę, redakcyja postanowiła rozpocząć subskrypcyę i otworzy ją, jak tylko władza da jej do tego stosowne upoważnienie.

ps. godzina gta zrana. Wiatr powstaje mocniejszy i silnie dmie w rynek. Dopóki ogień ugaszony zupełnie nie zostanie, dopóty jest niebezpieczeństwo, że tlejące zarzewie może pożar rozniecić.

Władze wyższe nader czynnie zajmują się obroną. Szef Komisyi Gubernialnej wezwał obywateli dla naradzenia się nad środkami. Podzielono miasto między obywateli, dla wyszukania konewek i wiaderek. P. Karol Kremer przyjął na siebie naczelny kierunek w obronie miasta od pożaru; życzyłyby jednakowoż wypadało, ażeby

o tem doniesiono publiczności, z przykazem posłuszeństwa temuż we wszystkich przedmiotach dotyczących pożaru.

Godzina 11 z rana. W tej chwili wszystkie usiłowania skierowane są na dom p. Mączyńskiej naprzeciwko odwachu, w celu zapobieżenia, aby się ogień nie szerzył po wschodniej części rynku. W obronie widać więcej energii i sprężystości. Sikawka w ciągłym ruchu i kilka szpalerów ludzi podających wodę. Na sąsiednich dachach widzieliśmy żołnierzy, a teraz odkomenderowano całą kompanię do ratowania.

Żandarmów rozesłano do okręgu po włościan do pomocy, widzieliśmy już kilkunastu przybywających. Na ulicach Stolarskiej, Szerokiej, Franciszkańskiej wolna już cyrkulacja. Wszędzie tli się jeszcze, ale płomienia nie ma nigdzie. – W grubarni przy kościele P. Maryi widzieliśmy 5 ludzi spalonych; trupy tych nieszczęśliwych noszą ślady najokropniejszych cierpień.

Dowiadujemy się w tej chwili, że Zamek Pieskowa Skała spłonął ogniem dnia wczorajszego.

PRZEDRUK ZA: Czas, 19 lipca 1850 roku.

I. Oczyma upamiętniających

Tablica 1853

Dnia 18 lipca 1850 r. o godzinie 1 z południa powstał ogień w Młynach Rządowych przy ulicy Krupniczej, którą w większej połowie zniszczywszy, mocą wiatru przeniósł na róg Ulicy Gołębiej, skąd szerząc się z niesłychaną szybkością, ogarnęła Ulicę Gołębią, Wiślną, Bracką, Franciszkańską, Szeroką, Stolarską, Śgo Józefa od strony południowej, Grodzką po obu stronach w długości od Ulicy Śgo Józefa do Rynku Głównego, Mały Rynek od strony południowej, wreszcie Rynek Główny od strony południowo-wschodniej. Tym sposobem zgorzało nieruchomości 163 N^o, między którymi Pałac Biskupa Krakowskiego, oraz cztery kościoły jako to Śgo Norberta, Franciszkanów, Dominikanów, Bernardynek, czyli Śgo Józefa, trzy ostatnie wraz z klasztorami do nich należącymi. Ku pamięci tak okropnej klęsce, ku uczczeniu wszystkich Dobroczyńców którzy z darami swojemi pospieszyli hojnie i skwapliwie już to dla niesienia pomocy nieszczęśliwym pogorzelnom pozbawionym wszelkich zasobów, już to dla odbudowania zniszczonych Świątyń Pańskich i Domów, napis ten w ścianie tego gmachu, również pożarowi uległego, a na nowo odbudowanego, położonym został 1853.

PRZEDRUK ZA: napis na tablicy pamiątkowej z 1853 roku na fasadzie odbudowanej kamienicy Hetmańskiej przy Rynku Głównym w Krakowie.

2. Potęga nieprzystępna siłom ludzkim.

Pożar w Hamburgu 1842

Gazeta Warszawska, 1842

Gazeta Rządowa Pruska zawiera następujący raport urzędowy z Hamburga otrzymany z poselstwa Hamburgskiego w Berlinie.

Hamburg 9 maja. Dziś dopiero jestem w stanie dać niejakie pewne wyobrażenie wielkości fatalnego pożaru, który znaczną część naszego miasta zniszczył. Wszystkie drukarnie pism pojedynczych albo zostały pastwą płomieni, albo, jeśli je zdołano ocalić, nie są jeszcze w stanie działalności. Dopiero dziś dzienniki nasze będą mogły połączyć swe raporta z doniesieniami sąsiednich dzienników, w znacznej części pewnych i autentycznych, ale nie wszędzie rozchodzących się. Łatwo pojąć, że pogłoski, którym rozpacz ludności pozbawionej domu i ogniska dodały olbrzymich skrzydeł, nie mogły ponieść w dalekie strony dokładnych i niezawodnych wiadomości o postępie okropnej katastrofy, której europejską ważność teraz dopiero ograniczone położenie pogorzelniska z niejaką dokładnością ocenić pozwala.

Pożar, który w nocy Wniebowstąpienia (dnia 5 maja) wybuchnął w Starem mieście, w części nie bardzo przystępnej, ale najbogatszymi składami towarów napełnionej, unoszony wiatrem znalazł niezmierne podsycenie w wysuszonym ciągłymi wschodnimi wiatrami drzewie, w magazynach napełnionych spirytusowymi płynami i łatwo palnymi towarami, tak, że w prędkiej chwili wzmógł się w potęgę nieprzystępną siłom ludzkim i rozszerzył w sposób grozący zupełnym zniszczeniem dwóm piątym częściom miasta. W tych właśnie dwóch parafjach, które ogień z całą gwałtownością ogarnął, znajdowała się największa liczba gmachów publicznych i najpiękniejszy kwiat przemysłu, nagromadzony dokoła szanownych przez wiek swój kościołów, ratusza i giełdy. Wkrótce przekonano się, że środki gaszenia pożaru zaprowadzone u nas podług najslawniejszej metody, która i za granicą nieraz okazała się najskuteczniejszą, nie zdołają nic poradzić przeciw niszczącej

wściekłości straszliwego żywiołu. Nie wahano się z powzięciem postanowienia przerwania postępu ognia przez zniszczenie domów i budynków łączących palące się części miasta z jego resztą, a sikawki musiały się ograniczyć na bronieniu niedosięgniętych jeszcze pożarem domów, leżących z drugiej strony szerokich kanałów, które palącą się część otaczały. Jakoż udało się ocalić bogate składy towarów złożone w parafji Św. Katarzyny; ale siekiery i bosaki nie mogły dość szybko rozrywać drewnianych budynków na Hopfen-Markt.

Przy znaczniejszych gmachach nawet w większej odległości, rozrywanie nawet przy największej szybkości mogłoby tylko posłużyć do otwarcia ogniewi przystępu do dachów. Senat nie wahał się przeto w wydaniu rozkazu użycia prochu. Tu gdzie doświadczenie miejscowe nie było dostatecznym, wkrótce połączyła się umiejętność i przezorność obcych i miejscowych inżynierów, obeznanych z siłą prochu w tak olbrzymim zastosowaniu, z nieustraszoną odwagą obywateli, do zaprowadzenia systemu równie śmiałych co szczęśliwych wysadzeń, przez które udało się położyć tamę szerzeniu się ognia, który byłby niewątpliwie i całe nowe miasto zniszczył. Bo przy zapadnięciu się wieży Św. Mikołaja, która pomimo wszelkich usiłowań nie mogła oprzeć się pożarowi, ogień przestąpił granicę, którą spodziewano się położyć mu na samym początku. Druga noc zastała jeszcze senat zgromadzony w ratuszu pod przewodnictwem szanowanych jego naczelników, który to gmach obok starej giełdy i banku stanowi środek miasta. Ale już ogień groził sąsiednim źle zabudowanym i zapelnionym składami przemysłu ulicom. Stara giełda i sam nawet ratusz musiały być poświęcone ocaleniu najbogatszej części miasta, którą można uważać za właściwą rezydencję hamburskiego handlu świata. Z wielkim zaledwie trudem udało się uratować księgi hipoteczne, najważniejszą część archiwów. Na koniec senat musiał schronić się od niebezpieczeństwa, i w kilka minut po przybyciu jego do gmachu miejskiego na NeueWall okropny łoskot doniósł, że ratusz gruzami swemi pokrył skarby banku, od których zachowania zależy kupiecka przyszłość

Hamburga. Ale jednak przez to nie osiągnięto ukończenia pożaru. Ogień przez mosty wdarł się do Neuewall i szybko ogarnął szereg hotelów i sklepów przy promenadzie Jungfernstieg i sąsiednie mieszkania bogaczy, napełnione wszystkimi skarbami sztuk, aż na koniec nowe wysadzenie kilku budynków w powietrze ocaliło nowy Jungfernstieg, esplanadę i teatr. Jeszcze spodziewano się ocalić wieżę Św. Piotra, najstarszą w mieście. Ale i tu nie powiodły się bohaterские wysilenia. Sławna odwieczna harmonika dzwonów zagrała sobie sama śmiertelną piosenkę. Ogień znowu znalazł wyłom. Na szczęście okna nowego gmachu dotykającego szkoły i biblioteki były zamurwane i gmach ten nie chwycił ognia. Z nim ocalała wielka część miasta zamieszkała przez niższą klasę. Szybki zwrot gwałtownego nieustającego wiatru obudził nowe obawy o los przedmieścia Świętego Jerzego, które obok przeszło dwóch tysięcy chorych w szpitalach było przytułkiem niezliczonego mnóstwa mieszkańców części spalonych, które tu szukało uciezki. Już zapalił się posterunek straży na wale, jednakże nadbiegłe z różnemi siłami sikawki, zdołały położyć tu tamę szerzeniu się pożaru. Prócz Opatrzności i wytrwałych usiłowań naszych obywateli, winni jesteśmy ocalenie pomocy sąsiednich a nawet najodleglejszych stron. (...)

Bliższe wyliczenie szczegółów ogromnych strat w gmachach publicznych i prywatnych budynkach zostawiamy dziennikom. Dodamy tylko że nowa giełda jakby szczęśliwy znak wznosi się w pośród gruzów prawie nienaruszona. Więcej niż kiedykolwiek handel miasta potrzebuje najswobodniejszego ruchu.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 18 maja 1842 roku.

3. Z przerażenia padają na progach. Dopisek o stolicy chilijskiej

Ignacy Domeyko (1802–1889)

(...) W środku miasta, na miejscu dawnego kolegium jezuitów muruje się wspaniały pałac na obie izby, to jest deputowanych i senatorów (congreso, capitolium), mający w kwadrat więcej niż pięćset metrów obwodu, na dwa piętra, a ten, co przy nim stał kościół jezuitski, co się z nim stało? Ach! bolesne wspomnienie! – Najprzód swawolą studentów puszczona w lot lechuza (sowa tutejsza) z uwiązaną do ogona zapaloną świecą zapaliła wieżę drewnianą i spalił się kościół. Zostały były mury, które na nowo zrestaurowano i powstał kościół piękniejszy, w którym najpobożniejsi kapłani, najpobożniejsza ludność: miasta, mianowicie kobiety zbierały się i z wielką pompą i uroczystością odprawiały modlitwy, szczególnie w wielkie święta do Najświętszej Panny. Kazania, spowiedzi, odpusty; na niczym nie zbywało. Lat temu dziesięć: odprawiano nowennę Niepokalanego Poczęcia i ostatniego dnia, 8 grudnia, w święto N. Panny był nieszpór. Tysiące świec zapalono, a po sufitach wisały niezliczone lampy palące się parafiny; wszystkie ołtarze od stóp aż do wierzchu okryte były sztucznymi i świeżymi kwiatami, a nad głową N. Panny był ogromny łuk z różnofarbnych świateł. O szóstej z wieczora otworzono kościół, drzwi wielkie i dwoje drzwi poboczne; w kwadrans tysiące ludu, które czekały na placu, wcisnęło się i nappełniło kościół, gdzie zwyczajem tutejszym nie było ławek i wszyscy klęczą na ziemi, mianowicie kobiety tak ściśnięte, jak u nas wieśniactwo na wielkich odpustach. Zakrystian zapalał jeszcze świece u wielkiego ołtarza, księża gotowali się do nabożeństwa – wtem od owego łuku ponad głowę N. Panny zajmuje się ogień i w mgnieniu oka cały ołtarz w płomieniu; od ołtarza bieży po gzymsach i sklepieniu, pękają lampy i zapalona parafina rzuca strumienie ognia na wszystkie strony, a przez otwarte okna w wysokiej środkowej kopule natężony ciąg powietrza, jakoby gwałtowny prąd w rewerberowym kominie, podnieca i rozżarza pożogę. W pięć, w dziesięć

minut mogłaby spokojnie wyjść z kościoła przez wielkie troje drzwi pobożna ludność, na nieszczęście z pośpiechu, z przerażenia padają na progach biedne kobiety, na nie upadają drugie i w parę minut tworzą się kupy, jakoby groble trupów, którymi zavalone wszystkie drzwi; zamkniętych zostało w dymie, w płomieniu i w palącej się parafinowej parze półtora tysiąca biednych kobiet, kiedy jeszcze niektóre, depcząc po stosach trupów i przy pomocy odważniejszych ludzi biegnących na ratunek, ratowały się ucieczką. Z tych, co były wewnątrz kościoła, żadna nie ocalała, a u drzwi kościelnych uformowały się stopy trupiego węgla. Okropna łuna świeciła nad miastem i oświetlała plac, na który wyciągano na pół żywe, pokalczone, z palącą się jeszcze odzieżą ofiary. I w tej opłakanej chwili, wśród jęku kobiecego i wrzasku dzieci spada ogromny dzwon z zapłomienionej wieży i po ostatni raz wyziewa swój straszny głos pogrzebowy. Nie upłynęło dwudziestu minut, a do dwóch tysięcy kobiet spaliło się w kościele, wszelkiego stanu i powołania. Wiele z najpierwszych familii, bogate panie, Larrain, Ovalle etc., umarły ze swoimi dziećmi w tym pożarze, w takim natłoku, że ich trupów i szkieletów nie poznano, nie odróżniono od innych, a więcej niż osiemset służących i uboższych kobiet zgorzało. Przez dwa dni następne pracowano nad uprzątnieniem trupów i poczerniałych kości i pochowano je razem, w jednym grobie, na którym dziś zimny kamień leży z napisem: „Tu pogrzebiono dwa tysiące kobiet zgorzałych w dzień Niepokalanego Poczęcia N. Panny w kościele de la Compania”. Żałoba była powszechna; przypominano, że jeszcze za czasów hiszpańskiego rządu ten sam kościół spalił się; postanowiono zburzyć mur pozostały na zgliszczu, ku czemu przez wiele miesięcy mnóstwo ludzi było użytych. Teraz na tym miejscu plac wielki, szeroki; na środku czarny pomnik ze śpiżu, kolosalna statua Boskiej Dziewicy z wyciągniętymi do nieba rękoma.

PRZEDRUK ZA: Ignacy Domeyko, *Moje podróże*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Nieciowa, Wrocław-Warszawa-Kraków 1963, t. 2, s. 304-305.

4. Pożary w Polsce i Rosji w pamiętnikach, dziennikach i zapiskach historycznych

A. Rozpaczy został padołem. Pożary podczas wojen napoleońskich

Eu-go Helenijusz (właśc. Eustachy Antoni
Heleniusz Iwanowski, 1813–1903)

W roku 1811 wielkie były pożary w całym kraju, szczególnie na Wołyniu i w kijowskiej gubernii. Wszystkie miasta, miasteczka po kilka razy gorzały; nie można było dociec tego przyczyny; mówiono, że nieprzyjaciel, gotując się na wojnę z Rosją, postanowił przedtym go zniszczyć, przerazić, i przejąć trwogą, któraby mogła ułatwić zwycięstwo, i wygnanie z zabranego kraju. Generał Ertel był przysłany dla odkrycia tych pożarów na Wołyn z prawem miecza; w najokrutniejszy sposób dopełniał śledztwa, ale nic nie odkrył.(...)

„Okropny to był czas”, mówi nasz autor, „gdzie ogień niszczył, nieprzyjaciel groził, niesprawiedliwość uciskała, a kara groziła; pozycja każdego obywatela i mieszkańca była przykra i niepewna; rekwizyta od obywateli egzekwowane, odsyłano do rozmaitych punktów. (...) W tej drodze przejeżdżał przez Kijów, w czasie samego wielkiego pożaru; jako naoczny świadek tę klęskę opisał:

„Zaledwo spoza wierzchołków gór stromych i lasów na nich zarosłych zabłysła złotem czołem peczerskiej ławry olbrzymia wieża, i zamajaczył w oddali Kijów, ukazał się w jednej chwili ogromny słup czarnego dymu, wznoszący się wysoko w powietrzu, formując w wyższej atmosferze jakby chmurę, która gdyby całunem nocy okrywała miasto; domyśliłem się, że to pożar, któremu podlegały wszystkie miasta; głosząco wówczas, że Napoleon, chcąc osłabić potęgę Rosyi, usiłuje zniszczyć jej bogactwa paleniem miast większych, dla tego i Kijów gorzał. W miesiącu wrześniu roku 1811, przybywszy o godzinie jedenastej z rana, znalazłem na

Pieczerskiem okropną trwogę, ruch wielki dorózek, śpieszących wszystkich w jedną stronę i wołających przeraźliwie: «Padoł gore, Padoł gore!». Padoł, jako port nad Dnieprem, był od dawna najbogatszym składem rozmaitych produktów krajowych, rozchodzących się Dnieprem do odległych prowincyj, nawet do obcych krajów, i magazynem milionowej wartości. Prócz cerkwi cały był z drzewa sosnowego zbudowany, i nadzwyczaj ścieśniony; od rozpoczęcia pożaru, w czasie ogromnej suszy, ratunek był trudnym; po rozszerzeniu się zaś już niepodobnym. Z ogrodu zwanego carskim sadem, widok ginącego w płomieniach Padołu był przerażającym. Ogród napelniony był masą nieprzeliczoną ludności, różnego stanu, płci i wieku zbiegłych z tego piekła, i przypatrujących się z tej wyżyny ogólnemu zniszczeniu. Pułki szły na obronę od pożaru i wracały unosząc własne życie. Roztopione cukry, woski, oliwy, łoje, płynęły, gdyby lawa z krateru, paląc się różnokolorowym płomieniem, wpływając do Dniepru, i zapalały jego brzegi. W tłumie przepelniającym ogród dawały się słyszeć jęki zrozpaczonych matek, niemogących odszukać swych dzieci, głosy i płacze rozpaczających kupców, przed chwilą bogaczy, pogrążonych w ubóstwie i nędzy; na każdym kroku widziano łamiących ręce z boleści, mdlejących z rozpacz. Byli i tacy, którzy rzucali się z wysokości kilkuset sążniowej w nurty Dniepru, by w nich znaleźć zapomnienie. Padoł ze szczętem zginął. Ogród peczerski płaczu, boleści, rozpacz został padołem. Za nadejściem nocy widok był okropniejszy; wokoło panowała ciemność, jeden punkt wielkiego ogniska był wydatniejszym, i tem więcej przerażającym; był to wulkan buchający zniszczeniem; pękały mury odwiecznych świątyń waliły się niebotyczne wieże, padały złocene krzyże, nikły, drogie pamiątki carów, kniazów, w bogatych zgromadzone klasztorach, a wzbijające się do góry iskry, od walących się gmachów gdy opadały na dół, wyobrażały ognisty deszcz Sodomy i Gomory. Monaster Bracki, będący od innych budowli przestronnym placem oddzielony, i opasany wysokim murem, najdłużej się opierał; lecz gdy żelaza dach kryjące od samego gorąca zamieniły się w ogień, i olbrzym ten upadł. W lochach monasteru był arsenał

miejski; składano prochy dla gwardyi municypalnej kijowskiej; gdy ogień się wkraśl do lochów, odłamy murów z fundamentów z beczułkami, wznosić się zaczęły do góry; huki i wyłom takie zrobiły wstrząśnienie, zdawało się, że góra Peczerska z ogrodem zdrząły i były zapadnienia bliskie. Dwie doby płomieniem niedostępnym gorzał Padoł, a więcej tygodnia tlały szczątki gruzem przywalone, i żadnym sposobem przez Padoł nie można było przejeżdżać.

Nagle usłyszałem krzyk, hałas, zamieszanie i trwogę, ogłaszana przez dzwony, bębny, i latających dorózkami kwartalnych. Krzyczano: «Peczersk się pali! Peczersk gore!». Przed spaleniem się Padołu, mnich jeden głosił i przepowiadał, że cały Kijów się spali; zdawała się spełniać ta przepowiednia, gdy w dzień o dziesiątej zapalił się na Peczerskim dom komendanta fortecy generała Massa; oprócz tego domu i kilku przyległych, nic się więcej nie spaliło. Pożar został ugaszonym, straż była bardzo silna, nie wpuszczano nikogo do miasta i z miasta. Generał gubernator Miłoradowicz rozkazał chwycić podpalaczy i pilnować tak silnie, że pożar ustał; zupełnie go przerwano – więcej się na Peczerskim nie okazał. Padoł najniebezpieczniejszy przedstawiał obraz; ileż to trupów wpół zgorzałych i zupełnie zwęglonych widziałem, ile nieszczęśliwych ludzi błądzących po ruinach zrospaczonych i wybladłych, w postaci ludzi jakby nie z tego świata, szukali miejsca swej siedziby i nie mogli znaleźć; ileż spoza sterczących rozwalin nie dało się słyszeć jęków bolesnych, zdradzających ukryte za niemi ofiary. Wyziewy z tlejących kup rozmaitego zboża, zebranego przez podrady, z tlejących się jeszcze futer, skór, sukiennych i bławatnych materyałów, zmieszane ze swędem tłustości i spalenizny tłumiły oddech; dla piersi brakło powietrza, a przebyć ten padoł płaczu nie można było prędko przez zawalone gruzem ulice, i powypalane mosty; sądziłem że się uduszę, nim zdążyłem na Kanawę, część miasta nietkniętego przez ogień”.

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia lat minionych Eu-go Heleniusza*, Kraków 1876, t. 2, s. 353–357.

B. Istne potoki ognia. Pożar na zesłaniu (i inne nieszczęścia)

Deotyma – Jadwiga Łuszczewska (1834–1908)

Życie prowadziliśmy niezmiernie samotne. Z wygnańców nie było nikogo innego, a z miejscowymi nie pozwolił nam się poznawać tamtejszy gubernator, człowiek dziwnie tchórzliwy. Ledwie przeledwie przystał na księdza i doktora i to jeszcze dodawał: „Jak najrzadziej widujcie się z nimi, jeśli chcecie, abym o was dobre raporta wyprawiał.”

Miał wprawdzie ten pobyt dodatnie strony. Był ów ksiądz katolicki przy sporej kaplicy. Był telegraf, cudowny sposób szybkiego porozumiewania się z Warszawą. Było na koniec i niejaki prawdopodobieństwo przyjazdu mojej matki do Symbirska. Wprawdzie i tu zły klimat zagrażał jej zdrowiu, i tu długość drogi przerażała nas dla niej mocno, jednakże z czasem rzecz mogła przyjść do skutku.

Ale wkrótce i ta możebność znikła, nagle unicestwiona niespodziewaną katastrofą.

W ostatnich dniach sierpnia zaczęły się w Symbirsku dziwnie częste pożary. Po dwa, po trzy dziennie, i to w różnych dzielnicach, niemających z sobą żadnego stosunku.

Pierwszego dnia rzecz wydała się przypadkową, drugiego – już budziła podejrzenia, trzeciego – już nikt nie wątpił, że miasto jest podpalone, jak to mówią, na c z e r e c h r o g a c h.

Pomimo wszelkich środków ostrożności, pomimo najrozpaczliwszych wysiłków (bo niczego nie żałują ludzie, którzy bronią mienia i życia), straszny żywioł rozszalał się jak wulkan. Powstawały istne potoki ognia, które szły przez miasto w rozmaitych kierunkach, spotykały się i krzyżowały wzajem, a gdzie przeszły, tam już nie było po co się i schylić. Gdy taki potok płomienny nadchodził, wtedy na zagrożonych ulicach zjawiało się wojsko z bębniami i piszczałkami; to był znak dla mieszkańców, aby opuszczali domy i wynosili się za miasto.

Dzwony ciągle były na alarm, chociaż coraz mniej gęsto, bo coraz to któraś cerkiew, spaliwszy się, milkła. Aż w końcu wszystkie zamilkły.

Piątego dnia, przyszła kolej i na naszą ulicę. Dzięki energii mego ojca dostaliśmy telegę, mogliśmy na niej uratować rzeczy i wynieśliśmy się w pole, gdzie pierwszą noc przebyliśmy dosłownie *à la belle étoile*. I gdybyż przynajmniej gwiazdy były nam wiernie dotrzymały do końca! Ale nad ranem deszcz zaczął padać i musieliśmy sobie urządzić hotentocką budkę.

Deszcz nie potrwał. Ze wschodem słońca znów się wróciły owe przerażające upały, od których nigdzie nie było zasłony, bo wokół miasta panował jeden step wyżółkły, a na kilkanaście mil w okrąg wszystkie wioski także się paliły.

Szóstego dnia już cała dwudziestotysięczna ludność miasta obozowała na tym stepie. Gubernator ledwie uciekł z pożogi w pożyczanym płaszczu, pałac jego spłonął do szczytu, cały Symbirsk był już teraz jednym morzem ognia. Od bajecznego rozgrzania się atmosfery potworzyły się nad miastem trąby powietrzne, które, pędząc na pola, niosły żarzące węgle i całunem dymu zaciemniały słońce.

Wtedy wśród obozowisk powstał popłoch niesłychany, ludzie musieli co siły uciekać, bo kogo trąba dosięgła, ten zaduszał się w dymie lub gorzał pod ognistym deszczem. I myśmy ledwie z życiem uszli.

W owych godzinach nie tylko nam, ale i niektórym nieco wykształceńszym symbirszczanom, przyszły na pamięć *Ostatnie dni Pompei*.

Nauczeni straszną przestrogą, przenieśliśmy się o całą wiorstę dalej. Tam z naszych kufrów (cudem uratowanych), z niektórych pożyczonych sprzętów, z der i prześcieradeł zbudowaliśmy sobie szałas, wprawdzie bardzo niski, ale dość obszerny; wchodzić tam nie można było inaczej, tylko na czworakach, za to raz usiadłszy, człowiek mógł sobie radzić wcale nieźle i na przekór losom humor nam tak dopisywał, żeśmy tam sobie czytali, mój ojciec gospodarował, ja cerowałam, a nawet napisałam spory ustęp *Wandy*.

Jednak wszystko to robiło się mniej więcej na głodno i tu spoczywało drugie niebezpieczeństwo, nie mniejsze od ognia; cała ta koczująca ludność była zagrożona głodową śmiercią. Urządzono wprawdzie na polach rodzaj żołnierskich pieców, gotowano tam jakąś niby zupę, ale to jadło było i okropnie drogie, i ohydne. Każdy też miał jakieś zapasiki, to wina, to pierników, to wędlin, wszelako przeczorność nakazywała jak najoszczędniej używać tych skarbów.

Strasliwsze nad wszystko były noce. Chodziła nieustanna pogłoska, że na zakończenie podpalań będzie rzeź. Kto miał kogo zarzynać? Nikt nie wiedział, ale można sobie wyobrazić, ile z tego powodu rodziło się podejrzeń i posądzeń! A już nikogo bardziej nie posądzano, jak nas, jedynych tam zesłańców.

Jest to rzeczą dla mnie do dziś dnia niezrozumiałą, jakim cudem ocaleliśmy wtedy? Bo jednak lud zabił kilkanaście osób. Kilkadziesiąt innych zginęło w płomieniach. Nas Pan Bóg otoczył jakąś tarczą nadziejskiej opieki, która sprawiła, żeśmy z tego dantejskiego piekła wyszli żywi, cali, stosunkowo zdrowi, nie straciwszy nawet nic z naszych rzeczy.

Ale co dusze nasze przeszły, tego i Dante by nie wyśpiewał.

Kto mógł, ten uciekał. Wózkami, statkami parowymi rozjeżdżano się tłumnie. My tylko jedni, przykuci do miejsca, nie mogliśmy się ruszyć i nie wiedzieliśmy wcale, jaka nas czeka przyszłość, aż sama przyroda podjęła się jej rozstrzygnięcia.

Nastał już był wrzesień, a skwary ciągle trwały. Sama widziałam, jak nasz termometr pokazywał w cieniu trzydzieści sześć stopni Réaumura! Tymczasem, gdy nadszedł dziesiąty dzień obozowania, wstawszy rano i odsunąwszy derę, co zamykała wejście, wydaliśmy okrzyk podziwienia: pola były bieluteńkie!

Przymrozek od razu chwycił. W ciągu dnia musieliśmy po części zburzyć nasz biedny szałas, ażeby otworzyć kufry i dobyć sobie futra. Przy takich warunkach niepodobna było dalej wytrwać w polu.

Z całego Symbirska nic nie ocalalo, prócz nędznych kilkunastu dworców, położonych w niejakim oddaleniu nad wodą. Można

sobie wystawić, ile rodzin dobijało się tam o mieszkanie. Jednak mój ojciec tak mądrze zabrał się do rzeczy, że potrafił wytargować dla nas dwa pokoje.

Gdyśmy się ujrzeli pod prawdziwym dachem, wśród prawdziwych drzwi i okien, gdzie nic nam na głowę nie kapało, gdzie w nocy żadne zwierzę nie zaglądało, myśleliśmy, jesteśmy w raj.

Wprawdzie i tam nie brakło zwierząt. Co wieczór seciny szczurów, goniąc się nad pułapem i za ścianami, wyprawiały tak niesłychany sabat, że gdy dla obrony zaprosiliśmy kota, choć kocisko było ogromne, czarne i złośliwe, przecież złękło się, wyduło grzbiet i uciekło. Myśmy nie uciekli, bo też i nie mogliśmy już wrócić na pole; śnieg padał w najlepsze i w tydzień później była już pyszna sanna.

I tym to porządkiem zawsze rok toczy się dla tamtych guberni. Dziewięć miesięcy zimy twardej, nigdy nierozmarzającej. Potem sześć tygodni potopu. Dalej sześć tygodni senegalskich upałów. I znów dziewięć miesięcy zimy – i tak ciągle w kółko.

Pomimo szczurów, które ostatecznie, prócz strachu, nie zrzędziły nam żadnej szkody, było nam bardzo dobrze w tych pokojach, ciepłych, obszernych i widnych. Wróciliśmy do naszych zajęć, do naszych przeróżnych zabaw, coraz wdzięczniejsi Bogu, coraz bardziej nad sobą wzajem rozczuleni.

PRZEDRUK ZA: Deotyma Jadwiga Łuszczewska, *Pamiętnik*, wstępem i przypisami opatrzył Juliusz Gomulicki, Warszawa 1968, s. 136–139.

C. Naród nasz odstąpił od budy. Pożar w cyrku petersburskim

Aleksander Nikitienko (1804–1877)

3 11 1836

Wczoraj zdarzył się w Petersburgu straszliwy wypadek. Od kilku już lat wśród karnawałowych widowisk jarmarcznych pierwsze miejsce zajmuje cyrk Lemana, znakomitego sztukmistrza, którym publiczność zawsze się zachwyca. W niedzielę, czyli wczoraj, dawał on swe pierwsze przedstawienie. Buda cyrkowa się zapaliła. Ludzie siedzący w tylnych rzędach rzucili się do drzwi – a były ich tylko dwie pary. Ci, co siedzieli bliżej wyjścia, to znaczy w fotelach czy zaraz za nimi, istotnie ocalili. Wkrótce jednak tłum napływający do drzwi nacisnął na nie tak, że nie dało się ich otworzyć. Tymczasem ogień błyskawicznie zamienił go w gorejący stos, gdzie płonęli żywi ludzie. Żadnej pomocy nie zdążono udzielić. Po kwadransie wszystko przekształciło się w węgle i popiół; krzyki ucichły, a pośród dymiących ruin odsłoniły się zwaly popalonych trupów.

Zdarzyło się to o wpół do piątej po południu. Cesarz zrobił wszystko, co mógł, dla uratowania nieszczęsnych, lecz było już za późno. Według „Pszczoly Północy” zginęło 126 osób, wg prywatnych, nieoficjalnych wieści – dwa razy tyle. A ponadto wielu widziało ogromną skrzynię pełną kości zebranych w miejscach, gdzie szalał największy pożar. Lemana, właściciel budy, obił ją dla ocieplenia namołowaną ceratą, a w dodatku wszystkie deski również były pokryte smołą; nic więc dziwnego, że ogień tak szybko się rozprzestrzenił. Mówią, że pożar powstał od lampy, która stała za blisko ściany i zapaliła ceratę. Dziś przejeżdżałem obok i nie widziałem już niczego prócz czarnej plamy: ciągle tam jeszcze zgarniają zgłiszczca, a wśród nich ludzi, co w ciągu kwadransa zamienili się w garść popiołu.

10 11 1836

Okazuje się, że setki ludzi mogą spłonąć z powodu nadmiernej opieki nad nimi [policji]. Wydaje się to dziwne, lecz rzeczywiście

tak właśnie jest. Oto pewna okoliczność pożaru w budzie Lemana, która dopiero teraz wyszła na jaw. Kiedy wybuchł pożar i wewnątrz rozległy się pierwsze krzyki, tłum zgromadzony na placu z okazji świąt rzucił się do budy, by ją rozbierać i uwalniać ludzi. Nagle zjawia się policja, rozgania cizbę i zakazuje jakichkolwiek działań, dopóki nie przyjadą strażacy, albowiem tylko oni mają urzędowe prawo gasić pożary. Naród nasz, nawykły do bezwzględnej uległości, odstąpił od budy, stanął w przyzwoitej odległości i spokojnie przyglądał się straszliwemu widowisku. Zaś strażacka drużyna zdążyła w sam raz po to, by wyciągać bosakami z ognia popalone trupy. Był wszelako mały wyjątek: kilku śmiałków nie posłuchało policji, ruszyło do budy i wyrwawszy parę desek uratowało trzy czy cztery osoby. Szybko ich jednak odepchnięto. Za to „Pszczola Północy”, informując publiczność o pożarze, obwieściła, że ludzie płonęli w zadziwiającym porządku i że przestrzegano przy tym wszystkich stosownych zarządzeń. Cesarz, jak mówią, gniewał się, że pozwolono tylu zginąć, ale nikomu to życia nie przywróci.

Aleksander Nikitienko, *Dziennik* (fragmenty z epoki mikołajowskiej 1826–1855), przeł. Marta Zielińska, „Przegląd Wschodni” 1991, t. 1, z. 2, s. 393–394.

**D. Już cedr jak murzyn, jak kruk, jak żałoba
wdowia czarny. Pożar kościoła na Litwie**

Franciszek Mickiewicz (1796–1862)

Kiedy wszyscy podług stopni, godności, majątku, usposobienia, zamiarów, cywilizacji, obyczajów, skłonności podzieleni na grupy oddali się rozrywkom jesiennego wieczora; kiedy trąby przeraźliwie wrzasnęły, kotły, bębny zagrzmiały; już i kościelne dzwony bezustannie jęczą, wiatr pędzi kłęby gęstych dymów na ulice, tło ich latarnie zaćmiły. Miasto – jak w grobie. Wszędzie wszyscy pytają, co to znaczy? nikt odpowiedzieć nie umie. Wtem wojskowi krzyknęli: „w dzielnicy magazynów sian, owsa, sucharów, mąki, pożar, pożar”!

Płomień buchnął nad dachy dwupiętrowe pojezuickiego klasztoru. Trwoga, zamieszanie, już drewniane ściany najbliższych kilku budynków jak zarzewie błyszczą, gdy kilka w popiół rozsypane wiatr rozwiewa, już pół linii rynku tworzy ścianę ognistą – drugą, gdy wstęga promieni czoło opasane, około drugiej skrå zarzucona, jak fajerwerkiem Bengala, place, zaułki, ulice po całym mieście zarzewie szkodłów* i wągł rozjarzony, jak grad bez przerwy lecą, już liżnęło płomię po składach wódek, miodów, olei, smoły, tłustości i pękły pipy, beczki, kadzie, naczynia, butelki. Leją się rzeki ogniste po brukowanej ulicy u podnoża domów, niszczące w perzynę sklepy, do jakich wpłyną, lub zawady, jakie namacać się mogą. Ryknął grom, wstrzęsło się z posady miasto, ogień coraz skwapiony zapuszcza się dalej, proch wyrzucił kamienice, bo w sklepach jej prezent naczelnego Polaków wodza, co chwila spodziewanego, był zachowany. Sypie się piasek wapna i cegieł, jak deszcz rzęsisty. Ludzie trwożliwi. Wszędzie niebezpiecznie, wszędzie nie ma potrzebnego przystępu do ratowania. – Już dwie sikawki niebacznie wwieszone spłonęły. Odważniejsi pokaleczeni lub w pół popaleni, a pożar lot swój natęży, objętością skrzydeł niszczącej łuny już okrąży dom Mikołaja,

* tu wyraz nieczytelny – przypis wydawcy

a połknąwszy officynę, stajnię i składy, walczy z murami kamienicy, tam silnie odparty, gwałtownie, zażarcie wpada na kościółek Ś-go Mikołaja. Cedrowe wiekuiste ściany potnieją, syczą ogniste węże, wijące się po węglach, już cedr jak murzyn, jak kruk, jak żałoba wdowia czarny, zapali się, to zgaśnie, nareszcie uległ przemocy, z łoskotem i trzaskiem już dycha płomieniem. Przez drzwi leją się ogniów fontanny. We środku budowy migają się cienie człowiecze. Wszyscy krzyczą, co to znaczy? nikt wytłumaczyć nie może. Na dach baczość zwrócono. On jeszcze nietknięty, a słup ognia pokrywa. Na wieży: tam w oknie dwóch ludzi błagają ratunku. Ależ jaki na prędcę wymyślić albo wykonać przelękniony lud może? Drabiny podstawione nie sięgają okien kopuły, sznur wielolicznie zarzucony nigdzie skutecznie zawisnąć nie może. – W tem: „synu! synu!” I chrapliwy głos z wieży spada na zebrane tłumy. – Wybiega młodzieniec i sznurem się opasuje, skoczył na drabinę. Już na najwyższym szczeblu, gdyby jaskółka przyczepia się do ściany, nóg i rąk palce zapuszcza w szczeliny, pełźnie jak owad, a wznosząc na przemian ręce do góry i niemi maca; – „łap! za krawędzie okna!” – Dał szpryngła, już w wieży. Powróż przez zapory okna przerzuca, a tak wszyscy trzej razem w pół ciała przewiązują się spuszczeni z wieży aż na ziemię przez ludzi, którzy drugi koniec powroza u rąk swych mocno trzymali.

W prochach mały kościółek, w prochach ośmnaście domów; zginęło śpiących, mniej przytomnych, niewiast, starców, kalekich, dzieciaków wiele; – a dwie osoby, co w zamiśle obronienia zakrystyi Ś-go Mikołaja czy podobno tam ukrytej jakiejś patryotycznej tajemnicy pośród płomieni cieniem migali się – a tym to młodzieńca sposobem uratowani zostali.

Nazajutrz Mikołaj ciężko zachorował, a Barbara, siedząca u głowy jego łóżka, rzewnie płakała. Ksiądz na ociśnienie powrozone żołądka uskarżał się. Kiedy te trzy osoby nad wypadkiem wczorajszym rozmyślali, leżący, nagle zwracając się do żony, głębokoboko westchnąwszy, dobitnie te słowa wyrzekł: „Gniewałaś się, że do wdrapywania się na dachy, drzewa i wieże zachęcałem, a dzisiaj

płaczesz z radości, że on to doskonale posiada; – nigdy losu dziecka rodzice nie przewidzą, niechże więc wszystko umie, starać się nam o to potrzeba”.

Mikołaj chory, krwią pluje, słaby, w okopciałych przez pożar murach leży; – w nim ówczesne tajemnice stosunków Białego Orła z Pogonią spoczywają. – Od pożaru codziennie rwie się przędza tu w fabryce patriotyzmu skupiona, a nić ciągnięta obszernego łuku promieniów nadal snuć się nie daje, bo nie ma stosownych do przedsięwzięcia materiałów – jedne w rozsypaniu są w prochy na czas przyszły potrzebne dla kamienicy, albo kościołka – drugie z przyczyny choroby, nieporozumień, wreszcie nowego napływu dotąd jeszcze nie zbadanych bohaterów północy i inne na przyszłość nieprzewidziane wypadki potrzebują nieodzownego zgromadzenia na stanowczą radę, której zebranie, ażeby wrogów mniej było w oczy, na zbliżające się Sejmiki obywatelskie powiatu tu zawyroковано i odłożono – a tymczasem ku pomocy cierpiącej ludności przystąpiono. – Gdy Mikołaj, leżący w tej dobroczynnej komisji prezydował, Barbara również w zgromadzeniu płci swojej niepoślednie trzymała miejsce. – Odtąd dom ich zamienił się w posiedzenia rady jałmużników, w spichrze Opatrzności Bożej dla pogorzalców od serc cnotliwych bez przerwy dostatkami na żywność wypełniane. – A tak wszyscy nieszczęśliwi bez różnicy stanu, religii – w potrzebach dla życia, odzieży, pomieszkania, tak nagłych, w miarę złożonych funduszów opatrowani zostawali. Każda familia była zadowolniona, bo Barbara już to w stosunki urodzenia, nawykłość do wygód, najskrópolatniej wierając, zawsze odpowiadała zamiarom obowiązków na ją włożonych.

A kiedy coraz to nowe sposoby dla wsparcia nieszczęśliwych obmyślano – syn ich z porządku urodzenia drugi J. żądzą litości przejęty wypracował o dę o p o ż a r z e. – W jej trafnie nieszczęście mieszkańców, popłoch miasta skreśliwszy, nie omieszkał satyrycznie opisać Pawłogrodzkiego huzarów połku, w owym czasie na garnizonie będącego, jak niemniej z łupieztwa sławney policji miasta pod naczelnictwem nienawidzianego człowieka, współnika

zwycięstwa Suworowa, – bo jego kamerdynera – a teraz odstawnego podpołkownika, krzyżów Anny 2-giej klasy, Włodzimierza, Jerozolimskiego kommandora – z rodu małorossyanina Hresiewickiego i innej, podobney hołoty urzędników, od korony moskiewskiej usadowionych, którzy nawet w najgwałtowniejszych nieszczęściach o pomnożeniu majątków własnych nie zapominają. A gdy z pożaru odkryto kątbandę zagranicznych towarów, – trunków – szczególnie mają zasób starannie ukrytej, a już na wągl w kościołku spalonej broni – nawet o przyczynie wysadzenia się w powietrze kamienicy śledcze badania urządzić się poczęły. – W rozjątrzeniu umysłów wiersz takowy, przez ucznia klasy 4-ej ułożony, niewymownie przypadł do smaku.

Damy, trudniące się urzędem jałmużnic, znajdując w nim moc, wzruszającą nawet tyranów serce, i skłaniającą je do koniecznej li-tości, już własnoręcznie wiele kopii rozpisawszy, puściły je w obieg z razu w powiecie, potem w gubernii i dalej. Zewsząd szły składki i pochwały dla młodego autora. Ale gotówką okupiono się od dalszych badań nieprzyjaciół krajowców. – Na brzęk monety rozpoczęte komisyje zwiniono. Tak cicho w mieście; jak przed pożarem było, a tylko Oda o pożarze w każdego uściech została. Jej niektóre ustępy w towarzystwach deklamowano, a inne dla moskwiczinów za przymówki służyły; ci zaś dla Mikołaja zemstę poprzysięgli, gdyby tylko jaka okoliczność wywiązać się mogła.

Franciszek Mickiewicz, *Pamiętnik*, z autografu wydał i objaśnił Józef Kallenbach, słowo wstępne Władysława Mickiewicza, Lwów 1923, s. 70–74.

E. Zbiory były już w stodołach. Na wsi galicyjskiej

Kazimierz Chłędowski (1843–1920)

Tuż przed moimi egzaminami zaszła ciężka katastrofa w Równem, która nas pogrążyła prawie w zupełną materialną ruinę. Właśnie bawiłem na wakacjach, było to z końcem sierpnia; wcale dobre w r. 1865 zbiory były już w stodołach, a ostatnia fura zbożem wjechała w podwórze. Ojciec mój chory leżał w łóżku, ale mieliśmy trochę otuchy, bo dochód ze zbiorów obiecywał jako tako podeprzeć interesy. Poszliśmy spokojnie spać, ja do mojego pokoju, którego okna wychodziły częścią na podwórze, spichlerz i stodoły, częścią na ogród owocowy i na tyły gumien. Około pierwszej w nocy obudziła mnie jakaś jasność; otwarłem oczy; zupełnie widno było w pokoju i złowrogi szum i trzaskanie w powietrzu mnie dochodziło. Wyjrzałem przez okno; olbrzymie płomienie były z gumien, straszny pożar huczał już w całej pełni. W mgnieniu oka się ubrałem, ale i ludzie przy gospodarstwie już się pobudzili, biegali bezradnie; wyjrzałem raz jeszcze ku ogrodowi i zdawało mi się, że za płotem widziałem jakąś pochyloną postać uciekającą ku karczmie. Obudziliśmy ojca, którego okno zamknięte okiennicą wychodziło w odwrotną stronę dworu, pobiegliśmy ku gumnom: matka, siostra moja i ja – o ratunku mowy nie było. Nad oświeconymi drzewami latały niespokojnie spłoszone ptaki, a domownicy, ludzie ze wsi pozbiegali się i stali w oddaleniu od ognia, w milczeniu, jakby osłupiali. Kilku rzeźwiejszych parobków rzuciło się do stajni, aby bydło i konie wyganiać; myśmy zaczęli o tym myśleć, aby ruchomości ze dworu ratować, całe snopki bowiem ze słomianych dachów, całe palace się gonty zaczęły się rozpryskiwać na znaczne oddalenie, gnane i wyrzucane prądami wiatru, wywołanymi rozgrzanym powietrzem. Wynieśliśmy chorego ojca z łóżkiem na ogród, ale wiatr dął w odwrotną stronę, nie ku dworowi, tylko w pole i widzieliśmy, że tylko gumna ze wszystkim, co się w nich znajduje, i spichlerz staną się pastwą pożaru. Chłópstwo stało beczynninie, fatalistycznie,

a w tym ciemnym tłumie co najwięcej słychać było od czasu do czasu półgłosem wymówione lamentacje: „Chryste Jezu, Matko Boska, zmiłuj się...” O jakimś zorganizowanym ratunku, o jakiejś straży pożarnej mowy wtedy nie było, a dopiero nad ranem przybyło kilku energicznych ludzi ze służby dworskiej w sąsiedztwach, którzy stajnię i dwór od pożaru zaczęli odosabniać. Nad ranem wielkie, buchające w górę płomienie się zmniejszyły, zbite zboże, ziarno paliły się spokojnym żarem i wydawały gorące i duszące wyziewy, tak że się do paleniska zbliżyć nie było można. W tydzień jeszcze był żar pod popiołami. Gdy zadniało i obejrzelśmy się po dworskim obejściu, nie było gumna z całoroczną krestencją, nie było spichlerza z resztkami przeszłorocznego zboża, nie było paszy na zimę dla bydła, ale najzupełniejsza majątkowa ruina wytrzeszczała do nas swe zapadłe, złowrogie oczy. Asekurowanym nic nie było, asekuracja była jeszcze dość droga, a ojciec chciał wprawdzie zabezpieczyć zbiory, ale miał pojechać w tym celu do Dukli, jak się z łóżka podniesie. W milczeniu patrzyliśmy się po sobie w małej naszej rodzinie i pytali, co dalej? Gospodarstwa nie było czym dalej prowadzić, półrocznej raty dzierżawnej nie było za co zapłacić, moje dalsze studia nawet były narażone, skąd bowiem wezmę funduszów, aby do Krakowa powrócić. Nie potrzebowaliśmy nawet mówić, kto nas spalił... wiedzieliśmy dobrze, że Feiweł, arendarz z Równego, który poprzysiągł zemstę memu ojcu. Widzieli go ludzie ze wsi, jak podchodził pod gumna... Łotr skończył w więzieniu.

Dwa dni było zupełnego zwątpienia, ale mój ojciec miał dużo w sobie energii; drugiego dnia wstał z łóżka, zaczął o tym myśleć, jak bydło przezimować, zaczął się z Żydami naradzać. Trzeciego dnia zobaczyliśmy furę zboża, jadącą przez wodę od pana Łukasiewicza, za tą furą poszły inne, przysyłano z sąsiedztw, nawet dalszych, pasze, zboże, mąkę, ratowano pogorzalców po dawnemu, pocziwą jeszcze staropolską tradycją. Niebawem zwieziono tyle, że można było myśleć o dalszym gospodarstwie, Biskup – coś z raty opuścił, Żydzi-wierzycciele postanowili czekać, nie napierać się o pieniądze, we własnym dobrze zrozumianym interesie, aby pozwolić mojemu

ojcu do dźwignięcia się i pracowania dalej na ich lichwę. Ale siły mojego ojca coraz to bardziej się zużywały, nieszczęścia coraz to bardziej przygniatały, dziwaczał, samotniał, robił się odludkiem. Siostra moja jedyną była jego w domu pociechą, ale wskutek tego nie chciał jej na krok wypuścić z domu, nie pozwalał matce z nią wyjeżdżać, tyranizował ją swoją miłością, obawiając się osamotnienia. Nikomu nie wierzył, każdego podejrzewał, to jedno dziecko było dlań całym szczęściem, ale zarazem i źródłem ciągłej troski, pomimo bowiem swego zdziwienia czuł dobrze, że panienkę trzeba by kształcić, trzeba by oddać na pensję.

Po nadludzkich prawie wysileniach, aby gospodarstwo jako tako znowu w ruch puścić, zebrał ojciec tyle grosza, aby mnie znów posłać do Krakowa. Umiałem cenić te wysiłki, pracowałem, jak mogłem, wstawałem o piątej, aby się uczyć na pamięć dosłownie paragrafów kodeksu karnego, aby wbijać sobie w głowę suche postanowienia procedury cywilnej.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Chłędowski, *Pamiętniki*, do druku przygotował, wstępem i przypisami opatrzył Antoni Knot, Kraków 1957, t. 1: *Galicja (1843–1880)*, s. 79–80.

F. Dawnym zwyczajem masła na ogień dodał.

Na wsi galicyjskiej, z happy endem

Henrietta z Działyńskich Błędownska (1794–1869)

Zajętą byłam pisaniem, gdy raptem, uderzona blaskiem, oczy podnoszę, aż widzę całą kuchnię, będącą o kilka kroków od domu, w płomieniu. Zaraz wybiegłam, chłopca na dzwonnice posłałam, a lokajowi na dach naszego domu kazałam wejść, dziewczętom płótna z posadzki zabrać, maczać w stawie i podawać lokajowi będącemu na dachu. Prześcieradeł poznosili, porządek ustanowiłam, która ma podawać, która maczać, i to w mgnieniu oka. Kuchni nie było co ratować, tylko dom, gdyż okna z gorącą pękały. Służącym moim, pannie garderobiannej kazałam rzeczy, kufry wynosić do ogrodu, pomiędzy drzewa, i jedną na warcie postawiłam, żeby nie rozkradli. Panna Strzelbica, która płakała, desperowała, do ogrodu dalej z dzieckiem wypędziłam, żeby mi głowy nie obalamuciła swoimi piskami. O szkatułkę, kuferek swój troszczyła się. Zaręczałam, aby była spokojną, i sama je powynosiłam. Co do gracyków rozstawionych w gabinecie i salonie, nie było czasu o tem myśleć. Lecz Bóg pomoc nadesłał. Wojsko przechodziło, gdy ujrzeni pożar, zaraz się rzucili do domu, aby ratować. Stałam sama w ganku, prosząc, aby wszyscy do kuchni rzucili się gasić, gdyż ratując kryształ y i inne kosztowności, więcej by potłukli lub zaprzepaścili rzeczy, niż wyratowali się, a że staw pod ręką, rzucili się, ugasili, jeszcze kawał zrębu został. Kucharz głowę stracił, ze szczupakiem w ręku latał, nie chcąc go wypuścić i nic nie robił. Z jego to przyczyny poszło. Aby mu się lepiej paliło, dawnym zwyczajem masła na ogień dolał. Jak buchnęło, niski stary dach zapalił się. Dym już tylko z pogorzelniska szedł, kiedy się zaczęli zbierać z pola na odgłos dzwonu. Przybiegli, myśląc, że mnie będą zemdloną ratować, aż tu widzą mnie dziękującą oficerom i zapraszającą ich na obiad. Żołnierze hojnie wódką uczęstowani zostali. Z tego wypadku ta korzyść, że porządna oficyna kuchenna stanęła,

z mieszkaniami i dla dworskich, i gościnne pokoje i łazienki. Doskonały był rozkład tego domu.

Henrietta z Działyńskich Błędowska, *Pamiętka przeszłości. Wspomnienia z lat 1794–1832*, Warszawa 1960, s. 272–273.

5. Wzmianki prasowe o pożarach zagranicą (przykłady)

A. Beczki spirytusu

Kurier Warszawski, 1844

Niemcy. – 3 b.m po południu powstał pożar okropny w fabryce i dystylacji rumu kupca J. C. Schmidt (Szmidt) w Szczecinie, jak mówią wskutek pęknięcia parowego aparatu. Kilka domów oraz dwa ogromne magazyny zboża stały się pastwą płomieni. Z 3 Mularzy zatrudnionych przy ratowaniu jeden został zabity, a 2ch ciężko ranionych. Dzienniki tameczne zapełnione są opisami szczegółów tej katastrofy; beczki spirytusu pękając rozlały potoki ognia, które popłynęły do Odry; statki leżące przy brzegu musiały zawinąć do przeciwnych brzegów dla własnego bezpieczeństwa.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 23 grudnia 1844 roku.

B. Fabryka oleju z kości

Kurier Warszawski, 1842

Z Liverpoolu piszą 24 z.m.: Wybuchł tu pożar okropny, 16 spichrzów leży już w perzynie, a kilku ludzi utraciło życie, 75,000 beli bawełny, 15,000 beczek terpentyny, 80 beczek tranu, i znaczne zapasy oleju i łoju, stały się pastwą płomieni. Przy odejściu Poczty jeszcze trwał pożar. 23 ludzi ranionych przy tej strasznej katastrofie przeniesiono do szpitalu i obawiają się, czy 18ta ludzi ze straży ogniowej nie leży przywalonych gruzami. Ogień wybuchł 23go z.m o 2-giej w fabryce oleju z kości, należącej do panny *Pennston* przy ulicy *Krompton*. Wicher rozniósł iskry na wszystkie strony i od razu kilka domów ogarniętych zostało płomieniami. Zawalając się, mury zabiły wielu ludzi i zdruzgotały 2 sikawki. Przez całą noc 24go z.m. rozhukany żywioł palił się jeszcze na ulicach zostawionym mu w ofierze, gwałtowność bowiem żaru nie dozwoliła zbliżyć się do pogorzelska. Szkody są na 2 miliony dukatów.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 4 października 1842 roku, nr 262.

C. Spichrze towarami napełnione

Gazeta Krakowska, 1838

Czytamy w *Journal de Havre*: Dnia 3 stycznia był w Nowym-Orleanie wielki pożar; zgorzało więcej jak 20 dużych śpichrzów towarami napełnionych. Stratę podają na 2 miliony towarów. Kilkoro ludzi straciło życie w pohorzeli. Przyczyna powstania ognia niewiadoma.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Krakowska, 2 marca 1838 roku.

D. Pałac kryształowy
Kurier Warszawski, 1858

Donieśliśmy już o spaleniu się pałacu kryształowego w Nowym Jorku. Szczegóły tego wypadku nie są jeszcze wiadome. Donoszą jedynie z Londynu, że pożar w tym pałacu powstał podczas trwającej wystawy towarów, w chwili, kiedy się około 2.000 osób tam znajdowało, z których wiele stało się ofiarą pożaru. Sądzą, iż ogień był podłożony. Wartość spalonych towarów przenosić ma dwa razy wartość budynku.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 4 listopada 1858 roku.

E. Wszystkie główne ulice stanęły w płomieniach

Kurier Warszawski, 1842

Ogłoszone zostały szczegóły strasznego pożaru, który spustoszył 24 sierpnia miasto Kazań. Ogień wszczął się o 9tej rano wśród silnego wiatru, w jednym domu ulicy Prołomnaia, i wkrótce rozszerzył się i ogarnął naprzód dom Zgromadzenia Szlacheckiego i hotel Woennego Gubernatora. To wiatr, zmieniawszy się w prawdziwy uragan, poroznosił się na wszystkie strony żarzewie, tak, iż w jednej chwili wszystkie główne ulice stanęły w płomieniach. Najpiękniejsza z nich Woskriesienskaia zniszczona została aż do gmachu Uniwersyteckiego. Obserwatorjum i przynależności tego Uniwersytetu zgorzały; uratowano gmach i klinikę. Ulice Pokrowska, Grusinska, Ladska i mnóstwo zaułków wypaliły się zupełnie, aż po rzekę Kazankę. Dopiero późno w nocy wiatr zaczął ucichać i wtenczas tylko można było w części zatamować postępy ognia i ocalić Komisarjat i zakład *Radionowa*. Następne gmachy publiczne stały się pastwą ognia; hotele Woennego Gubernatora, Zgromadzenia Szlacheckiego, Policji, Poczty, Szpital i Dyrekcja zakładów dobroczynnych, Seminarjum, Szpital warjatów, Kantor udziałów, kilka budowli należących do 1 Gimnazjum, w ogóle 26 budowli murowanych i 2 drewniane, nadto 9 Kościołów, 228 domów murowanych i 841 drewnianych należących do właścicieli prywatnych. Kassy zakładowe Rządowych i korespondencje pocztowe są ocalone. Dotychczas odkryto na pogorzeliu Kazanskim 3ch ludzi zabitych, ranionych zaś z Policji 16.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 4 października 1842 roku.

F. Ratujmy zwłoki marszałka

Dziennik Warszawski, 1851

Okropna katastrofa dotknęła wczoraj Paryż, w jego najdroższych pamiątkach; całe wnętrze kościoła inwalidów i chorągwie, które go zdobiły, były chlubą Francji, stały się pastwą płomieni. Obrzęd pogrzebowy marszałka Sebastiani oznaczony był na godzinę dwunastą. O dziesiątej godzinie, wojsko rozstawione było na osplanadzie, a stare resztki naszej wielkiej armji tworzyły szpaler w dwóch dziedzińcach przed kościołem i w samej świątyni. Nawa była całkowicie zawieszona czarnymi draperjami, wokoło tarcze porozwieszane były częścią z cyframi marszałka, częścią z nazwiskami bitew, w których miał chwalebny udział. Po obu stronach ogromne srebrne kandelabry rzucały zielonawe światło, a na ołtarzu, opartym w głębi kościoła paliły się niezliczone gromnice. W pośrodku wznosił się olbrzymi katafalk, ozdobny bogatemi draperjami czarnego aksamitu, z szerokimi srebrnymi galonami. O wpół do dwunastej wszystkie galerje były zajęte przez damy w strojach żałobnych; w nawie przeciwnie było bardzo mało ludzi, najwięcej z pięćdziesiąt osób, a między nimi najwięcej generałów i kilku reprezentantów. Już w oddaleniu dały się słyszeć śpiewy duchowieństwa przybywającego w uroczystej procesji, kiedy jeden z obecnych postrzegł, że od jednej świecy stojącej na ołtarzu, zapaliła się draperja obszyta srebrem, i rozwieszona na murze ołtarza. Jeden pompier i kilkunastu żołnierzy gwardji republikańskiej przybiegli, ale nie było drabin, a ci poczciwcy nie śmieli wstąpić na ołtarz, aby nie uszkodzić jego ozdób. Prócz tego draperja paliła się bardzo powoli, i starano się długimi żerdziami opatrzonemi w gąbki zagasić płomień w samym początku. Środek ten spowodził wprost przeciwny skutek; przez poruszenie palącej się draperji ogień zaczął czynić gwałtowne postępy, zajął sąsiednie draperje i najbliższe chorągwie. Kilka głosów wprawdzie zawołało, żeby przecięto sznury, na których draperja paląca się była zawieszona,

ale bądź to niesłyszano tej rady, bądź też osoby najbliższe ołtarza straciły głowę, nie przedsięwzięto żadnego skutecznego środka ratunku, i ogień szerzył się z gwałtownością. Nastąpiła scena trwogi nie do opisania; kobiety przerażone uciekały z górnych galerji, ludzie znajdujący się w nawie rzucili się gwałtownie na dziedzieniec; wszyscy rozkazywali, a w zamieszaniu nikt nie wykonywał najrozsądniejszych nawet rozkazów. Z wolna jednakże wróciła rozwaga i przedsięwzięto stosowne środki ku zwalczeniu pożaru, przybyli pompierowie; dowódcy wojska linjowego, strzelców z Vincennes, gwardji republikańskiej i żandarmów, wydali stosowne rozkazy; wszystko stanęło w porządku i zaczęto działać energicznie, i stosownie do położenia. Tu trzeba przyznać, że wszyscy rywalizowali w gorliwości i dobrej chęci, mieszczanie i oficerowie z całych sił przykładali się do obrony; jenerałowie, w pełnych mundurach, brali udział w łańcuchu pracy, a robotnicy z obnażonemi ramionami i otwartą piersią dawali dowody uwielbienia godnej nieustraszoneści. Ale niestety wszystkie te usiłowania nie mogły wstrzymać postępu niepokonanego żywiołu wewnątrz świątyni, zaledwie że zatamowano szerzenie się jego na zewnątrz. Wszystko, co tylko było palnego w środku kościoła, stawało się pastwą płomieni. Na pierwszy znak trwogi, zacny pleban inwalidów uderzony został jedną myślą. „Ratujmy zwłoki marszałka”, krzyknął rozdzierającym głosem. Wołanie jego usłyszano; w chwilę trumna porwana silnemi ramionami, wyniesioną została na dziedzieniec, a stamtąd na olbrzymi karawan, który stał za kratą, przy wejściu do pałacu inwalidów. Widok, jaki w tym czasie przedstawiał kościół, był straszliwy, rozdzierający. Płomienie latały, wiły się wzdłuż gzymsów, pożerając chorągwie, ozdoby drewniane, krzesła, rzeźby, topiąc i zwalając ogromne świece, które paliły się jeszcze, i których mdłe światła można było jeszcze rozróżnić w pośród chmur gęstego żółtawego dymu, którym cały kościół był napełniony. Prezydent przybył na pierwszą wieść nieszczęścia, i nie oddalił się pierwej, aż kiedy już się wszystko uspokoiło. Pan prefekt policji, który przybył dość późno, z najchwalebniejszą zimną krwią uregulował pomoc

napływającą ze wszystkich stron; wszystko, co można było wydrzeć z płomieni, wynoszono na dziedziniec, albo zrzucano z galerji. Po kwadransie, ten obszerny dziedziniec zaślany był zupełnie resztkami wół spalonymi i dymiącymi się. Podczas gdy ogień całą siłą jeszcze srożył się wewnątrz kościoła, zalanego wodą przez ratujące sikawki, ważna kwestja zajmowała obecnych ministrów, prefekta policji i gubernatora inwalidów. Czy w tym stanie rzeczy należałoby odłożyć pogrzeb marszałka do jutra, czy go zaraz dopełnić, po dojrzałej rozwadze skłoniono się do tego ostatniego zdania, i zaraz przystąpiono do części wojskowej obrzędu. Rodzina marszałka, między którą znajdował się generał Tyburcjusz Sebastiani i młody pan de Praslin, wnuk nieboszczyka, zajęła miejsce przy karawanie, przed którym umieścili się dawni towarzysze broni marszałka, a otoczyli go podoficerowie dekorowani, wybrani z całego garnizonu paryzkiego. Po defiladzie orszak przy huku dział stanął przed kościołem, gdzie generał Lawoestine w pięknej mowie skreślił tak pełne sławy życie zmarłego marszałka. Ponieważ niepodobna było jeszcze wejść do kościoła, bo sikawki ciągle były w ruchu, przeto trumna została zaniesioną przez wielki korytarz, z lewej strony do sklepień. Tam urządzono naprędce przenośny ołtarz, oświetlony czterema skromnymi świecami, i w pośród gęstego dymu, stojąc w wodzie pochodzącej z sikawek, odśpiewano *de profundis*. Ta scena tak daleka od wszelkiej wystawności światowej, głęboko wzruszyła tych wszystkich, którzy dostali się do tego ponurego miejsca, i niejeden umysł uderzony był tą fatalnością, która prześladowała nieszczęśliwego marszałka nawet po jego śmierci. Strata materjalna w kościele jest stosunkowo niewielka, ale jakże okropną jest strata naszych chlubnych pamiątek. Niektóre chorągwie zdołano ocalić, ale daleko większa część albo zupełnie spaliła się, albo bardzo jest uszkodzoną. W tej ostatniej kategorii znajduje się parasol cesarza marokańskiego. Ta trofea naszej młodej armji, ocaloną została przez p. de Greslan i kilku dzielnych żołnierzy, którzy mu dopomagali. Jeśliby co bądź mogło nas pocieszyć w tem nieszczęściu, to chyba godny uwielbienia duch ożywiający nasze wojsko; jeden

kapitan żandarmerji ruchomej, przed którym użalaliśmy się na stratę naszych chorągwi, odpowiedział nam z zupełną spokojnością: „Ha, to zdobędziemy inne!”.

PRZEDRUK ZA: Dziennik Warszawski, 18 sierpnia 1851 roku.

6. Wzmianki prasowe o pożarach w kraju (przykłady)

A. Zabudowania obywatela Librowskiego

Kurier Warszawski, 1823

D. 15 b.m. w Krakowie na Wielopolu, zajął się w samo południe ogień w obszernych zabudowaniach obywatela Michała Librowskiego, z którego przy upale słonecznym i gwałtowności płomieni w kilku minutach powstał okropny pożar i wszystko w perzynę obrócił. Lękano się o życie 120-letniego starca Librowskiego, który jest ojcem nieszczęśliwego, albowiem przerażony trwogą zdawał się utracać zmysły, lecz dzięki Niebu przyszedł do siebie i w domu wnuka Jana Librowskiego, otoczony prawnuczętami wśród tkliwych łez pociechę znalazł. Tak krótka chwila zniweczyła jednego z rzędu najzacniejszych obywateli tego miasta, którego los opłakany znajdzie zapewne czułe serca, które mu pomocy nie odmówią. Już te drugi raz podobna klęska w tę przepaść go pogrążyła. 13 lat zaledwie niestety upłynęło, jak niemal o tej samej godzinie pożarem zniszczony został. (...)

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 24 kwietnia 1823 roku.

B. Gdzie są nasze dzieci?

Kurier Warszawski, 1824

O kilka mil od Warszawy, niedawno zajął się pożar w chacie rolnika, pracującego opodal, na widok ognia bieży ów rolnik do swego mieszkania już ogarniętego płomieniem, spotyka swą żonę przejętą trwogą, a pierwsze jego słowo było: gdzie są nasze dzieci? strwożona matka zapomniała o nich, ojciec wpada między płomienie, nie znajduje dzieci; traci przytomność, mdleje, widzi to tameczny mieszkaniec Izraelita, mimo niebezpieczeństwa rzuca się do pełnej ognia izby, wynosi omdlałego rolnika, lecz również upada osłabiony nagle. Gdy się orzeźwił, ratuje płonące domostwo, ogień nie rozszerzył się dalej, a wkrótce dzieci rolnika znaleziono w przyległym ogrodzie, które same wypełzły z izby, gdy się wszczął pożar. Ta wiadomość udzieloną nam została przez przybyłego obywatela, które jeśli się sprawdzi powtórnem doniesieniem, ogłosimy miejsce i nazwisko tak włościanina, jak Izraelity.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 1 marca 1824 roku.

C. Wiele wódki lało się rynsztokami

Kurier Warszawski 1822

Wczoraj rano po godzinie 5 wszczął się pożar przy ulicy Nowolipie, spalił się Browar czyli Dystylatornia wódek, należąca do posesji W. Piotrowskiego, a dzierżawiona przez Administratora dochodów konsumcyjnych W. Newachowitza. Strata jest znaczną, wiele wódki lało się rynsztokami; niebezpieczeństwo tem było większe, że cała okolica składa się po większej części z domów drewnianych, a w bliskości ogarniętego płomieniem zabudowania stał lamus mieszczący w sobie znaczny skład wódek. Szczęściem wiatr wiał na ogrody, i jak zwykle rychły ratunek ocalił sąsiadów. Oprócz sikawek i beczek miejskich dostarczały takichże w bardzo prędkim czasie pobliscy obywatele.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 16 listopada 1822 roku.

D. Wióry w kominie
Kurier Warszawski, 1822

W wsi Gorzewnicy, gminie Kampinos w obwodzie sochaczewskim d. 20 lipca uduśliło się czworo dzieci dymem, a to z powodu zostawienia znacznej ilości wiórów na kominie, którymi wychodząc gospodarz nakrył pozostały ogień. Matka, spostrzegłszy dym wielki z komina wychodzący, powróciła do domu, lecz w izbie dymem napełnionej dwoje starszych dzieci znalazła już nieżywe, a dwoje młodsze jeszcze oddychające, po wyniesieniu na świeże powietrze pomimo usiłowań matki aby je przy życiu utrzymać, wkrótce żyć przestały. Dzieci te miały: pierwsze lat 5, drugie lat 3, a dwoje młodsze po roku.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski 1822, nr 184.

E. Najkosztowniejszy zakład tego rodzaju

Monitor Warszawski, 1827

Wielka fabryka sukienna JP. Fraenkla, najkosztowniejszy u nas zakład tego rodzaju, spłonęła zupełnie ogniem dnia wczorajszego. Bardzo mało co uratowano. Nieszczęście to wydarzyło się właśnie gdy składy napełnione były wełną po tutejszym i wrocławskim jarmarku. Księgi rachunkowe są uratowane. Fabryka ta była co do zapasów, machin i narzędzi, asekurowana za granicą. Kilkaset robotników z rodzinami swemi zostaje w tej chwili bez sposobu do życia.

PRZEDRUK ZA: Monitor Warszawski, 23 lipca 1827 roku.

F. Ogień z kuczki

Gazeta Codzienna, 1854

W onegdajszym numerze gazety donieśliśmy o gwałtownym pożarze, który zniszczył znaczną część miasta Siedlce w gub. Lubelskiej; dziś możemy podać niektóre szczegóły tej okropnej klęski, czerpane z urzędowych wiadomości.

Ogień powstał w dniu 11 bm, o godzinie 7½ wieczorem przy najgwałtowniejszym wietrze południowym. Z początku zajęły się od niego 3 domy, przedsięwzięto więc energiczne środki ratunku, lecz wściekłość wichru była tak wielką, że gonty, a nawet kawałki krokiew i belek z ogniem, siłą jego pędzone, padały w najodleglejszych częściach miasta. Tym sposobem w przeciągu godziny miasto w kilku miejscach gorzeć zaczęło, a na koniec ze wszystkich stron buchać zaczęły kłęby dymu i w górę podniosły się masy płomieni. Nieszczęśliwym mieszkańcom nie pozostało nic więcej, jak tylko ucieczką ratować życie, pozostawiając całe mienie na pastwę niszczącego żywiołu. Trzy części miasta, czyli dwieście kilkadziesiąt domów, ubezpieczonych w dyrekcji na rsr 126,360, obróconych zostało w perzynę (straty w ruchomościach dotąd w przybliżeniu nawet oszacowane być nie mogły), a 5,000 osób, utraciwszy całe mienie swoje, pozostało bez przytułku. Los tych nieszczęśliwych ofiar tem godniejszy jest litości, że nie mogąc się pomieścić w ocalonej od zniszczenia części miasta, na nadchodzącą zimę nie wiadomo gdzie będą musiały szukać schronienia. Ogień miał powstać z kuczki żydowskiej, urządzonej nad dachem jednego z domów.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 20 października 1854 roku.

G. Z niedoświadczoną dotąd gwałtownością

Naczelnik Miasta Siedlce 1854

W momencie okazania się ognia wszelkie środki do gaszenia były czynnymi, lecz nadzwyczajny wicher z niedoświadczoną dotąd gwałtownością zrywał nie tylko iskry, ale całe kawały łąt lub krokwi i przenosił w najodleglejsze części miasta, tak iż w jednej chwili w kilkunastu miejscach jednocześnie ogień wybuchł, wszelki ludzki ratunek był niepodobny, bo coraz gwałtowniejsze powiększanie się wiatru w jednej chwili Miasto Siedlce zamieniło się w morze palących się bałwanów.

PRZEDRUK ZA: Wanda Więch-Tchórzewska, *Pożar w Siedlcach w 1854 roku, najgroźniejsza klęska żywiołowa miasta w XIX w.*, Szkie Podlaskie 2002, nr 10, s. 169.

H. Widziano niby iskry sypiące się z nieba

Kurier Warszawski, 1868

Z Torunia dnia 30go z. m.: Wieczorem na południowo-zachodnim horyzoncie okazała się kula ognista i przemknęła się ku północno-wschodowi, gdzie się rozprysła w tysiące iskier, wydając rażąco-jasne światło. Całe zjawisko trwało niespełna minutę. Widziano je w Elblągu, Królewcu, Gdańsku i okolicach miast tych.

Z Brodnicy: Niezwykłe napowietrzne zjawisko natury przestraszyło dnia 30go z. m. po godzinie 6ej z wieczora nie tylko tutejszych mieszkańców, ale jak słyhać nawet po wsiach. Każdy myślał, że mu nad głową dom płonie; po całym wypogodzonym niebie biła luna. Widziano niby iskry sypiące się z nieba. Aż się nawet i trąbka pożarowa ozwała, wzywając towarzyszy do gaszenia, lecz wnet umilkła. Później spieszo na pomoc z wiadrami, niewiedząc dokąd. Ten pojaw trwał blisko minutę.

Z Nowego Miasta: Dnia 3-go z. m., około godziny 7ej wieczorem, przestraszyła się i zadziwiła cała okolica nagłym rażącym światłem powstałym na niebie. Ludzie powybiegali z pomieszkania przestraszeni nagłą i niezwykłą jasnością.

Toż samo z Ropszyc, oraz z innych miejscowości.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski 1868, nr 28.

7. Ochrona przed pożarem

A. Machina zwana Ekwatorem

Kurier Warszawski, 1823

Machina hydrauliczna do gaszenia pożarów. Z Hamburga pod dniem 12 września rb. donoszą, iż P. Binge Leśniczy z Rendsburgu, w Holsztyńskim, wynalazł niedawno prostą i bardzo tanią machynę hydrauliczną, za której pomocą sikawki tylko przez jedną osobę bez przerwy dostatecznie wodą opatrywane być mogą. Machina ta dostarcza wody przez sprawiony nacisk powietrza i za pośrednictwem szczelnych kieszek, z najgłębszych i z najodleglejszych studzien, i może być przez jednego człowieka z miejsca na miejsce przynoszoną. Wynalazek takowy, który tysiące rąk w dostarczaniu wody wyręcza i najgłębsze nawet studnie w tym celu usłużnemi czyni, przeto jeszcze szczególniej staje się ważnym, iż natychmiast przy powstaniu pożaru wodą sikawki napełniać, a przeto i ogień zaraz w jego powstaniu przytłumić można. Wynalazca podaje jeszcze sześć innych ważnych korzyści, która ta Ekwatorem od niego nazwana machina przynosi, i obowiązuje się frankowanie listy, bliższej o tym wynalazku, jego pożytkach i zastosowaniu udzielić wiadomości, żeby zaś nie wchodzić w trujące czas układy i spekulacje, gotowym się oświadcza wykryć tajemnice Rządowi, Towarzystwom ogniowym, albo osobom prywatnym i odstąpić za kontraktem na własność do wolnego użycia, czyli to dla Państw całych, czyli pojedynczych prowincji.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 28 grudnia 1823 roku.

B. Sól i słonina

Kurier Warszawski, 1823

Zabezpieczenie się od wybuchnięcia pożaru w czasie skwarzenia słoniny. Najwięcej pożarów powstaje przy skwarzeniu słoniny. Jeżeli przez nieostrożność parę kropel wody wpadnie w gorącą słoninę, tedy zapala się takowa, płomień wybucha z rynki w komin i na strony, paląca się tłustość czepia się przedmiotów, na które pada i rozszerza się ogień. W Westfalji, gdzie po wsiach produkcją słoniny powszechnie się trudnią, zabezpieczają się od tych niebezpiecznych przypadków, posypując pokrajaną w kostki słoninę taką ilością soli, aby do smaku osolona była. Wprawdzie sól nie zapobiega, aby się słonina zapalić nie mogła, ale nie dopuszcza, aby zapalona z rynki wybiegła.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 28 grudnia 1823 roku.

C. Matka zaprowadziła porządek

Henrietta z Działyńskich Błędowska (1794–1869)

Lecz te spokojne zajęcia przerwane zostały przez klęski panujące w tym roku. Wszystkie miasteczka i wioski, nie tylko okoliczne, ale całej gubernii, płonęły pożarami, tak że na codzień o kilku spalonych miastach lub wsiach słyszeliśmy. Tak to było upowszechnione, że wszyscy w strachu byli, kiedy na niego kolej przyjdzie, a że zawsze w takich razach bajki z prawdą się łączą, mówiono, że znajdowali karteczki rozrzucone zapowiadające pożar na dzień wzmiankowany i te przepowiednie ziszczały się zawsze. Jedni przypisywali tę klęskę przyjaciołom, drudzy nieprzyjaciołom, których się spodziewano. Jak jest, to jest – trzeba się mieć na baczności i zaprowadzić ostrożność możliwą. Matka moja zaprowadziła porządek, aby środek miasta był pilnowany przez Żydów. Kolej ustanowiona i warty co dwie godziny się zmieniały. Przedmieścia pilnowane przez mieszczan, złożonych z rzemieślników, najwięcej garncarzy, których było czterdzieści domów, jako i gracialistów. Na wszystkich kolej naznaczona. Dwór był pilnowany przez kozaków i dworskich, także w porządku kolejnym, a oficjaliści, po czterech konno, mieli dyżurstwo do objeżdżania, czy wszyscy są na miejscu i w porządku. Gorliwie wszyscy spełniali rozporządzenie, gdyż szło im o byt i majątek. Dwa razy ujrzeli uciekających ludzi na ich nadejście, chcących przez pale dostać się do domu. Moja matka nieraz w nocy wstawała, aby przekonać się naocznie o porządku, i ja się wdawałam w te nocne ekskursy, które mnie bawiły. Powietrze było tak ciężkie, spalenizna tak dawała się czuć, że cała atmosfera nią była przesiąkniętą. Wartownicy mieli fujarki, na których przygrywali i częstymi „Ostrożnie z ogniem” odpowiadali sobie, co się rozlegało po wszystkich strażach. Bojaźń ta i pilność trwały przez kilka tygodni. Bóg nas ochronił od ognia.

PRZEDRUK ZA: Henrietta z Działyńskich Błędowska, *Pamiętka przeszłości, wspomnienia z lat 1794-1832*, opracowały i wstępem poprzedziły Ksenia Kostenicz i Zofia Makowiecka, Warszawa 1960, s.126-127.

D. Kopać co żywo dookoła

Kmiotek, 1843

Nieomylny sposób gaszenia bardzo spiesznie najgwałtowniejszych również jak i mniejszych pożarów bez sikawek i wody.

Kiedy dom lub inna jakakolwiek budowla nieszczęśliwym zrządzeniem, ogniem się zajmje, trzeba kopać co żywo dokoła jej ziemię, ona jeżeli nie zupełnie, to w znacznej części od ognia obroni, spieszyc tylko trzeba po rydle, łopaty, kosze i drabiny. Napełnić kosze ziemią, wziąć je na plecy, wstępować na drabin, i sypać ziemię na części budowli ogiem się zajmujące. W tej samej chwili pożar zmniejszać się będzie, i niknąć poczną dymy, które utrudniają ratunek. Inni tym czasem w innych miejscach ogniem się zajmujących też samę powtarzać winni robotę, a tenże sam otrzymają skutek. Jeżeli zaś płomień już jest tak mocny, że przystęp do budowli utrudnia, lub zupełnie niepodobnym czyni, trzeba tedy kopać ziemię i sypać na kopy jak można najbliżej ognia, a inni łopatomi rydlami i to o długich rękojeściach niech ją ciskają na części ogniem zajęte, a podobny równie rychły otrzymają skutek. Otóż cała tajemnica tego sposobu ważność jej i nieomylność codzienne doświadczenie stwierdza. Przekonamy się o tem, przypatrując się pracy węglarzów: oni właśnie ziemią gaszą płomień, ilekroć się w piecach ich zajmie, inaczej drzewo i węgiel strawiłoby zupełnie. Sposób ten gaszenia pożarów równie na wsi jak w mieście zastosowanym być może, bo wszędzie my mieszkańcy ziemi, ziemię mamy pod ręką, łatwy jest i żadnych nie wymaga nakładów, ramiona tylko i gorliwości potrzebuje, nie naraża na przemoczenie, i przeziębienie ratujących, jak to używając wody często dziać się zwykło, dzieci, kobiety, słowem cała ludność wsi, albo miasta ogniem zajętego, pomocną być może, trzeba tylko przyzwoicie nią rozporządzić. Ma i tę ziemią przy gaszeniu wyższość nad wodą, że kiedy ogień znacznie już objął budowlę woda choćby obficie dostarczana snadno się w parę

zamienia, ulatnia, gdy przeciwnie, ziemia raz przykrywszy przedmiot, więcej się mu ogniem zająć nie dozwoli, i kiedy pierwsza dymy powiększa, druga je niszczy, a jak to ważnem jest, wie każdy, kto choć raz był przy pożarze i ratunkiem się zajął. Dodać jeszcze należy że w tak nagłej okoliczności, jaką jest pożar, niczego się nie godzi oszczędzać co ogień rozszerzyć może. Znikną jedna, dwie budowle, ale cała wieś, całe miasto od nieszczęścia ocalonem zostanie.

PRZEDRUK ZA: Kmiotek, 26 sierpnia 1843 roku.

E. Tak zwane schody bezpieczeństwa

Kurier Warszawski, 1839

2 bm jako w rocznicę urodzin Wgo Xięcia Sasko-Wajmarskiego, przedstawiona była w teatrze wajmarskim opera: *Rozbicie się statku Meduzy*, kompozycji Kapelmistrza Reisingera. Tenże teatr zaopatrzony został w tak zwane drzwi i schody *bezpieczeństwa*, aby w razie pożaru sala mogła być opuszczoną przez Publiczność w ciągu kilku minut.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 16 czerwca 1839 roku.

F. Witriol w wodzie rozpuszczony

Monitor Warszawski, 1827

Artykuł nadesłany: Zaraz po odkryciu sposobu prędszego i łatwiejszego gaszenia ognia ałunem w wodzie rozpuszczonym, robiono tu w Warszawie doświadczenia, które potwierdziły dobre skutki tego wynalazku. Około roku 1792 umieszczono w gazetach, iż ktoś w Szwecji wynalazł szczególniejszą massę, którą w wodzie rozpuściwszy, daleko mniejszą ilością tej mieszaniny niż wody zwyczajnej, przy pożarze, nierównie prędszy i dobry skutek otrzymać można. O częściach tej masy nic wówczas jeszcze nie doniesiono. Trudniąc się wówczas chemią, wpadłem na myśl, czyliby ałun lub witriol w wodzie rozpuszczony nie mógł być takowym środkiem do gaszenia pożaru. Robiłem z obydwoma doświadczenia, które miały pomyślny skutek. Szczęśliwym trafem, niedawno przedtem, przysłane mi były dwie beczki mieszaniny składającej się z ałunu i witriolu, aby jej użyć do robienia salomoniaku. Ałunu było w niej daleko więcej niż witriolu. Około 10 lutego materiału rozpuściłem w wodzie, w zwyczajnej beczce piwnej. Na próbę kazałem na środku mego podwórza wystawić stos dwóch łokci wysokości, z suchych, gęsto na krzyż kładzionych gont; miejsca próżne zostały drobno rąbanem drzewem sosnowem zapełnione, a cały stos od wierzchu posypyany został drobno potłuczoną żywicą sosnową. Gdy stos ten od spodu został zapalony i aż do wierzchołka stał w płomieniach, potrzebowałem tylko 20 małych seryng wspomnianego rozczyń, aby stos zapalony zupełnie ugasić. Życzyłem sobie zrobić doświadczenie na większą skalę i prosiłem ówczasową władzę policyjną, aby w polu, za miastem, kazano wystawić z starego drzewa dwie chaty równej wielkości. Obiedwie miały być napełnione słomą lub innym materiałem palnym. Za danym znakiem obiedwie miały być razem zapalone, również miano się zająć za danym znakiem obudwóch gaszeniem. Jedne miano gasić zwyczajną wodą i zwyczajnymi

sikawkami; ugaszenie drugiej chaty chciałem się starać skutecznie małym przenośnym narzędziem do gaszenia, i sztuczną moją wodą. Odmówiono mi przedsięwzięcie takowego doświadczenia; nie mogłem go więc skutecznie. Nieco później, wybuchnął wieczorem pożar na Furmańskiej ulicy. Słyszając gwałt, wybiegłem na ulicę i zatrzymałem kufę do ognia pospieszającą. Kazałem w nią nalać okseft mej wody do gaszenia, którą, na przypadek potrzeby, miałem przygotowaną w mym domu, i wraz z nią udałem się na miejsce pogorzeli. Owczasowy Komendant placu był tak grzeczny, iż mi przez tłum zrobił miejsce aż do ognia i rozkazał kierującemu sikawką, aby mi we wszystkim był posłuszny. Pożar był na rogu ulicy Furmańskiej i Karowej, i w czasie jego trwania dał łagodny wiatr wschodni. Gmach z jednego rogu, teraz nro 2718, prawie zupełnie by spłonął; z drugiej strony stał parkan i stajnia w płomieniach i już dach gontowy domu mieszkalnego, cokolwiek wyższego, zaczął się palić. Kazałem najpierw sikawkę wymierzyć na dach domu mieszkalnego, a palące się gonty natychmiast zostały ugaszone. Rozkazałem, aby natychmiast posłano kilku ludzi z sikawkami ręcznymi pod dach domu tego, sikawkę zaś kazałem obrócić na palący się parkan i stajnię, a oboje w bardzo krótkim czasie zostały ugaszone. Było zastanowienie godne widzieć, jak za każdym siknięciem na miejsce palące się płomień wygasał, a miejsce to natychmiast czerniało. Tą jedną sikawką, do której, do wody zwyczajnej już się w niej znajdującej, przylano 60 garncy wody preparowanej, położono tamę dalszemu szerzeniu się ognia, a dom mieszkalny na rogu ciasnej tej ulicy nrem 1714 oznaczony został szczęśliwie uratowany, i dziś tak stoi jak stał przed owym pożarem. Jeżeli się nie mylę, te dwie beczki materiału składającego się z ałunu i cokolwiek witiolu otrzymałem od Pana Barona Soldenhof, w którego dobrach były fabrykowane. Musiał to być zapewne płód warszty węgla ziemnego, podobnego do węgla w bliskości Lipska, gdzie ich używają jako materiał palny, a miejscami i ałun z nich dobywają. Jak liczne byłyby mogły być użytki z tego krajowego płodu,

gdyby mu wówczas cokolwiek więcej poświęcono uwagi; lecz ja natenczas nie byłem majątny, abym w tym względzie mógł coś przedsięwziąć; inni zaś byli niedbali i nie posiadali w tej mierze dostatecznych wiadomości.

PRZEDRUK ZA: Monitor Warszawski, 29 października 1827 roku.

G. Szlachetna, pełna poświęcenia instytucja

Tygodnik Ilustrowany, 1869

Kilka słów o straży ogniowej

Od samego zawiązku stosunków społecznych, gdy tylko zaczęły wznosić się zagrody, wsie i miasta, ludzie starali się wynaleźć rozmaite środki, któreby zabezpieczyć mogły ich mienie i dobytek od okropnego zniszczenia, jakie, nieraz sprawia w nich ogień, ten dobroczyńca, lecz niekiedy i straszliwy wróg człowieka.

W początkach środki ratunku były nadzwyczaj proste, ograniczały się bowiem jedynie na użyciu topora i jakiego naczynia z wodą. Z postępem cywilizacji, z rozwojem rzemiosł i fabryk, środki te coraz więcej zaczęły się doskonalić. Wynaleziono i ulepszone rozmaite narzędzia, jak np. mechaniczne drabiny, sikawki ręczne i wozowe itp.; nareszcie w naszym wieku, tak obfitym w niezliczone odkrycia i wynalazki, do gaszenia ognia zastosowano parę.

Najglówniejszą siłą działającą przy gaszeniu pożarów w dawnych czasach bywali zazwyczaj ludzie, którzy powodowani jedynie miłością bliźniego, śpieszyli z pomocą na miejsce wypadku. Później obywatele miast obowiązani zostali wysyłać kogoś, lub sami zdążać z pomocą, ze stosownemi do tego przyrządami. Do sikawek nie utrzymywano koni, tylko ciągnione były przez ludzi, lub zaprzęgano pierwsze lepsze konie zdybane na ulicy, przez co wkładał się nieporządek i niemożliwy był pośpieszny ratunek.

Taki system ratowania przy pożarach, trwał prawie wszędzie aż do naszych czasów, a dotąd i trwa jeszcze w wielu miastach Europy, z wyjątkiem znaczniejszych, gdzie już są uorganizowane stałe oddziały straży ogniowej.

W pierwszej dopiero połowie naszego stulecia zaczęły się urządzać na rozmaitych prawach bardziej systematyczne straże ogniowe, jedne poddane całej karności wojskowej, jak to ma miejsce w Rosyi, Prusach i Francyi, drugie z ochotników, to jest

z obywatelskich dzieci, jak się to praktykuje w innych krajach Europy, a najbardziej w Anglii, gdzie synowie najpierwszych w kraju rodzin, a nawet i następca tronu, księżę Walii, są członkami tej tak szlachetnej, pełnej poświęcenia instytucji.

W Nowym Yorku północni Amerykanie, jako naród we wszystkim ekscentryczny, posuwają gorliwość swoją i emulacją nawet do tego stopnia, że gdy spotkają się dwa oddziały straży, śpieszące jednocześnie na miejsce pożaru, jeden z nich wtenczas tylko ustąpi drugiemu, gdy zostanie odparty przemocą, po walnej bitwie na kułaki.

Rosya ma liczne i dobrze uorganizowane straże ogniowe, gdyż nie tylko w obu stolicach i wszystkich miastach gubernialnych, lecz i bardzo wielu ludniejszych miastach powiatowych zaprowadzone są stałe, znaczne oddziały, z ludźmi, końmi i narzędziami.

W królestwie polskiem, z wyjątkiem Warszawy, nie ma stałej straży ogniowej. W Kaliszu tylko kilka lat temu została utworzona straż z ochotników, dobrze uorganizowana i z odpowiednimi narzędziami. Oprócz kilku znaczniejszych i ludniejszych miast, gdzie utrzymują narzędzia w porządku, w mniejszych miastach przyrządy te w lichym i opłakanym są stanie, a nawet w niektórych miejscowościach, zimą i latem trzymane pod gołym niebem, na wypadek pożaru stają się zupełnie nieużytecznymi.

Warszawa także przechodziła różne koleje pod względem zabezpieczenia dobytku swych obywateli od zniszczenia przez pożar. Za księstwa warszawskiego ratunek od ognia został systematycznie urządzony przez zaprowadzenie w ratuszu miejskim, pod dozorem i kierunkiem intendenta karowego magazynu, stałych narzędzi, do których i konie z tegoż magazynu bywały używane. Niektórzy prywatni obywatele podążali wtedy także ze swojemi własnymi sikawkami, a wszyscy właściciele domów obowiązani byli wysyłać od siebie na miejsce pożaru ludzi z rozmaitemi, jakie komu były wyznaczone, przyrządami, jako to: bosakami, toporami, wiadrami, drabinami itp.

Wodę, przed zaprowadzeniem wodociągów, czerpano ze studzien miejskich, których znaczna liczba rozrzuconą była po różnych

ulicach. Przy każdej z nich stały stągwie na saniach, napełnione wodą, i gdy się zdarzył pożar, stągwie te ciągniono na miejsce wypadku.

Był to już wprawdzie jaki taki ratunek, lecz zawsze nie tyle pośpieszny, jak życzyć należało, a z powodu nieuniknionego nieładu i niesubordynacji, mniej skuteczny.

W roku 1836, na wzór petersburskiej, urządzone zostały w Warszawie 4y oddziały straży ogniowej: 1-y na Nalewkach, 2-gi w ratuszu, 3-i na Nowym Świecie i 4-y na Pradze. W roku zaś 1852 ostatecznie utworzono 5-y oddział przy ulicy Chłodnej, w Mirowskich koszarach, który otrzymał Nr. 4, a Nr. 5 dano pragskiemu. Na koniec w latach 1863 i 1864 sprowadzono z Anglii dwie sikawki parowe, a w roku 1866 trzecią jeszcze dostarczyła warszawska fabryka Rau'a i Lilpopa.

Pierwszym, który uformował straż warszawską, a razem i pierwszym jej naczelnikiem, był pułkownik Robos; po nim następowali pułkownicy: Nolken, Hanke, Demoncal, a obecnie od roku 1861 naczelnikiem warszawskiej straży ogniowej jest pułkownik Majewski.

Warszawska straż ogniowa zostaje pod zarządem ober-policmajstra (obecnie generał-majora Własowa) i składa się z naczelnika, 5-ciu brandtmajstrów, sekretarza, 3-ch maszynistów przy sikawkach parowych i 232-ch feldfebli, podoficerów i żołnierzy.

Brandtmajstrowie są wszyscy dymisjonowanymi oficerami, a maszyniści specjalnie do tego usposobieni, gdyż poprzednio byli maszynistami przy kolejach żelaznych. Niższe stopnie kompletują się z ochotników, lub w niedostatku tych, z rekrutów. Wszyscy, po przesłużeniu 8-miu lat w straży ogniowej, jeżeli sami nie pragną pozostać nadal, otrzymują zupełną dymisyą.

Oprócz trzech parowych sikawek, z których dwie znajdują się w oddziale ratuszowym, a jedna w byłym zamku królewskim, w każdym oddziale jest po dwie sikawek zwyczajnych na czterech kołach, a do nich sześć beczek do podwożenia wody (oprócz Pragi, gdzie są tylko cztery beczki), linijka czyli wóz dla ludzi i wóz z bosakami i drabinami, tudzież po dwie małe maszynki, czyli ręczne sikawki. Dla

dostarczenia tych narzędzi i ludzi na miejsce pożaru jest we wszystkich razem oddziałach przeznaczonych stale 102 koni pożarnych.

Warszawska straż ogniowa pod każdym względem wzorowo jest uorganizowaną, gdyż odznacza się doborem młodych, zręcznych i odważnych ludzi, pięknych i silnych koni i narzędzi utrzymywanych we wzorowym porządku. Również znaną jest nie tylko w Warszawie, lecz w całym kraju, ze swej dzielności i energii przy gaszeniu pożarów, i na tę opinią najzupełniej zasługuje. Prawie wszystkie też pożary ograniczają się u nas na zniszczeniu przez ogień (i to nie zawsze) tego tylko zabudowania, w którym się pożar rozpoczął i na rozebraniu w części jednego lub dwóch sąsiednich dachów. Bywają wprawdzie wypadki, jak w roku zeszłym na Pradze, a potem na Solcu, gdzie z powodu upałów, silnego wiatru, nagromadzenia drewnianych zabudowań, znacznych składów drzewa i odległości wody, pomimo najenergiczniejszych usiłowań, ogień zrządza wielkie zniszczenie; lecz takie wypadki są fenomenalne i zdarzają się zaledwo raz na lat dziesięć. Przy takich pożarach nieobliczone usługi przynoszą sikawki parowe (jeżeli na to bliskość wodociągowego kranu, lub wielki zbiornik wody pozwolą), gdyż wyrzucając ogromną ilość wody, można powiedzieć, że zatapiają ogień. W początku za to pożaru nie mają wielkiego znaczenia, a to z tej przyczyny, że nim przybędą stępa na miejsce i nim się para wywiąże, na co potrzeba przynajmniej pół godziny czasu, już zwykle ogień zostanie opanowany, a często bardzo i zupełnie ugaszony.

Do dzielnego i skutecznego ratunku nie mało też przyczyniają się kominiarze, których po kilkudziesięciu znajduje się przy każdym oddziale straży. Ludzie ci, odważni i od dzieciennych lat oswojeni z wysokością i swobodnym chodzeniem po dachach, z zadziwiającą śmiałością i energią rzucają się w najbardziej niebezpieczne miejsca pożaru, i nieraz gdy na dole w najlepsze się pali, kominiarze po belkach pozostałych po spalonym suficie, z najzimniejszą krwią przeskakując z jednej na drugą, w miejscach dla innych niedostępnych, trafnem i dzielnem użyciem toporów lub oskardów, przynoszą rzeczywistą i nieocenioną korzyść.

Przy każdym oddziale straży ogniowej znajduje się nadto oddział karowego magazynu, do uprzątnia śmieci z ulic miasta. Oddział ten w czasie pożaru podwozi stępa wodę w tak nazwanych karowych beczkach, których wszystkich w Warszawie i na Pradze jest 40. Pożądaniemby jednak było, aby magazyn karowy mógł być odłączony od straży ogniowej i aby oczyszczania ulic ze śmieci od dano w prywatną entrepryzę, gdyż takie zajęcie niestosownem się zdaje dla ludzi poświęcających się tak szlachetnemu zawodowi, a zarazem demoralizuje i przynosi prawdziwą szkodę, pozbawiając straż ogniową bardziej wykształconych ludzi, którzy boją się podobnych jak wożenie śmieci zajęć i dlatego nie chcą wstępować na ochotników.

Dawniej na odgłos dzwonów całe miasto w przerażeniu i trwodze budziło się ze snu; wszyscy niemal zrywali się z posłania i wybiegali na ulicę, jedni aby śpieszyć z ratunkiem na miejsce nieszczęścia, drudzy wiedzeni ciekawością, a inni znowu aby, korzystając z ogólnego zamieszania i popłochu, kraść nie tylko przy ogniu, lecz jeżeli się uda i z opuszczonych mieszkań w innych stronach miasta.

Teraz, gdy paręset dzielnych i odważnych ludzi, utrzymywanych w wielkim rygorze, umiejętnie i ze znajomością rzeczy kierowanych, gotowych ochoczo pośpieszyć na ratunek bliźniego – dniem i nocą czuwa, czasem w nocy pożar zostanie przez przybyłą straż ugaszony, a najbliższych nawet ulic mieszkańcy, wcale o tym nie wiedząc, przespali noc spokojnie.

Nieraz wszyscy byliśmy świadkami, jak gdy stojący na czatowni żołnierz daje znać o pożarze, po uderzeniu w dzwonek w jednej prawie chwili zaczynają zbiegać się z różnych stron ludzie straży, kończąc ubranie swoje w przebiegu do stajni i wozowni, a każdy z nich, mając sobie już poprzednio na taki wypadek oznaczoną czynność, pełni ją w porządku i z zadziwiającym pośpiechem. W parę zaledwie minut narzędzia wytoczono, konie ubrano i zaprzężono i na komendę „marsz” oddział w całym pędzie rusza z miejsca, a pozawieszani na sikawkach i beczkach ludzie, stojąc na jednej tylko nodze na palcach, ochoczo śpieszą do swojej wprawdzie szczytnej, lecz zarazem i niebezpiecznej czynności.

Groźny to, a zarazem i wspaniały widok, gdy rozżukane fale płomieni wszystko niszczącym uściskiem obejmą domostwo!... gdy w koło daje się słyszeć jęk rozpaczy nieszczęśliwych mieszkańców, tracących naraz owoc pracy i zabiegów całego życia, lub trzask walących się krokiew i sufitów!... gdy pośród dymu i płomieni, nieczuli jak salamandry, okopceni i osmaleni, zwijają się dzielni ludzie straży ogniowej, niosąc wszędzie ratunek z odwagą, a nie raz i z prawdziwym heroizmem, z poświęceniem zdrowia i życia dla dobra spółbraci.

Lecz chociaż dzielna straż ogniowa warszawska nieraz już dawała dowody swego poświęcenia i z ochotą zawsze śpieszy na pomoc nieszczęściu, zdarzają się jednak katastrofy, a wtedy, pomimo najszczerzych chęci i usiłowań, nie mając ku temu odpowiednich środków, nie można przyjść z ręką i skuteczną pomocą zagrożonemu zdrowiu lub życiu ludzkiemu.

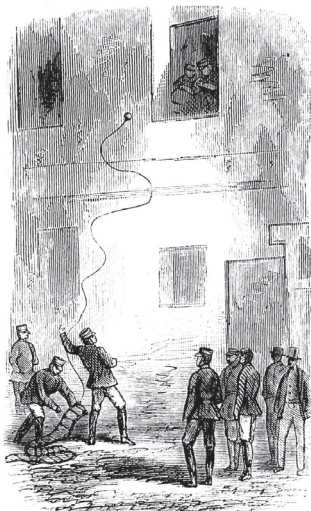
Taki właśnie wypadek miał miejsce niedawno w czasie pożaru na ulicy Chłodnej, gdzie ogień rozpoczął się od wschodów, a następnie dostał się pod strych, zagradzając tym sposobem środek ratowania się ucieczką zamieszkałym w facjatach siedmiu rodzinom, złożonym z 24 osób, a w tej liczbie więcej jak dziesięcioro drobnych dzieci.

Okropna to dla najobojętniejszego nawet serca była chwila, gdy tylu naraz ludzi z jękiem rozpaczy wołało o ratunek... i gdyby nie poświęcenie dwóch brandtmajstrów i kilku żołnierzy z 4go oddziału straży, którzy nie mogąc naraz we wszystkie cztery okna po jednej dostać się drabinie, z odwagą, po nadzwyczaj stromym i śliskim wdarli się dachu i szczęśliwie uratowali 17 osób, straszliwa niezawodnie nastąpiłaby katastrofa. Reszta ludzi, z powodu silnego poparzenia i ze strachu, nic doczekawszy się pomocy, wyskoczyła przez okna na bruk, i z tej przyczyny dwie osoby mocniej pokaleczone, w parę dni umarły.

Aby na przyszłość, o ile można, zabezpieczyć mieszkańców Warszawy od podobnego nieszczęścia, terażniejszy naczelnik straży ogniowej, pułkownik Majewski, obmyślił i zaprowadził we

wszystkich oddziałach rozmaite przyrządy do ratowania ludzi, zagrożonych przy pożarach utratą życia. Opis tych przyrządów, z dołączeniem rycin, dla oznajomienia z nimi publiczności i wskazówki umiejętnego z nich skorzystania w razie potrzeby, tu podajemy.

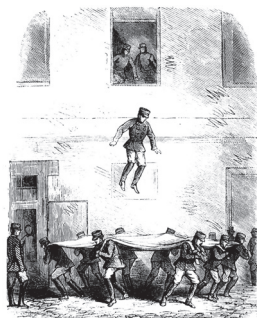
Straż ogniowa w Warszawie.



Zarzucanie sznurka.



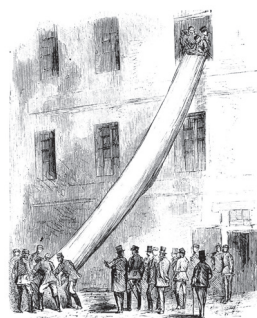
Sznur z węzłami, do ratowania pogorzelołów.



Płochta do skokania na dół.



Przyrząd do oddychania w dymie.



Wór do spuszczenia się na dół.

Na wypadek gdyby się kiedy powtórzyć miała katastrofa podobna jak powyżej przytoczona przy ulicy Chłodnej, po przybyciu na miejsce, straż powinna się starać jak najspieszniej urządzić komunikacją ze znajdującymi się w niebezpieczeństwie mieszkańcami, do czego gdy zwyczajna drabina nie wystarcza, użytym będzie cienki, lecz mocny sznurek, z przywiązaną do jednego końca małą kulą żelazną, którą wprawny żołnierz wrzuci przez okno (ob. rysunek 1). Kulę tę mieszkańcy powinni pochwycić, pociągnąć w górę przywiązaną na drugim końcu sznurową, bardzo długą drabinę i jak można najspieszniej, za pomocą znajdujących się przy niej haków i skobli żelaznych, przymocować drabinę do podłogi, lub przywiązać do okna, drzwi, albo jakiego najstosowniejszego blizkiego przedmiotu. Jeżeliby jedna drabina nie wystarczyła do podania śpiesznej pomocy, to w powyższy sposób wciąga się przez drugie okno sznur gruby i długi, opatrzony w jednostopowych odstępach węzłami (ob. rysunek 2gi). Po takiej to drabinie lub sznurze z łatwością już straż dostanie się do mieszkania i zarządzi skuteczną pomoc, czego najlepiej posłużyć może przyrządzony na ten cel z mocnego płótna wór (ob. rysunek 3), długi na 60 stóp, z obu końców otwarty. Przez otwór górnego końca, umocowanego w mieszkaniu także za pomocą haków i skobli, można ze wszelkiem bezpieczeństwem spuszczać na dół nie tylko dorosłe osoby, lecz nawet małe dzieci, które bez najmniejszego szwanku, po dosyć łagodnej pochyłości, zsuną się na ręce oczekujących na dole i podtrzymujących wór ludzi, w razie zaś gdyby żaden z wyżej przytoczonych sposobów nic mógł być zastosowany do dostania się do zagrożonych przez ogień osób lub gdyby nagle potrzebna nie została na to dosyć czasu, urządzoną została obszerna, podwójna płócienna płachta (ob. rysunek 4), podszyta na krzyż dwudziestu popręgami taśmami, na końcach których umocowane są drążki dębowe, za które trzymając, dwudziestu silnych ludzi rozciąga płachtę poziomo, na trzy stopy nad powierzchnią ziemi. Na taką płachtę można i śmiało skakać, starając się jednak skoczyć na nogi, jak również spuszczać

dzieci, dla wszelkiego bezpieczeństwa (jeżeli można) narzuciwszy poprzednio pierzyn i poduszek.

Na koniec rysunek piąty przedstawia przyrząd do oddychania w dymie. Przyrząd ten składa się z worka gutaperkowego, który za pomocą osobno do tego urządzonego mieszka, napełnia się zwyczajnem atmosferycznem powietrzem, a umocowany na plecach paskami, dostarcza przez dwie rurki gutaperkowe, połączone w drewnianym munsztuku trzymanym w ustach, dostatecznej ilości powietrza, do oddychania choćby w największym dymie przez pół godziny. Żeby dymu nie wciągać nosem, ten ściska się za pomocą drewnianych szczypczyków ze sprężynką; oczy zaś od dymu zabezpieczają hermetyczne okulary.

Tak przybrany człowiek, jeżeli zachodzi potrzeba uratowania komuś życia, lub cennego jakiego przedmiotu, może ze wszelkiem bezpieczeństwem wejść w miejsca napełnione najgęstszym nawet dymem i duszącymi wyziewami spalenizny. Gdyby nareszcie, w razie zabląkania się w dymie, lub nie mogąc sam podołać w wyniesieniu człowieka, potrzebował pomocy, ma do tego w ręku gutaperkową piszczałkę, która za naciśnięciem wydaje natychmiast głośne świstówanie; sznurek zaś jaki opasuje go wkoło, którego drugi koniec pozostawiony jest w ręku innego człowieka, lub przywiązany do drzwi czy okna, z łatwością do wysłanego w dym pomoc doprowadzi, albo jego samego do punktu wyjścia na świeże powietrze wywiedzie.

W celu aby powyższe przyrządy skutecznie odpowiadały swojemu przeznaczeniu i w razie potrzeby mogły być użyte z pożądanym skutkiem, życzyć by należało, żeby we wszystkich mieszkaniach, szczególnie na wyższych piętrach w sypialniach i kuchniach, zawsze przyszykowany był długi, mocny szpagat, lub sznur do wieszania bielizny, które nieszczęścia spuszczone na dół, wielce by ułatwiły wciągnięcie drabin, a przez to dostanie się straży z innymi przyrządami do mieszkania; kule bowiem żelazne ze sznurkami, pomimo największej wprawy, nie tak łatwo do okien

wyższych pięter mogą być wrzucane, a co najważniejsza, operacja ta zabiera dużo drogiego w takich razach czasu.

Ważną także jest rzeczą, aby w tak groźnej chwili zachować zimną krew i przytomność, najpotrzebniejsze właśnie wtedy, gdy zwykle je tracamy.

PRZEDRUK ZA: Tygodnik Ilustrowany 1869, nr 94.

8. We śnie

Seweryn Goszczyński (1801–1876)

Sen: „Mickiewicz z Batignolles widzi pożar w Paryżu. Kobieta jakaś objaśnia go, że z tej racji aresztowano wielu Polaków”.

PRZEDRUK ZA: Seweryn Goszczyński, *Dziennik Sprawy Bożej*, opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski przy współpracy Wiesławy Kordaczuk, Marii M. Matusiak, Warszawa 1984, t. 2, s. 268.

9. Ponury parasol krwawego dymu. W powieści brukowej

Bałamut, 1834

(...) W pół godziny, cały dwór pp. Podkomorstwa ogniem już płonął i wznosił pod obłoki kłęby czarnego dymu. Gospodarz, goście, cudem prawie uratowani, bez odzieży, wśród chłodnego ranku, z jękiem zapatrywali się na pożar domu, w którym przed kilką godzinami tak wesoło się jeszcze bawili! Zebrani z całej wioski ludzie nadaremno usiłowali ogień ugasić, i zaledwie potrafili uchronić od niego przyległe gumno i zabudowania gospodarskie.

Płomienie domu wznosiły się jasno i prostopadle jak świeca. Czerwony ich blask, oświecający ogród i dziedziniec, napełniony coraz liczniej zbiegającymi się ludźmi, szkarłacił drzewa, domy, twarze, i łącząc się z trzaskiem rospadających się w iskry głowni, z okrzykami ratujących i jękiem obecnych kobiet i dzieci stanowił okropno wspaniałą scenę. Pokrywał ją jeszcze ponury parasol krwawego dymu, dający się widzieć na kilka mil do koła, i który niejednemu może jadącemu lub pieszo idącemu w tę stronę krok w trójnasób przyspieszył.

U samych wrót dziedzińca stał z założonemi na krzyż ramionami znajomy nasz oficer, z zimną krwią i niewzruszonym okiem zapatrujący się na własne dzieło. Szyderczy uśmiech ust zaciśniętych i szkarłatny odbłask pożaru, cieniującego w czerwone plamy wyschłe lica, nadawały całej jego twarzy wyraz prawdziwie szatański. (...)

Szybko P. Podkomorzyna zeskoczyła z powozu, lecz zaledwie dotknęła stopą ziemi, wydała krzyk okropny, przeraźliwy, omdlała i padła jak nieżywa.

Nagle to wzruszenie jej nerwów nie było skutkiem okropnego widoku kurzących się szczątków domu, którego przeszłego ranka tak wesoło i nierozmyślnie rzuciła, ani pozbawił jej zmysłów przykry swąd domu, tak gryzącego i szkodliwego dla pięknych oczu. Przyczyną tej katastrofy było zjawisko daleko straszniejsze:

pierwszym bowiem przedmiotem, na który padło jej oko, był trup zmarłego męża, który właśnie przed pół godziną walcował z nią w śnie, niemniej jak podówczas groźny i surowy, niemniej okropny i przerażający, z uśmiechem szatańskiej radości na ustach i piekielnym żarzewiem w oku: poznała go w milczącym naszym oficerze.

Śród powszechnego zamieszania nikt nie postrzegł, a raczej może nie uważał, jak groźny oficer przeniósł pozbawioną przytomności żonę dwójga mężów do własnego powozu, który stał już gotowy do drogi, i pożegnał na zawsze dom nieszczęśliwy. Konie jego w największym pędzie z miejsca ruszyły i niebawem znikły w atmosferze dymu i kurzawy (...).

PRZEDRUK ZA: Bałamut, 24 lutego 1834 roku.

v. Trzęsie się i wybucha



1. Jada!

Ambroży Grabowski (1782–1868)

Trzęsienie ziemi r. 1786

Najdawniejszym zdarzeniem, jakie się w pamięci mojej dochowało, jest to ważne zjawisko natury, które miało miejsce w miasteczku mojem rodzinnem Kętach, ale które się na wielką przestrzeń Małej Polski rozciągnęło, bo w Krakowie zostały po niem ślady spustoszenia, a mianowicie, iż sklepienie wspaniałej Świątyni o.o. Augustyanów na Kazimierzu doznało pęknięcia, jak o tem piszę w dziele mojem: *Kraków i jego okolice* (wyd. 5-te, str. 188).

Było to dnia 3 grudnia 1786 r. około godz. 6-ej wieczór, kiedy przyszedł z odwiedzinami do ojca cyrulik miejscowy nazwiskiem Gaszyński, a po krótkiej rozmowie z ojcem zasiedli przy stole i rozpoczęli grę w karty, t. j. w maryasza. Ja, mały chłopczyna czteroletni, siedziałem na stole przy ojcu, odziany futerkiem, należącym do którejś siostry. Zadrgnęła silnie ziemia, a ś. p. matka zawołała: Jada! (Bo zdawało jej się, że parobcy, którzy pojechali do lasów należących do wsi Porąbka po kłodę drzewa, jakie z lasu przywozili na podwórze, wjeżdżają)... W teje samej chwili powstał huk gwałtowny, jakby się ściana zawaliła, a wtedy ciotka moja, a siostra ojca, zawołała: „Trzęsienie ziemi!”... W teje chwili starsze ode mnie siostry pokłękły i z płaczem zaczęły modlitwę, której początek był: „Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko” etc. Wtem służąca przybiegłszy doniosła, że się kuchnia zapadła, bo tak w rzeczy samej było... Zwaliło się ceglane ognisko, niepodparte sklepieniem ani murem, tylko wstawione na dylach, których końce były w mur puszczone, a one, zapewne już nadpsute, ciężaru utrzymać nie mogły, i ognisko zapadło się do piwnicy i zasypało ziemniaki. Rzadkie to zjawisko trzęsienia ziemi tak silnie się w pamięci mojej wyrzyło,

że jeszcze dziś tak je mam w pamięci świeże i tak uwydatnione, jakby to przed kilku dopiero dniami się stało.

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego*, wydał Stanisław Estreicher, Kraków 1909, t. 1, s. 182–183.

2. W jednej chwili wiedział cały Kraków

Kazimierz Girtler (1804–1887)

Przywodzi mi to na pamięć i owe znaczne trzęsienie ziemi, które w lat kilka potem, bo 3 grudnia 1786 r., w Krakowie czuć się dało. Nieraz za mego życia mówiono, że było trzęsienie ziemi, nigdy przecież samo uczuć mi się nie dało, o owym zaś w d[niu] 3 grudnia mówiła mi matka moja, że właśnie u jej babki, u której się chowała, zastawiono kawę po południu, bo to było po piątej godzinie, gdy nagle drgnął stolik, tak iż śmietanka się rozlała, powtórne drgnięcie jeszcze było silniejsze, zadrżały szyby, naczynia szklane zabrzękły, obrazy na ścianach poruszyły się, „Jezus Maria! Gwiazdo morza! O rany Boskie! Wszelki duch Pana Boga chwali” – zewsząd dały się słyszeć wykrzykniki trwogi i pobożności, lejącej w serca ufność w opiece Boskiej. Skończyło się też na tym, że w jednej chwili wiedział cały Kraków, jak straszne groziło mu nieszczęście; jeszcze więcej takich wstrząśnień, a nie obeszloby się było bez ruiny, bo i tak mówiono, że to trzęsienie ziemi na kilku starych gmachach nie bez śladu przeszło. Matka, która wtedy dziesiąty rok życia liczyła, świadczyła o przerażeniu, jakie to trzęsienie ziemi zrządziło, z całego domu zbiegli się ludzie, wiele wypadło na ulicę, rozległ się krzyk, lament, nazajutrz odprawowano modły dziękczynne za zbawienie miasta od zagłady. To trzęsienie ziemi było szeroko w okolicy Krakowa, była to pogródka przypominająca, że wszystkie wielkości ludzkie na tej ziemi są nietrwałe, nie nasze. Wielkie też to szczęście w naszym polskim klimacie, że te aby podziemne burze nie straszą go ustawicznie jak Włochy, mamy też za to nasze niestateczne wiosny i jesienie, mroźne zimy, a i latem często nie lada burzę nad głowami. O stary Zamku krakowski, któż przy tobie nie oderwie się od terażniejszości, aby całą duszą wcieliwszy się w oko, w ucho, z twych zabytków nie pragnął i wypatrzeć, dośłuchać wielkiej a sławnej narodu przeszłości! Idąc do wnętrza z ojcem moim, patrzeliśmy spod Zamku, gdy dogorywał Tyniec, blisko

osiemsetletni pomnik pobożności króla Kazimierza, początkowe źródło oświaty w kraju, a w końcu twierdza niepodległości polskiej. Król Kazimierz u benedyktynów w Kluny nauczył się czytać i pod tym względem był pierwszym z monarchów polskich. Benedyktynów obowiązkiem było nauczanie, toteż oni w kraju przykładali się do rozszerzenia nauk i cywilizacji. Około 11 godziny przed południem jeszcze gęste dymy wznosiły się nad Tyńcem i ostatnie to było jego konanie. Przeszliśmy z ojcem przez basztę na placu przed psalterią Długoszowską, zatrzymawszy się nad rozległymi wokoło rozwalinami, ruderami, gruzami, choć w części uprzątinionymi, ojciec pokazywał mi, jak jeszcze cały prawie plac Zamkowy, między murami i basztami położony, pamiętał zabudowanym. Stał jeszcze bez dachu i okien dom nuncjatury, pustka, kościoła św. Michała ani szczątka, od kościoła katedralnego począwszy do pałacu zamkowego ani śladu Starościńskiej kamienicy, która jakoby ulicę do pałacu tworzyła; a od tej z rogu ku południowym murom, ku tej małej baszcie, w której furką wynieść się miał z Polski król Henryk, cała ta połać znikła bez śladu. Rozповідаł ojciec o dostaniu się do Zamku konfederatów kanałem, też z późniejszego czasu o Manderlem, o bytności króla Stanisława, o sądach grodzkich, aż weszliśmy do kościoła, gdzie nam zeszło na obchodach do godziny pierwszej, bo tam czasu któż się doliczy, a mnie w towarzystwie ojca mego opowiadania tak szacowne tak go skracaly, iż rad bym był te chwile do wieczora przedłużyć. Nie było kąta dostępnego, gdzie byśmy nie zajrzeli, nie było pomnika, na którym nie zaczęłyby się uwaga nasza – dzieje dla nas odżyły. Ostatni też to raz w życiu byłem wtedy na Wawelu, w Katedrze, w tej świątyni sławy Polaków, ostatni raz byłem z ojcem.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Girtler, *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1832–1857*, przedmowa i wybór tekstu Zbigniew Jabłoński, opracowanie tekstu i przypisy Zbigniew Jabłoński i Jan Staszek, Kraków 1971, t.1, s. 451–452.

3. Babka nie pamiętała

Antoni Andrzejewski (1785–1868)

Tejże zimy w grudniu [ok. 1800 roku – MB] silne było trzęsienie ziemi, u nas dotąd rzadkie, bo babka moja sześćdziesięcioletnia w swem życiu na Litwie nie pamiętała, ani u nas starzy ludzie przypomnieć sobie takowe mogli. Trwało dość długo i nas dzieci ten ruch mebli i wszystkiego, co na nich stało, wielce zabawiał, a gdy się skończyło, bardzo nam się chciało powtórzenia tej sztuki.

PRZEDRUK ZA: Antoni Andrzejewski, *Ramoty Starego Detiuka o Wo-
łyniu*, wydał i przedmową opatrzył Fr. Rawita Gawroński, Wilno 1921,
t. 1, s. 61.

4. Niebo było kryte ognistymi łunami

Kurier Warszawski, 1821

Wulkan w Banda w Indjach wschodnich na nowo wybuchnął. Nic nie zdoła opisać okropności tego wypadku, przez 15 dni niebo było okryte ognistymi łunami, i przez tyleż dni co kilka minut trzęsła się ziemia, mieszkańcy z dawali się już być przekonani o zakończeniu świata, mężowie z żonami, Rodzice z dziećmi, przyjaciele z przyjaciółmi żegnali się na zawsze, najwięksi przeciwnicy przebaczyli sobie urazy, słowem był to obraz dnia sądnego.

(...)

W okolicach miasta Giessen d. 3 maja r. b. padał deszcz czerwony, zwany deszczem krwawym, co niezmierną sprawiło trwogę. Profesor Zimmerman znalazł w kroplach tego deszczu kwas chromowy, niedokwas żelaza, wapno, krzemionka i ślady talka, tudzież gaz węglowy.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 14 sierpnia 1821 roku.

5. Cienka skorupka na płynnym podłożu

Karol Darwin (1809–1882)

20 lutego. Dzień ten jest pamiętny w dziejach Valdivii z powodu najsilniejszego z trzęsień ziemi, jakie pamiętali najstarsi mieszkańcy. Byłem przypadkiem na łądzie i położyłem się w lesie, by wypocząć. Trzęsienie ziemi przyszło nagle i trwało dwie minuty, ale czas wydawał się znacznie dłuższy. Ruch ziemi odczuwało się bardzo wyraźnie. Mnie i mojemu towarzyszowi wydawało się, że fale wstrząsu przechodziły wprost ze wschodu, gdy tymczasem inni sądzili, że pochodzą z południowego zachodu; widać z tego, jak trudno jest nieraz wyczuć kierunek drgań. Nie było trudności, by utrzymać się prosto na nogach, ruch jednak wywołał u mnie niemal zawrót głowy. Było to trochę podobne do kołysania się statku na małej poprzecznie biegnącej fali albo jeszcze bardziej do tego, co odczuwa osoba ślizgająca się po cienkim lodzie, który ugina się pod ciężarem ciała.

Silne trzęsienie ziemi burzy za jednym zamachem nasze najstarsze skojarzenia; ziemia, ten symbol stałości, poruszyła się pod naszymi stopami jak cienka skorupka spoczywająca na płynnym podłożu. Jedno mgnienie oka stwarza w naszym umyśle jakieś dziwne pojęcie niepewności, którego nie zdołałyby wywołać godziny rozmyślań. W lesie, ponieważ wiatr poruszał drzewami, odczułem tylko, że ziemia się trzęsie, i nie widziałem innych skutków. Kapitan FitzRoy z kilku oficerami był w mieście w czasie wstrząsu i tam scena była bardziej przerażająca – chociaż domy, dzięki temu że były zbudowane z drzewa, nie zawały się, to jednak uległy silnym wstrząsom, a deski skrzypiały i stukały o siebie. Ludzie wylatywali na dwór w największym popłochu. Te właśnie okoliczności towarzyszące stwarzają ową straszną groźbę trzęsień ziemi, doznawaną przez wszystkich, którzy w ten sposób widzieli i zarazem odczuli ich skutki. W głębi lasu było to zjawisko interesujące, ale w żadnym wypadku niebudzące grozy. Wpłynęło ono w ciekawy sposób na przyływ i odpływ. Wielki wstrząs nastąpił w czasie

odpływu i pewna stara kobieta, która była na wybrzeżu, mówiła mi, że woda napłynęła bardzo szybko, ale niewielkimi falami, aż do górnej granicy przypływu i potem równie szybko odpłynęła do właściwego poziomu. (...).

Następnego dnia wylądowałem w Talcahuano i pojechałem potem do Concepcion. Oba miasta przedstawiały przerażający, a jednak najciekawszy widok, jaki [kiedy]kolwiek widziałem. Wrażenie byłoby może jeszcze silniejsze dla kogoś, kto poprzednio znał te miasta, ruiny bowiem stanowiły jeden stos gruzu i całość tak mało przypominała miejsce zamieszkałe, że ledwo można było wyobrazić sobie poprzedni wygląd. Trzęsienie ziemi rozpoczęło się o pół do jedenastej w południe. Gdyby się było wydarzyło wśród nocy, większość mieszkańców (których liczba w tej jednej prowincji wynosi wiele tysięcy) zginęłaby, w tych zaś okolicznościach zginęło tylko około stu ludzi. W każdym razie mieszkańców uratował jedynie stały zwyczaj wybiegania na dwór zaraz przy pierwszym wstrząsie ziemi. W Concepcion każdy dom lub rząd domów zachował się osobno jako stos lub rząd ruin, jednakże w Talcahuano, które po wstrząsie załała wielka fala, nie można było odróżnić wiele więcej niż warstwę cegieł, dachówek i belek, z których tu i ówdzie sterczał kawałek zachowanego muru. Dzięki tej okoliczności Concepcion, choć nie tak całkowicie zniszczone, przedstawiało widok bardziej przerażający i jeśli tak można się wyrazić, malowniczy. Pierwszy wstrząs nastąpił nagle. Mayor-domo w Quiriquina mówił mi, że zorientował się dopiero wtedy, gdy spostrzegł, iż razem z koniem, na którym jechał, koziołkuje po ziemi. Gdy wstał, wstrząs ponownie rzucił nim o ziemię. Mówił mi też, że kilka krów, które stały na stromym brzegu wyspy, skoczyło się do morza. Owa wielka fala była też przyczyną zguby dużej ilości bydła; na jednej niskiej wyspie w pobliżu końca zatoki fala zmyła i zatopiła siedemdziesiąt zwierząt.

5 marca 1835. ...Bydło było straszliwie przerażone i latało jak oszalałe z ogonem zadartym do góry... Francuski wicekonsul wspominał o fakcie, który jest bardzo ciekawy, o ile jest autentyczny. Mianowicie psy wyją zazwyczaj w czasie trzęsienia ziemi, jakby

słyszały orkiestrę wojskową, ale tym razem podobno spokojnie opuściły miasto na kilka minut przed wstrząsem i zatrzymały się na okolicznych pagórkach. Zdaje mi się, że notowano podobne fakty. Wszyscy też twierdzą, że tego samego dnia o 9 rano bajecznie wielkie stado mew i innych ptaków morskich leciało, jak ze zdziwieniem stwierdzono, w głąb lądu. Mam wątpliwości, do jakiego stopnia można dać wiarę temu twierdzeniu. Nie zapomniałem o tym, że mieszkańcy Lemuy wołali, gdy przybyliśmy tam na łodziach: „to dlatego widzieliśmy ostatnio tyle papug”...

Przypuszcza się, że było to najgorsze trzęsienie ziemi ze wszystkich dotąd znanych w Chile, ponieważ jednak wielkie trzęsienia ziemi zdarzają się w wielkich odstępach czasu, trudno to stwierdzić, a zresztą nawet i znacznie silniejszy wstrząs nie różniłby się w skutkach, zniszczenie bowiem było zupełne. Po silnym wstrząsie nastąpiło mnóstwo słabszych; w ciągu pierwszych dwunastu dni naliczono ich przynajmniej trzysta.

Po ujrzeniu Concepcion nie mogę zrozumieć, jakim sposobem większość mieszkańców uszła cało. W wielu miejscach domy runęły do przodu i utworzyły w ten sposób w środku ulicy małe wzniesienia z cegieł i gruzu. Pan Rouse, konsul angielski, opowiadał nam, że był właśnie przy śniadaniu, lecz ostrzeżony pierwszym wstrząsem wybiegł z domu. Ledwie zdołał dobiec do połowy podwórza, gdy jedna strona jego domu runęła z hukiem. Zachował na tyle przytomności umysłu, by uświadomić sobie, że jeżeli dostanie się na szczyt tej części, która runęła, będzie bezpieczny. Z powodu kołysania się ziemi nie mógł stać prosto i wdrapywał się na czworakach. W tej samej chwili, w której wspiął się na szczyt tego małego wzniesienia, runęła druga strona domu i wielkie belki przeleciały mu tuż nad głową. W końcu oślepli i mając usta pełne pyłu, zakrywającego tumanem niebo, wydostał się na ulicę. Ponieważ wstrząsy następowały raz po raz w odstępach kilku minut, nikt nie ośmielał się zbliżyć do strzaskanych ruin i nikt nie był pewny, czy najbliżsi przyjaciele lub rodzina nie giną tam z braku pomocy. Ci, którym udało się uratować jakiś dobytek, musieli go

bezustannie pilnować, gdyż włóczyło się wielu złodziei, którzy przy każdym najmniejszym wstrząsie bili się jedną ręką w piersi, wołając: „Misericordia”, a drugą kradli z ruin, co tylko było można. Dachy słomiane pospadały na ogniska i wszędzie wybuchały pożary. Setki ludzi stało w obliczu ruiny, a niewielu tylko miało środki do zdobycia żywności na ten dzień.

Trzęsienia ziemi same przez się wystarczą, by zniszczyć bogactwo każdego kraju. Jak całkowicie zmieniałyby się warunki w Anglii, gdyby znajdujące się tam, nieczynne obecnie, podziemne siły zaczęły objawiać swe działanie, jak to z pewnością czyniły w ubiegłych epokach geologicznych. Cóżby by się stało z wysokimi domami, gęsto zaludnionymi miastami, wielkimi fabrykami i pięknymi publicznymi i prywatnymi budynkami? Gdyby ponowny okres zaburzeń miał się rozpocząć jakimś wielkim trzęsieniem ziemi wśród ciemnej nocy, jakież straszne pociągnęłoby to ofiary! Anglia zbankrutowałaby niezwłocznie, wszystkie papiery, zapiski, rachunki uległyby natychmiastowemu zniszczeniu. Gdyby rząd nie był w stanie zebrać podatków i nie potrafił utrzymać władzy, nie można by ukroić gwałtów i rozboju. W każdym mieście wybuchłby głód, a następnie zaraza i śmierć. (...)

W doskonałym opisie podanym przez kapitana Fitzroya znajdujemy wzmiankę o dwóch eksplozjach, widzianych w zatoce; jedna była podobna do słupa dymu, a druga do wytrysku wielkiego wieloryba. Zdawało się też, że cała woda wrze, przy tym „stała się czarna i wydzielała bardzo niemiłą siatkową woń”. Te ostatnie okoliczności zaobserwowano w Zatoce Valparaiso w czasie trzęsienia ziemi w roku 1822. Myślę, że można je wytłumaczyć poruszeniem mułu na dnie morza, który zawiera rozkładającą się materię organiczną. W czasie pewnego pięknego dnia zauważyłem w Zatoce Callao, że gdy okręt ciągnął linę po dnie, linia banieczek znaczyła jej drogę*.

* Lina, wlokąc się po mule dennym, uwalniała gromadzący się tam gaz powstały z procesów gnilnych substancji organicznych. (Tłum.)

W Talcahuano ludzie nieoświeceni przypuszczali, że trzęsienie ziemi zostało wywołane przez pewne stare Indianki, które, czymś obrażone, dwa lata temu zatkały wulkan Antuco. To naiwne wierzenie jest ciekawe, gdyż świadczy o tym, iż doświadczenie zwróciło uwagę ludzi na związek zachodzący między zahamowaniem działania wulkanów a wstrząsami ziemi. Nie umiejąc rozpoznać przyczyny i skutku, z konieczności wprowadzili czarodziejską siłę, którą tu było zatkanie wylotu wulkanu. W danym wypadku wiara jest tym osobliwsza, że według kapitana Fitzroya są podstawy do przypuszczenia, że Antuco nie odgrywał tu żadnej roli. (...)

Nie próbowałem opisać szczegółowo wyglądu Concepcion, gdyż czuję, iż niepodobna oddać tych złożonych uczuć, których dostawałem. Kilku oficerów zwiedziło to miasto przede mną, lecz nawet najbrutalniejsze ich opowiadania nie zdołały wzbudzić właściwego wyobrażenia o zniszczeniu. Gorycz napełnia serce i człowiek czuje się upokorzony, gdy widzi, jak dzieła, które kosztowały tyle czasu i pracy ludzkiej, zostają w jednej minucie zburzone; a jednak współczucie dla mieszkańców zniknęło prawie natychmiast, ustępując miejsca zdziwieniu wywołanemu widokiem stanu, który z przyzwyczajenia przypisujemy działaniu wielu wieków, a który powstał tutaj w ciągu jednej chwili (...)

W czasie wielkiego trzęsienia ziemi 20 lutego Wyspa Juan Fernandez, leżąca o 360 mil na północny wschód, doznała bardzo gwałtownego wstrząsu, tak że drzewa uderzały jedno o drugie i jakiś wulkan wybuchł pod wodą w pobliżu wybrzeża. Fakty te są godne uwagi, ponieważ wyspa ta w czasie trzęsienia ziemi w roku 1751 doznała również silniejszych jego skutków niż inne miejsca w równej odległości od Concepcion. Wydaje się, że świadczy to o jakimś podziemnym związku pomiędzy tymi dwoma punktami. Chiloe, położone około 340 mil na południe od Concepcion, doznało, jak się okazuje, silniejszych wstrząsów niż leżąca pomiędzy nimi okolica Valdivii, gdzie wulkan Villarica był zupełnie nieczynny,

gdy tymczasem w Kordylierach naprzeciw Chiloe wybuchły w tym samym czasie bardzo gwałtownie dwa wulkany. Te dwa wulkany i kilka sąsiednich były potem przez długi czas czynne i w dzie sięć miesięcy później ponownie uległy wpływom trzęsienia ziemi w Concepcion. Ludzie, którzy ścinali drzewa u stóp jednego z tych wulkanów, nie odczuli wstrząsu z 20 lutego, chociaż cała okoliczna prowincja wówczas drżała. Mamy tu przykład na to, że wybuch wulkanu odciąża, zastępuje trzęsienie ziemi; zdarzyłoby się to i w Concepcion, według wiary sfer niższych, gdyby wulkan Antuco nie został w czarodziejski sposób zatkany. W dwa lata i dziewięć miesięcy później Valdivia i Chiloe uległy ponownemu trzęsieniu, silniejszemu niż 20 lutego, a pewna wyspa w Archipelagu Chonos została trwale wydzwignięta o więcej niż 8 stóp. Będziemy mieli lepsze wyobrażenie o skali, w jakiej się odbywały te zjawiska, jeśli wyobrazimy sobie (podobnie jak to zrobiliśmy w wypadku lodowców), że zdarzyły się one w odpowiednio odległych od siebie częściach Europy. Wtedy ląd od Morza Północnego aż po Morze Śródziemne zatrzęśłyby się gwałtownie, a w tym samym czasie wielka część wschodniego brzegu Anglii podniosłaby się trwale wraz z jakimiś leżącymi przy nim wyspami; wybuchłyby wulkany na wybrzeżu Holandii, a podwodny wybuch nastąpiłby na dnie morza przy północnym końcu Irlandii; wreszcie stare kratery Auvergne, Cantal i Mont d'Or wyrzuciłyby ku górze czarne słupy dymu i przez długi czas byłyby groźnie czynne. W dwa lata i dziewięć miesięcy później Francja, od centrum aż po Kanał La Manche, zostałaby ponownie zniszczona przez trzęsienie ziemi, a na Morzu Śródziemnym wydzwignęłaby się trwale jakaś wyspa (...).

15 maja 1835

(...) Wieczorem kapitan Fitzroy i ja byliśmy na obiedzie u p. Edwardsa, osiadłego tam Anglika, znanego dobrze ze swej gościnności wszystkim, którzy odwiedzali Coquimbo. Nagle zdarzyło się ostre trzęsienie ziemi. Słyszałem poprzedzający pomruk, ale nie zauważyłem wstrząsu wskutek powstałego zamieszania: panie krzyczały, służba

biegała, kilku panów rzuciło się do drzwi. Niektóre kobiety później jeszcze płakały ze strachu, a jeden dżentelmen powiedział, że nie będzie mógł spać całą noc albo zaśnie po to tylko, by śnić o walących się domach. Ojciec jego ostatnio stracił cały swój majątek w Talcahuano, a on sam ledwo zdążył uciec spod walącego się dachu w Valparaiso w roku 1822. Wspomniiał o ciekawym zbiegu okoliczności, który wówczas się zdarzył. Grano w karty, gdy nagle pewien Niemiec będący w tym towarzystwie wstał i powiedział, iż w tym kraju nie będzie siedział nigdy przy zamkniętych drzwiach, ponieważ raz z tego powodu o mało nie stracił życia w Copiapó. Stosownie do tego otworzył drzwi i gdy tylko to uczynił, wykrzyknął: „Znów nadchodzi”, i zaczęło się owo słynne trzęsienie ziemi. Całe towarzystwo zdołało się uratować. W czasie trzęsienia ziemi niebezpieczeństwo polega nie na stracie czasu potrzebnego do otwarcia drzwi, tylko na tym, że drzwi mogą się zaciąć wskutek ruchu ścian.

Nie można zbyt się dziwić przerażeniu, które na ogół ogarnia w czasie trzęsienia ziemi zarówno tubylców, jak i cudzoziemców mieszkających tam od wielu lat, chociaż wiadomo, że niektórzy z nich są ludźmi bardzo opanowanymi. Myślę jednak, że tę zbytnią panikę można przypisać częściowo temu, iż mieszkańcy tych krajów nie mają zwyczaju powściągać swego strachu, gdyż jest to uczucie, którego się nie wstydzą. Przeciwnie, ludzie tutejsi nie lubią, gdy ktoś wydaje się obojętny. Słyszałem o dwu Anglikach, którzy spali pod gołym niebem w czasie silnego trzęsienia i nie wstali, wiedząc, iż nie grozi im niebezpieczeństwo. Chilijczycy zawołali z oburzeniem: „Patrzcie na tych heretyków, nawet z łóżek nie wstają!”.

Karol Darwin, *Dzieła wybrane*, t. 1: *Podróż na okręcie „Beagle”*, z angielskiego przełożył Kazimierz Szarski, Warszawa 1959, s. 321–333, 362–363.

6. Miasto przeznaczone na klęski i zniszczenia

Ignacy Domeyko (1802–1889)

CONCEPCION

(...) Miasto było jeszcze po większej części w gruzach od ostatniego trzęsienia ziemi w 1835 roku. Wiele domów bez dachu, mury porysowane. Plac pusty, miejscami trawą porośły, miejscami kupy kamieni i cegiel świadczą, gdzie były pałace i kosztowne magazyny. W miejscu, na którym stała katedra, płyty ciosanego kamienia porozrzucone, szczątki starych ścian, reszty wieżyc i szerokich podwalin; już znaczna część gruzów była wywieziona za miasto.

Od najstarszych lat swojego bytu było to miasto jakby przeznaczone na wielkie klęski i zniszczenia, które odziedzyczyło po swoim poprzedniku, pierwszej osadzie hiszpańskiej Penco. Kłótlive, burzące się, nigdy kontente ze swoich rządców i rad municypalnych, zagrożone od sąsiednich Indian Araukanów, po wielokroć budowało się i waliło się od pożarów i trzęsień ziemi. (...)

Było to w miesiącu lutym (17 czy 18, jeżeli się nie mylę) około jedynastej z rana, mało co po nabożeństwie w kościołach. Żaden znak ni wróżba na niebie czy w powietrzu nie poprzedziły nieszczęścia. Bawiono się, kłócono się, przedawano po kramach lub spokojnie siedziano po domach. Upał, niebo pogodne wabiły ludność do kąpieli w Bio-Bio; ani wiatru nie było, ni morze nazbyt szumiało; dzieci igrały na łące. Gdy nagle zaryczał huk straszny pod ziemią, zatrzęsła się ziemia i wicher zawył nad miastem. Cała ludność wybiegła na ulice, na place z krzykiem, z płaczem, bijąc się w piersi i wołając: „Misericordia, misericordia”. W parę minut drugie [trzęsienie], silniej zatrzęsło się miasto i grad dachówek runął po wszystkich ulicach; poczęły rozpadać [się] domy, chwiały się jak trzciny wieże kościelne, a dzwony same dzwoniły; ludzie ustać nie mogli na nogach. Za trzecim wstrząśnieniem, silniejszym od poprzednich, kościół katedralny i większa część miasta już leżały

na ziemi, a gęsta, oddech tamująca, od rozwalających się murów powstała kurzawa tak w tym momencie niebo i słońce zakryła, że choć to było południe, noc zapadła; matki uciekających swych dzieci nie widziały; ludzie jak pijani stali się.

Była to straszna godzina, o której mówili mi ci, co ją widzieli, że takiej czy podobnej aż do sądneho dnia nie będzie. Pierwej niż ta piekielna chmura kurzawy opadać zaczęła, poczynały na wielu miejscach przyswiecać pożary i długi czas przeszedł, nim słońce ciernoczerwonego, miedzianego koloru mogło się przedzierać do wołającej o ratunek do Boga ludności.

Nie ustawały jednak grozić burze podziemne; co kwadrans, co pół godziny ponawiały się, choć słabsze, krótsze trzęsienia; chwiały się wysokie poszczepane mury starych wieżyc i klasztorów i padały z łoskotem jakby dęby siekierami podcięte. A kiedy po południu opadł zupełnie tuman owego duszącego prochu z pogruchootanych domów, odsłonił się widok okropnego zniszczenia, nad którym podnosiły się tylko miejscami dymy pożarne; tysiące rodzin pozostało bez domów, bez ratunku. Na przedmieściach tylko ocalały ubogie chaty z trzciny, sitowiem nakryte, tak zwane ranchos, do których bogatsi garnąć się musieli, szukając gospody i przytułku.

Najbardziej niebezpieczne, litość wzbudzające były mniszki, które w tym zamieszaniu i pożodze uciekać musiały z klasztorów i rzucać się w odmęt pospólstwa, gdzie nie było różnicy stanów ni czci, ni majątku, równość tylko – w rozpacz. Przez całą noc pod gołym niebem przy roznieconych ogniskach lud koczował, a zaledwo świtać poczynało, na domiar nieszczęścia spadł ulewny deszcz, jakiego od wielu lat nie pamiętano.

Czego trzęsienie, ogień i ulewa zniszczyć nie mogły, tego źli ludzie dokonali. Nieodstępni towarzysze klęsk i nieszczęść, złodzieje, wkradali się do zburzonych domów, odkopywali, co mogli, z gruzów i unosili, ciesząc się ze spustoszenia jak zły duch z upadku pierwszego człowieka. Niewiele było trupów w tym trzęsieniu przez to, że pierwsze uderzenie podziemne nie było zbyt

gwałtowne, ostrzegło mieszkańców i dało czas do ucieczki na rynki i ulice. Dwóch tylko rzemieślników, którzy wysoko na katedralnej wieży pracowali, i zakrystian polegli pod gruzami kościoła.

Zdawałoby się, że po takiej strasznej klęsce dawni właściciele zburzonych domów pomyśleć powinni byli o zabudowaniu nowego miasta na innym miejscu. Smutne bowiem doświadczenie, jakie mieli na po trzykroć zrujnowanym Penco, że groźny skutek trzęsienia zależy bardziej od natury gruntu, na którym stoją domy, niż od siły wstrząśnienia, ostrzec ich było powinno, że miasto Concepcion, wymurowane na gruncie piaszczystym, o parę stóp od powierzchni ziemi, ulec może ponawiającym się tym samym zniszczeniom. To samo trzęsienie, które obaliło tysiące domów w Concepcion, nie sprawiło żadnej szkody na wybudowanych o kilka mil stąd na wschód, na granitowym pokładzie miasteczkach, jak Gualquib, Here, i przeciwnie, porujnowało wiele domów w Yumbel, a więcej jeszcze w Chillan, w Talca, leżących na ziemistym, gliniastym gruncie szerokiej, podłużnej, między dwiema Kordylierami doliny.

Jakoż zaraz po nieszczęściu o niczym nie myślano, jak o wybraniu bezpieczniejszej posady na nowe miasto. Opatrywano piękne, wśród tak nazwanej Nadmorskiej Kordyliery, opodal od rzeki, na twardszym kamiennym gruncie miejsca. Czynną była rada municypalna i nie dozwalała nikomu murować nowych domów na podwalinach tych, które się nie obroniły od trzęsienia.

Przeszedł rok i drugi; pierwsi kramarze i kupcy popodpierali jako tako pochylone ściany, pozalepiali dziury, podbudowali na przędcę, tymczasowo, co mogli. Rada miejska i bogatsi właściciele coraz silniej, gwałtowniej sprzecali się ze sobą, rozprawiali, dysputowali, żyjąc jak na popasie. W uboższych, niezupełnie zrujnowanych domkach, coraz mniej okazywano surowości dla tych, co nie czekając skutku dyskusji, rzucali się do restaurowania lub odbudowania dawnych mieszkań. Trzeciego, czwartego roku już się pokazywała większość głosów na obradach przeciw obraniu innej posady na miasto. Przemogła partia handlowa i właściciele większych posad na domy. Jeden z najświatlejszych, zacny bardzo

obywatel i dawny urzędnik, Zanartu, zbudował za pozwoleniem rządu drewniany, z lekkich desek domek jak szkatułkę, tuż przy rozwalinach katedry, na placu, a powoli, choć niskie, zawsze tymczasowo i za pozwoleniem, poczynano niby naprędce (póki rząd i rada miejska nie uchwałą stanowczej decyzji) murować mieszkania.

Nie uszło lat dziesięć, oswojono się z nieszczęściem i przebaczone trzęsieniu. Choć katedralny kościół był jeszcze w gruzach, klasztory nie były ponaprawiane, a na wielkim placu nikt jeszcze nie brał się do murowania, już po ulicach przygotowywano cegły i wszelkie materiały na stawienie pałaców. Blisko katedry biskup Elizondo wystawił z cegły wysoki dom jakby dla dania przykładu i okazania, że nie masz się czego lękać; zbudował jednak na środku dziedzińca lekki szałasik z desek dla siebie. Całą prawie ulicę Kupiecką (calle de Comercio) znalazłem zrestaurowaną, a kiedy jednemu bogatszemu panu, który murował dla swojej licznej rodziny i małych dzieci przestronny dom, a ściany dochodziły do pięciu metrów wysokości, zrobiłem uwagę: „Jak możesz stawić na tym samym miejscu, na którym trzęsienie ziemi obaliło twoje dawne mieszkanie, nowy dom tak wysoki”. Odpowiedział: „To nic, wiadomo dobrze, że takie wielkie trzęsienia jak ostatnie ponawiają się tylko co 70 czy 75 lat, a o mniejsze nie dbamy”.

Taka to przezorność ludzka, że stawia murowane pastki na swoich prawnuków.

PRZEDRUK ZA: Ignacy Domeyko, *Moje podróże. Pamiętniki wygnańca*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Niechowa, Wrocław–Warszawa–Kraków 1963, s. 417–421.

7. Smutne następstwa podziemnych ryków

Aleksander Humboldt (1769–1859)

W krajach europejskich, w których trzęsienia trafiają się rzadziej, jest powszechne mniemanie (np. w południowej Europie), że ich przyjście zapowiada poprzednio: cisza powietrzni, parność dusząca, i zamglony widok. Ale moje własne i wieloletnie innych doświadczenia pokazują inaczej. (...) Głuche szумы prawie zawsze towarzyszą trzęsieniom ziemi, ale się nie wzmagają z ich gwałtownością. Pilnie śledziłem różne koleje trzęsienia ziemi w Riobamba (4 lutego 1797), jednego z największych, o których tylko historia fizyczna wspomina, i przekonałem się, że żaden huk wstrząśnienia nie zapowiadał. Okropna eksplozja, jaka się słyszeć dała pod ziemią w Quito i Ibarra, nie była słyszana w Tacunga i Hambato; chociaż te miasta były bliższe środka wstrząśnienia, lecz nastąpiła dopiero w 18 do 20 minut po tej katastrofie. Podczas sławnego trzęsienia (28 października 1746), które zniszczyło miasta Lima i Callo, w kwadrans usłyszano w Truxillo łoskot podziemnego grzmotu, lecz wstrząśnienie czuć się nie dawało. Podobnie po wielkim trzęsieniu ziemi w Nowej Grenadzie (16 listopada 1827), opisanem przez Boussingaulta, późno dopiero usłyszano w dolinie Cauca wystrzały podziemne, co trzydzieści sekund po sobie następujące, a zawsze bez wstrząśnień. Huki te zmieniają swoje odgłosy; grzmia, huczą, brzęczą jak szczęk ścierających się łańcuchów, czasem przerywane jak trzaski bliskiego grzmotu, albo się rozlegają z łoskotem, jak gdyby masy obsydianów czyli skał zeszlonych, łamały się w podziemnych pieczarach; fale ich 10 do 12 razy prędzej przebiegają wypaloną glinę niż powietrze; przeto huki podziemne, niezmiernie daleko dają się słyszeć od miejsca w którym powstały. W Caracas, na błoniach Catabozo, i na brzegach rzeki Rio Apure, wpadającej do Orynoko, a rozległych na 2300 mil słyszano straszliwy wystrzał, nie doświadczając wstrząśnienia: było to w chwili, kiedy potok lawy wytrysnął z wulkanu Saint Vincent,

położonego w Antyllach odległych o 158 mil. Jest to ta sama odległość, jak gdyby wybuch Wezuwiusza dał się słyszeć w północnej Francji. Podczas wielkiego wybuchu 1744 r., w Cotopaxi, słyszano w Honda nad brzegami rzeki ś. Magdaleny niezmierne wystrzały podziemne, a jednak dwa te punkta są od siebie około 109 mil odległe, a różnica poziomów stóp 17000; nad Popayan, i niezliczone doliny i parowy. Łoskoty te nie przenosiły się z pewnością przez powietrze, lecz pod ziemią, w bardzo znacznych głębokościach. Podczas gwałtownego trzęsienia ziemi w Nowej Granadzie (luty 1835 r.), słyszano równocześnie podziemne huki w Popayan, Bogota, Santa Marta, i Caracas (przez 7 godzin nieustannie bez najmniejszego zatrząśnienia), w Hajty, Jamajka i nad jeziorem Nicaragua.

Te podziemne łoskoty, chociażby bez wstrząśnień, zawsze przerażają mocno nawet ludzi co od dawna nawykli do trzęsień ziemi. Słyszając je, z trwogą oczekują smutnego następstwa tych podziemnych ryków. Takiemi były owe *bramidos y truenos subterranos*, to jest nieprzerwane ryki i podziemne grzmoty w Guanaxuato (87) bogatem i sławnym mieście meksykańskim, położonem daleko od wszystkich czynnych wulkanów. Ryki te rozpoczęły się o północy dnia 9. stycznia 1784 r. i trwały przez cały miesiąc. Ważne to zjawisko opisałem z archiwów miejskich, i z opowiadań mnogich świadków. Od 13. do 16. stycznia zdawało się mieszkańcom, że się burza podziemna pod ich stopami odbywa; odróżniano toczące się wolno grzmoty od trzasków piorunu. Huki te stopniowo się wzmaczały i stopniowo cichły. Wszystko to jednak działo się w niewielkiej rozległości; o kilka mil dalej, w okolicy w bazalty bogatej, nic nie słyszano. Prawie wszyscy mieszkańcy przestraszeni uciekli, zostawując wielkie massy srebra w sztabach, które natychmiast przywłaszczyli sobie złoczyńcy, i odważniejsi musieli jak najprędzej wracać, aby z niemi o swoją własność stoczyć walkę. Przez cały przeciąg zjawiska, ani na powierzchni, ani w kopalniach głębokich na 1500 stóp, trzęsienie ziemi czuć się nie dało. Nigdy na wyżynie meksykańskiej przed tą epoką nie słyszano podobnego łoskotu, i nigdy więcej później nie

powtórzył się. Tak to rozwierają się i zamykają podziemne szczeliny, a fale głosu gdzieś daleko wszczętego dochodzą do nas, lub doznają w drodze niezbadanych przeszkód.

PRZEDRUK ZA: *Kosmos. Rys fizycznego opisu świata Aleksandra Humboldta*, przełożyli Jan Baranowski i Ludwik Zejszner, Warszawa 1849, s. 210–211.

8. Huk podobny do turkotu wozu

Gazeta Krakowska, 1823

Z Salzburga 16 Kwietnia Gazeta tuteysza donosi z Taxenbach: „Od 16 b.m. czuć się tu codziennie w różnych czasach dały wstrząśnienia ziemi z rozmaitego rodzaju podziemnem łoskotem. W nocy (...) słyszeć się dał brzęk okien. 16 o godzinie 2 południa czuć się dało powtórne trzęsienie ziemi, a najmocniej około godziny 7 w wieczór, któremu towarzyszył podziemny huk, podobny do turkotu wozu po podłodze toczącego się, w kierunku od północno-zachodu ku południowo-zachodowi. Postrzeżono w wielu domach trzęsące się okna, drzwi i ściany. Toż samo nastąpiło o godzinie 10 w wieczór i o północy z d. 17 na 18. Wiatru nie było żadnego, barometr opadł dnia tego o trzy strychy, a ciepłomierz stał na 8 stopniu powyżej punktu lodu. W południe dał się w obłokach słyszeć lekki grzmot w kierunku od północo-zachodu. Po południu kwadrans na 4 tą słyszano podobne do wozu turkotanie od północy ku południowi, które ziemię wstrząsnęło, i w minutę potem nastąpiło od południa słabsze i bez żadnego wiatru. Barometr spadł znowu o 2 strychy, a ciepłomierz okazywał 10 stopni powyżej punktu lodu. W wieczór padał deszcz, a w górach śnieg. W nocy 18 słyszeć się dał podziemny huk, podobny do dalekich wystrzałów i barometr w nocy o jeden strych, a ciepłomierz na 3ci stopień powyżej punktu lodu opadł i padał deszcz i śnieg, a mgła okryła góry. 20 o godzinie 3 z rana słyszeć się dał w niektórych miejscach mocny huk podziemny, a w innych podobny do grzmotu łoskot w kierunku od północą-wschodu i śnieg okrył dolinę, ciepłomierz okazywał jeden stopień nad zero, a barometr podniósł się o jeden strych. D 28 nastąpiła północna burza, padał śnieg i na kilka dni przemiyały się wiatry północny z zimnym wschodnim.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Krakowska, 7 maja 1823 roku.

9. Kobiety wszędzie leżą w mdłościach i konwulsjach

Gazeta Krakowska, 1842

Pisałem wczoraj przez pocztę, ale kiedy i czy nawet list ten odejdzie z Cap Haytien, nie wiem, bo wczoraj otrzymaliśmy z tamtejszej okolicy wiadomość, że to miasto zniszczone przez trzęsienie ziemi, które tu miało miejsce. W tym samym dniu, ale nie było zbyt silne w Cap Haytien, który cały jeden cyrkuł miasta w popiół zamienił. Przylądek ma być jakby zniesiony i morzem zalany. Najgorszem potwierdzeniem tego nieszczęścia jest ta okoliczność, że żadna wiadomość nie przybyła tu wprost z Cap, i żaden naoczny świadek nie donosi o stanie tego miasta. Mówią, że jeden tylko dom pozostał na miejscu, i przynajmniej dwie trzecie części ludności zginęło pod zwaliskami. Na południu mocniej dało się odczuć wstrząśnienie, w miarę większej odległości od przylądka. Że w takim stanie rzeczy interesa nie mają żadnego ruchu, to jest bardzo naturalnem. Po wielkim trzęsieniu 7 b.m. które blisko 2 minut trwało, wstrząśnienia były tak silne, że zaledwie można było utrzymać się na nogach, i aż do dziś ciągle dają się uczuwać chwilowe lekkie wstrząśnienia. Murowane domy wszystkie są mniej lub więcej uszkodzone, a nędznej budowie naszych bardzo giętkich barak winni jesteśmy, że nie wszystkie padło w gruzy. Mieszkańcy prawie wszyscy spiąją na ulicy i za najmniejszym wstrząśnieniem padają na kolana. Ten stan trwa już przez 5 dni. Można wystawić sobie uczucie niespokojności w jakim nawet najenergiczniejsi mężowie zostają, kobiety wszędzie leżą w mdłościach i konwulsjach. Spodziewamy się że już przetrwaliśmy nieba katastrofę, bo wstrząśnienia coraz są słabsze. Nasi przyjaciele w Cap prawie wszyscy padli ofiarą tego okropnego wypadku natury. Czekamy stamtąd z trwożną niecierpliwością bliższych wiadomości.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Krakowska, 12 lipca 1842 roku.

10. Pośród gruzów tego nieszczęśliwego miasta

Gazeta Warszawska, 1843

Basse-Terre 8 lutego o godz. 3 popołudniu. Trzęsienie ziemi, które 70 sekund trwało, dotknęło Guadelupę okropnem nieszczęściem, o godz. pół do 11 rano. Wiele domów zostało zburzonych, szczęście, że nikt przytem nie stracił życia. W Saintes wszystkie murywane domy zostały zburzone. Okolice nazwane przeciw wiatrom ucierpiały bardzo wiele, i kilka osób utraciło tam życie, a wiele jest ranionych... W chwili gdy to piszę, dowiaduję się, że Pointe-à-Pitre już nie istnieje... siadam na konia, aby na miejsce nieszczęścia pośpieszyć.

Pointe-à-Pitre 9 lutego o godz. 9 w wieczór Pointe-à-Pitre zostało zupełnie zburzone. Co przez trzęsienie było oszczędzone, to przez pożar zostało zniszczone, który w kilka chwil po runięciu domów wybuchł. Piszę o tem pośród gruzów tego nieszczęśliwego miasta, w obliczu ludności bez chleba i dachu, pośród ranionych, których liczą około 1800 zabitych, których ma być kilka tysięcy. Pożar jeszcze się szerzy. Wszystkie części osady bardzo ucierpiały. Miasto Moule jest także zniszczone. 30 jego mieszkańców znalazło grób pod gruzami. Miasteczka St. François, St. Anne, Port Louis, L'Anse Bertrand, Ste. Rose są zburzone; prawie wszędzie zabici lub ranieni. Błagam dla mieszkańców Guadelupy o niewyczerpaną dobroć tronu, z którego tyle dobrodziejstw się rozlewa, błagam i Francją, która niedawno braciom naszym na Martynice dobroczynną rękę podała! Francja nie pozostawi w nędzy francuskiej ludności; zajmie się wdowami i sierotami, które przez owe wielkie nieszczęście wtrącone zostały w największą nędzę. W najkrótszym czasie doniosę o szczegółach. Lękam się o całe zbiory, wielka bowiem część pieców do cukru jest zniszczona. Głód nam zagraża, potrzebujemy spiesznej pomocy.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 21 marca 1843 roku.

11. Wtem nad głową moją usłyszałem

Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887)

San Remo 26 lutego 1887

Dzięki niech będą Bogu za ocalenie życia! Wyście pierwsi spytali o nie!

Przybyłem tu zmęczony tak, że musiałem brać na noc garde malada, człowieka mi znanego. Wstałem o szóstej, o pół do siódmej miał odchodzić do domu. Podniosłem się, aby go pożegnać, wtem nad głową moją usłyszałem grzmot ogromny, łoskot, trzask, jakby się dom walił. W istocie domu ta część, w której była sypialnia, waliła się nad sufit nade mną. „Terremoto” – zakrzyczał wyciągający mnie na ciemne wschody nieodzianego stróż! Jak zszedłem, nie wiem, ale na dole dech tak zabił, żem myślał, iż ostatnia przyszła godzina.

Pozrywali się wszyscy. Spostrzegliśmy, że jedna część domu obaliła się i popękała. Mnóstwo gruzów otaczało dom z tej strony. Co się działo w miasteczku, opisać się nie daje, choć szkody są stosunkowo małe i ja prawie wyłącznie wystawiony byłem na niebezpieczeństwo. W okolicy nie do opisania klęski, ofiary liczą się w tysiące.

Zdrowie naturalnie polepszyć się nie mogło. Napiszę później, teraz doprawdy do siebie przyjść nie mogę. (...)

PRZEDRUK ZA: Józef Ignacy Kraszewski, Teofil Lenartowicz, *Korespondencja*, do druku przygotował i komentarzem opatrzył Wincenty Danek, Wrocław–Warszawa–Kraków 1982, s. 519.

12. Część miasta runęła z łoskotem

Heinrich von Kleist (1777–1811)

Daremnie myślał o ocaleniu. Wszędzie, gdzie poniosły go skrzydła najzuchwalszych myśli, napotykał zamki i mury, a próba przepiłowania krat okiennych została wykryta i spowodowała jeszcze surowsze zamknięcie. Rzucił się na kolana przed wizerunkiem Matki Najświętszej i modlił się do niej z najgłębszą żarliwością jako do jedynej, od której mógł jeszcze spodziewać się pomocy. Lecz trwożnie wyczekiwany dzień nadszedł, a wraz z nim w sercu Jeronima przekonanie, że sytuacja jego jest zupełnie beznadziejna. Zabrzmiały dzwony odprowadzające Józefę na miejsce kaźni, i rozpacz ogarnęła jego duszę. Życie wydało mu się nienawistne i postanowił zakończyć je za pomocą sznura, który mu przypadek pozostawił. Jak już powiedziano, stał właśnie pod filarem i przymocowywał do żelaznej klamry, wmurowanej w gzyms ściany, sznur mający go wyzwolić od tego żalostnego świata, gdy nagle większa część miasta runęła z łoskotem, jakby się niebo waliło, grzebiąc pod swoimi gruzami, co tylko żyło.

Jeronimo Rugera zmartwiał z przerażenia i jak gdyby również jego świadomość została zdruzgotana, czepiał się teraz filaru, by nie upaść – tego samego filaru, przy którym dopiero co chciał umrzeć. Ziemia chwiała mu się pod nogami. Wszystkie mury więzienia pękały, cały gmach pochylił się, by runąć na ulicę, i tylko dzięki temu, że jego powolny upadek natrafił na zawalenie się przeciwległego budynku, gmach nie zrównał się z ziemią, tworząc rodzaj sklepienia. Drżąc, ze zjezonymi włosami i uginającymi się kolanami, Jeronimo przemknął przez pochyłą ukośnie podłogę ku otworowi powstałemu w frontowej ścianie więzienia na skutek zderzenia obu domów. Zaledwie znalazł się na dworze, kiedy cała, już zarysowana, ulica zwała się zupełnie przy drugim wstrząsie ziemi. Nieprzytomny z trwogi, jak ratować się z ogólnej zagłady, pędził poprzez rumowiska i belki ku najbliższej bramie miasta,

podczas gdy śmierć osaczała go ze wszystkich stron. Tu walił się jeszcze jakiś dom i rozrzucając w szerokim promieniu gruz wpędzał go do następnej ulicy; tam płomień, błyskający w obłokach dymu, buchał już wszystkimi szczelinami dachu i przeganiał go w przestraszu na inną ulicę; ówdzie nacierały na niego wezbrane wody rzeki Mapocho i rykiem swym zawróciły go do trzeciej uliczki. Tu leżało mnóstwo zabitych, tam krzyczeli z płonących dachów, gdzie indziej ludzie i zwierzęta walczyli z falami, ówdzie jakiś śmiałek starał się nieść pomoc, jeszcze gdzie indziej stał ktoś blady jak śmierć i oniemiały wyciągał drżące ręce ku niebu. Gdy Jeronimo doszedł do bramy i wspiał się na położony za nią pagórek, upadł zemdłony na ziemię. Przeleżał tak pewnie z kwadrans zupełnie nieprzytomny, kiedy wreszcie ocknął się i unióśł nieco z ziemi, odwrócony plecami do miasta. Dotknął czoła i piersi, nie wiedząc, jak sobie swój stan wytłumaczyć, i ogarnęła go niezmierna rozkosz, gdy zachodni wiatr od morza owiał powracające w nim życie, a gdzie okiem sięgnął, wszędzie dostrzegał kwitnącą okolicę Santiago. Tylko wystraszone gromady ludzi, których wszędzie było pełno, niepokoiły serce. Nie pojmował, co jego i tych ludzi mogło tu sprowadzić. Dopiero kiedy odwrócił się i ujrzał miasto w gruzach, przypomniał sobie straszną chwilę, jaką przeżył. Schylił się tak nisko, aż czołem dotknął ziemi, by podziękować Bogu za swe cudowne ocalenie i jakby okropne wrażenie, wyryte w jego pamięci, wymazało z niej wszelkie inne wspomnienia, płakał z radości, że jeszcze cieszy się uroczym życiem pełnym barwnych zjawisk (...).

Ceremonia rozpoczęła się kazaniem wygłoszonym z ambony przez jednego z najstarszych kanoników, odzianego w odświętne szaty. Rozpoczął od chwały i dziękczynienia, podnosząc drżące ręce szeroko okolone rękawami komży wysoko ku niebu, składając dzięki, że jeszcze są ludzie na tym zdruzgotanym kawałku świata, zdolni wznieść swoje nieporadne słowa ku Bogu. Opisał, co się stało na skinienie Wszechmogącego; sąd ostateczny nie może być straszniejszy. Kiedy wskazując rysę, jaka dostała się kościołowi, nazwał wczorajsze trzęsienie ziemi jedynie zwiastunem tegoż sądu,

dreszcz przebiegł zgromadzonych. Następnie z kaznodziejskim krasomówstwem przedstawił zepsucie obyczajów w mieście. Wytykał bezceństwa, jakich nie widziały Sodom i Gomora, i jedynie nieskończonej cierpliwości Bożej przypisywał, że miasto nie zniknęło jeszcze zupełnie z powierzchni ziemi. Noże przeszywały serca naszych dwojga nieszczęśników, już zupełnie rozdarte tym kazaniem, kiedy kanonik zaczął się rozwodzić nad bluźnierstwem, jakie miało miejsce w klasztorным ogrodzie karmelitanek, tolerancję, z jaką spotkało się ono u ludzi, nazywał bezbożnością, i w zwrocie pełnym złorzeczeń dosłownie przekazał wszystkim mocom piekiel dusze sprawców, których nazwiska wymienił.

PRZEDRUK ZA: Henryk Kleist, *Trzęsienie ziemi w Chile*, przeł. Edyta Sicińska, w: tegoż, *Dzieła wybrane*, tłum. różni, Warszawa 1960, s. 548–558.



vi. Zaraża się



1. Pani Moru

Kazimierz Władysław Wójcicki (1807–1879)

W środku rząd domów, na czele których stoi dotąd niski domek, gdzie mieszkał na pierwszym piętrze słynny na owe czasy antykwariusz Gecel Salzstein, znany tak wszystkim młodzieży szkolnej, jak i uczniom Uniwersytetu Warszawskiego. Tu był najgłówniejszy i najżywszy handel księgarski: wszystko, co tylko zajmowało się literaturą krajową, to się przewijało w jego trzech małych pokoikach.

Ściany w nich całe, zastawione szafami półkowymi, przepełnione były książkami; prócz tego stopy ich leżały na podłodze, a wśród nich wydatniała postać Gecla. Był to Żyd dobrego wzrostu; brunet, twarzy pięknej i szlachetnej, rysów regularnych, oczy żywe, czarne i połyskujące; w całym znaczeniu tego wyrazu urodny mężczyzna.

Dom ten, w którym przez lat wiele nasz antykwariusz przemieszkiwał, smutne miał wspomnienie w podaniach ludu warszawskiego. W 1712 r. była w nim gospoda cechu kuśnierzy. W lipcu tego roku, w dzień św. Jakuba, przybył z Krakowa czeladnik kuśnierski, okazywał i sprzedawał baranki, które były zapowietrzzone. W nocy wybuchł pożar nad Wisłą; zbiegli się ludzie na ratunek. Byli pomiędzy nimi i tacy, którzy ten jad zgubny w siebie wciągnęli i udzielili go drugim w natłoku. Nazajutrz kilkadziesiąt osób umarło na mór (dżumę). Trwoga padła na całe miasto, którą powiększyła jeszcze ognista miotła, jaka się pokazała na niebie i zawisała ponad Zamkiem, katedrą i kościołem bernardynów. Szeroko rozesłane jej różgi krwawe co noc straszły mieszkańców. Bogatsi uciekli z Warszawy, ubożsi tułali się po bliskich gajach i lasach. Domy możniejszych mieszczan i klasztory, zaopatruwszy się w żywność i wodę, obwarowały się nieprzystępnie, ażeby zarazy nie dopuszczać. Litościwsi dla biedaków włączających się po ulicach miasta wyrzucali oknami posiłek lub podawali na długiej żerdzi, której już nie wciągali na powrót.

Znaleźli się pobożni kapłani, którzy pełniąc sumiennie święty swój obowiązek, opuszczali warowne mury klasztorów i szli za miasto, aby rozproszonemu ludowi, spowiadającemu się jawnie, udzielać rozgrzeszenie. Bogate sprzęty, worki z pieniędzmi, które uciekający w powszechnym popłochu zostawiali lub gubili na ulicach, leżały nienaruszone, bo ich nikt nie śmiał się dotknąć w obawie zarazy.

Miasto zaległa grobowa cisza, czasem tylko zamącona rzewniejszym płaczem albo jękiem konających. Trawa zaczęła porastać na bruku Starego i Nowego Miasta i po wszystkich ulicach i podwórzach pałacowych. Wkrótce to ponure milczenie przerywały straszne wycia psów zgłodniałych i gromad wilków, które po opustoszałym mieście swobodnie przebiegając, chwytają psy, walki z nimi staczały i jako zwycięzcy wylegiwali się na głównych rynkach Warszawy.

Niewiele pomogli ustanowieni burmistrze powietrzni, bo służba ich, trwogą przejęta, w ucieczce za drugimi szukała ratunku. Wtedy to na ogromnym wozie dwukolnym ukazywać się zaczęła Pani Moru, czyli morowa zaraza w postaci niewiasty. Wysoka, blada, okryta czarnym welonem, siedziała w tym wozie, który nigdy nie dotykał kołami ziemi, tylko płynął na ciemnoniebieskiej gęstej chmurze. Tak objężdżała dom po domu Warszawy, a stanąwszy przed każdym, pytała grobowym głosem: „Co robicie?” Gdy odpowiedziano: „Śpimy!”, widziadło mówiło: „Śpijcie na wieki!”. Powiewała czarnym welonem i wszyscy od razu w tym domu konali. Kiedy zaś na zapytanie Pani Moru: „Co robicie?”, odpowiedziano: „Nic nie robimy, tylko Boga chwalimy!” – pochyliła głowę i mówiąc: „Chwalcież Go na wieki!”, odjeżdżała dalej, i wszyscy pozostali zdrowi.

Żaden ptaszek nie zaświegotał. W biednym mieście, jaskółki i wróble uciekły daleko, deszczu kropla przez 3 miesiące nie spadła, a niebo, zawsze barwy ołowianej, ciążyło na oddechu każdego. Tylko co noc krwawa, ognista miotła nie schodziła znad Warszawy.

Wiatry wreszcie jesienne w czwartym miesiącu, z końcem października, zawyły od północy, miotła na niebie blednąć zaczęła

i wkrótce zniknęła. Z pierwszą zadymką lekkiego śniegu zaraza ustępować zaczęła. I Panią Moru przewiały gdzieś daleko wichury świszczące. Powoli otwarły się najprzód warowne klasztory, po nich domy zamknięte, a rozpędzeni mieszkańcy powracać zaczęli do miasta. Ci, którzy przechorowali dymienicę, jak zwano tę dżumę, odziedziczyli domy i majątki po wymarłych właścicielach. Z wiosną następną, 1713 r., miasto odżyło na nowo, domy i pałace się zaludniły, trawa z bruków ulic i rynków znikła, tylko w pamięci mieszczan Warszawy wspomnienie tej strasznej klęski wyryło się niestartymi zgłoskami i zachowało w żywym podaniu.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Władysław Wójcicki, *Pamiętniki dziecka Warszawy i inne wspomnienia warszawskie*, wybrał Juliusz W. Gomulicki, opracowanie Zofia Lewinówna, wstęp Marii Grabowskiej, Warszawa 1974, t. 1, s. 312–313.

2. Ojciec zadżumionych

Juliusz Słowacki (1809–1849)

Dla objaśnienia następnego poematu potrzeba mi nieodbić powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wymyśłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma swoimi państwami nazaczył myślą na błędnym piasku granicę i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tym miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczej zaś z Egiptu do Syrii dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu ulec losowi. Po ośmiu dniach drogi przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz baszy zdawał się wisieć w błękitnym niebie nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny, kazali zaraz uklęknąć wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo straszego człowieka.

W wigilią Bożego Narodzenia (1836), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnym, okropna burza, przewiewana wichrem z Morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i polała się deszczem piorunów na mój namiot oddalony od ludzi. W smutne i zamyślane o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nade mną i zacerwieniony od piorunów wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni – Anhelli myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę

cichą – przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestrahów; krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowym niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowym korycie, nabrzmiała nocną ulewą i srebrnymi płetwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku; unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napełnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzyłem ze wzgórza na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnym posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć, pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli (...)

(...)

Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór – wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczką przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam – gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha,
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.

A ja samotny wracam – o boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

PRZEDRUK ZA: Juliusz Słowacki, *Ojciec zadżumionych*, w: tegoż, *Dzieła*,
pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego, Wrocław 1952, t. 2, s. 341–346,
w. 5–20.

3. Tyfus dobijał, co broń oszczędziła

Alphonse de Lamartine (1790–1869)

Wyziwy z piaszczystych brzegów zatoki Akki stawały się coraz bardziej cuchnące. Zaczynaliśmy spostrzegać leżące na wybrzeżu kości ludzi, koni, wielbłądów, które bieleły się w słońcu, oblewane pianą morską. Co krok było tych szczątków coraz więcej. Wkótce cały pas wybrzeża między lądem i skałami okazał się nimi pokryty, a tętent naszych koni ploszył co chwila gromady dzikich psów, ohydnych szakali i drapieżnego ptactwa, od dwóch miesięcy zajmujących się dogryzaniem resztek straszliwej biesiady, którą im zgotowały działa Ibrahima i Abdalli. Jedne, uciekając, unosiły za sobą członki ludzi niedbale pogrzebanych, inne – nogi końskie jeszcze okryte skórą; kilka orłów, siedząc na kościstych łbach wielbłądów, z gniewnym szczekaniem zerwało się na nasz widok i krążyło nad swoją okropną zdobyczą, lękając się naszych strzałów. Wysokie trawy, sitowia, krzewy nadbrzeżne też były usiane szczątkami ludzi i zwierząt. Nie były to jednak tylko szczątki ofiar wojny. Tyfus, który od kilku miesięcy pustoszył Akkę, dobijał to, co broń oszczędziła; w mieście, co liczyło dwanaście do piętnastu tysięcy mieszkańców, zostało ich zaledwie tysiąc dwustu czy półtora tysiąca i co dzień chowano za murami lub rzucano w morze nowe trupy, które fale wyrzucały w głąb zatoki albo szakale wygrzebywały z ziemi.

PRZEDRUK ZA: Alphonse de Lamartine, *Podróż na Wschód*, na podstawie tłumaczenia Jana Tomasza Seweryna Jasińskiego przygotował, według oryginału uzupełnił i notami oraz posłowiem opatrzył Paweł Hertz, Warszawa 1986, s. 310–302.

4. Cholera w Europie. Pierwsza fala 1830–1835

A. Od roku zbliża się ku nam

Żegota (właśc. Ignacy Domeyko, 1802–1889)

Zapole, 31 października 1830 roku

A może to krótka ułga wpośród powszechnego smutku i obawy, jaka nas otacza; może dziś nie ma osoby, która by tu zdołała podzielać chwilę przyjemnej z nami nadziei. Od roku zbliża się ku nam ze Wschodu choroba zwana Cholera morbus, od wielu lekarzy za morowe powietrze uważana. Od 19 września już Moskwa zamknięta, kwarantanną otoczona, grozi sąsiednim guberniom okropną zarazą. Co dzień to smutniejsze wieści głoszą o jej zbliżeniu się pod Smoleńskiem, po Mohilew, a wszelkie ostrożności, zdolne rzucić przestrach na spokojnych rodaków są już przedsięwzięte. Onufry jeszcze do nas pisał 14 października. Jego list tak smutny i żałobny, jak miasto w którym czeka przeznaczenia swego. „5 października byłem w kościele francuzkim, wszedł lat przeszło czterdziestu rumiany proboszcz ze mszą, odczytał Ewangelią, bledość niezwykła okryła twarz, posłonił się i upadł. Podbiegli z obawą syndycy, oparli w krzesła, otarli octem, jeszcze mszę dokończył, jutro już go nie było”. Takimi obrazkami napętnia swe listy Onufry, pokłute na kwarantannie, jako z miejsca zarazy. Józef zdrow, również Tomasz i Jan z Ufy, chociaż od nich rzadkie teraz wiadomości. Wilno tak przerażone, jak gdyby się spodziewało co godzinę cholery. Rząd wszelkich używa środków do jej odwrócenia. Nakazane modły; a lud prosty jakieś wróżby dostrzega: wycie psów i ogniste słupy na północnym niebie. Drużdy przypominają sobie, że przed czterema laty jakieś zjawisko na krakowskiej wieży na rok 1830 mor przepowiedziało. Wczora nam ogłoszono, jak umarłych grzebać i jak robić chlorynę broniącą postępu zarazy. A w tem od południa na Wołyniu i Ukrainie, zupełny

nieurodzaj zboża stał się przyczyną głodu. Nakazano śledzić zapasne magazyny.

PRZEDRUK ZA: *Żegota do Adama Mickiewicza*, w: *Korespondencja Adama Mickiewicza*, Paryż 1872, t. 2, s. 73–74.

Opisałem Adamowi smutny obraz naszej Litwy, lękającej się co moment przyjscia morowej zarazy, nazwanej Cholerą, która od Moskwy ku nam się przybliża. Tobie tylko dodam, że ta obawa, jaką widzę na przelęknionych mieszkańcach ma i na mnie wpływ, którego ci nie umiem opisać.

PRZEDRUK ZA: *Żegota do Jana Czeczota*, w: *Korespondencja Adama Mickiewicza*, Paryż 1872, t. 2, s. 75.

B. Moskale przynieśli

Jan Nepomucen Janowski (1803–1888)

Z powodu tego, że w Królestwie, mianowicie zaś w Warszawie panowała podczas lata cholera, którą nam Moskale przynieśli, musiało rozbrojone wojsko jak i cywilni odbyć ośmiodniową kwarantannę, nim je wyprawiono oddziałami w dalsze strony Prus wschodnio-zachodnich. W ciągu tych ośmiu dni odsyłano do Warszawy skarb w stanie, w jakim się znajdował, podobno 7.000.000 złp i ekwipaże carsko-królewskie; wydano oraz armaty i konie kawaleryjskie.

Jan Nepomucen Janowski, *Notatki autobiograficzne 1803–1853*, przygotował do druku, wstępem i przypisami opatrzył Marian Tyrowicz, Wrocław 1950, s. 271.

C. Lepiej złemu dać uciec

Henrietta z Działyńskich Błędowska (1794–1869)

Niedługo znowu się nasze kółko zmniejszyło. Cholera okazała się w Krzemieńcu. Wiele osób zaczęło z miasta wyjeżdżać, między tymi doktor Wolf lękał się tej zarazy i gdym go pytała, jak może opuszczać Julka, którego się kuracji podjął, odpowiedział, że zdał tę kurację doktorowi będącemu w Kołodnie i że radzi, abym dzieci tam odesłała, gdyż nie tak będą narażone na zarazę. Posłuchałam tej rady, gdyż wreszcie nie było co innego robić. Pojechałam więc z dziećmi. Przybyła jedna siostrzenica panny Denison, Marynia Szubartowska, dwunastoletnia spokojna i miła dziewczynka, którą miała oddać ciotka na pensję w Krzemieńcu, lecz bojąc się także dla niej o cholere, prosiła mnie o pozwolenie, żeby przy niej była. Pałac w Kołodnym już był osadzony nawałem dam uciekających tak przed zarazą, jak i przed wojną, która zdawała się zbliżać w te strony. Mieszkanie dla moich dzieci znalazłam na folwarku. Porządny, murowany [dom], trzy pokoje dla nich, to jest Julek z Szylerem stał razem, a Wicia z Denison i z Marynią, czwarty dla ludzi. Mieli służącą Marysię, lokaja Maksyma i kucharza Jana. Opatrzywszy ich we wszystkie zapasy tak do spiżarni, jak i innych wygod, uściskawszy, pobłogosławiwszy, musiałam wracać do Krzemieńca, postanowiwszy co drugi dzień tam się dowiadywać. W każdym zdarzeniu posłańca mieli wysłać, gdyż tylko o cztery mile byli. Do Krzemieńca musiałam wracać (...) Pan Tarkowski także tam przybył. Proklamacje tam pisał niby od Dwernickiego, zachęcając do powstania. Rady tam różne zbierały się, z których wypadło, że pan Kisiel wyjechał do Zamościa z oświadczeniami, że tu wszyscy są gotowi do dania pomocy. Ja nic o tym nie wiedziałam, co tam się dzieje, tylko jak mi donieśli, że nie ma pana Kisiele, a że cholera grasuje we wsi, już sześćdziesiąt osób umarło, ugodziłam doktora Majewskiego, aby tam pojechał. Sto dukatów zaproponował za tę przejażdżkę. Od tego nie odstąpił, więc zapłaciłam z góry, ale

Bogu dzięki nie na próżno, gdyż od jego przyjazdu śmiertelność ustała. Nawet umarli ze cmentarza uciekali, jeden staruszek, którego wraz z innymi ciałami złożyli na wóz i odwieźli na mogiłki, rzucając w fosę ogólną. Staruszek ten, widząc przez wstrząśnienie jazdy z letargu obudzony, a widząc, co się święci, gdy z niego po-zdejmowali martwych towarzyszy, zerwał się, zeskoczył i z młodocianną siłą uciekał na drugi koniec wsi. Schował się do jakiejś szopy, a grabarze zdumieni, myśleli, że to jakieś dziwo. Wahali się, czy gonić, czy lepiej złemu dać uciec, a z sobą i chorobę ze wsi zabierze. Jeszcze ten staruszek żył ze dwadzieścia lat.

PRZEDRUK ZA: Henrietta z Działyńskich Błądowska, *Pamiętka przeszłości, wspomnienia z lat 1794–1832*, opracowały i wstępem poprzedziły Ksenia Kostenicz i Zofia Makowiecka, Warszawa 1960, s. 291–292.

D. Przedtem inne jej dawali nazwiska

Ambroży Grabowski (1782–1868)

Cholera morbus w Krakowie r. 1831

Nie pierwszy to raz ta okropna kłęska wyludniła kraje, a przytem i Polskę; tylko przedtem inne jej dawali nazwiska. U nas znaną była ta kłęska pod ogólnem imieniem powietrze morowe. Powstała w Indyach, przeszła Azyę, Europę, a doszła nawet do Ameryki i miliony ludzi z świata sprzątnęła.

Zjawiła się ona w Polsce zaraz na początku wiosny w obozie polskim, dokąd się dostała od wojska rosyjskiego – w czasie, gdy trwała zacięta walka rewolucyjna r. 1830–31 – a idąc przez Polskę, zawitała do Krakowa w maju. Pisałem już o niej w innym miejscu. Szerzyła się gwałtownie i ludzi sprzątała, co nie miara. Zarażony nią nie biedził się długo, gdyż objawiała się nagłymi womitami, rozwolnieniem żołądka i w dniu jednym lub dwóch zabierała do grobu. To szczególniejsza, że najwięcej chwytała się ludzi nieporządne życie wiodących, nałogowych pijaków (i to było dobrą jej stroną); także podlegali jej owi, którzy się jej najwięcej obawiali, wystrzegali się zarazy i różne przeciw niej ochronne zachowywali przepisy.

Rząd krakowski założył szpital na zamku w pałacu niegdyś królów; były tam urządzone łóżka, z wierzchu pokryte ceratą zieloną na obręczach. Ludzie do tego najęci stali w pogotowiu w gmachu policyi m. Krakowa, i gdy kto zachorował, spieszyli do niego z tym ekwipażem prawie śmiertelnym, w którym przenoszone go do lazaretu cholerycznego. Zdarzyło się, że wyszedłszy na przedmieścia, spotykałem się dwa lub trzy razy z takimi przenosinami.

Prawie w każdej wsi obrane było osobne miejsce i założony cmentarz. Choleryczny – i mnóstwo takich cmentarzów dotąd

widzieć się daje i pozostanie na długo pomnikami strasznej plagi,
którą Wszechmocny na świat przypuścił.

PRZEDRUK ZA: *Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego*, wydał Stanisław Estreicher, Kraków 1909, t. 1, s. 214–215.

E. Nagle objawiła się wstrzemięźliwość w życiu

Kazimerz Girtler (1804–1887)

O choleryze słyszeliśmy już i w czerwcu, aleśmy za nic sobie mieli nieznaną chorobę, gdy będąc w Trzebini, naraz w początku lipca dowiedzieliśmy się, iż się objawiła w Krakowie, aż w parę dni potem w Chrzanowie. Nagłość śmiertelnych wypadków zrobiła wielkie wrażenie. Senat krakowski wydał stosowne rozporządzenia, wyznaczył do każdego miejskiego okręgu lekarza. Sale dla chorych urządzono w Zamku krakowskim, tam ambulansami, na kształt skrzyni na marach ustawionej, przenoszono sprzątanym tak ubogich ludzi z ich mieszkań, jako też biednych na mieście chorobą napadniętych, a to dla udzielenia im prędszego ratunku. Pięknych czynów nie brakło wtedy, byli lekarze, były kobiety pełne poświęcenia, którzy nie bacząc na widok stojący przed nimi i grożącej im samym w okropnej postaci śmierci, z niezachwianą odwagą, jakby wśród straszego boju, biegli z pomocą chrześcijańską w każdą stronę, gdzie ich tylko skinienie, a nawet samo przecucie zawołało. Nagle objawiła się wielka wstrzemięźliwość w życiu, i w używaniu jadła i napojów, a takie zerwanie z trybem życia zwykłym usposobiało też do choroby, której zaraźliwy pierwiastek, że się znajdował w powietrzu, niewątpliwym było, w powszechności bowiem doświadczali wszyscy jakowejś niemocy żołądkowej, dlatego potrzebny było umiarkowanie, lecz szkodliwą zupełną zmianą życia.

Mimo informacji postępowania my w Trzebini żyliśmy jak zwykle, bynajmniej przy choleryze nie poszcząc i nie używając żadnych prezerwatyw. Chodziliśmy codziennie w pole lub w las na przechadzkę, ja używałem nawet w dnie gorące kąpiele w stawie, jadłem obficie, jak zwykle, porzeczki, agrest, rosół, mięso, nawet zakazane ryby, jedynie tylko marynaty, rzeczy zbyt na żołądek ciężkich i nagłego oziębienia po kwaśnym mleku itp. strzegliśmy się. Wiele osób kawy nie piło, bo medycyna poczyniła takie zastrzeżenia, że niektórzy dowiedziawszy się, że mleko jest szkodliwym, nawet

już śmietany z kawą nie używali. Wprawdzie lekarzy zgorszył niezmiernie wypadek śmierci Ignacego Woźniakowskiego med[ycyny] dok[tor]a, profesora uniwersytetu; ten na śniadanie zjadł porządną porcję węgorza marynowanego, popił butelką porteru; wkrótce porwała [go] cholera i w parę godzin z objęć swoich w objęcia śmierci podała, grzeszne było takie przeciw własnej ustawie i rozsądkowi postępowanie, toteż poniosło karę zasłużoną, ale wieleż to najniewinniejszych padło ofiar. Ksiądz Jan Waligórski, kanonik kaliski, proboszcz raciborski, wtedy wikariusz kościoła katedralnego na Zamku, mówił mi, że śmiertelność doszła w lazarecie do czterdziestu ludzi na dobę, a było parę zdarzeń, że osądzony za umarłego, wśród trupów, po kilku godzinach zupełnej martwości nagle powstawał i zdrowiał.

Rozmaicie traktowano chorobę, głównie używano środków rozgrzewających wewnątrz, drażniących skórę na zewnątrz, jak tarcie szczotkami, zawijanie w ostre koce itp. Osobny był szpital starozakonnych, osobno też chorował każdy, kto miał po temu środki ratunku. O lekarzy bardzo było trudno, wielu bowiem młodych ludzi wyszło do armii, a tak ratunkiem kierowali lekarze, a właściwie najczynniej zajmowali się nim ludzie, którym miłość bliźniego natchnęła i w nagłym razie i mądrość lekarzy, i siłę poświęcenia.

W liście mojego ojca z dnia 23 lipca czytam:

„O nabożeństwo, które miało być w niedzielę z procesją (d. 24 lipca) napisał Senat do biskupa, żeby go nie było, a on się znów uparł, żeby było. Senat odpisał mu, że stoi przy swoim oświadczeniu. Pobożny Skórkowski chciał odprawić suplikacje i modły, w których natłok byłby przysporzył śmiertelności”. Dalej w liście stoi: „Ksiądz podproboszcz u Św. Floriana za Skaradkiewiczem poszedł”. Mój poczciwy Scarabeus, oddawszy w moim imieniu Łyszkowice, osiadł przy kościele Św. Floriana na Kleparzu, niedługo żył, bo kilka dni, gdy się pojawiła cholera, legł między pierwszymi, których zabrała. „Ksiądz Bryndzga na Zamek wzięty, chory, umarł”. Był on wikariuszem przy kościele Św. Anny, lubił naciąć. „Rzecz jednakże zastanowienia godna, że w kryminale żaden nie umarł ani

zachorował. Żydów z rodzinami zakazano wpuszczać do miasta, bo zarazę znowu tu powiększyli, stamtąd bowiem tu pucielali”.

Gdy w Krakowie najtężej srożyła się cholera, odezwała się też w sąsiednim Trzebini Chrzanowie, strach, co się tam działo. Lekarz miejscowy i fizyk, Bogdański, miał sobie dodanego Onufrego Dzia-
nottego, ucznia medycyny, do pomocy, ale tak tam gorę wzięła cholera, że kto został nią dotknięty, za umarłego był uważany, żaden środek skutecznym nie był, Żydy rozbiegały się w lasy, w Trzebini stały straże żydowskie i chłopskie, iżby nikogo z Chrzanowa nie dopuścić. Mimo to uciekali oni z Chrzanowa, lasami i manowcami do Krakowa docierając, skąd ich wracano. Po ulicach w Chrzanowie tłono nawozy, iżby dym rozrywał zarazę, cudacznym chwytało się środków, ledwie, nie powiem, zabijano dla doświadczenia, wszystko na próżno, przeszło 400 Żydów padło. Gdy przeciwnie, w okolicy rzadko gdzie słaba pojawiała się cholera, a w Trzebini jeden osobliwy zdarzył się wypadek. Gdy wszyscy zdrowiuteńcy byli, a tylko żyliśmy jakby na wyspie, w odosobnieniu, gdy ksiądz nabożeństwo za chłodu odprawował, a do karczmy zaprzestano chodzić, dano znać, iż boleści dostał kmieć, nazwiskiem Gwizdała, którego dom stał w miejscu zdrowym, wietrznym, bo na pagórku w bok kościoła, ku południowi i opodal od innych chałup. Nie zdało nam się to cholera, raz, żeśmy cholery nie znali, a po wtóre, że Gwizdała był człowiek stary, spracowany, trzeźwy, skromny, a więc zdawał nam się niewłaściwym na pierwszą cholery ofiarę. Syn przyszedł po radę, myśmy sami go odwiedzili, dawaliśmy miętę, okładania na żołądek z popiołu, mimo ratunek – nie silne nawet przyszły kurcze i zginał, za nim poszła żona, strach padł po wszystkich, że cholera już jest w Trzebini, aż za matką poszedł syn starszy, żonaty, zda mi się, że jeszcze któreś z dzieci. Ja z siostrą moją Janowską chodziliśmy do tych chorych, pamiętam leżącego na sadzie syna, któremu podawaliśmy jakieś ówczesne leki. Wszyscy w tym domu wymarli, tak że ino młodszy syn, ale już dorosły, który wszystkimi się opiekował, opatrywał, grzebał, ten zdrowy pozostał. Ten jeden był wypadek cholery, w tym domu ona w Trzebini upatrzyła sobie siedlisko. [...].

Cholera w Krakowie uciszyła się, największy war jej rozlewał się w końcu lipca i początku sierpnia. Dostała się ona do Krzeszowic i tam zabrała generała Błędownskiego, który w boju straciwszy nogę, po amputacji już był znacznie pozdrawiał, zabrała też i więcej szacownych ofiar. Błędownski zalecił, iżby go pogrzebiono na Czerny, jakoż spełniono jego wolę, wkrótce pokrył jego zwłoki skromny, ale piękny z czarnego marmuru nagrobek, za klasztorem, w leśnej ciszy, na tym napis był łaciński, że cholera, zaraza azjatycka, przez dzikiego najeźdźcę na łono Europy i do Polski wniesiona, przerwała pasmo dni Błędownskiego; widziałem tam ten nagrobek nietknięty, nieco później rezydent rosyjski kazał część tego napisu, a mianowicie wyrazi: *Cholera morbus Asiaticus* i dalej sciosać z kamienia i tak znowu oglądałem ten nagrobek, może ktoś znowu coś w tym miejscu napisze...

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Girtler, *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1832–1857*, przedmowa i wybór tekstu Zbigniew Jabłoński, opracowanie tekstu i przypisy Zbigniew Jabłoński i Jan Staszek, Kraków 1971, t. 1, s. 459–461.

F. Lekarze zamknęli się na rygle

Ludwik Jabłonowski (1810–1877)

CHOLERA

Gdy armia ściągała się pod Bolimowem, zostałem wysłany [do Wiednia] z depeşami do marszałka Maisona i księcia Konstantego Czartoryskiego. Po wielu przykrościach dojechałem do Wiednia, zastałem tam wielu naszych oficerów z korpusu Dwernickiego, dążących do niego (był osadzony w Grazu czy też Lincu – nie pomnę). Kazano mi czekać na odpowiedź, podobno aż z Paryża przyjsć mającą. W dni parę [później] wybuchła cholera, była to moja dobra znajoma z obozów, szczególnie między Moskwą wielkie robiła spustoszenia. Podczas utarczek, jeżeli się cofała, kilku, czasem kilkunastu zostawało na polu konających w męczarni. Nam tyle nie dokuczała, może być, że nas przymuszona dieta mniej ponętymi dla upiora czyniła. Byłem w kawiarni, gdy pierwsza wieść się rozeszła o dwóch wypadkach śmierci. Twarze przeciągnęły się i pozieleniały, większa część śniadających odsunęła ze wstrętem zaczętą kawę z obawy niewinnej śmietanki. Na taki stan umysłów trafiwszy, zaraza zabójczo działać musiała. Widząc nas zajadających lody, jakiś pan przystąpił do nas, byśmy mu choć kieliszek rumu, który w ręku trzymał, do lodów dać pozwolili. Uczyniliśmy zadość dobrodusznej prośbie i odtąd po każdej miseczce lodów kieliszek połykaliśmy rumu. Do tego czas był chmurny, dżdżysty, zimny; od świtu w wszystkich kościołach rozbijały się dzwony i nieprzejrzane tłumy ludu ciągnęły procesjami. Ksiądz szedł z wzniesionym Przenajświętszym. Cesarz, następca tronu Ferdynand lub który z arcyksiążąt postępowali przy nim z odkrytymi głowami, przerażony lud śpiewał litanie lub głośnym zawodził żalem, słowem, miasto więcej do cmentarza niż do szalonego Wiednia było podobnym. Wielka część Niemców padała na cholereę ze strachu. Lekarze zamknęli się na rygle i najbogatsi umierali, samotni i bez żadnej pomocy. Nasi

tylko wojskowi lekarze, których było kilku z korpusu Dwernickiego, szli do chorych bez namysłu. Szczególnie odznaczał się młody sztabowy lekarz Drake. Ile razy pojawiła się niebieska wstążeczka naszego krzyża, przechodnie odkrywali głowy z uszanowaniem. Gdy kto zasnął, z pomieszkania uciekali domownicy, mało kiedy i najbliżsi zostawali krewni. Czarny krzyż wywieszano nad bramą, masy chloru rozsypywano po sieni i schodach, a gdy skołał, często wynoszono go na ulicę i podpierano o ścianę, gdzie czekał na furgony, uwijające się ulicami jak ambulanse po bojowisku. Iluż tam, ilu, żywcem zakopano? Iluż przyszedłszy do przytomności wydobylło spod sterty trupów i uciekało do domu. Co tylko w ludzkiej sile robiono, żeby zabójczej jędzy przysporzyć ofiar; jestem pewny, że Florencja podczas długiej dżumy straszniej od Wiednia nie wyglądała. W Warszawie, we Lwowie była równie zabójczą, a nie mówiono o niej prawie, gdy w Wiedniu ze strachu padano na ulicy.

PRZEDRUK ZA: Ludwik Jabłonowski, *Pamiętniki*, opracował oraz wstępem i przypisami opatrzył Karol Lewicki, Kraków 1963, s. 190.

G. Żadnym sposobem nie mogliśmy uwierzyć

Ignacy Domeyko (1802–1889)

W Gerdauen i po innych miasteczkach była cholera straszniejsza, bardziej zabójcza niż ta, którą w kraju zostawiliśmy. Były dni, w których 50 i więcej umierało chorych na dzień. Lud spokojnie, na modlitwie, znosił to dopuszczenie Boże; słyszałem wieczorami do późnej nocy po domach śpiewy psalmów; a taka była uległość władzy i posłuszeństwo prawu, które nie pozwalają chować umarłych aż na trzeci dzień po śmierci, że pomimo obawy, jaką przynosi szerzenie się zarazy, znoszono ciała umarłych do przeznaczonego na to budynku za miasteczkiem i żadnego trupa przed trzema dniami nie pochowano. (...)

25 lipca. Umarł tu z cholery jeden z naszych rodaków, oficer z dawnej służby. Odbył całą kampanię zdrów i bez szwanku, znajdując się po tysiąc razy między cholerycznymi, doglądając, opatrując umierających z cholery. Przeżył też czas niejaki w Prusiech, gdzie cholera grasowała, i przejechał przez całe Niemcy, niedotknięty zarazą, bez obawy. Czekala go tu cholera, gdzie się jej nie spodziewał. Widzieliśmy go na parę godzin przedtem; wesoły, młody i piękny wiarus, z zapalem opowiadał czyny swoje z ostatniej wojny, batalie, na jakich się znajdował. Jednym razem stracił przytomność. Kiedyśmy pobiegli z lekarzem widzieć go w hotelu, tak już był zmieniony, że żadnym sposobem nie mogliśmy uwierzyć, że był ten sam, którego znaliśmy. Twarz jego była sina, żółtawa i tak okropna, że jaki nie bądź trup wydałby się żywym przy niej.

W kilka godzin skołał. Ta śmierć tak przeraziła Adama i tak go zasmuciła, że sie lękałem, żeby nie zachorował. Nigdy go dotąd nie widziałem był w podobnym stanie. Do późnej nocy nie myślał, nie mówił o czym innym, jak o umarłym, i aż do świtu nie zmrzążył oka; budził mnie co chwila i dziwił się, gniewał się, że mnie sen morzył. Nazajutrz też był bardzo smutny, nie jadł i mało

rozmawiał. Ta przebrzydła cholera jest gorsza niż wszystkie choroby, powtarzał i nie tał się, że się jej lęka, jak gdyby jakie straszne przeczucie go dręczyło.

Pochowaliśmy naszego oficera na miejskim cmentarzu; Adam napisał dla niego nagrobek po łacinie i złożono składkę na wystawienie pomnika.

Tak był smutny i nudny pobyt nasz w Châlonie, że dla rozzerwania Adama umyśliliśmy zwiedzić okolice Szampanii.

PRZEDRUK ZA: Ignacy Domeyko, *Moje podróże. Pamiętniki wygnańca*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Niechowa, Wrocław-Warszawa-Kraków 1963, s. 99-111.

H. Jak umierają bankierzy

Zygmunt Krasiński (1812–1859)

18–20 maja 1831

W Warszawie szaleje cholera; pewnie nie zobaczę już tych, których tam zostawiłem. Jaka to pociągająca perspektywa! Ale trzeba poddać się woli Bożej i błogosławić imię Pańskie.

23 czerwca 1831

Mam nadzieję, że cholera do Londynu nie dotrze; bo jeśli tam dotrze, to będziesz mógł, mój drogi, przypatrywać się, jak umierają bankierzy i maszyniści.

13 lipca 1831

Toteż mam niemal pewność, że cholera wymierzy sprawiedliwość moim dziewiętnastu latom, pogrążając je w Wieczności. Wczoraj wiele w tej materii rozmawiałem z Panchaudem. Spodziewa się, że zaraza już wkrótce dotrze do Genewy. Powiedział mi, że chory nie bardzo cierpi, że dostaje tylko ogromnego niepokoju i że jest to jak gdyby ostatni dzień długiej i ciężkiej choroby; zresztą umysł pozostaje przytomny; to dobrze, można bowiem ocenić wówczas siłę swego ducha, spoglądać w lustro i śledzić, czy twarz nie blednie, a nawet śmiać się z siebie, gdy drgnie w twarzy jakiś muskuł. Wedle tych ostatnich chwil możesz osądzić, czym byłbyś w przyszłości: człowiekiem o sercu tchórzliwym czy nieustraszonym.

25 lipca 1831

Jakie to dziwne, że właśnie wtedy, gdy ja z takim natężeniem myślałem o cholercze, Tyś zabrał się do pisania o niej, jak gdyby nasze myśli mogły oddziaływać na siebie wzajemnie. Ja nadal jestem przeświadczony, że umrę na cholere. Posługując się wyrażeniami ekonomiczno-politycznymi, jestem istotą bezużyteczną, spożywczą tylko, a nie wytwórcą: to sprawia, że brak mi równowagi, która

powinna cechować każdą istotę, i dlatego zginę nędznie tak, jak nędznie żyję.

25 października 1831

Kto wie, czy to ostatnie tchnienie tak daleko? Wedle tego, co dziś mówiono, cholera jest już w Bazylei! Jeszcze jeden skok i spadnie na równe nogi między nas. Nakreślę Ci teraz obraz Genewy. Jest dziś pogodny dzień jesienny: niebo błękitne, powietrze świeże, jezioro spokojne i lazurowe, ani jednej chmurki, słońce w całym swoim blasku. Sklepy zamknięte, bo to niedziela; na ulicach mało przechodniów, bo w Plainpalais jest dziś festyn ogrodników i tam, na zielonej murawie, porzuconej kochance Eglintona, wznosi się słup szczęścia i widnieje zbity z desek krąg, po którym skaczą tancerze, gdzie napięte liny drżą pod ich stopami, gdzie kuglarze pokazują swoje sztuki, a lud bije oklaski. Błązują i oni, i lud, idąc ze sobą o lepsze, wiec w lipowych alejach krzyki, hałas, tłum, głupia wesołość, a wieczorem wszystko zakończy się pijaństwem. Ale wejdź do którego z domów w mieście, zwłaszcza przy wytowniejszej ulicy; wszystko tu odmienne: inne widoki, inne zajęcia, inne rozmowy. Na twarzach blady strach, trwoga w głębi serc, tysiączne przygotowania i środki ostrożności tłuką się po głowie jak ohydny koszmar. Wapno chlorowane, kamfora, mięta i ślaz, flanela, synapizmy i kataplazmy, przybrały kształt uporczywych myśli, które trawią już mózgi i ściskają lękiem serca. Znasz dobrze te małe społeczności, te grupki złożone z babki, matki, syna i córki, wnuka i wnuczki. Otóż każda taka grupka siedzi zamknięta w domu, duma o tym, jak by uniknąć Bicza Bożego, a jedni patrzą na drugich z miłością, z lękiem i z tchórzliwą troską; poza tym mówi się o szpitalu, o liczbie chorych, o przewidywanym biegu wydarzeń, o Wiedniu, o Berlinie, o Bazylei, a najodważniejsi powiadają: „Ach, o siebie się nie lękam: chodzi mi o tę czy o tego, o ojca czy matkę, brata czy siostrę, przyjaciela, itd., itd.” Następnie ojcowie rodzin, ludzie systematyczni, rozsądni, przewidujący i oszczędni, na poły ojcowie rodzin, na poły bankierzy. Ci sporządzają testament; ale tu kłopot; kogo wyznaczyć

wykonawcą testamentu? Bo na kogo można liczyć tam, gdzie grasuje cholera? Więc nie wiedząc, co robić, trą czoło i chwytają się jakichś związanych z majątkiem szczegółów, rent, spekulacji, gry na giełdzie, podobnie jak ten, co idzie na dno, chwytając się ramion swojego wybawiciela, gałęzi lub pustego powietrza ponad zanurzoną już w wodzie głową. Jedno tylko, co wzrusza, to spojrzenia, którymi młode matki obrzucają swoje dzieci, takie świeże, takie zdrowe, gdy najspokojniej bawią się na dywanie. Biedne te matki, już teraz zalane łzami... O, jakie są piękne w takich chwilach! Ale poza tym trzeba widzieć tę ciżbę, która tłoczy się po aptekach, po kramach z flanelą, trzeba widzieć przygotowania lekarzy, którzy w białych kitlach, przesyconych chlorowanym wapnem, stawiają czoło niebezpieczeństwu zarazy i gromadzą u siebie wszelkie potrzebne przybory. A jeszcze rozpacz gospodyń. „Wczoraj rozprzedano ostatnią w Genewie beczkę ryżu” oto co słyhać z wszystkich ust. Kręcą się to tu, to tam, biegają szukając mąki, kaszy, chcą się zaopatrzyć w zapasy, ugotować jeszcze zupę, ostatnią zupę w życiu, kiedy kontakt ze światem będzie już zerwany. Wszystko to przypomina Warszawę w chwili zbliżania się Rosjan. Ale w Warszawie był Skrzynecki, który wstawił się do Boga za swoim ludem. Tu są tylko kupcy, pastory i bankierzy. Nie ulega wątpliwości, że wkrótce będziemy tu mieli zarazę. Dziś przeczucia nic mi nie mówią; natomiast czuję, że przepęlnia mnie poezja. A człowiek, który ma w sobie wiele poezji, nie może umrzeć, bo przeznaczenie tej poezji, jest przelać się z jego duszy do dusz wielu. Jutro pójdę do spowiedzi i komunii! Nie chcę umierać tak, jakbym był tylko ciałem, ale jak istota obdarzona duszą.

20 lutego 1832

W Londynie cholera z piętnastu osób uśmierca trzynaście. A lud powie: „Patrzcie, bogatych nie tylu umiera, co nas! Spójrzcie tylko: mogą się odosobnić, mają lekarzy i pomoc. Ach, jeśli mamy jutro umrzeć, dziś się pomścimy! Do boju! Naprzód piki i siekiery! Rąbacie okiennice domów!” Niech kobierce rozsypią się w kawałki i niby

w dzień świąteczny pokryją ulice kwiatami! Nasze żony i dzieci wiją się w konwulsjach. W nędzy na barłogach wydają ostatnie tchnienie. Niech w tej ostatniej godzinie zobaczą zdobyte na bogaczach trupy. Naprzód! Naprzód! Cholera nas dziesiątkuje. Mordujmy i zabijajmy! Potem umrzemy”.

PRZEDRUK ZA: Zygmunt Krasieński, *Listy do Henryka Reeve*, tłumaczenie Aleksandry Olędzkiej-Frybesowej, opracował, wstępem, kroniką i notami opatrzył Paweł Hertz, Warszawa 1980, t. 1, s. 173, 291, 300–301, 426–428, 733–734.

I. Bestia łaknąca ofiary

Henryk Reeve (1813–1895)

7 lipca 1831

W ostatnich dniach napisałem rzecz dość dziwaczną, na pół baladę, na pół powiastkę, o zarazie, lub, jeśli wolisz, o cholery (...)

Wszędzie śmierć, śmierć, śmierć.

Tak porywała nas dzień po dniu
Bestia, łaknąca ofiary;
Z dniem każdym brakło jednego, dwu,
Padał i młody i stary.
A pierwszy ten był, któremu syn
Skonał, bo ciało chłopięce,
Zapamiętałe w bólu swym
Całował w serdecznej męce,
A w chwilę potem, chwiejąc się, padł
I umarł na dzień drugi.

Oto dokąd rzecz doprowadziłem. Zamierzam zgładzić ich wszystkich, z wyjątkiem dwóch, którzy będą wpatrywać się w siebie. Te spojrzenie nie będą lżejsze od śmierci.

Henryk Reeve, list do Zygmunta Krasieńskiego, w: Zygmunt Krasieński, *Listy do Henryka Reeve*, tłumaczenie Aleksandry Ołędzkiej-Frybesowej, opracował, wstępem, kroniką i notami opatrzył Paweł Hertz, Warszawa 1980, t. 2, s. 378–379.

J. Bale publiczne cieszyły się powodzeniem

Heinrich Heine (1797–1856)

Z tym mniejszą uwagą przygotowywano się do tej plagi, że z Londynu dochodziły wieści o proporcjonalnie niewielkiej liczbie zmarłych. Początkowo za dobrą monetę brano kpiny i żarty i myślnano, że cholera, podobnie jak inne zbyt reputowane kłęski, rozjeździe się tu po bokach. Nie trzeba więc może mieć za złe tej porządnej cholercze, że w obawie przed własną śmiesznością uciekła się do sposobów, które Robespierre i Napoleon mieli za skuteczne, i że w trosce o szacunek dla siebie zdziesiątkowała lud. Ze względu na wielką tutejszą biedę, ogromne zaniedbanie czystości, i to nie tylko w najuboższych klasach, ze względu przede wszystkim na beztroskość ludu, jego lekkość bez granic, ze względu na całkowity brak działań i środków zapobiegawczych, cholera nie mogła nie rozprzestrzenić się rychlej i groźniej niż w jakimkolwiek innym miejscu. Jej nadejście oficjalnie zostało datowane na 29 marca. A że był to dzień przedpośny, że słońce pięknie świeciło i pogoda była urocza, paryżanie z tym większą przyjemnością tłoczyli się na bulwarach. Pojawiły się nawet maski, które odgrywając chorowity kolor i rozpadłe twarze, kpiły z lęku przed cholera i całą tą chorobą. Wieczorem tego samego dnia bale publiczne cieszyły się powodzeniem większym niż zazwyczaj, najbardziej zarozumiała chichoty niemal zagłuszały donośną muzykę; ciała pociły się w mało dwuznacznym tańcu; przy tej okazji raczono się bez umiaru wszelkiego rodzaju lodami i zimnymi napojami. I wtedy, nagle, najbardziej rozochocony wśród arlekinów poczuł w nogach szczególnie chłód; zdjął maskę, i odkrył przed całym tym zdziwionym światkiem twarz całą siną i fioletową. Spozrzeżono, że nie jest to żart i zaraz przewieziono balowe maski wprost do Hôtel-Dieu, głównego szpitala, w którym poumierały licznie w swych groteskowych przebraniach. A że na fali strachu pomyslnano od razu o zarazie, wcześniejsi szpitalni pacjenci zaś z przerażenia krzyczeli,

zmarłych pochowano ponoć tak szybko, że zabrakło czasu, by ich rozdziać z barwnych oznak szaleństwa i złożono ich beztrąsko w grobach tak, jak żyli.

PRZEDRUK ZA: Heinrich Heine, *De la France*, Paris 1833, s. 131–133.
Przekład własny – MB.

K. Sprzątnąć w dwa miesiące

Tadeusz Józef Chamski (1805–1882)

W tym stanie osłupienia sam nie rozumiał siebie, chorym bowiem nie był, a przez słabość ledwie się mógł trzymać na nogach, miał przytomność, a czuł się drzemiącym, nie mógł prawie zrozumieć tego, co czytał lub co kto prędko albo trochę niewyraźnie mówił.

Położenie owo było nieznośnym i drażliwym, nawet niebezpiecznym, groziło suchotami, co gorsza, pomieszaniem zmysłów, zwłaszcza że na dobitkę zjawiła się na wyspie cholera i z osiemnastu tysięcy mieszkańców składających jej ludność tysiąc dziewięćset przeszło, to jest przeszło dziesiątą część, sprzątnęła we dwa miesiące.

Przestrach pogrzebowy ozionął nagle biednych wypiarzy. Najzdrowsze osoby mniemały, że nie doczekają jutra, wszystkie zamożne poopuszczały domy i składając przyczynę zarazy na mglistą atmosferę wyspy, przenosiły się na ląd stały, gdy przeciwnie Tadeusz, rzeczywiście zaledwie wpół żywy i prawie umierający, żartując z tych, co się uskarżali na klimat i złe powietrze, a bali się śmierci, która koniecznie prędzej czy później spotkać musi człowieka, przekonany zarazem, iż nie masz na świecie ni doktora, ni lekarstwa na jego dolegliwość, nic się wcale nie przeraził, tylko cierpiał spokojnie i poddał się wyrokowi z najzimniejszą w świecie filozofią i determinacją, skoro także i Polacy wyspę Ré opuszczać zaczęli wynosząc się w rozmaite departamenty w celu znalezienia zatrudnień mogących im zabezpieczyć sposób do życia.

PRZEDRUK ZA: Tadeusz Józef Chamski, *Opis krótki lat upłynionych*, opracował i wstępem poprzedził Robert Bielecki, Warszawa 1989, s. 324–325.

5. Druga i trzecia fala cholery, 1848–1860

A. Poeci piszą wiersze

Ferdynand Hechel (1795–1851)

20 sierpnia

Cholera od kilku już miesięcy całą prawie Europę trapiąca nie tylko lekarzów i przyjaciół ludzkości do szukania i zalecania rozmaitych środków pobudza, ale nawet księża dla podniesienia ducha w prostym ludzie zarządzają publiczne modły i procesje, a poeci piszą wiersze o tej zarazie i podają środki strzeżenia się onej; i tak niedawno słyszałem wiersz francuski dosyć dowcipny, który tu przyłączam:

*Mon Cher, en temps de peste évite
Le Vin tourné, les fruits nouveaux,
Les beaux yeux noirs de Marguerite,
Et surtout tiens-toi les pieds chauds.**

Niemcy, którzy wszystko tłumaczą, zrobili następującą tego wiersza parafrazę, która jednak delikatności francuskiej nie wyrównywa, i lubo jest trafną, tchnie jednak germańską rubaszością; oto jest:

*Überfüll dir nicht den Darm,
Halte dir die Füße warm,*

* Mój drogi, podczas epidemii

Unikaj sfermentowanego wina, świeżych owoców,
Pięknych, czarnych oczu Małgorzaty,
A przede wszystkim trzymaj nogi ciepło.

*Komme dem Gretei nicht zu nah,
Kriegst du nicht die Cholera.*

PRZEDRUK ZA: Fryderyk Hechel, *Kraków i ziemia krakowska w okresie Wiosny Ludów. Pamiętniki*, wstępem i przypisami opatrzył Henryk Barycz, Wrocław 1950, s. 270.

B. Każdy siedział w kącie

Kazimierz Girtler (1804–1887)

Rok 1848

W listopadzie i tu rozwinęła się paskudna cholera tak, że w dzień kilka ofiar zmiatała, nie tylko już między wojskiem, ale i między mieszczanami. Nierzadko widziało się płacz, lament przed domem. Nieraz jadąc wieczór z Kaliny do Jaksic, w ulicy Krakowskiej spotykałem powożkę, na której dwie i trzy trumny z żołdatami poległymi na cholere wieziono na cmentarz, brało się wtedy miętowy cukierek do ust, przysyłając je aż do nosa chustką, bo mijając ledwie o parę łokci było się od za[razy].

W szpitalu kościelnym przy szosie, blisko kościółka Św. Barbary, leżeli choleryczni mieszczanie. Napoleon Lipiński, fizyk i lekarz powiatowy, udawał chorego, inni też z urzędu niby chorowali, a jeden tylko Chmurzyński Stanisł[aw], kupiec, z narażeniem własnym osobiście dozorował ten szpital, własnym kosztem w rozmaite potrzeby zaopatrywał, a nawet nieraz czynnie obsługiwał chorych przy nacieraniach, kąpielach. Był to lekarz i chrześcijański pomocnik, i pocieszyciel; jeden jedyny w owym razie na swoim miejscu, za siebie i za tych, co się pokryli. W Jaksicach zmarło kilkoro ludzi, w Kalinie nikt – tu nie zajrzała cholera.

Z tą [zarazą] w parze chodzi jakiś smutek. W dzień w Miecho wie tak pusto bywało jakby w nocy, każdy siedział w kącie, czasem na rynku nie widać było żywej duszy. Oswoiliśmy się z cholere tak dalece, że potem nie zważaliśmy wcale na nią. Zaczęła się od Franciego, urzędnika Kasy Powiatowej, który w połowie października był na polowaniu w Kalinie, a znalazłszy kilka rydzów, przyniósł je do domu, sam je upiekł przy ogniu, osolił i zjadł, popił wodą, a wkrótce nastąpiły oznaki cholery i w kilka godzin życie skończył. Marcin Francki pierwszy padł ofiarą. W końcu października odezwała się lepiej, w listopadzie, grudniu srożyła się. W styczniu, lutym folgowała i coraz słabnąc, poszła do piekieł.

Po ile razy od 1831 roku zapamiętam cholerę, to zawsze w powszechności usposobienie żołądka jest szczególne. Najzdrowsi czują coś nienormalnego w trawieniu, a żarłoczniejsi statkować muszą, aby się nie przewziąć. Umysł też przy tym jest cierpiący, ociężałość, posępność, jak przesyleniem żołądka, tak zarówno zbyt dużym ruchem ciała można rozgniewać cholerę, iż gotowa wbić w nas swe drapieżne szpony. Umiejętni i tu przed innymi mają pierwszeństwo, że się pokus do zbytku nie lękają, a stać się dopiero dla cholery wstrzemięźliwym, to ją i tym można podrażnić. Piekielna choroba!

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Girtler, *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1832–1857*, przedmowa i wybór tekstu Zbigniew Jabłoński, opracowanie tekstu i przypisy Zbigniew Jabłoński i Jan Staszal, Kraków 1971, t. 2, s. 284.

C. Zbliża się

Fryderyk Chopin (1810–1849)

Calder House, 16 października 1848

(12 mil od Edynburga) Do Adolfa Gutmanna

A ja się tam przechadzam z moją niepewnością. Cholera się zbliża; w Londynie mgła i spleen, w Paryżu nie ma prezydenta. Ale dokądkolwiek się udam z moim kaszlem, i moimi dusznościami, zawsze będę Cię kochał.

Paryż, środa, 4 lipca 1849 Do Solange Clésinger

Cholera zmniejsza się, ale powiadają mi, że Paryż coraz bardziej pustoszeje. Upał i kurz. Dużo nędzy i brudu, widać się twarze z tamtego świata.

Niech Pani zechce wybaczyć, że piszę tylko kilka słów, lecz jestem tak zmęczony, iż sił mi brak. Ciężka epidemia nawiedziła nasze wsie i nie mam chwili spoczynku; widzieć, jak cierpią i umierają, jest nader smutne; lecz to, że się kogoś ratuje – dodaje sił.

PRZEDRUK ZA: *Korespondencja Fryderyka Chopina*, zebrał i opracował Bronisław Edward Sydow, redakcja i przypisy Janusz Miketta, Warszawa 1855, t. 1, s. 181.

D. Podwójną klęską pomoru dotknięci

Inskrypcje wyryte na pomniku w Zębowie

(fronton)

WAM PÓŁWIEKOWEJ PRACY
TOWARZYSZE ŚWIĘCĘ
POMNIK TEN CO TU KRYJE
BRACI WASZEJ KOŚCI
WASZE MNIE WYKARMIŁY
I DŹWIGAŁY RĘCE
WAM NA BRATNIEJ MOGILE
PŁACĘ DŁUG WDZIĘCZNOŚCI
PRACOWITYM TEJ WŁOŚCI
MIESZKAŃCOM
KTÓRZY PODWÓJNĄ KLĘSKĄ
POMORU DOTKNIĘCI
KOŚCI TU SVOJE ZŁOŻYLI
POŚWIĘCA WŁAŚCICIEL
1858 R.

(prawy bok)

1658 ZA PANOWANIA
J. K. K. P. W. K. L.
W CZASIE PAMIĘTNEGO
NAJŚCIA NIEPRZYJACIÓŁ
CAŁA NIEMAL
TEJ WŁOŚCI LUDNOŚĆ
DOTKNIĘTA MOROWĄ ZARAŻĄ
TUTAJ SPOCZYWA

(lewy bok)

1831 DOTKLIWYMI KLĘSKAMI
KRAJU PAMIĘTNY
WIDZIAŁ TRZECIĄ CZĘŚĆ
MIESZKAŃCÓW TEJ WŁOŚCI

ZARAZĄ ŚMIERTELNĄ
CHOLERA MORIBUS DOTKNIĘTĄ
KTÓREJ KOŚCI
W TEM MIEJSCU SPOCZYWAJĄ

PRZEDRUK ZA: <http://www.szpejankowski.eu/index.php/ciekawostki-genealogiczne/135-morowe-powietrze.html>.

6. O skutecznym rad sposobie

A. Linie kordonowe

Gazeta Lwowska, 1817

Jak bardzo rząd austriacki zapobiega wtargnięciu się do krajów swoich panującey w Tureczyźnie zarazy morowej, świadczy o tem następujące urzędowe pismo:

Luboć przy kordonie powietrznym na granicy Dalmackiey przeciwko Turcyi ustanowionym odbywa się ustawicznie służba z usilną pilnością i ścisłością, iakiey przedmiot tak wielkiej wagi wymaga, zdarzyło się jednak zeszłego miesiąca Maia, że jeden mieszkaniec z Glussi, mieysca tuż przy Cyrkule Makarskańskim położonego, przy sprzyjających mu szczególnie stosunkach miejscowych, znalazł sposoby, iż się w ościenne Państwo Tureckie, gdzie powietrze grassowało, przekradł, a tym sposobem zaród tey okropney zarazy między współmieszkańcami swoim zaszczepił. W kilka dni po dopuszczeniu się tego zuchwalstwa padł sam nypierwszą onegoż ofiarą, a wkrótce pokazało się kilka przypadków choroby w Glussi, Metrovich, Slivno, Gradino i Arano, które podejrzenie zarazy wzbudzały. Na pierwszą wiadomość o tych wypadkach przedsięwzięły Władze krajowe jak najspieszniey środki, które przepisy zdrowia i dawnieysze doświadczenia, do wstrzymania dalszego szerzenia się zarazy i do stłumienia iey w samemże wszczęciu się, podają. Nie tylko wszystkie owe domy, w których się osoby powietrzem zarażone lub o zarazę tę podeyrzane znajdowały, każdy z osobno pozamykano, lecz także i owe mieysca, a na koniec cały ów obwód, do którego też domy należały, przez liczne i doświadczone straże zdrowia zamknięto, liniami kordonowymi obwiedziono (...) W każdym z pomienionych miejsc ustanowiono osobną Komissyę zdrowia i polecono iey chwycenie się doraźnych środków, iakich nagłość okoliczności wymagała. Tak stosowne

i dzielnie wykonane rozporządzenia nie mogły pożądanego uchybić skutku. Powiodło się ograniczyć powietrze na mieyscu pierwszego wybuchnienia iego, i tę, innemi czasy tak straszłą zarazę, nawet i w pomienionych mieyscach tak nieszkodliwą uczynić, że na nią tylko czternaście osób zmarło. Gdy już wszyscy czyszczenie się i odwodową kontumacyę w miarę zachodzącego przeciw nim większego albo mniejszego podeyrzenia zarazy na onychże włożoną odbyli, zostały porozciągane linie powoli rozwolnionemi, a około środka miesiāca Września został dawniejszy dobry stan zdrowia w Cyrkule Makarskańskim zupełnie przywrócony. Aby Monarchię takōż i ze strony morskiej od wszelkiego podobnego niebezpieczeństwa ochronić zostały nie tylko promy i łodzie będące na rzece Narentu przytykającej do podejrzanego obwodu, zaraz z początku pod nadzór publiczny wzięte i przez krążące statki wszelkie związki przecięte, lecz takōż i w Gubernium Nadbrzeźnem i Weneckiem przez cały ciąg wątpliwego stanu rzeczy w Cyrkule Makarskańskim, zachowywane przeciwko prowincyom Dalmackim te rozporządzenia kontumacyjne, które ustawami zdrowia przeciwko okrętom z Krayów o zapowietrzenie podeyrzanych, są przepisane.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 20 października 1817 roku.

B. Kobierzec smołą wysmarowany

Kurier Warszawski, 1822

Jakiś Turek czy Ormianin wynalazł sposób ocalenia swego życia i zdrowia w czasie morowej zarazy, obwijał się w kobierzec smołą wysmarowany, na twarz kładł maskę szklaną, a na ręce grube rękawiczki, jak tylko dowiedział się, że gdzie panuje morowa zaraza w Azji czy Europie, natychmiast tam pospieszał, wchodził bezpiecznie do domów, w których wszyscy byli złożeni śmiertelną chorobą, zabierał pieniądze i klejnoty, nawet z trupów zdejmował pierścienie i ozdoby, był nadto tyle nielitościwym, że jeszcze żyjących dobijał, co mu się w ogólnej trwodze i zamieszaniu przez wiele lat udawało, tym sposobem zebrał znaczne skarby. Gdy ostatnim razem wszczęła się morowa zaraza w Barcelonie, pospieszył tam ów rabuś, lecz wydała się jego zbrodnia, i został zabity od pewnego oficera, który nadszedł do umierającego swego przyjaciela, a któremu ów starzec miał zadać cios śmiertelny.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 26 października 1822 roku.

C. Rząd przedsięwzięcie środki

Gazeta Krakowska, 1831

Sztokholm, 16 sierpnia – Rząd przedsięwzięcie ciągle środki nie tylko dla odwrócenia cholery, ale nadto na przypadek, gdyby się plaga mimo użytej przezorności do kraju naszego wdarła. W tej chwili wyszło rozporządzenie królewskie, zawierające wszystkie przepisy, jakie przy wybuchnięciu zarazy użyte być mają, aby się dalej nie-szerzyła. Stosownie do tego rozporządzenia po wszystkich gminach królestwa ustanowione będą komitety zdrowia we wszystkich do ich dozoru należących miejscach, i starać się, aby na leczenie cholery było zawsze na podoręczu pod dostatkiem lekarstw. Nie tylko w miastach, ale przy każdym parafialnym kościele urządzone być mają zawczasu szpitale dla ubogich i niemogących być w swych mieszkaniach leczonymi, z usługaczami, gróbarzami, itd. Wszystkie te komitety zostają pod kierunkiem założonej w stolicy centralnej komisji. Powyższe rozporządzenie zawiera jeszcze w dodatku przepisy medycznego kolegium względem leczenia cholery, iako też uchronienia się tej zarazy.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Krakowska, 7 września 1831 roku.

D. Wody wyrzec się na długo
Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887)

Gródek, 10 października 1848

Zdrowie moje trochę lepsze, ale trochę, pojechawszy do Kisiel, teraz leżałem obłożnie chory 8 dni w łóżku. Dziś mam się lepiej. Dzieci mi chorowały, Franio miał okropną febrę, Jaś zaś wysypkę, Zosia zawsze niedomaga. Kostusia zdrowa, dzięki Bogu. W Gródku była cholera, ale lekka i nikt nie umarł, tak szczęśliwie. Zosia ratowała oliwą po większej części i proszkami sodowymi z kamforą. Te proszki burzące dają się chorym co kwadrans, każdy z jednym gramem kamfory, dopóki nie przestanie chory womitować, a potem jeszcze z parę razy. Jeśli bardzo piecze w środku, dawać oliwę dobrą co kwadrans po kieliszku. Jeśli chory krwisty, krew puścić jest koniecznością i dać kalomelu gran 6, jeśli wyrzuci, znowu dać tyleż, póki nie ustaną symptomata. Krwi puszczenie i zupełne wstrzymanie się od wody jest najlepszą prezerwatywą. Wody, zwłaszcza rzecznej, zupełnie wyrzec się potrzeba na długo. Pić źródlaną, i to przegotowaną (...)

PRZEDRUK ZA: Józef Ignacy Kraszewski, *List do ojca, Jana Kraszewskiego*, w: tegoż, *Listy do rodziny*, opracował Wincenty Danek, Kraków 1982, t. 1: 1820–1863, s. 163–164.

E. W silnych postanowieniach hartuje się serce

Gazeta Codzienna, 1852

Błąkająca się od lat 20 po obszarze Europy cholera znów do nas do Warszawy zawitała, i to po raz czwarty od r. 1831, lecz dzięki roztropnym rozporządzeniom policji lekarskiej nie zastała nas zupełnie nieprzygotowanych, mniej nas trwoży jak kiedykolwiek. Opiekuńcze starania Władzy nie tylko usuwają z przed naszych oczu smutne obrazy towarzyszące każdej epidemii w ludnym goszczącej mieście, nietylko zapobiegają szerzeniu się choroby, czuwaniem nad sprzedażą owoców niedojrzałych, zgniłych, lub za szkodliwe uznanych – ale nawet hojnym rozdawaniem zdrowych i gotowanych potraw zabezpieczają codziennie mnóstwo ludzi od choroby, czepiającej się z taką chciwością ubogiego, źle żywnego ludu – a umieszczaniem zapadłych w szpitalach wybornie zawiadywanych, większą ich połowę oddają życiu i zdrowiu. Z wdzięcznym powinniśmy uznać sercem szlachetność, mądrość i skuteczność tych dobroczynnych usiłowań – nie wątpimy, że każdy obywatel wiejski, z położenia swego moralnie odpowiedzialny za zdrowie i życie osób od niego zależnych, rad będzie uczcić ojcowską staranność władzy panującej, o zdrowie nasze tak dbałej, naśladowaniem ze swej strony wcześniej wykonanych rozporządzeń do dobra ogółu dążących. Wiele już pisano o cholercie, przez krajowych i zagranicznych lekarzy tak gorliwie, z takim bohaterskim poświęceniem badanej, a jeszcze nie udało się przyrody jej poznać. Jakąś tajemnicą nieprzeniknioną dla najwyćwiczniejszego oka otoczyła się kolebka i natura tej zaciętej rodu ludzkiego nieprzyjaciółki, niegdyś tak straszliwej i dziś jeszcze, pomimo niewątpliwego postępu sztuki lekarskiej bardzo srogiej. Tyle jednak że już z pewnością o tej klęsce wiemy, iż cholera do tego stopnia nie uderza ślepo i bezzóżnicowo w ludzi, żeby jej człowiek silnego ducha, rządzący się zdrowym rozumem uniknąć nie mógł. – Owszem, doświadczenia zebrane w najrozmaitszych punktach globu przez sumiennych,

bystrych badaczy przekonywają, iż nadzwyczaj rzadko padają ofiarą cholery ludzie odważnego serca, skromnie w swych gustach, a roztropnie żyjący, nawet gdyby zresztą słabego byli zdrowia fizycznego, i z przyczyn od powołania swego zależnych nie mogli uniknąć ani zetknięcia się z cholerycznemi, ani owego mnóstwa niedogodności i niewygód, które w czasie trwania cholery zdolne są wyrodzić w organizmie słabym duchem ożywionym tą chorobą. Świadomość ważności powołania, któremu się kto poświęca, szczerze, czynne zajęcie się innymi, utrzymuje każdego podczas epidemii życia grożącej, w ciągłym stanie trzeźwości umysłowej i ducha jego wywyższa nad poziom, na którym się kurczą trwożliwe dusze egoistów i hypokondryków, co sobą tylko ciągle zajęci, starannie każdy pojaw urojonej choroby w sobie badają, i tak często padają ofiarami własnej chorobliwie rozkiełznanej wyobraźni. Jest coś dziwnie pocieszającego w tej właściwości nadanej duchowi i rozumowi, tym pięknym przymiotom wynoszącym człowieka nie tylko nad zwierzę, ale i nad choroby organizmowi zwierzęcemu człowieka grożące – jest coś w tem nadzwyczaj pocieszającego i w filozoficznym i w lekarskim wzglądzie, bo nam wskazuje nie tylko drogę, na której raz niezawodnie dojdziemy do poznania prawdziwego ducha epidemii, zbyt często się powtarzającej, ale zarazem podaje nam środki uniknięcia klęski, której, przyznać tu musimy bez ogródki, najczęściej są ofiarami ludzie małego ducha, wiodący życie niewstrzemięźliwe lub bezcelowe. Nie mówimy tu już o biednych, postawionych w niemożności rządzenia się rozumem lub niemogących wybierać sobie najstosowniejsze środki do przedłużenia życia lub ustrzeżenia się od chorób zmierzające. Ci rzadko z trwogi nękającej bogatszego syna ziemi zapadają w chorobę, lecz częściej padają ofiarą obojętności własnej lub też osób, które większym wyposażone zasobem, powinnyby nad nimi po ojcowsku czuwać. Jeżeli tedy odwaga za żywioł utrzymujący siły żywotne – od wszystkich uznana jest głębszych badaczy natury, to zaiste trwoga poczytaną być winna jako wpływ w tym samym stosunku szkodliwy. I tak jest w istocie. – Trwoga – tak jak wszystkie

smutne uczucia, tłumiąc życia objaw, niszczy żywotności siły i działa na organizm ujemnie, odbierając mu sprężystość, zniża jego tętno i uprawia w omdłałość, osłabienie i chorobę, nawet wtenczas, gdy daleką od nas jest cholera, płodząc symptomata i cierpienia do cholerycznych nadzwyczaj podobne. Cóż dokazać nie może trwoga, gdy główna przyczyna jej zjadliwych skutków zawieszona w atmosferze nad naszymi głowami? Nie przemawiali-byśmy tutaj tak długo i tak patetycznie o skutkach odwagi i trwogi, gdybyśmy nie mieli przekonania na tysiącnych dowodach oparte-go, że łatwiej usunąć szkodzącą przyczynę, jak zniszczyć nieszczęśne jej skutki, że łatwiej wznieść ducha w zdrowym człowieku, jak przywrócić siły choremu. A że nam stałym zwolennikom duchowej odwagi i ciągłym świadkom złych skutków trwogi, siła ducha jako ocalający przymiot zawsze na myśli – to w tem nic dziwnego. Odwaga tedy, rzeźwość umysłu, zdanie się czynne, bohater-skie na wolę Boga, który zsyłając nawet nieszczęścia na ludzi, ma zawsze dobro ludzkości na celu: oto środek, który najwięcej zalecamy jako prezerwatywę przeciw grożącej nam wszystkim epidemii. Mówią, że odwaga nie każdemu synowi tej naszej ziemi dana – utrzymują, że na niej wyrodziły się serca tak czułe, nerwy tak wrażliwe, iż za najslabszym zatętnią wpływem, wibrują za najlżejszem wstrząśnieniem. W silnych postanowieniach – a takie wywoływać powinny zawsze katastrofy ludzkość trafiające, czy to moralne, czy to fizyczne – w silnych postanowieniach hartuje się serce, stalują się zwątlone jednostajnem roślinkowaniem nerwy, i to cudownym jakimś a tajemnym wpływem. – Niejeden człowiek od dawna brzemieniem sumienia tłoczony dopiero wtenczas Boga rzewnie o pomoc błaga, gdy go ciężar do ziemi przycisnie. – Pogański filozof wyrzekł, że choroby są to dobroczynne córki natury, które człowieka do uznania sił Nieba zmuszają – my Chrześcijanie winniśmy rozprzestrzenieć myśli tej polot i w tem pięknem zdaniu uczcić przedmiot wiary dotychczas żadną niezrównanej doktryną. Odwagę zalecamy, lecz nie namawiamy do użycia sztucznych środków ducha chwilowo podsycających – a potępiamy junactwo. Cią-

gła alkoholizacya, w której się utrzymują trwożliwi ludzie napojami: wódką, piwem lub winem dla dodania sobie ducha, wyczerpuje siły żołądka, stępia nerwy, wysysa siły żywotne i czyni organizm niezdolnym do oddziaływania na ten czas, gdy lekarskimi środkami staramy się przywrócić go do równowagi. Ludzie do alkoholizacji przyzwyczajeni, opierają się przez czas niejaki bardzo silnie szkodliwym zdrowiu wpływom, lecz gdy raz zapadną, wówczas cudowi tylko winni przypisać swe ocalenie, jeśli wyzdrowieją. Junactwo ma się do odwagi, jako małpa do człowieka, śmiesznie i gorszkiem jest w swym objawie, w skutkach zaś jeszcze więcej szkodliwym jak tchórzostwo, owe gniazdo junactwa. Junaków również się lękać potrzeba jak tchórzów – ci ostatni wzniesają trwogę w słabych sercach, tamci zły dają przykład słabym głowom; a bezsilnych głów więcej jeszcze na świecie jak serc niemeżnych. Innego jeszcze rodzaju ludzi więcej się lękać trzeba jak junaków i trwożliwych – temi są roznosiciele smutnych wieści. Tacy ludzie wyradzają się podczas katastrof całemi chmarami, tak jak wycieczki w zgniłej wodzie. Po największej części są to ludzie z położenia swego moralnego lub fizycznego żadnym węzłem do towarzystwa nieprzyczepieni, albo złośliwi facecyoniści, żywiący swą duszę nieszczęściem swych bliźnich, albo egoiści nikogo niekochający, albo wreszcie ludzie wiodący życie bezcelowe, niemający zatrudnienia, i krążący bezustannie około kurzących się kominów lub też chciwych wrażeń i wieści plotkarek. Podobnych istot więcej strzedz się wypada jak zaziębień, surowizn i mizeryi, bo się napotyka w naszym kraju bardzo często, i, że tak się wyrazim, żyją z klęsk, trafiających użytecznych świata i pracujących ludzi. Wypada także baczenie, przenikające zwracać oczy na to, co się dzieje w powietrzu nas otaczającym, i w żołądku, który my resztą organizmu otaczamy, ale nie myśleć o tem ciągle, bezprzestannie, nie dać się opanować całkiem owemi drobnostkowemi staraniami, robiącemi z wielkiej liczby ludzi istotne automata poruszające się na każdy wpływ myśli trwożliwej, na każde egoistyczne natchnienie. Przecież człowiek, żeby się tylko instynktem zwykły był rządzić,

i tego instynktu siły nie był zdolny ocenić, mniej więcej wiedzieć powinien, co mu w chwili szkodzi, a co mu pomaga. Niech unika tego w zupełności, co mu szkodzi, a niech używa tego miernie, co mu pomaga, a nigdy na cholere nie zapadnie, jeśli przytem na dobę godzin z kilka poświęci na czynną pracę, godzin tyleż na odżywienie się, na zabawę, przechadzkę i wypoczęcie, a resztę na sen porzeczajmy. Nadzwyczajnie jest mało rzeczy bezwzględnie szkodliwych w czasie cholery, a i te po największej części sprowadzić mogą chorobę podobną do niej nawet wtenczas, kiedy cholera nie grasuje. Jednakże wyliczymy tutaj wpływy, które uchodząc bez natychmiastowej szkody w każdej innej porze, w obecnej stać się mogą bardzo niebezpiecznymi. Temi są: 1) Pod atmosferycznym względem: Chłody wieczorne i nocne, przeciągi, gorąco, wilgoć, powietrze gęste, zgniłe, wyziewy wszelkiego rodzaju roślinne, zwierzęce i metaliczne, zapachy nawet mocne, powietrze atmosferyczne zgęszczające, rozrzedzające lub rozkładające. 2) W dyetetycznym względzie: a. Roślinne: kapusty, kalafior, galarepy, brukiew, kartofle młode, rzepa, jeśli wzdymania sprawiać zwykły. – Surowizny: jak wszelkiego rodzaju sałaty, gruszki, jabłka, wiśnie, agrest, melony, czarne jagody częstokroć sprowadziły cholere; ogórków zaś użytek prawie zawsze wyradza tę chorobę, jak liczne przekonały doświadczenia. b. Zwierzęce: Marynaty, zwłaszcza z ryb, odznaczają się szkodliwością. I świeże ryby z nadzwyczajną należy używać ostrożnością, tudzież baraniny, wieprzowiny, kaczek i gęsi. Nieprzyzwyczajonemu i nabiалу nie zaleca się, zwłaszcza skrzepłego. Wiele osób dostaje mdłości i kurczów od samej śmietanki dodanej do kawy lub herbaty. c. Mineralne: Soli przeczyszczających, do których użytku wielu nawykło hemoroidaryuszów, hypokondryków i namiętnych gastronomów, strzedz się wypada. W ogóle nie jest to czas na przeczyszczanie się, i bez rady lekarza brać nikt nie powinien purgacyi. Zwracać największą uwagę na biegunkę, czy by powstała w skutek przeziębienia się, czy w skutek niestrawności, przelęknienia, wzruszenia, nawet ząbkowania u dzieci lub innych niewiadomych przyczyn. – Użycie hipekaku-

anny najlepszym wówczas jest środkiem, a i ta, jeśli tylko można, bez porady lekarza dawaną być nie powinna.

Wodę dobrą świeżą zakazywać nie masz potrzeby, byleby ciało nie było spoconem lub płuca zmęczonemi. Lepiej jednakże do niej dodawać wina czerwonego, herbaty lub też po prostu do garnca wody świeżej kwaterkę wywaru z łyżki stołowej tysiącznika. Obywatele wiejscy winni przestrzegać żniwiarzy, ażeby innej wody nie pijali, wybornie ona gasi pragnienie i wzmacnia żołądek. Do zachowania zdrowia przyczynia się: odwaga, dobry humor, czyste powietrze, mierna czynność, używanie w stosownym czasie, ale nigdy późno w wieczór, potraw zwykłych, a niewymienionych wyżej jako szkodliwe. Kompoty dozwolone, tudzież dobre piwo, dwa razy na dzień najwięcej, wódka, wino także, najlepiej czerwone, ale dobre, niefałszowane. W winie sprzedawanem nadto tanio (po 3 złp. butelka) wina czystego być nie może jak kwaterka najwięcej, reszta jest kompozycja zawierającą bardzo często szkodliwe substancje. Ludzie ciągle a wolno pocący się od cholery oszczędzani bywają, lecz gdy poty wskutek zaziębnienia się znikną, wówczas ona najczęściej wybucha. Wybornym środkiem ostrożności są nacierania skóry flanelą dwa razy na dzień powtarzane. Środka specyficznego zabezpieczającego od cholery, jak szczepienie od ospy, lub leczącego z taką pewnością jak china febrę przestępną, nie posiada jeszcze medycyna, i wszelkie prezerwatywy w najrozmaitszych kształtach i miksturach więcej robią złego niż dobrego; lecz to jest pewnością, że dostateczny ruch i zdrowy rozum dotychczas wielu ludzi uchronił od zarazy w pośród najkrytyczniejszych okoliczności. Są tacy, którzy dziesięć razy tej epidemii byli świadkami, a przypomnieć sobie nie mogą, żeby jej ofiarą padł jeden człowiek czuwać nad sobą umiejący, chociażby w najczęstszych z cholerykami bywał stycznościach. Przeciwnie zaś trwożliwi ludzie pożyczane tylko mają życie, i ile są podczas zdrowia egoistami, tyle podczas choroby stają się prawdziwą klęską dla siebie i dla innych. Takim ludziom powtarzać należy, że co mądrego, dobrego i odważnego spośród niebezpieczeństwa ocaliło, to i ich ocalić zdoła, byleby ciągle nie

myśleli o sobie, byleby odwracali oczy od grożącego im widma praktykowaniem nieznannej im litości względem innych, światu potrzebniejszych, a w ubóstwie pędzących biedne, kłopotliwe życie. Bóg tym chętnie udziela odwagę i wiarę, którzy się dla bliźnich poświęcają. Tę gdy uznamy prawdę i silnem pojęciem w siebie wcielić zdołamy, pogodniejszym umysłem patrzeć zaczniemy na stan obecny, i przyznamy: „że Bóg zsyłając nieszczęścia nawet na ludzi, ma zawsze dobro ludzkości na oku”.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 11 sierpnia 1852 roku.

F. Pierścień żelazny

Stendhal (właśc. Marie-Henri Beyle, 1783–1843)

Trzeba zobaczyć, jak Marsylczyk biega po procesjach, kiedy go tylko strach oblatuje. Podczas cholery w 1835 roku zachowuje się jak Neapolitańczyk: zapala świece, by przypodobać się Marii Dziewicy; za czterdzieści pięć sous sprawia sobie żelazny pierścień na ochronę przed gorączką, uwiarygodniony przez pięć *Pater Noster* i dwa *Ave* ...Kupiłem taki pierścień z pewną bogatą i nader dystyngowaną rodziną, która rozważała ze mną, czy pierścień może przynieść zapowiedane skutki. Gorzko sobie zarzucam, że nie kazałem domówić księżeczki z oficjalnymi podpisami, wyjaśniającej zalety pierścienia; bez niej, krucyfiks, podadzą mój pierścień w wątpliwość. Jaką szczególną ideę Boga muszą żywić tutaj ludzie! Najpiękniejsza, ale też najbardziej nieśmiała i i milcząca z kobiet, które tu na południu widziałem, nieomal w ten pierścień uwierzyła.

PRZEDRUK ZA: Stendhal, *Voyage en Provence*, Paris 2012, s.144. Przekł. własny – MB.

vii. Wykoleja się i wywraca



1. Pojazdem i końmi

A. Trzydzieści razy

Henrietta z Działyńskich Błędowska (1794–1869)

Różne przypadki i przygody w naszych przejażdżkach i podróżach doświadczaliśmy, i tak do mego zamążpójścia trzydzieści razy przewróciliśmy się z kareta, a zagrzęźnięć w błocie nie naliczę, gdyż zawsze nocą jechałyśmy.

PRZEDRUK ZA: Henrietta z Działyńskich Błędowska, *Pamiętka przeszłości. Wspomnienia z lat 1794–1832*, Warszawa 1960, s. 56.

B. Wielki strach było jechać

Kazimierz Girtler (1804–1887)

Piotr Steinkeller, kupiec rodem z Krakowa, który nie jeno dla siebie robił spekulacje, ale podejmował różne ulepszenia w kraju sposobem przedsiębiorstwa, pierwszym był, co na minuty obliczył kurs karety pocztowej między Warszawą a Krakowem, i zaraz zaczęły kursować takie ekwipaże. Ale cóż, szosa nowo zbudowana często bywała, zwłaszcza z wiosną, porżnięta kolejami lub się obniżała przez ułożenie się ziemi. Na nasypkach, groblach często nasypywano tłuczony kamień, aby ją równać, a tymczasem przyjęto budowę karek na sposób angielski: wysokie, wąskie a ciężkie. W środku było siedzeń sześć, tyleż w drugim przedziale od tyłu, na koźle konduktor z pocztylionem, a na wierzchu karety jeszcze dwa siedzenia pasażerskie i tłomoki, które wysoką karekę jeszcze w górę podwyższały i cięższą czyniły. Najmniejsze nachylenie wyrywało krzyki z piersi przestraszonego podróżnego. I zdarzały się wypadki wywrotu, zostawiające niejednemu w upominku kalectwo.

Jechałem z jednym, który wywrotem z górnego siedzenia przerzucony został aż za rów, inny złamał obojczyk, a żona jego wybiła rękę. Wielki strach brał jechać tą maszyną, która w Anglii, na angielskiej drodze, zaprzężona angielskimi rosynantami, jest pewnie dobrą i dogodną, ale na naszej szosie jest niepraktyczną – na postrach podróżnym, pocztmistrzom, konduktorom i pocztylionom zbudowaną landarą. Rząd płacił pocztmistrzom za cztery konie do kurierki, ale po grudzie lub gdy oślizgła droga, a co najbardziej gdy świeżo rozsypano konserwą* wtedy sześć dzielnych koni nie mogło jej klusem ciągnąć. Za wywrot odpowiadał konduktor, a pocztylion szedł w żołdacy, jeśli się pokazało, że był pijany, ale często mimo trzeźwości bywały wypadki, a niedogodności i strach zawsze.

* Konserwa – dawna nazwa używana na określenie żwiru lub piasku złożonego na poboczach drogi bitej i przeznaczony do stałego utrzymywania jej w dobrym stanie.

Jadąc z Radomia do Warszawy, z Jedlińska czy też z Białobrzeg do Grójca jechaliśmy pięcią końmi. Zrazu szły nieźle, ale na milę przed Grójcem trafiliśmy na świeżą konserwę. Konie już zmęczone idą noga za nogą, niecierpliwimy się. Pocztylion dobywa wszystkich sił i sztuk na postrach koniom, ale te iść nie chcą, a przy dyszlu w ten sposób wypowiedziały posłuszeństwo, iż przewróciły się i dźwignąć ich nie można, a do stacji wiorst jeszcze 7. Było nas 12 osób, cały ekwipaż wysiada. Nie mając co lepszego do czynienia, idziemy za konduktorem, który, wzięwszy trąbkę od pocztyliona, trąbił nam, jakbyśmy to jechali, zaś pocztyliona przy karecie i leżących koniach zostawił. Między kompanią była jakaś dama, której lubo markotno było wędrować, ubolewała niezmiernie nad biednymi końmi, że je tak męczono. Szczęściem byliśmy wszyscy zdrowi, a przygoda trafiła się po chłodzie, między 8 a 9 godziną wieczorem, więc użyliśmy przechadzki. Jeden był tylko jakiś Francuz, który wioził ze sobą łapki na motyle, widać do Polski wybrał się na to polowanie. Ten tak się rzucał i burczał, że na kuli ziemskiej nic podobnego nie znajdzie, jak ten obrzydliwy ekwipaż; na stacji w księgę obżalowania wpisał skargę i nas do tego zachęcał: – Inaczej tu porządku nie będzie (...)

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Girtler, *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1832–1857*, przedmowa i wybór tekstu Zbigniew Jabłoński, opracowanie tekstu i przypisy Zbigniew Jabłoński i Jan Staszal, Kraków 1971, t. 2, s. 244–245.

C. Nade mną, tuż, tuż
Juliusz Słowacki (1809–1849)

W dniu 15 lutego wyjechałem z Krzemieńca sankami, pocztą – i we dwa dni stanąłem w Warszawie. Jak tylko zajechałem do oficera Stejn, mieszkającego za miastem – przebrałem się, wziąłem list do znajomego mi dobrze Odyńca i wyszedłem na miasto. Spotkawszy sanki, wsiałem w nie i kazałem się wieść do pałacu Zamojskich, gdzie Odyniec mieszkał. Jechałem przez Nowy Świat i oglądałem się wkoło... Z daleka ujrzałem konie noszące, lecz w przeciwną stronę leciały... mało na to dawałem uwagi. Wtem sanki, na których jechałem, zatrzymują się, powoźnika obróciwszy się już nie ujrzałem za sankami, a nade mną, tuż, tuż, leciały rozhukane dwa konie; schyliłem się w sankach i w tejże chwili oba konie przeskoczyły przez mnie, i tuż przy moich sankach, które z ich sankami zaczęły się, upadły.

Przyszedłszy do przytomności, wyskoczyłem i znalazłem się wśród leżących na ziemi koni. Jakaś stara kobieta za rękę mnie wyrwała z poplątanych szlei – i wkrótce ujrzałem się wśród tłumu zebranych ludzi, z którego trudnością wymknąłem się... Przypadek ten uważałem jak za jaką wróżbę mego pobytu w tem mieście.

Wsiadłszy do innych sanek, szczęśliwie zajechałem do Odyńca; poznał mnie z Hrehorowiczem, urzędnikiem komisji i skarbu, Litwinem, i u tego przez dwa miesiące mieszkałem... Wszedłem do biura... zająłem się nudną finansową pracą – i przy zielonym stoliku Komisji Skarbu większą część dnia przepędzałem... Pamiętam, że mnie wtenczas jakaś rozpacz ogarnęła; zdawało mi się, że jestem skazany aż do śmierci w tem biurze pracować.

PRZEDRUK ZA: Juliusz Słowacki, *Pamiętniki; Listy do matki i rodziny*,
Lwów [1909], s. 7–8.

D. Widziałem spokojnie ostatnią godzinę

Fryderyk Chopin (1810–1849)

Zapomniałem Ci napisać, od czasu ostatniego niego listu miałem dziwny wypadek, który szczęściem na niczym się skończył, ale mógł mnie życie kosztować. Jechaliśmy w sąsiedztwo nad morze. Pojazd, w którym jechałem, był *un coupe* z przepięknymi dwoma młodymi, rasowymi angielskimi końmi. Koń jeden zaczął tańcować, nogę zaplątał, zaczął wierzgać, drugi toż samo; jak się rozbiegają *sur une pante* w parku, lejce się urwały, furman z kozła spadł (potłukł się ogromnie). Karetą zgruchotana, od drzewa do drzewa balotowana; lecieliśmy w przepaść... żeby nie jedno drzewo, które karetę zatrzymało. Jeden koń się urwał i szalony poleciał, a drugi padł, przywalony powozem. Gałęzie okna poprzebijały. Szczęściem, nic mi nie było, tylko trochę kontuzji po nogach od balotowania. Służący zręcznie wyskoczył i tylko karetą zgruchotaną i konie poranione. Ludzie, co z daleka to widzieli, krzyczeli, że dwóch zabitych, bo widzieli jednego zrzuconego, drugiego padającego na ziemię. Nim koń się ruszył, mogłem wyjść z karety i nic mi, ale nikt z tych, co widzieli, ani nikt z nas, cośmy tam byli, nie rozumiemy, żeśmy nie na miazgę zgruchotani. Przypomniał mi się ambasador berliński (Emanuel) w Pirenejach; także tak był balotowany.

Przyznam Ci się, że widziałem spokojnie ostatnią godzinę, ale myśl nóg i rąk połamanych bardzo mnie przeraża. Jeszcze by mi kalectwa trzeba.

PRZEDRUK ZA: *Korespondencja Fryderyka Chopina*, zebrał i opracował Bronisław Edward Sydow, redakcja i przypisy Janusz Miketta, Warszawa 1955, t. 2, s. 134.

E. Ujrzałem się nad przepaścią

Kazimierz Bujnicki (1788–1878)

Ze Zwierza wracaliśmy do domu na Krasław. Droga była szkaradna, dzień już krótki, jesienny, przy tym mglisty, noc więc zaskoczyła nas w dwie mil od Krasławia, zapalone latarnie u karety nie dotrwały do końca podróży, wielką wtedy mieliśmy biedę, nimeśmy wydostali się z lasu gęstego na płaszczynę po lewym brzegu Dźwiny naprzeciw Krasławia. W miasteczku tem błyskały światełka niewyraźnie. Woźnica jechał na oślepie bez drogi, po piasku, a foryś, ujrawszy światełka, zwrócił prosto ku nim. Wtem, jakby ktoś do ucha szepnął, że nam grozi niebezpieczeństwo, wytknąwszy głowę z karety, krzyknąłem do furmana:

– Stój! Stój!

On konie wstrzymał, jam wysiadł i dopiero rozeznałem miejsce, w któreśmy się znajdowali. Płaszczyna ta nabrzeżna, wyniesiona na stop kilkadziesiąt od poziomu rzeki, ciągnęła się kroków kilkaset, a myśmy z powodu ciemności, miasto jechać drogą podłuż opodal spadzistości jej ku rzece, skierowaliśmy się ku brzegowi stromemu. Gdy więc zaszedłem z przodu koni forytarskich, ujrzałem się nad przepaścią. Jeszcze krok w tym kierunku, byłibyśmy z karetą i końmi runęli z tego urwiska. Cudem Opatrzności uszliśmy śmierci okropnej.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Bujnicki, *Pamiętniki 1795–1875*, wstęp i opracowanie Paweł Bukowiec, Kraków 2001, s. 117–118.

F. Miałem przed oczyma mapę cierpienia

Thomas de Quincey (1785–1859)

Wypadek, który swymi przerażającymi okolicznościami tak głęboko wrył mi się w pamięć, a swym usytuowaniem tak spektakularnie w oczach innych zrobił wrażenie, i który dostarczył treści do niniejszych rozmyślań na temat NIESPODZIEWANEJ ŚMIERCI, przydarzył się pewnej głuchej nocy na drugi lub trzeci rok po Waterloo mnie osobiście, samotnemu widzowi na swoim miejscu na koźle dyliżansu jadącego do Manchesteru i dalej do Glasgow (...)

Nagle z takich właśnie myśli wyträcił mnie ponury odgłos jakiegoś jakby ruchu daleko na drodze. Zawisł na chwilę w powietrzu; słuchałem go ze zgrozą, ale zaraz potem zamarł. Ponieważ jednak rozległ się, nie mogłem nie patrzeć na pośpieszny bieg naszych koni z niepokojem. Dziesięcioletnie doświadczenie nauczyło moje oko oceniać szybkość i widziałem, że jedziemy teraz trzynastą mil na godzinę. Nie roszczę sobie pretensji, bym posiadał wielką przytomność umysłu. Obawiam się, że jest wprost przeciwnie i że cechy tej, gdy idzie o działanie, brak mi w godny pożałowania i żalony sposób. Kiedy sygnał do czynu powiewa naszym chorągiew, moje siły ogarnia paraliż wątpliwości i rozterki i przytłacza je jakby jakiś ciężar winy, pamiętanej niejasno i niewyraźnie. Z drugiej natomiast strony, gdy idzie o myślenie, posiadam tego rodzaju przekłety dar, że już pierwszy krok w kierunku możliwego nieszczęścia uwidacznia mi cały jego przebieg; w zarodku akcji nader precyzyjnie i nadto aż bezpośrednio dostrzegam cały jej późniejszy rozwój; w pierwszej sylabie owego strasznego wyroku odczytuję zarazem ostatnią. Nie w tym rzecz, że bałem się o nas samych. Nas przy jakimkolwiek zderzeniu chroniła magicznie działająca nasza masa oraz pęd. Przejechałem przecież przez sam środek zbyt wielu aż setek katastrof, które budziły przerażenie w chwili zbliżania się, a śmiech, gdyśmy się oglądali za nimi, katastrof, których oblicze zrazu wyglądało straszliwie, a w momencie

pożegnalnym wywoływało w nas śmiech – bym się w ogóle miał obawiać, że naszym interesom cokolwiek może zagrażać. Miałem pewność, że dylizans nie został tak skonstruowany ani też obstalowany, by miał zawieść mnie, który zaufałem jego osłonie. Każdy inny natomiast napotykanym przez nas pojazd musiał być w porównaniu z naszym kruchy i lekki. I zwróciłem uwagę na taką jeszcze złowieszczą okoliczność naszego usytuowania: znajdowaliśmy się po nieprawidłowej stronie drogi. Lecz przecież można założyć, że ów ktoś z przeciwka, jeśli w ogóle taki ktoś był, też mógłby znajdować się po nieprawidłowej stronie i błędy z dwóch stron mogłyby dać jedno dobre rozwiązanie. Nie było to nieprawdopodobne.(...)

W trakcie tego uporczywego, a przy tym błyskawicznego przeczcucia nieszczęścia mogącego pojawić się przed nami – ach, jakże coś ponuro tajemniczego i straszliwego, cóż za westchnienie niedoli przeszło powietrze, gdy z oddali dał się słyszeć ponownie odgłos kół! Był to szept – szept z odległości chyba czterech mil – zapowiadający z ukrycia katastrofę co prawda przewidywaną, lecz w żadnym wypadku niemożliwą do uniknięcia; świadomość tego nie była jednak pocieszająca. Cóż można było uczynić – kimże musiałby być ten, kto by to potrafił – aby powstrzymać ów przypominający nawałnicę bieg naszych szalonych koni? Czyż właśnie ja nie mogłem przechwycić lejców z rąk drzemiącego woźnicy? Myślisz może, czytelniku, że uczynienie czegoś takiego leżałoby w twojej mocy. Nie chcę się sprzeczać z twoją oceną twoich możliwości. Ale było to niemożliwe z uwagi na sposób, w jaki ręka woźnicy wciśnięta była między założone jedno na drugie udo. A może było to łatwe? Spójrz oto na ten konny posąg z brązu. Bezlitosny jeździec już od dwóch stuleci nie popuszcza wędzidła w pysku swojego konia. Proszę bardzo, rozkiełznaj tego konia choć na chwilę i obmyj mu pysk wodą. Czyż to jest łatwe? Sprowadźże więc z konia tego jeźdźca-cesarza, wyjmijże marmurowe stopy Karola Wielkiego z marmurowych strzemion.

Dźwięki przed nami nasiliły się i słychać było teraz aż zbyt wyraźnie stukot kół. Kto i co to mogło być? Czy w dwukołowym

wozie gospodarskim wieziono owoce jakiegoś trudu? Czy też ktoś młody i radosny jechał w gigu? Czy był to smutek, który się ociągał, czy też radość, która pędziła pospiesznie?

(...) Tak oto zrobione zostało wszystko, co przez mnie zrobione być mogło, niczego więcej z mojej strony nie można było oczekiwać. Pierwszy krok wykonałem ja, drugi należał do młodego mężczyzny, trzeci należał do Boga (...) W tym naszym nieubłaganym pędzie przemknęliśmy obok nich szybciej nawet niż spadający na koło młyńskie strumień wody. Ach, jakże nieokiełznany huragan musiał brzmieć w ich młodych uszach w momencie naszego przejazdu! I dokładnie w tym momencie rozległ się donośny grzmot zderzenia. Albo orczykiem, albo też zadem naszego konia lejcowego po lewej stronie walnęliśmy w prawe koło tego maleńkiego giga, który utkwiał raczej ukośnie w stosunku do nas, a nie akurat tak, żeby owo koło znajdowało się na jednej linii z jego lewym kołem. Uderzenie od tego naszego szalonego pędu zabrzmiało straszliwie. W swym przerażeniu wstałem, by popatrzeć na katastrofę, którą być może spowodowaliśmy. I z mojego podwyższenia spojrziałem w dół. A zaraz potem do tyłu na scenę, która w tej jednej chwili sama opowiedziała swoje własne dzieje i wszystkimi swoimi sładami zapisała się w moim sercu na zawsze.

Miałem oto przed oczyma mapę cierpienia, które właśnie się dokonało. Koń tkwił nieruchomo z przednimi nogami na brukowanym wybrzuszeniu środka drogi. Miało się wrażenie, że z całego towarzystwa jego jednego nie dotknęło cierpienie śmierci.

PRZEDRUK ZA: Thomas De Quincey, *Angielski dylizans pocztowy*, w: tegoż, *Wyznania angielskiego opiumisty i inne pisma*, wybrał i przełożył Mirosław Bielewicz, wstępem poprzedziła Wanda Rulewicz, Warszawa 1982, s. 295–311.

G. Jak przez czary

Gazeta Codzienna, 1844

W nocy z dnia 11 na 12 czerwca jeden z dylizansów ulicy Notre-Dame-des-Victoires, jadąc z Paryża do Clermont, i znajdując się o 1 kilometr od Maltaverne, został nagle w górę uniesiony i przeniesiony przez piorun na pole oddzielone od drogi szerokim rowem i parowem wysokości 1 łokcia. Dylizans, podróżni i 3 konie, wszystko stanęło tam jak przez czary; dylizans nie wyrzucił się, podróżni nie uczyli żadnego uderzenia, i konie nie były uszkodzone; mocny zapach siarki i wielka dziura w skrzyni dylizansu mogły tylko wytłumaczyć tę powietrzną podróż. Podróżni nie chcieli własnym oczom wierzyć, gdy trzeba było wysiąść, aby przeprowadzić dylizans na drogę, co wymagało wiele czasu i pracy.

To zdarzenie poświadczane jest przez zbyt wielką liczbę świadków, aby mogło być powątpiewane; prócz tego popiera ono tylko system piorunów wznoszących, według których fizycy przypuszczają, że zerwanie warunków elektrycznych między ziemią a atmosferą może zrządzić podobnie zmiany na powierzchni ziemi, a nawet wewnątrz ziemi.

P. Arago, który podziela to zdanie, wymienia między innymi podobne zjawisko: „W lecie 1787 r. piorun uderzył w dwie osoby, które się schroniły pod drzewo, niedaleko wsi Taron w Beaujolais. Ich konie wrzucone były na wierzchołek drzewa”.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 9 lipca 1844 roku.

H. Żwawo na koniu

Czas, 1851

Kraków 8 kwietnia. Wczoraj wieczorem około godziny 7ej smutny zdarzył się wypadek na ulicy Długiej w bliskości rogatki. Chłopczyna, o ile zdawało się 10-cio letni, jechał żwawo na koniu, gdy ten, uląkłszy się psa, skoczył w bok, a dziecię utrzymać się na nim nie zdołało. Spadło tak nieszczęśliwie, iż znaku życia więcej już nie dało. Widok matki, która na miejsce katastrofy przybyła, był rozdzierający.

PRZEDRUK ZA: Czas, 9 kwietnia 1851 roku.

I. Nieboszczyk wsiadł na dąb

Książd anonim, parafia Michorzewo 1803

fornal jechawszy z lasa z dębem na przycież Stanisław nieboszczik wsiadł na ten dąb okraczając go iak na koniu, koło skoczyło przez korzeń on spadł i kręgi zламаł na miejscu nie żył iak kwadrans ieden więc bez dyspozycyi umarł pochowany 25 Septembra za pozwoleniem sądowym na piśmie które pismo tu w księgach zostaje

WPIS DO KSIĘGI METRYKALNEJ, PRZEDRUK ZA: <http://www.wtg-gniazdo.org/forum/viewtopic.php?f=5&t=1082>.

2. Pociągiem. Katastrofa wersalska 1842

A. Kocioł jednej lokomotywy

Gazeta Codzienna, 1842

Wczoraj (w niedzielę) między godz. 5 i 6 po południu straszna katastrofa na kolei żelaznej do Wersalu pogrążyła Paryż w okropny smutek. Kocioł jednej lokomotywy powracającego do Paryża pociągu dla braku wody pękł, i w skutku tego, według *Journal des Debats*, cztery wagony z osobami zostały częścią zupełnie spalone częścią mocno uszkodzone. Szczegóły, jakie różne dzienniki zawierają, są następujące: – Naprzód, korespondent od naocznego świadka donosi nam pod dniem 9: Na wczoraj po południu zapowiedziane zostały wodne sztuki w ogrodzie Wersalskim. Widowisko to zwabia zwykle mnóstwo Paryżan i dochody z kolei żelaznej są nadzwyczaj wielkie. Aby przeto korzystać z tej okoliczności, urządzono wczoraj nadzwyczajne pociągi; niektóre pociągi składały się z 15 do 20 osobowych wagonów. Tak długie pociągi nie mogą być wiedzione przez jedną maszynę; założono przeto trzy; nowy błąd. Około pół do 9tej odszedł taki pociąg ze stacji Wersalskiej. Liczył on 18 wagonów ciągnionych przez trzy angielskie lokomotywy; liczba podróżnych wynosiła 1790. Podobny pociąg szedł co pół godziny. W okolicy Bellevue, blisko zamku Meudon, wyskoczyła nagle pierwsza lokomotywa z kolei i stanęła, druga i trzecia lokomotywa z szeregiem wagonów w całym pędzie wpadły na nią i na siebie, i roztrzaskały się. W skutku tego powstał ogień, który zajął skupione wagony. Siedm z nich zostało roztrzaskanych lub spalonych. Pierwsze wagony zapełnione ludźmi zupełnie się spaliły wraz z temiż, gdyż drzwi w lokomotywach były pozamykane na klucze będące przy konduktorach, którzy najprzód ulegli nieszczęściu. Liczba ofiar nie jest zupełnie wiadoma, słusznie ją tajono, aby nie wzburzyć ludności. Przedsięwzięto zaraz wszelkie środki

do utrzymania spokojności. Do stacyi przybyło kilka oddziałów wojska, gdyż pospólstwo groziło zniszczeniem maszyn i magazynów kolei żelaznych. – *Siècle* tak samo donosi i pisze dalej: Ludzie w spalonych wagonach tworzyli masę z upieczonych kawałów ciał złożoną, u których z głów pozostały tylko czaszki spalone. Mocno uszkodzeni przy życiu, pozostali w Meudon, innych powieziono do Paryża. Liczba pokaleczonych ma wynosić przeszło 150, upieczonych 30 do 40. Na wiadomość o tym okropnym wypadku przybył batalion liniowy i kompania gwardyi municypalnej przed biuro kolei żelaznej. Prefekt policji rozpoczął natychmiast śledztwo. Według *Siècle*, siedm wagonów zostało spalonych lub roztrzaskanych. Dziś rano za rozejściem się wiadomości o tej strasznej katastrofie, powszechny w Paryżu nastąpił smutek. Szczegóły, o jakich donoszą dzienniki, potwierdzają się niestety! Pierwsza lokomotywa nie dla braku wody, ale przez złamanie się koła stanąć miała. Druga lokomotywa roztrzaskała się, uderzywszy o pierwszą, i rzuciła palacza daleko od kolei. Od naocznego świadka dowiadujemy się, że 50 do 60 ludzi utraciło życie, ale w jak okropny sposób! Z pokaleczonych kilku już tej nocy umarło. Nieprzejrane massy ludu cisnęły się dziś rano do stacyi parysko-wersalskiej, która przez wojsko jest otoczona. *Morgue* (miejsce gdzie składają trupy nieznanych osób) gdzie złożone zostały zwłoki ofiar, przedstawia przerażający widok, massa ludzi, ojcowie, matki, dzieci, krewni i przyjaciele tych nieszczęśliwych cisną się ze wszechstron. Wszystkie dzienniki powstają na nierozsądny zwyczaj zamykania na klucz podróżnych w wagonach. Jeden z dzienników belgijskich już przed kilku dniami doradzał, aby w każdym wagonie umieszczony był dozorca z kluczem. – Dziś o niczem nigdzie nie mówią, tylko o wczorajsem nieszczęściu. A lubo pierwsze przerażenie, przechodząc z ust do ust, jak zwykle bywa, powiększa nieszczęście, niestety potwierdza się dziś, że przeszło 40 osób w najokropniejszych męczarniach wyzionęło ducha, a liczba pokaleczonych dochodzi do 120. Taki przynajmniej ma być rezultat sądowego śledztwa, które od wczoraj w wieczór ciągle się odbywa. Dzienniki, które dziś donoszą o tej

nadzwyczajnej katastrofie, nie są zgodne względem przyczyny, która ją spowodowała. Niektóre twierdzą, że osł pękła u pierwszej lokomotywy; inne utrzymują, że kocioł pierwszej lokomotywy pękł i inne lokomotywy o nią się roztrzaskały, a następnie i wagony bliższe się zapaliły, a dalsze roztrzaskane lub uszkodzone zostały. Jak się dowiadujemy, ostatecznie zdanie jest wiarogodne, gdyż i ze śledztwa ma się wykazywać, że kocioł pierwszej lokomotywy tylko dlatego wyleciał w powietrze, że w skutku niedostatku wody zbyt był rozpalony. Za jego pęknięciem konduktor i maszynista w kawałkach na różne strony rzucony byli. Z trzech konduktorów, którzy mieli klucze od wagonów, dwaj byli śmiertelnie ranieni, przez co biedni podróżni w pierwszych czterech wagonach żywo zostali spaleni. Ich krzyki, wycia i jęki przerażały resztę podróżnych, którym gdy drzwi nie otwierano, rzucali się oknami wagonów, i przez to liczbę pokaleczonych, która w skutku uderzenia 80 do 90 wynosiła, znacznie pomnożyli. Nim cały pociąg mógł stanąć i nim nadeszła pomoc z sąsiedztwa, cztery pierwsze wagony wraz z podróżnymi przez gwałtowny pożar pochłonięte zostały. Gdy zaczęto rozgrzebywać dymiące szczątki wozów, aby wydobyć ludzi, ujrano tylko kawały spalonych ciał, niemające żadnej ludzkiej postaci; niepodobna było ani jednego z nich poznać. Gdy tu żadna ludzka pomoc na nic się nie mogła przydać, wzięto się do ranionych, i przeniesiono ich do pobliskiego szpitala w Meudon lub do domów prywatnych.

Jak tylko kilku ze zdrowych podróżnych przybiegło do Paryża z wiadomością o tej okropnej scenie, lotem błyskawicy rozeszła się po całej stolicy; a ponieważ prawie każdy miał ojca lub matkę, syna lub córkę, brata lub siostrę, krewnego lub przyjaciela, którzy się udali do Wersalu, wszyscy przeto spieszyli do biura kolei żelaznej, aby się od dręczącej niepewności uwolnić. Natłok z czasem tak był wielki, że biuro wojskiem otoczyć musiano. Ten konieczny środek powiększył jeszcze bardziej nieporządek, spowodowany przez prośby, narzekania i płacz rodziców, dzieci i krewnych, odpychanych przez żołnierzy. Dziś rano massy ludu oblegają biuro, ale policja nie jest w stanie udzielić zaspokajających odpowiedzi,

niewiadoma bowiem dotąd nawet jest liczba nieszczęśliwych ofiar i rozpoznać ich niepodobna, biedni rodzice i krewni nie będą nawet mieli pociechy skropić łzami popioły drogich im osób! Okropna przestroga względem środków ostrożności, jakie przy kolejach żelaznych pilnie zachować należy. Ale niestety, żadna z ofiar do życia przywrócona nie zostanie. Znamy rodzinę, z której tylko dwie osoby pozostały, a ojciec, matka i dwoje dzieci okropną śmiercią wczoraj zginęli. Wagony od Nru 10 aż do końca mają mało raniomych, a ostatnie prawie żadnych, gdyż uderzenie nie miało miejsca i wagony nie były zamknięte.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 19 maja 1842 roku.

B. Szczegóły nieszczęścia

Gazeta Warszawska, 1842

Paryż 11 Maja

Tutejsze dzienniki i dziś jeszcze prawie wyłącznie zapełnione są szczegółami nieszczęścia na kolei wersalskiej. Prócz sławnego żeglarza admirała Dumont d'Urville, który z swoją małżonką i synem (podług innych czterema synami) zginął w płomieniach, wymieniają między ofiarami tego nieszczęścia dwóch adwokatów paryskich panów Lepontois i Lemarié.

Inżynierowie Lecombe i Senarinent oświadczają w raporcie do ministra spraw wewnętrznych że czterokołowa lokomotywa, która znajdowała się na czele nieszczęśliwego konwoju, była przyczyną katastrofy, radzą aby zabroniono używać podobnych lokomotyw, albowiem przy sześćcio-kołowych mniej jest podobieństwa przy padku. – W liście otrzymanym z Paryża czytamy: „To co dzienniki tutejsze donoszą o wielkości nieszczęścia wydarzonego na kolei wersalskiej, dalekim jest jeszcze od prawdy, bo zdaje się że one dla tego w łagodniejszym świetle przedstawiają ten wypadek, aby rozprawy nad kolejami w izbie deputowanych nie wzięły nieprzychylnego obrotu.

– Wczoraj wieczorem wszędzie zgromadzały się tysiące osób, czekając na dzienniki wieczorne. Gdy te zostały wydane, niecierpliwość ciekawych była tak wielka, że musiano głośno odczytywać raporta, które były w taki sposób ułożone, że wszyscy głośno płakali. Mało kto znajdzie się tutaj, kto by nie oplakiwał kogo znajomego, bo podług ostatnich ogłoszeń przybitych na murach ulic 1200 ma być ranionych osób, a 200 umarłych. Opowiadają rozmaite wypadki prawdziwie okropne. I tak między pomieszczanymi zwłokami spalonych ofiar znaleziono blisko siebie dwa pierścienie ślubne, na których daty wyróżnione okazują, że ich właściciele dniem pierwszej, to jest w sobotę zaślubili się. W Belleville brakuje jednej rodziny z sześciu osób złożonej. Wczoraj spotkałem młodego człowieka,

który dostał pomieszania zmysłów, dowiedziawszy się, że sam jeden został z całej swojej licznej rodziny. Smutek w Paryżu jest okropny, od niedzieli, co prawie trudnym jest do uwierzenia, nie słyszano tu nigdzie odgłosu muzyki. W tej chwili dowiadujemy się, że robotnicy pracujący przy fortyfikacjach grożą zniszczeniem stacji kolei wersalskiej. Tylko masa wojska ustawiona na dziedzcu stacji wstrzymuje ich. Rodzina królewska widocznie ma nad sobą szczęśliwą gwiazdę, bo książę Montpensier na 5 minut przed owym okropnym przypadkiem wyszedł z jednego wagonu. Wszyscy konduktorowie konwoju życiem przypłacili ten przypadek.

– Giełda 11 Maja. Wiadomość o strasliwym pożarze w Hamburgu przybyła tu przez Havre, dokąd przywiózł ją paropływ, który wypłynął z Hamburga w dniu 7 w nocy. Sprawiała ona na giełdzie tak silne wrażenie, że nawet katastrofa niedzielna ustąpiła mu ważności. Nie rozmawiano o niczym innym, jak o tym okropnym wypadku, i to spowodowało zupełną stagnacją interesów.

– Paryż 11 Maja. Na wczorajszym posiedzeniu izby deputowanych pan Dupin starszy proponował, aby przez osobne prawa karne starano się uniknąć ponowienia podobnych przypadków jak ten, który miał miejsce w niedzielę. Odpowiedź pana Teste nie mogła być inną jak, że podobne prawa na prędcie nie dadzą się ułożyć, przed wszystkim bowiem potrzeba jak najdokładniej roztrząsać, jak dalece odpowiedzialność administracji kolei żelaznych przy podobnych wypadkach rozciągać się może. Pan Teste przyrzekł, że rząd zajmie się gorliwie tym przedmiotem w przerwie między terażniejszym i przyszłymi posiedzeniami izby. Tymczasowo zaś rada ministrów zajęła się zarządzeniem policyjnych środków ostrożności, które by zapewniały większe niż dotąd bezpieczeństwo pasażerów na kolejach żelaznych. Te rozporządzenia dają się zredukować do trzech następujących punktów.

Najprzód: Wszystkie administracje kolei żelaznych obowiązane będą do usunięcia czterokołowych lokomotyw, i zaopatrzenia się w sześć i ośmkołowe. Po wtóre: Raz na zawsze zabronionem jest więcej jak jedną lokomotywę do jednego konwoju zaprzęgać,

a bardziej jeszcze nie wolno używać lokomotywy popychającej konwój z tyłu (*remorqueur*). Ten niebezpieczny system używany był często na kolei wersalskiej, i wielkie szczęście, że to ostatnim razem miejsca nie miało, gdyż wszystkie bez wyjątku wagony zostałyby zgruchotane między dwiema machinami. Na koniec po trzecie. Trzy pierwsze wagony za lokomotywą mają być używane tylko do transportu rzeczy martwych albo zostawać próżnymi, doświadczenie bowiem uczy, że następne wagony o dziewięć dziesiątych części mniej wystawione są na niebezpieczeństwo.

Ciągle otrzymujemy sprostowania ze strony naocznych świadków, którzy smutny przypadek niedzielny przypisują nie złamaniu lokomotywy, ale zbytnej sile, z jaką rozpalona para pędziła machinę. Lista umarłych jest niestety większą, niż w początku podawano; cztery pierwsze wagony mieściły 120 pasażerów, z których ledwo dwudziestu uszło z życiem, wyskoczywszy przez okna, bo wkrótce gorąco było tak gwałtowne, że ci, co pozostali w wagonach, udusili się pierwej, nim się spalili.

W pośród wielu okropnych epizodów opowiadanych o tej katastrofie dowiedzielismy się o jednym prawdziwie pociesającym, który nie jest nigdzie ogłoszony. Sędziwy margrabia St. Priest, ojciec posła naszego w Kopenhadze, znajdował się w tym konwoju, który uległ tak okropnemu przypadkowi, ale towarzysząca mu sześćioletnia wnuczka uprosiła go, że wysiadł w Sèvres, bo chciała widzieć króla, który jak mówiono o tej porze znajdował się w Sèvres. Konwój odjechał, nim powrócili. Czerstwy jeszcze, starzec nie mogąc znaleźć powozu, postanowił pieszo powrócić ze swą wnuczką do Paryża. Już była godzina jedenasta, wystawmy sobie, z jaką rozpaczną trwogą pan Priest (syn) oczekiwał swego ojca i córki, kiedy już od dawna rozeszła się w stolicy wiadomość o okropnym nieszczęściu, które się zdarzyło na kolei wersalskiej. Na pamiątkę tego cudownego ocalenia młoda dziewczynka otrzymała złoty krzyż z wyrytym rokiem i dniem tego wypadku, który przez całe swoje życie nosić będzie na szyi. Jeden subiekt handlowy zapłacił o godzinie piątej za miejsce w konwoju jadącym do Paryża; ale

gdy przyszedł do pierwszego wagonu, jego zanumerowane miejsce już kto inny zajął. Na próżno domagał się, aby tamten ustąpił mu swego miejsca; natręt będąc silnym, uderzył go kułakiem tak, że biedak o kilka kroków potoczył się i upadł. Nim powstał, konduktor zamknął drzwi i konwój pędem strzały wyruszył. Ów wagon spalił się zupełnie i nikt z niego nie ocalał.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 21 maja 1842 roku.

Gazeta Warszawska, 1842

Znowu się coś okazuje, że dzienniki starają się przez rozliczne fałsze rozszerzyć przedmiot gadaniny, względem nieszczęśliwego wypadku w dniu 8 b. m. (...) Zatrzymałem się aż do dnia dzisiejszego z moim raportem, aby wpośród niezmiernego mnóstwa dziennikarskich sprzecznych doniesień przynajmniej coś pewnego względem prawdziwego stanu rzeczy i okropnych skutków tej katastrofy zebrać i donieść. Co do samego wypadku, wątpliwem pozostaje dotychczas to tylko, czy kocioł pękł, czy oś się złamała w pierszej lokomotywie, co zaś do skutków nieszczęścia, musimy donieść, że wszystko to co podania urzędowe względem liczby poległych i ranionych donoszą, niewątpliwie daleko jest jeszcze niższem od prawdy. Widziałem scenę tego przerażającego wypadku może w godzinę po katastrofie, ponieważ znajdowałem się w następującym konwoju, wracającym z Wersalu do Paryża. Konwój nasz zawiadomiony sygnałami o nieszczęściu zdarzonym na drodze, zatrzymał się na ćwierć mili od miejsca, na którym jego poprzednik uległ tak okropnemu wypadkowi. Ponieważ konduktor nasz, bacząc na sygnały, nie dał się nakłonić do jechania dalej, otworzono przeto drzwi pasażerom, i ci głośno puszczając wodze swemu gniewowi na tak niepojęty zawód, którego powodu domysleć się nie mogli, gotowali się pieszo powrócić do Paryża. Wkrótce blask płomieni, który w niejkiej odległości straszliwemi

kolumnami wznosił się w górę, zmienił ich humor. Gdy przybyli na miejsce wypadku, przerażający widok przedstawił się ich oczom, straszliwszy niż najzuchwalsza fantazja mogłaby utworzyć sobie. Wystawmy sobie ogromny, piramidalnie utworzony stos z pięciu rozbitych palących się wagonów i trupów nieszczęśliwych, którzy zginęli w płomieniach, a których ciała w części na popiół, w części na bezkształtne massy mięsa i kości spaliły się. Wszystko co zostało przy życiu, już nie znajdowało się na tem okropnem miejscu, kiedyśmy tam przybyli, i znaleźliśmy już tylko pokaleczone ciała, skielety i czaszki, które spomiędzy kół i szczątków popalonych wagonów wyglądały (...) Aby być sprawiedliwym, przyznać trzeba, że administracja kolei, która przez swą nieprzezorność wiele stała się winną temu przypadkowi, starała się nieść pomoc nieszczęśliwym ofiarom, i dotychczas jeszcze wszędzie posyła lekarzy, gdzie tylko dowie się o pobycie którego z rannych w tym przypadku. Gdyśmy to okropne miejsce opuścili i przybyli do roгатki Maine, inna rozdzierająca serce scena przedstawiła się oczom naszym. Wiadomość o strasznej katastrofie szybkością błyskawicy rozeszła się w Paryżu, i z miasta bieгло ku nam tysiące ludzi, którzy wiedzieli, że ich krewni i przyjaciele znajdują się w Wersalu, i obawiając się, czy oni nie należeli do tego nieszczęśliwego konwoju, z krzykami boleści szukali ich. Równie nierozumne jak łatwo dające się wytłumaczyć oburzenie ludu było tak wielkie, że przybycie jednego batalionu wojska nie było zbyt cennym do ochronienia stacji kolei, którą wściekłe pospólstwo chciało zburzyć (...). Jeszcze nie pochowano umarłych, jeszcze kilkuset ranionych spoczywa w łożu boleści, cierpiąc w skutku tego okropnego wypadku; a już – kto by temu uwierzył – wydano z tego zdarzenia Karykaturę.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 25 maja 1842 roku.

C. Nigdy więcej nie pojadę

Gazeta Warszawska, 1842

Z rozpraw w sądzie policji poprawczej coraz wyraźniej zdaje się wypływać, że przesadzona szybkość jazdy była główną przyczyną nieszczęśliwej katastrofy na kolei żelaznej wersalskiej. Prawie wszyscy świadkowie, którzy jako pasażerowie znajdowali się w tym nieszczęśliwym konwoju, zgadzają się na to, że szybkość była tak wielka, że z obawą mówiono w wagonach o prawdopodobieństwie jakiego przypadku. Pan Apiau, który z dwoma swemi synami znajdował się w pierwszym wagonie i jednego z nich stracił, a z drugim zaledwie uszedł zgonu nie bez ciężkiego poranienia, zeznał, że na kilka sekund przed katastrofą zawołał do swoich towarzyszy: „Jeśli tym razem szczęśliwie wyjdę z tego wagonu, przysięgam, że nigdy więcej nie pojadę koleją żelazną”.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 6 grudnia 1842, nr 324.

D. Zegarki, pierścionki, deszczochrony

Gazeta Codzienna, 1842

Wczoraj we wszystkich kościołach stolicy odbyły się żałobne nabożeństwa za ofiary nieszczęśliwego przypadku na kolei żelaznej. – Gazette des Tribuneaux zawiera dziś wykaz przedmiotów, które w szczątkach wagonów spalonych znaleziono i w sądowym lokalu wersalskim wystawiono. Znajduje się między nimi wiele złotych i srebrnych monet, częścią całych, częścią stopionych. Prócz tego znaleziono na i przy nieszczęśliwych szczątkach wiele zegarków, pierścionków, ozdób, lasek, deszczochronów i.t.p. Sądowe śledztwo odbywa się ciągle, i spodziewają się wkrótce ogłoszenia jego sprawozdania. – W skutku tej katastrofy ranione osoby, i prawie wszystkie rodziny zginionych mają zamiar zaskarżyć towarzystwo kolei żelaznej wersalskiej na lewym brzegu rzeki, i żądać dostatecznego wynagrodzenia. U większej części ranionych byli już ajenci towarzystwa z propozycjami. Niektórzy lekko ranieni przyjęli proponowane wynagrodzenia, ale większa część mająca udział w nieszczęściu, nie chce, jak słyhać, nic wiedzieć o układach.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 24 maja 1842 roku.

E. Gdyby Rząd te drogi administrował

Wilhelm Kolberg (1808–1887)

Nieszczęścia wydrążone na drodze Wersalskiej, i większa część przypadków na drogach innych, nie miałyby zapewne miejsca, gdyby Rząd te drogi administrował; bo towarzystwa prywatne (krępowane już częstokroć niedogodną przez oszczędność budową), w usłudze tak kosztownej, jaką jest usługa drogi żelaznej, nie posiadają dostatecznych środków na utrzymanie materiału obiegowego w odpowiedniej ilości i należywym wyborze. Przywileje rządowe dla towarzystw prywatnych obejmują mnóstwo przepisów, zastrzeżeń i ograniczeń, które chociaż bezpieczeństwo mają na celu i dla dobra publicznego są wydane, wielokrotnie ścieśniają i utrudzają działanie towarzystw.

PRZEDRUK ZA: *Drogi żelazne w Europie*, opisał Wilhelm Kolberg, Warszawa 1844, s. 181.

F. Treść nowej komedji

Gazeta Warszawska, 1842

TEATR ROZMAITOŚCI.

KOLEJ ŻELAZNA WERSALSKA,

NOWA KOMEDJA ORYGINALNIE WIERSZEM

NAPISANA ZE ŚPIEWKAMI.

Wszystkim wiadomy okropny wypadek, który dnia 8 Maja r. b. wydarzył się na kolei wersalskiej, cały Paryż napełnił trwogą i boleścią. Liczba ofiar była tak wielka, że nieszczęście to przybrało niemal charakter klęski narodowej. Powszechne obudziło się współczucie nie tylko we Francji, ale w całej Europie. Otóż ujęcie tego wypadku, tak wszystkim znanego, tak zajmującego terażniejszość i ludzkość, w formy dramatyczne było pomysłem bardzo szczęśliwym, bardzo stosownym. Oto treść nowej komedji. Robert, stary wysłużony żołnierz, za cały dobytek posiada imię pocziwe, krzyż, który zdobył na polu sławy i talizman z podpisem Ludwik Filip. Ten talizman także na polu bitwy zdobył, ratując życie księciu Orleańskiemu, terażniejszemu królowi Francji. Ten talizman mógłby go od dawna wzbogacić, ale stary wojak na małym przestaje. Robert ma córkę Ninę, córkę najlepszą, Julian czeladnik stolarski kocha ją. Stary żołnierz radby widnieć ten związek, ale chciałby jakiekolwiek wiano dać swej córce. Przyszła chwila, w której talizman staje się dla niego nieocenionym skarbem. Dla siebie wstydzil się prosić, dla siebie niczego nie żądał, ale dla szczęścia córki nie waha się przypomnieć pamięci króla – król ma być w Wersalu; idzie tam, ale króla nie zastaje. Musi więc wracać do Paryża. Siada na wagon, lecz wtem dowiaduje się, że król wyjechał do Sèvres; ustępuje swego miejsca komu innemu. Zaledwie konwój ruszył, okropna katastrofa nastąpiła. Stary żołnierz zapomina o celu swojej podróży i biegnie na pomoc nieszczęśliwym, ocala życie niejednej ofiary, i w tem zamieszaniu gubi papiery, na których wszystkie

swoje opiera nadzieje. Wraca do rodziny, która z trwogą oczekiwała na jego powrót, a wkrótce za nim wstępuje w ubogie schronienie żołnierza bogaty pan, któremu Robert ocalił życie, który znalazł zgubione przez niego papiery, a za ich pomocą i wybawcę swego. Robert nie chce nic przyjąć od hr., który jednak wyposaża Ninę.

To treść nowej komedji. Łatwo z niej można się przekonać, że to nie jest sztuka z zawikłaną intrygą, z sztucznem prowadzeniem, ale jest to rzewne, naturalne, pełne miłej prostoty i wdzięku odbicie jednej z tych scen, oczekiwania, niepewności i przerażenia lub radości, jakich każda prawie rodzina w Paryżu była świadkiem w pierwszych chwilach po fatalnym wypadku. O to głównie chodziło autorowi, i wybornie z tego się wywiązał. W krótkiej jednoaktowej komedji potrafił zebrać tyle czucia, tyle różnych wrażeń, tyle efektownych sytuacji, tyle rozmaitych uczuć, obawę, trwogę, radość, miłość, przywiązanie córki, ojca, wdzięczność; wszystkie te odcienia potrafił tak dobitnie rozwinąć, nadać im tak wyraźną barwę, tak naturalnie z sobą powiązać, że utworzyła się całość zajmująca swoją rzewnością, prawdą i dramatycznością. Szczęśliwy był pomysł Autora, że scenę przeniósł pod ubogi dach żołnierza. Tam uczucia nieudane, czyste. Gdyby rzecz działa się w jakim salonie błyszczącym od złota, gdyby zamiast prostego wojaka, z orderem legji honorowej i z czapką trójkolorową, wprowadzony był jaki hrabia, jaki bankier, i jego familja, to komedja straciłaby na interesie, nieszczęście nie byłoby tak zajmująco, nie obudzałoby takiego współczucia, takiej sympatji. Wiele myśli pięknych, moralnych; wiersz gładki, poprawny; na dowód czego przytaczamy kilka wierszy:

JULIAN DO ROBERTA.

Nad posag, droższe stokroć są Niny zalety,
I nie smućcie się ojcz, to szczęścia nie zmniejszaj,
Czyliż tylko szczęśliwszym ma być majątniejszy,
O nie, śmiało zaręczam, żadne stosy złota,
Nie mogą uszczęśliwić tak jak czysta cnota.

Słodszy jest sen biedaka, choć w twardej pościeli,
Niż tych, co w krzywdzie bliźnich znaleźć szczęście chcieli.
Słodszy chleb zarobiony w krwawym czoła pocie
Niż uczta zastawiona na srebrze i złocie,
Jeśli z winem co w drogich kryształach się pieni
Łzy swoje pomieszali nędzą uciśnieni.
W ubóstwie praca hasłem, Bóg mi da wytrwanie,
Będę szczerze pracował, ile siły stanie;
I przy spokojnem sercu, z dobrą żoną w domu,
Nie pozazdrozczę szczęścia ni bogactw nikomu.

Komedja przyjętą została z najżywszem zadowoleniem, i wszystko każe jej rokować długie powodzenie. Pan Zenopolski ukazał się nam w nowym charakterze starego żołnierza, pojął go wybornie i grał jak pojął. Panna Damse i p. Stolpe oddali wybornie, z prawdą i czuciem swoje role. Zgoła gra wszystkich artystów na największe zasługuje pochwały. Autor nie wymienił się.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 20 lipca 1842 roku.

3. Inne katastrofy kolejowe

A. Powóz uwolniony od hamującej ręki

Kurier Warszawski, 1840

Listy z Neapolu udzielają smutne wiadomości o okropnem nie-szczęściu nastąłem 26go z.m. Tego dnia otworzono część kolei żelaznej zakładającej się z Neapolu do Porticy; bardzo naturalnie, powozy miały przejeżdżać na szynach i stanąć w miejscu, gdzie kończy się droga żelazna. Napływ ciekawych do pierwszej przejazdu był nadzwyczajny, wszakże bilety mogły tylko być rozdzielane między osoby najznakomitsze. Król i Królowa chcieli pierwszym powozem cały szereg otworzyć, szczęściem nieprzewidziane okoliczności skłoniły rodzinę Monarszą do zupełnego zaniechania przesiadki. Xżna Salerno zasłała, przeto jej Mażonek musiał pozostać w mieście. Powozy zabrały około 300 do 400 osób. Ledwo ruszyły na kolej, maszynista został tknięty apopleksją, a parowóz uwolniony od hamującej go ręki zaczął z szybkością grotu pędzić przez drogę; niedaleko od punktu, gdzie kończą się szyny, znajduje się most przygotowany dla kolei, a jeszcze niezupełnie przykryty; ten most znajduje się nad przepaścią będącą łożyskiem potoku wysychającego latem. W tem to miejscu nastąpiła oślakana katastrofa. Parowóz runął w otchłań i pociągnął za sobą cały szereg pojazdów. 20 ludzi zostało zabitych na miejscu, o innych nie ma jeszcze szczegółów; tyle wiadomo, iż żaden nie uszedł szwanku. – Król i Królowa Neapolitańscy odpłynęli 27go z.m. do Messyny.

PRZEDRUK ZA: Kurjer Warszawski, 18 lipca 1840 roku, nr 187.

B. Iskra z lokomotywy

Gazeta Codzienna, 1843

Bruxella 4 maja. – Dzisiejszy *Journal de Liège* zawiera sprawozdanie dość zgodne z wczorajszym naszym doniesieniem o katastrofie na kolei żelaznej, i dodaje: Za lokomotywą i tendrem postępował wagon z towarami, który ogarnął ogień i po większej części spalił; za nim szedł wagon z rzeczami podróżnych, który także zaczął się palić. Następny wagon był osobowy. Jak tylko wybuchł ogień, cały pociąg ogarnęły płomienie i dym. Przy pierwszym wagonie osobowym krzyżowały się płomienie przed twarzami podróżnych, którzy się ledwie nie podusili. Dotąd niewiadoma jest liczba nieszczęśliwych ofiar, nie wiadoma także jeszcze przyczyna ognia. – W *Emancipation de Bruxelles* czytamy: W chwili gdy pociąg znajdował się między Rosoux i Gingelom, wszczął się pożar w wagonie z bagażami; skąd, niewiadomo; na nim było trzech stróży od pociągu. Dano natychmiast znak do wstrzymania; nim jednak wstrzymanie nastąpiło, dym otoczył cały pociąg. Przerazenie opanowało podróżnych; 20 z nich wyskoczyło z wagonu, 14 zostało uszkodzonych, a 6 zabitych. Zbývá jeszcze na szczegółach, ale cały pociąg prócz spalonego wagonu przybył do Bruxelli. Ci, którzy pozostali spokojnie w wagonach, nie doznali żadnej szkody.

Independant donosi o tymże przedmiocie jak następuje: Pociąg nadjechał był do Landen, gdy w drugim wagonie z pakami wybuchł ogień. Domyślają się, że iskra z lokomotywy musiała wpaść na niego i zapalić. Płomień szybko się szerzył; na nieszczęście znajdowały się w tym wagonie flaszki z witryolem, które od płomieni z wielkim hukiem popękały, przez co ogień strasznie się powiększył. Dozorcy pociągu przestraszeni powyskakiwali, jeden z nich padł bez życia; drugi złamał nogę; trzeci przetrzącił sobie nos, dwaj inni doznali uszkodzenia. Widząc to, podróżni rzucili się także z wozów, pięciu z nich zostało zabitych, a 10 mniej więcej uszkodzonych. Pociąg natychmiast się zatrzymał. Dwaj znajdujący się

w tem towarzystwie lekarze dali pomoc ranionym. Jeden wagon zupełnie się spalił, inne wozy mało są uszkodzone. To nieszczęście przypominające katastrofę na parysko-wersalskiej kolei spóźniło przybycie pociągu o pół godziny.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 13 maja 1843 roku, nr 125.

C. Księżna wysiadła w hotelu

Gazeta Lwowska, 1846

Dziennik *Commerce belge* zawiera o katastrofie na północnej kolei następujące nowsze doniesienie: Liczba ofiar jeszcze nie jest wiadoma. Konduktor Messageries Guerin, stary urzędnik, który odbył główne wyprawy w Afryce, zginął. Adjutant jenerała Oudinot nie umarł, lecz stan zdrowia jego jest bardzo niebezpieczny. Xsiężna Czartoryska, której twarz zraniły lekko szyby od okna, należała do tej małej liczby osób, które około 4tej godziny z rana pociągiem tu przybyły. Księżna wysiadła w hotelu *de Belle Vue*. Inne znakomite osoby, które również do tego nieszczęsnego należały pociągu, przybyły później, mianowicie hrabia Potulicki, Księżna Sapieżyna i pan Chmieleński. – Jeden z znawców rzeczy, który wszystkiemu na miejscu dokładnie się przypatrzył, donosi: Kolej na miejscu tego wypadku jest zupełnie dobra, niezapadnięta i stoczystość jej nie naruszona; jest ona prostą i nie ma żadnego skrzyżowania, jak niektóre osoby sądziły i powtarzały. – Jeden łańcuch jest zerwany. – Nie można powiedzieć i zapewne nigdy się nie dowiemy, czy wysunięcie kół z szyny nastąpiło przez urwanie się łańcucha, lub też czy urwanie się łańcucha nastąpiło przez wysunięcie się kół. Dziennik *Moniteur* donosi: Mamy sobie za szczęście, że możemy oznajmić, iż adjutant jenerała Oudinot, któregośmy wczoraj policzyli do ofiar nieszczęsnego na kolei żelaznej wypadku, nie umarł na odniesione rany. – Liczba osób, które w tym smutnym wypadku śmierć znalazły, dochodzi wraz z dwoma konduktorami do 14tu. Dziennik *Messenger du Nord* opowiada, że pewien kupiec z Dieppe miał to szczęście, iż na drugi dzień po tym nieszczęśliwym wypadku odszukał w wodzie, w którą pospadały wagony, swój puilares, zawierający 20,000 fran. w bankowych biletach. Podług *Gazette des Tribunaux* wiadomość o wielkim nieszczęściu na kolei żelaznej prawie o teje samej godzinie, w której się takowe istotnie wydarzyło, rozeszła się już była we środę o godzinie trzeciej w Paryżu na

giełdzie kupieckiej (...) *Gazette de Flandre et d'Artois* mówi między innymi, że już od kilku dni było słyhać, że na grobli *Fampoux-Moor* dały się czuć wstrząśnienia i powolne podczas jazdy kołysanie. Przewodźcom pociągów zalecono wprawdzie, aby dawali baczność na grobli, ale zaniedbano rozpoznać tę rzecz dokładnie. Dziennik *Courier Français* z dnia 10. donosi w datowanym o pierwszej godzinie nad rankiem dopisku: Pospieszamy bez zwłoki dla doniesienia publiczności o następującym wypadku, zaręczając za jego autentyczność. Pociąg wagonów, który o pół do siódmej z rana ruszył z Bruxeli, przybył wczoraj o pół do drugiej na toż samo miejsce, na którym przed dwudziestoczwierema godzinami była się wydarzyła straszna katastrofa, i zaniedbał dać zwyczajny znak, że się zbliża. – Koleje, przez które pociąg miał pomykać, były okryte żurawiami i windami dla wydobywania szczątków z wody. Bieżący z całą siłą pociąg zdruzgotał te narzędzia i cisnął je z taką siłą na stojących na krawędzi żołnierzy i robotników, iż szesnastu z nich mniej więcej skaleczył. Jednemu z nich nawet biodro złamał.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 23 lipca 1846 roku, nr 84.

D. Wagony w bagnie

Gazeta Codzienna, 1846

Bruksella 13 lipca. – Po dokładnem śledzeniu, okazało się teraz, że przyczyną nieszczęścia na północnej kolei żelaznej było złamanie się podpórki, na której łączą się szyny; w skutku tego, gdy pociąg w to miejsce nadjechał, jedna szyna pod ciężarem ugięła i w ziemię się wryła, druga zaś się podniosła i tym sposobem lokomotywa wyskoczyła. Pociąg sobotni z Paryża przywiózł tu znowu dosyć znaczną liczbę podróżnych, pomiędzy nimi znaleźli się i tacy, co należeli do nieszczęśliwego pociągu z dnia 8, ale żadnego nie ponieśli szwanku. Gdy pociąg ten przejeżdżał o godz. 3 przez owe nieszczęśliwe miejsce, zajmowano się tam jeszcze wydobywaniem z bagna wagonów, pakunków i rozbitych szczątków.

Paryż 12 lipca. – Ostatnia katastrofa na północnej kolei żelaznej spowodowała Ministra robót publicznych do przyspieszenia urządzenia telegrafu elektrycznego na tej drodze. Wydano wczoraj rozkazy do rozpoczęcia robót, które jeszcze przed zimą zostaną ukończone. – *Journal de la Somme* donosi, że dotąd wyciągnięto 18 trupów z wody, a jeszcze 58 osób brakuje do apelu. – List zamieszczony w *Siècle* podaje liczbę zaginionych na 35. „Świadek naoczny nieszczęśliwej katastrofy – czytam w tym liście – protestuje przeciw mylnie dziś przez dzienniki podanej liczbie zaginionych osób. Liczba tych osób przynajmniej trzy razy jest tak wielka jak ją podają.

– Korrespondent dziennika *La Patrie* donosi między innymi: Wagonów, które zeskoczyły z szyn, było 13, z nich 8 osobowych i jeden z bagażami wpadły w przepaść.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 22 lipca 1846 roku.

E. Kilka kontuzyj i zatrzymania na drodze

Gazeta Lwowska, 1842

Na wersalskiej kolei żelaznej po prawym brzegu Sekwany zdarzył się dnia 22 b.m. przypadek, który mógł mieć te same smutne skutki, co zdarzenie z dnia 8go maja. Między Ville d'Avray i Asnières wypadł spód z pieca lokomotywu, i cała ogromna masa ognia zsunęła się na drogę. Szczęściem wagony bez uszkodzenia przebiegły po ogniu i podróżnym nic się nie stało, prócz że wytrzymali silne wstrząśnienie, gdy lokomotywy i powozy paltowane z kolei wyskoczyły, kilka kontuzyj i zatrzymania na drodze przez godzinę, póki inna machina nie nadeszła.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 13 października 1842 roku.

F. Między tenderem i pierwszym powozem

Gazeta Warszawska, 1842

Wskutek ostatniego nieszczęścia na londyńsko-birminghaskiej kolei, dykcja jej z porady przysięgłych, którzy zdawali raport względem zwłok zabitej przy tej katastrofie podeszłej kobiety, postanowiła, iż odtąd przy każdym szeregu powozów między tenderem i pierwszym powozem podróżnych ma być umieszczony wagon z pakunkami, przez co można będzie podobnym przypadkom zapobiedz.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 24 grudnia 1842 roku.

4. Gorliwość, staranność i przytomność

Wilhelm Kolberg (1808–1877)

Przypadki

Smutne wypadki na drogach belgijskich bardzo rzadko się zdarzają. Przyznać należy słusznie z tego względu pochwały całej administracji. Gorliwość, staranność i przytomność dozorujących stanowią niezawodnie tę rękojmię wysoko osiągniętego bezpieczeństwa na drogach żelaznych belgijskich.

Następująca tablica obejmuje przypadki zdarzone na drogach belgijskich od czasu ich otwarcia w r.1835 do końca r.1841.

W tym przeciągu czasu jechało drogami żelaznymi 11,707,420 osób.

Przypadki śmiertelne	Podróżnych	Robotników i do służby należących
Przez nieroztropność osób	8	17
Z przyczyny samej drogi żelaznej	1	5
Przypadki skaleczeń mniejszych i większych		
Przez nieroztropność osób	14	15
Z przyczyny samej drogi żelaznej	6	17
Samobójstw było...	6 (*)	

(*) Osoby te rzuciły się na szyny w czasie przejazdu parowozów.

PRZEDRUK ZA: *Drogi żelazne w Europie*, opisał Wilhelm Kolberg, Warszawa 1844, s. 84.

5. Liczba przypadków nadzwyczajnie małoznaczna

Gazeta Warszawska, 1846

Za każdą wiadomością, którą nam dzienniki zagraniczne ogłaszają o przerażających klęskach doznanych na jakim bądź ułamku wielkiej sieci dróg żelaznych w Europie, a które mniej więcej wychodzą z rozmiarów zwyczajnych, umysły bywają silnie zatruwone, a deklamacji, narzekań i złorzeczeń przeciw cudownemu wynalazkowi pary, bez liku najwięcej ich tam, gdzie najsłabiej rachuby logicznej, gdzie najmniej ochoty nabycia jakiej takiej wiadomości w obrębie ruchu cywilizacyjnego Europy i jego następstw błogich. Krótkowidzów tych wielka siła. Przy tem, nie ubliżając nikomu, niektóre dzienniki warszawskie z żarliwym pośpiechem umieszczają w swych szpaltach najmniejsze wypadki zaszłe na kolejach żelaznych, a nie zadają sobie pracy szperać kiedy niekiedy w kronice statystycznej innego rodzaju przypadków, a mianowicie: pochodzących z jazdy konnej, z jazdy powozowej i z krążenia statkami na rzekach, stawach, jeziorach. Owóż zsumowawszy je starannie i poddawszy pod ścisłe proporcje arytmetyczne, przekonano by nas niezbitem świadectwem liczb o niedołączności wszystkich tych jeremiad puszcanych w tłum. Zresztą, przeznaczeniem ludzkości, postępującej na drodze udoskonaleń społecznych jest – Okupienie. Genijusz Kolumba złożył u stóp zdziwionej Europy świat nowy. Ale niestety krwawo go ludzkość opłacała, i dotąd jeszcze opłaca. Guttenberg odkrył druk, a burzliwa historia tego wynalazku jest nam wiadoma. Galileusz ogłosił pierwsze prawdy mechanizmu niebieskiego, a o mało co na stosie nie skończył za to. Margr. Joffroy pierwszy wynalazca statku parowego, wyszydzony nielitościwie przez swoich współobywateli, oszalał z zgrzyoty. Gdyby sobie zadać pracę kompilatora, możnaby uformować dość długi szereg imion uczonych, którzy padli ofiarą żarliwej swej chęci wtargnienia się w tajemnice natury. Zdaje się, że ta władczyni, za każde odślonienie zasłony, pod którą kryją się jej laboratorja, jej

pracownie, postanowiła srogo karać profanów. Przykucie Prometeusza na niebotycznej skale Kaukazu jest apologiem tego przypuszczenia. – Ale wracając się dróg żelaznych, które spowodowały napisanie niniejszej rozprawki, zauważmy i to, że skoro człowiek powierza swe ciało innemu mechanizmowi, jak muszkułom dwojga swych nóg, to staje się podwładnym rozmaitym niedokładnościom mechanicznym, przewodnika którego sobie obrał, a tem samem, wystawia swę osobę na rozmaite szwanki – a że para jest potężną i straszną siłą materjalną, nie dziwmy się więc, żeśmy ją dotąd nie potrafili utrzymać w korbach zupełnego posłuszeństwa, ale nie zapominajmy, że ten motor osobliwszy, podług wszelkiego prawdopodobieństwa jest jeszcze w stanie elementarnym, że jeszcze nie wyrzekł ostatecznie w swej sprawie. Wyznajemy, że katastrofy wydarzające się na kolejach żelaznych przerażają naszą wyobraźnię i zaiste, zetknięcie się gwałtowne wagonów, śmierć w postaci okropnej, kalectwa jeszcze okropniejsze, ilość ofiar ginących od razu, nawet sam kształt parowozu, sypiący ogień na wsze strony, przerażający łoskot jego szalonego lotu, widok kędzierzawego warokcza, co mu kłęby dymu splotły, nawet ów gwizd szatański, co słuch boleśnie kaleczy, wszystko to napełnia serce niepohamowaną trwogą. Nie zapominajmy także, że te piorunujące nieszczęścia dzieją się w naszych oczach, tysiące ludzi są tego świadkami, tymczasem, kiedy okręt 500 osady znika gdzieś tam daleko, samotnie pod równikiem, lub pod biegunem, i ani śladu! Ślad też słaby w naszej pamięci. Na zakręcie jakiejś ulicy dyszel przebija przechodnia, tam znów dalej powóz pędzi, woźnica leży już bez duszy na bruku, powóz się przewraca, i na śmierć pokaleczył siedzące w nim osoby, ale że ofiar było tylko dwie, więc wyobraźnia nasza bez wielkiego gwałtu odebrała cios. Ale tam gdzie ich dwadzieścia, trzydzieści, tam nie ma wytchnienia dla serca. Gdybyśmy jednak chcieli policzyć pojedyncze przypadki, zaszły na ulicach w wielkich miastach Europy i na jej traktach publicznych, a porównali je z przypadkami zaszłymi na kolejach żelaznych, toby się nam należała spora reszta. Ale miasto rozprawiać, przytoczmy fakta.

I tak, na ostatnim posiedzeniu Towarzystwa Politechnicznego w Berlinie baron Renden odczytał rozprawę, w której usiłował dowieść, że dotąd liczba przypadków na kolejach żelaznych w Europie nadzwyczajnie małoznacząca w porównaniu [do] ilości podróży.

We Francji (przycaczam słowa jego) w roku najfederalniejszym pod względem jazdy parowej, to jest 1842, miało miejsce przerażające nieszczęście na kolei Wersalskiej, liczone 1 przypadek na 25,000 podróży. W r. zaś 1844 najpomyślniejszym dla parowej jazdy, 1 przypadek na 1,320 000 podróży.

W Anglii od r. 1841 do 1845 było ofiar 399 na kolejach żelaznych, czyli 1 na 95,000 podróży.

W Belgii, w najmniejpomyślniejszym roku, to jest 1843 liczone 1 przypadek na 88,000 podróży. W roku 1844 najpomyślniejszym w tym względzie 1 przypadek na 102,000 podróży.

W przeciągu dziewięciu lat, a mianowicie od roku 1835 do 1844 postradało życie na kolejach belgickich 58 osób, rannych zaś było 103. Ale w tym czasie przejechało koło osiemnastu milionów ludzi na tych kolejach.

Na kolejach żelaznych w Niemczech od roku 1841 do 1845 między kilku milionami podróży, liczone wszystkiego zabitych 4 osoby, a pokaleczonych 3.

Proporcja zaś w całej Europie między pokaleczonymi i zabitymi na drogach żelaznych i podróży, była w roku najfederalniejszym jak 1 do 494,000; w roku najpomyślniejszym jak 1 do 8 milionów 889,000.

W Państwie pruskiem, podług twierdzenia barona Reden, od 40 do 50 osób ginie rocznie żeglując po rzekach. W samym zaś Londynie, liczba osób zabitych na ulicy, bądź końmi, bądź powozami, wynosi przeszło 300 głów.

Ale na co tu daleko szukać. U nas w Warszawie, na 164,000 mieszkańców, w roku przeszłym było przypadków na ulicy z przyczyny jazdy 20, z których 4 na śmierć, na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, w przeciągu roku – żaden dzięki Bogu, choć od

otwarcia jej do dnia dzisiejszego, przypuszczalnie można twierdzić, że wyrównywająca ilość ludności warszawskiej użyła przejazdki na ukończonym promieniu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Dość rzucić okiem na ten krótki statystyczny wykaz, by jeżeli nie przekonać, to nieco sprostować przynajmniej gminne wyobrażenia tych, co będąc sami w stanie umysłowym nieporuszanym, radzi żeby świat zaprzął zamiast parowozu do swego rydwana cywilizacyjnego arcyflegmatycznego i zółwia, nie pomnąc, że parowóz w dalszym swoim rozwinięciu rokuje następnym pokoleniom pobratymstwo interesów społecznych, krążenie bystre wyrobów rozumu ludzkiego, wygładzenie uprzedzeń i przesądów międzynarodowych, a może i nawet urzeczywistnienie owej utopji, o której niejeden filozof starożytności marzył, a którą jest: Pokój wieczny!

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 27 lipca 1846 roku, nr 195.

6. Pozostaje tylko 111 śmiertelnie rażonych

Kurier Warszawski, 1858

Liczba podróżnych przejeżdżających francuską koleją żelazną od dnia 7go Września 1835 roku, zatem od początku wielkiej epoki kolei żelaznej, do dnia 31go Grudnia 1856 roku, wynosiła, według raportu Komisji, 224 milionów. Ta liczba wzrastała według zwiększającej się sieci żelaznej kolei i wynosiła jeszcze w r. 1854 tylko 28, w r. 1855 już 30, a w 1856 w całości 35 milionów podróżnych. Przypadków śmiertelnych w ciągu tego czasu liczą 999, ranionych 1,979; między zabitemi znajdowało się 594, a między ranionymi 1,336 Urzędników kolei żelaznej; między nimi padły cztery piąte ofiarą nieostrożności albo przypadków nieprzewidzianych. Odliczywszy jeszcze tych, którzy nie należeli do podróżujących, pozostaje na przeciąg czasu od jesieni 1835 roku do końca 1856 roku, zatem dwudziestu lat i kilku miesięcy, tylko 160 przypadków śmiertelnych i 509 ranionych. Między temi zabitemi padło 49, a między ranionymi 107 podróżnych ofiarą własnej nieostrożności albo niedbalstwa. A odliczywszy jeszcze i tych, to pozostaje tylko 111 śmiertelnie rażonych i 402 ranionych podróżnych, z winy administracji francuskiej kolei żelaznej. Te wypadki na 224 milionów podróżnych w ciągu tych 20 lat, stanowią stosunek jak 1 zabity do 2 milionów i 1 raniony do 558,000 podróżnych. Większa liczba ofiar została uszkodzoną w r. 1842 podczas wielkiego przypadku pod Versailles, przy czem zginęło 52 podróżnych, podczas 5 innych pod Famoux w 1842, Orsay 1854, Vaugirard, Moret i Peltre 1858 r., tak, że z tych 111 zabitych podróżnych, zginęło 97 przy 6 nadzwyczajnych, a 14 tylko przy innych wypadkach.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 21 września 1858 roku.



viii. Wali się



1. Wieża we Lwowie

A. Zgon wieży

Ludwik Jabłonowski (1810–1887)

WIEŻA

Będąc z siostrą, która właśnie swój nieszczęśliwy rozwód przeprowadzała we Lwowie, wyszedłem pewnego poobiedzia na Rynek, zastałem tam popłoch i usłyszałem wołanie stróża „wieża się wali”. Od dni kilku wisiało to niebezpieczeństwo nad miastem. Komisja bowiem rządowa, czyniąc jakieś naprawy pod spokojną wieżą [ratuszową], wyciągnęła spod niej węgielny kamień, nakrywający pamiątkowe napisy i medale. Wieża oburzona taką grabieżą chmurzyć się i marszczyć zaczęła, lecz zesłana komisja uznała to za babskie fochy, być może patriotyczne wybryki, i zaręczyła, że stać jeszcze wieki może (ściśle prawdziwie!); staruszka byłaby przykładnie na pastników ukarała, gdyby – czort wie po co – miejski budowniczy Kawka, wmieszawszy się w sprawę naszej matrony z szwabskimi łotrzykami, przylepionym na ścianie arkuszem papieru, który od razu pękać zaczął, nie był swawolników opamiętał.

Musiało się to dziać na chwilkę przed moim przyjściem na Rynek, gdyż ledwo uściгнаłem schronić się pod bramę przechodniej kamienicy, wtedy Andreolego, ujrzałem jak dwugłowa na szczycie wieży się kołysz, a sama pani jakby coś niemiłego z głowy zrzucić chciała, ale jak na poważną matronę przystoi, pochyla czoła i bez żadnych podrygów przysiadła jak w menuecie. Ani chwili nie przyszło nikomu na myśl, nas robroną nakryć może, tak poważny i przyzwoity był ruch cały. Obłoki gęstego czerwonego pyłu rozścielaly się nad miastem, zrobiła się brudna noc, przez którą po omacku trafiłem do domu. Jestem pewny, że cała moja rodzina, dowiedziawszy się o moim położeniu, pomyślała: „Ot i pod walącą

się wieżą przybędą do naszej miski usłała wcale [zdrowoj]”. Ach, moi drodzy, żebyście wy wiedzieli, z jaką dobrowolą ta przybędą byłaby się usłała pod robroną mniej od was zimnej wieży. Dla swoich dziwnie łagodnego usposobienia była nieboszczka. Córka stróża miała czas po linie spuścić się na dół. Sam stróż do ostatniej chwili wołający przez tubę, trzymając się balkonu, bez szwanku osiadł na gruzach, tylko na kilka dni straciwszy mowę. Kto pamięta, jakie gniazdo kamieniczek tuliło się pod wieżą, temu śmierć 32 ludzi cudem się wyda. Odę na zgon wieży napisał jakiś bernardyn, z której dwa wiersze pamiętam:

*A kiedy już śmiertelna porwała ją czkawka,
Kona! kona! zawołał obywatel Kawka.*

PRZEDRUK ZA: Ludwik Jabłonowski, *Pamiętniki*, opracował oraz wstępem i przypisami opatrzył Karol Lewicki, Kraków 1963, s. 90–91.

B. I nas to nie minie

Anonim (1826)

Gdy słabiec zaczęła, baliśmy się o nią
Jednak, że z nas żaden nie myślał o zgonie
Tyle obchodziła każdego jej strata,
Że nie wierzył, mając śmierci symptomata.
A już gdy śmiertelna porwała ją czkawka.
Kona!..., kona!... krzyknął obywatel Kawka!...
Czternastego lipca, w pół siódmej godzinie,
Skończyła swe życie, i nas to nie minie.

PRZEDRUK ZA: Franciszek Jaworski, *Ratusz lwowski*, Lwów 1907,
s. 73-74.

C. Czytaj, wieża upadła

Henryk Bogdański (1804–1887)

Zawalenie się wieży ratuszowej we Lwowie

Przy wszystkich zabawach, rozrywkach, zabiegach wydzierało się z piersi naszych westchnienie dla ojczyzny – często porównywaliśmy Peszt ze Lwowem i uciechy tutejsze z tamtymi; do lwowskich mimowolnie uśmiechały się oczy i usta. (...)

W gazetach szukaliśmy nasamprzód wiadomości o kraju naszym; każda nowina stamtąd najwięcej nas obchodziła. Tak raz z wzruszeniem i zdziwieniem rzuciłem gazetę Zabłockiemu: „Czytaj, wieża ratuszowa we Lwowie upadła”. – Stało się to w dniu 14 lipca 1826 o godzinie 7 wieczorem, właśnie gdyśmy z napoleońskim mamelukiem wypróżniali kufle w Wodnym Mieście. Ta wieża, budowana w roku 1491, była przez blisko półczwarta wieku świadkiem świetności i upadku Polski. Przed kilkoma dniami jej runięcia postrzeżono już znaki wielkiego jej osłabienia; lecz policja lękająca się bardziej od niewidocznych rysów zniechęconych umysłów, by zlepiąca z gruzów nie runęła budowa Austrii, mniej zważała na wieżę, a szydząc z ostrzegających znawców, prędkim jej rozebraniem nie zapobiegła nieszczęściu i milczała na jeżdżenie i chodzenie koło niej ludzi; nawet w sam dzień upadku, gdy budowniczy Kawka radził ostrożność, przepowiadając rychłe nieszczęście, budownicy rządowi wyśmiali go i nocować chcieli na wieży, twierdząc, że i dzieci ich nie doczekają jej upadku. Wtem przed godziną siódmą, gdy Kawka już widział niebezpieczeństwo, przylepił papier na rysie, który się w krótkiej chwili przedarł z rozchodzącą się wieżą – nie napierano się już tryumfalnego noclegu – a z wierzchu wieży ozwał się ostrzegawczy głos tuby, aby uciekano, bo się wali. Zakurzyło się mocno – wszystkie poboczne ulice napełniły się gęstym pyłem i z niezmiernym trzaskiem i łoskotem runęła wieża. Jęk i wołanie o ratunek przedzierały się przez kurz nieprzebyty, przez

który nic nie widziano i który stanął na przeszkodzie dania pomocy wołającym. Kilkanaście osób zabitych i uduszonych w gruzach stało się ofiarą uporu rządowych budowniczych. Trębacz, który miał tyle rezygnacji i przytomności umysłu, że w ostatniej chwili przestrzegł tubą, był znaleziony żywy, lecz utracił mowę; a wzięty do szpitala wielkiego dostał garbu na plecach.

Ta Wieża niezwykle była budowana sposobem: ściany tylko na zewnątrz i na wewnątrz cegłą i kamieniem miała murowane, środek zaś tych ścian był nasypany drobnym, twardym kamieniem i zalany wapnem – pomimo takiego muru stała tak długi czas nie-naruszona, nawet przy kilkakrotnym trzęsieniu ziemi we Lwowie. Budowniczy jej był z Krakowa i zostawił swoje nazwisko wyryte w niemieckim języku na kamieniu pod oknem wieży: „Hans Blecher Anheb des Bau*. Dzięki takiemu budowaniu wieża tylko osiadła i zostawiła po sobie tylko wielką kupę prochu i trochę kamieni i cegieł; inaczej byłaby upadła na bok i daleko większe przyniosła nieszczęście. Magistrat lwowski, nie domyślając się takiego sposobu budowania, wyciągnął z niej kilka, po rozebraniu dawno spalonego, a do niej przypierającego ratusza, sterczących kamieni, co ją osłabiło i głównie spowodowało upadek. Do jej osłabienia przyczyniło się także znizienie jej wierzchołka po przyłączeniu Galicji do Austrii; nad lewym bowiem unosił się na samym szczycie orzeł biały, którego naturalnie dwugłowym czarnym zastąpić było potrzeba; otóż musiano dla osiągnięcia tego celu aż wierzch wieży znosić. – Ta wiadomość podała nam na długo przedmiot do rozmowy i domysłów spowodowanych brakiem wieży: co zastąpi teraz miejsce zegara wieżowego, regulatora czasu dla urzędników, uczącej się młodzieży, rzemieślników i wszystkich zatrudnień? Każdy na zegarowej tarczy widział i słyszał wytrąbione godziny, a świstanie na kwadransie – co zastąpi strażnicę wznieconego i widzianego z wieży w całym mieście i w najdalszym kącie wszystkich

* Hans Blecher... (staroniem.) – Jan Blecher wznosił tę budowę. W rzeczywistości budowniczym wieży ratusza był Andrzej Bemer (zm. ok. 1626), który przebudował gotycką wieżę ratuszową w 1619 r. Bremer pochodził z Wrocławia.

przedmieść pożaru, który oznajmiano uderzeniami w dzwon zegarowy tyle razy, jaką liczbą przedmieścia były oznaczone? Było ich cztery, a piąte miasto; gdy się więc paliło w mieście, uderzano pięć razy; a jeżeli daleko za przedmieściami, wtenczas usłyszano sześć uderzeń; a strażnik wieżowy dawał znać tubą o gorejącym przedmiocie – co zastąpi dzwonek wieżowy nakazujący o trzy kwadransy na jedenastą godzinę w nocy zamykanie szynków? które to upomnienia dzwonieniem na lampartów nazywano – a jak teraz rynek bez wieży pusto wygląda – nie brakło nam domysłów i żartów, którymi nudne przeplataliśmy chwile.

PRZEDRUK ZA: Henryk Bogdański, *Dziennik podróży z lat 1826 i 1827*, przygotował do druku, wstępem i przypisami opatrzył Józef Długosz i Józef Adam Kosiński, Kraków 1980, s. 71–72.

D. Piszczalka w ręku silnie ujęta

Gazeta Lwowska, 1826

Okropny widok przeraził 14go b.m. mieszkańców Lwowa, tych, którzy byli jego świadkami, a wszystkich przejął smutkiem i żalem straty najwznioslejszego i najdawniejszego pomnika w samym środku miasta. – Wieża ratuszna, ta najpiękniejsza ozdoba Stolicy, przeszło na 30 sążni w górę się wznosząca – ten Stróż, blisko półczwarta wieku nad bezpieczeństwem publicznym czuwający – zapadł się w owym dniu o pół siódmej godziny wieczornej. Przyczyna i sposób zapadnięcia się były takie: Spodnia część wieży w kształcie czworogranu od dawna już środkiem rys miała, a nieznacznie coraz więcej rozsuwając się, ciężarem górnej części, owego to ośmiogranu ciśniona, rozpadła się na dwie strony; przez co górna zsunęła się pionowo w środek aż do sklepienia i nie mogąc się tam ostać, obaliła się w kierunku na Zachód, na sam rynek; tak jednak szczęśliwie, że pomimo bliskich otaczających ją domów, żadnego nie uszkodziła. Chociaż atoli, jak się każdy domyślić może, to zwalenie się nie było gwałtowne, zważając jednak, iż dla umieszczonego w niej zegaru i ogniowej stróży, ciągle zamieszkaną była, że na koniec z powodu rozpoczęcia budowy nowego Ratusza liczni robotnicy właśnie około niej, stawiając i pod nią kopiać fundamenty, zaś niektórzy dla naprawienia onej, wewnątrz nawet znaydowali się, iż zawsze mnóstwo przechodzących zatrzymywać i robocie przypatrywać się zwykło – przypadek ten mógł być wielkie pociągnąć nieszczęście, gdyby iuż od rana niezawodne znaki następnego zdarzenia nie były się objawiły, przez co prawie wszyscy na ostrożności się mieli, i gdyby nie przezorność i gorliwość Władzy mieyscowej, oraz znanego już z tey strony ciesielskiego budowniczego Kawki, który zawczasu obecnych o grożącym niebezpieczeństwie ostrzegął i do ustąpienia zniewolił, za co mu słusznie publiczne podziękowanie należy. Z tem wszystkim jednak nie obeszło się całkiem bez nieszczęścia – 5 mężczyzn, między którymi 2 grenadyerów

ciekawość aż na sam ganek wieży zaprowadziła, ieszcze tey samey godziny spod gruzów poduszonych lub na śmierć pokaleczonych dobyto, a nazaiutrz 15 letnią córkę Wieżowego wykopano z pischzałką w ręku silnie ujętą, na którey ta nieszczęśliwa, jeszcze przed samym zgonem (gdy właśnie zegar 2gi kwadrans na 7mą uderzył) podług zwyczaiu gwizdała. Ile więcej nieszczęśliwych padło ofiarą tey okropney chwili, okażą dnie następne przy ciąglęm gruzów odsypywaniu. Kamień poprzeczny, właściwie zwornik całej budowy, w spodney części w oknie archiwalnem wieży osadzony, miał napis niemieckimi gockimi głoskami pukło wyryty: „*Hans Blecher Anheb des Bau 1491.*” – Tak więc kolos, co przez 355 lat zdobił te mury i strzegł ich bezpieczeństwa, runął iedney chwili, nie zostawiwszy i śladu z całej swoiey okazałości. Dotąd iest powszechnym przedmiotem ciąglęch uwag i rozpraw, a długo ieszcze uczuć da brak siebie całej publiczności.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 17 lipca 1826 roku.

E. Oryginalny protokół

Franciszek Jaworski (1873–1914)

W aktach Archiwum miejskiego zachował się oryginalny protokół, spisany z urzędu bezpośrednio przed i po samym wypadku, a ciekawy o tyle, że właśnie spisywanie jego przerwał trzask upadającej wieży i to w chwili, gdy zgromadzona komisja techników, na podstawie naocznych oględzin konstatowała, że bezpośredniego niebezpieczeństwa nie ma!

Dziwne też wrażenie robi ów akt urzędowy jeszcze dzisiaj. Przyszły doń mianowicie kawały błota, gdyż wydobyto go już spod gruzów wieży, gdzie go komisja techników porzuciła, ratując w popłochu własne życie. Są więc plamy owe dramatycznym bardzo podpisem pod orzeczeniem „znawców” i pod samym biurowatycznym protokołem, który w istotnych swych częściach tak opiewa:

Skoro tylko, dnia 14. lipca 1826 około godziny trzy kwadranse na trzecią popołudniu, doniesiono burmistrzowi (Homemu), że wieża ratuszowa, zostająca w reparacyi, poczyna budzić poważne obawy, udał się on bezzwłocznie na miejsce i zwołał następujących panów techników: dyrektora fortyfikacyi podpułkownika V. Mayera, dyrektora urzędu budowniczego V. Kirnstettera, adyunkta tegoż urzędu Markela i kopistę Jaroscheka, dalej inspicjenta robót miejskich V. Millereta, dozorcę Vandruschka i budowniczego Treschera.

Panowie ci, począwszy od godziny kwadranse na czwarta do mniej więcej kwadranse na szóstą, oglądali wieżę dokładnie i szczegółowo, poczem udali się do znajdującej się tuż obok kancelaryi kierownictwa budowy, która również około godziny 6½, z powodu upadku wieży, została zniszczona i tam poczęli spisywać protokół oględzin.

Napisane już na czysto nagłówek protokołu i wygotowano brulion samego orzeczenia, z dokładnem wyliczeniem rysów i rozpadlin, poczem burmistrz zapytał, czy w tym stanie rzeczy nie

należałoby zarządzić policyjnych środków ostrożności. Na to wszyscy technicy razem i każdy z osobna zapytani, odpowiedzieli, że w danej chwili niebezpieczeństwo nie jest tego rodzaju, aby było potrzeba specjalnych środków ostrożności.

W chwili jednak, gdy rozpoczęto przepisywanie na czysto tego orzeczenia do protokołu, wpadł do kancelaryi cieśla Kaffka, który był na chwilę się tylko wydał, aby dołączyć robotników swoich, zajętych podstemplowywaniem wieży i zawołał: „Moi panowie! Chodźcie i patrzcie, rysy na wieży powiększają się – nie będziemy jej mogli utrzymać!”. W pięć lub sześć minut po tych słowach nastąpił upadek wieży i to tak nagle, że zaledwie starczyło czasu, ażeby wezwać robotników i licznie zgromadzonych widzów do natychmiastowego rozejścia się. Dzięki Wszechmocnemu, że tak wielkim niebezpieczeństwem grożący wypadek nie wywołał większego jeszcze nieszczęścia, gdyż dotychczas wiadomo tylko o ośmiu osobach zabitych i trzech lekko rannych.

To jest prawdziwy opis wypadku z dnia 14. lipca 1826, do którego dodaje się jeszcze brulion orzeczenia znawców techników, wydobyty z gruzów opadłej wieży, a opiewający jak następuje:

„a) Okazało się nowe pęknięcie na 3 cale w starym archiwum przy schodach, na lewo od wejścia, a mianowicie na murze głównym.

b) W samym archiwum, jako dalszy ciąg tego pęknięcia, trzy rysy po 2 cale.

c) Dawne rysy, opisane już szczegółowo w protokole, odesłanym do władzy wyższej, a znajdujące się na południowo-zachodnim rogu, rozszerzyły się dotąd o jeden cal.

d) Dawniejszy rys na sklepieniu mieszkania strażnika wieżowego rozszerzył się o 2 do 3 cali.

e) W mieszkaniu strażnika okazało się kilka nowych rysów, a nadto podłoga odłączyła się na trzy cale od ściany.

f) Wszystkie te symptomata okazały się w przeciągu ostatnich 48 godzin, a nadto objawiło się ponownie osiadanie wieży na rogu południowo-zachodnim.

Wszystkie powyżej opisane symptomy są bardzo niepokojące i mogą mieć w przyszłości fatalne skutki, nie są jednak tego rodzaju, aby miały spowodować natychmiastowy upadek wieży. Należy tylko przystąpić natychmiast do obmurowania jej słabych miejsc, ale ponieważ, jak wyżej wspomniano, bezpośredniego niebezpieczeństwa nie ma, przeto nie ma też potrzeby policyjnych środków ostrożności, jak np. usunięcia robotników i deložowania sąsiadów lokalności”.

PRZEDRUK ZA: Franciszek Jaworski, *Ratusz lwowski*, Lwów 1907, s. 71-72.

F. A gdzie jest wieża?

Aleksander Fredro (1783–1876)

Spojrzał w górę, chcąc na Ratuszowej wieży zobaczyć godzinę: kichnął jakiejś przechodzącej babie w samo ucho – która go za to brzydkim lżyła wyrazem – lecz nie tylko zegara, ale i wieży nie mógł zobaczyć; stąd wnosząc, iż pił za wiele, bał się i kroku dalej postąpić i gdy chrapliwy głos pocziwego Telembeckiego, którego doświadczenie na pierwszy rzut oka, odgadnęło stan Pana, dał się słyszeć w samą porę:

- Niech się Pan na mnie oprze.
- Mój Telembusiu, powiedz mi, widzisz ty wieżę?
- Nie, Panie.
- A dlaczego ty wieży nie widzisz, mój Telembusiu?
- Bo wieży nie ma.
- A gdzie jest wieża?
- Zawaliła się, Panie.
- Szkoda, Telembusiu; wielka szkoda; wieża się zawaliła; nie wiem, która godzina, jedenasta jest?
- Już po trzeciej. Pani niespokojna czeka z obiadem.

PRZEDRUK ZA: Aleksander Fredro, *Nieszczęścia najszcześniejszego męża*,
Lwów 1832, s. 20–21.

G. Och, Ty wieżo!

Jan Nepomucen Kamiński (1777–1855)

Scena XVI

(...)

Teklusia: Nie rozpaczaj, kochany Franusiu, miłość wszystko może.

Franuś: Cóż, kiedy twój ojciec uparł się i powiedział, że wtenczas oddadzą cię za żonę, skoro się wieża zawali.

Teklusia: Ja mam jeszcze nadzieję, jakieś przeczucie.

Franuś: A ja widzę same niepodobieństwa. Och, ty wieżo! Ty wieżo!
(Słychać za sceną odgłos walącej się wieży)

Franuś i Teklusia (razem): Święci aniołowie, brońcie nas!

Franuś: Teklusu!

Teklusia: Franusiu!

Franuś: Widziałaś?

Teklusia: Widziałam.

Franuś: Słyszałaś?

Teklusia: Słyszałam.

Franuś i Teklusia (Razem): O radości! Wieża się zawaliła!

Franuś: Ojczy, Sobku! Przybywajcie; – wieża się zawaliła.

Teklusia (skacząc z radości): Wieża się zawaliła. – Parasko!
Parasko!

Paraska (wpadając): Aj, aj, aj!

Scena XVII

Sobek (wbiegając): Co się tu dzieje? Czy to szabas żydowski?

Franuś: Sobku! Patrz, nie ma już wieży.

Sobek: Co? A dalibóg prawda, nie ma. (Patrz). A ona sobie poszła dokąd? (Wrzeszczy): Wieża się zawaliła! – Parasko, przybywaj! Wieża się zawaliła!

Graca (wchodząc): Czyście poszaleli? Co tu za krzyki? (Patrz na wieżę, żegna się). A, dalibóg ci prawda! i z tego się tak mocno cieszyacie?

Wszyscy: Wieża się zawaliła!

Paraska: Wieża się zawalała! Teper Sobuś mój.

Franuś: Kochany ojcze! Wieża się zawaliła! (Chce go ścisnąć)

Graca (do syna): Ostrożnie, bo się posmolisz.

Sobek: Panie, wieża się zawaliła!

Graca: No, i macie się z czego cieszyć. Szkoda, taka śliczna wieża.

Franuś: Ej, co tam! Wkrótce postawią piękniejszą, a teraz chodźmy, kochany ojcze! (Chce go uprowadzić)

Paraska: Pidy, pidy, pane! (Ciągnie Gracę za rękę)

Graca: Ależ!

Sobek: Ani słowa! (Porywa Gracę z Franusiem). Tam się pan majster dowie o wszystkim (wynosi go z okrzykiem). Wieża się zawaliła!

PRZEDRUK ZA: Jan Nepomucen Kamiński, *Kominiarz i Młynarz czyli zawalenie się wieży. Komedjo-opera w jednym akcie*, Poznań 1930, s. 64–69.

2. Komin w poprzek rzeki

Gazeta Lwowska, 1845

O skutkach trąby powietrznej, która dnia 19 sierpnia przeciągnęła ponad dolinę Monville koło Rouen, zawiera Memorial de Rouen następujące szczegóły: „O godzinie dwunastej 35tej minucie powstał w dolinie poza Denville straszny wichur. Najprzód zerwał niejaką część dachu z fabryki pana Rouff, potem obalił kilka małych budynków, połamał drzewa i płoty i zniszczył zboże na polu. W całej okolicy pozrywał z domów dachy, a niektóre całkiem zgruchotał. Straszne to zjawisko natury mknąc piorunem, niosło przez daleką przestrzeń niejaką część tych gruzów, potem wydarłszy z korzeniem najwyższe i najmocniejsze drzewa, ugodziło nakoniec w trzy najcelniejsze fabryki w dolinie. Zburzenie tych budowli nastąpiło z taką szybkością w jednym okamgnieniu, iż zaledwo sobie wyobrazić można. Są one zupełnie zdruzgotane. Wypadek ten zdarzył się nieszczęściem w takiej chwili, w której najliczniej byli zebrani robotnicy. Jedna z tych trzech fabryk jest w gminie Malau-nay pod kierunkiem pana Neveu; zaś fabryki pp. Ficquot i Mare są w Monville. U pana Neveu było 120 osób przy robocie; dach i mury spadły na dół tak szybko, że ani jeden robotnik nie zdołał uciec. U p. Mare było 70 robotników; klęska nastąpiła z równą gwałtownością i nagle. U pana Picquot było 180 robotników. Ponieważ tu wichur zerwał najprzód dach, więc wszyscy robotnicy rzucili się ku drzwiom; lecz dla wielkiego nacisku tylko niewielu ich umknęło. Niema jeszcze roku, jak fabryka ta została skończoną, i była mocniej zbudowaną niż wszystkie inne w dolinie. Komin mający 150 stóp wysokości spadł na poprzek w rzekę; również i trzecie piętro runęło w wodę. Potem rozwały się drugie dwa piętra, a nawet dolne mury zostały tak dalece zburzone, że wyjąwszy kilka metrów po obu końcach, ani kamień na kamieniu nie pozostał. A to wszystko stało się w mniejszym przeciągu czasu niż dwu minut. Natychmiast pospieszono zewsząd w pomoc; widok, który się na trzech

głównych miejscach przedstawił, był nie do opisania. Burza pogruchoła tkackie warsztaty i żelazne sztaby, jak źdźbło połamala ogromne kłody drzewa, i zwała wszystko jedno na drugie. Szmaty z odzieży, trzewiki, bóty leżały pod włóknami bawełny; ręce i nogi sterczały spod gruzów; kawały ludzkiego ciała tkwiły na żelaznych sprzętach; niektóre miejsca były krwią zbroczone, a tu i owdzie odzywał się jęk żalony. Kiedy niekiedy wyratowano prawie cudem jakiego mężczyznę albo dziecię; ale najczęściej był to oderwany członek, lub trup bez duszy, albo też tak skańczona istota, iżby śmierć była dla niej pożądańszą niż te okropne męczarnie. Na ulicy nie widziałeś nic jak tylko lektyki i powozy z zabitymi i pokaleczonymi. Z szybkością urządzono tymczasowe szpitale i przywołano lekarzy i kapłanów z Rouen. W gospodzie pod czarnym rumakiem umieszczono w balowej sali i orkiestrze 26 tych nieszczęśliwych. Mężowie, niewiasty i dzieci płakali nad krewnymi, z których wielu wśród najokropniejszego bólu skonało. Do dziesiątej godziny w nocy wydobyto 40 zabitych a 100 pokaleczonych, których niejaka część drugiego dnia nie doczekała; a wielu jeszcze pozostało pod gruzami. Sama strata w materyjale wynosi w tych trzech fabrykach 620,000 frank. – Ostatnie wiadomości z Rouen donoszą, że liczba zabitych podczas burzy dnia 19 sierpnia robotników wynosi 58, a pokaleczonych 170. Po wszystkich miejscach otwierają subskrypcyję dla wsparcia rodzin, którzy w swych krewnych wszelkie zaopatrzenie utracili. Między 170 pokaleczonymi jest wielu tak mocno uszkodzonych, iż wątpią o ich wyzdrowieniu. Podług rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych będą zbierane we wszystkich gminach całego departamentu poniżej Sekwany publiczne składki dobroczynnych darów wszelkiego rodzaju dla licznych ofiar katastrofy w dolinie Monville koło Rouen. W samym mieście Rouen, w Havre, Dieppe, tudzież innych miastach departamentu biegają już subskrypcyje, zawierające znaczną summę. I w Paryżu otworzono podobnie subskrypcyję, niektóre teatry i muzyczne towarzystwa będą dawać spektakle i koncerty na dochód unieszczęśliwionych. Również i ministerjum wyznaczyło już znaczną kwotę na pokrycie

pierwszych, najnaglejszych potrzeb. Na tenże cel wyznaczyli król i królowa 8000, Madame Adelaide 2000, a księżna Orleańska i hrabia Paryża 5000 franków.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 4 września 1845 roku, nr 104.

3. Pęknięcie jednej liny

Gazeta Codzienna, 1850

Most w Angers załamał się wskutek pęknięcia jednej liny drutowej, a następnie drugiej. Tylko przednia straż batalionu i ostatni oddział czwartej kompanii uratowały się z mostu na brzeg, ale mocno uszkodzone. W chwili katastrofy cała rzeka pokryta była gęstą masą nieszczęśliwych, którzy naderemnie walczyli z pieniącymi się bałwanami. Przytem zbywało na czólnach, których szybko wrzucone na rzekę belki i deski zastąpić nie mogły. Robotnicy i flisy, nie zważając na bystry pęd wody, uratowali wielu. Nawet i uratowani ciężko są ranieni, częścią od swej broni, częścią od szczątków mostu. Jednemu żołnierzowi bagniet przebił na wylot ciało. Przy apelu o godz 10 brakowało 3 oficerów i 219 żołnierzy. Przy odejściu gońca w szpitalu 123 trupów. Między nimi piastunka i dwoje dzieci.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 25 kwietnia 1850 roku.

4. Jakim sposobem w jednej chwili

Czas, 1850

Co do wypadku albo raczej strasznej katastrofy w Angers, dzienniki francuskie dość obszernie o niej opisały, chociaż liczbę ofiar wszyskie w ogóle zmniejszyły przez niewiadomość lub naumyślnie, liczba ta jest niewiadomą do dziś dnia, bo ciągle trupów wydobywają. Ale co w tej mierze jest dla was jeszcze tajemnicą, to że katastrofę tę przyznają niechęci rządu ku pułkowi zarażonemu socjalizmem. Rozmawiałem z kilku oficerami innych pułków w Paryżu i konserwatorami: a i ci nawet zdają się być tak dziwnego zdania, bo każdy pyta mię, powiedz pan, jakim sposobem w jednej chwili cztery łańcuchy i dwie ogromne podpory żelazne mogą się razem zerwać. Co do mnie, ja w tym widzę rzecz naturalną: i właśnie w takich wypadkach rzecz się staje zawsze chwilowo i nieprzewidzianie. Inni przeciwnicy utrzymują, że robotnicy w Angers, chcąc zrobić łapkę na policją, która tym mostem często przebywała swoje patrole, w nocy właśnie podpiłowali łańcuchy, a podpory same utrzymać ciężara nie mogły. Lecz jak pierwsze, tak i ostatnie twierdzenie jest bezzasadnym.

PRZEDRUK ZA: Czas, 25 kwietnia 1850 roku.

5. Zabita na śmierć
Kurier Warszawski, 1822

List wczoraj odebrany z Kalisza donosi, iż tam część nowego domu zawaliła się, przy czym dziewczyna na śmierć została zabita, a 12 ludzi są pokaleczonemi.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski 1822.

6. Mocne pogruchotanie kości

Kurier Warszawski, 1822

We wsi Szymanowie w Obwodzie Sochaczewskim po ukończeniu budowy sklepienia oficyny przy Pałacu będącej, ośm ludzi wydobywających podstawy toż sklepienie utrzymujących zawaleni zostali. Po wydobyciu ich z gruzów i starannem lekarza opatrzaniu, okazało się, iż czterech dla mocnego pogruchotania kości w męczarni życie zakończyło, a czterech mimo wyleczenia, wiecznemu popadną kalectwu.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 17 lipca 1821 roku.

7. Balustrada nie mogła wytrzymać

Dziennik Warszawski, 1851

Dzienniki zawierają następujący opis okropnego nieszczęścia, które zdarzyło się w Nowym Yorku. „New-York, jak wszystkie wielkie miasta, przeszedł liczne katastrofy, pożary, zaważenia się domów, wybuchy kotłów machin parowych, rozruchy nawet nieraz tam liczne gubiły ofiary; ale najstraszliwsze klęski spowodowane przez nieroztropność prywatnych osób, brak dozoru ze strony władz, albo dzięki gwałty rozkiełznanej tłuszczy, bledną przed przerażającą hekatombą, którą niesłychana fatalność usypała w kilku chwilach w jednej z naszych szkół publicznych. Czterdzieści dziewięć dzieci zabitych na miejscu, trzydzieści ośm poranionych i potłuczonych tak ciężko, że mało jest nadziei utrzymania ich przy życiu, oto rezultat nieprzesadzony; jeden krzyk źle zrozumiany spowodował niepokonany paniczny przestach, który zgubił tyle młodych lato-rośli, tyle rodzin pogrążył w żałobie. Serce się lodem ścina na samo wspomnienie tej sceny śmierci; pióro nie zdoła wydać uczuć prze-rażenia i litości, jaką one obudzą. Potrzeba jednakże skreślić ją ile się da. Szkoła 2go okręgu, przy początku alei Greenwich, naprzeciw ulicy Charles, jest obszernym gmachem o czterech piętrach, który zwykle mieści około 1800 uczni i uczennic. Dół stanowi pewien rodzaj dziedzińca przykrytego i brukowanego flizami, służącego na miejsce zabawy w chwilach odpoczynku. Klasa nauk elementar-nych, w której mieszczą się najmłodszy uczniowie, zajmuje pierwsze piętro. Starsze oddziały mieszczą się wyżej, dziewczęta na dru-giem, chłopcy na trzecim piętrze. Drzwi wszystkich sal wycho-dzą na wschody, które otoczone kratą żelazną, przechodzą przez całą wysokość budynku, zostawiając w pośrodku przestrzeń około dziewięć stóp kwadratowych powierzchni. Wzdłuż tych schodów idzie balustrada drewniana z poręczą. W dniu 20 listopada po po-ludniu miss Harrison, zarządzająca jedną z klas oddziału dziewcząt, dostała ataku nerwowego, który przestraszył młode jej uczennice.

Kilka z nich chcąc jej przynieść pomoc, wbiegło szybko do sąsiedniej sali wołając: wody! Uczennice tej sali, przestraszone nagle, sądziły, że się pali, wybiegły z sali, krzycząc na gwałt ogień! ogień! Te krzyki ozwały się wkrótce w całym zabudowaniu. Dyrektor oddziału chłopców, z energią i przytomnością umysłu, która mu zaszczyt przynosi, zatrzymał w drzwiach cały tłum swoich uczni, ale ochmistrzyni oddziału elementarnego, otworzyła drzwi, aby się dowiedzieć co się stało, a dzieci gnane nieopisaną trwogą rzuciły się do wyjścia tak, że nawet pociągnęły z sobą ochmistrzynię. Na wyższym piętrze tłok był jeszcze większy, tak dalece, że dwie czy trzy dziewczynki przeleciały przez poręcz i zabiły się na miejscu o flizy na dole. Ale to był dopiero początek straszliwej tej dramy. Na dole drzwi szkoły były zamknięte; dzieci, które zeszyły najpierwej, nie mogły ich otworzyć, a tłum cisnący się coraz bardziej z wyższych pięter, coraz też bardziej zwiększał tłok i tak już wielki na wschodach. Na koniec balustrada nie mogła wytrzymać cisnącego na nią parcia, pękła, a mnóstwo dzieci spadło nagle w przepaść otwartą pod niemi. Któż wystawi przestraszającą okropność tej sceny. W jednej prawie chwili ta przepaść zapełniona była do wysokości pierwszego piętra, a ten stos ciał częścią już bez życia, częścią drgających jeszcze, jęczących, lub wydających ostatni krzyk bóleści, zatarasował drzwi otwierające się na wewnątrz, które na próżno silne ręce z zewnątrz otworzyć usiłowały. Podczas kiedy ta okropna tragedia spełniała się na wschodach, inne sceny niemniej okropne dokonywały się w oknach. Nieszczęśliwe dzieci dla uniknięcia nieznanego niebezpieczeństwa narażały się na inne najwiedoczniejsze, i wyskakiwały z pierwszego a nawet z drugiego piętra. Niejedno zabiło się, mnóstwo się pokaleczyło mniej więcej ciężko, niektóre przez cud Opatrzności stanęły na ziemi nieuszkodzone. Tymczasem na krzyk trwogi, na odgłos pożaru, przybiegli pompierowie z drabinami i poprzystawiali je do okien, dzieci natychmiast rzuciły się na nie, tak że za ledwie komenda ogniowa zdołała dostać się wewnątrz gmachu. Tu wkrótce przekonano się, że nigdzie nie ma ognia, ale czyżby nawet największy pożar mógł tyle sprawić

nieszczęścia, ile go tu postrzegli. Po nadzwyczajnych wysileniach zdołano na koniec uchylić nieco drzwi i zaczęto uprzętać ten stos trupów, który trzeba było pojednemu wydobywać. Odnoszono je do najbliższego stanowiska policji. Któż opisze wzruszenia, jakich doświadczali ci, którzy zajmowali się tym smutnym obowiązkiem. Między nimi znajdowali się ludzie, których dzieci były w tej szkole; bo naturalnie zebrało się tam mnóstwo ludzi z miasta, rodzice otaczali gmach z łzami w oczach, z trwogą w sercu, jedni biegając, prosząc, pytając, inni w milczeniu martwoty, jakby ich dotknął palec boży! Ileż rozdzierających scen odznaczyło te smutne chwile. Niestety, niejeden ojciec znalazł bez życia syna, którego rano wysłał wesołego i zdrowego, niejedna matka unosiła martwe zwłoki córki, którą przed kilku godzinami wysłała z myślą przyszłej pociechy i chluby. Oh! podobna boleść nie daje się opisać. Powie-dzieliśmy na początku, że 49 chłopców i dziewcząt utraciło życie, a 38 poniosło mniej lub więcej ciężkie pokaleczenia, ale sprawozdawcy dzienników nie mogli w pierwszych chwilach dokładnych zasięgnąć wiadomości i zapewne jeszcze ze dwadzieścia nazwisk przydać wypadnie do tej listy.

PRZEDRUK ZA: Dziennik Warszawski, 23 grudnia 1851 roku.

8. Nie chcąc żyć w niepewnym bycie

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Nieraz ten, co bajki plecie,
Trefunkiem i prawdę powie.
W mozyrskim, mówią, powiecie
– Nie wiem, jak się miejsce zowie –
Leżał zamek starodawny
Nad czystego źródła spadkiem.
Niegdyś, wielkością swą sławny,
Okazałości był wzorem,
Lecz czasem i niedozorem
Już zewsząd groził upadkiem.
Panowie, co w nim mieszkali,
Długo o zamek nie dbali,
Choć się część jego zwała.
Lecz gdy i reszta groziła,
Że każdemu miłe życie,
Nie chcąc żyć w niepewnym bycie,
Jęli myśleć o poprawie.
Co się w mnóstwie rzadko zdarzy,
Zgodzili się w swej ustawie,
Że chcąc ruiny poprawić,
Należy się mieć mularzy.
Wśród tej gorliwej ochoty,
Gdy przyjść miało do roboty,
Gdy mur nowy mieli stawić
I dawne naprawić rysy,
Skłócili się o abrysy.
Należy wiedzieć, że niedawnym czasem,
Gdy się dom walił częściami,
Pan, chcąc go wzmocnić nawiasem,
Podparł go kilką drągami.

Ale zamek murowany
Źle podpira drąg drewniany.
Dawni jednak budownicy,
Dzieła swego miłośnicy,
Chcieliby, w nowych nie szukając wzorach,
Klecić na dawnych podporach.
Lecz większa drugich połowa,
Szczera w chęciach, w radach zdrowa,
Wołała: „Próżna robota!
Próżna praca i ochota!
Wszystko będzie pełne wady,
Gdy wątłe będą zasady;
Że trzeba, żeby panięta
Wspomnieli na fundamenta;
Że gdy te założą trwało,
Mogą potem stawić śmiało,
A gmach, stojąc w czas daleki,
Zwalczy pioruny i wieki”.
Próżna mowa, bo jedni jej nie zrozumieli,
Drudzy zrozumieć nie chcieli,
Ci zaś najwięcej mieszały,
Co budownictwa nie znali.
Bo gdy ten o podwalinach
I o upadku przyczynach
Chce radzić, tamci coś nowego wzniesą
I z jakąś fraszką wylecą:
Ten żąda okna poprawić,
Tamten nowy dach postawić,
Ten piec gdzie indziej przenosi,
Ów gwałtem kominka prosi,
Wielu zaś o to nagliło,
Żeby drzwiczek sekretnych jak najczęściej było.
Wśród tak rozlicznych sporów i niezgody,
Co babilońskie przypomnieli wieże,
Kiedy się każdy niby od upadku strzeże

I chcąc dać jasne dowody
Głębokiej swojej mądrości
I niemyłnej ostrożności,
Choć nie zna gmachu osnowy,
Przydaje swym konceptem gabinetik nowy;
I gdy tak każdy szuka swej zalety,
Nowe stawiając gabinety,
Tyle się ich namnożyło,
Że już samego gmachu ledwie widać było.
A co dziwna, że w tym gwarze
Zapomnieli, iż mularze
Najprędzej potrzebni byli,
Żeby gmach zabezpieczyli.
Lecz czyli takie losu zrządzenie,
Czyli jakieś zaślepienie,
Czyli że się pan nie chciał czeladzi powierzyć,
A czeladź bała się pana,
Choć była wszystkich chęć niepodejrzana,
Nikt nie mógł sporów uśmierzyć,
Nikt nie mógł trafić do końca!
Już niejednego miesiąca
Dni na próżno uleciały,
Alic gmach ów nadwątały,
Nie doczekawszy pomocy,
Wpośrząd okropnej nocy,
Wpośrząd gromów przeraźliwych
Spadł na głowy nieszczęśliwych.
Wtenczas przy ostatnim zgonie
Z płaczem wszyscy narzekali,
Że gabinety stawiali,
Gdy trzeba było myśleć o domu obronie.



ix. Eksploduje



1. Wybuch prochu w Krakowie 1863

A. Straszny huk i kłęby dymu

Czas, 1863

Kraków. 7 sierpnia. Okropne nieszczęście zdarzyło się dzisiaj w naszym mieście. O godzinie 4^{3/4} po południu dał się słyszeć straszny huk i kłęby dymu wzbily się w górę. Był to wybuch prochu przy ulicy Teatralnej z domu p. Anny Kronesownej na rogu ulicy Szewskiej. W domu tym miała się znajdować na drugim piętrze pewna ilość prochu i zapaliła się niewiadomym dotąd sposobem. Przechowywanie prochów w mieście jest dowodem wielkiej nieprzeznaczonej, że tu użyjemy najsłabszego wyrazu, a zwłaszcza przechowywanie go w mieszkaniu, gdzie niepodobna zachować wszystkich ostrożności, jakich obchodzenie się z materiałem tak dalece palnym wymaga. Nieznane są dotąd wszystkie szczegóły tego nieszczęścia, ale ciała kilku osób i ruiny domu pogorzałego będą bolesną pamiątką dnia dzisiejszego. Ofiarami tego nieszczęścia są, o ile wiemy, trzy panny Janowskie, siostry artysty dramatycznego, z których jedna na miejscu żyć przestała, druga ciężko spalona i poraniona, nie zostawia nadziei ocalenia, trzecia lekko poparzona: następnie córka 16to letnia p. Wiatrowicza jubilera, chłopiec młody z warsztatu jubilerskiego, jakiś mężczyzna, którego ciało spalone niepodobna było rozpoznać, ranione dwuletnie dziecko p. Karola Królikowskiego, artysty dramatycznego przybyłe w odwiedzinie do babki swej p. Krajewskiej, która mimo że się na nią zvaliła część ściany, wyszła prawie bez szwanku. Spod gruzów wydobyto wieczorem również parę ciał, których nie rozpoznano jeszcze. Mówią, że zginął ktoś z domowników pana Dębowskiego, utrzymującego skład wódek, lecz mylną była pogłoska, jakoby kto z jego rodziny zginął. Ranionych lub oparzonych lekko jest jeszcze parę osób.

Natychmiast po wybuchu płomień rzucił się oknami drugiego piętra i wydostał się szybko na dach, gdyż sufit zawalił się częściowo. Spieszna pomoc i pełna poświęcenia ze strony obywateli i młodzieży uratowała okoliczne domy od ognia, lubo tyły i stajnie ze składem siana pod Krzysztoforami wiele od ognia ucierpiały, a na ulicy Szewskiej dom p. Florkiewicza parę razy zajmował się, lecz ogień natychmiast stłumiono. W domu gdzie był wybuch spaliło się tylko drugie piętro i to nie całkowicie, tudzież dach. Trzy siłkawkie miejskie pracowały od samego początku, dwie inne nie były opatrzone należycie i dopiero później mogły być użyte, bo węże od nich i drągi do ruchu pomp były odjęte. Kilka osób zostało zranionych lekko przy ratowaniu, narażając się z całą odwagą poświęcenia. W ulicy Szczepańskiej wyleciały okna z kilku domów.

PRZEDRUK ZA: Czas, 8 sierpnia 1863 roku.

B. Policja do obywateli

Czas, 1863

Kraków 8 sierpnia. Dzisiaj rano obwieszczono następującą, wczoraj wieczór wydaną odezwę tutejszej Dyrekcyi Policji z powodu nieszczyścia spowodowanego wybuchem prochu przy ulicy Teatralnej:

Do Obywateli miasta Krakowa!

Wybuch prochu w środku miasta zamienił dom jeden w gruzy i kilka osób życia pozbawił. Smutny ten wypadek dowodzi, z jaką karygodną lekkomyślnością niektóre osoby obchodzą się z prochem strzelniczym, i mienie, a nawet życie swoich współobywateli na szwank narażają.

Ponieważ jednak takim karygodnym postępkiem nie zapobieży najściślejsza bacność, jeżeli nie znajdzie poparcia od mieszkańców: przeto Dyrekcyja policyi wzywa obywateli i właścicieli domów w własnym ich interesie, ażeby na swoich współmieszkańców wpływali, iżby ci domów ich nie nadużywali na składy zapasów prochu, z którym nieprzezorne i lekkomyślne obchodzenie się wielkie nieszczyście sprowadzić może na miasto zaledwie powstałe z gruzów, jakimi je zasłał pożar w 1850 roku.

Z c.k. Dyrekcyi Policji.

PRZEDRUK ZA: Czas, 9 sierpnia 1863 roku.



Barbara i Julia Janowskie,

Siostry, w wieku lat 23 i 20.

Marya Wiatrowiczowna,

w wieku lat 18.

córki Ohywateli Miasta Krakowa,

Ludwik Zborowski,

praktykant jubilerski, w wieku lat 15,

Nakoniec:

Ludwisia Królikowska,

córka Artysty dramatycznego, lat 2 licząca,
w skutku okropnego wypadku na dniu 7
Sierpnia r. b., wydarzonego w domu pod
L. 223 przy ulicy Szewskiej, nagło utra-
ciły życie.

Zwłoki tych nieszczęśliwych ofiar w dniu
9 b. m., to jest w Niedzielę, o godzinie 5
po południu wyprowadzone zostaną z ko-
ścioła Najś. Panny Maryi, na miejsce wie-
cznego spoczynku.

Do uczestniczenia temu smutnemu obrzę-
dowi, w ciężkim smutku pogrążone rodziny,
pobożną Publiczność zapraszają.

2. Zapalenie się gazu zrzaǳiło nieszczęście

Gazeta Krakowska, 1845

Bruxella 9 Maja

Dnia 5 bież mie. w belgijskiej kopalni węgla kamiennego, nazywanej kopalnią d'en Bas, zapalenie się gazu zrzaǳiło okropne nieszczęście. Nie słysząc eksplozy widziano tylko gęsty dym wybuchający z otworu kopalni; gdy żadnego nie widać było robotnika. Inspektor kopalni spuścił się na dół i ujrzął niestety! 23 ludzi, a 6 zasypanych. Z 94 robotników, którzy podczas tej katastrofy byli w kopalni zatrudnieni, tylko 27 ocalało.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Krakowska, 24 maja 1845 roku.

3. Jeden z najokropniejszych wybuchów

Kurier Warszawski, 1847

Jeden z najokropniejszych wybuchów, jakie dotąd w kopalniach zdarzyły się, nappełnił niedawno miasto *Barnsley* w Anglii dotkliwym smutkiem i przerażeniem. Katastrofa ta zdarzyła się w kopalniach *Ardsley*, w czasie kiedy wszyscy robotnicy byli zajęci pracą. Obliczają, że najmniej sto ludzi było w szachtach, ale mają nadzieję, że jeszcze ta liczba zmniejszy się może, bo dotąd należycie nie można było obliczyć. Wszyscy robotnicy mieli latarnie ochronne, ale że w tych kopalniach nigdy nic podobnego nie zdarzyło się, więc niektórzy pracowali przy gołym świetle, i zapewne trafiono na strumień gazu, który tego wybuchu był przyczyną i całą kopalnię zapalił. Wybuch był tak mocny, że dom, który stał nad oknem kopalni, został całkiem w powietrze wysadzonym, a górnicy, którzy niedaleko od niego pracowali, rzućeni byli o ziemię. Znaleziono w kopalni masę trupów straszliwie popalonych, poparzonych i pokaleczonych do niepoznania. Tegoż dnia zaraz wydobyto 12 trupów, ale jeszcze nie wszystkie zakąty zrewidowano, i jeszcze brakowało więcej niż 30, nie licząc tych, o których dotąd reklamacji nie było.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 3 kwietnia 1847 roku.

4. Kupa gruzów

Gazeta Codzienna, 1847

W Canterbury wyleciała w powietrze prochownia, w której zabudowaniach przyległych przyrządzano bawełnę strzelniczą. Robotnicy częścią zabici, częścią mocno pokaleczeni, zabudowania przedstawiają kupę gruzów.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 27 lipca 1847 roku.

5. Płacz ludzi, wycie zwierząt

Dziennik Warszawski, 1851

Temesvar 6 kwietnia. Dziś o godzinie 7¹/₄ miasto nasze straszny przedstawiało widok. Magazyn amunicji obok Siedmiogrodzkiej rogatki wyleciał w powietrze z najokropniejszym hukiem i trzaskiem, a chwilę później cała pobliska mu część miasta zalana została jakby deszczem kamieni, cegieł, gruzów, belek i t.d. Kilka bomb i granatów wpadło do miasta, ale nie zrzędziło znacznej szkody. Śród czarnej opony dymu całe miasto okrywającej, straszny wrzask, jęk, płacz ludzi, ryk, wycie zwierząt i grad spadających cząstek wysadzonego i rozszarpanego budynku, brzęk miljona szyb, przedstawiały scenę, której przerażającej, niewypowiedzianej okropności żadne pióro nie jest w stanie opisać.

O ile dotąd wiadomo, 15 do 20 ludzi postradało w tej katastrofie życie; ranionych zaś stosunkowo jest bardzo mało. Wiele budynków ucierpiało nieznaczne szkody. Przyczyna nieszczęścia jeszcze niewyjaśniona.

PRZEDRUK ZA: Dziennik Warszawski, 14 kwietnia 1851 roku.

6. Rozerwana szyja armaty

Gazeta Lwowska, 1844

Parostatkiem *Hibernia*, który dnia 1 marca Boston opuścił, otrzymano smutną wiadomość o strasznym wypadku, który się dnia 28 lutego o godzinie trzeciej po południu na pokładzie olbrzymiego, wojennego parostatku *Princeton* wydarzył. Na tym parostatku odbywano kilka dniami wprzód dla próby przejazdu, na których się między innymi także wszyscy członkowie kongresu znajdowali. Na przejazdkę dnia 28 lutego, która się tak smutnie zakończyła, kapitan okrętu, pan *Tockton* zaprosił dwieście najznakomitszych dam z miasta, tudzież prezydenta Stanów Zjednoczonych i kilku członków swego gabinetu; miała to być uroczysta i galowa przejazdka. Parostatek *Princeton* popłynął prądem rzeki aż pod Mount Vernon i w powrocie swym był jeszcze niemal 25 minut od Alexandryi oddalony, aż oto z nowo wynalezionej ogromnej armaty, z której podczas przejazdu już dwa razy strzelono, dano po raz trzeci takimże samym ładunkiem jak poprzednio, ognia. Denna część armaty stojącej na przodzie okrętu rozstrzaskała się i rozniosła po całym pokładzie śmierci i zniszczenie. Gdy rozerwana zarazem szyja armaty rozwalila będącą naprzeciw niej ścianę okrętu, rozlatujące się kawały spiżu zabiły w okamgnieniu sekretarza Stanu spraw zagranicznych (nie marynarki, jak mylnie donoszono), pana *Upshur*; ministra marynarki, gubernatora *Gilmor*; przełożonego biura floty, pułkownika *Kennon*, tudzież wiele innych osób, a między temi kilku puszkarzy. Sześciu majtków i będący w służbie prezydenta *Tyler* Mulat zostali ciężko ranieni, a ostatni z nich wkrótce umarł. Lżejsze rany odnieśli kapitan *Stockton* i pułkownik *Benton*. Damy, które właśnie podtenczas siedziały pod pokładem przy stole, nie zostały bynajmniej uszkodzone. Podczas dwóch pierwszych wystrzałów znajdowały się one na pokładzie dla przypatrywania się, jak kula wodę pruća. Jedna tylko mistress *Gilmer* była na pokładzie, gdy się ten przypadek wydarzył, i gdy poległ jej mąż, na którego usilne

naleganie po raz trzeci wystrzelono. Prezydent *Tyler*, który był na dole z damami, pospieszył natychmiast na pokład i pozostał tam przy poległych aż do wieczora; przywiezieni niezwłocznie innym parostatkiem z Alexandryi lekarze nieśli wszelką pomoc ranionym.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 11 kwietnia 1844 roku.

x. Rzuca się na pomoc



1. Wielkość Rzymian

Heinrich Kleist (1777–1811)

Jak okiem sięgnąć widziało się na polach ludzi wszystkich stanów zmieszanych z sobą, ksiąząt i żebraków, matrony i wieśniaczki, urzędników państwowych i wyrobników, zakonników i zakonnice, okazujących sobie współczucie, niosących sobie wzajemną pomoc, dzielących się ochoczo tym, co zdołali ocalić dla podtrzymania życia. Zachowywali się tak, jakby ogólne nieszczęście złączyło wszystkich, którzy przed nim umknęli, w jedną rodzinę. Zamiast błahych rozmów towarzyskich, do jakich zazwyczaj świat dostarczał tematu, opowiadano sobie teraz o przykładach niezwykłego męstwa. Ludzie, na których dotąd mało zwracano uwagi w towarzystwie, okazali wielkość Rzymian; przytaczano mnóstwo przykładów dzielności, radosnej pogardy niebezpieczeństwa, samozaparcia i poświęcenia, narażania życia bez chwili wahania, jak gdyby je, niczym najbłahszą rzecz – można było zaraz znowu odzyskać. Ponieważ nie było człowieka, którego by w tym dniu nie spotkało coś wzruszającego lub który by sam nie zdziałał czegoś wyjątkowego, ból w każdym sercu mieszał się z tak tkliwym uczuciem, że trudno byłoby obliczyć, czy suma ogólnego dobra nie wzrosła o tyleż z jednej strony, ile jej z drugiej ubyło.

PRZEDRUK ZA: Henryk Kleist, *Trzęsienie ziemi w Chile*, przeł. Edyta Sicińska, w: tegoż, *Dzieła wybrane*, tłum. różni, Warszawa 1960, s. 555.

2. Spasanie Czełowiczeństwa

Kurier Warszawski, 1821

Dnia 23 Stycznia r.b, podczas wydarzonego pożaru w mieście Wierzbolowie płomienie ogarnęły Dom drewniany tak, iż ledwo to Gospodarze potrafili uratować się ucieczką, zostawiwszy w domu Dziecko. Nikt z obecnych nie odważył się dać pomocy nieszczęśliwemu Dziecięciu krzyczącemu i zostawionemu wśród płomieni. Kozak Dymitryj Popow z pułku Majora Jsaiewa 4, nad Granicą Królestwa Pols. konsystującego przybyły; skoro tylko usłyszał krzyk, nie szczczędząc własnego życia, rzucił się w ogień, i szczęśliwie Dziecię bez najmniejszego uszkodzenia z płomieni wyrwał. Podobnież dnia 15 Lutego 1820 roku, gdy płomienie objęły Dom w mieście Bolesławie, Kozak nazwiskiem Stefan Łosiew z pułku Katasonowa, zostawione Żydowskie 4 letnie Dziecię z płomieni uratował. Najjaśniejszy PAN czyny szlachetne tych Kozaków nadgrodzić raczył, dając każdemu po tysiąc Rubli Assygnacyjnych i ozdobił medalem Srebrnym z napisem za Spasanie Czełowiczeństwa.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 23 lipca 1821 roku.

3. Sam także utonął

Kurier Warszawski, 1821

Podczas nadzwyczajnej powodzi w zeszłym miesiącu wydarzonej w Wilnie, Poussier, Architekt, będąc w najniebezpieczniejszych miejscach, ratując nieszczęśliwych, i podając sposoby ratunku, sam także utonął. Zostawił żonę, troje dzieci, i licznych przyjaciół oplakujących jego stratę.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 21 sierpnia 1821 roku.

4. Pan ognia

Kazimierz Władysław Wójcicki (1807–1879)

Spomiędzy postaci wydatnych wspomnieć należy Alojzego Lasockiego, majstra profesji kuśmierskiej, znanego dobrze całej Warszawie. Urodzony w roku 1766 w Zakliczynie, w młodych latach przybywszy do naszego miasta, w nim się osiedlił. Terminował i został majstrem w swoim cechu. W nim jednym spoczywała cała straż ogniowa Warszawy.

Ubrany zawsze w kapotę jasnozieloną długą, w czapkę rogatywkę z barankiem i hajdawery karmazynowe, chodził dużo prędkim a trzeźwym krokiem. Codziennie prawie całą Warszawę obchodził; gdzie się tylko wszczął pożar, tam zawsze pierwszy był na dachu, a nie zważając na własne niebezpieczeństwo, niósł dzielny rachunek. Często, zanim grzechotki przeraźliwe dały hasło pożaru, zanim kościelne dzwony, ponurym odgłosem zwiastując klęskę miasta, zawezwały pomocy mieszkańców, bijąc na gwałt, już Lasocki nieraz stawał się panem ognia i przygaszał pożar.

Trzeba było wtedy widzieć dzielnego kuśnierza, wśród kłębów gęstego dymu i słupów płomieni, pośród deszczu iskier, po trzeszczących i wałących się dachach i belkach, jak Lasockiego krzepka postać jaśniała. Bez czapki i żupana, karmazynowe hajdawery w czarnej chmurze zbałwanionego dymu coraz się przewijały; donośnym głosem nieustraszony obrońca nawoływał na pomoc; z zimną krwią starego żołnierza dawał rozkazy, jak kierować sikawkami i gdzie z węborkami skórzanymi mają stawać nadbiegli, gdzie zapalony dach rozrywać. O! Był to obraz godny pędzla malarza!

Tu gromady przestraszonego ludu biegnące, w siekiery i borsaki uzbrojone, drudzy z konewkami; tam spocona czereda pchająca sikawki i beczki z wodą; popłoch uciekających mieszkańców z płonących domów, kupy sprzętów wyniesionych i w stosy zwalonych, a tłem tego obrazu pożar, który jeżeli w nocy wybuchł, straszliwe przybierał rozmiary i niemną klęską groził miastu. Nad

tym wszystkim panowała postać Lasockiego: wdzierał się po drabinach na dachy płomieniste i wtenczas tylko z nich schodził, gdy albo ugasił pożar, albo wyczerpawszy daremnie wszelkie możliwe sposoby ratunku, ustępował z wolna przed silniejszym nad siebie wrogiem, ratując poblizsze domostwa i energią swoją ograniczając postęp ognia. I odchodził z tego pobojowiska oczerniony dymem, nieraz z osmalonymi włosami, poparzony, często ranny. Wdziewał swoją zieloną kapotę, czapkę karmazynową i precisnąwszy się przez tłum ludu, co mu z uszanowaniem robił przejście, powracał strudzony do domu.

Poświęcenie się Lasockiego i czynna pomoc udzielana przez niego w powstrzymywaniu klęski ognia zwróciły uwagę władzy miejskiej, która z kasy miasta Warszawa przez lat przeszło 10 wypłacały mu pensją, po złp. 30 miesięcznie. Mieszkał przy ulicy Piwnej pod numerem 104. Umarł po trzechdniowej chorobie dnia 21 marca 1823 r., mając lat 57; pozostawił wdowę, dwóch synów i dwie córki. Warszawa w kronice swej powinna zapisać to czcigodne imię obywatela swego ku pamięci potomnych czasów.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Władysław Wójcicki, *Pamiętniki dziecka Warszawy i inne warszawskie wspomnienia*, wybrał Juliusz W. Gomulicki, opracowanie Zofia Lewinówna, wstęp Marii Grabowskiej, Warszawa 1974, t. 2, s. 102–104.

5. Imię potomności podane

Monitor Warszawski, 1827

Dnia 30 sierpnia r. b. we wsi Mecziszewie w powiecie wartskim wybuchnął pożar, skutkiem którego zamieszkanie possessora w jednej chwili od płomienia ogarnięte zostało, tak, iż nic wyratowaniem być nie mogło; najboleśniej sprawiło jeszcze wrażenie, że dziecię pięcioletnie possessora w tych płomieniach najokropniejszego oczekiwało zgonu. W chwili zatem kiedy już nadzieja ratunku zniknęła, i padające belki z ogniem izbę w której się dziecię znajdowało nieprzystępną czyniły, Mateusz Marczak, włościanin teyże wsi, z narażeniem się na największe niebezpieczeństwo, ocala dziecię, przebiegając z niem wśród płomieni, i na łono rodziców oddaje. Czyn podobny godny jest, aby publiczność o nim uwiadomiona została, a imię człowieka tak godnego, potomności podane było.

PRZEDRUK ZA: Monitor Warszawski, 23 października 1823 roku.

6. Ani ognia, ani niebezpieczeństwa

Walerian Kalinka (1826–1886)

W ciągu dnia było dosyć ludzi; oficerowie razem z żołnierzami przy sikawkach pracowali czynnie, wspinali się po drabinach, z okien zalewając płomienie. Lecz w ciągu obu ostatnich dni najbardziej odznaczyło się kilku Starozakonnych. Zdawało się, że niewidzą oni ani ognia, ani niebezpieczeństwa, które im nieustannie groziło; rzucali się w płomienie, stojąc w oknach wypalonych domów, gdzie jeden fałszywy krok przyprawić ich mógł o niechybną śmierć, szamotali się ze spalonymi belki, rozrywali sufity, zrzucali tlejące deski.

PRZEDRUK ZA: Walerian Kalinka, *Historia pożaru miasta Krakowa*, Kraków 1850, s. 61.

7. Ten wspaniały nieznajomy

Gazeta Codzienna, 1842

Jeden fabrykant, nazwiskiem Durieux, opowiada w tutejszych dziennikach, że na nieszczęsnej kolei żelaznej z swą córką, trzema wnuczkami i ich boną znajdował się w jednym z wagonów, który się przewrócił i już ogniem płonął, gdy jakiś młody mężczyzna, którego opisuje ubiór, z narażeniem własnego życia, jego i całą rodzinę z boną wydobył z palącego się wagonu i na bezpieczne zaprowadził miejsce. Nie dość na tem, ten wspaniały nieznajomy zniewolił ich do przyjęcia 20 franków, aby wygodnie dostać się mogli do Paryża. „Prosiłszy go z wielkiem naleganiem, aby nam powiedział swoje nazwisko. Odpowiedział uśmiechając się: – Nazywam się Artur; zresztą nie miałem czego obawiać się ognia, gdyż mój kochany wuj zaassekurował mnie przeciw ogniewi”. Poczem oddalił się kulejąc i z na pół spaloną suknią. Powiedziałem mu moje nazwisko i moje mieszkanie, ale wątpię, czy mnie uszczęśliwi sposobnością wynurzenia mu mojej wdzięczności. Oświadczam przeto publicznie, że mu jestem winien życie mojej rodziny, moje własne i 20 fr., które radbym mu zwrócić.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 22 maja 1842 roku.

8. Niewzruszenie na miejscu (katastrofa „Arctic”)

Gazeta Warszawska, 1854

Po bohatersku także obowiązek swój spełnił jakiś młody Amerykanin, inżynier, któremu kapitan kazał dawać ognia z alarmowego działa. Wśród tych scen straszliwych rozruchu i rozpacz, przez owe dwie godziny tonienia okrętu niewzruszenie na miejscu pozostał; widziano go jeszcze przy dziale, gdy pokład statku już w wodzie zostawał, ostatnią salwę dał, zstępując w otchłań Oceanu.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 15 listopada 1854, nr 313.



xI. Wspiera się



1. Mieszkańcy Warszawy

Kazimierz Władysław Wójcicki (1807–1879)

Wylew ten straszny zaczął się dnia 29 sierpnia 1813 r. i mnóstwo rodzin zubożył. Wszyscy zamożni handlujący drzewem ponieśli wielkie straty, bo ułożone w pobliżu wybrzeża Wisły tak kloce drzewa w szychty, jak w sążnie porwała woda i uniosła daleko.

Gdy most zerwanym został i spłynął także z wodą, komunikacja zerwana z Pragą, gdzie sprowadzone na rzeź woły i konie, które miały być przeprowadzone na targ na Muranów, potonęły. Cóż mówić o secinach rodzin tak w Warszawie, w Ponadwiślu, jak na Pradze zamieszkałych, którzy ratując tylko życie, całe swoje mienie utracili.

Wśród tej klęski mieszkańcy Warszawy rąk nie opuścili. Natychmiast z jednej strony Towarzystwo Dobroczynności, z drugiej utworzone na ten raz Towarzystwo Ratunkowe, pod przewodnictwem gorliwych obywateli i obywaterek, zabrały się energicznie do zbierania funduszków na ratunek topielców. Oprócz hojnych składek, do których chętnie wszyscy należeli i najubożsi swój grosz wdowi dokładali, widowisko w Teatrze Narodowym oraz koncert w kościele księży pijarów dały niemały zasób do zapomogi.

Artysta dramatyczny Ludwik Adam Dmuszewski upamiętnił datę tej bolesnej klęski napisaniem komedio-opery *Wezbranie Wisły*, wierszem, w jednym akcie, która przedstawioną była na teatrze tegoż roku. Gdy ją wydrukował, taki na czele położył przypis: „Towarzystwu Dobroczynności w mieście Warszawie, obywatelom i obywatelkom majątkiem, staraniem, talentami nieszczęśliwym wsparcie niosącym niniejszą pracę autor z uszanowaniem poświęca”.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Władysław Wójcicki, *Pamiętniki dziecka Warszawy i inne wspomnienia warszawskie*, wybrał Juliusz W. Gomulicki, opracowanie Zofia Lewinówna, wstęp Marii Grabowskiej, Warszawa 1974, t. 1, s. 273.

2. Poeci

A. Literatura w dobroczynnym dziele

Gazeta Lwowska, 1843

Nieśmy cegłę po cegle na pogorzelsko, a miasto Żmigrod wstanie z popiołów. Literatura powinna przodować w dobroczynnym dziele, bo jej teraz już nie do twarzy w ciasnym egoizmie zostawać kole. Dla tego miło nam donieść, że wkrótce wyjdzie na dochód pogorzalców Żmigrodu dzieło: *Gołąb pożaru*. Materyjały już przygotowane. Karol Szajnocha, autor oryginalnej trajedyi w czterech aktach pod tytułem: Staś, która na krótkce na naszej scenie odegraną będzie, a której jak najlepsze powodzenie rokujemy, jakiego tylko dzieła Horzeniowskiego u nas doznają, ofiarował tę swoją pracę dramatyczną na dochód pogorzalców do pomienionego *Gołębia pożaru*. Aby przedsięwzięciu temu nadać wyłączną cechę dobroczynności, oświadcza się, że książka ta nie będzie w księgarskim handlu, i że liczba egzemplarzy nie będzie przechodzić liczbę przedpłacicieli. Dzieło to jak najspieszniej wyjdzie na widok publiczny; o dalszych szczegółach wkrótce w naszych nowinach doniesiemy. O, bądźmy w niesieniu wsparcia owemi gołębiami, co się na pogrzelsko stadem zlatują!

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 27 maja 1843 roku.

B. Gołąb pożaru

Ignacy Kamiński (1819–1902)

Motto:

Rozległ się pożar, spłonęły dymniki

Stado gołębi wkoło ognia leci

W lot nieustanny rwie się ich popłoch dziki

Są to rodzice, ogień wziął ich dzieci!

PRZEDRUK ZA: Ignacy Kamiński (red.), *Gołąb pożaru: album wydany na korzyść pogorzalców miasta Rzeszowa*, Lwów 1843, <https://polona.pl/item/32095/2/>.

3. Monsieur brat Królewski

Gazeta Krakowska, 1814

Monsieur brat Królewski, przejeżdżając przez Troyes, wyznaczył 1200 drzewa z lasów narodowych na wystawienie spalonych tam domów.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Krakowska, 16 kwietnia 1814 roku.

4. Jaśnie Pan Bernard Romberg

Gazeta Warszawska, 1824

TEATR NARODOWY

Jutro w Sobotę, to iest, dnia 18 Grudnia, Jpan Bernard Romberg będzie miał honor dać w Teatrze Narodowym, na wsparcie nieszczęśliwych mieszkańców klasy niższej miasta Petersburga ostatnią powodzią zniszczonych, Wielki Koncert Wokalny i Instrumentalny.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 17 grudnia 1824 roku.

5. Znakomici artyści

Kurier Warszawski, 1822

Gdy ostatni pożar przy ulicy Mariensztat wiele rodzin pozbawił wszelkich sprzętów, a nawet sposobu do życia, Jw Würfel wezwawszy i innych znakomitych artystów ma w przyszłym tygodniu w wielkiej sali ratusza dać koncert, a dochód z niego oddanym będzie tym nieszczęśliwym. Dobroczynna publiczność bez wątpienia licznem zgromadzeniem się wesprze usiłowania utalentowanych artystów i przyniesie tak potrzebną pomoc wzywającym tej łaski.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 1822 rok.

6. Wierni i ukochani wszystkich stanów

Gazeta Codzienna, 1838

Minister spraw wewnętrznych miał szczęście otrzymać od N. Cesarza Jmci. następny reskrypt pod datą 5. stycznia. „Pożar, który w części zniszczył nasz pałac zimowy, był dla naszych wiernych poddanych pobudką do dania nowych dowodów swego przywiązania. Jak widać z doniesień, które zewsząd odbieramy, wszystkie klasy ludności na wyścigi ubiegają się o dopomożenie ku odbudowaniu gmachu tego, z ofiar dobrowolnych zastosowanych do możliwości każdego. Ofiary te nie będą potrzebne; nie przyjmujemy ich, lecz serce nasze jest żywo wzruszone uczuciami, które je natchnęły, uczuciami głębokiego poświęcenia się w każdym, mniej więcej znaczącym naszego panowania wypadku. Pragnąc oświadczyć to publicznie, rozkazujemy wam podać do wiadomości waszych wiernych i ukochanych wszystkich stanów, przez pośrednictwo głównych zwierzchników gubernii i marszałków szlachty, wynurzenia naszej Monarszej wdzięczności za te oznaki ich przywiązania, Dziękujemy tej szlachcie, która tak w dzisiejszych okolicznościach, jak i w każdym innym zdarzeniu, dowiodła, jak umie być wierną celowi swego ustanowienia i przykładem poświęcenia się. To przywiązanie droższem jest dla Nas nad wszelkie skarby i nad płody najwytworniejszej sztuki. Myśl o przywiązaniu szczerem naszych wiernych poddanych, o tej niezachwianej w każdym zdarzeniu miłości, jest nam ulgą w troskach nieodłącznych od panowania, albowiem jest razem rękojmnią przyszłej pomyślności i sławy najmilszej ojczyzny.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 21 lutego 1838 roku.

7. Jakub gospodarz

Kmiotek, 1843

Przed trzema czy też czterema laty w Kujawach piorun uderzył w stodołę Jakuba, i prawie cała spaliła się czynszowa osada; kłęska ta przypadła po zbiorze z pola i tym była dotkliwszą, że jeszcze gospodarze ani w połowie oziminy nie posieli. Nieszczęśliwi więc gospodarze wybrawszy z pomiędzy siebie dwóch, wysłali ich do sąsiedzkich wiosek, aby prosili o wsparcie u innych gospodarzy. Ci pewnego rana, przybywszy na podwórze majątnego gospodarza, zastali go przed stajenką, jak coś mówił do swego parobka. Zbliżywszy się, usłyszeli jak upominał swego sługę i wyrzucał mu, że szlei, któremi poprzedzającego dnia konie były zaprzężone, na noc przyzwoicie pod dach nie zachował, ale porzucił, a deszcz je zmoczył. „Oho! Rzekł jeden do drugiego, nic tu nie wskóramy, kiedy się tu o tak małą rzecz znieważa”. I w rzeczy samej chcieli się już wrócić, bo nie spodziewali się, aby od tego gospodarza dostać co mogli; zdawało się im, że nic nie udzieli ten, co tak małej rzeczy przestrzega i nie opuści. Ale nareszcie umyślili doświadczyć, i powiedzieli gospodarzowi, co ich do niego przywiodło. Wtedy gospodarz prosił ich do izby, poczęstował wódką i śniadaniem, dał im znaczny dar w pieniądzech i przyobiecał więcej jeszcze przysłać do nieszczęśliwej wsi zboża. Dziwili się że tak niespodziane znaleźli wsparcie, i powiedzieli mu, że go z razu uważali za coś więcej jeszcze niż za oszczędnego, czyli za skąpego, ale teraz widzą, że się w swem sądzieńiu mylili. Na to odpowiedział ów gospodarz: „Moi mili przyjaciele, właśnie dla tego że dbam o swoje dobro, pilnie około niego chodzę i oszczędnie go przestrzegam, przez to mówię, przyszedłem, jak widzicie, do tego szczęśliwego stanu, że i sam dosyć mam i nieszczęśliwym udzielić mogę”.

PRZEDRUK ZA: Kmiotek, 14 stycznia 1841 roku.

8. Arcyksiążę palatyn

Gazeta Codzienna, 1838

Z Pesztu 25 marca. – Któż by opisać zdołał klęski i przygody, które podczas ostatniej katastrofy lub skutkiem tejże nastąpiły? Aż do tej chwili przeszło już 1000 trupów wydobyto z pod gruzów przystępnych. Liczbę domów, które tam się zawaliły, podają już na 2000. Komu wiadomo, jak ogromne zapasy towarów i rozmaitych płodów, były tu na terażniejszy walny nagromadzone, ten pojmie bez wątpienia, że dobre mienie kupców tutejszych dotkliwego doznało ciosu, skoro więcej jak $\frac{3}{4}$ części wszystkich towarów niszcząca przemoc żywołu z sobą uniosła (...) Jednakże odbieramy ze wszech stron zaspakajające zaręczenia, że ludzkość i dobre chęci obywateli państwa austryackiego wydzwignie z okropnego położenia swych ziomeków niedolą dotkniętych. – Dobroczynność arcyxięcia palatyna świetnym ciągle jaśnieje blaskiem; przeznaczył on 100.000 złr z swojej prywatnej szkatuły na opędzenie kosztów wyżywienia podupadłych. Równie daleko sięgają i nędzę obecną ile możliwości łagodzą urządzone przezeń środki, których ściślego wykonania syn palatyna, arcyksiążę Stefan, rozwijający w tej chwili utrapień godną uwielbienia czynność, jak najmocniej przestrzega. Użyto wszelkich sposobów, aby spokojność, porządek, bezpieczeństwo i ulgę mądrze i sprężysto zaprowadzić i urządzić. Dowozy żywności bez opłaty cła i innych nie ustają wcale. Aby ubóstwu i niedostatkowi w robocie ulżyć, wezwano wszystkich wyrobników i furmanów z naznaczeniem wysokiej zapłaty, aby się po robotę zgłosili. Urządzono wiele szpitalów, przyjęto płatnych dozorców przy chorych, a wynoszących się z miasta wyprawiają kosztem publicznym do miejsc wskazanych, na statkach parowych lub na wozach do najbliższej stacyi, dając każdemu stosowne opatrzenie pieniężne na drogę (...) Szlachta okoliczna dowodzi w tem zdaniu prawdziwie szlachetnego sposobu myślenia; liczne szlacheckie rodziny, nie tylko iż znaczne, nadesłały summy pieniężne

na wsparcie biednych i znaczną ilość zboża na ich wyżywienie, ale nadto niektóre oświadczyły się z gotowością przyjąć do dóbr swoich po 200 osób i cierpiących niedostatek na bezpłatny koszt życia i utrzymania.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 13 kwietnia 1838 roku, nr 2106.

9. Cesarz

Walerian Kalinka (1826–1886)

Przed wieczorem, pociągiem przybył z Wiednia umyślny posłaniec cesarski generał Maj V. Kellner z darem 30.000 złr. przez n. pana do natychmiastowego rozdania między pogorzalców przeznaczonym.

Z wdzięcznością przyjęto ten dowód troskliwej opieki o los miasta. Komissya gubernialna poleciła natychmiast Radzie miejskiej wydelegować komitet złożony z Radzców i obywateli do oznaczenia wsparcia dla każdego w miarę jego niedostatku i poniesionych strat. Zajęto się bezwzględnie ułożeniem spisu i już d. 23 o godzinie 11 rano na podwórzu Liceum Nowodworskiego, a w następnych dniach w pałacu Spiskim według opinji Rady miejskiej rozdawano w przytomności Jen. Chlawaczka, i Szefa komisji Gubernialnej oraz innych władz wsparcie które od 5 złr. do 250 złr. dochodziło. Była to rzeczywista dla nieszczęśliwych pogorzalców pomoc, gdy niejeden ojciec rodziny, i rzemieślnik żyjąc z codziennego zarobku, a nawet i zamożniejszy na pozór mieszkaniec, rządząc się obliczonym na przyszłość dochodem, znalazł się w jednej chwili z żoną z dziećmi i służącą na bruku, z kilkoma złotemi w kieszeni, a może nawet i bez nich. Tymczasem trzeba było myśleć o mieszkaniu, o nieodzownych sprzętach, o kawałku chleba; wsparcie więc z summy 30.000 złr. zaspakajało nie tylko pierwsze, dzisiejsze potrzeby, ale otwierało pole myślenia o jutrze. Błogosławiono zatem dawcę, a odjeżdżającego w d. 24 posłańca Cesarskiego generała V. Kellner, pożegnano dziękczynną mową i głośniami okrzyki.

PRZEDRUK ZA: Walerian Kalinka, *Historja pożaru miasta Krakowa*, Kraków 1850, s. 65–66.

10. Król, królowa, Madame Adelaide...

Gazeta Lwowska, 1845

Podług rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych będą zbierane we wszystkich gminach całego departamentu poniżej Sekwany publiczne składki dobroczynnych darów wszelkiego rodzaju dla licznych ofiar katastrofy w dolinie Monville koło Rouen. W samym mieście Rouen, w Havre, Dieppe, tudzież innych miastach departamentu biegają już subskrypcyje, zawierające znaczną sumę. I w Paryżu otworzono podobnie subskrypcyje, niektóre teatry i muzyczne towarzystwa będą dawać spektakle i koncerty na dochód unieszczęśliwionych. Również i ministeryjum wyznaczyło już znaczną kwotę na pokrycie pierwszych, najnaglejszych potrzeb. Na tenże cel wyznaczyli król i królowa 8000, Madame Adelaide 2000, a księżna Orleańska i hrabia Paryża 5000 franków.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Lwowska, 4 września 1845 roku.

11. JJ. CC. ww za zezwoleniem N. Cesarzowej

Kurier Warszawski, 1842

Dotychczas odkryto na pogorzelsku Kazańskim 3ch ludzi zabitych, ranionych zaś z Policji 16. Dla rychłego wsparcia pogorzalców ofiarowali: N. Cesarz 50,000 rubli srebr. N. Cesarzowa 5,000 rubli sr; JJ. CC. ww Wielcy Xżęta Konstanty, Mikołaj i Michał Mikołajewicz oraz wielkie Xiężniczki Olga i Alexandra Mikołajewny, za zezwoleniem N. Cesarzowej, po 1000 rub.sr. Min. spraw wew. z funduszków wsparcia wysłał także do Kazania 10,000 rub. sr.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 4 października 1842 roku, nr 262.

12. Zdziwiający lud San Francisco

Dziennik Warszawski, 1851

New York 21 Czerwca. Oto są niektóre szczegóły strasznego pożaru w San Francisco. Zgorzały między innymi: gmach celny, giełda, hotele: Union, Parkera, Narodowy, New World, City, Delmonico, biuro towarzystw żeglugi parowej. Okropne zamieszanie panowało w czasie pożaru, i największa część mieszkańców nic nie uratowała z swojego mienia. Obawiają się że wielu znalazło śmierć w płomieniach. Ogień rozciągnął się aż do okrętów, z których wiele znajdujących się na warsztatach zgorzało. San Francisco przedstawia teraz okropny obraz. Przedsięwzięto rozliczne środki dla wsparcia nieszczęśliwych pogorzalców.

Podobna katastrofa powinna była złamać energję najdzielniejszych nawet ludzi i w istocie w pierwszych chwilach zamieszanie, prawie osłupienie, było niezmierne; ale to nie trwało długo, i wnet każdy wziął się do dzieł, aby ile możności prędko naprawić to, co niszczało. Jesteśmy rzeczywiście zdziwiającym ludem, mówi Herald wychodzący w San Francisco. Żadna trudność nie może wstrzymać, żadne nieszczęście złamać odwagi naszych współobywateli. Ogień jeszcze nie zaprzestał dzieła zniszczenia, zwałiska dymiły się jeszcze, a już zaczęto usuwać je, aby rozpocząć nowe budowle. I dzieło postępowało z nadzwyczajną szybkością, bo w ciągu niespełna 10 dni od pożaru rozpoczęto już 357 nowych budynków; większa ich część już jest nawet skończona i zamieszkana. W tej liczbie nie mieszczą się budynki rozpoczęte dawniej w okręgach, których pożar nie dotknął. Wiele wprawdzie buduje się domów z drzewa, ale wszędzie gdzie były murowane, takie same wznoszą się na ich miejsce i jeszcze lepsze od dawnych. Zaprawdę taka nieposkromiona wytrwałość zasługuje na nagrodę i San Francisco, doświadczywszy tak ciężkiej próby, ujrzy wkrótce zapewne powrót zupełny dawnej pomysłowości.

PRZEDRUK ZA: Dziennik Warszawski, 10 lipca 1851 roku.

13. Po pożarze hamburskim

A. Książę i stowarzyszenia

Gazeta Warszawska, 1842

W najwyższym stopniu ubolewać nad tem należy, że zarządzane przez władze rozsadzanie domów w okolicach, których ogień jeszcze nie dosięgnął, dało powód do domysłów o umyślnym podpaleniu i poprowadziły do podejrzenia przeciw najszlachetniej udzielanej pomocy. Ale już Bogu dzięki spowodowane przez to wzburzenie uspokoiło się zupełnie (...) Książę Fryderyk von Schleswig Holstein namiestnik tego księstwa, osobiście przybyszy tu dzisiaj, ofiarował senatowi wszelkie źródła zasiłku swojego księstwa (...) Rozmaite dobroczynne stowarzyszenia starają się wszystkimi sposobami zarządzić chwilowym potrzebom nieszczęśliwych pogorzalców. Wszystkie sąsiednie okolice okazują nam w najczynniejszy sposób wzruszające dowody swego przyjaznego zajęcia. Dla pracującej klasy wkrótce nie będzie brakować zatrudnienia. Już otwierają się widoki przyszłości. Zniszczone kościoły w duży i w sercu obywateli będą odbudowane. Skromna oszczędność zastąpi miejsce rozrzutnej chęci używania zbytków, a obudzona przez nieszczęście moralna energia bez wątpienia jako trwałe zysk przetrwa bolesne straty, do nagrodzenia których już wszystkie siły zbierają się w pełnym ruchu.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 18 maja 1842 roku.

B. Deputowani i współobywatele Francji

Gazeta Codzienna, 1842

Miasto Hamburg stało się ofiarą strasznego pożaru. W r. 1840 południowa Francya wraz ze swemi żyznemi dolinami przez wodę spustoszoną została. W owych bolesnych chwilach objawiło się zagranicą dobroczynne współczucie; nadeszły stamtąd wsparcia dla nieszczęśliwych naszych rolników, a przed innemi krajami Niemcy okazały się szlachetnemi. Francya nawzajem nie pozostała nieczułą; okaże ona w tej okoliczności całą swoją sympatyą dla ludów niemieckich, naszych sąsiadów, i z swej strony prześle im zasiłki. Czynimy odezwę do naszych współobywateli na korzyść nieszczęśliwych ofiar pożaru Hamburga, i donosimy, że poniżej wymienieni Deputowani składają komitet, który przyjmować będzie podpisy (...)

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 24 maja 1842 roku.

C. Bracia Rothschild, Hering i ludzkość angielska

Gazeta Warszawska, 1842

Londyn 13 Maja. Tutejsze dzienniki zawierają doniesienia, że u bankierów londyńskich otworzone zostały księgi do zapisywania składek na wsparcie pogorzalców hamburskich, i że w tym celu ma się odbyć zgromadzenie kupców londyńskich w City, na którym jak mniemają lord major będzie prezydował. Pocztą odchodzącą dziś do Hamburga ma już być jak słyhać przesłaną tam pewna summa pieniędzy, która jak mówi Standard okaże przynajmniej mieszkańcom Hamburga, że ludzkość angielska szybko wzięła się do dzieła dla wsparcia ich. „Trudno by wymyślić prawie wypadek, dodaje ten dziennik, który by w wyższym stopniu mógł zasługiwać na sympatję naszego narodu, i miło będzie obywatelom Hamburga dowiedzieć się, że ich położenie wzbudziło w całej stolicy Anglii najżywsze zajęcie. Prócz tego interesa i własności angielskie mają mieć udział w tym wypadku. Od dawna rozmaite hamburskie zakłady zabezpieczały się w towarzystwach asekuracyjnych angielskich, a przytem mnóstwo towarów kolonialnych złożonych w Hamburgu na rachunek naszych kupców zostało zniszczone przez pożar”; – *Morning Chronicle* w następujący sposób rozwija swoje żywsze jeszcze wezwania do okazania zajęcia dla losu zniszczonego miasta handlowego. „Nie potrzebujemy prawie, mówi ten dziennik, przypominać naszym współobywatelom tak nieomyślnej nauki, *bis dat qui cito dat* (kto spiesznie daje dwa razy więcej daje), która nigdy nie była bardziej na swoim miejscu jak w tej chwili. Wprawdzie wiemy, że obecne stosunki finansowe Anglii nie są tego rodzaju, żeby dozwalały wielkiej hojności w wsparciu dla cudzoziemców, ale w dawniejszych czasach parlament nie raz odznaczył się szlachetną wspaniałością, kiedy opatrzność ciężkiem cierpieniem dotknęła obce narody. Po trzęsieniu ziemi w Lizbonie roku 1755 wydaną została nota od tronu do obu izb parlamentu, wzywająca ich pomocy ku szybkiemu wsparciu

nieszczęśliwych, i parlament w dniu 8 Grudnia 1755 roku wyznaczył wsparcie 100,000 f. st. dla nieszczęśliwych mieszkańców stolicy Portugalji. Nie byłoby zatem bezprzykładnie, żeby nasze ciało prawodawcze i teraz coś uczyniło dla ulżenia nędzy Hamburga. Bez wątpienia sir Robert Peel posiada dość bystrości sądu, aby uczuć, że są rozliczne powody, które równie w nagłący sposób doradzają wykonanie dzieła wspaniałości narodowej względem Hamburga jak w 1755 roku względem Portugalji. Nie potrzebujemy nic więcej powiedzieć, jak tylko, że przy terażniejszej zawikłanej tkance niemieckiej polityki nader ważnem jest dowieść miastom hanzeatyckim prawdziwej przyjaźni Anglji. Publiczność wypełnia swoją część, niechże rząd nie zostanie w podobnem przesileniu w tyle za uczuciami narodu”. Podług raportów giełdowych tego dziennika między już podpisanemi składkami na pogorzalców Hamburga znajduje się 29Q f. st. od firmy braci Rothschild, i po 100 f. st. od domów braci Haring, C. I. Hambro i syn, H. Sillem, Fred. Huth i spółka, i I. A. Droop. Podług tego dziennika towarzystwa asekuracyjne angielskie w skutku pożaru w Hamburgu będą musiały zapłacić około pół miliona funtów sterl.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 23 maja 1842 roku.

D. Wszystkie narody

Gazeta Codzienna, 1842

Hr. Hompesch ogłosił tu odezwę względem wzajemnych gwarancji między narodami. Zniszczenie Hamburga – mówi on – jest katastrofą, jaka się zdarzyć może w całym świecie. Pojedyncze wsparcia nie są dostateczne. Ileż to rodzin przez to upada! Przy tak wielkim nieszczęściu zwyczajne towarzystwa asekuracyjne nie wystarczają. Jeden jest tylko środek. Sąsiad nie jest już teraz uważany za naturalnego nieprzyjaciela, ale za lud braterski. Niech narody się połączą i przez swe rządy mają udział w przywróceniu Hamburga pod warunkiem, że w podobnych przypadkach znowu innym będzie niesiona pomoc. Francya, Anglia, Belgia, Hollandya, całe Niemcy i Austria mają 3 tysiące milionów podatku. Przypuściwszy, że Hamburg traci w prywatnych własnościach 100 milionów. Belgia płaci 10 milionów podatku gruntowego; potrzebowałaby zatem tylko pobrać 3 dodatkowe centymy. Któż by ich chętnie nie zapłacił. Przypadki, w których by ta pomoc nastąpić powinna, musiałaby ściśle być oznaczona. W większej części krajów są Izby zgromadzone. Potrzeba tylko zaproponować takie prawo, a jednomyślnie zostanie przyjęte.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 31 maja 1842 roku.

E. Wszystkie narody 11
Gazeta Warszawska, 1842

Dziennik Independant w Bruxelli wychodzący z dnia 18 Maja zawiera następujący artykuł: „Pożar Hamburga ogromne zdziaławszy zniszczenie, musiał koniecznie zwrócić myśl każdego zastanawiającego się człowieka ku wynalezieniu środków pokrycia klęsk podobnych. Nie można żądać tych środków ani od prywatnych majątków, ani nawet od towarzystw assekuracyjnych. Bo w istocie, skoro pożar na tak ogromną szerzy się skalę jak w Hamburgu, indywidualne mienie i stowarzyszenie kapitałów staje się niedostatecznym. Gdzie indziej więc trzeba szukać lekarstwa na tak dotkliwą plagę. (...)

Wielkie klęski powinny być dla ludzkości wielką nauką. Zniszczenie Hamburga jest jedną z tych klęsk publicznych dotyczących nie tylko bezpośrednie ofiary pożaru, lecz pociągających jeszcze za sobą mnóstwo szkód, strat, i bankructw, nieuchronnych skutków licznych stosunków handlowych, przerwanych niemożnością wypełnienia swoich zobowiązań, w którą popadają ofiary klęski. Indywidualna pomoc, jakkolwiek liczna, jest za słabą do usunięcia tych niezmiernych wypadków klęski, i to szczęście, jeżeli zdoła uchronić od głodu i okropności nędzy tysiące rodzin bez chleba i przytułku, obudzające politowanie ogólne. Nikt się nie troszczy o zrujnowanych wierzyteli, a ileż to szanownych rodzin bezpowrotnie zgubionych, i jaki okropny wpływ ta klęska wywrze na wiele miast handlowych Europy!

Kassy assekuracyjne zdolne zapobiedz zwyczajnym klęskom są zniszczone, a kapitały ich znikną jak strumień w morzu, nie podniósłszy zniszczonych majątków. Któż na przyszłość ośmieli się jeszcze powierzyć swoje kapitały podobnym stowarzyszeniom, kiedy w jednej chwili pochłonięte być mogą procenta, dywidendy i kapitał? Rękojmia ta staje się nie tylko zwodniczą w takich razach, ale obawa podobnych wypadków będzie przeszkodą tym użytecznym instytucjom.

W obliczu tych wielkich katastrof ludzkość jęczy i ugina się pod jarzmem swej niemocy, utyskując na fatalność i przeznaczenie.

Lecz po co narzekać, kiedy znajduje się lekarstwo na te wielkie nieszczęścia, lekarstwo godne naszego wieku i naszej ery cywilizacyjnej, łatwo dające się wykonać i stanowiące jedną z tych potrzeb, które dosyć jest wskazać, aby obudzić uczucie sympatii we wszystkich sercach i umysłach. Środek ten można by nazwać ogólną asekuracją narodów. Cóż bowiem może być prostszego i rozsądniejszego w epoce, gdzie każdy lud, zachowując swoją narodowość, nic widzi już w swoich sąsiadach nieprzyjaciół gotowych do napaści i cieszących się jego nieszczęściem, ale braci jednej wielkiej rodziny, złączonych wspólnym węzłem wyobrażeń, cywilizacji, handlu i przemysłu!

Niech więc przyjazne ludy połączą się, przez organ swych rządów, by rozdzielić na ogół, klęski sprawione przez te wielkie wypadki, przechodzące ludzką przezorność i odosobnione usiłowania, a niezadługo zobaczą powstały z popiołów starożytny i kwitnący Hamburg. Wspaniałomyślne postanowienie, które by potomność złotemi głoskami zapisała w księdze ludzkości, w jednej chwili wstrzymało by łzy, nędzę, i skargi, i ustaliłoby na zawsze pokój, pomyślność i szczęście Europy, cel szlachetny i wspaniały, do którego od kilkudziesięciu lat zmierzają wszystkie usiłowania władców i gabinetów. (...) Bruxella, 15 maja 1842, Hrabia de Homspesch

PRZEDRUK ZA: Gazeta Warszawska, 31 maja 1842 roku.

14. Bóg Wielki i ludzka dobroczynność

Kurier Warszawski, 1842

Niemiała to rzecz rok ieden w życiu człowieka, kiedy pomnim że z tego życia, aczkolwiek byłoby ono najdłuższe, trzecią część na lata dziecinne i wzrostu, a nieraz drugie tyle na lata odpoczynku odtrącić wypada. Szanujmy więc lata, bo z nich rok każdy jest ważnym ustępem życia ludzi, ogniwnem wieczności. Rok 1842 niełatwo zapomnianym będzie. Aczkolwiek pod wielu względami pamiętna historia jego, niemało kart smutku i żałoby zostawia. Kiedy w Europie pożar Hamburga, okropna śmierć tylu ofiar na kolei żelaznej Wersalu, a nieco później przerażający y nieprzewidzeniem nieszczęśliwy zgon Następcy tronu Fran. zatrwożyły umysły wszystkich; w jednym prawie czasie na drugiej półkuli ziemskiej równie wielka, jak niepamiętna katastrofa tysiące mienia i życia zburzała. Mówimy o trzęsieniu ziemi na wyspie Hajiti. Nie na tylko katastrofach ograniczyły się smutne wypadki r.b. Gwałtowne pożary we wszystkich kraich zniszczenie swoje wywarły. Nie tak tak dawno wygasły pogorzelniska Liverpoola, tylu miast niemieckich; zamożnego Kazania, w Rossji, a u nas Ciechanowa, Bełchatowa, Jedlińska, oraz pogorzelnisk samejże Warszawy, w której pożar przy Ogrodowej ulicy był najdotkliwszym. Ale w tak wielkich doświadczeniach próbuje się dobroczynność ludzka. Widzieliśmy jak skwapliwie niesiono pomoc nieszczęśliwym hamburczykom; widzieliśmy jak w Rossji MONARCHA naprzód, Rodzina JEGO, współbracia nieszczęśliwych ofiar ponieśli grosz swój dotkniętym niedołą; widzieliśmy wreszcie jak u nas nigdy głuche serca na odgłos nieszczęścia spieszyli dzielić szlachetne wsparcie dla pogorzelników Kazania, to znów dokładać dar do tego, który Łaskawy MONARCHA na wsparcie Pogorzelników Warszawy przeznaczył. Jeśli z jednej strony ogień dotykał, woda folgowała. Nie widzieliśmy tych obrazów okropnego zniszczenia, które u nas od lat kilku brzegi Wisły powodzią dotknięte przedstawiały. Urodzaj dał BÓG wielki, zażyzniły się pola, zebrano hojny

owoc ziemi, a jeśli niestety nieprzewidziane wypadki wywarły wszędzie wpływ niekorzystny na ceny zboża i przez to znacznych strat stało się przyczyną, ta wielka pocieszająca pozostaje pewność, że do tylu klęsk dotykających ród ludzki najokropniejsza klęska głodu z powodów urodzaiów miejsca mieć nie będzie. Odbierane wszakże ze wszechstron wiadomości o przewidyaniach handlu przyszłorocznego zdaie się pozwalać rokować dosyć pomyślnie o sprzedaży tych produktów tutejszego kraju, to jest zboża, wełny i rzeczy kopalnych, które główne jego bogactwo stanowią.

PRZEDRUK ZA: Kurier Warszawski, 31 grudnia 1842 roku.



xii. Śmieje się



1. Wolno posłać

Fryderyk Chopin (1810–1849)

Do rodziny w Warszawie

KURYER SZAFARSKI

Piątek

Wspomnienie.

Dnia 27

R. 1798. Ogier kasztanowaty wracając do domu

Sierpnia 1824.

zdechł na samej granicy.

Wiadomości Krajowe

Dnia 25 m. i r. b. panna Kosteria, owa dama, która niegdyś czarującym głosem wołała na pana Szymona, gay, gay, wychodząc z kuchni z dziezką pełną wody, zagapiła się, brzdękła i dziezkę stłukła. – Tak wielki przypadek natychmiast Redaktorowi „Kuryera” doniesionym został, który uważając go za igraszkę ekstraordinaryjnej zgrabności, pierwsze mu miejsce między narodowymi wiadomościami przeznaczył. – Dnia 26 m. i r. b. w kurniku znalezionym został potwór kurczęci. Owe straszidło jest o dwóch nogach, z jednym skrzydełkiem, bez kupra i głowy. Ochmistrzyni kurczęcia stara się ile możliwości przesłać go do Warszawy lub do innej stolicy, ażeby tam rozpoznane, miejsce zająć mogło w rzędzie szczególniejszych zjawisk natury.

pan Pichon doznaje wielkich przykrości z powodu kuzynów, których w Szafarni bardzo wiele zastał. Gryzą go, jak mogą, dobrze jednak, że nie w nos, bo by miał jeszcze większy, aniżeli ma.

Dnia 26 m. i r. b. S u d y n a, suka, złapała w zborzu [sic!] kuropatwę. Jw Panna Kozaczka, spostrzegłszy to, odebrała jej ową zdechłą biedaczkę i powiesiła na gruszcze. Suka przemyślna dopóty trzęsa gruszką i skakała, dopóki kuropatwy nie dostała, którą, złapawszy, smacznie skonsumowała. – Potomkowie owych sławnych B o h a t e r ó w, którzy K a p i t o l od Gallów obronili, często owies na pniu zakupują. Tandeta ta czasem panów kupców o śmierć przyprawia;

wielu z nich bowiem kijem w łep [*sic!*] dostaje, a więcej jeszcze na różnie ginie. – Brat owego melankolicznego gulaka ze zgryzoty dostał zgniłej gorączki i leży bez nadziei życia. – Dnia 25 Kaczor, wyszedłszy po kryjomu bardzo z rana z kurnika, utopił się. Dotąd jeszcze nie można dojść przyczyny owego samobójstwa; familia bowiem nic nie chce gadać. – Krowa daleko zdrowsza i nikt nie wątpi o jej zupełnym wyzdrowieniu.

Rok 1824

Wiadomości Zagraniczne

Dnia 26 m. i r. b. w Sokołowie Indyk wlaź ukradkiem do ogrodu. Kania, chowana od młodości w ogrodzie, w życiu nie widząc indyka, krzywo na niego patrzała, a zbliżywszy się, oczy mu wydrapać chciała. Indyk się napuszył, a widząc, że miną nic nie wskóra, wziął się do dzioba. Wszczęła się walka; zwycięstwo żadnej stronie nie sprzyja, aż na koniec, po długiej potyczce, Indyk-zwycięzca, wydziobawszy kani oko prawe, smutnie pojedynek zakończył. Jpan Pichon był dnia 26 m. i r. b. w Golubiu. Między innymi pięknościami i szczegółami zagranicznymi widział Świnię zagraniczną, która szczególniejszą uwagę tego tak dystygowanego wojażera zajęła.

Dnia 25 m. i r. b. w Białkowie kot zadusił kurę, której nikt odżałować nie może.

Pewien Jegomość z okolicy, pomimo najściślejszej rewizji strażników na pograniczu będących, zdefraudował trzy kije pod płaszczem, bo je w Golubiu podczas jarmarku na surdut dnia 24 m. i r. b. dostał.

Wolno posłać.

Cenzor L. D.

12. Do rodziny w Warszawie

KURYER SZAFARSKI

Wtorek

Wspomnienie.

Dnia 31 Sierpnia 1824 roku.

Mysz r. 1802 wygryzła dziurę
w trzewiku Jpanny Józefy
Dziewanowskiej.

Wiadomości Krajowe

(...)

Dnia 29 m. i r. b.jechała fura Żydów. *Die ganze Familie* składała się *aus eine* Maciore, tsiech dużich Żydziech, dwóch malich i sieść sztuk Żydziatek; wsiscy siedzieli na kupie, kieby śledziów holerderskich. Tymczasem zawadzili o kamień, wyrócili i następującym porządkiem na piasku leżeli naprzód bachorki, każde w innej pozycji, większa część z zadartymi do góry nóżkami, a na nich Maciore, stękająca pod ciężarem Żydów, którym w locie z impetu krymki pozlatywały.

(...) Dnia 30 m. r. b. Jpani Zaker ska, obywatelka szafarska, pokłóciwszy się z drugą, ze złości, że jej nic zrobić nie mogła, utopić się chciała. Szczęściem, że Pani Szrederowa, żona pana Gärtnera, owego starego obywatela, spostrzegłszy to przybiegła; a gdy ta już głową w stawie była, zręcznie ją za nogi wyciągnęła i życie jej ocaliła.

(...)

Wolno posłać.

Cenzor L. D.

PRZEDRUK ZA: *Korespondencja Fryderyka Chopina*, zebrał i opracował Bronisław Edward Sydow, redakcja i przypisy Janusz Miketta, Warszawa 1955, t. 1, s. 41–43.

2. Trzy butelki

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Rozstaliśmy się o zachodzie słońca – bo tu wschód o tej porze roku zaraz po północy – a w godzinę później już dygotaliśmy z Eustachym w kbitce zamiast kocza, w którym przyparadowaliśmy z Warszawy. I trzebaż, że przed wieczorem jeszcze dla gaszenia osi, która się w niej zapaliła od jazdy, musieliśmy zużyć aż trzy butelki najwyborniejszego Lafitta, w które książe Wittgenstein zaopatrzył na drogę ulubieńca swego Eustachego.

PRZEDRUK ZA: Antoni Edward Odyniec, *Listy z podróży*, opracował Marian Toporowski, wstępem poprzedziła Maria Dernałowicz, Warszawa 1961, s. 52.

3. Śledzie

Julian Ursyn Niemcewicz (1758–1841)

Pamiętają starzy różne historie, które Radziwiłł lubił opowiadać. Jak w pierwszej młodości swojej służył za chłopca u księdza, jak mu usługiwał do mszy, chędożył sutannę, opatrywał konia jego, jak często był bitym. Jak płynąc z Triestu do Wenecji, spotkała go burza, a gdy okręt całkiem na jedną stronę się przewalał, on skoczył w morze i jak hajduk wywracającą się karekę, on okręt barkami swojemi wsparł i ocalił; jak pokazała się na morzu piękna syrena, zakochała się w nim, jak się z nią złączył.

– Z tej koneksji, panie kochanku – mówił Radziwiłł – porodziły się śledzie, które jemy w posty.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich. Dzieło pośmiertne Juliana Ursyna Niemcewicza*, Lipsk 1868, s. 50.

4. Białe mrówki

Goniec Krakowski, 1829

Nadeszły tu wiadomości z Pekinu o niespodzianych wypadkach i zmianach w administracji *państwa niebieskiego*. Wszyscy ministrowie oddaleni zostali, i nawet mają być pod sąd oddani. Nie idzie tam o zdradę kraju, o nadużycie grosza publicznego, albo o jaką inną zbrodnię, ale o coś nierównie ważniejszego, okropniejszego!... Oto grób, przeznaczony na zachowanie swego czasu zwłok panującego dziś Cesarza, napełnił się niedawno wodą, i mnóstwo białych mrówek, zwiastowniczek nieszczęścia, obrało tam sobie mieszkanie! Całe przez to państwo niebieskie w posępnym pograżone jest smutku i żałobie, z tak nieszczęśliwego wypadku. Grobowiec ten, wystawiony był z wielkim kosztem. Budownicze najbardziej godni są pożałowania: albowiem nie tylko że nie odbiorą umówionej zapłaty, ale nawet będą musieli znaczne kary zapłacić za to, że nie przewidzieli podobnej katastrofy.

PRZEDRUK ZA: Goniec Krakowski, 25 lipca 1829 roku.

5. Połyskujące czernidło

Czas, 1851

W Anglii używają sztuk dramatycznych w celu wychwalania tego lub owego wynalazku lub wyrobu. Tak przed niedawnym czasem przedstawiono w Londynie krotoczwilę pod napisem *The Shipwreck*. Młodzieniec imieniem sir James udaje się do Indyi dla szukania losu, na nieszczęście statek, na którym płynął, rozbity został, a młodzieniec wyrzucony wraz z kilkoma towarzyszami na wyspę zamieszkałą przez ludożerców. Ci pozarzynali jego znajomych, jego samego zaś pominęli. Szczęście swoje winien był lśniącemu obuwiu swemu, które splukane wodą morską połyskiwało od słońca. Dzicy wzięli go za jakąś wyższą istotę, padali przed nim na kolana, zamiast go zabić i upiec jak jego towarzyszy. Tu oczywiście wydało się nazwisko i adres fabrykanta, który tak połyskujące czernidło robi, i to była moralna strona dramatu.

PRZEDRUK ZA: Czas, 9 kwietnia 1851 roku.

6. Osobliwy proces

Gazeta Codzienna, 1843

Osobliwy proces zajmuje w tej chwili uwagę publiczną. W katastrofie na wersalsko-paryskiej kolei żelaznej państwo Peysseion utracili życie. Niedawno się byli pobrali i zapisali sobie nawzajem majątek na przeżycie. Do którego z nich majątek przez jedną chwilę należał? Którzy spadkobiercy mają do niego prawo, męża czy żony? To są kwestie, które tymczasem przedłożone zostały rozstrzygającemu z lekarzy złożonemu Trybunałowi.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Codzienna, 10 kwietnia 1843 roku, nr 100.

7. Ja już trupek

Henrietta z Działyńskich Błędowska (1794–1869)

Razu jednego siostra moja siedziała w pokoju sycowym, wystrzygając z czarnego papieru sylwetki. Chcąc ją naśladować, a nie mając czarnego, z białego wystrzygałam, posmarowawszy atramentem. Kontenta z wynalazku, pobiegłam do drugiego pokoju, aby przed kominkiem wysuszyć, wtem suknię moją muslinową płomień wciągnął. Przestraszona, nic nie mówiąc ani krzycząc, stanęłam przed moją siostrą, która ujrawszy ogień, zerwawszy się, stanęła jak wryta. Milcząc byłabym spłonęła, żeby nie brat mój, który z pierwszego pokoju wypadł, a zobaczywszy mnie w ogniu, krzyknął przeraźliwie: „Henrytka w piekle”. Wpadły zaraz osoby będące w pierwszym pokoju i pan Rembertowicz kontuszem swoim przykrył mnie i ugasił ogień. Pytano mnie, dlaczego nie krzyczałam. Odrzekłam, że myślałam, że ja już trupek. Mało co popieczoną byłam, choć już na piersiach suknia się paliła. Babka mi przykazała, abym o piątku zawsze pamiętała, gdyż to był piątek, w którym mi Bóg życie ocalił, był to 13 września. Trzynastego się urodziłam i ten numer często w moim życiu zdarzenia pamiętne zostawił.

PRZEDRUK ZA: Henrietta z Działyńskich Błędowska, *Pamiętka przeszłości. Wspomnienia z lat 1794–1832*, Warszawa 1960, s. 38.

8. Głowa niżej niż nóżki

Kazimierz Bujnicki (1788–1878)

Tak się ze mną stało; przebolawszy roździał z Marią, zakochałem się w Józefinie Platerównie, starszej ode mnie laty coś dwiema. Względem tej byłem śmielszy, lecz w niej kokieteria zastępowała tkliwość, przeto łatwo było jej się podobać, ale równie łatwo było wypaść u niej z łaski. Doświadczyłem tego, gdy podczas jednej szlichtady zimą, wiozłem ją, siedząc w tyle saneczek na ławeczce (jak to było w owym czasie modą), a mając damę przed sobą. Wielkiej stąd trzeba było uwagi w kierowaniu koniem, ale ja, zakochany, prawilem do uszka mojej królowej słodkie słówka, a tymczasem koń źle kierowany zboczył z drogi, płoż jeden wsunął się w rów, sanki się wywróciły, a my z panną... buch do głębokiego śniegu, ona zaś tak nieszczęśliwie, że głowa znalazła się niżej niż nóżki, w położeniu nieco krytycznym. Jak na nieszczęście, nie mogłem przynieść jej potrzebną w tym razie pomoc, bom sam leżał w śniegu przyciśnięty sankami i przeszła dobra chwila, nim towarzysze jadący za nami nie wydobyli nas obojga z rowu, wśród śmiechów i żarcików na mój rachunek. Przepraszałem moją damę, składając niezręczność na potęgę mych uczuć, lecz to niewiele pomogło do rozbrowienia jej gniewu, przesiadła do drugich sanek, a ja za pokutę z bolącą nogą, wróciłem ze spaceru smutny i złorzeczący losowi.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Bujnicki, *Pamiętniki 1795–1875*, wstęp i opracowanie Paweł Bukowiec, Kraków 2001, s. 58–59.

9. Rozbicie się okrętu. Tragikomedia w trzech przemianach

Tadeusz Bujnicki (1788–1878)

Owoż gdy pana Augusta, prowadzona przez moich rodziców i otoczona licznym gronem gości, przeszedłszy ogród fruktowy, znalazła się w części jego angielskiej i zbliżała się do rozścielającego się tam stawu, ujrzała na nim pływającą wyspę w kształcie wysokiego pagórka osypanego gorejącymi lampami, co w mroku wieczora pięknym wystawiało widok, gdy zwłaszcza i na brzegu przeciwnym drzewa były iluminowane. Wyspa płynęła bardzo wolno i zbliżała się do stojącego na brzegu stawa towarzystwa, a z wnętrza jej brzmiał śpiew z dobranych głosów przy towarzyszeniu muzyki. Urządzenie tej niby zaczarowanej wyspy było następujące: na ogromnym, zbitym z belek płycie zrobiono rodzaj altany z żerdzek rozmaitej grubości, której nadano kształt wysokiego pagórka, pokrytego warstwą mchu zielonego. W tej więc altanie umieściła się muzyka oraz osoby składające chór śpiewaków. Idea była dobra i efekt bardzo ładny na wodzie śród mroku i cichego powietrza, ale w budowie samego promu było widać coś niedoskonałego, czy też może ciężar źle wyrachowany, słowem że wyspa, przepłynąwszy szczęśliwie większą połowę stawu, zaczęła wewnątrz nabierać wody, a wkrótce tonąć. Niespodziana a okropna zmiana dekoracji. Dźwięki harmonijne śpiewu i muzyki zamieniły się w przeraźliwe krzyki o ratunek. Solenizantka, rodzice moi i towarzystwo po krótkiej chwili wesołości przejęci zostali przerażeniem i okrutną trwogą o życie tylu osób, a nade wszystko o drogie im osoby. Na tonącym statku zgiełk pośród powolnego nabierania się wody na pokład. Niektórzy z młodych muzykusów próbują wdrapać się na pokrycie altany, ale żerdki składające ten rodzaj dachu uginają się i kruszą pod nieodpowiednim ich grubości ciężarem, lampy spadają do wnętrza na głowy tam się znajdujących osób, stojących już po kolana w wodzie. Okropność nie do opisania! Niektórzy umiejący pływać rzucają się w wodę, również też tacy i z brzegu dążą na

ratunek. Szczęście prawdziwe, głębokość wody nie tak wielka, żeby nie można było osiągnąć dna bez utonienia, każdy więc z nas porywa jedną z dam i unosi ją z wody przemokłą do nitki, ale dzięki Bogu żywą i zdrową. Wszyscy kolejną wzbierają się na brzeg, a wyspa oswobodzona od ciężaru pozostaje widoczną, słabo resztą palących się lamp oświetlona. Więc znowu radość w zgromadzeniu. Po krzykach rozpaczliwych i lamentach następują okrzyki wesela i nawet śmiechy na widok rozbitków wychodzących z niespodzianej kąpieli. Pośpieszono na powrót do domu, a gdy zmokli zmienili odzież, wzięto się do tańców z podwojoną ochotą, a niefortunne widowisko nazwano *Rozbicie się okrętu. Tragikomedja w trzech przemianach*. Słyszeliśmy później o wieści rozniesionej w okolicy, iż w Szkilthofie miało utonąć w stawie kilkanaście osób.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Bujnicki, *Pamiętniki 1795–1875*, wstęp i opracowanie Paweł Bukowiec, Kraków 2001, s. 80–81.

10. O jedną grotę za daleko

Gazeta Krakowska, 1842

Z Tywoli piszą pod d.5 września: „Tutejsi mieszkańcy dziś rano z ostatnich chwil snu grzmiącym hukiem walących się murów przebudzeni i przerażeni pospieszyli na ulicę. W pierwszym przestrachu mniemano, że powtórzyła się katastrofa z r. 1826, wskutek której większa część mieszkań na krańcu doliny Anio w otchłań wielkiego wodospadu wraz ze skałami oderwanymi wpadła. Ale wkrótce przekonano się, że tam wszystko na swoim miejscu i że łoskot pochodzi od strony nowej bramy rzymskiej, w pobliżu której kościół ś. Maryi i Magdaleny wraz z wieżą zawalił się. Główną przyczyną tego miało być wykopanie obszernej groty, którą w sąsiedztwie mieszkający winiarz za daleko pod fundamentami kościoła poprowadził.

PRZEDRUK ZA: Gazeta Krakowska, 28 września 1842, nr 221.



xiii. Żyje się



1. Suchy pył, czarny kurz

Zygmunt Krasiński (1809–1857)

O, ero fajkowa, ero dziecinna, wróć mi się! Ta lulka była pączkiem nierozwitym życia mego. Co z niej się wysnuło? Żar, a potem popiół – nic więcej; myślę się, bo dym i może smród. Wiesz, jak śmierdzi przepalona fajka, gdy w niej osiedzie i tytuń i sok, i żuźle pod kształtem martwej skorupy, którą nożem odskrabiać trzeba i na okno wyrzucać. W zmniejszeniu są to dzieje każdego wulkanu – każdego wybuchu ostatecznym końcem ciężko skrzepła lawa i suchy pył, czarny kurz węgla zstartych. To samo w fajce naszej widziałem, to samo na Wezuwiuszu, to samo w życiu moim!

PRZEDRUK ZA: Zygmunt Krasiński, *Listy do Konstantego Gaszyńskiego*, opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski, Warszawa 1971, s. 235, list z dnia 26 maja 1841 roku.

2. Były jeszcze inne wypadki

Seweryn Goszczyński (1801–1876)

Były jeszcze inne wypadki w tym czasie. Częste febry w pierwszych latach mojego dzieciństwa. Dziwne widzenie w gorączce, po którym porzuciła mnie febra na zawsze.

Zbicie paznogcia na palcu prawej ręki, przez co poznałem pierwsze silne bóle fizyczne.

Rozbicie ust od hojdałki, kiedy jeszcze chodziłem z piastunką, a cały ten wypadek doskonale pamiętam; od czego nabrzmienie wargi wyższej, które mi na całe życie zostało, – częste róże w twarzy, a w końcu skutkiem zawiania nóg świeżo wycoczonych reumatyzm, grożący uschnięciem nóg, a przynajmniej bezwładnością.

Topienie się po dwakroć, raz w Horyniu z załamanego lodu, drugi raz w kanale w Siomakach.

Moja gwałtowność, zwłaszcza w moich stosunkach z ciotką Dosią. Chciałem ją raz utopić.

PRZEDRUK ZA: Seweryn Goszczyński, *Podróż życia mego. Urywki wspomnień i zapiski do pamiętek 1801–1842*, wydał Stanisław Pigoń, Wilno 1924.

Spis ilustracji



FRONTSYPIS

Powódź w Peszcie 1838, Matthias Ranftl, olej na płótnie, 1838, Muzeum Historyczne w Budapeszcie.

1. Dzieje się
 1. *Potop*, ilustracja Gustave Doré do Biblii – Rycina 1, 1866.
 2. *Potop*, olej na płótnie, John Martin 1834, Yale Center for British Art, Paul Mellon Collection.
 3. *Zniszczenie Pompei*, olej na płótnie, Iwan Aiwazowski, 1889, Rostowskie Obwodowe Muzeum Sztuk Plastycznych.
 4. *Ostatni dzień Pompei*, olej na płótnie, Karł Briułłow, 1833, Państwowe Muzeum Rosyjskie (St. Petersburg).

11. Idzie na dno
 1. *Burza na morzu*, Philip James de Loutherbourg, ze Zbiorów Specjalnych IBL.
 2. *Katastrofa „Meduzy” – Tratwa*, Jules Noël, rycina, Zurcher & Margollé, *Les Naufrages célèbres*, 1873.
 3. *Tratwa Meduzy*, litografia Charlesa Motte według Théodore'a Géricault, *Relation complète du naufrage de la frégate La Méduse faisant partie de l'expédition du Sénégal en 1816*, A. Correard, H. Savigny, D'Anglas de Praviel and Paul C. L. Alexandre Rand des Adrets.
 4. *Wrak U. S. M. parowca „Arctic”*, 27 września 1854 roku, Nathaniel Currier, litografia, Library of Congress, Prints and Photographs Division.
 5. *„Arctic” – Zatopienie parowca w pobliżu Cape Race w środę 27 września 1854 roku*, Nathaniel Currier, litografia, „Early Steamships – Currier & Ives Prints No. 4”.
 6. Ręcznie malowana litografia katastrofy statku „Austria” 13 września 1858 roku, autor nieznan.

7. *Zatonięcie statku emigracyjnego „Austria” 13 września 1858 roku*, Josef Carl Berthold Puttner, 1858, olej na płótnie, Deutsches Historisches Museum w Berlinie.
 8. Ilustracja z wczesnego wydania *Moby Dicka*, 1892.
 9. *Wrak statku „Amphitrite” 31 sierpnia 1833 roku*, Jules Noël, rycina, Zurcher & Margollé, *Les Naufrages célèbres*, Paris 1877 (trzecie wydanie).
 10. *Ogień na morzu*, William Turner, olej na płótnie, 1835, nieskończony (prawdopodobnie oparty na wieści o zatopieniu statku „Amphitrite”).
 11. *Straszny pożar parowca Lexington w Long Island Sound w poniedziałek 13 grudnia 1840 roku*, W. K. Hewitt, rysunek opublikowany 3 dni po katastrofie, według litografii Nathaniela Curriera, Library of Congress Prints and Photographs Division.
 12. *Pożar na pokładzie Golden Gate 27 lipca 1862 roku podczas podróży z San Francisco do Panamy*, Nathaniel Currier, litografia Early Steamships – Currier & Ives Prints No. 4.
 13. *Dziewiąta fala*, Iwan Aiwazowski, olej na płótnie, 1850, Państwowe Muzeum Rosyjskie.
 14. *HMS „Erebus” uwięziony w lodzie*, François Etienne Musin, olej na płótnie 1846, National Maritimi Museum.
 15. *Wrak statku w pobliżu Kaffasza, widziany z Góry Karmel*, kolorowana litografia Davida Robertsa według litografii Louisa Haghe’a, 1843.
 16. *Parowiec „San Francisco”, płynący z Nowego Jorku do San Francisco, w chwili pójścia na dno w dniu 24 grudnia 1853 roku*, Nathaniel Currier, 1854, litografia, Clipper Ships – Currier & Ives Prints No. 3.
 17. *Ratowanie pasażerów statku „Winchester” z Bostonu (czwartek, 2 maja 1854), na podstawie szkicu pana Vincenta, pasażera na pokładzie „Waszyngtonu”*, Nathaniel Currier 1854, litografia, Early Steamships – Currier & Ives Prints No. 4, by Felix Riesenberga.
111. Topi i zalewa
1. *Obrazek z powodzi*, rysunek oryginalny Wojciecha Grabowskiego, ze Zbiorów Specjalnych IBL.
 2. *Powódź*, Henryk Grabiński, ze Zbiorów Specjalnych IBL.
 3. *Powódź na Wiśle z 1813 roku*, Michał Elwiro Andriolli, rycina, 1886, Zlatá Praha Magazine.

4. *Zerwanie mostu w Toruniu przez kry w roku 1853*, Teodor Napoleon Jacobi, olej na płótnie, 1853, Muzeum Okręgowe w Toruniu.
5. Tablice upamiętniające powodzie z lat 1813, 1839 i 1844 umieszczone na domach Warszawy, w: W. Kolberg, *Wisła, jej bieg, własności i splawność*, cz. 11, Warszawa 1861, Almanach Muzealny.
6. *Powódź w Warszawie 1844 roku na ulicy Rybaki*, rycina Jana Feliksa Piwarskiego, 1855–1859, Biblioteka Narodowa.

iv. Pali się

1. *Pożar we wsi*, szkic Wojciecha Grabowskiego, ze Zbiorów Specjalnych IBL.
2. *Pożar Krakowa*, Rynek Główny, lipiec 1850, olej na płótnie, Teodor Baltazar Stachowicz, 1850, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa.
3. *Pożar kościoła OO. Dominikanów w Krakowie 18 lipca 1850 roku*, Teodor Baltazar Stachowicz, olej na płótnie, 1850, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa.
4. *Hamburg po pożarze w 1842 roku*, Franz Heesche, olej na płótnie, 1842.
5. *Pożar w Hamburgu*, Ditlev Martens, olej na płótnie, 1842.
6. *Wielki pożar Tirschenreuth w 1814 roku*, autor nieznany, w: Max Gleissner, *Das Tirschenreuther Krippenbuch*, Tirschenreuth 1987, s. 21.
7. *Pożar Pałacu Westminster (16 października 1835 roku)*, J. M. W. Turner, olej na płótnie, 1834, Philadelphia Museum of Art.
8. *Pożar w Pałacu Zimowym (Sankt Petersburg 17 grudnia 1837 roku)*, olej na płótnie, Pierre Marie Joseph Vernet, 1838, Muzeum Ermitaż w Sankt-Petersburgu.
9. *Widok i plan spalonej dzielnicy, San Francisco (Kalifornia)*, dzień po pożarze, 22 czerwca 1851 roku, litografia, Fishbourne & Gows Lithog.

v. Trzęsie się i wybucha

1. *Scena wielkiego trzęsienia ziemi na Zachodzie. Stany 1811*, Devens, R. M. (Richard Miller), drzeworyt z książki *Our First Century – 1776–1876*.
2. *Pozostałości Katedry z Concepción po trzęsieniu ziemi 20 lutego 1835 roku*, rysunek John Clements Wickham, ok. 1835, grawerowanie S. Bull 1838–1846.

3. *Wielkie trzęsienie ziemi w Ansei*, Japonia 1854–1855, autor nieznanymy.
 4. *Wybuch Wezuwiusza*, William Turner, akwarela, między 1817 a 1820, Yale Center for British Art.
 5. *Wybuch Wezuwiusza w grudniu 1820 roku*, Johan Christian Dahl, olej na płótnie, 1826, Muzeum w Städel.
- VI. *Zaraża się*
1. *Ofiara cholery w Sunderland w 1832 roku*, autor nieznanymy, kolorowa litografia, Wellcome Images.
 2. Rysunek satyryczny, Jean-Jacques Granville: „Cicho! On cierpi strasznie na cholere”, Wellcome Images.
 3. *Cholera w Palermo*, 1835. Gabriele Castagnola. Wellcome Images.
 4. *Incydent na rosyjskich barierach cholerycznych*, Iwan Aleksiejewicz Władimiroff, rysunek piórkiem, Wellcome Images.
 5. *Religijna procesja podczas epidemii cholery na rosyjskiej wsi*, rysunek piórkiem, Iwan Aleksiejewicz Władimiroff, Wellcome Images.
 6. *Cholera na Placu Siennaja. Mikołaj I powstrzymuje zamieszki*, przed 1856, Wellcome Images.
 7. *Śmierć Dusiciel, pierwsze ognisko zarazy na balu maskowym w Paryżu w 1831 roku*, Alfred Rethel, drzeworyt na kremowym papierze, 1851, The British Museum.
 8. *Strach przed cholere*, Honoré Daumier, rysunek, 1841, Wellcome Images.
 9. *Pacjenci cierpiący na cholere w Jurze w 1854 roku*, Armand-Désiré Gautier, rysunek piórkiem, 1859, Wellcome Images.
 10. *Postać w stroju zabezpieczającym przed cholere*, kolorowa akwaforta, autor nieznanymy, dzieło angielskie wedle niemieckiego lub francuskiego oryginału z 1832 roku, Wellcome Images.
- VII. *Wykoleja się i wywraca*
1. *Wypadek dylżansu pocztowego w poblżu Elvanfoot, Lanarkshire*, ilustracja do książki Jamesa Wilsona Hyde’a *The Royal Mail. Its Curiosities and Romance*, 1885.
 2. *Rozpędzony powóz*, Thomas Rowlandson, akwarela, ok. 1791, Yale Center of British Art.

3. *Wypadek dylizansu*, Henry Thomas Alken, ilustracja książkowa, ok. 1825.
4. *Wypadek kabrioletu Dennet*, Henry Thomas Alken, ilustracja książkowa, ok. 1825.
5. *Katastrofa na moście nad rzeką Dee 24 maja 1847 roku*, akwaforta, The Illustrated London News 1847.
6. *Eksplzja lokomotywy (w pociągu jadącym do Wersalu 8 maja 1842 roku)*, olej na płótnie, Jenaro Pérez Villaamil, ok. 1843, Museo Nacional de bellas artes w Buneos Aires.
7. *Wypadek kolejowy w Meudon na linii Versailles, Rive Gauche, 8 maja 1842 roku*, autor nieznany, litografia, Bibliothèque Nationale de France.
8. *Katastrofa kolejowa między Versailles i Bellevue, 8 maja 1842 roku*, Alain Provost, między 1842 i 1855, Château de Sceaux, Musée de l'Ile-de-France.
9. *Wybuch lokomotywy „Windsbraut” na peronie dworca kolejowego w Lipsku, 21 maja 1846 roku*, autor nieznany, współczesne grawerowanie, Sammlung Prof. Berger.
10. *Wypadek w Suffolk*, w: Southworth Allen Howland *Steamboat Disasters and Railroad Accidents in the United States*, Worcester 1840, s. 286.
11. *Eksplzja lokomotywy parowej, York Newcastle & Berwick Railway, Darlington, 2 lutego 1850 roku*, autor nieznany, ok. 1850.

VIII. Wali się

1. *Zawalenie się wieży ratusza lwowskiego (14 lipca 1826 roku)*, autor nieznany.
2. *Zerwanie się mostu wiszącego w Angers w 1850 roku*, fotografia obrazu, autor nieznany.

IX. Eksploduje

1. *Eksplzja zamku w Nantes*, rycina, autor nieznany, 1800, Musée du château des ducs de Bretagne.
2. *Wybuch*, Johann Jacob Weber (Hrsg.), „Illustrierte Zeitung”, nr. 11 z dnia 9 września 1843 roku, J.J. Weber, Leipzig 1843, MDZ Monachium.
3. *Rapenburg, Leiden, trzy dni po eksplozji transportu prochu 12 stycznia 1807 roku* (Louis Bonaparte, widoczny po lewej stronie, ogląda zniszczenia),

- Carel Lodewijk Hansen, olej na płótnie, 1807, Rijksmuseum Amsterdam.
4. *Błogosławiony efekt świateł gazowych lub nowa metoda oświetlenia stosowana na Great Peter Street, w Londynie*, autor nieznany, karykatura opublikowana przez S. W. Fores, 10 listopada 1813 roku.
 5. *Eksplzja prochowni w Esonne, podczas produkcji prochu na bazie chloranu potasu*, Louis Figuier, 1869, w: *Figuier – Les Merveilles de la science*, 1867–1891.
 6. *Wybuch w warsztacie produkującym nitrocelulozę, prochownia w Buchet*, 17 lipca 1848 roku, Louis Figuier, 1869, w: *Figuier – Les Merveilles de la science*, 1867–1891.
 7. *Wnętrze kościoła Walsall po wybuchu gazu*, Georges Rowe, litografia, New Art Gallery Walsall.
 8. *Ruiny budynku zbiornika gazu na Rue Richer, po wybuchu z dnia 25 października 1849 roku*, autor nieznany, 1849, „L’Illustration, journal universel”, 3 listopada 1849 roku.
 9. *Wybuch w Oaks Colliery, w pobliżu Stairfoot, Barnsley, West Riding of Yorkshire, Anglia*, rycina, „The Illustrated London News” z 13 marca 1847 roku.
- x. Wspiera się
1. *Cesarzowa Eugenia w Amiens podczas epidemii cholery w 1866 roku*, Auguste-Francois-Joseph Feragu, olej na płótnie, 1878.
 2. *Cesarzowa Eugenia odwiedza ofiary cholery w Hôtel Dieu*, Paul-Felix Guerie, olej na płótnie, 1866, Château de Compiègne.
 3. *Jego Cesarska Mość Cesarz Napoleon III rozdający pomoc ofiarom powodzi w Lyonie*, Hippolyte Lazerges, olej na płótnie, 1856.
 4. *Cesarz Pedro II z Brazylii odwiedzający z ministrami ofiary cholery, 1855*, François-René Moreau, olej na płótnie 1867, Grandes Personagens da Nossa História, São Paulo 1972.

Ilustracije

1.
Dzieje się



↑ 1.



↑ 2.



↑ 3.



↑ 4.

II.
Idzie na dno



↑ 1.



↑ 2.



↑ 3.



↑ 4.



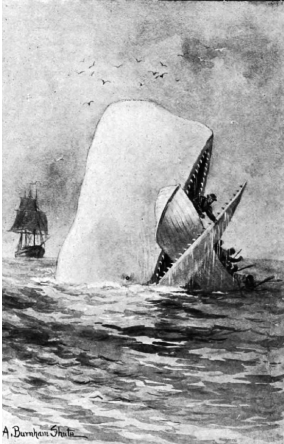
↑ 5.



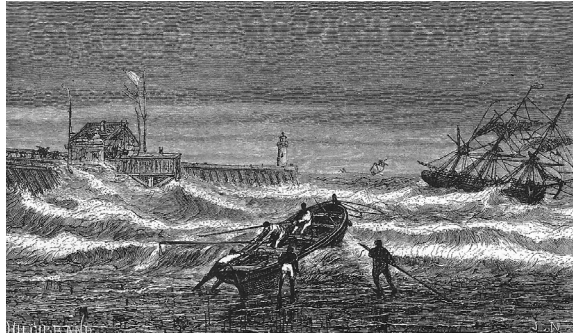
↑ 6.



↑ 7.



↑ 8.



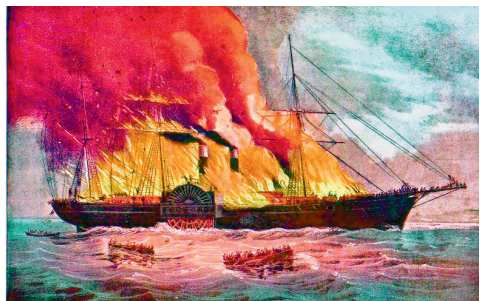
↑ 9.



↑ 10.



↑ 11.



↑ 12.



↑ 13.



↑ 14.





↑ 15.



↑ 16.



↑ 17.

III.
Topi i zalewa



↑ 1.



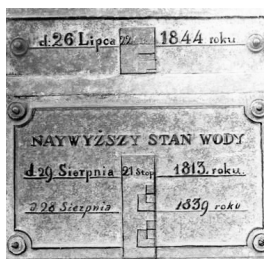
↑ 2.



↑ 3.



↑ 4.



↑ 5.



↑ 6.

IV.
Pali się



↑ 1.



↑ 2.



↑ 3.



↑ 4.



↑ 5.



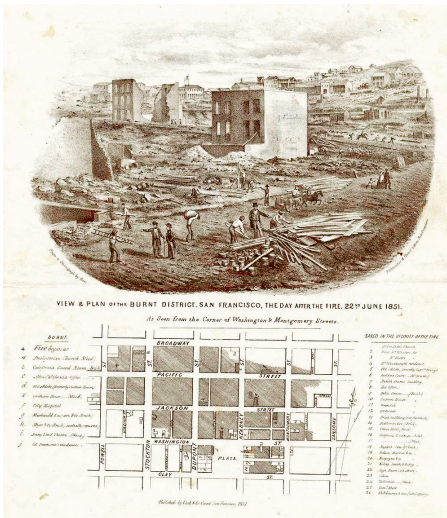
↑ 6.



↑ 7.

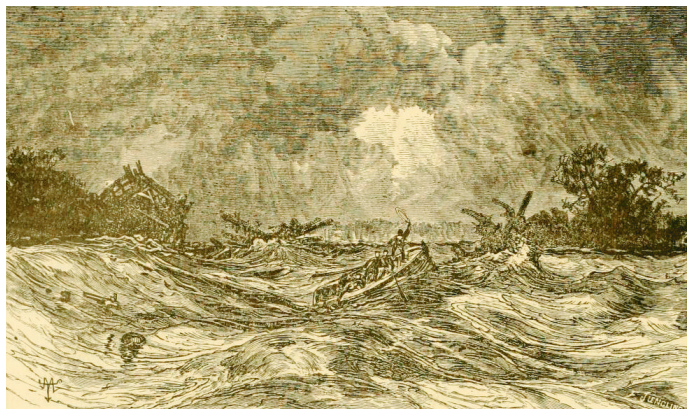


↑ 8.



↑ 9.

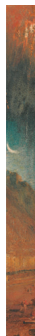
V.
Trzęsie się i wybucha



↑ 1.



↑ 2.





↑ 3.



↑ 4.



↑ 5.

VI.
Zaraza się



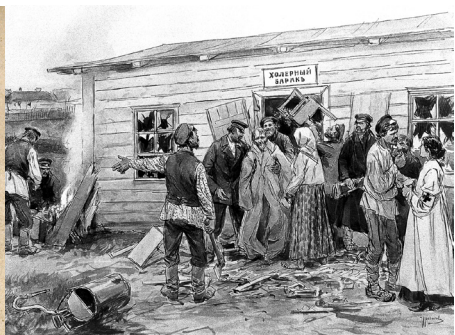
↑ 1.



↑ 2.



↑ 3.



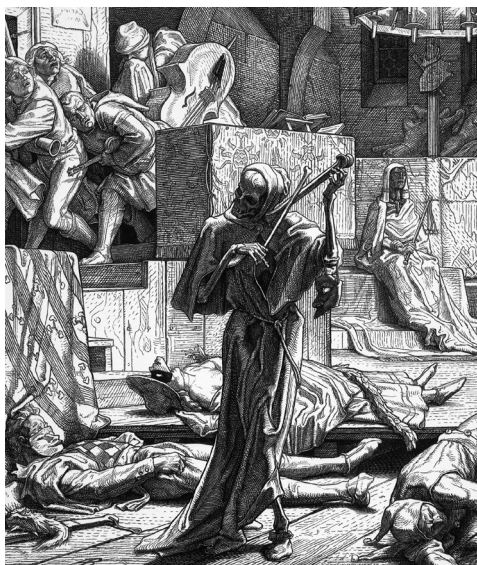
↑ 4.



↑ 5.



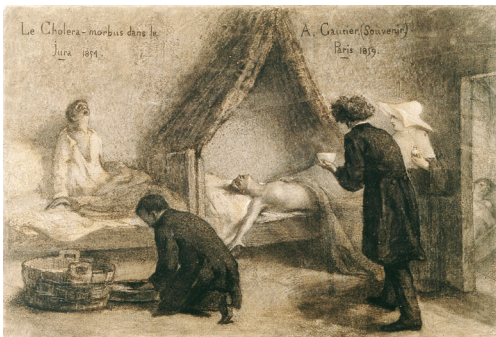
↑ 6.



↑ 7.



↑ 8.



↑ 9.



↑ 10.

VII.
Wykoleja się i wywraca



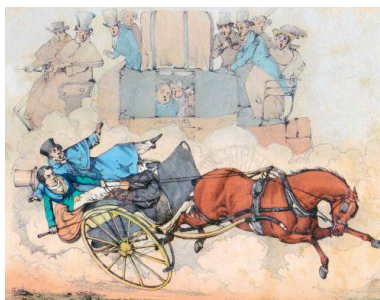
↑ 1.



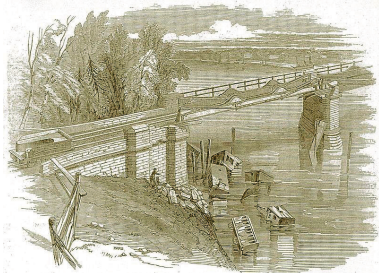
↑ 2.



↑ 3.



↑ 4.



↑ 5.



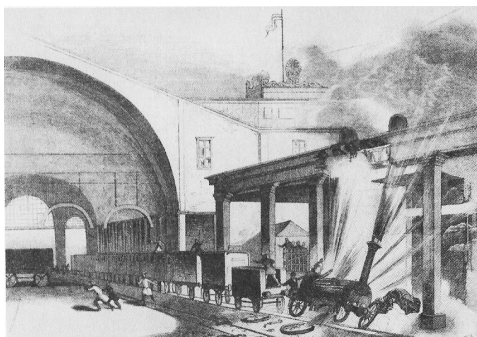
↑ 7.



↑ 6.



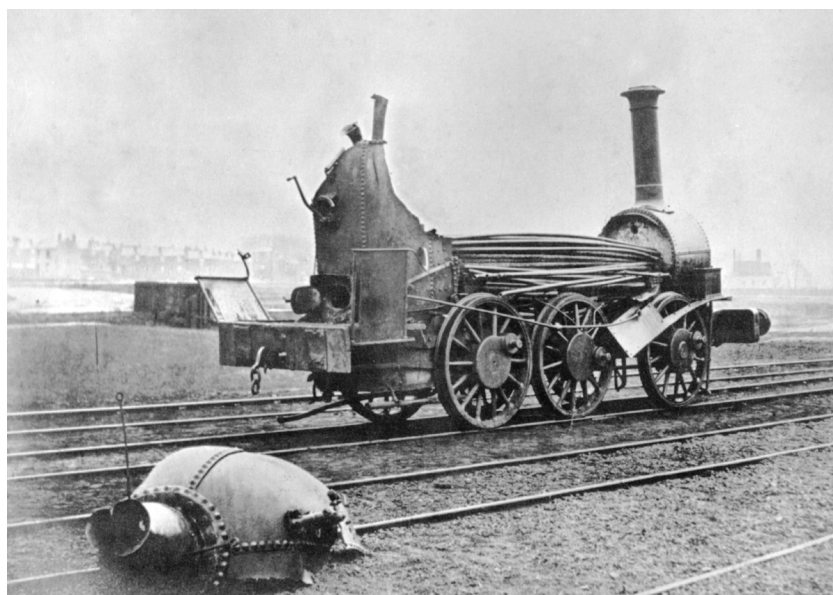
↑ 8.



↑ 9.

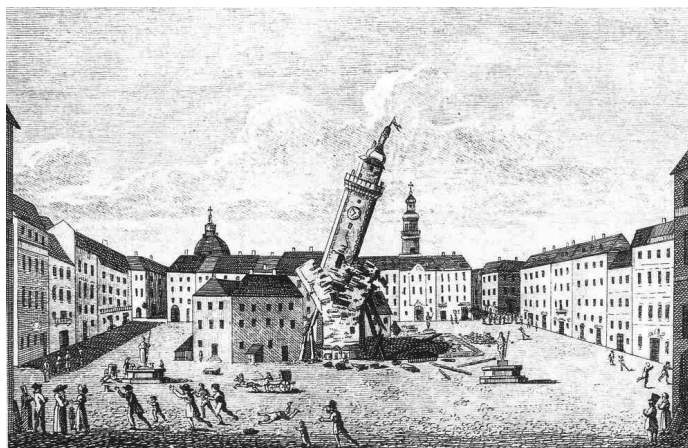


↑ 10.

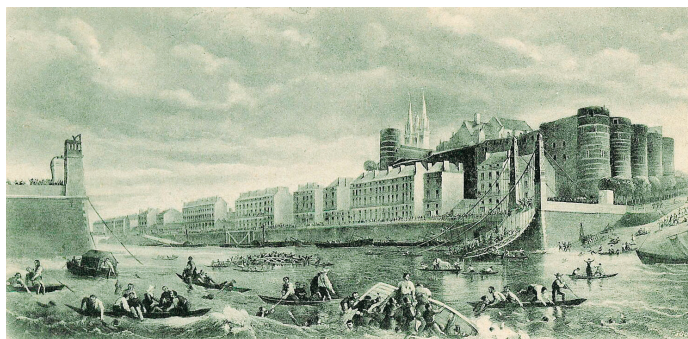


↑ 11.

VIII.
Wali się



↑ 1.

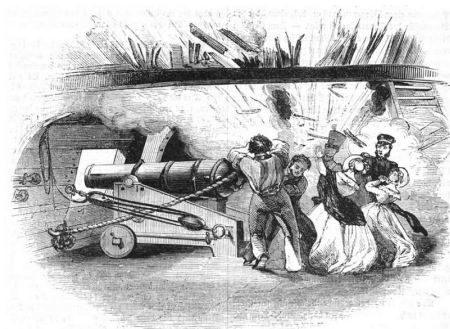


↑ 2.

IX. / X.
Eksploduje



↑ 1.



↑ 2.



↑ 3.



↑ 4.



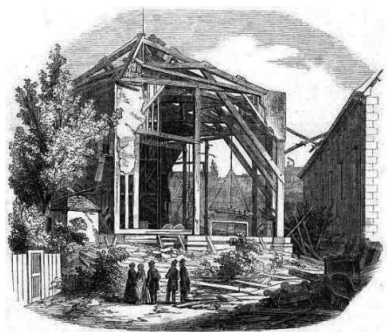
↑ 5.



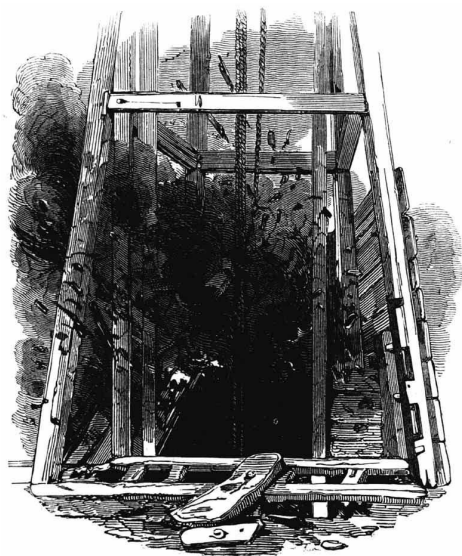
↑ 6.



↑ 7.



↑ 8.



↑ 9.



XI.
Wspiera się



↑ 1.



↑ 2.



↑ 3.



↑ 4.

REDAKCJA: Magdalena Szczepańska

KOREKTA: Krzysztof Smólski

PROJEKT GRAFICZNY: Daria Malicka

SKŁAD I ŁAMANIE: Marcin Kiedio

Projekt Pracowni Romantycznej IBL PAN, nr 0097/NPRH2/
H11/81/2013, finansowany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa
Wyższego, opracowywany w l. 2013–2017



NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI

KIEROWNIK GRANTU I REDAKTOR NAUKOWY SERII:

dr hab. Marta Zielińska

RECENZENT TOMU:

prof. dr hab. Aleksander Nawarecki

REDAKTOR PROWADZĄCY SERII:

Krzysztof Smólski

© Copyright by Marek Bieńczyk, 2017

© Copyright by Instytut Badań Literackich PAN, 2017

ISBN: 978-83-65573-97-1

Druk: Petit S.K., ul. Tokarska 13, 20-210 Lublin